

Williamson Penelope

Namiętności Emmy Tremayne

Emma to piękna, młoda milionerka, której puste choć wygodne życie zmienia się nieoczekiwanie, gdy przypadek styka ją z rodziną ubogich irlandzkich imigrantów. Matka nie zamierza tolerować wybryków Emmy, której ślub z bogatym przemysłowcem jest już postanowiony. Aby ukrócić niezgodne z normami bostońskiej socjety postępowanie córki, wywozi ją do szpitala psychiatrycznego, będącego w istocie raczej obozem karnym dla kłanbrnych bądź niewygodnych dla rodzin osób. Czy Emma podda się woli apodyktycznej matki, czy ulegnie konwenansom, skazując się na dożywotnią pustkę u boku nie kochanego człowieka, czy też odważy się pośpieszyć za głosem serca?

I

Bristol, Rhode Island Kwiecień 1890 roku

Emma Tremayne odczuwała spojrzenia jak klapsy. Była tak nieśmiała, że kiedy na nią patrzono, cierpiała katusze, chociaż od dawna powinna się już do tego przyzwycząić. W końcu należała do rodziny Tremayne'ów, szalonych, niegodziwych i oburzająco bogatych Tremayne'ów. Na dodatek była piękna -a przynajmniej przez całe życie tak jej mówiono.

Nie lubiła przebywać w towarzystwie, ale znała swoje obowiązki i zawsze starała się je wykonywać jak najlepiej. Brała udział w ostatnim w tym sezonie polowaniu na lisa, ponieważ była to jedna z tradycji pielęgnowanych przez bristolską Śmietankę Towarzyską, a Tremayne'owie ze szczególną dbałością kultywowali wszelkie tradycje obowiązujące wśród Śmietanki Towarzyskiej.

- Jesteś naszą ostatnią nadzieją - przypomniała jej matka tego ranka.

Emma przyjechała więc przez wzgląd na mamę i rodzinę. Ale również dlatego, że bardzo lubiła polowania. No cóż, prawdę mówiąc, może nie tyle same polowania, co jazdę konną. Uwielbiała galopować co sił przez zaorane pola, zarośnięte trawą łąki oraz brzoźowe i sosnowe lasy, pokonywać kamienne murki i jeżynowe żywopłoty. Kiedy koń odrywał się od ziemi, szybowała w powietrzu lekka jak piórko i wolna jak ptak.

Obecnie jednak stała na werandzie wiejskiego domu swego kuzyna. Szeroko otwartymi oczyma chłoneła wspaniałe widoki, który tworzyły niespokojne konie, popiskujące psy. Widziała fioletowy surdut łowczego, brązowe bryczesy mężczyzn, czarne,

noszone przez panie stroje do konnej jazdy i również czarne jedwabne cylindry. Znała tych ludzi niemal od urodzenia, mimo to wcale nie miała ochoty wychodzić na dziedziniec, by przyłączyć się do nich. Kiedy jednak pomyślała o czekającej ją szalonej jeździe, poczuła bezwstydną, przyprowadzającą o zawrót głowy radość. Na skraju dziedzińca, w pobliżu bramy zobaczyła braci Alcottów siedzących na dobranych maścią gniadych wałachach. Zapomniała, że są do siebie tak bardzo podobni. Obaj mieli pociągłe twarze, długie, wąskie nosy i gęste jasnobrązowe czupryny.

Geoffrey dosiadał swego wierzchowca z dużą swobodą, trzymał się prosto, a dzięki czarnemu melonikowi i starannie zawiązanemu białemu krawatowi prezentował się naprawdę elegancko. Natomiast nieco garbiący się w siodle Stuart sprawiał wrażenie pełnego fantazji dekadenta. Ale Stu właściwie zawsze tak wyglądał. Nie było go w domu od ponad siedmiu lat, więc Emma niezmiernie ucieszyła się na jego widok. Wyobraziła sobie nawet, że unosi spódnicę i zbiega na dziedziniec, wołając jego imię. Siedem lat temu być może zrobiłaby coś takiego, nawet na oczach wszystkich, obecnie jednak było to nie do pomyślenia.

Nie, nigdy by tak nie postąpiła, nawet jako dziecko. Emma Tremayne we własnej wyobraźni zawsze była dziewczyną znacznie odważniejszą i śmielszą niż w rzeczywistości.

Geoffrey uniósł rękę w geście powitania, a Emma uśmiechnęła się do niego, chociaż nie pomachała w odpowiedzi. Po raz ostatni widziała Geoffreya Alcotta nie dalej jak w ostatnią środę. Cały świat, a przynajmniej cały Bristol, uważał go za jej adoratora, za przyszłego męża, chociaż Geoffrey dotychczas jeszcze się jej nie oświadczył.

Dwukrotnie tańczyli podczas balu wydanego z okazji Bożego Narodzenia, a o północy Geoffrey ujął ją pod ramię i zaprowadził na werandę, by, jak powiedział, przyjrzeć się gwiazdom. Kiedy wsparła rękę o poręcz, nakrył ją swą dłonią, a wówczas Emma miała wrażenie, że przez jedwabne rękawiczki czuje ciepło jego palców. Ich oddechy zamieniały się w obłoczki, które otulały twarze jak welony, a ona i Geoffrey wcale nie przyglądali się gwiazdom, lecz sobie nawzajem. Myślała wówczas, że się jej oświadczy, ale nie zrobił tego. Później nie potrafiła

orzec, czy taki przebieg wypadków rozczarował ją, czy też poczuła ulgę.

Teraz Geoffrey patrzył na nią, zacisnąwszy wargi, w związku z czym zaczęła się zastanawiać, jakież to przewinienie zdążyła popełnić tego ranka, że jej adorator tak marszczy czoło na jej widok.

Uniosła ciężką, ciągnącą się po ziemi czarną spódnicę z szorstkiej wełny, stanowiącą część stroju do jazdy konnej, i zeszła na dziedziniec. Konia przyprowadził jej mężczyzna mający na sobie czarną kurtkę i kapelusz z podgiętym do góry rondem. Nakrycie głowy ocieniało twarz tego człowieka, ale to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Emma wcale na niego nie patrzyła. Nawet wówczas, kiedy pomagał jej dosiąść grzbietu płochliwej dereszowatej klaczy.

Emma objęła nogami kulę i poprawiła spódnicę. Skórzane siodło było chłodne i śliskie. Klacz poruszyła się niespokojnie, parsknęła i potrząsnęła głową. W tym momencie mężczyzna złapał Emmę za kostkę nogi.

Mocno ścisnął palcami delikatną skórę wysokich butów. Emma poczuła, że ogarnia ją dziwne, bliskie paniki, zapierające dech w piersiach uczucie. Wyprostowała się gwałtownie i wydała dźwięk będący czymś pomiędzy krzykiem a odgłosem zachłyśnięcia się.

- Ma pani za luźny popręg - powiedział mężczyzna. - I chociaż z pewnością uważa się pani za prawdziwą piękność, w niczym to pani nie pomoże, i jak amen w pacierzu wpakuje się pani na pierwszy płot, chyba że jakaś pocziwa dusza, taka jak ja, zaciśnie te paski.

Zaszokowały ją nie tyle opryskliwe słowa, co raczej szorstki głos. Miał w sobie irlandzką melodyjność, a mimo to był ostry, zachrypnięty i niewiele głośniejszy od szeptu. Wzbudzał lęk.

Jego właściciel puścił kostkę Emmy, by unieść klapę siodła i złapać paski popręgu. Zauważyła duże, kwadratowe, zniszczone dłonie.

Przez chwilę patrzyła na główkę jego kapelusza i długie, postrzępione włosy, opadające na kołnierz kurtki. Potem mężczyzna powoli unióśł głowę. Jeszcze przez chwilę rondo jego kapelusza osłaniało twarz, w końcu jednak Emma dostrzegła zaskakująco zielone oczy.

Oblicze tego człowieka pasowało do dłoni. Od prawego oka biegła przez kość policzkową biała, cienka jak ślad po cięciu brzytwą blizna, a całości dopełniał złamany, nieco skrzywiony w lewo nos, jak też gruba fioletowa pręga na szyi.

Niewiele brakowało, a Emma powiedziałyby: „najmocniej przepraszam”, zdała sobie jednak sprawę, że zabrzmiałoby to bardzo głupio, ponieważ nie miała powodu go przepraszać. Jeśli już ktoś powinien prosić o wybaczenie, to ten człowiek, ponieważ dotknął jej bez pozwolenia. Na dodatek odezwał się w nieuprzejmy sposób, zarzucając jej, że uważa się za „prawdziwą piękność”.

Ale już odwrócił się plecami i odchodził, czy raczej oddalał się dumnym krokiem.

Doszła do wniosku, że trochę mu zazdrości pewności siebie, a także znamionującego siłę i buntowniczość irlandzkiego typu urody. Podszedł prosto do jej kuzyna Aloysiusa, który jako główny łowczy siedział na koniu otoczonym przez sforę psów. Podekscytowane ogary skowyczały i wpychały się na siebie, kiedy jednak wszedł między nie ten mężczyzna, uciszyły się. Zupełnie jakby sama jego obecność wymuszała posłuszeństwo.

Później Emma przez cały czas czuła jego obecność. Kiedy podjechali do niej bracia Alcottowie, uśmiechnęła się do Geof-freya i nawet odrobinę się z nim podrażniła, tylko trochę się rumieniąc, ponieważ - inaczej niż w obecności wszystkich innych ludzi - w towarzystwie swego adoratora czuła się swobodnie. Zdołała nawet powiedzieć Stu, jak bardzo się cieszy, że po tak długiej nieobecności w końcu wrócił do domu. Mimo to przez cały czas wzrokiem szukała Irlandczyka.

Musiał chyba poczuć te spojrzenia, ponieważ odwrócił się i popatrzył na nią. Szybko uciekła wzrokiem i zacisnęła mocno palce na fiszbinowej ręczyce pejcza.

Jej kuzyn Aloysius ujął wiszący na szyi mosiężny róg, dmuchnął weń i w niebo popłynął płaczliwy, świergotliwy dźwięk. Irlandczyk najwyraźniej służył u jej kuzyna jako pomocnik łowczego, ponieważ zauważyła, że na ten sygnał dosiadł kasztanka i zaczął zaganiać ogary. Kiedy wszyscy przejechali przez bramę, widać było jedynie podskakujące kapelusze, a w powietrzu unosił się dźwięk skrzypiących siodeł i podzwaniających na drodze końskich kopyt.

Nad traktem unosiła się jasnoblękitna chłodna, poranna mgła kwietniowa. Szron pokrywał wysoką łąkową trawę. Kiedy Irlandczyk uderzył w but skórzanym rzemieniem, sfora ruszyła do przodu. A wówczas Emma nie mogła go już dłużej obserwować.

Bristolski Klub Myśliwski na ostatnie polowanie sezonu zawsze zbierał się na dziedzińcu przed stajnią Hope Farm. Niegdyś farma ta była własnością Tremayne'ów, w pewnym jednak momencie przypadła w udziale córce, która niezbyt mądrze wyszła za mąż, w związku z czym obecnie posiadłość nie była już tak okazała, jak można by się spodziewać. Większość należących do niej pól cebulowych zarosły chwasty, powoli zamieniając ziemię uprawną w ugór, a sam dom miał w sobie coś tandetnego. Wybudowany został z egzotycznego, żółtego jak kocie oczy marmuru, przywiezionego z samego serca Afryki jako balast na statku transportującym niewolników. Chodziły słuchy, że w tym domu straszy, chociaż w rzeczywistości nikt nigdy nie widział ani nie słyszał niczego bardziej złowieszczonego niż pisk gnieźdzących się na strychu nietoperzy.

Niezależnie od rzeczywistych czy rzekomych duchów począwszy od listopada do pierwszego tygodnia kwietnia w każdy piątkowy ranek odbywało się tu polowanie. Hope Farm i jej najbliższa okolica stanowiły podmokły teren, na którym porzrucane były stare młyny. Rosła tu karłowata roślinność, a nad stojącymi stawami królował sumak jadowity. Ale pierwsze polowanie zorganizowano na Hope Farm ponad dwieście lat temu i od tamtego czasu rokrocznie powtarzano to wydarzenie w każdy piątek sezonu myśliwskiego.

Do klubu myśliwskiego należały wszystkie stare, bogate, liczące się bristolskie rodziny. Ludzie ci określali się mianem Śmietanki Towarzyskiej. Znajdowali się wśród nich właściciele fabryk, budowniczy statków, bankierzy, prawnicy oraz wszyscy ich synowie, córki i wnuki, pokolenie po pokoleniu. Być może nie wszyscy uganiali się z ogarami w każdy zimowy piątek, mimo to na ostatnim polowaniu sezonu nie mogło zabraknąć nikogo spośród ważnych osobistości. Tak nakazywała tradycja, a mieszkańcy Bristolu, zarówno możni jak i całkiem pospolici, nigdy nie rezygnowali bez walki z uświęconych przez pokolenia obyczajów.

Do tradycji należało również podawanie przed ostatnim polowaniem sezonu ajerkoniaku. Biorący udział w polowaniu džentelmeni oraz damy, połyskując wypolerowanymi butami, wsiadali na lśniące konie i jeździli po dziedzińcu, wznosząc w toaście najwyższej próby srebrne pucharki, na których wygrawerowane były biegnące lisy. Kiedy łowczy zadał w róg, członkowie klubu myśliwskiego mijali bramę i dojeżdżali do pierwszego zakrętu drogi, gdzie z głośnymi wiwatami wyrzucali puste pucharki za głogowy żywopłot.

Ten gest miał świadczyć o bogactwie i przyprawiającej o zawrót głowy ekstrawagancji Śmietanki Towarzyskiej. Mimo to wszyscy doskonale wiedzieli, że później służba, zgodnie ze ścisłymi instrukcjami, udawała się w to miejsce i zbierała srebrne pucharki, by w następnym roku można było ponownie ich użyć.

Ajerkoniak w pucharkach džentelmenów zawsze był zaprawiony czymś mocniejszym. W ten szczególny rano tylko Stuart Alcott zrezygnował z likieru i popijał własną whisky, sącząc ją prosto z piersiówki, która co prawda także była srebrna, lecz na skutek zużycia szlachetny metal zdążył już pociemnieć i zmatowieć.

Jego postępowanie było sprzeczne z zasadami - nie przywoziło się na polowanie własnych piersiówek. Wszyscy więc spoglądali na Stuarda, marszcząc brwi, co niezmiernie irytowało jego brata. Geoffrey nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że ktokolwiek noszący nazwisko Alcottów mógłby zostać przyłapany na niewłaściwym zachowaniu.

Kiedy przejeżdżali razem przez bramę, Stu dostrzegł ponure spojrzenie brata i machnięciem piersiówki wskazał na Aloysiusa Cartera. Główny łowczy i obecny właściciel Hope Farm jechał na czele grupy, zapadłszy się w siodle.

Wypełniający całe siedzenie, od przedniego do tylnego łęku, otyły Aloysius od ponad trzydziestu lat nie trzeźwił.

- Spójrz na niego. Jest pijany jak marynowany skunks - powiedział Stu. - Mimo to idę o zakład, że ten staruszek nie tylko bez trudu przeskoczy każdy płot, lecz na dodatek pokona nas wszystkich.

Geoffrey westchnął na tę myśl i pociągnął łyk z pucharka, szukając pociechy w słodkim, rozgrzewającym alkoholu. Kieliszek Geoffreya, tak jak kubki dam, wypełniony był samym ajer-

koniakiem. Starszy z braci Alcottów rzadko pijał coś mocniejszego, a skoro już o nim mowa, na pewno nie miał zamiaru galopować przez pola ani przeskakiwać przez płoty, będąc na rauszu.

Uniósł głowę i zauważył baczne spojrzenie brata. W żywych oczach Stu widać było szydery uśmiech i blask spowodowany przez wypitą whisky.

- Ze względu na dzisiejszy mróz na pewno będą ścigać się jak diabli - powiedział Geoffrey, nie potrafiąc wymyślić niczego lepszego, a potem poczuł, że się rumieni. Chociaż minęło tyle lat, w obecności Stu czuł się jak głupiec i zachowywał się głupio.

- Cholera! Zimno jak w przysłowiowej lodowni. - Stu znów pociągnął spory łyk alkoholu i udał, że drży. - W związku z tym, zamiast zachowywać się jak pastor i patrzeć na mnie wilkiem, zaciskając usta, ilekroć wypijam maleńki łyżeczek, powinienes pogratiulować mi zdrowego rozsądku. W końcu krew nie może zamarznąć, jeśli znajduje się w niej dziewięćdziesiąt procent alkoholu.

Ale to z pewnością nie zapobiegnie skręceniu cholernie głupiego, pijackiego karku - pomyślał Geoffrey, lecz zachował tę uwagę dla siebie. Jednak brat, który zawsze potrafił czytać w jego myślach, uśmiechnął się promiennie i uniósł piersiówkę w szyderyczym toaście.

Geoffrey zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

Jednak zaraz zaczął znowu bacznie przyglądać się bratu. Stu obdarzony był przystojną twarzą, kształtnym, patrycjuszowskim nosem, wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i szerokimi ustami, które miały szalony urok nawet teraz, mimo że na skutek wypitego alkoholu nieco zwiotczały. Geoffrey patrzył na tę tak dobrze znaną twarz i poczuł coś w rodzaju ściskającego żołądek strachu.

Powodem lęku był sposób, w jaki jego brat spoglądał na Emmę.

Ludzie zawsze na nią patrzyli. Kiedy wyszła na werandę zbudowanego z żółtego kamienia budynku, wszyscy mężczyźni przerwali rozmowy i znieruchomieli. Nawet konie zamarły w bezruchu. Emma stała samotnie, otoczona z dwu stron białymi drewnianymi kolumnami werandy, a jej pojawienie się odniosło taki skutek jak uderzenie pioruna w jasny dzień.

Stu z cichym świstem wypuścił powietrze z płuc. Słyszając to, Geoffrey obejrzał się. Zrobił to na tyle szybko, że udało mu się dostrzec błysk ognia w jasnych oczach brata.

- Dobry Boże - powiedział Stu. - To chyba nasza droga, mała Emma. Nie do wiary, jak urosła!

- Ona jest moja! - wypalił Geoffrey, siłą protestu zaskakując samego siebie, po czym natychmiast się zarumienił.

Stu niechętnie oderwał wzrok od stojącej na werandzie dziewczyny i unosząc jasną brew, spojrzął na brata.

- Aha. A czy ona o tym wie?

- Stu, niech cię jasna cholera... Nie możesz przez tyle lat szwendać się po świecie, a po powrocie oczekiwać, że... -

Geoffrey zacisnął zęby tak mocno, że zaboląły go zuchwy.

Stu wybuchnął śmiechem.

- Niczego nie oczekuję, braciszku. To mój jedyny plus. Geoffrey nie zdołał powstrzymać cichego śmiechu.

- Boże, ależ z ciebie szalapat. Na dodatek masz śmiałość przyznawać się do tego.

- W porządku, to znaczy, że mam dwa plusy.

Bracia uśmiechnęli się. Potem, zupełnie jakby działali w porozumieniu, ich spojrzenia znów powędrowały do stojącej na werandzie dziewczyny. Promieniowała młodością i energią. Uroda Emmy była zjawiskiem ogromnie sugestywnym, zupełnie jakby została wzięta prosto z marzeń mężczyzn. Geoffrey i Stu znajdowali się zbyt daleko, by dostrzec, że spod jej czarnego jedwabnego cylindra wysuwają się ciemne, lśniące włosy. Że biały fularowy krawat, który zawiązała wokół szyi, aż razi bielą i jest nieprawdopodobnie długi. Że wpięty do butonierki fiołek drży pod wpływem silnych emocji przeżywanych przez dziewczynę - strachu lub podekscytowania.

Znajdowali się za daleko, by zauważyć, że jej oczy właściwie nie są szare, zielone ani niebieskie, mają natomiast kolor promiennego, fosforyzującego i głębokiego morza, oświetlonego przez wschodzące słońce. Tylko Geoffrey, dzięki miłości do niej, wiedział, że w tych oczach można dostrzec nieprawdopodobną tęsknotę. I że kiedy już się w nie spojrzy, nie sposób oderwać od nich wzroku.

II

Najpierw poczuła jego ostry, jakby nieco stęchły zapach.

Potem go zobaczyła - czał się na zacienionym kamiennym murze obrośniętym bujną winoroślą. Zamarł w bezruchu, zupełnie jakby jej widok go zahipnotyzował.

Jego rude futerko najwyraźniej nosiło ślady linienia, miejscami widać było jaśniejsze plamy. Na pysku miał krew jakiejś ofiary. Patrzył na Emmę lśnącymi czarnymi oczami, zupełnie jakby błagał ją, by go nie wydała.

Konie i jeźdźcy rozciągnęli się wzdłuż skraju lasu, czekając, aż ogary wytropią ukrytego lisa i wypłoszą go z kryjówki. Emma skierowała swą klacz w miejsce, gdzie kamienny mur oddzielał brzezinę od cebulowych pól farmerów, którzy z ogromnym trudem usiłowali zapewnić sobie życie, uprawiając słone moczary.

Lis ostrożnie wychylił się z cienia, trąc brzuchem po ostrych kamieniach muru. Potem ponownie zamarł w bezruchu, a wówczas Emma zdała sobie sprawę, że ona i lis wcale nie są sami. Między smukłymi pniami szarych brzoź widać było siedzącego na koniu Irlandczyka. Przyszło jej na myśl, że również i on musi widzieć lisa, a ponieważ mężczyzna ten bądź co bądź pełnił funkcję pomocnika łowczego, spodziewała się, że lada chwila wykona swój obowiązek - stanie w strzemionach i przywoła psy. On jednak ani drgnął, zupełnie jakby próbował dać lisowi szansę ucieczki.

Patrzyli na siebie, a lis spoglądał na nich. Spojrzenia tworzyły jakąś świetlistą, elektryzującą płataninę, jakby błyskawica oplotła całą trójkę gęstą i mocną siecią.

Pierwszy poruszył się lis. Odwrócił się i zaczął biec po murze, a jego długi, piękny ogon pofrunął w ślad za nim. Lecz przy każdym kroku gruczoły znajdujące się na poduszczykach jego łap zostawiały ślad, po którym będą mogły pójść ogary.

Chociaż lis już dawno zniknął, Emma i nieznajomy nie wykonywali żadnego ruchu, nadal uparcie wpatrując się w siebie. Po upływie wieczności, a może zaledwie krótkiej chwili, ogary zaczęły ujadać, oznajmiając, że złapały trop. Emma usłyszała, że jej kuzyn radośnie krzyknął: „Hejże, hola”, a potem trzykrotnie zadał w róg.

Ogary ruszyły za lisem.

Klacz Emmy pokonała mur, wysuwając głowę do przodu, wzbijając się w górę, fruując w powietrzu i elegancko lądując na ziemi. Galopem przemierzyła zarośnięte trawą pole, nie tyle pędząc w pogoni za lisem, co po prostu biegnąc przed siebie.

Wiatr szumiał Emmie w uszach. Czowała, jak pod jej nogami mocny grzbiet klaczy wygina się i prostuje, wygina się i prostuje. Niebo, ziemia i drzewa pędziły na spotkanie, pokonując przestrzeń i czas.

Usłyszała za plecami krzyk i dudnienie końskich kopyt. Doganiał ją jakiś jeździec. Była pewna, że to on, dlatego ponagliła klacz, by biegła szybciej, jeszcze szybciej. Teraz Emma nie ścigała już zwierzyny, lecz sama uciekała, a jej podniecenie wzrosło, zabarwiając się strachem.

Przesadziła szeroki żywoplot, za którym łąka gwałtownie opadała w dół. Usłyszała okrzyk zaskoczenia i kątem oka dostrzegła upadającego konia. Jednak był to czystej krwi gniadosz, a nie kasztanek. A zatem to właśnie gniadosz musiał pędzić za nią.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Stu Alcotta pomagającego wstać niefortunnemu jeźdźcowi. Zwolniła krok swej klaczy do spokojnego klusa, a potem jechała stępą. Czowała nogami, że brzuch klaczy pracuje jak miech, a wokół jej nozdrzy widać było białe obłoczki pary. Powietrze przestało pędzić, cały świat zamarł w bezruchu.

Znajdowała się na otwartej przestrzeni, w miejscu gdzie wiklina i astry otaczały słony staw. Nad jego brzegiem stał opuszczony młyn. Z biegiem lat skrzydła wiatraka popadły w ruinę i obecnie stanowiły jedynie urozmaicenie dla wzroku wśród pomarszczonego przez wiatr trzęsawiska, które pachniało wilgotnym torfem.

Nieopodal młyna znajdował się stary cmentarz. Przez zawalony dach krypty wyrastała samotna sosna. Nie było w pobliżu żadnego domu. Wokół królowały wysokie trawy, mokradła i duchy Indian.

Chmury rozsunęły się i na ziemię padły promienie słońca. Emma odchyliła do tyłu głowę, pragnąc poczuć ich ciepło. Dotychczas ziemia sprawiała wrażenie, jakby zima objęła ją w wieczyste posiadanie, teraz jednak czuć było pierwszy oddech wiosny. Emmie ta pora roku kojarzyła się z pewnym rozczarowaniem. Zupełnie jakby dziewczyna spodziewała się, że wraz z nastaniem

wiosny zmianie ulegnie również jej życie, tymczasem nic takiego się nie działo.

Usłyszawszy trzask złamanej gałęzi, Emma przestraszyła się i rozejrzała dookoła. Na otwartą przestrzeń wbiegł gniadosz, na którego grzbiecie siedział zabłocony jeździec.

Czekając, aż do niej podjedzie, poczuła oniesmielenie, a równocześnie dziwną radość życia. Kiedy znalazł się już blisko, ze znajdującej się przy siodle kieszeni wyjęła białą lnianą chusteczkę i wychyliła się, by zetrzeć błoto z jego twarzy. Przy okazji pozwoliła sobie na odrobinę złośliwości.

- Słyszałam o rzucaniu przez płot serca - powiedziała - ale nie głowy.

Geoffrey Alcott roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Jeździsz, Emmo, bardzo ryzykownie. Pewnego dnia skreśisz sobie kark. Albo ja to zrobię, próbując dotrzymać ci kroku.

Odsunęła się od niego i wbiła wzrok w trzymaną w zaciśniętej dłoni chusteczkę. Co prawda powiedział te słowa ze śmiechem, ale Emma usłyszała w jego głosie wyraźną naganą. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna jeździć w taki sposób.

Usłyszała dobiegające z głębi lasu chaotyczne ujadanie ogarów. Róg zabrzmiał dwukrotnie, co oznaczało, że psy zgubiły trop. Ucieszyła się, ponieważ tym razem chciała, żeby lisowi udało się uciec.

- Emmo...

Wciąż, zakłopotana, spoglądała na własne dłonie, mimo to dołożyła wszelkich starań, by jej głos zabrzmiał lekko, jakby próbowała flirtować. Chociaż nie była w tym dobra.

- Ojej. Teraz zaczniesz mnie besztać, bo dla żartu pokonałam kilka płotów zamiast pędzić za ogarami.

- Wyjdź za mnie, Emmo.

Miała wrażenie, że serce zamarło jej w piersiach. A kiedy ponownie zaczęło bić, jego uderzenia przypominały niespokojne zrywy. Od wielu miesięcy czekała na te słowa, a gdy wreszcie padły, nie bardzo wiedziała, co począć. Zaryzykowała i spojrzała na Geoffreya.

Jego oczy jasnoszarym kolorem przypominały zamarznęty staw, a jasnobrązowe włosy herbatę, rozświetloną promieniami słońca. Wszyscy uważali go za przystojnego mężczyznę. Emma

znała go przez całe życie, nie miała jednak bladego pojęcia, czy go kocha, czy nie.

- Właściwie nie miałem zamiaru składać ci tej propozycji tak znienacka - powiedział.

- Chcesz ją cofnąć?

- Nie!

Uśmiechnął się żałośnie. Kiedy się uśmiechał, nie był już bardzo przystojny, ponieważ miał dość długie, odrobinę nierówne zęby. Mimo to Emma bardzo lubiła jego uśmiech. Było w nim coś takiego, co sprawiało, że jej serce wypełniało dziwne ciepło, jakby obydwójce cieszyli się czymś niezwykle cennym.

- Jeśli będę musiał, jestem gotów wykrzyczeć to nawet z dachu - powiedział. - Chociaż wolałbym, żeby cały świat nie usłyszał twojej odmowy... - dodał skromnie.

W rzeczywistości wcale nie spodziewał się kosza; Emma odgadła to ze sposobu, w jaki na nią patrzył. W jego spojrzeniu widać było zaborczość, niecierpliwość i coś jeszcze. Coś dziwnego i potężnego, przypominającego głód, a to przerażało ją i podniecało zarazem.

Była ciekawa, czy Geoffrey powie, że ją kocha. Prawdopodobnie istniała zasada, ściśle przestrzegana przez całe środowisko, która określała, kiedy po raz pierwszy można wyznać miłość. Możliwe, że podczas nocy poślubnej wolno mu będzie wyrazić szczere oddanie. Miała taką nadzieję, ponieważ często odnosiła wrażenie, że w świecie, w którym żyła, w rok czy dwa po zawarciu ślubu raczej trudno już było mówić o oddaniu.

- Emmo... - powiedział ponagłajaco.

Spuściła oczy, czuła jednak na sobie jego wzrok, spoczywający przede wszystkim na jej ustach, jakby Geoffrey usiłował wyczytać z nich odpowiedź. Starszy z braci Alcottów znany był z tego, że brał to, czego pragnął, a tym razem najwyraźniej pragnął jej.

- Wiem, że powinienem najpierw uzyskać zgodę twojego ojca, dopiero wówczas wszystko byłoby jak należy, lecz biorąc pod uwagę, że go tutaj nie ma... Poza tym znamy się przecież od dziecka, a ty jesteś nowoczesną dwudziestodwuletnią dziewczyną, a na dodatek mamy rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty. Dlatego też przyszło mi na myśl, że...

Emma pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Prawdę mówiąc,

Geoffrey Alcott zaczynał pleść, co mu ślina na język przyniosła. Czyżby naprawdę uważał ją za nowoczesną dziewczynę? Rzeczywiście miała dwadzieścia dwa lata i właściwie można było uznać ją za starą pannę. Mama z pewnością zadrżałaby, gdyby usłyszała jego słowa.

- Emmo, trzymasz mnie w niepewności - powiedział, lecz roześmiał się, by wiedziała, że to żarty. Geoffrey nigdy nie pozwalał sobie na niepewność.

Mimo to, kiedy wyciągnął rękę i kciukiem dotknął jej warg, Emmie zabrakło w piersiach tchu, tak samo jak działo się przy przeskakiwaniu przez płoty. Może naprawdę go kocha?

- Tak - powiedziała, zaskoczona dziwnym brzmieniem własnego głosu, zupełnie jakby lada chwila miał się załamać.

-Wyjdę za ciebie, Geoffreyu.

W końcu spojrzała na niego i uśmiechnęła się, czując się szczęśliwa, choć onieśmielona. Przyszło jej na myśl, że może Geoffrey ją pocałuje, i czekała na to, wciąż mając kłopot z odzyskaniem tchu, dlatego drgnęła, kiedy ujął ją za rękę.

Niespiesznie rozpiął trzy malutkie guziczki zdobiące jej rękawiczkę do konnej jazdy. Potem uniósł dłoń Emmy do ust i przycisnął wargi do wewnętrznej strony nadgarstka, w miejscu, gdzie tuż pod skórą szybko i mocno pulsowały niebieskawe żyły.

Lis wdrapał się na rozłupany przez piorun pień cedru. Zwierzę znajdowało się nad ziemią, poza zasięgiem psów, była to jednak pułapka. Ogary warczały i podskakiwały, a ich obnażone kły chwytwały powietrze. Tego dnia nie dano im nic do jedzenia, dlatego ich ujadanie brzmiało niezwykle brutalnie.

- Niech zajmą się nim psy! - krzyknął Aloysius Carter do pomocnika. - Powiedziałem, żeby zajęły się nim psy, ty cholerna, brudna, unurzana w błocie irlandzka kreaturo!

Emma widziała jednak, że Irlandczyk wcale nie ma zamiaru wykonać polecenia. Strzelając z bicia nad głową, wjechał w środek sfory, próbując rozpędzić ogary i odegnąć je od powalonego drzewa. Psy, chociaż bardzo głodne i podekscytowane, słuchały go - przynajmniej do chwili, kiedy łapy lisa poślizgnęły się na wilgotnej od mgły korze gnijącego pnia.

Na ułamek sekundy zwierzę zawisło w powietrzu, a potem wpadło między dwadzieścia warczących, kłapiących pysków.

Kiedy szczęki pierwszego napastnika zacisnęły się na jego gardle, lis wydał przenikliwy krzyk. Przez chwilę widać było jedynie miotający się biały czubek jego kity, a potem wszystko przesłoniły psy.

Róg zagrał długą, żalospną nutę, oznajmiając śmierć zwierzyny. Emma odwróciła wzrok w momencie, kiedy lis upadł, lecz wciąż słyszała swego kuzyna Aloysiusa, podjudzającego ogary:

- Bierzcie go, psiaki! Zagryźcie go!

Ona i Geoffrey siedzieli obok siebie na sapiących koniach. Geoffrey obserwował, jak ginie lis, mimo to Emma nie była w stanie wyczytać z jego twarzy żadnych uczuć.

- Geoffrey? Czy nie wolałbyś, żeby lis uciekł? Spojrzał na nią, jakby przemówiła po chińsku.

- Co takiego?

- Chodzi mi o lisa. Chciałam, żeby udało mu się uciec. Na jego twarzy pojawiła się czułość. Pochylił się i poklepał Emmę po bufiastym rękawie.

- Moje kochane biedactwo - powiedział. - Masz takie miękkie serduszko.

Emma poczuła, że szczypią ją oczy, jakby lada chwila miała się rozplakać. Odsunęła się, czując nagle, że dotyk Geoffreya jej przeszkadza, chociaż nie wiedziała dlaczego. W końcu był w takim samym stopniu odpowiedzialny za śmierć lisa jak ona.

Geoffrey dostrzegł brata i przywołał go.

- Stu! Panna Tremayne właśnie wyświadczyła mi zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną.

Stu wybuchnął śmiechem.

- Podczas polowania na lisa? Dobry Boże, tylko nie to, Geoff! Co za spontaniczność! Nie przypuszczałem, że stać cię na coś takiego.

Bardzo starała się nie patrzeć na Irlandczyka, lecz teraz to on ją obserwował. Czowała jego wzrok tak samo wyraźnie jak mocny puls w zagłębieniu szyi.

- Kim jest ten mężczyzna? - spytała.

- Kto taki? - Geoffrey odwrócił się w siodle. - Mówisz o nim? O pomocniku łowczego? - dopytywał się, jakby nie

mógł uwierzyć, że dostrzegła służącego. Ci ludzie zazwyczaj byli niewidzialni; nie mieli nawet imion. Próbował zmusić tego człowieka do opuszczenia wzroku, jednak Irlandczyk nie poddawał się. Patrzył prosto na Emmę.

- Najwidoczniej - powiedział Geoffrey, wykrzywiając pogardliwie usta - to stajenny, który postanowił wykorzystać ten dzień, by przejść samego siebie. Porozmawiam z nim. Nie ma prawa patrzeć na ciebie.

To absurd - pomyślała Emma. Człowiek ma prawo patrzeć tam, gdzie chce. Co więcej, właściwie to ona patrzyła na niego. Mimo to nie odezwała się, ponieważ miała nadzieję, że Geoffrey do niego przemówi. Chciała, żeby... Właściwie nie była pewna, czego chce. Żeby go tu nie było i żeby na nią nie patrzył, tak przynajmniej jej się wydawało.

W tym momencie podjechał Stu Alcott. Nie zważając na swe eleganckie rękawiczki, trzymał w ręce ogon lisa, a właściwie to, co z niego zostało - wilgotny, zmierzwiony, zakrwawiony kawałek rudego futerka.

- Piękność dnia zasługuje na tę kitę, prawda? - oznajmił na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli, a jego uśmiech był nieco złośliwy.

Geoffrey uśmiechnął się z dumą.

- Emma zasługuje na wszystkie skarby świata.

- Tymczasem dostaje jedynie ciebie - dodał Stu.

Ale Geoffrey tylko się roześmiał i wziął kitę z wyciągniętej ręki brata.

- Nie chcę jej, Geoffrey - powiedziała.

Mimo to on już przyczepiał zakrwawiony ogon lisa do łąku klaczy Emmy Tremayne.

Przed Hope Farm czekała na nich jakaś kobieta z martwym dzieckiem na rękach.

Przy bramie od ponad stu lat stała jakby na warcie gigantyczna szczęka wieloryba, ustawiona przez jednego z pierwszych Tremayne'ów - kapitana statku. Kość pod wpływem warunków atmosferycznych nabrała jasnoszarego koloru, przywodzącego na myśl drewno wyrzucone przez morze, a stojąca przed nią kobieta sprawiała wrażenie płonącego krzewu. Wokół jej twarzy wiła się masa długich, ognistoczerwonych włosów, a całą syl-

wetkę otulał pomarańczowy płaszcz, który wyglądał tak, jakby został wyjęty z kosza na śmieci. Był wyswiechtany, postrzępiony i dużo za duży.

Kobieta była wątła i niska, nic więc dziwnego, że ugięła się pod ciężarem, który trzymała na rękach. Nikt nie wątpił, że dziecko nie żyje, ponieważ było straszliwie okaleczone. Jego ramię zostało wyrwane ze stawu, a kość barkowa lśniła bielą na tle krwawiącego ciała. Małeńka główka w miejscu, gdzie powinny znajdować się włosy, była otwarta i zakrwawiona.

Ponure, pełne udręki spojrzenie kobiety przesunęło się od jednego z braci Alcottów do drugiego.

- Który z was, świetni panowie, jest właścicielem fabryki przy Thames Street?

- Do diabła, niech pani nie patrzy na mnie - powiedział Stu z południowym akcentem, przerywając ciszę, która zapadła po słowach kobiety. Kciukiem wskazał na brata. - Ja jedynie wydaję pieniądze. To on je robi.

Kilku mężczyzn roześmiało się. Lecz ten wybuch wesołości urwał się, gdy kobieta zrobiła w stronę rozbawionego towarzystwa chwiejny krok.

- Mordercy! - krzyknęła. - Wszyscy jesteście podłymi mordercami! - Jej wzrok z powrotem skierował się na Geoffreya Alcotta. - Przyszłam jednak przede wszystkim po to, by zobaczyć się z panem.

Geoffrey przybladł, lecz uprzejmie pochylił głowę, jakby znajdował się w salonie i właśnie komuś go przedstawiono.

- Do pani usług, madam.

Próbowała podnieść wyżej ciało chłopca, jakby chciała wręczyć Geoffreycowi prezent. Przez moment wydawało się, że upadnie do tyłu, uginając się pod ciężarem.

Z jej ciemnych oczu płynęły strumienie łez, lecz słowa stały się łagodne i melodyjne, jakby nucila kołysankę.

- Wpadł w jedną z pańskich prząsnic. Pędząc ze szpulami, poślizgnął się i wpadł prosto do prząsownicy... A był z niego taki dobry, mały chłopczyk. Przyszło mi na myśl, że może, zanim go pochowamy, będzie pan chciał zobaczyć, co zrobiła ta pańska piekielna maszyna.

Emma nie mogła patrzeć na zmarłe dziecko, ale nie była

również w stanie oderwać od niego wzroku. Jej spojrzenie przylgnęło do maleńkiej, bosej, czarnej od brudu i smaru stopki.

- Prząśnica wyrwała mu ramię i pozbawiła jego główkę ślicznych złocistych loków. Oskalpowała go, zupełnie jak Indianin.

Geoffrey chrząknął.

- Szczerze ubolewam z powodu poniesionej przez panią straty, madam - powiedział, a Emma zauważyła, że jego głos przybrał łagodny, uspokajający ton, którego Geoffrey często używał w stosunku do niej. - Muszę jednak przypomnieć, że wysyłając syna do fabryki, złożyła pani podpis na dokumencie. Tym samym zobowiązała się pani, że nie będzie pani zgłaszać żadnych roszczeń w razie szkód lub ran będących wynikiem niedoświadczenia i nieostrożności dziecka.

Z gardła kobiety wyrwał się szloch.

- **Aaugh**, mówi pan „nieostrożność”. Czy to jego nieostrożność sprawiła, że bosa stopa poślizgnęła się na podłodze, której z pewnością nie dotknęła miotła ani ścierka, odkąd został pan właścicielem fabryki? Czy nieostrożnością było to, że przez wiele godzin tam i z powrotem chłopiec ciągnął pańskie szpule, nie zaznając ani chwili odpoczynku i nie mając nawet na nią nadziei, aż jego biedne nożyny tak się zmęczyły, że już dłużej nie mogły go nosić? Może bezmyślnością z jego strony było to, że przez całe swoje życie harował jak wół za marne grosze, a potem umarł tylko po to, by dzięki niemu opływający w dostatek ludzie należący do Śmietanki Towarzyskiej stali się jeszcze bogatsi? Ku przerażeniu Emmy wzrok kobiety nagle przesunął się na nią.

- **A mhuire**. Spójrzcie na tę piękną damę, siedzącą na wspaniałym koniu. Jej stój uszyty został z kosztownego materiału utkanego z takich nieszczęść jak śmierć biednych dzieci, ale ona w ogóle o to nie dba.

Oczy kobiety pełne były bólu. Pod jej surowym spojrzeniem Emma pochyliła głowę. Spojrzała w dół... i wówczas zauważyła, że na wypolerowany czubek jej wysokiego buta do konnej jazdy kapie krew z kikuta, który niegdyś był lisią kitą.

Reszta uczestników polowania, nie będąc w stanie zignorować obecności rudowłosej kobiety i przejechać obok niej, zbiła się w grupkę wokół bramy i szczęki wieloryba. Nie wiedzieli,

w jaki sposób zareagować na to niemiłe wydarzenie, które raptem zakłóciło dobry nastrój. Nikt nie odzywał się ani nie ruszał. Wszystko wskazywało na to, że czekają, aż kobieta odejdzie i zabierze ze sobą nieszczęsne zwłoki. Ich milcząca obojętność wcale nie zraziła kobiety; można było wręcz odnieść wrażenie, że jedynie dodaje jej sił. Dumnie uniosła głowę. W jej oczach lśniły łzy i wewnętrzny ogień.

- Miał na imię Padraic - powiedziała. - Może ktoś z was chciałby to wiedzieć.

Odwróciła się i wolnym krokiem zaczęła się oddalać. Zataczała się pod niesionym ciężarem, raz nawet się potknęła.

- Co za brak dobrych manier! - powiedział Aloysius Carter, kiedy zniknęła za zakrętem. Jego potężne cielsko zachwiało się w siodle, kiedy pochylił się, by wsunąć do skózanego futerału błyszczący mosiężny róg. - Jak można przynieść martwe dziecko na polowanie!

Stuart Alcott wybuchnął dzikim śmiechem.

- Rzeczywiście. Jedno ścierwo w zupełności by wystarczyło.

- Na litość boską, Stu! - powiedział Geoffrey.

Emma minęła klusem bramę i wjechała na dziedziniec. Wysunęła stopy ze strzemion i zeskoczyła z konia, nie czekając nawet, by, zgodnie ze zwyczajem, pomógł jej w tym jakiś mężczyzna. Było jej bardzo zimno. Musiała wejść do środka i jak najszybciej znaleźć się przy kominku.

Jedynie rygorystyczny, trwający przez całe życie trening powstrzymywał ją od przebiegnięcia przez dziedziniec.

Szła jednak tak szybko, że musiała unieść spódnicę swej amazonki znacznie powyżej kostek.

- Panno Tremayne...

Jej nazwisko powiedziane męskim, szorstkim, zachrypniętym głosem tak bardzo ją przestraszyło, że odwracając się gwałtownie, o mało nie upadła. Kiedy zobaczyła trzymany przez Irlandczyka lisi ogon, zabrakło jej tchu w piersi. Mężczyzna podsunął strzep futra, jakby dawał jej prezent, tak samo jak tamta kobieta wyciągała nieżyjące dziecko w kierunku Geoffreya.

Na twarzy pomocnika łowczego nie było widać żadnych uczuć. Jedynie jego oczy były tak samo zaskakująco zielone jak wówczas, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy. Przywykła do

odbitego w męskich oczach podziwu, ale tego, co dostrzegała w oczach Irlandczyka, nigdy wcześniej nie widziała. Nagle zrobiło jej się tak zimno, że aż zadrżała; musiała mocno zacisnąć zęby, by nie zaczęły dzwonić.

- Zapomniała pani swego trofeum - powiedział. W jego uśmiechu było coś szyderczego, a może w ogóle nie był to uśmiech. - I to po wszystkich trudach, które sobie pani zadała, by je zdobyć.

Potrząsnęła przecząco głową, a z jej ust wyrwał się cichy jęk. Miała zamiar poprosić Geoffreya, żeby wziął z powrotem tę wstrętą rzecz albo ją wyrzucił, ale nie zrobiła tego, ponieważ... ponieważ w świecie, w którym przyszło jej żyć, nie można było odmówić przyjęcia lisiej kity. To było nie do pomyślenia.

Mimo to, chociaż poprzednio głównie tchórzostwo sprawiło, że nie zdobyła się na odmowę przyjęcia trofeum, obecnie jeszcze większym tchórzostwem byłoby niewzięcie go od tego mężczyzny.

Wyjęła kitę z wyciągniętej w jej stronę ręki, starając się, by jej palce nie zetknęły się z palcami łowczego, po czym odwróciła się i powoli przeszła przez dziedziniec, kierując się w stronę domu.

Kiedy jednak znalazła się pod dachem, starannie ułożyła poszarpany lisi ogon na marmurowej półce znajdującego się w hallu wieszaka. Potem wyjęła chusteczkę i próbowała zetrzeć krew z ręcznie wykonanej kremowej rękawiczki, która przebyła długą drogę z Paryża, z Maison Worth. Lecz chociaż Emma włożyła w to sporo energii, jasnoczerwone plamy nie chciały zniknąć.

Tego samego dnia późnym wieczorem, wkładając rękawiczki do wyłożonego satyną pudełka, zaczęła się zastanawiać, jak to się stało, że ma na rękach krew małego irlandzkiego chłopca, zajmującego się z fabryce przenoszeniem szpul, chociaż ani przez chwilę nie znajdowała się w jego pobliżu.

III

Bethel Lane Tremayne zacisnęła wargi w cienką kreseczkę, przypominającą dziurkę od guzika. Szła szybko ścieżką prowadzącą do starej oranżerii, a z każdym uderzeniem obcasów o bruk ogarniała ją coraz większa złość.

To okropne, jak bardzo córka działa jej na nerwy. Jest tak... tak... Bethel nie potrafiła wymyślić na tyle dosadnego określenia, by zdołało oddać ciężar dźwiganego przez nią krzyża.

Bethel nie lubiła chodzić do starej oranżerii. Kiedy bliżej domu wybudowano oszkloną werandę, oranżeria wyszła z użytku. Wówczas to przejęła ją Emma, lecz Bethel bardzo niechętnie myślała o tym, co córka tam robi, korzystając z dłut, pobijaków i gruboziarnistego piaskowca. To było zajęcie niestosowne, wręcz haniebne, lecz wszelkie próby wytłumaczenia tego Emmie zawodziły.

Oczywiście, Bethel próbowała to zrobić. Zamykała dziewczynę w piwnicy ze szczurami i pajakami; pewnego razu nawet przywiązała ją do łóżka, żeby ją wychłostać. Niestety, żadna z kar nie poskutkowała. W wielu sprawach Emma była uległą i posłuszną córką. Zdarzało się jednak, że czasami do głosu dochodziła płynąca w jej żyłach krew Tremayne'ów. Stawała się wtedy szalona i nieujarzmiona, co przerażało Bethel.

Zatrzymała się i uderzyła dłonią w klatkę piersiową, ponieważ nagle zabrakło jej tchu. Czuła, że gorset wbija się jej głęboko w żebra. Miała wrażenie, że płucom rozpaczliwie brakuje powietrza. To wszystko przez Emmę, to właśnie przez nią musi pędzić, zamiast oszczędzać siły na przebrnięcie przez czekające ją niezwykle trudne dni, tygodnie i miesiące.

Najpierw należy uporać się z wizytami zaręczynowymi. Potem trzeba zorganizować bal na cześć narzeczonych, lecz to wydarzenie będzie niczym w porównaniu z okazałością i gorączką samego ślubu. Każda minuta nadchodzących dni spowoduje sporo napięcia, ponieważ z ogromną ostrożnością i uwagą trzeba będzie wystrzegać się wszelkich niestosowności i potknięć towarzyskich.

Bethel doszła do wniosku, że to wszystko spadnie na jej ramiona, ponieważ tylko ona stała obecnie na straży dobrego imienia rodziny Tremayne'ów, jej reputacji i kultywowanych przez nią tradycji.

Nim Bethel dotarła do wypaczonych drewnianych drzwi oranżerii, doprowadziła się do takiego stanu, że mocno szarpnęła zasuwę, łamiąc sobie paznokiec. Sapnęła, czując ból. Potem z jej ust wyrwało się jeszcze jedno sapnięcie, kiedy w brzuch

wbiła jej się końcówka jednego z fiszbinów. Po raz kolejny sapnęła, gdy zobaczyła wewnątrz starej oranżerii. Od dłuższego czasu nie rosły już tu drzewka pomarańczowe ani orchidee. Teraz można było odnieść wrażenie, że głównym lokatorem tego pomieszczenia jest olbrzymi dźwиг z bloczkami i kołowrotami. Bethel mgliście wyobrażała sobie, że służy on do przesuwania ciężkich bloków kamienia i marmuru, wypełniających jeden z kątów pomieszczenia.

Zamiast słodkiej woni egzotycznych kwiatów w powietrzu unosił się zapach wilgotnej gliny, pyłu i lutowanego metalu. Swego czasu było tu ciepło i wilgotno. Ale nie dzisiaj, tym bardziej że na dworze panowała szarówka, a chłód wdierał się do wnętrza przez pokryte szronem, popękane szybki lub wręcz puste miejsca po nich.

Tutaj właśnie, w bladym świetle, sączącym się przez przeszklone ściany, stała jej córka Emma.

Ze względu na panujący chłód dziewczyna była ciepło ubrana - miała na sobie stary szary sweter i poplamiony kitel, jaki zazwyczaj noszą malarze. Z napięciem wpatrywała się w ciężką, stojącą na czterech nogach platformę z obrotowym wierzchem. Na środku platformy znajdowała się bryła żółtej gliny, podtrzymywanej przez zardzewiały metalowy szkielet.

Nie mogła, jak inne dziewczęta, wybrać pasteli albo akwarel! - pomyślała Bethel. O nie! W świecie, w którym rola córek polega na trzymaniu się przez całe życie w cieniu, Emma wyobraziła sobie, że jest rzeźbiarką.

- Emmo! - zawołała ostro i głośno.

Ale równie dobrze mogłaby mówić do któregoś z kamieni. Cała uwaga dziewczyny skupiona była na kupce wilgotnej gliny, która w połowie uformowana była w coś, co zdaniem Bethel trochę przypominało człowieka, tyle że nie miało głowy.

Bethel próbowała dojść, co to właściwie ma być, kiedy jej córka sięgnęła ręką na stół zaśmiecony poplamionymi szmatami, wzięła szpatułkę i kilkakrotnie nią machnęła... Bethel nagle zdała sobie sprawę, że widzi nogę.

Nogę nagiego mężczyzny.

Krzyknęła, czując, że pierś przeszywa jej ostry ból. Połyskujące światelka tańczyły jak robaczki świętojańskie na skraju jej pola widzenia, a podłoga nagle zaczęła się kołysać. Wlewające

się przez szyby światło znikało, znikało, znikało, aż zapadła ciemność.

Otworzyła oczy, kiedy Emma kładła na jej czole moką szmatkę. Dziewczyna klęczała obok matki, a ona sama leżała na... na starym, brudnym szezlongu z zielonym pasiastym i przetartym obiciem.

Próbowała wstać, ale w tym momencie wszystko zawirowało jej przed oczami.

- Co...?

- Zemdląła mama. Pewnie Jewell zbyt mocno zasznurowała gorset.

- Nieprawda!

Odepchnęła pobrudzone żółtą gliną ręce córki, a jej wzrok z powrotem powędrował do nagiego mężczyzny. Choć był ukształtowany zaledwie w połowie i nie miał głowy, i tak nie było wątpliwości, co to jest, a raczej kto to jest. Był tak ewidentnie... męski.

Bethel zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na tę nieprzyzwoitość. Miała ochotę powiedzieć Emmie, żeby to okryła, ale nie była w stanie przyznać się, że dostrzegła, nad czym pracuje córka.

- Rozluźnię mamie sznurowadła - zaproponowała Emma. - Dyszy mama bardziej niż wyciągnięty na plażę wieloryb. Bethel znów odepchnęła rękę córki.

- Nie zrobisz tego, ponieważ wcale nie są zbyt mocno związane. Przynajmniej nie są związane mocniej, niż powinny. A ja wcale nie dyszę. Jak można mówić własnej matce tak niemiłe i niegodziwe rzeczy?!

Bethel słyszała w swym głosie charakterystyczny dla Georgii akcent, gęsty jak kwaśna śmietana. Zawsze stawał się o wiele wyraźniejszy, ilekroć była czymś mocno poruszona. Na dodatek obecnie miała niemiłe wrażenie, że robi scenę. A nie istniało nic bardziej prostackiego niż urządzanie scen.

Głęboko zaczerpnęła tchu, pragnąc się uspokoić, lecz w tym momencie gorset ponownie wbił się jej w boki.

Przybrała łagodny, nieszczęśliwy wyraz twarzy.

- Nie masz nawet pojęcia, przez jakie męczarnie muszę przechodzić, by pokazać się światu jak należy. Ty zawsze byłaś chuda jak kurczak nędzarza. Tymczasem ja bez gorsetu wyglą-

dałabym, jakbym połknęła melon, a twój ojciec nie znosi grubych kobiet. Nie zdajesz sobie sprawy, jak często mówił o tym, dlatego nigdy nie mogłam sobie pozwolić na przytycie. Potem jednak po kolei zaczęły pojawiać się na świecie dzieci i... Emma przysiadła na piętach i spojrzała na Bethel.

- Myli się mama, myśląc w taki sposób, i co więcej, sędzę, że doskonale mama o tym wie. Papa wcale nie zostawił nas dlatego, że urodziła mu mama dzieci i brzuch mamie nieco się zaokrąglił.

Bethel tak mocno uderzyła córkę w twarz, że głowa dziewczyny zachwiała się na długiej, smukłej szyi. Ale to Bethel wybuchnęła płaczem.

- Jak możesz tak mnie prowokować! - krzyknęła, choć nie istniało nic gorszego niż okazywanie złości. - Słowo daję, czasami jesteś dla mnie okropna. Wszystkie moje dzieci zawsze były dla mnie okropne!

Emma uniosła drżąca dłoń do policzka.

- Proszę, błagam, niech mama przestanie się okłamywać. Niech mama przestanie okłamywać również nas.

Przyczyną odejścia papy było to, co przydarzyło się Williemu, to... co wówczas zrobiliśmy.

Bethel zasłoniła rękami uszy.

- Nic nie mów, nic nie mów! Nie zniosę rozmowy o tamtej nocy. Wiesz, że nie zniosę! Nawet samo wymówienie przez ciebie jego imienia jest jak dźgnięcie nożem prosto w serce. Poza tym nie zrobiliśmy niczego złego. Niczego! To Willie, to Willie był wszystkiemu winien. Okrył się wstydem i zhańbił dobre imię rodziny. - Chwyciła córkę za ramię i mocno nią potrząsnęła. - I nie patrz na mnie w taki sposób, nie waż się tego robić. Myślisz, że go nie oplakuję, tymczasem ja to robię. Każdego wieczoru przed zaśnięciem wylewam łzy, myśląc o moim biednym, kochanym chłopcu i o poniesionej przez nas stracie.

Twarz Emmy była biała, z wyjątkiem purpurowej plamy na policzku.

- Ja również o nim myślę - powiedziała zduszonym szeptem. - O tym, jaką krzywdę wyrządziłyśmy mu tamtej nocy. Uważam, że sprawiliśmy mu ogromny zawód, i nie mogę tego znieść. Gdyby nie to, że śmierć wymaga większej odwagi niż dalsze życie, czasami wydaje mi się, że...

Nie dokończona pogroźka zawisła w powietrzu. Był w niej zarzut, oskarżenie i ponury sekret, znany tylko im obu. Bethel przyszło na myśl, że to najprawdopodobniej zdenerwowanie związane ze zbliżającym się ślubem wywołało wspomnienia tamtej okropnej nocy i wyciągnęło je na światło dzienne, ponieważ bardzo rzadko o tym mówiły, właściwie nie rozmawiały na ten temat od wielu lat.

I oto do czego doszło. Do czego prowadzi poruszanie spraw, które powinny zostać spowite milczeniem.

- Nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać - powiedziała.

Emma spojrzała na nią nieprzeniknionymi oczami.

- Dobrze, mamó.

W taki właśnie sposób postępowało się w ich świecie, i świadomość ta dodała Bethel otuchy. Tak powinno być. Należało ignorować rzeczy niemiłe i odwracać głowę od wszystkiego, co nieprzyjemne. Był to dobry sposób na życie - iść przed siebie, jakby nic się nie zdarzyło.

- Nigdy już nie wrócimy do tego tematu - powiedziała.

- Dobrze, mamó.

Bethel urządziła całe przedstawienie, by pokazać, że sprawdza godzinę na wiszącym u jej paska na łańcuszku zegarku.

- Boże, zmiłuj się nad nami! Spójrz, która godzina. Zaraz przyjmujemy gości, a ty wyglądasz jak dzikus. To nie przystoi, Emmo. Natychmiast wracaj do domu i przebierz się. Włóż beżową suknię wizytową.

Emma wstała. Bethel zauważyła, że klatka piersiowa dziewczyny faluje w rytm ciężkiego, niespokojnego oddechu.

- Dobrze, mamó - powiedziała, ale, zamiast wykonać polecenie, podeszła do ogromnego steatytowego zlewu i zaczęła pompować wodę.

- Natychmiast, Emmo.

Rączka pompy pisnęła, a po chwili do zlewu chlusnęła woda.

- Dobrze, mamó. Muszę tylko owinąć model wilgotną szmatą, żeby nie wysechł.

Wbrew woli Bethel jej wzrok prześlizgnął się po glinianym modelu. Nagi mężczyzna... Zadrżała. Absolutnie nie będzie tolerować tego, co się tu wyprawia. To nie przystoi.

Dziś wieczorem, kiedy córka uda się spać, ona przyjdzie tutaj

i jednym z pobijaków potłucze tę haniebną rzecz na tyle kawałków, że już nigdy nie uda się tego złożyć. Jej dorastaniu towarzyszył kwaśny zapach własnego potu. Działo się to w miejscu tak gorącym, że słońce nadawało niebu biały kolor. W królestwie czerwonego pyłu i żółtej bawełny, w dwuizbowej chacie z gnijącą werandą frontową.

Zawierucha wojenna najpierw pozbawiła ich mężczyzn, a potem zabrała muła, którego używano do ciągnięcia pługa. To właśnie wówczas matka Bethel podsunęła jej pod nos spód lśniącej patery i powiedziała:

- Jesteś ładniejsza niż lipcowy poranek, kochanie, jesteś najładniejszą dziewczyną w całej Sparcie. Możesz zejść bardzo wysoko, Bethel Lane. Nawet na drugą stronę księżycy, jeśli tylko będziesz mądrze postępować.

Mazie sprzedała pług i jedną z pierwszych rzeczy, które kupiła za te pieniądze, było tanie wydanie książki Beadle'a ***Dobre maniery***. Doszła do wniosku, że wojna wszystko zmieni, przez co wielu ludzi stanie przed swą życiową szansą. Będzie ją miało nawet dziecko ubogiego farmera, uprawiającego bawełnę na niewielkim spłachetku ziemi, żyjącego w gnijącej ze starości chacie, która stoi na końcu tonącej w pyle drogi w zapomnianym zakątku Georgii. Zwłaszcza jeśli to dziecko ma twarz i ciało, które sprawia, że mężczyzna jest w stanie myśleć jedynie o własnym niepohamowanym pożądaniu.

Dlatego Mazie zaczęła przekazywać córce wiedzę, którą zdobyła, czytając książkę Beadle'a. Bethel nauczyła się mówić: „Proszę już nic więcej nie mówić” zamiast: „Zamknij swoją cholerną jadaczkę”. Opanowała sztukę zginania małego palca podczas picia herbaty, chociaż zawsze skarżyła się, że to powoduje skurcz. Przyzwyczaiała się również mocno zaciskać kolana, nawet podczas siedzenia w wygodce, i nie dopuszczać do tego, by się jej odbijało.

Nim dotarły do ostatniej strony książki Beadle'a, wojna dobiegła końca. Sparta poddała się, rezygnując ze swej sławnej południowej niepodległości. Do miasta przybył Jankes o nazwisku Jonathan Alcott.

Chodziły słuchy, że jest właścicielem ogromnej liczby fabryk znajdujących się gdzieś na dalekiej północy i przybył, by zachę-

cić ludzi do uprawy bawełny na zniszczonej przez wojnę ziemi. W celu zaprezentowania swej osoby oraz ambitnych planów postanowił wydać bal, na który zaproszono całą Spartę.

Panie Lane zaplanowały to wydarzenie jak kampanię wojenną. Mazie za resztę pieniędzy otrzymanych za pług kupiła w sklepie z używaną odzieżą białą brokatową suknię ślubną, którą przerobiła na kreację balową. Ze starego kapelusza odpięła pióra marabuta i ozdobiła nimi dekolt, a w tym czasie Bethel z miotłą w roli partnera godzinami ćwiczyła ukłony i kroki walca.

Przed balem Mazie wpięła we włosy córki dwie śnieżnobiałe gardenie.

- Boże, dziecinko, jesteś tak piękna, że aż boli mnie serce - powiedziała i w jej zmęczonych, wyblakłych oczach pojawiły się łzy, sprawiając, że przez chwilę również i ona wyglądała młodo i ładnie. - Możesz mieć u swych stóp każdego mężczyznę, zresztą sama się o tym przekonasz. Tylko nie zapominaj, co ci powiedziałam. Mocno zaciskaj kolana i nie pozwól sobie rozpiąć majtek, dopóki nie będziesz miała na palcu obrączki.

Bal odbył się we wspomniałym, starym hotelu Sparty, a Bethel pofrunęła nań przepełniona dumą i radością. Znalazła tam wszystko, o czym marzyła. Żyrandole wydzielaly ciepło i oślepiały blaskiem setki słońc. Kwartet smyczkowy grał melodie piękniejsze niż piosenki wyśpiewywane przez skowronka. Pokryte koronkowymi obrusami stoły uginały się pod ciężarem takiej ilości jedzenia, że Bethel dostawała zawrotów głowy od samego patrzenia.

Och, bal rzeczywiście był spełnieniem marzeń... Dopóki nie usłyszała szeptów:

- Czy jesteś w stanie uwierzyć, że ta bezczelna Bethel Lane pojawiła się tu w przerabianej sukience? A te pióra! Sama zobacz, wyglądają, jakby przed chwilą zostały wyskubane z ogona zmokłego kaczora.

- Oto do czego dochodzi, jeśli na taką uroczystość zaprasza się byle kogo. No, ale w końcu to tylko Jankes, trudno spodziewać się po nim wyczucia.

- Jeśli dopuszcza się, by takie nic jak Bethel Lane tanecznym krokiem przechodziło przez próg, należy się dziwić, że nie musimy się tu ocierać również o kolorowych.

- Boże, nawet Jankes ma na to za dużo zdrowego rozsądku.

Bethel siedziała samotnie na krześle pod ścianą, uśmiechając się, uśmiechając się i uśmiechając się, aż łzy, które przez cały czas przelykała, utknęły w gardle jak kula, a w jej oczach zalśniła rozpacz.

I wówczas właśnie zobaczyła swego księcia. Lub raczej to on zobaczył ją.

Od dziecka przyjaźnił się z Jonathanem Alcottem i towarzyszył mu podczas podróży do Georgii, chociaż, jak powiedział, robił to dla żartu. Znacznie później zrozumiała, że to współczucie i dobre serce kazały mu przejść przez salę i pochylić głowę nad jej ręką. Wówczas jednak myślała, że zrobił to ze względu na jej błękitne oczy, złociste loki i ładną twarz, której odbicie po raz pierwszy zobaczyła w denku niewielkiej patery.

Śmiała się, kokietowała go i za każdym razem, kiedy powiedział jej jakiś komplement, powtarzała „Co pan nie powie?” Pod koniec pierwszego tańca dowiedziała się, że w jego żyłach płynie krew bardziej niebieska niż atrament, że ma konta w banku i portfel wypchany trudnymi do pogardzenia jankeskimi dolarami.

I tak by się w nim zakochała, nawet gdyby nie miał tak wspaniałych powiązań towarzyskich i tylu pieniędzy, ponieważ był wysoki, smukły, miał złocistą, lekko opaloną skórę i kruczoczarne włosy. A kiedy jej dotykał, miała wrażenie, że wokół zamiera powietrze jak w upalny, bezwietrzny dzień tuż przed burzą. Było ciężkie, niebezpieczne i pełne obietnic.

Ale Mazie Lane dobrze uczyła córkę. Bethel była pewna swego, w związku z czym trzymała zaciśnięte kolana i nie pozwoliła rozpiąć sobie majtek, dopóki na jej palcu nie zalśniła obrączka.

Jej umiłowany miał zamiar zostać w Sparcie tylko trzy dni. Pod koniec drugiego tygodnia tak bardzo jej pragnął, że padł przed nią na kolana. Ale nie dała mu tego, o co tak bardzo prosił - dopóki nie uciekli z miasta, a po przekroczeniu granicy stanu nie obudzili sędziego pokoju, który oficjalnie ogłosił, że Bethel została panią Williamową Tremayne.

Takim oto sposobem wywodząca się ze Sparty Bethel Lane zamieszkała w pięknej, znajdującej się na północy rezydencji zwanej „Brzozami”, stojącej na Poppasquash Point w stanie Rhode Island i Providence Plantations. Została członkiem ro-

dziny znanej jako „dzicy i nikczemni” Tremayne'owie. Rodziny, która początki fortuny zbiła na korsarstwie oraz handlu niewolnikami i rumem. W związku z tym „cały świat” wierzył, że na rodzinie tej ciąży klątwa. Powiadano, że w każdym pokoleniu ofiarą jej pada przynajmniej jedna osoba.

Ponieważ serce Bethel w sekrecie należało do konfederatów, była serdecznie rozbawiona, kiedy odkryła, że dumna i niezmiernie wrażliwa na wszelkie pogłoski jankeska rodzina jej męża wzbogaciła się na handlu Murzynami. Poczuli się rozbawiona, tym bardziej że sami Lane'owie nigdy nie mieli żadnego niewolnika, a byli tak biedni, że wśród przedmiotów należących do ich skromnego dobytku nie mogli nawet wymienić pług, nie wspominając już o ciągnącym go mule. Natomiast pogłoski o starej klątwie wcale jej nie niepokoiły - tam, skąd pochodziła, nieszczęścia były tak samo powszechne jak pchły.

I nawet jeśli swego czasu członkowie tej rodziny byli nieco szaleni i lekkomyślni, a ich krew nadal miała w sobie różne domieszki, zdaniem Bethel Tremayne'owie poświęcili już dość czasu i wysiłku, by oczyścić swe imię i obecnie byli tak biali jak para nowych majtek. Przez dwieście lat z taką samą konsekwencją zabiegali o poważanie, jak dbali o kwiaty, które rosły w cieplarni i przez okrągły rok wypełniały ich dom. Bethel, w chwili kiedy została panią Tremayne, obiecała sobie, że nigdy ich nie zawiedzie. Co prawda Lane'owie posiadali bardzo niewiele, ale Bethel Lane Tremayne sprawi, że jej nowa rodzina będzie z niej dumna.

Z pewnością nigdy nawet jej się nie śniło, że kiedyś zamieszka w domu takim jak „Brzozy” - w rezydencji ze szczytami, wieżyczkami, biegnącymi dookoła werandami, z żelaznymi, koronkowymi bramami i kępami brzoź oraz zielonymi aksamitnymi trawnikami ciągnącymi się aż do zatoki. Przyjechała tu należącym do Williama eleganckim, nowym landem pełnym złocień, aksamitu i skóry, minęła masywną, żelazną bramę, a potem znalazła się na drodze białej i gładkiej jak świeża warstwa śniegu. Po jakimś czasie, ku własnemu zaskoczeniu, odkryła, że trakt wysypany został pokruszonymi muszelkami tysięcy maleńkich małży nazywanych *quahog*. Miała wrażenie, że przybywając w to miejsce na dalekiej północy, rzeczywiście znalazła się niemal po drugiej stronie księżyca.

Dla niej był to obcy świat żaglówek, wypieków z małży, jak też ludzi o pociągłych twarzach, długich nosach i niemelodyjnym sposobie mówienia. Świat, gdzie stare, bogate rodziny miały śmiałość określać się mianem Śmietanki Towarzyskiej i żyły w taki sposób, by to udowodnić. Świat kierujący się nadzwyczaj licznymi zasadami i tradycjami, o których ani słowem nie wspominała ucząca dobrych manier książka Beadle'a.

Tutaj, na północy, tylko William wiedział, że Bethel wyrosła w dwuizbowej chacie, stojącej na końcu zapomnianej przez wszystkich wiejskiej drogi. Mąż zabrał ją do pozłacanego świata. Świata, gdzie pozory i rytuały były wszystkim, a o prawdziwych rzeczach nigdy się nie mówiło, tym bardziej nie robiło się ich, wręcz nawet nie należało o nich myśleć.

By dostosować się do tutejszych wymogów, musiała niezwykle ciężko pracować. Przystąpiła do tego z bezwzględnością, która ją wyczerpywała, dlatego często w ciemności nocy drżała ze strachu, że wszyscy się dowiedzą, dowiedzą... Dzień po dniu, rok po roku szorowała zewnętrzne warstwy własnej duszy, jakby usiłowała zmyć ze skóry czerwony pył Georgii. Szorowała i szorowała, aż z Bethel Lane został jedynie gęsty jak syrop trzcinowy akcent i zamięłowanie do kawy z domieszką cykorii.

Nauczyła się, jak być osobą należącą do Śmietanki Towarzyskiej. Opanowała tę sztukę, obserwując, jak inni przechodzą przez swe starannie zaaranżowane życie. Nauczyła się, że nawet najmniejsze odstępstwo od tego, czego wszyscy oczekują, jest błyskawicznie karane.

Wiedziała, co przydarzyło się córce bankiera, którą przyłapano na całowaniu się z synem handlarza ryb pod jednym z pomostów Thames Street pewnego pamiętnego Czwartego Lipca. Słyszała, w jaki sposób ukarano młodą żonę, która pojawiła się na prywatnej plaży jachtklubu w stroju kąpielowym odsłaniającym zbyt dużo nagich łydek.

Widziała, co stało się z matroną, która straciła panowanie nad sobą i pewnego zimowego deszczowego popołudnia na środku High Street na oczach wszystkich wdała się w kłótnię z kochanką własnego męża.

Bethel dostrzegała, co się działo, jeśli ktoś odrzucał konwenanse i wywoływał skandal, była świadoma, w jaki sposób postępowano, gdy kogoś na tym przyłapano, i brała sobie te lekcje do serca. Pozłacany świat był bezwzględny dla tych, którzy mu

się przeciwstawiali. Kiedy weszło się już do tego świata, kiedy poddało się jego rygorom, bezwzględnie należało przestrzegać obowiązujących w nim zasad.

Inaczej przez całe życie było się człowiekiem bojkotowanym przez środowisko.

Mimo to czasami Bethel budziła się w środku nocy z twarzą mokrą od łez i z tęnym bólem w piersi. W ciemności przypominała sobie gorące, słoneczne dni, kiedy na bosaka brodziła w strumieniu mającym kolor herbaty; bez przerwy towarzyszył jej oleisty zapach ociekających w gorącym powietrzu kulek bawełny, a dłonie kochanej matki wplatały jej we włosy gardenie.

„Przyślę po ciebie, mamusiu” - nagryzmoła na kartce papieru zostawionej Mazie tej nocy, kiedy uciekła ze swoim Jankesem. *Przyślę po ciebie, mamusiu* - obiecała.

Lecz nigdy tego nie zrobiła.

IV

Bethel była zaskoczona, że właśnie dzisiaj odżywają w jej pamięci wspomnienia o matce. A może wcale nie powinna się temu dziwić, skoro jej głowa jest tak pełna planów dotyczących ślubu własnej córki? W końcu w życiu dziewczyny nie może zdarzyć się nic wspanialszego niż wyjście za mąż.

Na całe szczęście Emma, mimo wszystkich swoich dziwactw i tak typowej dla Tremayne'ów gwałtowności charakteru, miała na tyle zdrowego rozsądku, by zrobić świetną partię.

Geoffrey Alcott... Bethel mruknęła zadowolona. Geoffrey Alcott, z nowojorskich Alcottów. Chociaż rodzina mieszkała w Bristolu od ponad stu lat, nadal używano w stosunku do niej określenia „nowojorscy Alcottowie”, ponieważ właśnie stamtąd wywodzili się protoplaści rodu. To znaczy z Nowego Jorku. Mieszkańcy Bristolu mieli doskonałą pamięć i wcale nie byli skłonni do wybaczenia, na dodatek zawsze bardzo podejrzliwie traktowali wszelkich przybyszów.

Geoffrey Alcott był niezwykle męski, miał wytworne maniery i bardzo uprzejmie zachowywał się w stosunku do ludzi starszych. Był urodzonym dżentelmenem. Bogatym dżentelmenem.

No cóż, może jego oświadczyzny pozostawiały nieco do ży-

czenia - właściwie jak można wysuwać taką propozycję ni mniej, ni więcej, tylko podczas polowania na lisy? Bethel nie akceptowała takiego ułatwiania sobie życia; ilekroć słyszała o czymś podobnym, wpadała w złość, ponieważ nie była w stanie przewidzieć, do jakich innych, znacznie gorszych uchybień może to doprowadzić. Teraz musi dopilnować, by ślub nadrobił owo popełnione przez narzeczonego drobne wykroczenie przeciw etykietce i tradycji. - To będzie ślub stulecia - przyrzekła sobie, a jej słowa jak monotonnie wyśpiewywana modlitwa odbijały się echem w ogromnym, czarno-białym marmurowym foyer „Brzóz”.

Po opuszczeniu starej oranżerii pani Tremayne wróciła do domu głównym wejściem. Często to robiła, nawet jeśli wracała tylko z krótkiej przechadzki po ogrodzie - uwielbiała wchodzić do rezydencji przez masywne, kasetonowe, wykonane z hebanu drzwi, przez które wpuszczano gości. W ten sposób pełniej odczuwała wspaniałość „Brzóz”. Na dodatek mogła sobie przypomnieć, jak daleko zaszła i że musi zachować czujność, stojąc na straży dobrej sławy i fortuny znakomitego, starego rodu, do którego weszła dzięki małżeństwu.

Tym razem jednak w jej głowie nagle zaświtała myśl, pod wpływem której Bethel zamarła w bezruchu pośrodku ogromnego, rozbrzmiewającego echem, zwieńczonego kopułą i obrzeżonego marmurem hallu:

William przyjedzie do domu na ślub.

Wierzchem dłoni dotknęła rozpalonego policzka, a jej serce biło tak mocno, jakby miało zamiar wyrwać się z piersi. Och, teraz na pewno przyjedzie do domu. Musi przyjechać. Musi.

Napisze do niego - nie, nie, skłoni Emmę, by wystosowała list z błaganiem o przyjazd. Ojciec powinien być na ślubie córki, by oddać ją w ręce przyszłego męża.

A wówczas Bethel będzie miała szansę porozmawiać z nim i wytłumaczyć mu pewne rzeczy. Powie mu, jak bardzo się mylił, oskarżając ją o wydarzenia tamtej nocy. Wyjaśni, że zrobiła jedynie to, co należało zrobić, co było konieczne ze względu na dobro rodziny i ich wszystkich.

To, co powiedział przed odjazdem, było niegodziwe, przykre i niesprawiedliwe - nie miał prawa zarzucać jej, że jest osobą pozbawioną serca. Ona jedynie starała się być idealną i dystyn-

gowaną żoną, na jaką zasługiwał, poza tym zawsze bardzo kochała i jego, i dzieci, naprawdę. Tylko czasami pewne sprawy okazują się ważniejsze i trzeba przyznać im pierwszeństwo. Przede wszystkim liczy się rodzina jako całość, a nie jej poszczególni członkowie. W końcu jako Tremayne powinien doskonale to rozumieć.

Oskarżył ją, że jest pozbawioną litości egoistką, mającą obsesję na punkcie fatalaszków i świecidełek, ale bardzo się mylił. Ona jedynie wiedziała, co jest najważniejsze. Poza tym wciąż jest ładna jak niegdyś; w końcu ma zaledwie czterdzieści dwa lata. Na pewno uda jej się ponownie doprowadzić do tego, że w oczach męża pojawi się to dzikie pożądanie, które zauważyła w Sparcie tamtego wieczoru, kiedy odbywał się bal - musi jednak mieć na to szansę. Wystarczy jej krótka chwila spędzona z nim sam na sam.

Bethel uśmiechnęła się, odgarniając z czoła kosmyki włosów. Z uśmiechem na ustach wygładziła zdobiaczy jej suknię sztywny kołnierzyk z belgijskiej koronki. William przyjedzie do domu, a ona będzie miała szansę go odzyskać. Musi tylko wszystko starannie przemyśleć i opracować całą strategię. Zajmie się tym później, ponieważ już wkrótce przybędą popołudniowi goście. Nie może dopuścić do tego, by zastali ją w foyer, z włosami w nieładzie i zarumienioną twarzą. Na domiar złego jeszcze nie zajęła się salonem. To nie przystoi.

Statecznym krokiem pokonała całą szerokość hallu, minęła ciężkie, zielone adamaszkowe portiery i weszła do salonu.

Przez pierwszy tydzień pobytu w „Brzozach” nazywała to pomieszczenie „pokojem gościnnym”, dopóki nie poprawił jej jeden ze służących - był to niezwykle upokarzający moment. Salon wspaniale łączył egzotykę z tradycją. Po obu stronach bardzo starego, wykonanego z palisandru chińskiego kufra, stojącego na nóżkach stylizowanych na łapy smoka, znajdowały się dwa krzesła chippendale z plecionymi oparciami. Na pięknej, ułożonej z drewna tekowego podłodze, którą co tydzień przemywano liśćmi herbacianymi, leżał jedwabny dywan tkany przez tybetańskich mnichów.

Dwie ogromne złote misy z Indii zdobiły kominek z sieneńskiego marmuru. Każdego dnia w misach tych układano świeże róże, rosnące na małej, przeszklonej werandzie. Kiedy Bethel

postanowiła osobiście sprawdzić, czy kwiaty rzeczywiście są świeże, zauważyła pokojówkę, która przycinała knot w stojącej na fortepianie lampce wykonanej z onyksu i lapis-lazuli.

Chociaż Bethel nie krzyknęła, jej głos zabrzmiał bardzo ostro, a słowo przecięło powietrze jak strzała.

- Ejże!

Dziewczyna odwróciła się, jedną rękę przycisnęła do piersi i patrzyła zaokrąglonymi z przerażenia oczami.

- Co robisz w salonie o tej porze? - zapytała Bethel.

W odpowiednio prowadzonym domu służba w pewnych porach dnia nie opuszczała suterenu, by nie przypominać o swym istnieniu rodzinie ani gościom.

Dziewczyna dygnęła i pochyliła głowę w ukłonie.

- Wiedziałam, że ta lampka kopci, dlatego... - Wbiła wzrok w podłogę, a jej ręce bezradnie zaczęły skręcać wykrochmalony fartuszek. - Proszę mi wybaczyć, madam.

- To nie przystoi.

- Wiem, madam.

Dziewczyna zaczęła omijać Bethel szerokim łukiem, powoli kierując się w stronę drzwi, potem jednak zatrzymała się i rzuciła swej pani spłoszone spojrzenie.

- Trochę rozmawialiśmy w suterenu i wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi, że panienka Emma zaręczyła się z panem Alcottem.

Bethel z trudem powstrzymała uśmiech, zdając sobie sprawę, że w obecności służby nie powinno się okazywać żadnych emocji.

- Dziękuję, Biddy - powiedziała.

Wszystkie irlandzkie dziewczęta, które szorowały podłogi, ścierały kurze i sprzątały u Śmietanki Towarzyskiej, nazywano zawsze imieniem Biddy. Wiele lat temu, kiedy Bethel przyjechała do „Brzóz”, za wszelką cenę starała się zapamiętać imiona wszystkich służących, aż w końcu ktoś jej zwrócił uwagę, że taka poufałość jest po prostu niestosowna.

- On jest taki przystojny - ciągnęła dziewczyna. - Mam na myśli pana Alcotta, poza tym to prawdziwy dżentelmen.

- Rzeczywiście, jako kawaler uchodzi za najlepszą partię w Nowej Anglii. Nie tylko odziedziczył fortunę, która przekracza trzy miliony dolarów, lecz również...

Bethel urwała, tak zaszokowana własnymi słowami, że zadrżała. Rozmowa o pieniądzach, na dodatek z własną służącą, była czymś prostackim. Gdyby nagle strzeliło jej do głowy, by unieść spódnicę i pokazać reformy, nie byłaby bardziej przerażona swym postępowaniem niż w tej chwili.

Musnęła palcami koronkę okalającą szyję i poczuła, że się rumieni. Doszła do wniosku, że do takich właśnie rzeczy dochodzi, gdy człowiek choćby na moment przestanie być czujny; jeśli przestanie zachowywać pozory, mówi o tym, o czym nie powinien.

- To wszystko - powiedziała.

- Tak jest, madam - wymamrotała dziewczyna, kierując swe słowa do podłogi, po czym uciekła z pokoju.

Kątem oka Bethel dostrzegła ruch za spowitymi w brokat i aksamit oknami. Jej młodsza córka, Madeleine, siedziała w wózku inwalidzkim na werandzie, między rosnącymi w doniczkach paprociami i dwoma starymi wiklinowymi fotelami bujanymi. Za jej plecami stała Emma, trzymając ręce na uchwytach wózka.

Bethel zmarszczyła brwi. Teraz rzeczywiście przydałby się ktoś ze służby, by zabrać Madeleine i jej wózek z powrotem do domu na podwieczorek. Przywiezienie Madeleine może spowodować zamieszanie, którego na pewno w takie popołudnie nikt sobie nie życzy.

Natomiast jeśli chodzi o Emmę... Posłusznie włożyła beżową suknię wizytową, chociaż musiała się bardzo się spieszyć, skoro tak szybko zdołała znaleźć się na werandzie. A teraz, stojąc w wilgotnym powietrzu, niepotrzebnie rzykuje, że zaróżowią się jej policzki i poskręcają włosy.

W czasie, kiedy Bethel obserwowała córki, Emma odwróciła się nieco w stronę okna. Śmiała się, a w wilgotnym świetle szarego popołudnia jej twarz lekko opalizowała. Kości policzkowe dziewczyny przypominały skrzydła anioła, a wiatr poruszał delikatne kosmyki ciemnobrązowych włosów.

Bethel poczuła dziwne ukłucie w piersi. To nie w porządku - pomyślała, że na widok urody własnej córki matce brakuje tchu w piersiach.

W tym momencie niebo rozjaśniło się i rzuciło blask na szybę okienną, tak że Bethel zobaczyła w niej własne odbicie. Wy-

ciągnęła rękę, jakby chciała je zmazać, tak jak robi się to, poruszając spokojną wodę w stawie. To niesamowite, jak bardzo się postarzała.

Czy wciąż jestem ładna, mamusiu?

Jasnobłond włosy odrobinę wyblakły, a poza tym Bethel musiała używać niewielkiej podkładki, by wyglądały na gęstsze. Nosiła suknie z wysokimi koronkowymi stójkami, by ukryć zwiotczałą skórę szyi. Co prawda jej oczy nadal miały piękny kolor, lecz wokół nich pojawiło się mnóstwo zmarszczek, które po każdym uśmiechu potrzebowały coraz więcej czasu, by zniknąć. Widać je było nawet wówczas, kiedy Bethel już dawno przestała mieć powód do śmiechu.

W głębi duszy poczuła nagle pustkę. Gdzieś na pewno wciąż jeszcze istnieje ta dziewczyna, która wybrała się na bal z gardeniami we włosach i nadzieją w sercu.

Gdy podmuch wiatru uderzył o szybę, Bethel zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, promień słońca zniknął, dlatego nie widziała już własnego odbicia, jedynie Emmę. Była młoda i piękna, a życie stało przed nią otworem jak prosta, lśniąca i nie budząca wątpliwości droga.

Kiedy córka odchyliła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać, Bethel, chociaż nie słyszała tego dźwięku, miała dziwne wrażenie, że ominęło ją coś ogromnie ważnego.

- Musisz być niezmiernie zadowolona, Emmo. To cud, że z nadmiaru szczęścia nie pękasz jak przejrzała brzoskwinia i nie kapie z ciebie słodki sok.

Emma z uśmiechem spojrzała na ułożone na kształt muszli włosy siostry.

- To kiepskie porównanie - powiedziała, a na jej twarzy pojawiła się jeszcze większa radość, kiedy Maddie wybuchnęła śmiechem. Emma oparła osłoniętą koronkową rękawiczką dłoń na ramieniu siostry i delikatnie je ścisnęła. - Poza tym przestaję być szczęśliwa, gdy sobie przypomnę, że będę musiała opuścić ciebie i mamę.

Będę musiała opuścić dom.

Wzrok Emmy przesunął się po zniszczonych przez zimę trawnikach i pobiegł w stronę gęstego gaju, w którym rosły białe brzozy, coraz bardziej zbliżające się do domu. Niskie chmury

ocierały się o czubki drzew, a wiejący od morza słony wiatr smagał pozbawione liści gałęzie. Mimo to wiosna na pewno w końcu nadejdzie, tak jak dzieje się to każdego roku. Emma w głębi serca czuła już jej zapowiedź. Maddie poklepała dłoń siostry i obróciła się w swoim wózku. W jej oczach lśniły łzy, Emma nie potrafiła jednak powiedzieć, czy były one wynikiem wcześniejszego wybuchu śmiechu, czy może powstrzymanego płaczu. Równie dobrze mógł je spowodować ostry wiatr.

- Pleciesz banialuki - powiedziała Maddie. - Nie bądź głupia. Zaczniemy od tego, że ten ślub i tak nie odbędzie się wcześniej niż za dwa lata, a wyprowadzisz się jedynie do domu przy Hope Street. Będiesz mogła widywać nas każdego dnia, chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego miałabyś tego chcieć. Przecież spełnia się twoje największe marzenie. Wychodzisz za mąż za człowieka, którego kochasz.

Emma, nie chcąc spojrzeć siostrze w oczy, znów skierowała wzrok na brzozy. Oczywiście, kochała Geoffreya. Nie potrafiła sobie jednak przypomnieć, czy rzeczywiście spełnia się jej marzenie. Momentami wydawało jej się, że to małżeństwo wymarzył ktoś za nią.

- Ale w końcu jesteś taka ładna - ciągnęła Maddie. - Mogłabyś mieć każdego mężczyznę, którego wybrałoby twoje serce.

- Zastanów się, kto tu plecie banialuki - powiedziała Emma. Zawsze starała się udawać, że jej uroda nie istnieje, ponieważ z nią wiązała się siła, którą bardzo chciałyby sprawdzić, lecz brakowało jej na to odwagi. - Tak się składa, że pragnę Geoffreya, a nie pana Jakiegoś Tam.

- Niech Bóg broni, żebyś miała zostać panią Jakąś Tam - powiedziała Maddie, naśladowując południowy akcent matki, a Emma wybuchnęła śmiechem.

Maddie odwróciła się w wózku i opuściła dłonie na kolana. Westchnęła, chociaż wcale nie był to smutny dźwięk.

- Pamiętasz, jak swego czasu sprzeczałyśmy się, która z nas wyjdzie za Stu?

- Na pewno nigdy nie robiłam niczego takiego. Maddie roześmiała się zadowolona.

- Ależ robiłaś, naprawdę! Doskonale pamiętam.

- Och, tak bardzo się tego wstydzę. - Emma przycisnęła

wierzch dłoni do czoła i udawała, że jest bliska omdlenia. -Sądzę, że byłam wówczas młoda i bardziej imponował mi jego sposób bycia niż osobowość.

- Ależ Stu ma niezwykle bogatą osobowość - zaprotestowała Maddie. - Wszystkie jego kłopoty brały się stąd, że Geoffrey zawsze był takim idealnym synem. Biedny Stu. Czasami bardzo się o niego martwiłam. - Jej głos złagodniał, a w oczach pojawiła się dawna tęsknota. - Wciąż mi się to zdarza.

Emma przełknęła ślinę, ponieważ nagle coś utknęło jej w gardle. Dotychczas nie wspomniała siostrze, że Stuart Alcott wrócił do domu, ponieważ to mogło jedynie sprawić dziewczynie dodatkowy ból. I strach przed trudnym do uniknięcia momentem, kiedy Stu zobaczy, co przydarzyło się Maddie. Siedem lat temu, kiedy Stu wyjechał, Madeleine Tremayne była wesołym, dwunastoletnim dzieckiem z piegowatym nosem i szerokimi, skorymi do uśmiechu ustami, dzieckiem, które zawsze dokądś biegło, na przykład by popływać, zagrać w tenisa lub pojeździć na łyżwach. W niczym nie przypominało tej bladej, wątłej, kalekiej dziewczyny.

Emma podejrzewała, że jej siostra niemal od urodzenia kocha Stu. Dla Maddie małżeństwo z ekstrawaganckim i szalenie przystojnym drugim synem Alcotta prawdopodobnie zawsze było czymś więcej niż dziecięcym marzeniem. Chociaż nigdy o tym nie wspomniała.

Z drugiej jednak strony nigdy nie rozmawiały również o tym, czego się boją, co czują ani co najbardziej się dla nich liczy. Poza tym Maddie i tak nie ma szansy na wyjście za mąż. Ani za Stu Alcotta, ani żadnego innego mężczyznę. Nie wiadomo dlaczego nagle Emma przypomniała sobie jeden z tamtych odległych dni. Wszyscy byli wówczas jeszcze dziećmi i tak jak teraz siedzieli na tej samej południowej werandzie, ukryci wśród rosnących w doniczkach paproci. Obok starych bujanych foteli, które stały w tym samym miejscu już w czasach dzieciństwa ich ojca. Było lato, jeden z tych rzadkich dni, kiedy żar leje się z nieba i jest tak gorąco, że liście brzoź zwijają się i pękają z gorąca.

Emma przypomniała sobie, że była wówczas na bosaka. Pamiętała to cudowne uczucie - kiedy czuło się pod stopami gładkie, malowane deski podłogi werandy. Tego dnia mieli na sobie

kostiumy kąpielowe, ponieważ chwilę wcześniej pływali w zatoce. Od stóp do głów owinięci byli w ogromne czarne, wilgotne prześcieradła flanelowe, które przywierały do ich zroszonej potem skóry, powodując swędzenie. Byli jeszcze dziećmi - no cóż, przynajmniej ona i Madeleine. Bracia Alcottowie powoli zaczęli stawać się mężczyznami, ponieważ jeden miał siedemnaście, a drugi czternaście lat.

Ni stąd, ni zowąd nagle zaczęli rozmawiać o ślubach. Stu stwierdził, że ma zamiar ożenić się z tancerką wykonującą taniec brzucha. Maddie śmiała się jak szalona, zupełnie jakby nigdy w życiu nie słyszała niczego zabawniejszego, chociaż była wówczas zaledwie siedmioletnią dziewczynką i nie mogła wiedzieć, co to jest taniec brzucha.

Emma, nie chcąc zostać w tyle, powiedziała, że zamierza uciec do Paryża, by w pokoju na poddaszu żyć z noszącym beret mężczyzną, palić papierosy i uprawiać wolną miłość, chociaż, mając dziesięć lat, jedynie w przybliżeniu wiedziała, co to znaczy.

Wówczas właśnie Geoffrey powiedział:

- Ależ z ciebie zasmarkany bachor, Emmo Tremayne. Zostaniesz moją żoną.

Emma próbowała zdzielić go pięścią w nos za to, że nazwał ją zasmarkanym bachorem. On jednak uchylił się, a ona uderzyła w słupek werandy i tak rozcięła sobie rękę na rzeźbionym w drewnie ananasie, że trzeba było założyć trzy szwy.

I proszę, do czego doszło - właśnie zaręczyła się z Geoffreyem Alcottem. To było nieuniknione - pomyślała i poczuła w klatce piersiowej rozdzierający ból połączony ze strachem. Teraz nie ma już odwrotu. Niczego nie można było zmienić, nawet gdyby chciała.

Ponieważ brat nie żył, a siostra została kaleką, Emma była jedynym dzieckiem, które mogło zawrzeć ślub i wydając na świat potomków, kontynuować tradycję oraz ród. Gdyby tylko Willie... Nie ma prawa myśleć o Williem, nie wolno jej myśleć, że gdyby żył, ona miałaby wolną rękę.

Maddie od dłuższej chwili milczała. Emma zauważyła na jej policzkach ślad łez. Zrobiło się jej wstyd, że lekceważy spadające na nią błogosławieństwa, podczas gdy Maddie oplakuje rzeczy, których nigdy nie będzie miała.

Nagle ogarnęła Emmę ogromna chęć, by porozmawiać z siostrą o Williem. O tym, jak naprawdę umarł, i o pustce, którą zostawił.

Nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać.

Emma przypomniała sobie, że Willie również był z nimi w ten gorący letni dzień. Tak jak miał to w zwyczaju, siedział cicho w jednym ze starych wiklinowych foteli bujanych. Żartował z Maddie zanoszącej się śmiechem, gdy usłyszała o kobiecie wykonującej taniec brzucha, i to właśnie on owinął chusteczką krwawiącą rękę Emmy. Niewiele mówił tego dnia. Spośród całej trójki zawsze był najlepszy w ukrywaniu swych myśli.

Wiatr bez przerwy chłostał brzozy, a z szarego nieba w końcu lunął deszcz. Emma usłyszała dobiegający zza pleców cichy śmiech chłopca i skrzypienie starego wiklinowego fotela bujanego.

Kiedy jednak się odwróciła, nikt na nim nie siedział.

V

Jako pierwsze przyszły z wizytą siostry Carter.

Przez ogromną, ozdobną, kutą bramę żelazną wjechały do „Brzóz” starym jak świat landem, ciągniętym przez parę starannie dobranych kasztanków z czerwonymi, białymi i niebieskimi pióropuszcami.

Potem otoczone słodkim obłokiem pudru i perfum fiołkowych przeszły przez czarno-białe marmurowe foyer. Miały na sobie mnóstwo falbanek i pochodzące jeszcze sprzed wojny kapelusiki z piórami. Dla sióstr Carter, bogatych, niezamężnych córek piwnego barona z Providence, czas zatrzymał się mniej więcej trzydzieści lat temu.

Młodsza z nich, panna Liluth, była, jak uprzejmie określała to bristolska Śmietanka Towarzyska, osobką „nieco nerwową”, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że wcale nie urodziła się z tą przypadłością. Przed wielu laty człowiek, z którym była zaręczona, poległ nad Antietam*, a ona nigdy nie zdołała pogo-

*** Antietam - strumień w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. U jego ujścia do Potomacu 17 września 1862 roku rozegrała się krwawa bitwa. W jej wyniku dowodzona przez generała Lee armia konfederatów wycofała się za Potomac (przyp. tłum.).**

dzić się z jego śmiercią. Wyjechał wtorkowym popołudniowym pociągiem do Providence, a panna Liluth jakimś cudem była święcie przekonana, że ten sam pociąg, który go zabrał, pewnego dnia przywiezie go do domu. W związku z tym od zakończenia wojny każde wtorkowe popołudnie spędzała na dworcu przy Franklin Street, czekając na powrót narzeczonego.

- Słowo daję, chyba musiało mi się przyśnić, że nas dzisiaj odwiedzicie - powiedziała Bethel na widok obu sióstr siedzących w obitych brokatem fotelach. - Dziś rano kazałam szefowi kuchni upiec twoje ulubione dekorowane herbatniczki, Liluth. A dla ciebie, droga Annabelle, odrobinę tego wspaniałego, tak uwielbianego przez ciebie ciasta z kremem. Tylko nie próbuj mi powiedzieć, że nie będziesz go jadła. Ostatnio bardzo schudłaś i wyglądasz jak wrzeczono.

Emma skrzywiła się z powodu ukrytego w słowach matki okrucieństwa, ponieważ starsza z sióstr Carter była, jak uprzejmie określano to wśród osób należących do Śmietanki Towarzyskiej, „kobietą przy kości”. Zawsze trzymała się bardzo sztywno, miała małe, zezowate, przypominające nasiona dyni oczka i znamię, które szpeciło jej policzek jak mokra plamka.

Co więcej, wszyscy wiedzieli, że mając szesnaście lat, namiętnie, lecz bez wzajemności, zakochała się w Williamie Tre-maynie, a jej miłość przetrwała małżeństwo ukochanego z inną kobietą i urodziny trójki jego dzieci.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mogę sobie pozwolić nawet na najmniejszy kęs - powiedziała Bethel. - Muszę się przyznać, że jestem na diecie, która wycisnęłaby łyżę nawet z oczu chińskiego chłopca. Ale ilekroć czuję, że moja wola zaczyna słabnąć, natychmiast przypominam sobie, że jedną z pierwszych rzeczy, które dostrzegł u mnie William, była moja smukła sylwetka.

Machnięciem ręki wskazała na czekającego na srebrnym wózku biało-niebieski serwis z chińskiej porcelany.

- Emmo, kochanie, może nalejesz nam herbaty?

Emma zdawała sobie sprawę, że chodzi o to, by mogła pokazać obu paniom swój pierścionek zaręczynowy.

Teoretycznie młoda dama nie powinna chwalić się własnym szczęściem, mimo to miała prawo dyskretnie zwrócić na nie uwagę.

Siostry Carter musiały zauważyć pierścionek, ponieważ połyskiwał jak błękitny płomień pomimo słabego światła szarego

dnia. Dwanaście diamentów otaczało ogromny szafir, a Geoffrey wsunął to cacko na jej palec nie dalej jak wczoraj, po czym uniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Następnie dotknął wargami wewnętrznej części nadgarstka, a w końcu, w końcu musnął jej usta.

Była zaskoczona tym dziwnym, słodkim i natarczywym pocałunkiem. A kiedy Geoffrey się odsunął, miała wrażenie, że jej wargi są opuchnięte i bardzo gorące. Dotknęła ich językiem, by sprawdzić jego smak.

Pierścionek, zgodnie z planem, został powitany przez obie starsze panie okrzykami i wyrazami podziwu. Emma uśmiechnęła się nieśmiało do panny Liluth, wręczając jej filiżankę herbaty bez mleka, z dwiema kostkami cukru. Liluth Carter w młodości uważana była za piękność i właściwie nadal można było uznać, że odznacza się niezwykłą urodą. Miała jedwabiste, jasne, lśniące włosy i fiołkowe oczy.

Emma zastanawiała się, czy narzeczony panny Liluth zdążył ją pocałować, zanim ją opuścił, by zginąć na wojnie. Być może nawet w noc poprzedzającą jego wyjazd kochali się? Emma doszła do wniosku, że myśl o popełnieniu tak cudownego grzechu z mężczyzną, którego się kocha, jest nieprawdopodobnie ekscytująca - w jakiś sposób przypomina pływanie żaglówką tuż przed nawałnicą. I to, i to jest niebezpieczne. W tym pierwszym przypadku spore napięcie wiąże się z możliwością skandalu. Emma z prawdziwą przyjemnością wyobrażała sobie, że sama to robi, chociaż w głębi serca poważnie wątpiła, czy kiedykolwiek wykrzesałaby z siebie tyle odwagi. Natomiast zdecydowanie nie potrafiła sobie wyobrazić, by Geoffrey zaproponował jej coś takiego.

Choć Emma знаła pannę Liluth od wielu lat, nigdy nie rozmawiały o mężczyźnie, którego starsza pani kochała i w tak tragiczny sposób straciła. Mocne uczucie do dziś kazało Liluth Carter w każdy wtorek chodzić na stację kolejową i czekać na mężczyznę, który nigdy nie wróci. Mimo to nikt nigdy nie potwierdził na głos istnienia owego uczucia, zupełnie jakby w ogóle nie istniał.

Emma wiedziała, że nie pozna sekretów kryjących się w sercu panny Liluth. Najbliższą godzinę spędzą w swoim towarzystwie,

tak jak działo się to już setki razy, a rozmowa prawdopodobnie przez cały czas dotyczyć będzie pogody. Dama zawsze powinna mieć zapas tematów do rozmowy towarzyskiej, w znacznej większości dotyczących pogody. Emma często zastanawiała się, dlaczego ludzie należący do Śmietanki Towarzyskiej wykazują tak ogromne zainteresowanie żywiołami, skoro niezwykle rzadko przebywają na świeżym powietrzu i w związku z tym niewiele mają z nimi do czynienia. A przecież damy z Bristolu bardziej martwiły się o pogodę niż rybacy.

- Ostatnio mamy bardzo zmienną pogodę - powiedziała panna Annabelle Carter jak na zawołanie.

- Zawsze tak jest o tej porze roku - odrzekła Bethel. Jej głos mógł sugerować, że czuje się z tego powodu bardzo dotknięta, tak jakby pogoda robiła wszystko tylko w tym celu, by zdenerwować panią Tremayne. - Dobrze, że przynajmniej lato i zima to zdecydowane pory roku. Wiadomo, czego się spodziewać.

Emma uchwyciła spojrzenie siostry i obie uśmiechnęły się.

- Taka zmienna pogoda bardzo źle wpływa na moje nerwy - powiedziała. - A jak ty to znosisz, Maddie?

Na twarzy siostry znów pojawił się uśmiech.

- Tak samo. Dochodzę jednak do wniosku, że przy takiej pogodzie ludzie bardzo często zmieniają swe opinie.

- Kiedy Charles wyjeżdżał na wojnę, padał deszcz - dodała panna Liluth. - Dlatego zawsze w deszczowe dni jest mi bardzo smutno. Może jednak jutro zrobi się ładniej.

Bethel pochyliła się i poklepała Liluth po ramieniu.

- Jestem pewna, że tak, kochanie.

Emma cicho przełknęła ślinę, pragnąc pozbyć się pieczenia w gardle i powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Oto miała przed sobą kobietę czekającą na człowieka, który zginął niemal trzydzieści lat temu. I jej siostrę, osobę tydzień po tygodniu, rok po roku przychodzącą do domu swego ukochanego, który wiele lat temu poślubił inną kobietę. Całości dopełniała biedna, opuszczona przez tego samego mężczyznę matka, odmawiająca sobie każdego kęsa, dusząca się w gorsecie i postępująca w taki sposób, jakby jeszcze tego samego wieczoru miała zobaczyć męża po drugiej stronie stołu podczas wspólnie jedzonej kolacji.

Ale każda z nich postąpiłaby wbrew obowiązującym w ich

świecie zasadom, gdyby tylko wspomniała, co naprawdę leży jej na sercu i o czym w rzeczywistości myśli. Emma zastanawiała się, co by się stało, gdyby przynajmniej raz ktoś poruszył temat należący do tych, których normalnie się nie porusza.

- W zeszłym tygodniu w fabryce zginął chłopiec roznoszący szpule - powiedziała.

Jej słowa zabrzmiały w ciszy salonu jak odgłos kamieni wrzuconych w pustą studnię, z łoskotem i echem zapadających się w nicość.

W końcu panna Liluth głośno westchnęła i stuknęła filiżanką o spodek.

- O mój Boże.

Jej siostra pociągnęła nosem.

- Słyszałam, że jakaś Iriandka przyniosła go na ostatnie polowanie sezonu. Co za pomysł! Sama myśl o tym wytrąca mnie z równowagi.

- Tak samo jak pogoda.

Panna Liluth skubnęła koronkowy żabot zdobiący jej szyję.

- O mój Boże. O mój Boże.

Tym razem po ramieniu poklepała ją siostra.

- Daj spokój, Liluth, nie denerwuj się. Przecież mówiłam ci już o tym dzisiejszego ranka, pamiętasz? Trudno teraz liczyć na to, że ludzie z klasy niższej będą pamiętać, gdzie ich miejsce.

Bethel cmoknęła językiem i potrząsnęła głową.

- Świat rozpada się na naszych oczach.

- „Rozpada się”. Użyła mama bardzo trafnego sformułowania. - Emma usłyszała we własnym głosie histerię, zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest w stanie jej opanować. - Maszyna wyrwała temu dziecku rękę i oskalpowała je. Wykrwawiło się na śmierć.

Bethel zwróciła w stronę córki całkowicie pozbawioną wyrazu twarz, ale ściągnięte brwi sprawiły, że jej ciemnoniebieskie oczy stały się jeszcze ciemniejsze.

- Być może rzeczywiście tak było, kochanie, ale nikt nie mówi przy herbacie o tak niemiłych sprawach.

Bethel odwróciła się z uśmiechem do swoich gości i powiedziała:

- Myślę, że na pewno słyszałyście najnowszą wiadomość. Nie tak dawno młody Stuart Alcott ukradkiem wrócił do domu.

Najprawdopodobniej jest teraz nieco biedniejszy, a już z całą pewnością otacza go zła sława.

Maddie spojrzała na Emmę, po czym szybko odwróciła wzrok, a na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy. Najwyraźniej nie zdołała zapanować nad drżeniem rąk, ponieważ filiżanka stuknęła o spodek, a herbata rozlała się na okrywający nogi Maddie pled.

Bethel sięgnęła po srebrny dzwoneczek, który stał na stolyczku z herbatą, w tym jednak momencie pojawili się następni goście. Były to trzy należące do Śmietanki Towarzyskiej matrony, które głośnymi okrzykami zareagowały na widok szafirowego pierścionka zaręczynowego lśniącego na palcu Emmy i udawały, że nie dostrzegają bladej twarzy Maddie ani jej drżących rąk.

Nie powrócono już do rozmowy na temat chłopca, który zginął w fabryce, nie wspomniano również o szalapatowatych młodych mężczyznach. Konwersacja ograniczyła się do pogody i ślubu, który miał się odbyć za dwa lata.

Wszystkie panie, zgodnie z obowiązującą zasadą, opuściły rezydencję punktualnie o piątej. Po ich wyjściu w salonie zapadła ciężka cisza, a Emma miała wrażenie, że niemal widzi wściekłość matki, unoszącą się w powietrzu jak gradowa chmura. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że będzie musiała drogo zapłacić za poruszenie przy herbacie niemiłego tematu.

Ale matka wyładowała złość na Maddie.

- Przynosisz mi wstyd, Madeleine Tremayne - powiedziała Bethel z delikatnym, mimo to przejmującym południowym akcentem. I chociaż w rzeczywistości wcale nie należała do osób wysokich, stojąc przy wózku inwalidzkim, górowała nad Maddie, która z każdym słowem matki wsuwała się coraz głębiej i głębiej w trzcinowe siedzenie. - Nasze przyjaciółki przychodzą, by zobaczyć się z Emmą, a ty urządzasz przedstawienie. Jesteś gorsza niż pokazywane na jarmarkach karły czy inne wybryki natury. Skoro najwyraźniej nie potrafisz odpowiednio zachowywać się w towarzystwie, nie będziesz się więcej w nim pojawiać.

- Niech mama nie zapomina, że to moje wizyty zaręczynowe - wtrąciła się Emma i chociaż bardzo się starała, nie udało jej się opanować drżenia głosu. - Chcę, żeby Maddie była ze mną.

- To niemożliwe, Emmo. Madeleine, siedząc tutaj w tym...

w tym nieprzyzwoitym wózku, na dodatek nie będąc w stanie należycie wypić herbaty, rozlewając ją, za bardzo rzuca się w oczy. Jej obecność sprawia, że nasi goście czują się nieswojo. To nie przystoi.

- Ależ, mammo...

Matka chwyciła palcami brodę Emmy i odwróciła jej twarz do światła.

- A ty, moja panno, na przyszłość, w te popołudnia, kiedy przyjmujemy gości, nie będziesz wychodzić na werandę. Wiatr powoduje, że na twoich policzkach pojawiają się niestosowne rumieńce. Nie dopuszczę do tego, by ludzie zaczęli myśleć, że pozwalam ci używać różu, jakbyś była jakąś megierą z Thames Street.

Obserwując sztywną, wyprostowaną, ściśniętą gorsetem matkę, opuszczającą salon, Emma poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Lecz serce zabolowało ją dopiero na widok bladej i pełnej cierpienia twarzy siostry.

- Och, Maddie, tak mi przykro. - Uklękła obok wózka Maddie i ujęła jej dłonie. Były zimne i drżące, więc zaczęła je rozcierać. - Mama była zła na mnie, nie na ciebie, ale doskonale wie, że najdotkliwiej mnie ukarze, jeśli wyładuje złość na tobie.

- No wiesz, Emmo Tremayne, znowu się rumienisz - powiedziała Maddie z południowym akcentem. - To nie przystoi.

Co prawda Maddie uśmiechała się, ale Emma miała ochotę się rozplakać, ponieważ zauważyła, że siostra z trudem przełknęła ślinę.

Maddie opuściła wzrok na kolana. Uwolniła dłonie i zaczęła skubać wykończony frędzlami pled, który okrywał jej nogi.

- Emmo, czy mogłabyś nakłonić któregoś ze służących, by odwiózł mnie do mojego pokoju? Bardzo chciałabym na chwilę zostać sama.

- Och, Maddie. A może powinniśmy...

- Nie, wcale nie. Nie chcę o nim rozmawiać, ponieważ na ten temat nic nie można powiedzieć. Sądzę, że teraz, kiedy wrócił do domu, wcześniej czy później nasze ścieżki będą musiały się przeciąć. A wówczas Stu zobaczy, że jestem kaleką, i to będzie koniec wszystkiego.

Emma nie była w stanie zostać w domu ani chwili dłużej, niż było to konieczne, dopilnowała jedynie, by Maddie znalazła się w wygodnym łóżku, ze szklanką ciepłego mleka i ulubionym tomikiem wierszy. Postanowiła wyjść na spacer choćby tylko po to, by wystawić policzki na zgubne działanie chłodnego wiatru i poczekać, aż zrobią się bardziej czerwone niż dwa obrane pomidory.

Jej wysokie buciki szurały po zeschniętej przez zimę trawie. Zbliżający się wieczór rzucał czarne cienie na zamierzający powoli dzień. Niskie chmury zapowiadały deszcz.

Kiedy Emma dotarła na koniec trawnika, odwróciła się i spojrzała na „Brzozy”. Jej trudniący się handlem niewolnikami przodek, pierwszy William Tremayne, w tysiąc sześćset osiemdziesiątym piątym roku wybudował na plantacji dom w obowiązującym wówczas stylu, w związku z czym budynek miał mnóstwo kątów prostych i pozbawiony był wszelkich ozdób. Jednak z biegiem czasu zajmujący się piractwem, połowem wielorybów i handlem Tremayne'owie upiększali swą siedzibę, dobudowując nowe skrzydła, podjazdy, wieże, kopuły, fasety i gzymsy. Przez ponad dwieście lat gorąca letnia bryza morska, uderzenia huraganów i zimowe burze śnieżne niszczyły kamienne ściany rezydencji, nadając im srebrzystoszarą barwę - kolor brzoź, których imieniem nazwano dom. Przez większość dni w roku „Brzozy” wyglądały jak zaczarowane. Zawdzięczały to strzelistym, zakończonym szczytami dachom i rozłożystem werandom, które przywodziły na myśl spódnicę składającej ukłon debutantki. Dzisiaj jednak dom sprawiał wrażenie, jakby kulił się pod ciężkim niebem. Przypominał fortecę zasad, obowiązków i surowych reguł, bastion nakazów i zakazów.

W oknie Maddie przez chwilę migotało światło lampki gazowej, zaraz jednak zgasło. Emma wiedziała, że gdy tylko opuści pokój, Maddie z szuflady stojącego przy łóżku stolika wyjmie buteleczkę z wodzianem chloralu. Ich wuj, lekarz, przepisał jej to na ból kręgosłupa i stawów biodrowych. Ale Maddie pewnego razu przyznała się, że używa tego specyfiku jako lekarstwa na ból serca.

- Dzięki niemu mam takie słodkie i spokojne sny - powiedziała.

Och, Maddie.

Emma odwróciła się plecami do domu, weszła w głąb brzozowego lasu i ruszyła starą indiańską ścieżką, która prowadziła wzdłuż zniszczonego kamiennego muru prosto nad zatokę. Z białych, nagich, znajdujących się nad gołą głową Emmy gałęzi kapwały krople wody. Zaścielającą ścieżkę gnijące liście wydawały pełen melancholii zapach, przywodzący na myśl stare, zapomniane listy miłosne. Odarty z wszelkich kolorów świat ograniczył się do bieli, czerni i szarości.

Czasami Emma miała wrażenie, że kamienny mur i białe brzozy są niemymi świadkami całego jej życia.

Podejrzała, że tylko one wiedzą, kim ona właściwie jest, bo sama dla siebie stanowiła tajemnicę. Momentami czuła się tak, jakby zawsze ukrywała jakiś fragment swojej duszy, oszczędzała go, kiedy indziej jednak dręczyła ją obawa, że już do końca życia ta jej część pozostanie w ukryciu. Że umrze, nie wykorzystawszy wszystkich swoich możliwości.

Kiedy wyszła spomiędzy drzew na plażę, wiatr wiejący od zatoki wzmógł się i smagnął deszczem twarz. Pochyliła głowę, dlatego nie zauważyła stojącego na pomoście mężczyzny, dopóki nie znalazła się blisko niego.

Pomost był częścią przystani, która wchodziła w głąb niespokojnych fal. To właśnie tutaj swe wczesnowiosenne dni spędzał jacht Emmy, „Ikar”, czekając na pierwszy rejs w sezonie. Emma słyszała ciche skrzypienie masztu i uderzenia fal o kadłub. Również tutaj swego czasu trzymana była łódź Williama, ale jego miejsce obecnie świeciło pustką.

Na końcu pomostu stał ten bezczelny Irlandczyk, którego spotkała podczas polowania.

Musiał widzieć, że Emma się zbliża, jeszcze zanim go zauważyła, ponieważ stał zwrócony twarzą do niej, a plecami do wiatru i wody. W szarzącym świetle zmierzchu nie widziała twarzy mężczyzny, ale już sama jego obecność sprawiła, że zatrzymała się w pół kroku.

Jakiś ptak nadmorski krążył nad jej głową i co chwilę pokrzykiwał, a spienione fale, omywając pokryte pąklami głązy i nakrapiane kamienie, wydawały dźwięki przypominające nieco czkawkę. Wiatr targał włosy Emmy, wyciągając je spod spinek. Włosy wirowały wokół jej głowy jak wilgotny, duszący i ośle-

piający całun. Przez chwilę oboje stali w bezruchu, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

Ten dziwny urok przerwała wreszcie Emma, próbując poprawić potargane włosy. Owinęła je wokół nadgarstka, żeby móc lepiej przyjrzeć się mężczyźnie.

- Ma pan zamiar ukraść moją żaglówkę - oskarżyła go, chociaż nie miała na to żadnego dowodu, a jedynym przestępstwem popełnionym przez tego człowieka było to, że znajdował się w miejscu, w którym nie powinno go być.

- Ach, *Dhia* - powiedział szorstkim głosem, którego brzmienie przypominało odgłos tępej piły ciągniętej po wilgotnym drewnie. - „Ukraść”, mówi pani. To bardzo ostre słowo.

Podejrzewała, że celowo, wręcz ostentacyjnie podkreśla swój irlandzki akcent. Tak samo, jak dumnie obnosił się ze swoim znacznym wzrostem. Jego ciemna i wysoka sylwetka rysowała się na tle szarej wody. Stał z wyprostowanymi plecami i rozstawionymi szeroko nogami, bez trudu radząc sobie z kołysaniem zniszczonych desek pomostu. Wiatr szarpał i wydymał jego czarną wełnianą kurtkę.

Jego widok sprawił, że Emma zaczęła myśleć o pirackich skifach w bezksiężycowe noce, chyłkiem przecinających czarne fale, o owiniętych w płótno wiosłach i czarnych, milczących cieniach groźnych mężczyzn.

- Znajduje się pan na prywatnym terenie - przypomniała. Jej głos brzmiał, jakby nie używała go od stu lat i miała zardzewiałe gardło. - Cały Poppasquash Point należy do nas, Tremayne'ów, a pan nie ma prawa stawiać na nim stopy. Teatralnym gestem odrzucił do tyłu głowę i wzniósł w kierunku wilgotnego nieba błagalne spojrzenie.

- Boże, zmiłuj się nad nami. Zaraz usłyszę z ust tej kobiety, że Śmietanka Towarzyska ma wyłączne prawa do powietrza, którym oddycham.

Przestraszyła się, ponieważ nagle ruszył - opuścił pomost i szedł w jej stronę. Zrobił to tak szybko, że nawet nie zdążyła pomyśleć o ucieczce.

Im bliżej podchodził, tym wydawał się roślejszy i groźniejszy, mimo to nadal nie uciekała. Podeszedł do niej na wyciągnięcie ręki.

Uniosła wyżej głowę i spojrzała na niego. Było w jego twarzy

coś uderzającego pomimo blizn i skrzywionego nosa, a może właśnie ze względu na to. Z jego oczu wyzierała odwaga, lecz również smutek. Miały piękny kolor butelkowego szkła wypolerowanego przez morze i oświetlonego przez promienie słońca.

Spojrzał na twarz Emmy, a ona, z sercem bijącym głośniejsz niż morskie fale, czekała, aż ten człowiek coś zrobi, choć, na Boga, sama nie wiedziała, co to miałyby być. W końcu jednak Irlandczyk po prostu obszedł ją. Przez ułamek sekundy był tak blisko, że niewiele brakowało, a rękaw jego kurtki musnąłby policzek Emmy.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła w przeciwną stronę. Udawała, że jest zafascynowana kępkami wilgotnego zielonego mchu, obrastającego pale, na których wspierał się pomost, mimo to przez cały czas wsłuchiwała się w skrzypienie jego butów na białym piasku. Kiedy słychać było jedynie szum fal i zawroźnienie wiatru, odwróciła się. Zauważyła, że człowiek ten zatrzymał się i patrzy na nią. Wówczas poczuła otwierającą się gdzieś w głębi serca otchłań. Otchłań podniecenia, strachu i oczekiwania na coś, co zaledwie niejasno była w stanie sobie wyobrazić. Odwróciła się szybko i zaczęła głęboko wciągać w płuca słone powietrze.

Kiedy ponownie się obejrzała, już go nie było. Mimo to widziała na piasku miejsce, gdzie ich ślady złączyły się, a potem rozdzieliły.

Zrobiło się ciemno i zimno, ale została na plaży, czekając, aż przyływ zmyje zagłębienia pozostawione w piasku przez buty ich obojga.

VI

Pierwszego maja wiał spokojny wiatr, a na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki.

Po raz pierwszy tej wiosny Emma wypłynęła „Ikarem” na zatokę. A kiedy morską bryza z łoskotem wypełniła grotzagiel, Emma Tremayne odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się.

Czuła się bezkresna jak niebo i swobodna jak ptak.

Przymrużyła oczy, wpatrując się w miejsce, gdzie tuż nad wodą unosiły się ostatnie strzępy porannej mgły. W górze świe-

ciło słońce, a cały świat mienił się różowawym blaskiem - jak wnętrze muszli.

Po ustawieniu żagli łódź nabrała większego przechyłu, dziób zaczął pruć białe grzbiety fal, a za rufą ciągnął się spieniony kilwater. Emma jedną rękę trzymała na rumplu, a drugą unosiła nad głową parasolkę. Oparła stopy o listwę uszczelniającą luk i wystawiła twarz na słaby podmuch wiatru. Zatraciła się w dziwnej, niespokojnej ciszy szybkiej łodzi pod żaglami.

Dziewczęta z Bristolu opanowywały tajniki żeglarstwa niemal równocześnie ze sztuką chodzenia. Tremayne'owie zbijali fortuny i spotykali swe przeznaczenie na morzu, dlatego utrzymywali, że w ich żyłach płynie morska woda. Mama nigdy nie pozwoliłaby Emmie na samodzielne rejsy żaglówką, gdyby nie należało to do uświęconej tradycji Tremayne'ów. W związku z tym Emma czuła się naprawdę wolna tylko wówczas, kiedy w niewielkiej żaglówce mogła iść z wiatrem w zawody.

Lecz nawet w tym przypadku wymagany był odpowiedni ubiór - strój żeglarski zaprojektowany przez *monsieur* Wortha. Jego obowiązkowym elementem był kapelusz oraz parasolka, ponieważ twarz nie mogła nabrać rumieńców lub, o zgrozo, opalić się.

Tego dnia Emma obrała najkrótszy kurs na zatokę. Miała zamiar opłynąć cypel Poppasquash Point i latarnię morską na Hog Island, a potem, po zawróceniu łodzi, prostą drogą dotrzeć do portu. Rejs potrwa kilka godzin, ale Emmie wcale to nie przeszkadzało. Na wodzie czas nie miał granic, a przestrzeń horyzontów. Liczyło się jedynie słońce, morze i wiatr.

Nigdy w życiu nie ośmieliła się opuścić zatoki i wypłynąć na otwarty ocean, chociaż często wyobrażała sobie, że to robi. Pewnego razu zajrzała do atlasu i sprawdziła, dokąd by dopłynęła, żeglując prosto na wschód od Bristolu.

Znalazła w Portugalii port o nazwie Viana do Castelo.

Podczas żeglowania lubiła wyobrazać sobie to miejsce. Czerwone dachy, kręte, brukowane ulice, zalany słońcem port i faliste wzgórza porośnięte drzewkami oliwnymi oraz winoroślą. Chociaż bardzo do tego tęskniła, zdawała sobie sprawę, że nigdy tam nie pożegluje. Powodem jej strachu wcale nie było wiążące się z taką wyprawą niebezpieczeństwo ani samotność w otwartej

morskiej przestrzeni. Bardziej przerażał ją ogrom kryjących się w takiej eskapadzie możliwości.

Kiedy w końcu wykonała skręt, słońce zatańczyło wysoko na niebie, rzucając na powierzchnię wody koronkowe pierścienie. Na horyzoncie pojawiły się zarysy miasta - odcinające się od tła nieba drzewa i dachy.

Jako punkt orientacyjny obrała dzwonnice Świętego Michała -tak samo postępowało przed nią wielu urodzonych w Bristolu żeglarzy. To właśnie u Świętego Michała byli chrzczeni i grzebani wszyscy Tremayne'owie, którzy urodzili się w ciągu ostatnich dwustu lat, z wyjątkiem tych, którzy, jak jej brat, zostali pochłonięci przez morze.

Wiatr wypełniał zagiel. Łódź pruć fale i zanurzała się w nich dziobem. Zbliżając się do brzegu, Emma minęła skif z kilkoma mężczyznami, którzy długimi widłami wybierali węgorze. Widziała już rezydencje na Hope Street i wygięty na kształt łuku dach stacji kolejowej, a także wysokie, wąskie okna przedzalni i jej komin, wyrzucający w niebo obłoki pary.

Fabryka znajdowała się tuż przy porcie i miała nawet własne nabrzeże, którego liczne pomosty wrzynały się w wodę jak zęby grzebienia. Emma poluźniła grotzagiel, aż całkiem oklapł, po czym dopłynęła do obrośniętego pąklami pala. Cisza, którą dotychczas zakłócał jedynie szum wiatru, ustąpiła miejsca hałasowi: zgrzytom dźwigu, krzykom mew, piosence mężczyzny wyławiającego małże, jak też głośnemu, wibrującemu pomrukowi setek wirujących w fabryce wrzecion.

Emma przymocowała swój jacht, szybko i sprawnie przywiązując liny cumownicze do kołków. Jeszcze przez chwilę nie wychodziła na brzeg.

Ponieważ od dawna, właściwie przez całe życie, Emmie Tre-mayne zdarzały się różne rzeczy, chociaż wcale się o nie nie starała, czasami nawet nie rozumiała ich, a często w ogóle ich nie pragnęła - dlatego dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, co właściwie chce zrobić. Potem potrzebowała jeszcze więcej czasu, by wykrzesać z siebie odwagę na wprowadzenie zamiaru w życie.

W końcu spojrzała w górę, na zbudowaną z czerwonej cegły łukową bramę, prowadzącą do znajdującej się na Thames Street

fabryki, przedzalni, w której zginął irlandzki chłopiec roznoszący szpule.

Emma Tremayne bywała we wszystkich najelegantszych domach w Bristolu, nigdy jednak jej wąski, biały, lśniący skórzany bucik nie przekroczył progu przedzalni na Thames Street. Zawahała się przy grubych, wzmocnionych żelaznymi sztabami drzwiach obok zegara i kilku rzędów małych żółtych kart. Wokół niej ściany i podłogi wibrowały w rytm pracujących maszyn.

Chudy mężczyzna w błyszczącym czarnym garniturze i dwustronnych papierowych mankietach wyszedł z drewnianej kabiny, która skojarzyła się Emmie z więzienną wieżą. Nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka, mimo to nawet nie przeszło jej przez myśl, że on może jej nie znać. Wszyscy mieszkańcy Bristolu zawsze znali Tremayne'ów.

Wyciągnęła do niego lekko drżącą rękę. Zawsze wyobrażała sobie, że jest osobą odważną, zeglującą przed siebie i podbijającą świat. W rzeczywistości jednak nawet przy okazjach tak zwyczajnych i nieskomplikowanych jak picie herbaty w towarzystwie ludzi, których znała przez całe życie, czasami serce zaczynało wyprawiać w piersi dzikie harce. Zdawała sobie sprawę, że jej strach jest irracjonalny - zawsze bała się, że ktoś na nią patrzy i surowo ją ocenia - ale nie była w stanie go pokonać.

Na jej widok oczy mężczyzny zaokrągliły się ze zdumienia, co uwydatniła para okularów o soczewkach tak grubych jak szkło w butelce na mleko. Kiedy oznajmiła, że chce zobaczyć fabrykę, jabłko Adama podskoczyło niespokojnie na jego długiej, chudej szyi. W końcu jednak przełknął ślinę, przytaknął i poprowadził ją przez hall do biura. Tutaj przekazał Emmę panu Thaddeusowi Stipple'owi. Był to jegomość niski i krągły jak mors.

Pan Stipple próbował odwieść ją od zamiaru zwiedzenia fabryki, tłumacząc, że jest to miejsce brudne, głośnie i pełne Irlandczyków. Jego zdaniem absolutnie nie był to widok dla dobrze urodzonej panny. Emma splotła palce na kolanach i uśmiechnęła się do pana Stipple'a. Tak jak zrobiłaby to jej matka, przypomniała mu, kim jest, chociaż z zażenowaniem stwierdziła, że w jej słowach pobrzmiewa nadmierna pewność siebie.

Jeszcze raz bez przekonania próbował protestować, w końcu

jednak westchnął i z trudem podniósł się z krzesła. Wyprowadził ją na dziedziniec, a potem ruszyli w górę po wykładanych żelaznymi płytami schodach i przez obite blachą cynową drzwi. Znajdowali się na wykonanym z kratownicy pomoście. Nad ich głowami wisiała płatanina pasów, przewodów, rurek, belek i wałków. Emma patrzyła jednak w dół, na ogromne pomieszczenie pełne brzęczących, drżących maszyn. Jak wyjaśnił pan Stipple, była to hala produkcyjna.

Podał jej również nazwy maszyn: krosno, prząsница, przędzarka samodziłowa, lecz Emma widziała jedynie labirynt wielokrążków, kół zębatach, przekładni i wirujących szpul. W jej uszy wwiercał się hałas wydawany przez uderzające o siebie stalowe elementy. Nos wypełniał obrzydliwy zapach potu i smaru. W gorącym powietrzu unosiły się ostre kłaczki bawełny, które utrudniały oddychanie.

To było ryczące piekło, piekło pełne dzieci.

Widziała dziewczynki o bladych twarzach, zapadniętych klatkach piersiowych i przygarbionych plecach. Ubrane w podarte sukieneczki kilkulatki stały na pudłach i taboretach, by móc wykonywać swoją pracę. Ich niemal białe palce tańczyły między wirującymi szpulami, łapiąc i wiążąc zerwane nitki, nim zdążyły się splątać.

Przez chwilę Emma obserwowała, jak chłopiec o nogach tak białych i cienkich jak gałązki brzozy wsuwał się pod żelazne monstrum, by trysnąć z puszkii odrobinę oleju na zębatkę ostrego, wirującego wrzeciona. Inny chłopiec przebiegł pod pomostem, tocząc po śliskiej od smaru i wyplutego tytoniu posadzce pojemnik pełen szpul. Emma bez trudu wyobraziła sobie, jak na brudnej podłodze dziecka ślizga się stopa, więc wyciąga rękę, by się czegoś złapać, a wówczas zostaje złapane przez koło zębate nie zabezpieczonej maszyny.

Zastanawiała się, które z urządzeń zabiło irlandzkiego chłopca, Padraica.

Nie miała pojęcia, jakim cudem wśród natłoku znajdujących się na niższym poziomie maszyn i ludzi udało jej się zauważyć tę kobietę. Może to dzięki rudym włosom, które nawet w przyćmionym świetle przypominającej pieczarę fabrycznej hali wyglądały jak zapalona pochodnia. A może dlatego, że tylko ona jedna przestała zajmować się maszyną, która ciągnęła długie

i cienkie bawełniane włókna, a potem nawijała je na kilkadziesiąt wirujących szpul.

Emma czuła na sobie spojrzenie ciemnych, rozpalonych gorączką oczu tej kobiety. Jej płomienne włosy związane były z tyłu głowy kawałkiem sznurka, lecz pojedyncze kosmyki opadały na policzki. Skóra twarzy delikatnie połyskiwała jak płomyk świecy. Tym razem Irlandka nie była otulona płaszczem, dzięki czemu Emma zauważyła, że bezkształtna, prana w ługu, poplamiona smarem sukienka ciasno opina brzuch świadczący o tym, że kobieta jest w ciąży.

Zrobiła krok w stronę Emmy i uniosła głowę, zupełnie jakby chciała coś zawołać. Chwycił ją jednak ostry atak kaszlu. Przygarbiła wąskie plecy i mocno przycisnęła pięść do klatki piersiowej, nie udało jej się jednak opanować wstrząsającego całym ciałem kaszlu.

Wsunęła dłoń w rękaw zniszczonej sukienki, wyjęła chusteczkę i przytknęła ją do ust. Niemal dusiła się, można było odnieść wrażenie, że jej następny oddech będzie ostatni.

Potem jakiś mężczyzna, najprawdopodobniej nadzorca, krzyknął coś, czego Emma nie zdołała usłyszeć. Kiedy kobieta z powrotem odwróciła się do swej prąśnicy, wsunęła chusteczkę do rękawa. Jednak, nim to zrobiła, Emma zauważyła, że postrzępiony skrawek bawełny poplamiony jest krwią.

Obserwowała prządkę, nie poruszając się i niemal nie oddychając. Zastanawiała się, jak to się stało, że jest bogatą i uprzywilejowaną panną, a nie tą kobietą o zniszczonych płucach.

VII

Do niezwyklej rzadkości należało, by młody mężczyzna w wieku dwudziestu ośmiu lat doskonale wiedział, dokąd zmierza i co ma zamiar robić w życiu, ale Geoffrey Alcott był w tym względzie chlubnym wyjątkiem. Swą pewność czerpał nie tylko z głębi serca, lecz również z duszy i umysłu.

Każdego dnia, z wyjątkiem niedziel, wczesnym rankiem wędrował do swojego biura, znajdującego się w starym magazynie, który stanowił kwaterę główną Zakładów Włókienniczych Al-

cotta, i stąd kierował rodzinnym interesem, trzymając spokojną dłoń na rumplu, utkwivszy bystry wzrok w odległym horyzoncie. Oprócz zabudowań przy Thames Street posiadał osiem innych fabryk, porozrzucanych po całej Nowej Anglii. Przynosiły one takie dochody, że Geoffrey mógłby całkiem nieźle z nich żyć bez konieczności przekraczania progu hali produkcyjnej. On jednak postępował inaczej.

Postawił sobie za punkt honoru nauczyć się wykonywać każdą czynność, za którą płaci. Kiedy miał dziesięć lat, udało mu się namówić ojca, by pozwolił mu przez tydzień roznosić szpule po hali produkcyjnej, tak jak robili to zatrudniani tam chłopcy - do dziś na lewej ręce miał bliznę w miejscu, gdzie skaleczyło go wirujące stalowe wrzeciono. Był również w stanie zdemontować silnik, a potem ponownie go złożyć i robił to niemal tak szybko jak jego najlepszy mechanik. Pewnego dnia, nie dalej jak w zeszłym roku, przez całą zmianę stał przy prąśnicy, razem z marnie opłacanymi pracownikami, rozplątując i wiążąc zerwane nitki.

Prawdę mówiąc, nadzorcy i sekretarki Geoffreya często skarżyli się, że ich szef zbyt dużo pracuje. Gdyby tylko mógł, osobiście wszystko sprawdzałby i przyjmował każdy rachunek. Na całe szczęście poprzestawał na prowadzeniu ksiąg rachunkowych fabryki przy Thames Street, wypełniając wszystkie rubryczki swym niezwykle starannym pismem.

Codziennie dokładnie za dziesięć dwunasta Geoffrey Alcott opuszczał mieszczące się w magazynie biuro i szedł na piechotę do domu, spokojnym krokiem wędrując Burton Street w kierunku portu, a potem skręcając w najelegantszą ulicę miasta - Hope Street. Ludzie żartowali, że według Geoffreya Alcotta można regulować zegarki.

Przechadzka sprawiała mu zazwyczaj ogromną przyjemność. U wylotu przemierzanych ulic, między domami i sklepami, widać było wody basenu portowego. Jeśli, tak jak dzisiaj, wiał równomierny wiatr, przynosił ze sobą zapach ryb i zalewy solnej oraz parę, wydobywającą się z komina jego przędzalni.

Podczas spacerów Geoffrey Alcott pozwalał sobie na snucie marzeń. Był człowiekiem bogatym i powszechnie szanowanym, lecz było to dziedzictwo po ojcu i dziadku. Geoffrey pragnął własnych osiągnięć.

To właśnie dlatego w ciągu ostatnich pięciu lat, które minęły od śmierci ojca, przeobraził Zakłady Włókiennicze Alcotta w jeden z największych w stanie koncernów przemysłu tekstylnego. Do fabryk dodał farbiarnie i wybielarnie, a w tym roku miał zamiar jeszcze bardziej rozszerzyć pole działania, budując odlewnię części do maszyn włókienniczych.

Nie dalej jak w tym tygodniu w „Providence Evening Bulletin” określono go mianem „magnata tekstylnego z Rhode Island”. Wyciął ten artykuł i nosił go w wewnętrznej kieszeni swego eleganckiego, modnego garnituru. Od czasu do czasu, idąc, klepał się po klatce piersiowej i uśmiechał się, słysząc szelest papieru.

Kiedy przeciął Church Street, wszedł w aleję, nad którą wznosiło się łukowate sklepienie, utworzone przez gałęzie gigantycznych klonów, wiązów i kasztanowców. Kiedy zostawił za sobą hałaśliwe centrum handlowe, ze wszystkich stron otoczyły go stłumione dźwięki towarzyszące życiu Śmietanki Towarzyskiej. Tutaj koła powozów nie stukały, lecz cicho toczyły się po wysypanej żwirem ulicy. Węgiel nie dudnił w zsykach, lecz delikatnie się nimi zsuwał. Nikt nie krzyczał ani nie przeklinał, nie płakały niemowlęta, natomiast zza kutech żelaznych bram i li-gustrowych żywopłotów od czasu do czasu dobiegał dziecięcy śmiech.

Kiedy Geoffrey mijał obrosnięty bluszczem dom sióstr Carter, usłyszał popiskiwanie stojącej na werandzie huśtawki. Zatrzymał się i złożył ukłon obu damom. Uśmiechnął się, słysząc chichot panny Liluth.

On sam mieszkał w największej i najładniejszej rezydencji, znajdującej się przy Hope Street. Minał żelazne, łukowe wejście, a potem ruszył aleją wyłożoną marmurowymi płytami. Po jej obu stronach rosły lipy i w słoneczne wiosenne dni, takie jak ten, powietrze przesycone było ich słodkim zapachem. Woń lip wiosną zawsze przyprawiała Geoffreya o dziwny i niezrozumiały dla niego samego smutek.

Zatrzymał się przed portykiem, by ogarnąć wzrokiem sięgające drugiej kondygnacji korynckie kolumny i wysokie rzymskie okna. Budowla ta stanowiła najlepszy dowód dumy Alcottów, nic zatem dziwnego, że jej widok zawsze bardzo podnosił Geoffreya na duchu.

Postawił swój wykonany na zamówienie kamasz na pierwszym marmurowym stopniu schodów w momencie, kiedy odezwał się fabryczny gwizdek, zaczął bić ratuszowy zegar, a dzwon na wieży Świętego Michała oznajmił dwunastą.

Zanim wiatr uniósł ostatnie uderzenie, Geoffrey minął drzwi rezydencji, powiesił melonik na stojącym w hallu wieszaku, a do mającego kształt słoniowej nogi stojaka na parasole włożył laskę, której rączka wykonana została ze słoniowej kości, a miała kształt głowy dzika. Poprawił wystający z butonierki kwiat orlika i zaczesał do tyłu włosy. Wziął głęboki wdech, napełniając nozdrza dobrze znanym domowym zapachem, który miał w sobie coś ze słodczy i piżma. Ktoś mógłby uważać, że woń tę wydzielala warstwa pasty woskowej, od stu lat wcieranej w wykonaną z drewna oliwnego boazerię. Geoffrey wiedział jednak, że to zapach starych pieniędzy.

Tak jak każdego popołudnia najpierw wszedł do saloniku, w którym wśród kamelii i paproci zauważył babkę, siedzącą w białym wiklinowym fotelu bujanym. Dwa razy w tygodniu dostarczano jej prosto z prasy drukarskiej nowy numer „Bristol Phoenix”, by mogła przeczytać nekrologi i cieszyć się myślą, że udało jej się przeżyć następną osobę.

Najwyraźniej na niego czekała, a kiedy wszedł do pokoju, jej zapadnięte w wysuszonej twarzy oczy ożywiły się. Machnęła gazetą w powietrzu tak mocno, że poruszyły się wstążki jej czepka.

- Amelia Attwater! - krzyknęła. Starsza pani Alcott prawie w ogóle nie słyszała, w związku z czym zachowywała się tak, jakby wszyscy pozostali również dotknięci byli głuchotą. - Sam zobacz, jest tu: Amelia Attwater, czarno na białym. Napisali, że zmarła ma skutek rozmiękczenia mózgu, ale to jawne kłamstwo! Jej mózg zawsze miał konsystencję duszonych pomidorów, dlaczego zatem nagle ta przypadłość miałaby wyprawić ją na tamten świat? Hm? Pytam cię.

Geoffrey pochylił się, by pocałować powietrze w pobliżu policzka przypominającego marszczoną bibułę, a wówczas poczuł mocny zapach kulek kamforowych i świeżej farby drukarskiej.

- Może była to jakaś postępująca choroba - powiedział.

- Bzdury! To jej kamienie żółciowe. Ostatnim razem, kiedy

widziałam ją na pogrzebie Olivii Wentworth... To dopiero była przykra historia: na trumnie umieszczono mosiądz zamiast złota, a na dodatek nikt nie pomyślał o białych kwiatach. Zauważyłam, że wygląda, jakby właśnie przeszła żółtaczkę. Mówię oczywiście

o Amelii, nie Olivii. Natomiast Olivia przypominała suszoną śliwkę, ponieważ przedsiębiorca pogrzebowy zapomniał włożyć jej sztuczną szczękę. Ale wracając do Amelii: była żółta jak krowie siki. Głowę daję, że to były kamienie żółciowe, tylko Attwaterowie nigdy by się nie przyznali do czegoś tak pospolitego. Ta rodzina zawsze robi wokół siebie dużo szumu. -Uderzyła w gazetę sękatym palcem, na którym lśnił pierścień z opalem. - To właśnie dlatego wymyślili tę historię z rozmiękczeniem mózgu.

Straszą pani wydała tak ciężkie westchnienie, że aż zagrzechotało jej w piersi.

- Biedna, żółta Amelia. Zimna jak gład. I pomyśleć, że zmarło jej się w tak młodym wieku.

Geoffrey pochylił się nad okrytym białą koronką ramieniem babki, by przyjrzeć się nekrologowi. W jej drżących dłoniach gazeta niespokojnie podskakiwała, mimo to zdołał znaleźć to, czego szukał.

- Piszą tu, że miała dziewięćdziesiąt trzy lata.

- Toż właśnie mówię: zmarło się biedaczce w wyjątkowo młodym wieku. Z drugiej jednak strony Attwaterowie znani sĆę z tego, że umierają młodo. W tej rodzinie trudno dopatrzeć się czegoś twardego, z wyjątkiem kamieni nerkowych.

Za oknami podmuch wiatru poruszył gałązkami kwitnących lip. Obłoczek jasnożółtych płatków musnął szyby.

Geoffreya znów ogarnęło kryjące się na dnie serca uczucie nieokreślonego smutku.

- Przygotuj się na to, że po południu będzie padał deszcz -powiedziała babka. - Wieje silny zachodni wiatr, a zachodni wiatr zawsze przynosi wilgotne powietrze.

Geoffrey uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Racja, babciu - powiedział.

W rzeczywistości jednak wcale tak nie myślał. Przez całe życie jego babka szukała wszelkich znaków na niebie i na ziemi,

i wszystkie zapowiadały deszcz.

Zostawił babkę oraz jej nekrologi i, jak każdego popołudnia,

poszedł do swojej biblioteki, by przed lunchem zająć się sprawami domowymi.

Biblioteka była pięknym pomieszczeniem, ozdobionym rzeźbionymi sosnowymi pilastrami, które pomalowano w taki sposób, by imitowały marmur poprzecinany złotymi żyłkami. Półokrągły kominek z czarnym gzymsem marmurowym z obu stron ozdobiony był szklanymi, pochodzącymi od Tiffany'ego, płytkami. Geoffrey uważał to pomieszczenie za swoje sanktuarium.

To właśnie dlatego nieco się zdenerwował, ponieważ ktoś siedział wyciągnięty w jego krzesło, przy jego biurku, które wykonane zostało z mahoni i połączanego brązu.

Stuart Alcott odchylił się w krzesło daleko do tyłu, odrzucił z oczu włosy i na zielonej filcowej suszce oparł skrzyżowane nogi w wysokich butach. W ręce trzymał kryształową szklaneczkę.

- Na Boga, Geoff - powiedział. - Co się stało? Okropnie wyglądasz.

To stwierdzenie zdezorientowało Geoffreya, ponieważ czuł się całkiem nieźle. Dokuczala mu jedynie dziwna melancholia, spowodowana przez kwitnące lipy, lecz poza tym wszystko było w porządku. Naprawdę, nie mogło być lepiej.

Ale jego brat to zupełnie inna historia. A może ta sama stara historia...

- Jesteś wstawiony - rzekł. - A dopiero minęła dwunasta. Stu uniósł szklaneczkę w szyderczym toaście. Próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to dość kwaśno.

- To tylko dżin z sokiem cytrynowym. W ten sposób chronię się przed szkorbutem.

Kiedy Stu miał dziewiętnaście lat, ojciec wysłał go do szpitala psychiatrycznego w Wharton, by wyleczono go z uzależnienia od alkoholu. Gdy w dziewięć miesięcy później wydostał się zza czarnych żelaznych bram zakładu, nie wrócił do Bristolu. Nie wrócił do domu przez siedem lat, nie pojawił się nawet na pogrzebie ojca. Geoffrey doszedł do wniosku, że pobyt w szpitalu psychiatrycznym nie wyleczył brata z nałogu, natomiast wyglądało na to, że skutecznie pozbawił go wszelkiej radości życia.

Stu sięgnął do leżącego na biurku pudełeczka i wyjął z niego kubańskie cygaro. Geoffrey obserwował, jak brat drżącą ręką zdejmuje z cygara jedwabne opakowanie, a potem wąskim

srebrnym nożykiem wiszącym na dewizce odcina czubek. Stu wstał z krzesła, lekko się zatoczył i wpadł na inkrustowany stolik do szachów. Wykonana ze srebra najwyższej próby wieża spadła na podłogę.

W ostrym świetle, wpadającym przez oszklone drzwi biblioteki, Geoffrey, ku własnemu zaskoczeniu, zauważył, że Stu ma zaczerwienione oczy, a jego brodę pokrywa szczecina. Zawiązany na szyi krawat zwisał jak pętla, a kołnierz przepoconej koszuli był rozpięty i miejscami postrzępiony. Geoffrey poczuł, że ogarnia go obrzydzenie.

Stu bardzo wcześnie pokochał jachty, szybkie konie, szampana i wszelkiego rodzaju koktajle. Świat, w którym obaj Al-cottowie żyli, naprawdę bardzo niewiele wymagał od młodych mężczyzn - ich obowiązki polegały głównie na przestrzeganiu dobrych manier i odpowiednim ubieraniu się. Wszystko jednak wskazywało na to, że brat nawet z tym nie potrafi już sobie poradzić.

Mimo to, patrząc na znużoną i zniechęconą twarz Stu, Geoffrey nadal widział w niej cień uroczego, obdarzonego szalonym temperamentem chłopca. Młodszego brata, którego podziwiał, kochał i któremu czasem zazdrościł.

Stu chwiejnym krokiem podszedł do kominka, gdzie na gzymsie stał mosiężny wazon z długimi fidybusami do zapalania cygar. Wyjął jeden z nich i dopiero wówczas zauważył, że w kominku nie ma ognia. W rezydencji na Hope Street zawsze, niezależnie od pogody, przestawano palić w czasie Wielkanocy, a rozpalano na nowo dopiero po Święcie Dziękczynienia.

Rzucił fidybus na puste palenisko.

- Chryste! W tym domu nic się nie zmienia. Już samo to wystarczy, by doprowadzić człowieka do szaleństwa.

- Tam znajdziesz pudełko zapalek - powiedział Geoffrey, pokazując mahoniowy stolik, na którym stały dwie kryształowe karafki w srebrnych stojakach. - A skoro już tam jesteś, możesz dolać sobie soku cytrynowego.

Niedawno w Bristolu szalała epidemia szkorbutu.

Geoffrey objął w posiadanie opuszczone przez brata krzesło i z cichym, pełnym zadowolenia westchnieniem usadowił się za mahoniowym biurkiem. Starł ślady pozostawione przez buty brata na filcowej suszce. Przesunął wykonany z macicy perłowej

nóż do otwierania listów na swoje miejsce, między telefon i onyksowe pudełko na znaczki.

Kiedy uniósł wzrok, w oczach Stu dostrzegł uśmiech. Młodszy z braci Alcottów ponownie wzniosł irytujący, szyderczy toast, lecz tym razem alkohol przelał się przez brzeg szklaneczki i prysnął na dywan w różę.

- Za bohatera i jego wspaniałą podbój! - powiedział Stu z południowym akcentem. - Cały jachtklub i garkuchnia od tygodnia stroją sobie żarty z twoich umizgów i sposobu zaskarwienia sobie względów Emmy Tremayne.

Geoffrey uśmiechnął się, przesuwając kryształowy kałamarz na środek biurka. Ilekroć pomyślał, że Emma Tremayne jest już jego, naprawdę jego, czuł w klatce piersiowej dziwne ciepło, a zaraz potem niejako zdumienie.

Powrót brata właściwie przyspieszył oświadczenia, gdyż Geoffrey zamierzał zdeklarować się latem, dokładnie czwartego lipca. Ale sposób, w jaki Stu patrzył na Emmę podczas polowania... Geoffrey skarcił się w myślach.

Oczywiście, to śmieszne, a jednak przyszło mu wówczas na myśl, że brat ma zamiar odebrać mu Emmę. W końcu Stu zawsze był przystojniejszy i miał większy urok, chociaż na korzyść Geoffreya przemawiały pieniądze.

Uniósł głowę i stwierdził, że młodszy brat dziwnie na niego patrzy.

- O co chodzi? - zapytał.

Stu zrobił okrągłe oczy i powoli potrząsnął głową, zupełnie jakby coś niezmiernie go zdziwiło.

- Dobry Boże... Gdybyś mógł zobaczyć swoją twarz w momencie, kiedy wymówiłem jej imię... Można by uwierzyć, że naprawdę ją kochasz.

Geoffrey wytarł kąciki ust.

- To... - Poprawił swój brązowy jedwabny krawat. - Ona... Stu odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Oto cały mój brat, Geoff. Wciąż liczy się ze słowami tak samo jak z każdym centem.

- Naprawdę ją kocham - powiedział Geoffrey, chociaż własne słowa nieco go zaskoczyły. - Kocham ją od... -

Rozłożył ręce i zarumienił się. - Od zawsze.

Stu zrobił dziwną minę. Geoffrey niemal uwierzył, że nieza-

leżnie od tego, co w tej chwili zaprzęta głowę jego brata, musi to być jakaś głęboka myśl.

- Nigdy nie zdołasz dać jej szczęścia - powiedział Stu.

- Jestem pewien, że będzie ze mną szczęśliwa. - Odwrócił pudełeczko z cygarami, by zdobiący je mosiężny orzeł, tak jak uprzednio, zwrócony był w stronę drzwi. - Dlaczego miałyby być inaczej?

- Ponieważ nasza kochana, mała Emma zawsze miała zbyt bujną wyobraźnię. Prawdę mówiąc, pewnego dnia może dojść do wniosku, że istnieje całkiem inne życie, które wcale nie polega na jeżdżeniu połączonym i lakierowanym powozem z aksamitnymi poduszkami, jedzeniu ostryg i sączeniu szampana w sukni balowej z Maison Worth. A jeśli rzeczywiście tak się stanie, skończy się na tym, że zrobi coś, co śmiertelnie cię przestraszy, a za co nasz świat ją zniszczy.

- Co za nonsens!

W tym momencie odezwał się stojący na gzymsie zegar, a po chwili przyłączył się do niego drugi, znajdujący się w hallu. Geoffrey wyjął złoty kieszonkowy chronometr i skinął głową, zadowolony, że przynajmniej czas nadal jest pod jego kontrolą.

Wsunął zegarek do kieszonki kamizelki i uniósł głowę.

- Moja Emma zawsze będzie dla mnie jedynie źródłem radości.

- Oczywiście, wierzysz w to - stwierdził Stu. - Wierzysz, bo jesteś człowiekiem pozbawionym wyobraźni.

Geoffrey poczuł znaną sobie doskonale irytację. Brat potrafił sprawić, że stateczność, niezawodność i odpowiedzialność wyglądały na poważne wady.

- Natomiast ty - powiedział - zawsze wykazujesz niefortunną skłonność do przypisywania swych niespokojnych myśli i uczuć sercom oraz umysłom wszystkich. To, że odczuwasz przymus buntowania się przeciw, jak to określasz, „naszemu światu”, wcale nie oznacza, że reszta z nas w tajemnicy żywi podobne tęsknoty. Zresztą, moim zdaniem, jest to raczej zabawne, ponieważ robisz to wszystko, ani na moment nie rezygnując z drinka, którego pijesz ze szklaneczki wartej więcej, niż zatrudniani w mojej fabryce robotnicy są w stanie zarobić w ciągu roku.

Stu nagle się uśmiechnął, po czym wypił następny, spory łyk dżinu.

- Oczywiście, masz rację. Życie buntownika jest romantyczne jedynie w oderwaniu od rzeczywistości, na dodatek stanowi luksus, na który, być może, w ogóle nie mogę sobie pozwolić. Tą oto, nieco okreżną drogą dotarliśmy, moim zdaniem w bardzo zręczny sposób, do tematu pieniędzy i faktu, że ich nie mam...

Geoffrey przerwał mu machnięciem ręki.

- Wydawało mi się, że postawiłem sprawę jasno. Następne pieniądze mogę wypłacić ci dopiero, gdy skończy się kwartał. Jako człowiek odpowiedzialny za twoje sprawy majątkowe, mam pewne obowiązki - muszę dochować litery, jeśli nie ducha, ostatniej woli ojca...

Stu uderzył otwartą dłonią w biurko.

- Pieprzę twoje obowiązki! Pieprzę i ciebie, i jego. Boże, jesteś takim samym potworem jak nasz ojciec, bardziej nieprzystępnym niż cipka zakonnicy. - Pohamował się, po czym wziął tak gwałtowny wdech, że aż zadrżał. - Na litość boską, Geoff, nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię prosił!

Geoffrey wyciągnął rękę, by ustawić kałamarz, który przesunął się w czasie napadu złości brata. Stu nie ma prawa rzucać mu w twarz takich wulgarnych słów. Gdyby przed laty miał przynajmniej niektóre z tych wad, w rodzaju niezawodności czy zdecydowania, być może ojciec nie musiałby robić wszystkiego, by pozostawiony przez niego spadek był tak nieprzystępny jak... to coś zakonnicy.

Unióśł głowę, mając zamiar podzielić się tą myślą z bratem, kiedy otworzyły się drzwi biblioteki i stanęła w nich Emma.

Srebrzyste światło obrysowywało jej dziewczęcą sylwetkę. Przeszła przez próg i uniosła głowę. Spod sztywnego daszka czapeczki żeglarskiej spojrzała na narzeczonego, którego serce, jak zawsze, odkąd sięgał pamięcią, podskoczyło z radości.

Emma miała na sobie strój odpowiedni na wyprawę żagłową - granatową spódnicę ozdobioną złotą plecionką i bluzkę z dużym białym kołnierzem marynarskim. Geoffreyowi przyszło na myśl, że jego ukochana wygląda rozkosznie.

Poderwał się na równe nogi i wyszedł jej naprzeciw. Miał nadzieję, że jej zaróżowione policzki to jedynie efekt działania wiatru, a nie wulgarnych słów, które przed chwilą padły z ust Stuarta.

Objął ją w pasie i pociągnął w stronę obitej bordową skórą,

pikowanej sofy. Przycisnął dłoń do boku Emmy, tuż poniżej żeber, dzięki temu czuł, jak jej ciało przy każdym oddechu delikatnie się porusza. Doszedł do wniosku, że może sobie na to pozwolić. Teraz, kiedy byli zaręczeni, miał prawo częściej i bardziej poufale jej dotykać. Wiedział jednak, że musi być bardzo ostrożny, by nie dać się ponieść rozpaczliwemu pragnieniu.

- Moja droga - powiedział łamiącym się pod naporem uczuć głosem. - Co za miła niespodzianka!

Odwróciła się w jego stronę. Jej twarz była półprzezroczysta jak wyrzucona przez przyływ muszelka.

- Właśnie idę z twojej fabryki, Geoffrey. To było... Sama nie wiem, co powinnam powiedzieć. Przez cały czas potwornie się bałam, że lada chwila maszyny dostaną amoku i zaczną zjadać dzieci.

Był zaszokowany jej wyprawą do fabryki, ponieważ absolutnie nie było to miejsce dla wrażliwej damy. Nic dziwnego, że jest tak roztrzęsiona; sam hałas i zapachy mogłyby spowodować u niej omdlenie. To wszystko wina tej głupiej kobiety, która w zeszłym miesiącu przyszła na polowanie z martwym dzieckiem na ręku. Jego droga, mała Emma zawsze tak łatwo wczuwała się w sytuację wszystkich boskich stworzeń, nawet Irlandczyków.

Usiadł obok i pochylił głowę w jej stronę. Pachniała bzem i morską wodą.

Uniósł zaciśniętą dłoń Emmy i zaczął po kolei rozprostowywać palce.

- Nic nie będzie zjadać żadnych dzieci. Za bardzo popuszczasz wodze fantazji.

Stu ni to prychnął, ni to roześmiał się. Podeszedł do kominka i oparł się o niego, przyjmując pozę godną Byrona, jednak Geoffrey postanowił zignorować brata. Nie odrywał wzroku od twarzy Emmy i od jej oczu, które przybrały kolor morza odbijającego pochmurne niebo. Był pewien, że ją zna, czasami odnosił wrażenie, że w głębi jej duszy płonie biały płomień, który wypala ją od środka.

Uwolniła rękę.

- A potem odbyłam niezwykle pouczającą rozmowę z panem Stipple'em. Powiedział mi, że płacisz tym biednym dzieciom

półtora dolara za tydzień. Jak można wyżyć za tak marną sumę? Tylko ktoś niemądry i okrutny może sądzić, że jest to możliwe.

- Dla nich to wcale nie jest marna suma. Pamiętaj, że te dzieci urodziły się w środowisku, które żywi się obierkami z ziemniaków.

Emma tak mocno ścisnęła rączkę parasolki, że nad brzegiem rękawiczki pojawiła się zbieleła skóra. Zaokrąglonymi oczami rozejrzała się po pomieszczeniu, zupełnie jakby uznała nagle, że znalazła się w nieodpowiednim miejscu.

Po chwili znów spojrzała na Geoffreya, a w jej oczach pojawił się jeszcze jaśniejszy i gorętszy płomień.

- Wydaje mi się, że gardzę tą częścią twojej osobowości, Geoffreyu.

Stu znowu prychnął.

- Jest obdarzona nie tylko wyobraźnią, lecz również spostrzegawczością. To niebezpieczne połączenie, Geoff.

Bardzo niebezpieczne - rzekł.

Geoffrey próbował ująć jej dłoń, lecz wyrwała ją.

- Chyba źle mnie oceniasz, Emmo. Ci ludzie po opuszczeniu swoich biednych krajów przybywają tutaj bez pieniędzy i jakichkolwiek umiejętności, a ja daję im pracę. Fabryka to miejsce, gdzie mogą się nauczyć cnót chrześcijańskich i poznać korzyści płynące z uczciwej pracy.

- A co z prawem?

Geoffrey był oczarowany widokiem jej drżącej dolnej wargi oraz unoszących się i opadających w niespokojnym oddechu piersi. Zapomniał na moment o temacie rozmowy.

- Z jakim prawem?

Wstała i przeszła się po pokoju. Potem zawróciła i usiadła.

- Z prawem, które zabrania zatrudniania w fabrykach dzieci poniżej dwunastu lat. Geoffreyu, byłabym zdumiona, gdyby znalazło się tam dziecko mające więcej niż dwanaście lat.

- To ich rodzice podają wiek. Prawdę mówiąc, te dzieci nie przyjeżdżają z Irlandii z aktami urodzenia na szyi. Myślę jednak, że większość ich jest starsza, niż na to wygląda.

- To efekt diety składającej się z obierek ziemniaczanych -orzekł Stu. - Dzięki niej wolniej rosną.

Geoffreyowi przyszło na myśl, że powinien nakazać bratu,

by się zamknął. Jednak nie zrobił tego, natomiast ponownie sięgnął po dłoń Emmy, i tym razem pozwoliła mu ją zatrzymać.

Ściskając tę drżącą rękę, miał wrażenie, że trzyma w dłoni ptaka ze złamanym skrzydłem. Na twarzy Emmy widać było odbicie jej myśli, przebiegały jednak w takim tempie, że Geoffrey nie zdołał ich odczytać, mimo to dostrzegł poczucie winy, smutek i ból. Nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że być może nigdy nie rozumiał jej tak dobrze, jak mu się dotąd wydawało. Zawsze miał wrażenie, że Emma na coś czeka, i aż do tego momentu uważał, że czeka właśnie na niego.

- Nie traktuj mnie jak idiotki - powiedziała. - Ten chłopiec, który zginął w zeszłym miesiącu, nie mógł mieć więcej niż sześć lat.

Próbując ją uspokoić, położył na jej ręce drugą dłoń.

- Zleciłem sporządzenie raportu, który ma mi podpowiedzieć, w jaki sposób można poprawić warunki w fabryce. Właściwie była to prawda, chociaż w raporcie miano się skupić na wydajności pracy. Bez trudu jednak można było rozszerzyć jego zakres i Geoffrey nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza jeśli takie rozwiązanie mogłoby zadowolić Emmę.

Potał kciukiem szew jej rękawiczki.

- Kiedy go otrzymam, może będziesz tak miła i zechcesz go przeczytać, a potem podsuniesz mi jakieś sugestie, propozycje, które podpowie ci twoja kobieca natura. - Z uśmiechem sięgnął wolną ręką i delikatnie dotknął ucha Emmy. - Wrażliwe kobiece oczy i uszy często widzą i słyszą rzeczy, których my, bezduszni mężczyźni, w ogóle nie dostrzegamy.

- Gdybym zjadł śniadanie - wtrącił Stu - już dawno musiałbym je zwrócić.

- Jesteś ze mną szczery, Geoffreyu? - Bacznie przyjrzała się jego twarzy i w jej oczach pojawiło się coś, co sprawiło, że stały się jeszcze bardziej szare i twarde. - Powiem ci więc, że już się zastanawiałam, co można by zrobić.

Należałoby na przykład zapewnić tym ludziom więcej światła, gdyż hala produkcyjna przez te zakurzone, wąskie i małe okienka jest tak ciemna i brudna jak więzienie.

- Kochanie... Czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że nie jestem pozbawionym serca potworem i że życie moich robotników wygląda o wiele lepiej niż pracowników innych fabryk? To, co

przydarzyło się tamtemu chłopcu, było wypadkiem - nieszczęśliwym, być może nawet okropnym, ale tylko wypadkiem. Z ust Emmy wyrwało się długie, niespokojne westchnienie.

- Pragnę ci wierzyć. - Spojrzała na ich złożone dłonie, a na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech. - Kiedy będziemy po ślubie, Geoffreyu, naprawdę mogę ci się przydać.

- Oczywiście - powiedział z uśmiechem.

Był pewien, że kiedy już zostaną małżeństwem, Emma sporo czasu będzie musiała poświęcić na wypełnianie obowiązków żony, a wówczas przestanie zajmować się ciężkim położeniem irlandzkich robotników.

- A teraz powiedz mi: czy zostaniesz i zjesz z nami lunch? Wstała z wdziękiem, szeleszcząc taftowymi halkami.

- Dziękuję za zaproszenie, lecz muszę już wracać do domu. Przy płynęłam jachtem, a sam wiesz, że mama zawsze bardzo się niepokoi, ilekroć to robię.

Wyjrzał przez oszklone drzwi. Żółtozielone liście lip poruszały się niespokojnie na wietrze.

- Myślę, że pogoda nie sprzyja żeglowaniu. Pozwól, że odwiozę cię do „Brzóz” swoim landem.

Ale Emma zmierzała już w stronę wyjścia.

- Nie zaczynaj naśladować mojej matki, Geoffreyu. Sama tu przy płynęłam i z całą pewnością jestem w stanie samodzielnie wrócić do domu.

Odprowadził ją do drzwi, a potem obserwował, jak idzie po prowadzących między drzewami marmurowych płytach, przechodząc ze światła do cienia i znów do światła. Wokół niej wirowały żółtawe płatki, zupełnie jakby próbowały złożyć pocałunek na jej policzkach i włosach.

W oczach Geoffrey’a pojawiły się łzy. Wydawało mu się, że nie można kochać bardziej niż on w ten pełen kwiecica wiosenny dzień.

VIII

- Spójrzcie, jak dzisiaj pięknie: nad głowami rozciąga się błękitne niebo i świeci jasne słońce. To właśnie pierwszego maja, w taki dzień jak ten, Irlandczycy wymyślili taniec.

Bria McKenna uniosła spódnicę, usiłując zatańczyć gige, ale ogromny brzuch tak bardzo ciągnął ją do przodu, że zatoczyła się jak bąk, który skończył się już kręcić.

Być może byłaby nawet upadła, gdyby jej córka, Noreen, nie przytrzymała jej szczupłymi, lecz mocnymi rękami.

- Mamusiu! - Dziewczynka błagalnie spojrzała na Brię i zarumieniła się, po czym dodała stłumionym szeptem: - Mamusiu, co ty robisz? Wszyscy na ciebie patrzą.

- A jeśli nawet tak, to co? - powiedziała Bria, śmiejąc się do utraty tchu.

Mimo to przestała się głupio zachowywać, ponieważ przypomniała sobie, jak to jest, kiedy ma się dziesięć lat. W tym wieku wydaje się człowiekowi, że cały świat nie ma niczego lepszego do roboty niż czekać na chwilę, kiedy ty lub ktoś z twoich najbliższych zaczniecie się głupio zachowywać.

Wygładziła spódnicę. Zebrała fruujące wokół głowy loki i próbowała wsunąć je w związany sznurkiem węzeł z tyłu głowy, ale niemal natychmiast znów się wysunęły.

- Popatrz - powiedziała. - Teraz jestem już poważna jak żona sędziego pokoju. - Ze śmiechem poklepała się po sterzącym brzuchu. - Na dodatek tak duża, że w moim cieniu zdołałby się ukryć słoń.

Wzięła się pod boki i spojrzała z góry na zwrócone w jej stronę twarze córek. Noreen mocno zacisnęła wąskie wargi, tak że jej usta wyglądały jak zaszyte. Mała Merry również się nie uśmiechała, no ale w końcu Merry w ogóle rzadko się uśmiecha. Mimo to Bria z przyjemnością zauważyła, że w ogromnych błękitnych, zazwyczaj tak smutnych oczach dziewczynki widać rozbawienie.

Przeczesała palcami rude loki młodszej córeczki.

- Merry wcale się nie wstydzi swojej biednej, głupiej matki, prawda *m'eudaill*

Merry potrząsnęła główką i zanuciła cicho krótką melodyjkę, przypominającą gruchanie gołębia.

Noreen odwróciła się od nich i ruszyła przed siebie. Mineła szeroką, wzniesioną z cegieł łukowatą bramę fabryki, nie zważając na obijający się jej o nogi niewielki pojemniczek na lunch.

Bria z trudem opanowała westchnienie. Miała ochotę złapać Noreen za ramiona i potrząsnąć nią, a potem zmusić, by spoj-

rzała na błękitne niebo i świecące słońce. Chciała, by córka umiała cieszyć się dniem, czerpać z niego radość, taką, jaką odczuwa się, pijąc wodę sodową, ponieważ dni jak ten, chwile jak ta są niezwykle rzadkie, a zatem cenne, poza tym nigdy nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy się coś podobnego.

Na litość boską, dziewczęta często nawet nie były w stanie unieść głów, by spojrzeć na słońce. O świcie zrywał je z łóżek fabryczny gwizdek, wzywający do pracy, a do domu wracały, gdy było już ciemno. Pół dnia wolnego miały tylko w jedną sobotę miesiąca i rzadko się zdarzało, by nie padał wówczas śnieg lub deszcz albo nie wiał mocny wiatr.

Kiedy poczuła, że ktoś ciągnie ją za spódnicę, spojrzała w dół. Merry wsunęła spoconą dłoń w jej rękę, a wówczas Bria uśmiechnęła się przez łzy, które nagle napłynęły jej do oczu.

Po wyjściu za fabryczną bramę ruszyły Thames Street w stronę domu. Z otwartych drzwi znajdującej się na nabrzeżu tawerny dobiegł śmiech. Był właśnie odpływ i w powietrzu unosił się mocny zapach małży.

Merry zaczęła nucić jakąś długą, miłą melodię, tak jak to się robi, kiedy zapomni się słów piosenki. Bria uśmiechnęła się i powiedziała:

- Masz rację, kochanie.

Swego czasu młodsza córeczka Bria bez przerwy śmiała się lub paplała radośnie, dlatego nadano jej imię Merry*. Potem jednak nadszedł ów okropny dzień, kiedy w biednej, wzniesionej z kamienia chacie McKennów pojawił się sędzia pokoju i jego policjanci. Wydarzenie to nieodwracalnie zmieniło całe życie McKennów. Tego dnia Bria ostrzegła córki, żeby nie puszczały pary z ust, niezależnie od tego, co będzie się działo - a działy się straszne rzeczy. Od tego czasu mała Merry McKenna nie powiedziała ani słowa.

Porozumiewała się z otoczeniem za pomocą nucenia, a jedyną osobą, która potrafiła ją zrozumieć, była starsza siostra. Lecz kto wie, czy i Noreen zawsze się to udawało? Czasami przecież Merry długo coś nuciła, a potem jej siostra opowiadała niestwo-

*** Merry - wesoly (przyp. tłum.).**

rzene historie, na przykład: *Merry rozmawiała ostatnio z elfami, które mieszkają w naszym pudle na węgiel. Proszę, żeby co wieczór zostawiać im na kolację trochę okruchów.* Merry z namaszczeniem kiwała głową, jakby jej nucenie rzeczywiście dotyczyło prośby elfów.

No cóż, właściwie czy jest sens klócić się z nią, pomyślała Bria. W końcu świat naprawdę pełen jest cudów, dziwów i tajemnic.

Pełen radości.

Nim nastał tamten dzień...

Nim nastał tamten dzień, Noreen była odważną, obdarzoną przenikliwym spojrzeniem, pewną siebie i nie przebijającą w słowach dziewczynką. Noreen McKenna wiedziała swoje i nie obchodziło jej, co mówią lub myślą inni ludzie. Wówczas na pewno razem z matką zatańczyłyby gigę i na dodatek serdecznie by się z tego śmiała.

Nim nastał tamten dzień...

Kiedy dziecko gwałtownie się poruszyło, zaskoczona Bria mruknęła coś pod nosem. Przycisnęła dłoń do brzucha, czując budzące się w niej życie, mimo to wcale się nie uśmiechnęła. Nim nastał tamten dzień, pomyślała, ja również byłam innym człowiekiem.

Pulsujący ból przeszył jej ramię, puściła więc dłoń Merry, by rozmasować bark, a potem potarła również bolący krzyż. Codzienna dwunastogodzinna praca przy prąśnicy dawała się we znaki, i tu właśnie można było upatrywać następnego, być może wątpliwego, błogosławieństwa tego dnia. Kiedy tego popołudnia Bria poszła podbić swoją kartę, pan Stipple powiedział jej, że została zwolniona. Za opuszczenie stanowiska pracy, jak uzasadnił.

Z pewnością i tak w najbliższym czasie straciłaby pracę z powodu brzucha, który stał się tak ogromny, jakby połknęła nie jedną dynię, lecz cały ich zagon. Problem polegał jednak na tym, że wkrótce trzeba będzie wykarmić o jedną osobę więcej, tymczasem cotygodniowe zarobki zmniejszą się o trzy dolary.

W tym momencie w kieszeni Bria brzęknęło wesoło kilka monet i nagle poczuła, że ogarnia ją nieprawdopodobna lekkomyślność. Bardzo chciała spędzić ten dzień, wierząc, że jutro z nieba spadnie deszcz jednocentówek.

Zauważyła dziewczynkę, która na rogu ulicy miała ustawiony garnek z wrzącą wodą i sprzedawała z niego kolby kukurydzy. Bria zawołała córki i kupiła im po parującym kaczanie.

- Zabierzmy je ze sobą nad wodę - zaproponowała. - Urządzimy sobie na plaży mały piknik.

Merry chwyciła kolbę w brudną rączkę i pobiegła przodem w stronę wody. Noreen, po krótkim wahaniu, poszła w jej ślady. Postrzępione, uszyte ze zgrzebnego materiału spódniczki obijały się o łydki dziewczynek, kiedy ich bose stopy zmyślnie omijały leżące wzdłuż drogi gęsie odchody.

Portowa mewa zanurkowała tuż nad głową Noreen, usiłując ukraść jej kukurydżę. Bria przypuszczała, że dziewczynka skuli się ze strachu, ona jednak wybuchnęła śmiechem. Był to szczery, radosny śmiech, który sprawił, że oczy Brii ponownie zasnuły się łzami.

Dziewczęta usiadły na kamieniach, żeby w spokoju zjeść kukurydżę. Bria stanęła za nimi i z góry spojrzała na pochylone główki. Płomienne włosy Merry wiły się bujnie wokół głowy tak samo jak włosy matki. Kiedy dziewczynka dorośnie, z pewnością staną się jej przekleństwem. Czupryna Noreen nie była tak poskręcana i miała nieco ciemniejszy kolor - przypominała brązowe liście z domieszką irlandzkiej czerwieni. Patrząc na swe ukochane córeczki, Bria poczuła taki przyływ miłości, że aż zabolalo ją serce.

Zamrugła oczami i spojrzała na złociste fale. Powietrze było przesycone solą, zapachem ligustru i wonią psujących się ryb, które połyskiwały w słońcu w miejscach, gdzie docierały przyływy. W oddali, na wodach zatoki jakaś żaglówka halsowała w kierunku Poppasquash Point, a ciągnący się za nią kilwater zostawiał błękitną linię na srebrzystej powierzchni wody.

Bria poczuła drapanie w piersi, więc próbowała wstrzymać oddech, ale od jakiegoś czasu nawet to nie pomagało, a przecież nie mogła powstrzymywać oddechu w nieskończoność.

Kiedy otworzyła usta, by wciągnąć powietrze, z jej gardła dobył się kaszel. Bria miała wrażenie, że coś rozdziera jej klatkę piersiową. Kaszlała, kaszlała i kaszlała, aż zaczęło jej się wydawać, że pięść olbrzyma ścisła jej żebra i miążdży płuca.

Przycisnęła dłoń do piersi tuż pod bijącym bardzo szybko

sercem, a drugą ręką wyjęła z kieszeni maleńką buteleczkę z brązowego szkła i upiła z niej odrobinę. Po chwili kaszel ustał.

Wciąż miała wrażenie, że jej płuca są wypełnione jakimś płynem, teraz jednak nie będzie kaszleć. Przez jakiś czas będzie miała spokój. Z pewnością ten lek jest wspaniałym wynalazkiem, chociaż działa zaledwie przez godzinę czy dwie.

Nagle Merry wstała i zaczęła tańczyć, przestępując z nogi na nogę i nucąc jakąś piskliwą, wskazującą na podniecenie dziewczynki melodię. Palcem, po którym spływał jeszcze sok kukurydziany, wskazała na Poppasquash Point i wzniesioną z szarego kamienia, połyskującą jasno w promieniach słońca rezydencję.

Bria spojrzała w tamtą stronę, mrużąc oczy, by ochronić je przed oślepiającym odbłaskiem. Otoczony białym migotaniem nieba i wody dom sprawiał wrażenie unoszącej się w powietrzu srebrzystej chmurki.

- Rzeczywiście wygląda jak zamek z bajki - powiedziała. Potem jednak zauważyła, że Noreen spogląda na swoją młodszą siostrę ogromnymi jak koła parowozu, brązowymi oczyma.

- O co chodzi? - zapytała Bria. - Co ona mówi? Noreen spojrzała na matkę.

- Merry... Merry mówi, że ten anioł, który był dzisiaj w fabryce, mieszka w tym ogromnym srebrnym domu nad wodą i że...

Merry przez cały czas nuciła i tak gwałtownie kiwała głową, że płomienne kędziorki podskakiwały na jej główce.

- I że kiedyś zabierze cię ze sobą do tego domu - dokończyła Noreen, podrywając się na równe nogi. - Mamo, nie pozwól jej! Nie dopuść do tego, żeby ten anioł nam cię odebrał!

- A cóż to za bzdury?

Bria próbowała się roześmiać, ale gardło miała zaciśnięte. *Nie zostawię was*, chciała obiecać. *Nigdy, nigdy was nie zostawię*. Słowa jednak uwięzły jej w gardle, ponieważ było to kłamstwo.

- Bzdury - powtórzyła, chociaż wiedziała, co tak bardzo przstraszyło jej nie najmądrzejszą córkę w jednej z jej dzikich fantazji. Anioł... Tak, ta dziewczyna rzeczywiście wyglądała na anioła, kiedy stała na pomoście nad ich głowami, skąpana we wpadających przez wysokie okna promieniach słońca.

Można było odnieść wrażenie, że powietrze wokół niej drży i migocze.

Bria uklękła na kamienistej plaży, by objąć ramionami obie córki.

- Dama, która przysłała dziś do fabryki... to nie anioł. Na pewno to wspaniała i piękna kobieta, ale nie anioł. Poza tym jestem pewna, że ludzie tacy jak my w ogóle jej nie obchodzą.

Merry zanuciła żywą, słodką melodię. Nie otwierając oczu, zaczęła się kołysać, a w słowach Noreen słychać było rozmarzenie.

- Merry mówi, że nie mamy się czego bać, ponieważ dzięki temu aniołowi spełnią się wszystkie nasze marzenia.

Noreen skierowała na matkę błagalne spojrzenie. Ona jest podobna do mnie, pomyślała Bria. Rozpaczliwie pragnie cudu, ale nie jest w stanie przestać szukać skazy na tym srebrnym obrazku. Tymczasem Merry wdała się w ojca, dlatego jej serce pełne jest wzniosłych, lecz nierealnych marzeń.

- Chodźcie, dziewczęta - powiedziała, mocniej obejmując córki i przyciągając je do siebie. - Powinnyśmy iść już do domu.

Mimo to nie ruszała się z miejsca i jeszcze przez chwilę klęczała na chłodnym, wilgotnym piasku. Jej córeczki sprawiały wrażenie tak drobnych, że chciałaby zawsze przytulać je do piersi, by zapewnić im w ten sposób bezpieczeństwo.

Po drodze do domu mijały mężczyzn pracujących na polach cebuli. Wszyscy oni nieśli na ramionach motyki, a w rękach trzymali wianuszki pierwszorzędnej bristolskiej cebuli. Bria szukała wśród nich męża, ale go nie było.

Kiedy przechodziły obok saloonu „Wronie Gniazdo”, zatrzymała się i stanęła na palcach, by zajrzeć do środka przez drzwi zbite z listewek. Szukała wysokiego, muskularnego mężczyzny. Próbowwała dojrzeć go wśród klientów stojących przy barze i wspierających się ciężko na jednej nodze. Lecz tutaj również go nie było.

Ich dom stał przy Thames Street, od strony morza - była to wzniesiona z desek dwuizbowa chata, która ciężko przysiadła na palach. Miała kryty papą dach, a jej ściany, w celu uchronienia mieszkańców przed chłodnymi Nowej Anglii zimami,

uszczelnione zostały sianem. Ten dom bardzo różnił się od krytej strzechą *shibeen*, w której Bria mieszkała, zanim się tu znalazła.

Były dni, kiedy po zamknięciu oczu widziała każdy kamienny murek i każdy zagon ziemniaków w swej ojczyźnie, Irlandii. Miała wówczas wrażenie, że wyjeżdżając stamtąd, zostawiła swoje życie i własną duszę. Wiedziała, że już nigdy tam nie wróci.

W takich chwilach zmuszała się do tego, by szeroko otworzyć oczy i spojrzeć na córki oraz męża, ponieważ cała trójka była jej droższa niż życie, a potem zaczynała myśleć o kraju, do którego przybyła. O tej Ameryce, tak ogromnej i wspaniałej, kipiącej życiem, marzeniami i obietnicami. Och, swymi obietnicami Ameryka była w stanie złamać człowiekowi serce.

Gdy Bria skręciła w wydeptaną ścieżkę, szła tak szybko, że dziewczynki musiały biec, by dotrzymać jej kroku. Kiedy wchodziła po schodach na frontową werandę i otwierała drzwi, niemal nie czuła, że ma obolałe i zmęczone nogi. Ale kuchnia była pusta, i na ustach Bria zamarło imię męża i uśmiech, którym zawsze go obdarzała. W domu pachniało bekonem i kapustą, którą Bria gotowała poprzedniego wieczoru, dlatego też zostawiła otwarte drzwi, by wpuścić słońca bryzę.

W czasie kiedy dziewczęta się myły, Bria założyła fartuszek i przygotowała im kanapki z bekonem.

- Proszę - powiedziała, stawiając na stole talerz z górą jedzenia. - Będziecie musiały nieźle się napracować, żeby sobie z tym poradzić.

Noreen zrobiła głupią minę, ponieważ matka powtarzała dokładnie to samo w każde wolne sobotnie popołudnie, ilekroć przygotowała im kanapki. Lecz Bria jedynie się roześmiała.

Pochyliła się i pocałowała córeczkę w czubek głowy, tam gdzie wśród brązowych włosów lśnił biały kosmyk.

- Może wyszłybyście na dwór, żeby nacieszyć się resztą dnia i słońcem, które tak pięknie świeci? - Delikatnie ścisnęła ramię dziewczynki. - W takim razie idź, kochanie, i zabierz ze sobą kolację.

Noreen rzuciła pełne tęsknoty spojrzenie w kierunku otwartych drzwi, lecz nadal odczuwała strach. Po chwili jednak porwała w obie ręce kanapki i wybiegła na zewnątrz, na słońce.

Bria ruszyła w ślad za nią, stanęła w drzwiach i obserwowała ją z uśmiechem. Lecz gdy w chwilę później rozejrzała się w poszukiwaniu Merry, zauważyła, że dziecko usiadło przy stole i zasnęło, nie zdążywszy nawet ugryźć swojej kanapki. Czasami zdarzało się, że najmłodszy zapadał ze zmęczenia w sen, stojąc przy prąśnicach.

Bria wzięła ją na ręce i zaniósła do sypialni. Merry sprawiała wrażenie niezwykle lekkiej, tak lekkiej jak najdelikatniejszy jedwab. Na widok szczupłej i zmęczonej twarzyczki ukochanego dziecka Bria poczuła, że jej serce przygnięta straszliwy ciężar.

Położyła córeczkę na szorstkim, lecz czystym prześcieradle ze zgrzebnego płótna. Przyglądała płomienne loczki Merry i pocałowała ją w czoło. Jutro, obiecała sobie, zabierze dziewczęta na porządny piknik na plażę miejską. Kupi im bułeczki z galaretką, nawet jeśli będzie musiała za nie zapłacić aż pięć centów.

Jutro... Zadrzała, ogarnięta nagle falą rozpacz. Jutro - jakie to wspaniałe, a zarazem smutne słowo. Pełne nadziei i obietnicy. Niestety, tylko wówczas, gdy można być pewnym, że będzie się miało jakieś jutro.

Bria ponownie pocałowała córeczkę, tym razem muskając ją delikatnie jak piórko, po czym wróciła do kuchni. Spojrzała na leżącą na wyszczerbionym emaliowanym talerzyku kanapkę i przyszło jej na myśl, że powinna ją zjeść. Od jakiegoś czasu prawie w ogóle nie miała apetytu, mimo to będące w jej brzuchu dziecko wcale nie przestawało rosnąć i przybierało na wadze, tymczasem reszta ciała Brii coraz bardziej przypominała garstkę gałązek powiązanych sznurkiem. Na dodatek teraz, kiedy straciła pracę, a jej mąż wrócił na pola cebulowe, już wkrótce zaczną żyć o marchewce, rzepie i bagiennych jabłkach.

Zrobiło jej się niedobrze, gdy poczuła zapach bekonu. Zapakowała więc kanapkę w kawałek papieru i odłożyła ją na później.

Ponieważ postanowiła upiec świeżą porcję chleba, wsypała węgiel do czarnego żelaznego pieca. W Irlandii gotowała na otwartym palenisku, umieszczając nad nim ogromny garnek z ziemniakami i rzepą. Na podpałkę nie potrzebowała drewna ani węgla, ponieważ korzystała z torfu, który wykopywała tuż za drzwiami chaty. Z ciężkim westchnieniem przypomniała sobie, że nic nie pachnie tak wspaniale jak palący się torf.

Energicznie potrząsnęła głową, starając się oderwać myśli od starego kraju. Dobrze byłoby, gdyby wyrzuciła wspomnienie o nim z głębi serca - przecież nigdy już nie zobaczy Irlandii. Sięgając po pudełko z mąką, zerknęła przez okno i zauważyła

córkę, która kuciała na podwórku i sama z sobą grała w kamyki. Wokół niej zebrała się grupka pracujących w fabryce obdartych chłopców, którzy z milczącym podziwem obserwowali, jak No-reen podrzuca cztery kamyki naraz, po czym łapie je wszystkie.

Widząc to, Bria mimo woli uśmiechnęła się. Kto by pomyślał, że obdarzona ostrymi rysami twarzy i szorstkim sposobem bycia Noreen będzie miała takie powodzenie u chłopców.

- Boże, zmiłuj się nad nami! - zawołała na głos, kiedy jeden z chłopców zaproponował jej córce palonego przez siebie papierosa. Trudno było przewidzieć, czy niesforne dziecko przypadkiem nie skorzysta z propozycji. - Już wkrótce jej ojciec będzie musiał zacząć używać *shillelagh*, by odpędzić od niej adoratorów.

- Czyżbyś rozmawiała z wrózkami?

Bria odwróciła się tak szybko, że o mały włos byłaby przewróciła otwartą puszkę z mąką.

- Donagh! Ale mnie przestraszyłeś.

Stojący w drzwiach mężczyzna uśmiechnął się tak promiennie, że jego uśmiech przyćmił blask słońca. Podbiegła do niego jak na skrzydłach, stanęła na palcach i głośno pocałowała go w policzek. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, co powiedzą sąsiedzi: „Pani McKenna bezwstydnie rzuca się na szyję proboszczowi parafii Najświętszej Marii Panny”

- i nie będzie miało dla nich żadnego znaczenia, że ten wspaniały i przystojny facet to jej rodzony brat.

Ujęła go pod ramię i wciągnęła do środka.

- Usiądź. Już stawiam czajnik na ogniu.

Wzięła czarny kapelusz, by powiesić go na wbitym w ścianę haku, a potem z uśmiechem obserwowała, jak brat usadawia się na jednym z krzeseł.

- Wspaniale wyglądasz, *mo bhriathair*.

Ojciec Donagh O'Reilly rzeczywiście był przystojnym mężczyzną. Miał gęste ciemnorude włosy, życzliwe brązowe oczy

i szerokie usta skłonne do uśmiechu. Z pewnością Bóg, zsyłając mu powołanie, działał na szkodę jakiejś kobiety.

Zaczął gwizdać czajnik, więc Bria podeszła, by zestawić go z pieca i przyrządzić herbatę.

- Cieszę się, że widziałem cię dzisiaj na mszy o piątej rano - powiedział Donagh, zagłuszając cichnący gwizd czajnika.

Obejrzała się przez ramię i przesłała mu serdeczny uśmiech.

- Czyżbyś miał oczy z tyłu głowy?

Uśmiechnął się od ucha do ucha, potem jednak spoważniał.

- Może nie z tyłu głowy, ale przecież je mam. Uszy również. Regularnie uczestniczysz w porannych mszach. Od przyjazdu tutaj nie opuściłaś ani jednej. Ani razu jednak nie słyszałem twego głosu w konfesjonale. Ani razu nie wsunąłem między twoje wargi świętej hostii.

Bria odwróciła się do niego plecami, udając, że jest zajęta starannym ustawianiem filiżanek na spodeczkach. Poczowała gwałtowny ucisk w żołądku, poczuła, że robi się jej niedobrze.

- Briu, dziewczyno... Co prawda jestem namaszczonego sługą bożym, ale nim do tego doszło, byłem twoim starszym bratem i rozumiem, co możesz... - Urwał. Bria domyślała się, że w tej chwili Donagh wpatruje się w nią zmartwionym i zaniepokojonym wzrokiem. - Jeśli jest coś, czego nie możesz mi wyznać, to przecież w Warren mają bardzo miłego i wyrozumiałego księdza. Może mógłbym podwieźć cię do niego swoim powozem?

Z trudem powstrzymała chęć, by objąć rękami swój ogromny brzuch.

- Nie mogę! - krzyknęła. - Nie mogę. Po prostu nie mogę. Więc nie pytaj mnie o to, Donagh. Wszystko, tylko nie to. Usłyszała, że wstaje, i w chwilę później poczuła na ramieniu ciepło jego dłoni.

- Nie istnieje grzech, którego Bóg nie byłby w stanie wybaczyć - powiedział łagodnie.

Bardzo chciała skorzystać z pocieszenia, mimo to stała sztywno wyprostowana. Nigdy już nie uklęknie w konfesjonale ze złocistego dębu, nigdy nie będzie prosić o wybaczenie czegoś, czego wcale nie żałuje.

Odwrócił ją, próbując zajrzeć jej w twarz. Bria jednak przytuliła się do niego i odwróciła głowę. Dał jej spokój.

- Słyszałem, że zwolniono cię z fabryki - powiedział po chwili.

- Uhm. - Chciała, żeby to mruknięcie zabrzmiało jak radosne

parsknięcie, ale nie udało się jej to. - Podejrzewam, że twoje uszy wychwytyją wszelkie plotki, zanim jeszcze umilknie fabryczny gwizdek.

Potarł kark i chrząknął.

- Tak, no cóż, między innymi właśnie dlatego skazana jesteś dziś na moje towarzystwo. Pani Dały, moja gospodyni, postanowiła zamieszkać razem z córką na drugim krańcu Bostonu, w związku z czym zostawia mnie samego. Teraz nie będę miał nikogo, kto ścierałby kurz z balustrad i każdego popołudnia wyjmował z szafy moje kapcie. - Poglądził ją po brodzie. - Przyszedłem zatem, by ci powiedzieć, że jeśli tylko zechcesz, chętnie powierzę ci to zadanie.

Zaznaczam jednak, że nie będę w stanie płacić ci tyle, ile zarabiałas w fabryce.

Z piersi Brii wyrwał się szloch. Donagh objął siostrę, a ona wtuliła twarz w czarną szorstką, wełnianą sutannę. Bria czuła, że do oczu wciąż napływają jej łzy, zwłaszcza kiedy, głaszcząc ją po plecach, brat powiedział uspokajająco:

- Dobrze, już dobrze.

Przywarła do niego, jakby oboje tonęli.

Kiedy w końcu się uspokoiła, odsunął ją od siebie na odległość ramienia. Po chwili odezwał się głosem stłumionym, jakby bolało go gardło.

- Czy dobrze się już czujesz, dziewczyno? Przytaknęła, pociągnęła nosem, a w końcu wytarła go wierzchem dłoni.

- Co ludzie na to powiedzą? Dajesz taką świetną pracę własnej siostrze.

- Będą się cieszyć, że to siostra, a nie jakaś ładna młoda dziewczyna, czyhająca na moją kapłańską cnotę.

Wybuchnęła śmiechem, potem jednak chwycił ją uciążliwy, dobywający się z głębi piersi kaszel. Pod jego naporem zgięła się wpół i zaczęła grzebać w kieszeni, szukając chusteczki oraz cudownego lekarstwa.

Wypiła spory łyk eliksiru i po chwili kaszel ustał. Wsunęła butelkę z powrotem do kieszeni i przy okazji próbowała ukryć w niej również chusteczkę, nie chcąc, żeby zobaczył ją brat. Ale Donagh nie był głupcem. Złapał ją za nadgarstek, wyjął chusteczkę z zeszywniałych palców i zobaczył plamy. Obok

starych - zaschniętych, rdzawych - były również świeże, jasno-czerwone.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, usłyszała jednak przerażenie w jego głosie, gdy powiedział:

- Ach, Briu, Briu...

Nie dodał ani słowa, ona również milczała.

IX

Stali w bezruchu, nie patrząc na siebie. Czuli się tak, jakby oplatał ich sznur skręcony z nie wypowiedzianych słów. W pewnym momencie Bria zdała sobie sprawę, że zza otwartych drzwi dobiega rzępolenie skrzypiec. Doszła do wniosku, że muzyka musi rozbrzmiewać już od jakiegoś czasu. Drgnęła, starając się odsunąć od siebie myśli, które tak mocno zaprzątnęły ich oboje.

- O, posłuchaj! - powiedziała. - To przecież irlandzka muzyka. Ktoś gra „The Wind That Shook the Barley”. Może będą tańczyć?

- Briu... - Znow próbował ją objąć, ale prześlizgnęła się między jego wyciągniętymi rękami i wybiegła na ulicę, gdzie najwyraźniej zaczęli się zbierać mieszkańcy najbliższej okolicy.

Byli tam, oczywiście, irlandzcy robotnicy, ponieważ skrzypek grał gigę pochodzącą z ich ojczyzny. Ale pojawili się również *bravas* - Portugalczycy z Zielonego Przylądka, ludzie, których skóra kolorem przypominała mosiądz.

Wszyscy oni pracowali w fabryce kauczuku, w związku z czym ich ubrania i włosy przesiąknięte były charakterystycznym zapachem gumy. Melodyjna muzyka wyciągnęła z domów nawet jankesów - rodowitych mieszkańców Bristolu, ludzi, którzy wygrzebywali małże lub zraszali potem pola cebulowe i być może byli jeszcze biedniejsi niż Irlandczycy.

Palce skrzypka szybko i zwinnie biegały po strunach, sprawiając, że nogi same rwały się do tańca. Przed zakładem fryzjerskim pojawił się golibroda Colin. Miał na sobie szafranową szkocką spódniczkę, a pod pachą dudy, na których zaczął wygrywać żywą i radosną melodię. Wówczas pierwsza para splotła ramiona i ruszyła w tany, a w ślad za nią poszli inni.

Męskie wargi dotknęły ucha Brii. Uśmiechnęła się, gdy poczuła na policzku oddech.

- Zanim dzień dobiegnie końca, dostanę od ciebie i taniec, i całusa, *mo chridh*.

Z uśmiechem odwróciła się i zmierzyła wzrokiem wysokiego, postawnego mężczyznę, jakim był Seamus McKenna.

- W najlepszym razie dostaniesz ode mnie w ucho, ty zarozumiały prostaku - powiedziała.

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Ten śmiech był Brii McKennie tak samo potrzebny do życia jak pulsująca w żyłach krew.

Nagle u boku ojca pojawiła się Noreen. Chwyciła jego ogromną dłoń w obie ręce.

- Nie tańcz z nią, tato. Jest teraz tak gruba, że wszyscy będą się z niej śmiać.

Bria wzięła się pod boki i zaczęła udawać, że jest obrażona.

- Powiadasz, że jestem za gruba? Zgoda, moja panno, dlatego też musisz mnie zastąpić i zatańczyć z tym biednym człowiekiem. Czy nie widzisz, że nogi same mu się rwą, by trochę popodskakiwać?

Shay nie dał córce szansy na protest. Porwał ją w ramiona i wprowadził między kręcących się tancerzy. Już po chwili twarz Noreen poczerwieniała, a na ustach pojawił się uśmiech. Patrzącą na nich Brię ogarnęła fala miłości.

Donagh stanął obok siostry i obserwował tancerzy, przytupując w rytm muzyki i wzniecając obłok kurzu.

- Twój Seamus wcale nie przestał być wspaniałym tancerzem. Można by przypuszczać, że jest na tyle szybki, by tanecznym krokiem uciec od wszelkich kłopotów.

Spojrzała ostro na niego.

- O jakich kłopotach mówisz, ojczy O'Reilly?

W tym jednak momencie dudy i skrzypce wspaniałym ozdobnikiem zakończyły gigę, a roześmiani tancerze z trudem próbowali złapać oddech. Shay spojrzał na Brię, a na jego ustach pojawił się promienny i zuchwały uśmiech. Wciąż trzymając Noreen, drugą ręką objął żonę w pasie i razem ruszyli w stronę domu.

Donagh dotrzymywał im kroku.

- Spójrz na tego człowieka. Uśmiecha się jak sknera nad garnkiem pełnym złotych monet.

- Dysponuję czymś cenniejszym niż złoto - powiedział Shay. - Mam dwie najpiękniejsze dziewczyny w całym stanie Rhode Island i Providence Plantations, jedną po prawej, drugą po lewej stronie.

Bria pochylili się ku mężowi, potarła głową o jego ramię i przycisnęła do niego biodro.

- Masz jedynie język słodki jak miód, panie McKenna. Noreen zachichotała i spojrzała na ojca pełnym uwielbienia wzrokiem. Kiedy jednak skręcili w ścieżkę prowadzącą na frontową werandę, wyślizgnęła się, by przyłączyć się do chłopców, którzy grali w stickball*, używając w tym celu starej, gumowej piłki i pociętych kijów od miotły.

Znowu chłopcy, pomyślała Bria, w głębi duszy ciężko wzdychając. Nie miała wątpliwości, że nadchodzą kłopoty. Kiedy tylko przekroczyli próg chaty, Shay wsunął rękę do kieszeni znoszonych sztruksowych bryczesów i, jak w każdą sobotę, oddał żonie swoje tygodniowe wynagrodzenie. Ale odkąd wrócił do pracy na polach cebulowych, zarabiał jedynie ćwierć dolara dziennie. Bria wiedziała, że trzyma w dłoni zaledwie kilka niewielkich monet - mogła za nie kupić jedynie żywność oraz węgiel i opłacić czynsz.

Wrzuciła je do kieszeni fartucha, a potem uniosła głowę i uśmiechnęła się do męża, ale nie zdołała go oszukać. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy, dlatego odwrócił się od niej.

Donagh klasnął w dłonie, a potem je zatarł.

- Na Boga, chętnie bym się czegoś napił. Obserwowanie, jak tańczysz, Seamusie, to bardzo wyczerpujące zajęcie. Tak się zmęczyłem, że aż zaschło mi w gardle.

Shay podszedł do kredensu, w którym stała butelka whisky. Otworzone z nadmierną siłą drzwiczki trzasnęły o ścianę.

- Uciszcie się obaj - powiedziała Bria. - Pozwólcie Merry trochę pospać. Biedne maleństwo było tak wyczerpane, że oczy same jej się zamknęły, nim zdążyła zjeść kolację...

* **Stickball** - często spotykana na ulicach miast gra dziecięca podobna do baseballa (przyp. tłum.).

Po słowach Brii zapadła cisza. Shay powoli uniósł głowę, a jego szczerze, poważne spojrzenie zatrzymało się na twarzy żony. Dostrzegła w jego oczach złość, wiedziała jednak, że ma on pretensje tylko do siebie. Mężowie innych kobiet bez zastanowienia wysyłali swoje dzieci do przędzalni lub fabryki kauczuku, lecz Shaya konieczność ta bardzo irytowała. Jego serce odczuwało wszystko ze zdwojoną siłą.

Tymczasem jeszcze dzisiaj do dźwiganego przez niego brzemienia będzie musiała dodać następne zmartwienie - wiadomość, że została zwolniona z pracy i chociaż ma teraz zajęcie na plebanii, to zarobi mniej niż dotychczas.

Kiedy Bria się odwróciła, jej wzrok padł na stół, gdzie nagle pojawiła się pękająca w szwach siatka z jabłkami. Ich wspaniałe, lśniące zielone skórki wyglądały, jakby zrobione były z wosku.

- Och, Shayu! - zawołała głośno i pogodnie. - Przyniosłeś zielone jabłka. Skąd je wzięłeś?

Nie odpowiedział, zajęty nalewaniem whisky do dwóch maleńkich pucharków. Potem uniósł głowę i spojrzał jej w oczy, a jego twarz złagodniała.

- Wyobraź sobie, że zatopiony w myślach przechodziłem obok domu pani Maguire, kiedy nagle pojawiła się w drzwiach. Powiedziała, że kupiła za dużo jabłek. Zapytała, czy nie byłbym tak miły i nie zechciał wziąć od niej trochę. Przy okazji nie omieszkała zaznaczyć, że nie przyjmie odpowiedzi: „Nie, dziękuję”.

- To chyba oczywiste. Jak inaczej mogła postąpić ta stara, złakniona mężczyzn wiedźma? Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby się okazało, że wszystkie stare panny i wdowy w całym stanie zdążyły już wziąć z ciebie miarę na nowy garnitur ślubny...

Bria urwała, kiedy do jej uszu dotarło to, co właśnie powiedziała, lecz było już za późno. Nie miała odwagi spojrzeć na Shaya ani na brata. W kuchni zapanowała taka cisza, że słychać było tykanie niewielkiego zegarka i trzaskanie płonącego w piecu węgla. A także dobiegające z ulicy radosne dźwięki skrzypiec i zawodzenie dud. Z pewnością przez całą noc będą tańczyć na świeżym powietrzu, pomyślała.

Czuła potrzebę, by zakaszleć, ale zdołała się powstrzymać, chociaż bardzo paliło ją w piersi. Po tym, co właśnie powie-

działa, nie mogła jednak pozwolić sobie na następny atak kaszlu ani spluwanie krwią. Zabrała torbę z jabłkami, wzięła miskę i obierak, po czym usiadła w wyplatanym fotelu bujanym obok pieca. Upiecze szarlotkę na jutrzejszy piknik. To taki typowo amerykański placek. Shay i Donagh usiedli przy stole, łokcie oparli na wyblakłej brązowej ceracie, a każdy z nich trzymał w ręce pucharek z whisky. Czują na sobie ich spojrzenia, odgadywała ich bolesne myśli i wywołana tym świadomość była o wiele cięższa niż ból w piersi. Przez otwarte drzwi wszedł kot Shaya, Gorgeous. Po chwili podskoczył i ciężko wylądował na udach swego pana. Shay utrzymywał, że ta bestia sama przyszła za nim do domu -trele-morele, bardziej prawdopodobne, że została przyniesiona. Była wówczas zagłodzona i koścista, a jej pstre futerko miało kolor gnoju. Na szczęście przeznaczenie zesłało jej zbawiciela w postaci obdarzonego dobrym sercem Shaya McKenny. I chociaż od tego czasu kocur znacznie się zaokrąglił, nadal był najbrzydszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek chodziło po tym świecie. Kiedy Bria była pewna, że mąż już na nią nie patrzy, uniosła głowę i spojrzała na niego. Siedział rozparty w krześle, z wyciągniętymi przed siebie nogami, a jego palce niespokojnie głaskały futerko kota. Kiedy był w takim nastroju, w każdym calu wyglądał na nieobliczalnego, zawziętego i ponurego Irlandczyka. Bria bardzo go kochała, ale ta miłość była zarówno radością jej życia, jak i ciężarem. W końcu poruszył się, unosząc swój pucharek w starym celtyckim toaście.

- Za ukochaną Irlandię. Oby Bóg przeklął znieawidzoną Anglię.

Donagh dotknął swoim pucharkiem kieliszka Shaya.

- Za ukochaną Irlandię - powtórzył, pomijając przekleństwo przez szacunek dla koloratki, którą miał na szyi.

Jak zwykle zaczęli rozmawiać o polityce, a Bria słuchała ich jednym uchem, obierając i krojąc jabłka. Padały stare, dobrze znane słowa, dotyczące kłopotów Irlandii. Z mlekiem matki wyszali śmiertelną nienawiść do angielskiej władzy, i kultywowali ją, popijając nielegalnie pędzoną w piwnicach „Wroniego Gniaz-

da" irlandzką whisky - *poitin*. Zdaniem Brii alkohol ten miał taki sam zapach jak torf palony w palenisku, na którym gotowała posiłki w swej chacie w Irlandii.

Shay mówił teraz o Clan-na-Gaoel. A więc to tam spędził popołudnie, pomyślała. Na kolejnym spotkaniu klanu, przeklinając wszystko, co angielskie, i śpiewając buntownicze pieśni. Planując, w jaki sposób zebrać pieniądze na wzniosły cel, niezależnie od tego, ilu synów irlandzkich matek, walcząc o niego, poniesie śmierć ani ile żon owych zapaleńców pochowa ich.

Potała zmęczonymi stopami o szydełkowy dywanik leżący pod krzesłem i wróciła myślami do jutrzejszego pikniku. Miło będzie czuć ciepłe promienie słońca na włosach i morską wilgoć na twarzy. Rozłoży na piasku koc, usiądzie na nim, położy sobie głowę Shaya na kolanach i poobserwuje, jak dziewczęta bawią się w berka z morskimi falami. Jej serce będzie kipiało radością. Zrobi wszystko, by ten wspaniały dzień na długo zapadł im wszystkim w pamięci. Na razie jednak siedziała we własnej kuchni, słuchała prowadzonej przez mężczyzn rozmowy i obserwowała, jak zielona skórka jabłka zwija się poniżej obieraka.

W pewnym momencie usłyszała koniec wypowiedzi Shaya:

- ...najlepszym miejscem byłby brzeg zatoki od strony Poppasquash Point.
- Może masz rację - odparł Donagh. - Ale wchodzenie na prywatny teren kogoś z bogaczy jest w Ameryce takim samym przestępstwem jak w Irlandii, mój chłopcze.
- Twoje słowa przypomniły mi coś, co wydarzyło się dzisiaj rano - powiedziała Bria, potem jednak pożałowała, że w ogóle się odezwała. Nagle, nie wiadomo dlaczego, wcale nie miała ochoty na rozmowę o tej dziewczynie czy, jak określiła to Merry, o „aniele”, który ma spełnić ich marzenia. Kiedy ta młoda dama stała na pomoście, wyglądała, jakby należał do niej cały świat, a Bria czuła, że coś ją do niej ciągnie, i nic nie mogła na to poradzić.

Powiedziała:

- To tam właśnie mieszkają Tremayne'owie. W fabryce opowiadają o nich niestworzone historie.
- Jakie historie? - zapytał Donagh.

Shay delikatnie drapał kota za uszami, ale zacisnął usta, a w jego oczach pojawił się twardy wyraz.

- Nazywają ich szalonymi i nikczemnymi Tremayne'ami - powiedziała Bria. - Pierwszy z nich przybył z Kornwalii ponad dwieście lat temu. Prawdę mówiąc, uciekł, ponieważ w swej ojczyźnie został skazany za morderstwo. Zajął się handlem czarnymi i na tym się wzbogacił - na niewolnictwie i piractwie. Najprawdopodobniej z tamtych właśnie czasów pochodzi przekonanie o ciężającej na tym rodzie klątwie.

- Przypuszczałem, że w tej historii musi kryć się jakaś klątwa - powiedział Donagh. - Nie obeszłoby się bez tego.

- No cóż, wiadomo, że w ciągu ostatnich kilku lat dotknęło ich kilka prawdziwych nieszczęść. Najpierw młodsza z córek została kaleką po wypadku na sankach. Potem jej brat, który czuł się odpowiedzialny za to nieszczęście, wypłynął podczas sztormu żaglówką i zatonął. Albo, zdaniem niektórych, sam się utopił.

Bria wyciągnęła szyję, by przez drzwi sypialni upewnić się, czy Merry nadal śpi. To dziecko słyszy nawet, jak rośnie trawa.

- W jakiś czas po tej tragedii - ciągnęła, ścisząc głos do szeptu - opuścił ich ojciec. Odpłynął jachtem i zniknął bez śladu, ale nie zginął w morzu jak jego syn. Powiadają, że mieszka w eleganckim domu na Kubie i nieźle się bawi ze wszystkimi swoimi kochankami.

Shay uniósł głowę, a Donagh się uśmiechnął.

- Mówisz, że ma więcej niż jedną kochankę? O Boże, jak to dobrze być człowiekiem bogatym.

- I pomyśleć - rzekł Shay, z szyderczym westchnieniem dolewając whisky do pucharka Donagha - że ty, biedny, cnotliwy człowieku, nigdy tego nie zaznasz.

Spojrzał na Brię, a w jego oczach widać było wesołość.

- Wy, dziewczyny, musicie paplać bez przerwy podczas przedzenia.

- Paplać? A jak określisz to, co w y obaj robicie przez cały dzisiejszy wieczór? Przypuszczalnie uznasz to za dyskusję filozoficzną.

Trzymając w rękach miskę z pokrojonymi jabłkami, wstała z bujanego fotela, by je posłodzić, gdy nagle zorientowała się, że przy stole, przy którym siedzą mężczyźni, zapadła cisza.

A kiedy się odwróciła, dostrzegła coś dziwnego w ich twarzach, zupełnie jakby poczucie winy. Przynajmniej brat sprawiał wrażenie człowieka, który coś przeszkrobał. Ilekroć Shay miał tak kamienną twarz, wiedziała, że powinna się martwić.

- Co wy kombinujecie? - zapytała.

Odpowiedź Shaya była żartobliwa, lecz jego niepewny uśmiech zdradzał zdenerwowanie.

- Jeśli ci powiem, kochanie, na pewno dostanę w ucho.

W tym momencie Gorgeous zaczął chrapliwie mrużyć, ugniatając udo Shaya wielkimi, choć delikatnymi łapami. Pragnąc podrapać kota po głowie, Shay uniósł rękę, a wówczas Bria zauważyła na jego kostkach zadrapania i siniaki. Ostrożnie odstawiła miskę z jabłkami i podeszła do niego. Shay nie należał do mężczyzn, którzy wdawali się w bójki w sa-loonie. Bria doskonale jednak wiedziała, co jeszcze jest w stanie zostawić takie ślady na męskiej pięści - worek treningowy wypełniony czternastoma kilogramami piasku.

Uniosła dłoń męża, a on wcale nie próbował jej chować. Bria doszła do wniosku, że powinna być zła, smutna lub zawiedziona, tymczasem czuła jedynie ucisk w żołądku, zupełnie jakby zjadła za dużo niedojrzałych owoców.

Przycisnęła wargi do poturbowanej dłoni męża, a potem puściła ją z rozmachem. Dłoń opadła na kolana Shaya, niechcący uderzając Gorgeousa. Kot z miauknięciem zeskoczył na podłogę.

- Przyrzekłeś, że już nigdy nie będziesz tego robić - powiedziała. - Przyrzekłeś mi to na grobie swojej matki.

Uniósł głowę i odważnie spojrzał jej w oczy, ale nie odezwał się. Znała go przez całe życie i wiedziała, że w głębi jego duszy tkwi coś twardego. Było to miejsce, do którego nigdy nie udało jej się dotrzeć. Shay samodzielnie podejmował wszelkie decyzje.

Odwróciła się i sztywnym gestem palca wskazała na brata.

- A ty, niezależnie od tego, co to jest, brałeś... w tym... udział. Nie próbuj mi nawet mówić, że nie mam racji, ponieważ widzę na twojej twarzy diabelski uśmieszek...

Donagh chwycił ją za nadgarstek.

- Briu, na litość boską! Czy możesz chociaż na chwilę powściągnąć złość i posłuchać mnie?

Uwolniła dłoń z jego uchwytu tak gwałtownym szarpnięciem,

że zatoczyła się do tyłu. Skrzyżowała ręce na piersiach. Nie mogła patrzeć na Shaya. Już na niego nie spojrzy.

- W takim razie opowiedz swoją bajkę, braciszku. Rozpiął sutannę i wyjął zza pazuchy drukowaną na różowym papierze gazetę.

- Słyszałaś o takim brukowcu jak „Police Gazette”?

Bria sztywno przytaknęła. Nie tylko słyszała, lecz również widziała, i chociaż nie umiała czytać, doskonale orientowała się, jak wyglądają tego typu czasopisma. W trzymanym przez brata - bądź co bądź księdza - egzemplarzu widać było zdjęcie obdarzonej bujnymi kształtami, uśmiechniętej od ucha do ucha modelki, mającej na sobie jedynie ozdobione błyskotkami pończochy.

- No cóż... - powiedział Donagh, rumieniąc się, kiedy zdał sobie sprawę, na co patrzy Bria. Złożył gazetę inaczej, ukrywając gorszące zdjęcie. - Wydawca, facet o nazwisku Richard Fox, ostatnie dziesięć lat poświęcił na poszukiwanie śmiałka, który byłby w stanie pokonać Johna L. Sullivana, mistrza Ameryki w pięściarstwie. Fox wyznaczył nawet nagrodę dla człowieka, któremu uda się tego dokonać. Jest to pas wykonany ze złota i srebra, ozdobiony diamentami.

- No i co z tego? Po co komukolwiek tak wspaniała rzecz do podtrzymywania starych, zniszczonych sztruksowych bryczesów?

Donagh przeniósł wzrok na Shaya, a spojrzenie, które wymienili, miało w sobie coś, czego nie rozumiała. Przyszło jej na myśl, że czasami szczerze nienawidzi mężczyzn, zwłaszcza tych dwóch, których jednocześnie najbardziej kocha.

- Pan Fox - ciągnął Donagh - znalazł już faceta, który wierzy, że może wygrać tę nagrodę. Jest to jakiś jankeski arystokrata, który studiuje na Harvardzie i nosi spodnie z eleganckiej wełny czesankowej, spodnie, które z pewnością będą odpowiednie do pasa z diamentami. Ale zanim Sullivan zgodzi się stanąć z nim na ringu, ów jankes musi dowieść, że jest poważnym kandydatem. Może to zrobić, walcząc z godnym siebie przeciwnikiem.

Urwał i ponownie spojrzął na Shaya, ale Bria nie chciała patrzeć na męża, może nawet już nigdy na niego nie spojrzy. Płonącym wzrokiem uparcie wpatrywała się w brata.

- Może zechciałbyś, nieszczęsny człowieku, dokończyć swą

wspaniałą opowieść, którą urwałeś w chwili, kiedy zaczęła być naprawdę ciekawa?

- Ach, Briu... - Donagh przetarł dłońmi twarz i westchnął. -Pan Fox usłyszał, że ten oto człowiek - machnięciem ręki wskazał Shaya - był mistrzem Irlandii w walce na gołe pięści, w związku z tym przyszło mu na myśl, że Seamus i ten jankeski chłopiec mogliby stoczyć ze sobą walkę. Odbyłaby się ona tutaj, podczas słynnych bristolskich uroczystości, organizowanych z okazji Czwartego Lipca. To wszystko... Albo prawie.

Donagh podniósł butelkę, nalał whisky do swego pucharka i opróżnił go jednym haustem. Potem opuścił głowę i zaczął udawać, że interesuje go widok dna pucharka, a Bria zdała sobie sprawę, że już nic więcej nie uda jej się wyciągnąć z brata.

Shay, oczywiście, nie odezwał się ani słowem.

Powoli odwróciła się w jego stronę. Nie mrugnął nawet, nie wyglądał również na zawstydzonego, a niezależnie od tego, co myślał, z jego twarzy nie można było niczego wyczytać.

Bria objęła się mocniej ramionami, jakby chciała mieć pewność, że nie rozpadnie się na drobne kawałki.

- Czy istnieje jakieś, choćby najmniejsze słowo, które chciałbyś mi powiedzieć, Seamusie McKenno? A może, kiedy nie patrzyłam, pojawiły się tu wróżki i odebrały ci mowę?

Wyciągnął obie ręce, ujął jej ramiona, rozplótł je, po czym przyciągnął ją do siebie. Była wściekła, że jej dotknął, ponieważ - Boże, dopomóż! - tak bardzo go kochała.

Puścił jej ręce i położył swe ogromne dłonie na jej biodrach. Spojrzał na nią płonąącym wzrokiem. Zawsze ubolewała, że ten ogień nie ma z nią niczego wspólnego.

- Może to słowo zdoła cię zadowolić, żono: do lary? Sto dolarów dla mnie i drugie sto dla klanu za to, że pełni funkcję mojego sponsora. W zamian muszę jedynie tak długo boksować się z tym jankeskim chłopakiem, by dać niezły pokaz, a potem w trzeciej lub czwartej rundzie paść na brezent.

Przyciskał żonę, której ręce znajdowały się w jego czuprynie. Przesypujące się między palcami Brii delikatne, ciepłe włosy sprawiały wrażenie, jakby zatrzymały w sobie cały słoneczny blask tego dnia.

- To sport zakazany przez prawo - przypomniała, zła na

samą siebie za drżenie głosu. Za to, że się poddaje. - Mogą cię wsadzić do więzienia...

- Nazwą to „naukowym pokazem walki bokserskiej” - powiedział Donagh zza jej pleców. - A wówczas będzie to już zgodne z prawem.

Zacisnęła palce na włosach Shaya.

- A więc zapłacą ci za to, żebyś przegrał z jakimś jankesem. A kiedy już się to stanie, co będzie z twoim honorem?

Chociaż Shay był wysoki i zwalisty, potrafił szybko się poruszać. Poderwał się z krzesła i stanął w otwartych drzwiach, a ona poczuła podmuch powietrza, kiedy mąż ją mijał. Oparł się o framugę, wsunął ręce głęboko w kieszenie bryczesów i wpatrzył się w to, co działo się na zewnątrz. Skrzypce i dudy grały jakąś szybką, szaloną melodię.

Bria zdała sobie sprawę, że na podwórku ścielą się już długie cienie zmierzchu. Światło miało jeszcze kolor złocistego syropu, ale wewnątrz niewielkiego domku robiło się już ciemno. Przyszło jej na myśl, że powinna zapalić lampę, ale nie wykonała żadnego ruchu. Po chwili dobiegł do niej głos męża. Był to ostry szept, przypominający odgłos piasku trącego o kamień.

- Znam jedną czy dwie rzeczy znacznie gorsze niż utrata honoru. Czy mam je wymienić, Briu, kochanie? Czy muszę ci mówić o zgniłych ziemniakach albo o zabrudzonych na zielono ustach najbliższych, którzy próbowali jeść trawę rosnącą na poboczu drogi? Czy mam wspominać o życiu w kamiennej chałupie z dachem krytym darnią wyciętą z ziemi, która nigdy nie będzie należała do ciebie, chociaż od wieków żywi się krwią i kośćmi tych, którzy nosili twoje nazwisko?

Uderzył dłonią w ścianę i odwrócił się do żony. Wciąż był słabo widoczny w cieniu kładącym się tuż przy drzwiach, ale wcale nie musiała widzieć jego twarzy, ponieważ знаła go dobrze. Widziała w jego oczach pożądanie, kiedy brał ją w łóżku, znała dotyk jego zachłannych, gorących warg na nagiej skórze. Znała jego odważne i buntownicze serce. Wiedziała, że trawi go rozpaczliwe marzenie, by znaleźć dobre miejsce i zdobyć je na własność.

- Czy muszę ci przypominać - dodał - o płaczącej kobiecie, klęczącej na ziemi splamionej krwią jej męża?... Albo o żonie

zmuszonej do patrzenia, jak sługusy sędziego pokoju wieszają jej męża?

Przycisnęła pięść do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk, chociaż nie wydała żadnego dźwięku. Nie.

- Czy muszę ci to przypominać, kochana Briu?

Zakryła uszy rękami i mocno zacisnęła powieki. Nie. Nie. Nie.

Nie wiedziała, że do niej podszedł, dopóki nie poczuła, że jego palce chwytają ją za nadgarstki i pociągają w dół jej dłonie. Potem objął ją palcami za szyję, a jego kciuki zaczęły pieścić jej policzki, co odczuwała tak, jakby ją całował.

Zawsze miał takie delikatne ręce.

Uniósł jej głowę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Po co mężczyzna ma dbać o honor - powiedział - skoro może go sprzedać, a w zamian za to napełnić brzuchy żony i dzieci, a na dodatek włożyć strzelby w ręce swych irlandzkich braci...

Wyrwała mu się, krzycząc:

- Och, **Dhia**, Irlandia! Zawsze wszystko dla Irlandii! - Teraz jej głos był cichy, lecz pełen łez, które usiłowała opanować. - Nie mieliśmy w Irlandii niczego. Dosłownie niczego.

Machnęła rękami, zakreślając nimi szeroki łuk.

- A czy to jest takie wspaniałe miejsce? Czy dlatego, że bogacz ma tu łód w lecie, a biedak w zimie, istnieje jakaś szansa dla ludzi takich jak my? Czy myślisz, że w twojej Ameryce i w oczach twojego Boga wszyscy jesteśmy równi?

Bria poczuła, że miejsce złości zajmuje w niej ogromne znużenie. Nigdy nie była w stanie ani się z nim kłócić, ani odciągnąć go od wielkich i słusznych spraw. Wiedziała, że Shay ją kocha, zdawała sobie jednak sprawę, że powinien ją kochać bardziej.

Jej brat, ksiądz, ze zgrzytem odsunął krzesło i podniósł się. Podszedł do Shaya i ciężko opuszczył rękę na jego ramię.

- To jest również twój Bóg, Seamusie.

Shay spojrzał na niego, lecz tym razem nie odezwał się, nie wypuścił nawet powietrza z płuc.

Kiedy Shay jako jedyny z pięciu synów urodził się żywy, jego matka ofiarowała go Bogu. Z dwójki przyjaciół to brat Brii był człowiekiem nieobliczalnym, zarówno w dzieciństwie, jak

i nieco później - chętnie zaglądał do kieliszka, szukał towarzystwa panienek lekkich obyczajów i wykazywał skłonności do wszelkich psot. Tymczasem Shay, nawet jako chłopiec, był poważny, uczuciowy i wręcz fanatyczny w swej wierze. Na kolanach wiejskiego proboszcza uczył się łaciny, chociaż inni chłopcy z *clachan* nie potrafili się nawet podpisać.

Potem jednak w życiu Seamusa McKenny wiele się zmieniło. Pewnego sztormowego dnia na kamienistej plaży los ofiarował mu Brię. Innym razem przyszli policjanci ze strzelbami i szubienicznym sznurem.

A Bóg, zupełnie jakby na przekór wszystkiemu, zesłał powołanie Donaghowi, chociaż Bria często miała wrażenie, że jej brat nie jest w stanie konkurować z Shayem o uwagę Boga; Donagh nie wiedział, co powinien w życiu robić, dopóki Shay nie zszedł mu z drogi prowadzącej do Boga.

Donagh westchnął i gwałtownie potrząsnął ramieniem szwagra. Potem podszedł do wieszaka i zdjął z niego czarny kapłański kapelusz. Gładząc palcami jego rondo, odwrócił się twarzą do Brii. Miał zaczerwienioną twarz i żałośnie wykrzywione usta. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

Głos Brii odbijał emocje, których sama nie potrafiłaby nazwać.

- Jakim to cudem, ojczu, właściciel gazety dowiedział się, że nasz Seamus był irlandzkim mistrzem? A może to ty szepnąłeś mu parę słów na ucho? Czy uprzedziłeś go również, że Shay McKenna nie złamie obietnicy, nawet dla dobra żony i dzieci? Ale dla Irlandii i klanu... Och, dla Irlandii ten człowiek gotów jest sprzedać własną duszę.

- Briu, nie... - Donagh westchnął ciężko, potrząsnął głową i bacznie przyjrzał się trzymanemu w rękach kapeluszowi.

-Myślę, że powinienem już wracać na plebanię, bo inaczej pani Dały straci cierpliwość i na kolację poda mi moje kaptcie.

Włożył kapelusz i podszedł do Brii. Pochylił się i pocałował ją w czoło, a potem przyciągnął ją do siebie i przez chwilę trzymał w objęciach.

- *Dia is maire dhuit* - powiedział.

Objęła go i przycisnęła twarz do jego piersi. Czowała pod policzkiem szorstką wełnę sutanny pachnącej kadzidłem i whisky. *Niech Matka Boska i Bóg mają w swojej pieczy również i ciebie, Donagh.*

Podeszła z bratem do drzwi, gdzie zatrzymał się na chwilę, by zanurzywszy palce w wodzie święconej, znajdującej się w maleńkim naczynku, przeżegnać się.

Podwórkowa zabawa przerodziła się w irlandzkie święto, podczas którego z ręki do ręki podawano sobie dzbanki z *poitin*. Bria obserwowała, jak Donagh toruje sobie drogę przez tłum, co chwilę zatrzymując się, by udzielić napomnienia lub błogosławieństwa. Nie sądziła jednak, by jutrzejsze kazanie dotyczyło zła wyrządzanego przez ten diabelski napój, ponieważ tego wieczoru sam Donagh trochę sobie podpił.

Nie słyszała kroków Shaya, czuła jednak jego obecność. Nawet gdyby Bóg pozbawił ją wzroku, i tak byłaby w stanie odnaleźć swego męża wśród milionów ludzi.

Objął ją i położył dłonie na jej sterczącym brzuchu, tuż pod ogromnymi, ciężkimi, rozkosznie bolącymi na skutek ciąży piersiami.

- Proszę, pozwól mi złamać obietnicę - szepnął.

Nie odezwała się, lecz wiedziała, że nie może odmówić. Obietnica, którą złożył i złamał, była niczym w porównaniu z krzywdą, jaką ona mu wyrządziła, łamiąc przysięgę i popełniając grzech...

Grzechy.

Spojrzała na jego ręce. Podwinął rękawy do łokci, odsłaniając brązową skórę i pojaśniałe od słońca włoski. Na twardych mięśniach i napiętych ścięgnach widać było błękitnawe żyły.

Uniosła jego dłoń, porównała ze swoją, znacznie mniejszą, po czym pozwoliła, by przykrył jej dłoń swoją ręką.

Zawsze zastanawiała się, jak to możliwe, że jego ręce potrafią być jednocześnie takie czułe i takie brutalne.

Ręce boksera.

- Zapomniałeś już - spytała - jak straszny grzech popełniłeś tymi rękami? I jakie kłopoty ściągnęło to na nas?

- Nie - odparł.

- Dlaczego w takim razie zgadzasz się tylko na tyle? Dlaczego nie miałbyś stanąć do walki o ten diamentowy pas, o którym wspomniał Donagh, a przy okazji zachować honor?

- Ponieważ nie mam szansy na pokonanie Johna L. Tak samo zresztą jak ten jankes, ale to jego sprawa.

Zapadło tak dobrze znane milczenie. Potem wargi Shaya mus-

nęły ją tam, gdzie zwykle - w zagłębieniu między żuchwą a uchem.

- Dlaczego pozwalam, żebyś mnie całował? - spytała, a jej piskliwy głos świadczył o tym, że zabrakło jej tchu. - Przecież powinnam cię solidnie zbesztać!

Wybuchnął śmiechem, a Bria poczuła na szyi podmuch gorącego powietrza.

- Boże, zmiłuj się nad nami! Z braku ćwiczenia twój język wyraźnie zardzewiał. - Objął ją mocniej i przyciągnął do siebie. - Chodź, *mo bhean*.

Oparła się o niego, wtuliła pośladki w zagłębienie jego bioder i zaczęła się ocierać.

Poczuła, że jego wargi przesuwają się w górę, w kierunku jej włosów.

X

Tej nocy przyśniło jej się, że żywcem została zaszyta w całun, a jej usta i nos wypełniała bawełna o woni śmierci i smaku rozpachy.

Nagle obudziła się. Dusił ją, tonąc w wilgotnym bagnie, które rozrastało się i ciążyło w jej piersi.

Położyła się na plecach, z trudem łapiąc powietrze, pocąc się, a równocześnie drżąc z zimna. Powoli jej oddech wyrównywał się, aż w końcu słyszała jedynie wiatr, który uderzał w szyby.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na twarz Shaya. Na jego policzkach, w miejscach, gdzie niedawno wyschły łzy, odbijało się srebrne światło księżyca. Widocznie mąż musiał obserwować ją, gdy spała. Przygląda się jej, póki jeszcze może. I cierpi.

Pochyliła się i pocałowała zagłębienie jego szyi, czując ciepło ciała i słony smak skóry.

Ostrożnie, starając się nie obudzić Shaya, wysunęła się z łóżka. W jednym z kątów maleńkiej sypialni wydzieliła miejsce, w którym modliła się i odmawiała różaniec. Donagh dał jej święty obrazek przedstawiający wytłoczoną na złotym tle Matkę Boską otoczoną wieńcami kwiatów. Bria powiesiła go na ścianie, a poniżej ustawiła stary, chybotliwy, ocalony ze stosu rupieci stolik, na którym położyła wyhaftowaną przez siebie serwetkę.

Ilekcroć udało jej się znaleźć jakieś polne kwiaty, ustawiała je na stoliku, a gdy mogła sobie na to pozwolić, paliła świecę.

Obecnie spojrzała na twarz Matki Przenajświętszej i przyjrzała się tym wszystkowiedzącym, miłosiernym oczom. Usta Brii szeptały proste słowa serdecznej prośby: ***Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej...***

Maria, matka Jezusa i żona Józefa, zrozumie, do czego jest w stanie posunąć się kobieta i ile grzechów potrafi popełnić dla tych, których kocha.

Bria wzięła ze stolika różaniec i uklękła. Właśnie miała zamiar zacząć Skład Apostolski, kiedy nagle z jej piersi wyrwał się gwałtowny kaszel. Był to głęboki, rozdzierający dźwięk, który brzmiał niemiło nawet dla niej samej. Zasłoniła dłonią usta. Poczowała ból w klatce piersiowej i pulsowanie krwi w uszach, w końcu jednak, po chwili, która wydawała się trwać w nieskończoność, kaszel ustał.

Bria podniosła się, lecz ze względu na zaawansowaną ciążę jej ruchy były niezdarne i ociążałe. Weszła do kuchni, gdzie tuż obok pieca, na drewnianej palecie rozłożonej na szydełkowym dywaniku, spały córeczki. Uklękła obok nich i złożyła ręce jak do modlitwy, chociaż nie wymówiła żadnych słów - ani do Boga, ani do samej siebie.

Wzrokiem jedynie dotknęła twarzyczek córek, ponieważ zbyt wielki ból by jej sprawiło, gdyby poczuła ciepłą, żywą skórę.

Nie wiedziała, ile czasu spędziła przy dzieciach, kiedy jednak poczuła pieczenie w piersi i zdała sobie sprawę, że za chwilę zacznie się atak kaszlu, wyszła z domu, żeby ich nie obudzić. Wiosenne noce były chłodne, dlatego też zabrała ze sobą stary pomarańczowy płaszcz. Narzuciła go na siebie, lecz nie zapinała; była już tak gruba, że nie dałoby się tego zrobić.

Obeszła dom i dotarła na kamienistą plażę. Usiadła na jednym z głazów. Momentami było cicho i spokojnie, jednak co jakiś czas od wody docierał podmuch pachnącego solą i wodorostami wiatru.

Zakaszlała i wypluła na chusteczkę odrobinę krwi. Potem wypila łyk cudownego eliksiru, jej fałszywego leku. Pozornego cudu.

Módl się za nami grzesznymi...

Nocami, nie mogąc spać, Bria modliła się i odmawiała różaniec. Kiedy indziej, tak jak dzisiaj, snuła wspomnienia. Czy kiedy człowiek umiera, wraz z ostatnim tchnieniem ulatniają się jego wspomnienia? Nie mogła znieść tej myśli. Miała wrażenie, że kobieta o nazwisku Bria McKenna złożona jest ze wspomnień, a większość z nich, zarówno te dobre jak i złe, wiąże się z Shayem.

Znała go niemal od urodzenia, nie wiedziała jednak, jak bardzo go kocha, aż do tamtego letniego dnia, kiedy na skrzyżowaniu dróg odbywały się tańce. Nie były to jej pierwsze tańce, już wcześniej w letnie popołudnia niedzielne wychodziła na rozstaje. Były tam dudy i skrzypce, tak samo jak dzisiaj tu, w Ameryce. Wówczas jednak ona i jej przyjaciółki najczęściej tańczyły ze sobą nawzajem. Ksiądz zadawał im taką pokutę, jeśli tylko któraś z nich uśmiechnęła się do chłopca.

Trudno było wytrwać w bezruchu, nawet jeśli się nie tańczyło. Bria stała na poboczu drogi, a jej całe ciało kołysało się w rytm melodii, kiedy nagle pojawił się przed nią Seamus McKenna. Patrzył na nią z takim natężeniem, że miała ochotę uciec. Shay McKenna - przyjaciel brata, nie jej, chłopiec, który sprawiał wrażenie, jakby nie należał do świata chat wzniesionych z kamienia i przesiąkniętych deszczem pól ziemniaczanych.

Stał tak blisko, że bez trudu mogła oprzeć głowę na jego piersi i objąć go w pasie - ta myśl przestraszyła ją, zaintrygowała i wywołała dreszczyk emocji.

Z każdym oddechem wydawał się coraz wyższy, tym bardziej że już wówczas miał szerokie bary i mocne mięśnie. Odznaczał się zbyt wspaniałą jak na chłopca urodą - miał pełne usta i lśniące, ciemne włosy w kolorze mokrego łupku.

Zdenerwował ją tym, że tak na nią patrzył; próbowała ukryć zakłopotanie, puszczając w ruch swój ostry język.

- Co ty tu robisz, Seamusie McKenno? - zapytała, biorąc się pod boki i mierząc go wzrokiem od stóp do głów. - Czy zabrakło modlitw do odmówienia i świętych ksiąg do przeczytania? Dobrych uczynków do spełnienia?

Wyraz jego twarzy złagodniał, bliski był uśmiechu.

- Nie, i przez cały czas to robię, lecz może nagle postanowiłem ulec kapryswi i popełnić niegodziwość, jaką z pewnością będzie taniec z tobą?

- Czyżby? A może wcale nie mam na to ochoty? Odwróciła się i chciała odejść, kołysząc biodrami, jak robiły to starsze dziewczęta.

Zdecydowanie położył dłoń na jej ramieniu, by ją zatrzymać, po czym powiedział:

- Zanim dzień dobiegnie końca, ofiarujesz mi i taniec, i całusa, *mo chridh*.

Niewiele brakowało, a dałaby mu wszystko, o co by poprosił, a może nawet więcej. Zrobiłaby to od razu, tutaj, na rozstaju dróg - taki efekt wywarły na niej słowa, które jak strzała wyleciały z jego ust i trafiły ją prosto w serce.

Przekonała się wówczas, że nie tylko wygląd Seamusa McKenny działa na nią, ale i jego głos. I chociaż bezczelnością wydały się jego słowa, to brzmiały zarazem w jej uszach jak śpiew archanioła.

Nie udało mu się tego dnia zdobyć od niej pocałunku, ale rzeczywiście z nim zatańczyła. Najzwyczajniej pod słońcem wziął ją za rękę i podprowadził do formującego się korowodu. Chociaż w każdej chwili mogła uwolnić dłoń z jego uchwytu i odejść, nie zrobiła tego. Czowała, że nie powinna mu się zbyt przeciwstawiać, ponieważ kusił ją taniec, a znajdując się u jego boku, zyska wielkie możliwości.

Pamiętała, że nie powiedział już ani słowa, ona również. Baczenie jednak mu się przyglądała. Widziała jego mocne mięśnie szyi, poruszające się jak naprężone liny, ilekroć odwracał głowę. Zauważyła, że kiedy miał zamiar się uśmiechnąć, zarys jego dolnej wargi łagodniał, a usta sprawiały wrażenie jeszcze pełniejszych. Podziwiała sposób, w jaki przymrużał kąciaki oczu, jakby przyzwyczajony do spoglądania dalej, tam gdzie nie sięga wzrok innych ludzi. Wówczas przyszło jej na myśl, że go pragnie.

Nie, właściwie to nie było tak. Wcale nie wiedziała, że go pragnie. Brakowało jej jedynie tchu w klatce piersiowej i odczuwała dziwną tęsknotę. Owładnęło ją przerażenie, obawiała się, że zacznie krzyczeć, poczuła strach, że umrze, jeśli nie będzie mogła być z nim teraz, w tym momencie, i jeśli nie uda jej się zostać z nim na całe życie.

Ojciec Shaya nie należał do ludzi solidnych; już w bardzo młodym wieku zaczął zdradzać skłonności do alkoholu. Każdego dnia mnóstwo czasu spędzał w karczmach, a do jego ulubionych

miejsc należały „Trzy Kury”, gdzie godzinami ćwiczył łokieć, unosząc kieliszek z whisky, i nie tracił wprawy w poruszaniu językiem, wygłaszając buntownicze mowy. Shay zaś i jego matka we dwójkę musieli obrobić pole jęczmienia, należące do dziedzica, i kilka własnych jałowych zagonów ziemniaków. Kiedy tylko było to możliwe, Shay wypływał w morze łódką, która wykonana została ze skóry rozpiętej na ramie z wikliny, i na całej długości kamienistego wybrzeża próbował łowić dorsze.

Nazajutrz po tańcach Bria spacerowała późnym popołudniem po plaży, kiedy Shay wrócił z morza. Był jeden z tych rzadkich wspaniałych dni, kiedy niebo jest czyste i błękitne, a równomierny wiatr wypełnia żagle.

Weszła w morską pianę, by złapać rzuconą przez niego cumę. Pomogła mu przywiązać łódkę do boi i zwinąć żagiel. Shay spojrzął na nią dopiero wówczas, gdy wszystko zostało już wykonane.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy, by uchronić się przed blaskiem promieni słonecznych, które odbijały się od powierzchni wody. Na widok niezwyklej urody Shaya Bria poczuła dreszcz. Podziwiała jego twarz, sylwetkę i głos. Stał z szeroko rozstawionymi bosymi stopami, a morska bryza rozwiewała mu włosy. Skórzany kadłub łodzi skrzypiał, omywany przez fale. Nad głowami krzyknęła mewa, jakby szydząc z nich.

- Czekałam na ciebie - powiedziała Bria.

Pomogła mu rozciągnąć na piasku włók i rozłożyć wyłowione ryby, by wyschły na słońcu. Przez chwilę znalazła się tak blisko niego, że wiatr zarzucił kosmyk jej włosów na jego usta. Wokół niego unosiła się woń dorszy i mocny zapach morza. Czasami Bria przypominała sobie każde słowo wypowiedziane tamtego popołudnia i w ciągu dni następnych. Kiedy indziej pamiętała jedynie, co wówczas czuła. Miała wrażenie, że otaczające ich powietrze lada chwila wybuchnie żywym ogniem, wznieconym przez spojrzenie, dotyk lub westchnienie.

- Dlaczego chcesz być księdzem? - zapytała.

Odwrócił się, by spojrzeć na nią, a jego postawa świadczyła o nieprawdopodobnym zdecydowaniu, mimo że był na bosaka, okrywały go łachmany, a wokół niego leżała sieć pełna ryb. Lecz na jego palcach widać było plamy z atramentu, a na skutek

wielogodzinnych modlitw na kamiennej podłodze kościoła na kolanach porobiły mu się zgrubienia, z których dumna byłaby każda dziewczyna z pralni.

- Chcę w życiu coś osiągnąć - powiedział. - Coś zdziałać... - Wzruszył ramionami i lekko się zarumienił. - Zrobić coś dobrego.

Dobrze pamiętała słowa wypowiedziane owego dnia tym godnym anioła głosem, wargami, które tak bardzo chciała pocałować. **Zrobić coś dobrego.**

- Myślę, że będziesz dobrym księdzem - stwierdziła. Zmusiła się do uśmiechu, z całych sił starając się zapanować nad chęcią dotknięcia palcem jego dolnej wargi... w miejscu gdzie była najpełniejsza. - Wspaniałym.

Pomagała mu przy rybach i sieci przez wiele wieczorów, zanim w końcu ją pocałował. A nawet wówczas jedynie musnął wargami jej policzek, zupełnie jakby szeptem wyjawiał jakiś sekret. Przypomniała sobie, że potem uniosła głowę, by spojrzeć w niebo, po którym płynęły białe chmury, i czuła, że Shay ją obserwuje.

Czasami przed rozstaniem spacerowali po plaży i wspinali się po skałach. Pewnego wieczoru, kiedy zachodzące słońce malowało na niebie ogniste plamy, a morze pokryło się srebrzystymi zmarszczkami, znaleźli grotę.

Tutaj, w ciemności, ich pocałunki stały się bardziej namiętne, dłuższe i odważniejsze. Któregoś dnia jego usta oderwały się od jej warg, powędrowały nieco niżej i zaczęły całować szyję. Kiedy indziej Shay rozsunął jej szal, rozwiązał kołnierz sukienki i wodził wargami po płytkich zagłębieniach obojczyków. Potem nagle jakimś cudem okazało się, że rozwiązanych jest więcej tasiemek, a jego usta wędrowały po wzniesieniach dziewczęcych piersi. Słyszała wówczas, jak gdzieś w dole morze uderza o skały. Wsunęła palce w ciepłe od słońca włosy Shaya i zacisnęła dłoń.

- Briu...

Swym pięknym, anielskim głosem powiedział jedynie jej imię, nic więcej. Było to jedno z wielu odkryć, których dokonała tego lata - przekonała się, że chłopak czy mężczyzna ujawnia swe uczucie w sposobie, w jaki wymawia imię ukochanej.

Pamiętała również, że tego lata odkryła samą siebie - poznała

wszystkie delikatne i czułe miejsca własnego ciała. Przekonała się również, że na dnie jej serca tkwi jakieś mroczne pragnienie.

W końcu jednak nadszedł ten trudny dzień, kiedy Shay próbował się od niej odwrócić, a ona nie miała na tyle odwagi ani dobroci, by pozwolić mu odejść. Odsunął się od niej, położył się na plecach, zasłonił rękami oczy i z ciężkim sercem powiedział:

- **Dhia** - a słowo to wyrwało się z jego ust, jakby było przekleństwem, nie modlitwą. - Za nic w świecie nie możemy posunąć się dalej. Na Boga... Mam zamiar zostać księdzem.

W grocie unosił się zapach morza i ciepłej ilastej ziemi. Bria czuła się w tej pieczarze bezpieczna. Tutaj Bóg nie był w stanie ich wypatrzeć, a ona mogła wpełznąć w głąb Shaya i owinać się wokół jego serca.

Leżała w ciemności, a jej ciało pałało tęsknotą i przemożnym pragnieniem. Słuchała oddechu Shaya i szumu fal tańczących wokół znajdujących się poniżej skał. Jej podciągnięta do góry spódnica owinęła się wokół pasa. Owionął ją zapach morza, ziemi i ukochanego mężczyzny.

Nie wiedziała, że płacze, dopóki nie położyła się na Shayu i nie przycisnęła nagich piersi do jego tułowia. Dopóki nie objęła rękami jego policzków i nie przywarła wargami do jego ust. Dopiero wówczas poczuła łzy kapiące na dłonie.

- Nie rób tego, Briu - powiedział prosto w jej otwarte usta. Jego oddech był gorący i ostry. - Nie rób tego, nie...

Ale ona to zrobiła, z pełną świadomością i bez żadnych skrupułów. Chociaż, kiedy było już po wszystkim, zdała sobie sprawę, że wcale nie dopięła swego. Udało jej się to dopiero w tę niespokojną, burzliwą noc.

Przed burzą w wiosce pojawił się rządcą w asyście policjantów. Przyjechał, ponieważ jęczmień, który McKennowie powinni oddać angielskiemu dziedzicowi, nielegalnie został przedestylowany na **poitin**.

Pani McKenna klęczała na dziedzińcu i obserwowała, jak wynoszą cały jej dobytek. A było tego niezmiernie mało: taboret, siennik i stary żelazny garnek. Policjanci właśnie przytknęli do dachu zapaloną pochodnię, kiedy nadbiegł pan McKenna, sam w płomieniach po popołudniu spędzonym w „Trzech Kurach”.

Próbował zaatakować rządcę za pomocą *shillelagh*, lecz zanim zdołał zrobić dwa kroki z kijem w rękach, padł strzał, który ugodził go prosto w brzuch. Krew pana McKenny utworzyła czerwoną kałużę, a potem wsiąkła w spódnicę jego żony, która uklękła obok niego.

Na polach nad nadmorskim urwiskiem znajdowało się pogańskie miejsce pełne starych kamieni z wyrzeźbionymi twarzami. Wszystkie one miały okrągłe oczy i otwarte usta; ilekroć Bria patrzyła na te twarze, odnosiła wrażenie, że ukradziono im dusze. Tak właśnie patrzył na nią Shay, kiedy dwa owinięte w całuny ciała opuszczono do naprędce wygrzebanych grobów. Nie było drewna, z którego można by zbić trumny, ani pieniędzy, za które można by je kupić. Należało wykopać dwa groby, ponieważ poprzedniej nocy matka Shaya weszła do morza, a tego ranka fale wyrzuciły jej ciało na brzeg.

I nawet obecnie, chociaż od tamtego wydarzenia minęło wiele lat, jeśli tylko Bria uważniej przyjrzała się mężowi, nadal na dnie jego oczu, w miejscu gdzie dawniej była wiara, dostrzegła tę pustkę.

Po pogrzebie wypłynął łódką, nie zważając na czarne niebo i wzburzone morze. Bria czekała na niego na plaży, chociaż szalała wichura, a z nieba lały się potoki deszczu. Straszliwie bała się, że go straci, a strach sprawiał, że niemal ślepła.

Przypłynął do niej na spienionych grzbietach fal. Miała wrażenie, że po prostu nagle pojawił się tuż obok i powalił ją na piasek. Morska piana szalała, tarłowała ich i rozdzierała jej ubranie... jego ręce rozdzierały jej ubranie. Nie zważając na przewalające się fale, Shay zbliżył do niej twarz, a Bria dostrzegła w jego oczach ogrom cierpienia.

Zadrżał, a z jego krtani wyrwał się ostry dźwięk.

- Bądź ze mną, Briu - powiedział.

Opadł na nią, jego usta zaczęły całować ją namiętnie, zachłannie i gorączkowo. Wokół rozszalałe morze chrapało i sapalo.

- Bądź ze mną. Proszę, bądź ze mną.

Ręce i usta Brii wędrowały po ciele Shaya, szukając kształtu i smaku. Objęła go mocno, a jej paznokcie wczepiły się w jego mokry płaszcz rybacki. Doskonale wiedziała, o co Shay ją prosi.

- Ciii, już cii... - powiedziała, a deszcz spływał po jej twarzy do otwartych ust. - Jestem z tobą, kochany. Zawsze będę.

...Zawsze.

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki to słowo nie odbiło się echem od skał i nie potoczyło się po spokojnej czarnej powierzchni wody pustego w nocy bristolskiego portu.

Poczuła teraz, że ogarnia ją szalona tęsknota za mężem, chociaż w każdym momencie mogła wstać i iść do niego. Mogła wtulić się w niego i położyć głowę na jego piersi, by z powrotem zapaść w sen, słuchając bicia jego serca. Tak jak zrobiła tamtej nocy, kiedy ofiarowała mu swe dziewictwo i w zamian wzięła jego niewinność.

To dziwne, pomyślała, że wspomnienia mogą ciążyć na sercu jak kamienie, a mimo to być tak ciepłe i uspokajające. Teraz znacznie częściej będzie wracać do wspomnień. Do każdego z nich.

Podciągnęła pod siebie stopy, by podnieść ociężałe ciało. W tym momencie dziecko poruszyło się. Był to mocny ruch, pełen życia i energii. Bria pomasaowała rękami napięty, ogromny brzuch. Powstałe przy prąśnicy zgrubienia dłoni natrafiły na tani muślin, z którego uszyta została nocna koszula, ale Bria nawet tego nie zauważyła, ponieważ nigdy nie miała delikatnych, kobiecych rąk.

Była pewna, że tym razem urodzi się chłopiec, ponieważ wysunięty do przodu brzuch utrzymywał się wyjątkowo wysoko. Kiedyś na bawełnianej nitce zawiesiła nad nim swoją obrączkę, a obrączka kręciła się w lewo. Poza tym, pomyślała z uroczym, aczkolwiek smutnym uśmiechem, Merry, nucąc, wyjawiała Noreen, że wróżki obiecały przynieść im wkrótce braciszka.

Dla Shaya będzie to wspianały prezent dopóty, dopóki nie odkryje całej prawdy o poczęciu syna. Natomiast dla niej to ostatnie dziecko było karą wymierzoną przez Boga. Nie była tylko pewna, za który z popełnionych grzechów.

Bria wiedziała, że można równocześnie kochać grzech i jego owoc. Już kochała to dziecko, tak mocno i namiętnie jak Shaya i obie córki. Był pierwszy dzień maja; dziecko urodzi się pod koniec miesiąca. Będzie trzymała je w ramionach i kołysała, czując, jak słodkie usteczka ciągną mleko z jej piersi.

Ale dni nadejdą i przeminą, a w miarę ich upływu jej syn będzie się zmieniał. Tak samo jak zmienia się plaża podczas przypływu i odpływu. Przed nastaniem następnego lata maluch

będzie bawił się z siostrami w „kosi, kosi, łapki” i „srocza kaszkę warzyła”. Do tego czasu nauczy się również jeść owsiankę, chociaż niewykluczone, że większość z niej znajdzie się w jego włoskach. Może nawet u boku ojca zacznie stawiać pierwsze kroki...

Dni nadejdą i przeminą, a ich syn będzie rósł. Ale ona już tego nie zobaczy.

Ponieważ nie dożyje następnego lata.

XI

Od bardzo dawna Emma Tremayne miała wrażenie, że jej życie przypomina prosty i gładki kij, pozbawiony karbów. Jedynymi ledwo widocznymi śladami były minione dni, jeden podobny do drugiego. Nacięcia pozostawione przez upływający czas.

Poniedziałek minął pod znakiem wista, granego z siostrami Carter. Był również i Geoffrey. Emma spoglądała na jego usta i zastanawiała się, jakie by to było uczucie, gdyby mogła językiem obrysować ich kształt... zwłaszcza w tym miejscu, gdzie górna warga wznosi się, opada i znów wznosi. Dwukrotnie zapomniała, co jest atutem.

We wtorek wieczorem widziała go ponownie. W podziemiach kościoła Świętego Michała, gdzie młodzi ludzie zebrali się, by z marszczonej bibuły wykonać dekoracje przeznaczone na obchody dnia pamięci poległych na polu chwały. Inni udawali, że niczego nie widzą, gdy Emma i Geoffrey wymknęli się, by pospacerować po cmentarzu. Nagrobki spowite były niebieskawym światłem księżyca, a wiązy jęczały pod naporem wiejącego od morza wiatru. Tym razem pocałunek Geoffreya był szorstki i pełen desperacji. Emma, zaszokowana, wyrwała się z jego objęć i biegiem wróciła do kościoła.

We środę zjadła lunch z kuzynkami na Hope Farm. Przygotowano dla nich zupę zółwiową, szparagi i smażone w muszelce ostrygi. Chociaż padało, po posiłku Emma powędrowała do psiarni, lecz ogarami zajmował się jakiś inny mężczyzna.

W czwartkowy wieczór wybrała się na wykład pod tytułem „Michał Anioł, człowiek i artysta”. Kiedy po powrocie do domu

poszła do oranżerii, przypomniała sobie ów ranek, gdy znalazła tu w kawałkach swą ostatnią, nie dokończoną jeszcze pracę „Adam przed wygnaniem z raju”. Widząc spustoszenie, będące dziełem matki, poczuła się tak, jakby ktoś rozbił również i ją. Miała pewność, że rzeźbiąc „Adama”, była bliska osiągnięcia czegoś wspaniałego i ważnego. Tymczasem wszystko przepadło.

Teraz jednak zdała sobie sprawę, że i tym razem nie udało jej się wyrosnąć ponad przeciętność. Była zatem zadowolona, że praca uległa zniszczeniu, ponieważ wcale nie była dobra i do niczego nie prowadziła. Emma czuła w głębi serca bolesną pustkę, spowodowaną świadomością, że niewiele wie o życiu i pewnych rzeczy nigdy się nie dowie. Zastanawiała się, jak ktokolwiek, poza Bogiem, jest w stanie znaleźć odwagę na to, by tchnąć życie w kawałek gliny.

Przyrzekła sobie, że już nigdy nie będzie rzeźbić. Obecnie był niedzielny poranek. Jak w każdą trzecią niedzielę miesiąca, Emma oddawała się działalności charytatywnej - zawoziła koszyki z żywnością biedakom mieszkającym w Goree, odległej części miasta, gdzie nie docierała morska bryza. Była to dzielnica drewnianych, stojących w rzędach domków, wydeptanej trawy i alejek porozwieszanego na sznurach prania. W gorące dni, takie jak dzisiejszy, dym z pobliskiej fabryki zabarwiał niebo na żółto, a w powietrzu unosiła się woń palonej gumy.

Ktoś powiedział kiedyś, że w fabryce tej produkuje się pięć tysięcy par butów rocznie. Mijając to miejsce małą czarną bryczką, Emma doszła do wniosku, że nigdy nie widziała na oczy, a tym bardziej nie miała butów wykonanych w Bristolu.

Koszyki, które rozdawała, wypełnione były krokietami z ryb, ciemnym chlebem i fasolą w glinianych brązowych garnkach. Spod pokrywek wyciekało coś ciemnego i obrzydliwego. Kobiety wyciągały po dary opalone, zniszczone ręce i spoglądały na Emmę wyblakłymi oczami.

- Nie, nie, proszę tego nie robić - mówiła za każdym razem, kiedy usiłowały jej dziękować. Potrawy przygotowywane były w przykościelnych kuchniach, a Emma nigdy nie brała udziału w ich przyrządzaniu. Było wyjątkowo ciepło jak na pierwszy tydzień maja. Nim Emma skończyła rozwożenie żywności, gorące słońce dało jej się we znaki. Miała spotkać się z matką na ostatniej mszy u Świę-

tego Michała, mimo to mszyła Ferry Road w kierunku Tanyard Woods z zamiarem odbycia przejażdżki za miasto. Między drzewami było znacznie chłodniej. Nad głową Emmy konary sosen poruszały swymi koronkowymi gałązkami. Różowe kwiaty głogu wylaniały się spomiędzy kędzierzawych liści paproci, w których tonęły pnie drzew.

Przy końcu drogi las stał się rzadszy i pojawiła się błękitna zatoka. Miejsce, do którego przybijał prom, było opustoszałe. Obok pomostu znajdowały się zielone słupki do przywiązywania koni. Emma zostawiła przy nich swoją bryczkę i ruszyła nadmorską promenadą, która przecinała tereny przybrzeżne zalewane podczas przypiływów. Zatrzymała się, by przez chwilę poobserwować parę bekasów, z zapalem wydziobujących coś z błota. Widoczne na ich piórkach białe paski połyskiwały w słońcu. W pewnym momencie ostrzejszy podmuch wiatru załopotał rondem ozdobionego piórami kapelusza Emmy, a spłoszone ptaki poderwały się do lotu.

Lecąc skrzydło w skrzydło, przecięły zygzakiem linię horyzontu. Po chwili jednak rozległy się dwa wystrzały, jeden po drugim, i ptaki spadły z nieba.

Z lasu wyłonił się mężczyzna i ruszył przez tereny zalewane przez przypiływy. Emma wiedziała, kto to jest, ponieważ rozpoznała go po wzroście oraz niedbałym sposobie poruszania się. Niósł w ręce strzelbę, druga zwisała na sznurku z jego ramienia.

Kiedy dotarł w miejsce, gdzie upadły ptaki, zatrzymał się. Emma podeszła do niego, machinalnie stawiając kroki. Uniosła głowę i spojrzała na jego surową twarz - zgruchotany nos, policzek z blizną i zaskakujące w tej twarzy oczy, a potem przeniosła wzrok na martwe ptaki. Bekasy nie nadawały się na posiłek, a ich chyży, zygzakowaty lot sprawiał, że mógł je trafić jedynie wytrawny strzelec.

Ten człowiek odstrzelił im głowy.

Emma zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Uśmiechnął się, a ten jego uśmiech miał w sobie coś z błyskawicy - był szybki i przerażający.

- Gdyby zechciała pani zabrać te ptaki, jestem pewien, że ci moi maleńcy przyjaciele byliby pani niezmiernie wdzięczni - powiedział szorstkim głosem, przypominającym warknięcie.

- Słucham...?

Emma najpierw spojrzała na swe okryte jedwabnymi rękawiczkami dłonie, potem na martwe ptaki, a wreszcie na tego mężczyznę. Ale już się oddalał, kierując się w stronę lasu, z którego nadszedł.

Jedną ręką chwyciła oba bekasy za nogi. Palcami drugiej uniosła spódnicę swej cytrynowożółtej organdyńskiej sukienki. Zrezygnowawszy z wędrówki promenadą, ruszyła w ślad za nieznanym przez błoto. Dopiero później, wspominając ten moment, zaczęła się zastanawiać, skąd wzięła się jej ta niesłychana odwaga.

Szli wzdłuż starego, wykruszonego kamiennego muru, który biegł zygzakiem przez las. Wielkie dęby rzucały na ścieżkę cętkowane cienie. Buty wędrowców trzeszczały na szarym mchu.

Dotarli do potoku, którego brzegi pokryte były gęstą warstwą leśnej roślinności. Mężczyzna przeszedł przez wodę. - Proszę zaczekać! - zawołała za nim Emma, ale nie zwolnił ani nie obejrzał się za siebie.

Uniosła wyżej spódnicę i weszła do strumienia. Lodowata woda natychmiast przemoczyła jej uszyte z koziej skóry buciki, przed chwilą białe, a obecnie w brązoszarym kolorze słonego błota.

- To szaleństwo - powiedziała do siebie. - Jest pan szaleńcem! - zawołała w kierunku jego szybko oddalających się pleców. Idę za szalonym Irlandczykiem, który odstrzelił ptakom głowy. Podążam za nim, Bóg jeden raczy wiedzieć dokąd, i nawet nie wiem, jak ten człowiek się nazywa.

Dżentelmen, który przedstawia się damie, powinien uklonąć się, nie wyciągając ręki. Tymczasem ten mężczyzna wcale się nie uklonił; dotknął jej kostki, nie mówiąc nawet „za pozwoleniem”, a na dodatek szydził z niej. Nie był więc dżentelmenem. Emma była nawet zadowolona, że nie zna jego imienia. Czuli się lepiej, myśląc o nim jako o kimś bezimiennym, właściwie nikim.

Zatrzymał się na skraju niewielkiej polanki, w miejscu gdzie gigantyczna biała sosna oplatała korzeniami skałę. Odwrócił się i przytknął palce do ust. Potem odłożył strzelby, przykucnął za głazem i przywołał ją do siebie.

Podeszła i uklękła obok, a jej organdy nowa spódnica - chociaż nie była już tak sztywna jak rano - zaszeleściła jak bibułka.

- Boże, zmiłuj się nad nami - powiedział półszeptem.

Była to zwyczajna polana, całkiem pusta. Wśród wysokiej trawy rosły kępki jasnoczerwonego kurzyślada. Rogoża i turzyca tańczyły na niespokojnym wietrze. Świerk kanadyjski uformował baldachim nad wejściem do nory świstaka. Towarzysz Emmy wziął od niej ptaki i po kolei rzucił je na polankę, mniej więcej trzy metry od nory. Zastanawiała się, po co on to robi, lecz nie spytała. Była szczęśliwa, że właśnie w tym momencie znajduje się właśnie tutaj, i wcale nie miała zamiaru zastanawiać się, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

Znajdowali się bardzo blisko siebie. Tak blisko, że fałdy spódnicy opadły miękko na jego udo, a cień rzucony przez niego kładł się na piersi Emmy.

Nie wiedziała, jak długo klęczeli ukryci za głazem na skraju polanki. Wystarczyło to jednak, by spódnica zwilgotniała. Wystarczyło również, by sikora czarnołbista uznała, że stanowią jedynie element scenerii, i tuż nad ich głowami zaczęła przeskakiwać z gałęzi na gałąź.

Emma zachnęła się, kiedy mężczyzna dotknął jej policzka i delikatnie odwrócił jej twarz tak, by przestała patrzeć na las, a spojrzała na to, co dzieje się na polance.

Z nory wychynęła głowa lisa, który strzygł uszami i wystawiał nos na wiatr. Zwierzę było bardzo cierpliwe; minęła cała wieczność, nim wyskoczyło z nory. Zatrzymało się i znów zaczęło nasłuchiwać, strzygąc uszami, oraz węszyć. Potem drobnym, lekkim kroczkiem, z uniesionym dumnie ogonem, podbiegło w miejsce, gdzie w trawie leżały bekasy. Okrążyło je, obwąchało, uniosło głowę, po czym ponownie obwąchało i okrążyło.

W końcu lis szczechnął, a wówczas z nory wypadły cztery lisiątka o długich łapach i ogromnych uszach. Skomląc i ujadając, dopadły ptaków i zaczęły ostrymi ząbkami rwać mięso. Tylko jeden z malców najwyraźniej wyobraził sobie, że jest myśliwym. Przyczaił się na chwilę, a jego pulchne, pokryte puchem ciało drżało. W końcu rzucił się przed siebie.

Na twarzy Emmy pojawił się uśmiech. Odwróciła głowę i za-

uważała, że mężczyzna bacznie się jej przygląda. Była zdziwiona, że tym razem nie ma nic przeciwko temu.

- Dziękuję - powiedziała - za... to. - Machnięciem ręki wskazała polanę, lisy i cały wspaniały, dziwny świat, który ten człowiek jej pokazał, chociaż przecież nie mógł wiedzieć... Skądże miałby wiedzieć? - Właściwie dlaczego mnie pan tu przyprowadził?

Jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem odwrócił wzrok.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Czy nigdy nie zrobiła pani czegoś bez powodu?

- Nie, nigdy. Po co, skoro uświęcona przez cztery pokolenia tradycja wymaga ode mnie, bym w ogóle nic nie robiła? Zaskoczył ją jego śmiech. Ludzie bardzo rzadko śmiali się z jej niewinnych żarcików, w związku z czym doszła do wniosku, że musi mieć dość dziwne poczucie humoru. Nagle ogarnęło ją niecodzienne uczucie - zaczęło jej się wydawać, że mogłaby śmiać się i rozmawiać z tym człowiekiem bez końca. Kiedy ta myśl wpadła jej do głowy, Emma nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów na jej wyrażenie.

Mężczyzna podniósł strzelby i wstał. Ruszył z powrotem drogą, którą przyszli, i wcale nie patrzył, czy ona idzie w ślad za nim.

Po przejściu przez strumień zatrzymał się w miejscu, gdzie w poprzek dziury w murze leżał powalony pień. Usiadł na nim i zajął się jedną ze strzelb. Wyrzucił z niej zużytą łuskę. Potem otworzył zamek i zajrzał do środka.

Emma zdawała sobie sprawę, że nie jest mu już potrzebna, nie wiedziała jednak, czy ma iść swoją drogą, czy może chciałby, żeby została... Nie była również pewna, czy ona chce zostać. Po raz pierwszy w życiu nie mogła znaleźć żadnej zasady, która podpowiedziałyby jej, jak powinna się zachować.

Kamienie, które wykruszyły się z muru, tworzyły coś w rodzaju fotela. Usiadła na nich z gracją i złożyła ręce na kolanach, zupełnie jakby znajdowała się w salonie. W głębi duszy odczuwała coś, co przypominało ciszę przed burzą, ten pełen napięcia, wstrzymujący dech w piersiach moment, nim niebo pęknie na pół i spadną pierwsze krople deszczu.

Z trzaskiem zamknął zamek, zarepetował broń i nacisnął

spust. Iglica głucho stuknęła. Zafascynowana Emma przyglądała się rękom mężczyzny - podziwiała ich wielkość, kształt oraz sposób, w jaki się poruszały, sposób, w jaki kości, napięte ścięgna i żyły rysowały na skórze surowy relief.

- Po co panu tyle strzelb - zapytała drżącym głosem - skoro dokonuje pan rzezi jedynie wśród ptactwa wodnego? Uniósł strzelbę i spojrzął znad lufy.

- To stare, automatyczne spencery, pozostałość po naszej wielkiej wojnie. Udało mi się zmontować je z kawałków, które dostałem tu i tam. Prawdę mówiąc, wypróbuję je. Mogą na przykład przy wystrzale nie wypalić i pozbawić ręki człowieka, który ich użyje.

Emma poderwała się, przestraszona, a potem zaczęła się śmiać z samej siebie.

- Czy to nie jest niebezpieczne? Co by było, gdyby rzeczywiście nie wypaliły i pozbawiły pana ręki?

- Wówczas można by powiedzieć, że sam jestem sobie winien, prawda?

- Co pan z nimi robi? - zapytała. - Co pan robi ze starymi strzelbami złożonymi z kawałków?

- Szmugluję je do Irlandii. - Spojrzął na nią z ukosa, a w jego oczach widać było drwinę. - Gdzie, być może, ktoś zacznie strzelać do rozpieszczonych, bogatych dziewcząt angielskich, które zadają za dużo pytań.

Powiedział to w taki sposób, że mimo woli uśmiechnęła się.

- Być może rzeczywiście jestem rozpieszczona i bogata, pragnę jednak pana poinformować, sir, że wcale nie jestem Angielką.

- No i co z tego? Jankesi z Rhode Island tak bardzo się wywyższają, że zdołaliby napędzić stracha nawet starej królowej.

Emma zauważyła, że jego irlandzki akcent, w zależności od nastroju i poruszanego tematu, ma tendencję do słabnięcia lub przybierania na sile. Niezależnie jednak od tego, czy właśnie udawał Irlandczyka, czy nie, jego głos zawsze sprawiał wrażenie zdartego. Jakby dobywał się z trudem z zardzewiałej, ściśniętej krtani. Chciała zapytać, skąd pochodzi blizna widoczna na jego szyi, ale to byłoby już za wiele; nawet dla tej dziwnej, odważnej, zupełnie nowej Emmy, którą właśnie się stała.

Opuściła wzrok na kolana. Ujęła palcami plisę spódnicy, wygładziła ją dłonią.

- Ta... - Zauważyła, że na rękawiczkach ma krew bekasów; to już następna zniszczona para. - Ta lisica i jej młode to rodzina lisa, który zginął podczas polowania.

To wcale nie było pytanie.

- Tak, trudno jednak powiedzieć, że ten biedny lis zginął. Sfora waszych psów po prostu rozerwała go na strzępy - powiedział, a Emma zrozumiała, że to przede wszystkim dlatego zabrał ją na tę polankę.

Uniosł strzelbę i nacisnął spust. Usłyszała szcęknięcie iglicy, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno, a za każdym razem przenikał ją dreszcz.

- One łączą się w pary na całe życie. Mam na myśli lisy - wyjaśnił. - Ciekaw jestem, panno Tremayne, czy pani zdaniem one się kochają?

Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Nie wiem.

- Znalazłem je w kilka dni po polowaniu - mówię o partnerce naszego lisa i jej małych. Wrywała sobie zębami futerko, aż pojawiły się na nim wielkie krwawe plamy. Chodziła tam i z powrotem przed norą, aż w końcu, czekając na jego powrót, wydeptała ścieżkę. On jednak nie wracał. Być może lisica przestałaby w ogóle jeść i pić, doprowadzając się do śmierci, gdyby nie czwórka małych, którymi należało się zająć. Teraz już tylko ona mogła coś dla nich upolować, musiała więc dalej żyć.

Emma opuściła głowę, by nie mógł zobaczyć z trudem powstrzymywanych łez, ponieważ na pewno pomyślałby, że przyszły jej zbyt łatwo.

Czubkiem zabłoconego skórzanego bucika rozsuwała zwiędłe liście i sosnowe igły. Po chwili z jej oczu kapnęła łza, zostawiając ciemną plamkę na cytrynowożółtej spódnicy.

- Nie chciałam... żeby tak się stało.

- Mówi pani, że tego nie chciała, a przecież towarzysz tej lisicy zginął... Strata nie powstrzymała wiatru wiejącego wśród drzew ani słońca świecącego jasno nad portem. Nie zmniejszyła również głodu lisiąt. Tymczasem pani tam była, prawda?

Dumnie uniosła głowę.

- Pan również. Musi pan wiedzieć, że my, Tremayne'owie, zawsze uczestniczymy w ostatnim polowaniu sezonu.

- I znowu pani to zrobi?

- Nic na to nie poradzę - powiedziała. - Nie zmienię swego pochodzenia.

Spojrzał na nią uważnie, ale nie odezwał się ani słowem. W cieniu drzew jego oczy lśniły jak wyrzucony przez fale okruch szkła.

Odwróciła się od niego. Był niegrzeczny i niezyczliwy. Ten niedouczonego irlandzki szmugler, który odstrzelił głowy dwóch ptaków, ma czelność spoglądać na nią z góry tylko dlatego, że wzięła udział w polowaniu na lisa! Wstanie i zostawi go bez pożegnania, tym sposobem pokaże mu... pokaże mu...

Wśród kamieni, które wykruszyły się ze zmurszałego muru, kwitł aster. Pochyliła się, by go zerwać. Okręciła łożysko wokół palca, a złociste płatki zamigotały jak sztuczne ognie.

- Dlaczego tak bardzo pan mnie nie lubi?

- Pochlebia pani sobie, uważając, że w ogóle o pani myślę.

- Kłamie pan, sir, próbując wmawiać mi, że jest inaczej - powiedziała, starając się naśladować jego irlandzki akcent i sposób mówienia.

Roześmiał się.

- Kłamstwo - co za słowo! Pani z pewnością nigdy nawet nie przychodzi na myśli skłamać, prawda? Zwłaszcza gdy rozmawia pani z ludźmi mojego pokroju? A przecież całą młodość spędziła pani na uciekaniu od prawdy, na dodatek rwie pani ten biedny kwiatek na strzępy.

Otworzyła zaciśniętą dłoń, a aster upadł na ziemię, między liście i sosnowe igły.

- Któregoś dnia - powiedziała - będąc na farmie mojego kuzyna, poszłam do psiarni. Jakiś mężczyzna powiedział mi, że został pan zwolniony.

- Tak, teraz z powrotem pracuję na polach cebulowych. To okrrropna robota - powiedział, ozdabiając to słowo wydłużonym „r”, a w jego oczach wyraźnie widać było śmiech. - Motyka zostawia cholerne pęcherze na rękach, a plecy bołą, jakby lada chwila miały pęknąć. Czy sprawia pani przyjemność słuchanie opowieści o moim cierpieniu, panno Tremayne?

- Pochlebia pan sobie, sir, myśląc, że cokolwiek czuję, jeśli chodzi o pana.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a w odpowiedzi ona również się uśmiechnęła. Ta chwila wydawała się trwać w nie-

skończoność, jednak skończyła się nagle, w chwili kiedy on się podniósł. Ujął jej ramię i pomógł wstać.

- Już czas, żeby wróciła pani do domu, panno Tremayne -oznajmił szorstkim głosem. - Zanim ktoś pomyśli, że zgubiła pani drogę.

Odwróciła się i oddaliła od niego. Wiatr nagle zaszumiał w wierzchołkach drzew, obsypując ją gradem niewiarygodnie słodko pachnących sosnowych igieł. Doszła do wniosku, że gdyby miała choć odrobinę dumy, nie obejrzałaby się za siebie, by przekonać się, czy ten człowiek ją obserwuje.

Nie miała dumy.

Odwróciła się, ale ścieżka była pusta. Emma widziała powalone drzewo i wyrwę w kamiennym murze, natomiast mężczyzna zniknął. Zniknął bez śladu, dlatego nie zdołała oprzeć się pokusie, by wrócić i poszukać jakiegoś dowodu, że naprawdę tam był.

Znalazła. W miejscu, gdzie człowiek ten stał, ściółka z opadłych liści była wyraźnie wydeptana. Pojedyncza łuska połyskiwała w słońcu, a w powietrzu unosił się słaby zapach smaru do strzelb.

Przez resztę dnia coś ścisnęło Emmę za gardło, a na piersi ciążył jej dziwny smutek, zupełnie jakby oplakiwała coś, czego nigdy nie widziała. Coś, co nigdy nie istniało, nawet w jej wyobraźni.

XII

Emma zapomniała, że postanowiła rzucić rzeźbienie.

Po spotkaniu w lesie wiele godzin spędziła w starej oranżerii. Modelowała glinę, gniotła ją i znów modelowała. Korzystając z lampy naftowej, pracowała do późnej nocy. W końcu odsunęła się, spojrzała na to, co właśnie zrobiła, i poczuła, że drżą jej ręce. Po raz pierwszy zrozumiała, że istnieje arteria łącząca jej serce z dłońmi i tym, co one tworzą. Wiedziała, że pewnego dnia znajdzie tę arterię, a wówczas otworzy ją, by wytoczyć z niej krew, chociaż, być może, potem umrze. Ale przynajmniej zrobi coś, co będzie prawdziwe.

Patrzyła na dzieło własnych rąk i widziała nie gliniany model,

lecz prawdziwe kości, skórę i ścięgna. Męskie ręce wyciągnięte w stronę nieba. Jego ręce.

Postanowiła zakończyć pracę nad rzeźbą na tych nadgarstkach. Niczego więcej od niego nie chciała - tylko rąk. Emma ponownie wpadła w wir podwieczorków, spotkań towarzyskich, partii wista i działalności charytatywnej. Jako odrębne wydarzenie zapamiętała jedynie ten ranek, kiedy z Paryża nadeszły zamówione w Maison Worth suknie balowe.

Gdy dostarczono przesyłkę, wszystkie panie Tremayne znajdowały się w saloniku, gdzie układały wielkanocne bukiety kwiatów dla dziecięcego oddziału bostońskiego szpitala. W nagłym podnieceniu Emma podbiegła do charakterystycznego, owiniętego w jedwab pudła, które oznajmiało całemu światu, że pochodzi od Wortha, a zatem w środku znajduje się coś kosztownego, oryginalnego i pięknego.

- Zupełnie jakbyśmy w maju miały Boże Narodzenie - powiedziała Maddie ze śmiechem.

- I zobaczymy te suknie dopiero na Boże Narodzenie, jeśli nie uda mi się rozwiązać tego nieszczęsnego węzła.

Będzie mi potrzebny nóż... nie, już po wszystkim. - Emma uniosła pokrywkę pudła. - Wydaje mi się, że na wierzchu jest twoja suknia, Maddie. Zamknij oczy i zaczekaj, aż ją wyjmę.

Emma uniosła głowę i uśmiechnęła się, trzymając ręce w powietrzu, by przedłużyć uroczysty moment.

Maddie zamknęła oczy i również się uśmiechnęła, oddając się cudownemu oczekiwaniu. Emma zauważyła, że nawet na twarzy matki pojawił się błysk podniecenia. Mama tego ranka była niezwykle drażliwa i we wszystkim, co robiły, znajdowała jakąś usterkę. Ale od jakiegoś czasu codziennie po wstaniu z łóżka brała zimną kąpiel, by osłabić apetyt, i utrzymywała, że po tych kąpielach bolą ją kości i stawy.

Emma spojrzała na otoczoną liliami i tulipanami matkę, która stała obok wykonanego ze szkła i białych prętów stolika. Miała na sobie jasnioletową, powiewną toaletę poranną. Sam salonik wyglądał jak kwiat róży, gdyż wpadające przez witrażowe okna promienie słońca rzucały delikatny blask na wyłożone różowym

jedwabiem ściany. Skąpana w różowym blasku Bethel Tremayne sprawiała wrażenie osoby młodej, szczupłej i pięknej.

- Bardzo pięknie dzisiaj mama wygląda - powiedziała Emma. Białe policzki Bethel zarumieniły się z zadowolenia, mimo

to potrząsnęła głową.

- To bardzo miło z twojej strony, kochanie, że tak uważasz, ale w rzeczywistości to niemożliwe, ponieważ czuję się wyjątkowo kiepsko. Nikt nie byłby w stanie uwierzyć, że muszę znosić aż takie katusze. Mam jedynie nadzieję, że twój ojciec... - Urwała, a na jej policzkach pojawiły się jeszcze żywsze rumieńce. - Och, na litość boską, otwórz w końcu to pudło! Twoja biedna siostra lada chwila z niecierpliwości wyzionie ducha.

Kiedy Emma wyjmowała z pudła suknię balową, rozległ się szelest, jakby do lotu poderwało się stado gołębi.

Kreacja uszyta została z ogromnej ilości karmazynowego jedwabiu przetykanego srebrną nitką, która w różowym świetle połyskiwała i mieniła się wszystkimi kolorami tęczy.

Maddie, nie mogąc już dłużej czekać, otworzyła oczy i z radości cicho sapnęła.

- Ojej...

Emma przyłożyła sukienkę do siebie i rozłożyła spódnicę. Nucąc walca, wykonała wolny obrót i dyg, a potem tanecznym krokiem przemierzyła cały pokój. W końcu zatrzymała się i delikatnie, z nabożeństwem ułożyła suknię na kolanach siostry. Maddie westchnęła ze szczęścia.

- Och, jaka piękna! Po prostu piękna, nie sądzi mama?

- Gdybyś tylko mogła włożyć ją na mój bal zaręczynowy - powiedziała Emma, chociaż doskonale wiedziała, że to jedynie marzenie.

Ubieranie się zgodnie z najnowszą modą uważano za coś niestosownego. Dlatego też, zgodnie z obowiązującą zasadą, suknie z Paryża pakowało się do kufra na dwa lata, a z Nowego Jorku na rok.

- Ach, jaka szkoda, Maddie, że ten jeden jedyny raz nie możemy złamać reguła - westchnęła. - Gdyby Stuart Alcott mógł ujrzeć cię w tej sukni, przepadłby z kretesem.

Maddie zaczęła się śmiać, ale jej wybuch radości przerwany został przez ostry głos matki.

- Emmaline Tremayne! - Bethel spojrzała na córkę, groźnie

marszcząc brwi. - Nie pozwolę, by... w tym domu używano żargonu.

Emma przygryzła wargę i opuściła wzrok na kwiecisty, pluszowy dywan.

- Najmocniej przepraszam, mamó - powiedziała, ale moment później, kiedy uniosła głowę, napotkała spojrzenie Maddie. Uśmiechnęły się porozumiewawczo.

- Jest jeszcze coś - ciągnęła matka - co chcę wam powiedzieć, chociaż robię to z ogromną przykrością. Tak się jednak składa, że to konieczne, ponieważ pewne rzeczy nie uchodzą... -Dotknęła palcami sztywnej koronki, okalającej jej szyję. Na chwilę rumieńce zniknęły z jej twarzy, potem jednak pojawiły się z powrotem. - Madeleine nie weźmie udziału w twoim balu zaręczynowym.

- Mamó... - Emma powoli usiadła na błękitnozielonym porcelanowym taborecie. - Nie może mama być tak złośliwa i okrutna...

Bethel machnęła ręką, jakby próbowała ochłodzić się wachlarzem z liści palmowych.

- Och, przestań opowiadać te swoje melodramatyczne bzdury, Emmo. Dlaczego wszystkie moje dzieci z takim upodobaniem usiłują mnie zawstydząć, okazując tak prostackie i będące w złym stylu uczucia? Jestem pewna, że skłonność do takiego zachowania musiałyście odziedziczyć po Tremayne'ach, ponieważ, z całą pewnością, w mojej rodzinie nikt tak nie postępował.

Wzięła do ręki jedną z lilii, a potem położyła ją na stole.

- Podejmując tę decyzję, kierowałam się życzliwością zarówno w stosunku do Maddie, jak i naszych gości. Jaki sens ma jej uczestnictwo w balu, skoro nie może tańczyć? Z góry wiadomo, że będzie podpierała ścianę. Obserwowanie, jak siedzi w wózku... no cóż, jest w stanie zepsuć przyjemność wszystkim uczestnikom balu. - Ponownie wzięła do ręki lilię i tym razem wsunęła ją między rubinowoczerwone tulipany. - A to świadczyłoby o braku delikatności z naszej strony, na co nie mogę sobie pozwolić.

Emma zerknęła na siostrę. Za każdym razem, kiedy matka zachowywała się tak podle, Maddie wciskała się w swój wózek, teraz jednak siedziała sztywno wyprostowana, wykrzywiając usta. Z jej twarzy odpłynęła krew.

Nagle zaczęła szarpać piękną suknię, którą wciąż trzymała na kolanach. Z jej ust wyrwał się ciężki, zduszony szloch.

- Dlaczego kupuje mi mama suknie, w których nigdy nie będę mogła się pokazać? Nie mogę chodzić, nie mogę tańczyć i nie jestem w stanie tego znieść, po prostu nie jestem w stanie tego znieść!

Ścisnęła delikatną tkaninę dłońmi i ukryła twarz w lśniącem jedwabiu.

- Chcę umrzeć. O Boże, błagam, pozwól mi umrzeć...

Emma podbiegła do siostry, uklękła obok i próbowała ją objąć, ale Maddie odepchnęła ją, a potem zaciśniętymi pięściami zaczęła okładać własne uda.

- Zostawcie mnie samą. Chcę być sama, sama, sama!

Bethel podeszła do dzwonka i szarpnęła sznur. W tym momencie szloch Maddie urwał się tak gwałtownie, jakby ktoś go zdusił. Kołysała się do przodu i do tyłu, jęcząc i trzymając sukienkę w zaciśniętych rękach. W kilka sekund później pojawił się służący, który, nie czekając na rozkaz, wyprowadził wózek Maddie z pokoju.

Emma jeszcze przez chwilę klęczała na podłodze. Wszystko w niej się trzęsło, jakby przewiewał ją na wskroś porywisty, przejmujący wiatr. Chciała krzyczeć, ale bała się, że jeśli zacznie, już nigdy nie będzie w stanie zamilknąć. Że podobnie jak Maddie zacznie rwać coś na strzępy, próbując gołymi rękami zniszczyć ten świat.

- Słowo daję... - powiedziała matka, wracając do układania kwiatów, jakby to, co przed chwilą zaszło, było błażostką. - Czasami obawiam się, że ten wypadek pozbawił naszą biedną Maddie nie tylko nóg, ale i rozumu. Zdaje sobie sprawę, że to bardzo niepokojące. Może naprawdę powinnam porozmawiać z wujem Stantonem o umieszczeniu jej na jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym w Wharton? Może udałoby się wyleczyć ją z nedorzecznej hysterii, w którą wpada w chwilach, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

Emma zacisnęła zęby na własnej pięści, by stłumić krzyk, i zamknęła oczy, pragnąc powstrzymać piekące łzy. Była to groźba, którą matka powtarzała od wielu lat, od chwili, kiedy dowiedziała się, że pan Alcott zastosował taką karę wobec swego syna Stu. Bez trudu byłaby w stanie to zrobić - wystarczyłoby

przekonać wuja Stanton, który był lekarzem, by poświadczył, że Maddie postradała rozum, a potem skłonić kuzyna, prawnika, do podpisania odpowiednich papierów.

Emma już dawno przekonała się, że dziewczyna czy kobieta w każdej chwili mogła zostać odesłana do domu wariatów. Prawo umożliwiało zrobienie czegoś takiego wbrew woli zainteresowanej, wystarczyło, że chciał tego jej ojciec, mąż, opiekun lub nawet syn. Potrzebne były jedynie odpowiednie dokumenty.

- Maddie jest zrozpaczona i wcale mnie to nie dziwi - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i rozsądnie. - Ostatnio niemal bez przerwy rozmawiamy o balu zaręczynowym, a teraz nagle Maddie słyszy, że nie może w nim uczestniczyć. To dla niej straszny zawód.

Sztywno podniosła się i zrobiła kilka kroków, by stanąć naprzeciwko matki znajdującej się po drugiej stronie stołu zarzuconego liliami, tulipanami i różowymi wstążeczkami.

- Bardzo proszę. Nie może mama sprawić Maddie takiego bólu. Nigdy bym mamie tego nie darowała.

Bethel nawet nie uniosła wzroku znad wstążki, którą zawiązywała wokół wazonu z mlecznego szkła.

- W takich sprawach musisz nauczyć się odsuwać na bok własne uczucia, Emmo. Zawsze najważniejszy jest honor rodziny i dobre maniery.

- Nie, nie tym razem - odrzekła Emma, chociaż nieco później zastanawiała się, skąd wzięła tyle odwagi. Być może jako „jedyna nadzieja rodziny” w niektórych sytuacjach miała pewną przewagę nad matką. - Teraz najważniejsza jest Maddie. W przeciwnym razie... zrobię coś oburzającego i wszystko mamie zepsuję... Słowo honoru.

Bethel szarpnęła końce wstążeczki, niszcząc kokardkę. Potem wydała głębokie, cierpiętnicze westchnienie.

- Gdyby ktoś nie wiedział, z jakiej pochodzicie rodziny, mógłby pomyśleć, że obie wychowywałyście się w slumsach. Okazujecie taki brak delikatności i dobrego wychowania, że na pewno nie wzięłyście tego po mnie ani po mojej rodzinie.

Gwałtownie odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, zostawiając kwiaty dla chorych dzieci i ucinając dyskusję.

- Naprawdę zrobię to, co obiecałam - powiedziała Emma drżącym głosem.

Matka bez słowa zamknęła za sobą drzwi, ale Emma już wiedziała, że odniosła zwycięstwo.

Kiedy jednak weszła na piętro i znalazła się w pokoju siostry, zastała Maddie pogrążoną w głębokim, gorączkowym śnie. Powietrze przesycone było wonią wodzianu chloralu.

Emma usiadła na brzegu łóżka i odsunęła wilgotne włosy z zaczerwienionego czoła siostry. Na suchych i popękanych wargach Maddie błąkał się uśmiech.

- Popatrz, Stu - szepnęła Maddie, pogrążona w szczęśliwym, nieprawdopodobnie szczęśliwym śnie. - Ja tańczę, tańczę...

Dwunastego maja w „Brzozach” odbył się bal, który miał uświetnić oficjalne ogłoszenie zaręczyn Emmy z Geoffreyem Alcottem. Sala balowa za pomocą dekoracji zamieniona została w angielski ogród. Wszędzie poustawiano rosnące w doniczkach krzewy, które biegli w sztuce mistrzowie ogrodnictwa starannie poprzycinali, nadając im kształty zwierząt. Był nawet słowik, który miał za zadanie śpiewać wśród pozłaczanych krzaków róż. Nie wszyscy mieszkańcy Bristolu zostali zaproszeni na przyjęcie, znaleźli się tu tylko ci, którzy naprawdę się liczyli. Emma odczuwała dziwną satysfakcję na myśl, że pewien irlandzki imigrant z pewnością nigdy nie zostałby zaproszony.

Tańczyła z Geoffreyem i w chwilach, kiedy na nią patrzył, miała wrażenie, że jest piękna, delikatna i że troszeczkę brakuje jej tchu. W pewnym momencie wyprowadził ją przez przeszklone drzwi z zamienionej w ogród sali balowej do prawdziwego ogrodu. Wiatr szeleścił wśród gałęzi brzoź, przynosząc zapach morza. Zeszli po stopniach werandy i znaleźli się na trawniku, gdzie tańczyli walca w takt melodii, którą zagłuszało głośnie bicie serca Emmy.

Kiedy wrócili do środka, Emma w niszy pod schodami znalazła wciśniętą w wózek Maddie. Jej rozszerzone pod wpływem wodzianu chloralu oczy były prawie fioletowe i szkliste.

- On nie przyszedł - powtarzała raz za razem. - Nigdy nie przyjdzie.

Maddie w końcu pozwolono wziąć udział w balu, a Stu Alcott został nań zaproszony. Nie przyszedł jednak. Jego brat wy-

jaśnił, że Stu wyjechał do Nowego Jorku, ale wróci, gdy skończą mu się pieniądze.

Następnego ranka matka wręczyła Emmie kartkę papieru i pióro, po czym oznajmiła, że musi napisać do ojca z błaganiem o przyjazd do domu. Emma spełniła tę prośbę.

Potem poszła na przystań, gdzie jej jacht kołysał się przy pomoście i gdzie od dawna nie było łodzi Williego. Usiadła na zniszczonych, spaczonych deskach, objęła rękami podkurczone nogi i przycisnęła oczy do kolan, ale nie zdołała powstrzymać łez.

W noc po balu wiał silny, porywisty wiatr; Emma obudziła się niespokojna. Coś ciągnęło ją na dwór.

Kuta, żelazna brama rzucała koronkowe, pełne zawijasów cienie na wysypany muszelkami podjazd. Ciemne gałęzie brzozy poruszały się niespokojnie na tle nieba, a paprocie i turzyca drżały w podmuchach wiatru. W powietrzu czuć było coś tajemniczego, lecz Emma wiedziała, co ujrzy, gdy dotrze nad zatokę.

Poczuła wodę, zanim jeszcze ją zobaczyła, usłyszała nie mające końca westchnienie. Nad morskimi falami żeglował błądy księżyc.

W oddali, tam gdzie w głębokiej ciemności leniwie pluskały fale, Emma dostrzegła światełka płaskodennej łodzi rybackiej. I odbijającą od niej szalupę, w której widać było sylwetki dwóch mężczyzn.

Stojąc w miejscu, gdzie brzozy stykały się z plażą, i czekając na jego przyście, czuła się tak, jakby była kimś zupełnie innym.

Słyszała pluskanie wiosel i stuknięcie okrzynicy, która dotknęła słupków. Jeden z mężczyzn wysiadł z szalupy, potem odepchnął ją. Był bardzo wysoki, a jego barki przesłoniły księżyc i większość gwiazd. Wiatr szarpał jego czarną kurtkę, sprawiając, że połyskiwała w ciemności wilgocią.

Lekkim krokiem przeszedł po pomoście, zeskoczył z niego i zbliżył się do Emmy. Światło księżyca wiązką srebrnych promieni oświetliło bliznę na jego policzku.

Przez ułamek sekundy przyszło jej na myśl, że ten człowiek może wyrządzić jej krzywdę. Nie uciekła jednak ani nie wydała

żadnego dźwięku, nawet wówczas, kiedy wziął ją za rękę i wciągnął między brzozy. Jego dłoń była ciepła, szorstka i pokryta zgrubieniami powstałymi przy pracy motyką na polu cebulowym.

Kiedy znaleźli się pod osłoną drzew, puścił ją i wsunął ręce do kieszeni. Nie widziała jego twarzy. Wyglądał jak jeszcze jeden nocny cień.

- Dlaczego, do jasnej cholery, biega pani po lesie w środku nocy, nie mając na sobie nic poza koszulą? - zapytał.

Pochyliła głowę i spojrzała na swe bose stopy, a potem z powrotem na niego. Objęła się ramionami i zadrżała, udając, że jest jej zimno, chociaż tak naprawdę poczuła się obnażona. Co prawda od szyi po kostki spowita była w ogromną ilość płótna i koronki, ale to i tak niczego nie zmieniało.

- Wszyscy święci! - westchnął. - Ile ma pani lat?

To pytanie zupełnie ją zaskoczyło, padło bowiem nieoczekiwanie.

- Dwadzieścia dwa. Tylko proszę mi nie mówić, że jestem na coś za młoda.

Nie powiedział; właściwie w ogóle tego nie skomentował. Żałowała, że nie widzi jego twarzy, z drugiej jednak strony ciemność zapewniała i jej anonimowość. Dzięki temu poczuła przyływ odwagi; nie peszył jej nawet niestosowny ubiór.

- A ile pan ma lat? - zapytała.

- Dwadzieścia siedem.

- Myślałam, że jest pan starszy.

- My, Irlandczycy, rodzimy się starzy. I biedni.

- I najwyraźniej jesteście z tego dumni.

Po tych słowach pozwoliła sobie na uśmiech, którego i tak nie było widać w ciemności.

- Panno Tremayne, panno Tremayne... Co ja mam z panią począć? - spytał śpiewnie, a Emmie przyszło na myśl, że być może on również się uśmiecha. - Znalazła się pani w miejscu, w którym nie powinno pani być, i zobaczyła rzeczy, których nie powinna pani widzieć.

- Może mnie pan zamordować, wyrwać mi serce z piersi, a potem zakopać mnie głęboko między tymi drzewami, gdzie z pewnością nikt nigdy mnie nie znajdzie.

Słyszając to, roześmiał się, a to sprawiło, że nagle poczuła się

dziwnie zadowolona z samej siebie, ponieważ najwyraźniej miała talent do rozbawiania.

- Lecz wówczas - ciągnęła - musiałby pan liczyć się z tym, że już do końca życia będzie pana prześladował mój duch. Gdziekolwiek pan pójdzie, powędruję w ślad za panem. Pod pachą będę nosić ociekającą krwią głowę i nie omieszkam przy każdej okazji wyć do księżyca.

- Wydawało mi się, że miałem wyrwać pani serce, a nie uciąć głowę. *Dhia*, ależ makabryczne ma pani pomysły!

- Jeśli nawet najbardziej niewinne wspomnienie przemocy jest w stanie wywołać u pana omdlenie, może pan po prostu spróbować wyciągnąć ode mnie obietnicę, że nikomu nie powiem o pańskich niecnych uczynkach.

- Tak? A cóż to za niecne uczynki?

- No cóż, oczywiście, szmuglowanie strzelb.

- To jest transport morski. Dopiero gdy dotrą do Irlandii, Boże miej ją w swej pieczy, można będzie mówić o szmuglu.

- I tak pana nie zdradzę, jeśli pan nie zdradzi mnie.

- Co niby miałbym zdradzić?

- Ze bez przyzwotki spaceruję po nocy, na dodatek w zdecydowanie nieodpowiednim stroju.

- Ach, o to pani chodzi - powiedział.

- To byłaby prawdziwa kompromitacja. A na skali różnych wykroczeń kompromitacja znacznie przewyższa wszelkie niecne uczynki.

Ponownie się roześmiał, a potem wykonał szybki, niespodziewany krok i znalazł się tuż obok.

- To wszystko na nic - rzekł, a w jego głosie wyraźnie słychać było śmiech. - Jeśli mamy być współnikami przestępstwa, musimy złożyć przysięgę krwi.

Wyjął rękę z kieszeni. Emma zauważyła w jego dłoni nóż, gdy nacisnął jakiś zatrzask na rączce, z której wysunęło się ostrze.

- Proszę dać mi dłoń - polecił.

Wyciągnęła tylko odrobinę drżącą dłoń, zupełnie jakby podawała ją dżentelmenowi, by mógł pochylić nad nią głowę.

Przycisnął brzeg ostrza do własnej ręki, a potem delikatnie naciął skórę Emmy. Wzdrygnęła się raczej na myśl o tym, co się dzieje, niż z bólu, ponieważ niczego nie czuła. Po chwili na

jej skórze pojawiła się ciemna, lśniąca kropla krwi, do której on przycisnął swą krwawiącą dłoń. Emma miała wrażenie, że jej krew wpływa w jego żyły, a jego zaczyna krążyć w niej.

- Teraz musimy złożyć przysięgę - oświadczył.

- Co... co sobie przysięgniemy?

- Że nigdy nie wspomnimy o tym ani słowem. *Nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać.*

Przez chwilę zastanawiała się, czy w jego słowach tkwi jakieś ukryte znaczenie, wykraczające poza wydarzenia tej nocy, ale nawet jeśli tak, to nie wierzyła, by kiedykolwiek zdołała to zrozumieć, i tym razem była niezmiernie zadowolona z własnej niewiedzy.

Jej wargi same ułożyły się do tego słowa.

- Przysięgam - powiedzieli jednocześnie, i tym razem jej głos brzmiał tak samo chrapliwie jak jego.

Nie pamięta, kiedy się z nim rozstała. Nagle znalazła się przed żelazną bramą „Brzóz” i patrzyła przez nią na kręte, koronkowe cienie padające daleko w głąb trawnika. Księżyc znajdował się już wysoko na niebie i rozjaśniał ciemności. W głębi duszy Emma czuła ogień.

XIII

Bristolczycy uwielbiali pewną anegdotę, w której szydzili z samych siebie i własnego, mało inteligentnego sposobu postępowania. Była to opowieść o młodym mężczyźnie, który wyszedł z kościoła w środku niedzielnej mszy, odbywającej się u Świętego Michała. Człowiek ten rzucił dom i wyjechał do Kalifornii z zamiarem przyłączenia się do poszukiwaczy złota. Po zbitciu majątku wrócił do Bristolu. Gdy w niedzielę wszedł do kościoła Świętego Michała, wysłuchał dalszego ciągu tego samego kazania, zupełnie jakby nigdy nie opuszczał miasta.

Przez wszystkie te lata z pewnością nic się nie zmieniło pod tym względem, pomyślała Emma, po czym tak ciężko westchnęła, że podmuch powietrza dotarł aż do czubków jej palców u nóg. Oczywiście, mieli teraz innego proboszcza - wielbny Shrewsbury jakiś czas temu zmarł na apopleksję i obecnie jego owieczkami zajmował się wielbny Peele. Bristolczycy uważali

go za przybysza, ponieważ mieszkał tu i wygłaszał kazania zaledwie od piętnastu lat.

Jednak proboszczowi zarzucano nie tylko to, że urodził się gdzie indziej. Ludziom nie podobały się również jego wąsy, które zwisały nad ustami jak niesforny, nie strzyżony żywoplot, a także jego obwisłe, zlewające się z podbródkiem policzki, które podrygiwały podczas kazania, jakby podkreślając poszczególne słowa. Główny sens homilii wygłaszanej w tę niedzielę zamykał się w stwierdzeniu, że Bóg jest protestantem.

Emma nie słuchała szczegółów, ponieważ знаła je już wszystkie z wcześniejszych kazań. Obecnie bardziej interesowało ją to, że wspaniały, borówkowy odcień weluru, z którego uszyta została jej odświętna sukienka, kłóci się z czerwienią poduszek w ławce. Kolory gryzły się tak bardzo, że Emmie napłynęły do oczu łzy. Była szczerze zdumiona, ponieważ zazwyczaj, podejmując decyzję, co włożyć, brała pod uwagę cel wyprawy, i tego ranka również powinna o tym pomyśleć.

Mimo to po dłuższym zastanowieniu zaczęła w jakiś sposób cieszyć się z popełnionego przez siebie *faux pas*.

Niedziela po niedzieli, miesiąc po miesiącu, rok po roku widywała te same osoby. Prawdę mówiąc, większość czasu spędzała, robiąc te same rzeczy w towarzystwie tych samych ludzi. Gdyby od czasu do czasu nie zdobyła się na coś choćby w najmniejszym stopniu niezwykłego i niespodziewanego, jej życie byłoby tak gładkie i proste, że nawet trudno byłoby je w ogóle zauważyć.

Spojrzała na swoją prawą rękę. Dopasowana, jedwabna rękawiczka z perłowymi guziczkami dokładnie przylegała do dłoni, ukrywając znak, który zostawił nóż tamtego mężczyzny. Była to maleńka ranka, właściwie draśnięcie, które już się goiło. Emma jednak czasami miała wrażenie, że czuje w tym miejscu mocne i szybkie bicie własnego serca, jakby znajdowało się tuż pod skórą i usiłowało wyrwać się na zewnątrz.

Zacisnęła dłoń, a potem wyprostowała palce. Kiedy potarła ręką kolano, uniosła wzrok, a wówczas zauważyła, że siostry Carter bacznie się jej przyglądają, zamarła więc w bezruchu.

Na szczęście w ławce Tremayne'ów oprócz niej nie było nikogo, kto mógłby zauważyć jej naganne zachowanie.

Maddie po wypadku ani razu nie opuściła „Brzóz”, nie pojawiała się nawet w kościele, chociaż swego czasu uwielbiała śpiewać

w chórze. Ale gdyby przyjechała do Świętego Michała na wózku inwalidzkim, zwróciłaby uwagę nie tylko na siebie, lecz również na swe kalectwo, a tym samym ściągnęłaby wstyd na całą rodzinę, tak przynajmniej utrzymywała matka. Jej zdaniem byłoby to niestosowne.

Sama matka została tego ranka w łóżku z mocnym bólem głowy. W zeszłym tygodniu wrócił do domu Wilbur Nortons, przebywający przez jakiś czas na Florydzie. Przywiózł mnóstwo opowieści dotyczących Williama Tremayne'a, jego ostatniej kochanki oraz przyjęć, które William wydawał na swoim jachcie. W przeszłości matka, ilekroć wspomniano o drobnych grzeszkach ojca, w ogóle nie przyjmowała tego do wiadomości. Tym razem jednak miarka się przebrała.

- Twoim obowiązkiem jest pojawić się w naszej ławce - powiedziała Emmie tego ranka, leżąc w łóżku, spowita w kaskady brukselskich koronek, oparta na jedwabnych poduszkach, otoczona buteleczkami z laudanum i solami trzeźwiącymi. - Ze względu na honor naszej rodziny i dobre maniery. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Po wyjściu za mąż Emma zajmie miejsce w ławce należącej do Alcottów, obok Geoffreya i jego babki. Doszła do wniosku, że stamtąd przynajmniej roztacza się inny widok na nawę, chociaż kazania wcale się nie zmieniają.

Spojrzała na swego przyszłego męża, dumnie unoszącego kształtną, wąską głowę; światło świec odbijające się od szyb katedry złociło jego twarz i włosy. Ani na moment nie odrywał wzroku od twarzy proboszcza, jakby bał się uronić choć słowo; trudno było jednak wykluczyć, że był jedynie zaabsorbowany obserwacją podskakujących podbródków kapłana. Z butonierki szarego surduta Geoffreya wystawała gardenia, no ale starszy z braci Alcottów zawsze ubierał się sztywnie. I być może nigdy w życiu z niczym nie musiał się zmagać.

Emma przeszła przez wypolerowane jesionowe drzwi kościoła Świętego Michała i wciągnęła głęboko w płuca wilgotne powietrze. Zapięła pod brodą swój długi płaszcz fokowy i wsunęła dłonie w małą gronostajową mufkę. Choć wczesna wiosna była

bardzo ciepła, znowu się ochłodziło, pogoda zmieniała się z godziny na godzinę.

Dzięki temu Śmietance Towarzyskiej nie zabraknie tematu do rozmów, pomyślała Emma z westchnieniem.

Geoffrey podszedł do niej, wkładając po drodze cylinder i poprawiając szare rękawiczki. Uśmiechnął się promiennie, odsłaniając długie zęby. Zawsze wydawało jej się, że lubi jego uśmiech... i właściwie nic się nie zmieniło. Tak, naprawdę. Problem polegał na tym, że była na niego trochę zła, chociaż sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego.

- Piękne mieliśmy dzisiaj kazanie, prawda, najdroższa? -zapytał. - Bardzo podniosło mnie na duchu.

- Każdego roku o tej porze nasz pastor wygłasza to samo kazanie. - Emma czuła, że się dusi, jakby była owinięta wilgotnym wełnianym kocem. Ten człowiek już wkrótce zostanie jej mężem, dlatego też miała ochotę zapytać go, o czym naprawdę myślał przez ostatnią godzinę. Ale konwenanse zabraniały rozmawiać o sprawach osobistych, takich jak myśli czy uczucia.

- Geoffrey - zapytała mimo to. - Czy wierzysz w Boga? Ujął ją pod ramię i odrobinę za mocno ściskając jej łokieć, odciągnął w bok od portalu, w miejsce, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Jak możesz pytać o to w niedzielny poranek, na stopniach kościoła Świętego Michała?

- Masz rację. Oczywiście, wierzysz, inaczej by cię tu nie było. Na pewno nie przyszedłbyś tylko dlatego, że to samo robią wszyscy, prawda, Geoffrey? Sądzę, że powinnam raczej zapytać cię, czy jesteś pewien, że On jest protestantem?

Wiatr dmuchnął wzdłuż Church Street, wichrząc bluszcz, który piął się po kamiennych ścianach tuż za ich plecami. Wraz z tym powiewem dotarły do nich dźwięki śpiewu gregoriańskiego, szurania nóg i odgłos dzwonek. Emma doszła do wniosku, że widocznie musi to być ta majowa niedziela, kiedy ubrane na białą dziewczęta z katolickiej parafii Najświętszej Marii Panny wędrują w uroczystej procesji z gipsową figurką przedstawiającą Matkę Boską. Procesja obchodziła błonia, a potem szła nad zatokę. Kiedy Emma była małą dziewczynką, marzyła o tym,

by przyłączyć się do tych ludzi, ale przecież było to nie do pomyślenia.

W tym momencie odezwał się ogromny mosiężny dzwon Świętego Michała, jakby protestancki patron nie chciał zostać w tyle. Geoffrey sięgnął po zwisającą na jego brzuchu złotą dewizkę i wyjął zegarek. Otworzył wieczko i przez chwilę uważnie przyglądał się tarczy, potem uniósł głowę i z roztargnieniem spojrzął na Emmę.

- Czy kto jest protestantem?

- Bóg.

- To chyba oczywiste - rzekł, chociaż leciutko się uśmiechnął. Procesja wyszła zza rogu i znalazła się na widoku. Prowadził

ją uderzająco przystojny młody ksiądz. Pięknym tenorem śpiewał coś po łacinie i idąc, kołysał naczynkiem, w którym tliło się kadzidło. Po obu stronach kapłana szły zakonnice w wykrochmalonych kornetach i sztywnych czarnych habitach, rozkoszowanych dołem jak dzwony. Mniszki potrząsały dzwoneczkami w rytm śpiewanej przez księdza pieśni.

Za nimi wędrowało sześciu ubranych na czarno mężczyzn, którzy nieśli drewnianą platformę z posążkiem Najświętszej Marii Panny. Tonąca w białych liliach i płonących świecach wotywnych statuetka bardzo przypadła Emmie do gustu. Głowę Matki Boskiej zdobiła korona upleciona z małych róż i błękitnych niezapominajek. Różowe, uśmiechnięte usta Marii sprawiały, że wyglądała zalotnie i tajemniczo. Pomalowana na niebiesko szata była na brzegu troszeczkę wyszczerbiona.

Za statuetką szły małe dziewczynki w białych sukieneczkach przepasanych błękitnymi szarfami. Tak samo jak Najświętsza Pani, miały na głowach wianuszki. Wiele z nich niosło koszyczki z kwiatami, a pozostałe powiewały ogromnymi, zielonymi i białymi sztandarami udekorowanymi koniczyną. Śpiewały:

Przyjm, Maryjo, kwiaty, które Ci dziś dajem, Królowo Aniołów i Królowo Maja...

- No cóż - powiedziała Emma, brodą wskazując procesję, ponieważ pokazywanie palcem było sprzeczne z zasadami dobrego wychowania. - Całkiem prawdopodobne, że ich zdaniem Bóg jest nie tylko katolikiem, lecz również Irlandczykiem.

- Emmo! - krzyknął Geoffrey, a po głosie poznała, że jest zgorzony.

Rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie usłyszał bluźnierczych słów. A Emma, w końcu wyciągnąwszy z niego to, o co jej chodziło, poczuła nagle, że chce jej się płakać.

- Znowu stroisz sobie ze mnie żarty, prawda? - spytał, ale już się nie uśmiechał. Najwidoczniej podkpiwanie z własnego narzeczonego również było sprzeczne z dobrymi manierami.

Emma zamrugęła powiekami, pragnąc powstrzymać łzy. Spojrzała na niebo zasnuwane szarymi jak ołów chmurami.

- Jestem święcie przekonana, że będzie dzisiaj padać. Ciemne chmury zawsze zapowiadają deszcz.

Geoffrey wydał cichy dźwięk, ni to śmiech, ni to westchnienie, lecz najwyraźniej był zadowolony, że z powrotem znalazł się na dobrze znanym gruncie, jeśli chodzi o temat konwersacji.

- Zaczynasz mówić jak moja babka - stwierdził. - Ona zawsze przewiduje deszcz.

- Chociaż z drugiej strony jasne niebo oznacza niekiedy, że będzie świecić słońce.

Lecz Geoffrey wcale jej nie słuchał. Często to robił, ilekroć mówiła to, co powinna, i przestrzegała dobrych manier.

- A skoro mowa o babce - powiedział. - Właśnie poszła dokonać inspekcji cmentarza, by sprawdzić, które rodziny dbają o groby, a które karygodnie zaniedbują swych zmarłych. Jeżeli choćby jeden zabłąkany listek lub źdźbło trawy znajdzie się na miejscu ostatniego spoczynku mego dziadka, przez cały lunch będę musiał wysłuchiwać utyskiwań.

Ponownie ujął ramię Emmy i zaczął sprowadzać ją po schodach.

- Może byłabyś tak miła i spróbowała przez chwilę dotrzymać jej towarzystwa, a ja w tym czasie chciałbym zamienić słówko z moim bankierem.

Babka Geoffreya rzeczywiście spacerowała między grobami

i kryptami, spoglądając na wszystko przez lorgnon w perłowej oprawie. Używała laski, lecz nie była przygarbiona.

Być może z powodu swej królewskiej postawy, widocznej mimo niewielkiego wzrostu, oraz jasnoniebieskiego płaszcza, który miała na sobie, w jakiś sposób przywiodła Emmie na myśl statuetkę Najświętszej Marii Panny.

Zamiast korony z kwiatów starsza pani

Alcott miała na głowie kapelusz z długim czarnym piórem, które sterczało prosto w niebo.

Emma, ilekroć znajdowała się wśród ludzi, chętnie szukała towarzystwa babki Geoffreya. Działo się tak przede wszystkim dlatego, że nigdy nie czuła się obserwowana ani osądzana, dopóki znajdowała się u jej boku. Eunice Alcott nie interesowała się nikim poniżej sześćdziesiątki.

- Dzień dobry pani - powiedziała Emma z nieśmiałym uśmiechem, przyłączając się do niej. - Dobrze pani wygląda. Starsza pani wzięła głęboki wdech, a potem prychnęła:

- To chyba oczywiste. Jednak trudno powiedzieć to samo o Gladys Longworth. - Pani Alcott potrafiła poruszać czubkiem nosa i właśnie wykorzystała tę umiejętność, by wskazać ubraną grubo matronę, która ciężko wspierała się na dwóch laskach, z ogromnym trudem schodząc po granitowych stopniach kościoła Świętego Michała. -

Przyjrzyj się jej uważnie. Skóra i kości. Nawet nie jest w stanie rzucać cienia. Zobaczysz, że nim lato dobiegnie końca, będzie leżała w grobie, sztywna, zimna i wysuszona jak wędzony dorsz.

- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie, proszę pani.

- Ty możesz mieć taką nadzieję, moja droga. Natomiast ja dawno temu nauczyłam się godzić z tym, co nieuniknione.

-Zerknęła Emmie przez ramię i piorunującym spojrzeniem zmierzyła tęgiego, szpakowatego mężczyznę, który właśnie podał ramię niepewnie trzymającej się na nogach starszej pani. - A oto

i jej syn. Wpędza Gladys do grobu, by położyć łapę na jej pieniądzech, a ta idiotka o miękkim sercu pozwala mu na to. Gladys nigdy nie miała oleju w głowie.

Katolicka procesja mijała właśnie kościół. Dym kadzidła wirował, a wiatr unosił jego egzotyczny zapach.

Najświętsza Maria Panna wyglądała tak, jakby płynęła nad głowami ludzi w obłoku lilii i tańczących płomieni świec.

Ktoś zaczął grać na dudach płaczliwą, żalosną melodię.

Kiedy Geoffrey i jego bankier zmierzali w ich stronę, do uszu Emmy dotarły słowa bankiera:

- Irlandczycy to największe szumowiny spośród wszystkich stworzeń świata. Moim zdaniem bardzo prosto można by rozwiązać problem ich napływu. Wystarczyłoby zachęcić każdego Irlandczyka, by zabił Murzyna, a potem powiesić go za to.

Geoffrey pociągnął nosem, jakby poczuł się dotknięty. Lecz Emma nie była pewna, czy powodem był widok procesji, czy słowa rozmówcy.

W tym właśnie momencie wśród tłumu ludzi obserwujących procesję Emma dostrzegła ubraną w pomarańczowy płaszcz rudowłosą kobietę z fabryki. Stała na krawężniku przed drogerią Pardona Hardy'ego i machała ręką do jednej z dziewczynek w białej sukience z błękitną szarfą. Kobieta trzymała za rękę drugie, mniejsze dziecko. Jasne jak miedziany pens loczki dziewczynki fruwały wokół jej zarumienionej twarzyczki. Sprawiała wrażenie podekscytowanej lub złej, ponieważ w czasie kiedy Emma ją obserwowała, mocnym szarpnięciem uwolniła rękę z uchwytu kobiety i pobiegła, by przyłączyć się do procesji, tam gdzie starsze dziewczynki szły za płynącą nad głowami ludzi Matką Boską.

Kobieta próbowała iść za dzieckiem, lecz nagle zaczęła kaszleć; musiała się zatrzymać i oprzeć o latarnię.

- Proszę mi wybaczyć, pani Alcott - powiedziała Emma. - Właśnie zobaczyłam... przyjaciółkę.

Usłyszała, że Geoffrey ją zawołał. Miała zamiar nie zatrzymać się, lecz przestraszona, że on pójdzie za nią, odwróciła się i podeszła do niego. Zmusiła się do uśmiechu, chociaż czuła na szyi mocne i szybkie uderzenia pulsu. Nie wiedziała, co ją popycha do działania. Po prostu poczuła się tak, jakby nagle stała się kimś innym.

- Przyszło mi na myśl, że dziś po południu powinnam odwiedzić chorą przyjaciółkę - oznajmiła narzeczonemu. - Nie musisz się o mnie martwić, ponieważ czeka na mnie powóz i woźnica, a zatem mam jak wrócić do domu.

Geoffrey zacisnął usta.

- Miałem nadzieję, że zjesz z nami lunch, to znaczy z babcią i ze mną. Zdaję sobie sprawę, że nie wystosowałem oficjalnego zaproszenia, sądziłem jednak... - Uniósł rękę, a potem ją opuścił.

- To bardzo miło z twojej strony, Geoffrey. Problem polega na tym, że w zeszłym tygodniu moja przyjaciółka... prawie z nikim się nie widziała.

- Chyba nie mówisz o Judith Patterson, prawda? - Jeszcze bardziej zmarszczył czoło. - Słyszałem, że padła ofiarą wyjątkowo złośliwej postaci odry. Jesteś pewna...

Nachyliła się w jego stronę i pogłaskała go po klapie surduta, zaskakując zarówno jego, jak i siebie, ponieważ wcześniej nigdy nie zdobyła się na tak poufały gest.

- Chorowałam już na odrę, Geoffrey, a jest to choroba, którą można złapać tylko raz.

Uśmiechnął się i ujął wciąż spoczywającą na jego surducie dłoń, po czym uniósł ją do ust.

- To oczywiste, że musisz odwiedzić chorą i bez wątpienia bardzo osamotnioną przyjaciółkę. Nie przejmuj się moim egoizmem. Mamy przed sobą jeszcze wiele lunchów. W końcu wspólnie spędzimy resztę życia.

Poczucie winy sprawiło, że na policzkach Emmy pojawiły się rumieńce, a jej dłoń zdrząła. Doszła do wniosku, że jest okropna, ponieważ nigdy nie była tak dumna z Geoffrey a jak właśnie teraz, w chwili kiedy go oszukiwała.

- Tak, rzeczywiście, mamy przed sobą resztę życia, Geof-freyu... Dziękuję ci - dodała, po czym szybko się oddaliła, by nie powiedzieć czegoś więcej.

Przeszła przez cmentarz, omijając wysokie wiązy i rozpadające się stare nagrobki. Zaskoczona samą sobą, w głębi duszy drżała ze strachu i wstydu. Co ja właściwie robię, myślała. ***Litości, Emmo Tremayne, co ty robisz?***

Procesja katolików przeszła obok, skręciła w Thames Street i zniknęła za rogiem. Większość ludzi poszła za nią, dzięki czemu Emma bez trudu zauważyła rudowłosą kobietę na niemal pustym chodniku. Irlandka nie stała już przy latarni, lecz przed witryną drogerii. Przyciskała czoło do szyby, jakby próbowała przeczytać reklamy tabletek na trawienie lub farb do włosów. Zaraz jednak znowu zaczęła kaszleć. Zwinęła się niemal wpół, a jej plecy drżały, jakby ktoś okładał je pięściami. Kiedy się wyprostowała, straciła równowagę i zachwiała się.

Gdy Emma znalazła się u jej boku, ruda kobieta ramieniem opierała się o witrynę drogerii. Odwróciła twarz, a jej ciemne oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Osunęła się na chodnik, a leżąc tak, wyglądała jak sterta pomarańczowej wełny i dzikich, ognistoczerwonych włosów.

Emma uklękła obok niej. Trupio blada twarz kobiety lśniła od potu. Jej oddech przypominał raczej płytkie sapanie.

W pal-

cach mocno zaciskała zakrwawioną chusteczkę i małą brązową buteleczkę.

- Nie do wiary, kto by się spodziewał!

Emma obejrzała się. Tuż za nią stał pulchny, niski mężczyzna o krągłej twarzy, przypominającej bułeczkę z dwiema czarnymi rodzynekami w miejscu oczu. Wyglądał znajomo, chociaż Emma nie pamiętała jego nazwiska. Na pewno nie należał do Śmietanki Towarzyskiej.

- Proszę, sir - powiedziała. - Czy byłby pan tak miły i pomógł mi? Wygląda na to, że ta kobieta...

- Panno Tremayne! - zawołał tęgawy jegomość. Pochylił się

i uważnie przyjrzał się jej twarzy, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. - Nie powinna pani przejmować się jakąś robotnicą z fabryki. Na pewno jest nietrzeźwa. I to w niedzielę. Co za wstyd!

- Ta kobieta nie jest pijana. Jest chora.

- To jeszcze gorzej. Nie muszę chyba pani przypominać, iloma chorobami może panią zarazić. - Po tych słowach jegomość odsunął się i wyjął chusteczkę, by ukryć w niej twarz, jakby nagle przypomniał sobie, że również jest istotą śmiertelną.

W tym momencie z nieba lunął deszcz. Otyły mężczyzna i inni przechodnie, którzy zatrzymali się, by zobaczyć, co się dzieje, szybko się rozpierzchli, rozkładając nad głowami parasole i gazety.

Kobieta jęknęła i poruszyła się, a potem popadła w jeszcze głębsze omdlenie. Na tyłach kościoła Świętego Michała czekał na Emmę powóz i woźnica, nie mogła jednak po nich iść, ponieważ musiałyby zostawić bez żadnej opieki leżącą w strugach deszczu i wyglądającą jak kupka śmieci kobietę.

Deszcz zacinał za wszystkich stron, w zależności od tego, jak dmuchnął wiatr. Kobieta tak bardzo dygotała, że aż było słycać podzwanianie jej zębów, chociaż zapadnięte głęboko oczy wyglądały, jakby zasnęła snem wiecznym.

Emma wsunęła pod głowę chorej gronostajową mufkę, a potem zdjęła futro z foki i okryła nim kobietę.

Deszcz spływał strugami z płóciennego daszku drogerii, a Emma miała wrażenie, że znalazła się pod wodospadem i spod niego spogląda na opustoszałą nagle ulicę. To dziwne, pomyślała, ponieważ zdawało jej się, że słyszy nucenie.

Coś poruszyło się za kurtyną deszczu. Było to dziecko. Kiedy podeszło bliżej, Emma zauważyła, że jest to mała dziewczynka, która się uśmiecha, chociaż miedziane, mokre loczki przykleiły się jej do główki, a z postrzępionego sweterka strugami spływa woda.

Dziecko wyciągnęło dłoń i dotknęło policzka Emmy maleńką, zmarzniętą rączką. Potem przestąpiło z nogi na nogę, nucąc głośno i zawzięcie jak rój pszczół.

Gdyby nie niespokojny, nierówny oddech kobiety, Emma pomyślałaby, że Irlandka nie żyje. Jej ciało było żałośnie szczupłe, białe i zimne. Uwagę zwracał jedynie rozdęty brzuch.

Emma umyła ją gorącymi ręcznikami, a potem ubrała w jedną ze swych ozdobionych koronkami wełnianych koszul nocnych. Dopiero po zrobieniu wszystkiego przy chorej zdjęła całkiem przemoczoną suknię i włożyła prostą czarną spódnicę oraz białą bluzkę. Irlandka spała w łóżku Emmy, w pościeli ozdobionej szwajcarskimi haftami i skropionej wodą lawendową, a Emma niespokojnie krążyła po pokoju.

Kobieta obudziła się dopiero w godzinę po zapaleniu lamp. Przez chwilę leżała nieruchomo i patrzyła w górę, na wykrochmalony muślin znajdującego się nad łóżkiem baldachimu. Emma obserwowała ją z ocienionego miejsca, czując skrępowanie i niezręczność sytuacji.

Płomienne włosy chorej szeleściły na obleczonej w jedwab poduszkach, kiedy rozglądała się po pokoju. Z wyraźnym zaskoczeniem patrzyła na lampy gazowe ze szklanymi abażurami od Tiffany'ego i marmurowy kominek, w którym palił się węgiel, na żółte, wybite jedwabiem ściany i chińskie wazony ze szklarniowymi różami, które wydzielają silny aromat.

- Ojej... - powiedziała z lekkim westchnieniem, a Emma poczuła się zakłopotana.

Chrząknęła i podeszła do łóżka, starając się uśmiechnąć.

- Pewnie zastanawia się pani, dokąd panią przywiozłam. Jest pani w „Brzozach”. Rozchorowała się pani podczas procesji z figurą Najświętszej Marii Panny. - Przełknęła ślinę i nabrała powietrza w płuca. - Zauważyłam panią, ponieważ...

Samej sobie nie była jednak w stanie wyjaśnić, jaki impuls kazał jej rozglądać się za tą kobietą.

- Proszę zobaczyć - powiedziała i wykonała nerwowy ruch w stronę stolika, na którym znajdował się przykryty watowanym kapturkiem srebrny czajnik do herbaty. - Czekaając na pani przebudzenie, pilnowałam, żeby herbata nie wystygła.

Kobieta wpatrywała się w nią oczami tak głębokimi, ciemnymi i spokojnymi jak studnia.

- Przywiozła mnie pani tutaj, do swojego domu?

- Nie wiedziałam, co zrobić. Myślałam o wuju, Stantonie Albertsonie. Jest lekarzem. Kiedy zemdlała pani na ulicy, a pani córeczka przyprowadziła woźnicę z powozem, zawiozłam panią prosto do niego, ale gdzieś go wezwano, nie było go w domu. Jego gospodyni narzekała, że nawet w niedzielę nie ma spokoju, jakby człowiek mógł sobie wybrać, w który dzień tygodnia najlepiej się rozchorować...

Zacisnęła ręce, a potem je opuściła. Zdała sobie sprawę, że na przekór szumnym zapowiedziom wciąż jeszcze nie nalała herbaty, mimo to nadal stała w tym samym miejscu, na środku dywanu z Aubusson.

Kobieta gorączkowo próbowała unieść się na poduszkach, które miała pod plecami.

- Proszę, nie może pani... - Ciężko zakaszłała. - Niepotrzebny mi lekarz. To tylko wiosenne osłabienie.

Wzrok Emmy powędrował do stojącego obok łóżka stolika, na którym leżała zmięta, zakrwawiona chusteczka i brązowa buteleczka z etykietką *Nowy środek doktora Kinga na suchoty*.

Kobieta zauważyła, na co patrzy Emma, i opadła na poduszki. Jej oddech stał się ostry.

- *Dhia*, proszę, proszę nie mówić o mnie żadnemu lekarzowi. Odeślą mnie z powrotem do Irlandii, rozdziela mnie z moimi bliskimi i każą umierać w samotności. Albo będą próbowali zmusić mnie do wypicia z „czarnej butelki”, a wówczas umrę przed czasem. - Zamknęła oczy i spod jej zaciśniętych powiek wydostały się łzy, które spływając po twarzy, dotarły do włosów. - Nie chcę umierać w samotności. Nie chcę umierać...

Jej głos załamał się. Mocny deszcz uderzał o szyby, jakby ktoś rzucał w nie garściami drobnych kamyczków. Wiatr jęczał i zawodził.

Emma swego czasu słyszała o „czarnej butelce”, którą podobno lekarze stosowali jako *coup de grâce* w stosunku do beznadziejnie chorych gruźlików. Poza tym miała ciotkę, która zmarła na tę chorobę - była to jedyna siostra jej ojca, ale w przypadku Charlotte Tremayne nikt nie uciekał się do podsuwania jej tej butelki. Ciotka zmarła w prywatnym sanatorium w pobliżu Providence. Tylko raz pojechali ją odwiedzić. Emma pamiętała pozbawione zasłon okna, puste, białe ściany i nieładne, żelazne łóżka.

- Tutaj znaleźć można najpiękniejsze kwiaty - powiedziała mama, osuszając chusteczką pojedynczą łzę - które nigdy nie zdołały zakwitnąć.

Emma doszła jednak do wniosku, że ciotka w niczym nie przypomina kwiatu - jest blada, wyniszczona i bardzo samotna. Tylko bogaci mogli pozwolić sobie na umieranie w odosobnieniu, jakie zapewniało sanatorium. Biedni zostawali w domu i zarażali chorobą swych najbliższych.

Błyskawica rozświetliła ciemność niebieskim blaskiem, a Emma złapała się na tym, że czeka na grzmot, który rozległ się znacznie później. Było to niskie, długie dudnienie.

- Nie... nie wezwę lekarza - powiedziała w końcu. - Ani nikomu nie powiem. Obiecuję.

Wychudzona klatka piersiowa kobiety uniosła się i opadła z cichym westchnieniem.

- Nie... - Głos Emmy załamał się, w związku z czym musiała zacząć jeszcze raz. - Nie wiem, gdzie podziały się moje dobre maniery. Nawet się nie przedstawiłam. Nazywam się Emma Tremayne.

Kobieta otworzyła oczy i przez dłuższą chwilę patrzyła z ogromnym napięciem, a pod wpływem jej wzroku Emma zarumieniła się.

- Tak, wiem - powiedziała Irlandka. Potem jednak kąciki jej ust drgnęły i ułożyły się w coś, co było bardzo bliskie uśmiechu. - Ale cieszę się, że zawieramy znajomość jak należy, panno Tremayne. Mam na imię Bria. Bria McKenna.

- Tym razem na jej twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech, który rozjaśnił jej oczy. - Jestem mężatką, co chyba powinnam zaznaczyć, po-

* **Coup de grâce (franc.) - dobiecie rannego lub skazańca (przyp. tłum.).**

nieważ mam dwie spore już dziewczynki, a wkrótce urodzę następne dziecko.

Zaczęła się śmiać, ale po chwili ten śmiech zamienił się w kaszel. Zatrzęsła się i zatkała pięścią usta.

W końcu Emma zdołała zmusić nogi do wykonania jakiegoś ruchu, chociaż miała wrażenie, że są sztywne jak szczudła.

- Proszę pozwolić, że naleję pani herbaty. To czerwona koniczyna. Udało mi się nakłonić kucharza, by dodał oleju lnianego i miodu. Podobno łagodzi nieco dolegliwości dręczące ludzi chorych na su... na wiosenny dławiec.

Napełniła gorącym napojem ozdobioną różami filiżankę z sewrskiej porcelany. Po odwróceniu się w stronę leżącej zauważyła, że oczy chorej zrobiły się ogromne i jeszcze ciemniejsze. Irlandka przesunęła wzrok z porcelanowej filiżanki na rozpostarty nad łóżkiem baldachim, tak delikatny i przejrzysty jak skrzydło anioła, a potem z powrotem na twarz Emmy. Jej niewielkie, leżące na jedwabnej kołdrze dłonie drżały.

Emma doskonale wiedziała, o czym myśli ta kobieta, ponieważ ją samą również bardzo często nawiedzały różne refleksje. Czasami miała wrażenie, że nagle znalazła się po drugiej stronie zwierciadła, a wówczas nie tylko jej świat wyglądał zupełnie inaczej, lecz i ona sama stawała się kimś innym. W takich chwilach czuła się bardzo nieswojo, przeszkadzało jej nawet bicie własnego serca.

Emma zorientowała się, że na jej ustach pojawia się uśmiech, w głębi duszy jednak czuła pustkę, tęsknotę za czymś, czego nie potrafiła określić. Może po prostu chciała powiedzieć tej kobiecie: **Wiem**. A potem usłyszeć z jej ust to samo.

- Mogę przytrzymać pani filiżankę i spodeczek - powiedziała. - Oczywiście, jeśli pani zechce.

Kobieta przełknęła ślinę, przytaknęła, a potem zamknęła oczy.

Emma usiadła na łóżku. Czarna spódnica z tafty zaszeleściła, a wypełniony gęsim pierzem materac delikatnie westchnął. Kobieta - Bria McKenna - przesuwała ręką po swym ogromnym brzuchu. Emma niewiele wiedziała o porodach i niemowlętach, mimo to przyszło jej na myśl, że maleństwo urodzi się już bardzo niedługo.

Uznała, że smutek, będący udziałem tej kobiety, musi być bardzo ciężki do zniesienia. Jak mogłoby być inaczej, skoro

Irlandka wkrótce ma wydać na świat maleństwo, tymczasem doskonale zdaje sobie sprawę, że niedługo sama umrze i nie będzie mogła przez kilka najbliższych, cudownych lat obserwować, jak ono rośnie. Wie, że jej dziecko nigdy nie będzie miało najbardziej potrzebnej osoby - matki.

Jedynym chyba jeszcze większym bólem jest obserwowanie, jak dziecko podраста, a potem pada ofiarą monstualnej fabrycznej maszyny. Patrzenie, jak umiera, wykrwawiając się w ramionach matki.

Emma poczuła, że boli ją gardło i szczypią oczy. Zrobiło jej się wstyd własnych uczuć. Nie miała prawa do współczucia.

Pragnąc dotknąć dłoni Brii McKenny, wyciągnęła rękę, cofnęła ją, a potem odważyła się wreszcie. Palce obu kobiet splotły się jak włókna sznura, a Emma przez cienką białą skórę kobiety poczuła jej drobne kości.

- Przykro mi z powodu pani synka - powiedziała łagodnie, niemal szeptem.

Kobieta otworzyła oczy, a jej twarz tak pobladła, że sprawiała wrażenie przezroczystej. Jej palce zacisnęły się na dłoni Emmy i mocno ją przytrzymały.

- Skąd... skąd pani o nim wie?

- Przyniosła go pani do nas, kiedy zmarł. Powiedziała pani wówczas, że miał na imię Padraic, żebyśmy... wiedzieli. Pierś kobiety uniosła się w głębokim oddechu.

- Och, nie, nie, to nie był mój synek. Biedna pani Cartwright w ciągu roku najpierw owdowiała, a potem straciła syna. Nie była nawet w stanie zająć się czuwaniem przy zwłokach ani pochówkiem. Chociaż równie dobrze nieszczęście mogło dotknąć mnie. Chodzi mi o to, że na miejscu jej dziecka mogła znaleźć się któraś z moich córeczek.

Przyciągnęła zaplecione ręce do piersi i usiłowała usiąść. Na jej skroni w szalonym tempie pulsowała błękitna żyłka.

- Ta kobieta, która przyniosła ciało biednego, małego Pa-draica na polowanie... to nie ja. To osoba działająca pod wpływem chwilowego szaleństwa, którego źródłem była rozpacz, rozumie pani? Ona nie... - Z uporem wpatrywała się w twarz Emmy, czegoś na niej szukając. - To nie byłam ja.

- Rzeczywiście - powiedziała Emma. - Rozumiem... -Wiem.

Bria McKenna opadła do tyłu, z trudem łapiąc powietrze, po czym puściła rękę Emmy.

- Chętnie napiłabym się teraz herbaty, gdyby była pani tak miła.

Emma nie była pewna, dlaczego się uśmiechnęła, niemniej zrobiła to. A kiedy w odpowiedzi na ustach Bria McKenny również pojawił się uśmiech, coś ciepłego chwyciło Emmę za serce.

- Moja matka pewnego razu poświęciła całe lato, by nauczyć mnie, jak należy podawać herbatę - powiedziała. - A teraz, w chwili kiedy ta umiejętność okazuje się najbardziej potrzebna, zachowuję się tak, jakbym nie potrafiła tego zrobić.

Mimo to była zaskoczona własną sprawnością i beztrąską, którą czuła w głębi duszy, a także brakiem lęku, kiedy podkładała poduszki pod plecy chorej. Choć przyszło jej na myśl, że choroba tej kobiety może być zakaźna, doszła do wniosku, że nie jest w stanie trzymać się od niej z daleka, by się nie zarazić, a jednocześnie postępować zgodnie z dobrymi manierami. A jak zawsze powtarzała matka, dobre maniery są najważniejsze.

Emma naląła filiżankę herbaty i trzymała ją tak, by Bria mogła pić, uniósłszy tylko głowę. Chora upiła maleńki łycalek, a potem podniosła wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Emmę słodkimi, lecz smutnymi oczami. Co dziwne, Emma nie uciekła wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu wytrzymała czyjeś spojrzenie.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, co powiedziałam pani tamtego dnia - oświadczyła w końcu Bria. - Bardzo się wówczas myliłam; pani ma dobre serce. Gdyby tak nie było, nie wzięłaby mnie pani do domu i nie zatroszczyła się o mnie.

Emma zarumieniła się i wbiła wzrok we własne kolana.

- Zemdlała pani. Nie mogłam przecież pozwolić, żeby pani leżała na ulicy. Część podziękowań należy się jednak również pani córeczce. Miałam zamiar zawieźć panią do doktora Warrena, ale ona uparła się, żebym zabrała panią do domu - do mojego srebrnego domu, jak to określiła. Powiedziała, że tak chcą wróżki.

- Gdzie... - Bria zakaszłała, a jej ciało zatrzęsło się. W kąciku ust pojawiła się kropelka krwi. - Ona...

- Nie ma jej tutaj - wyjaśniła Emma, odstawiając filiżankę i spodeczek. Podała Bria świeżą chusteczkę i pomogła jej ułożyć

się na poduszkach. - Ale nie musi się pani o nią trapić. Powiedziała, że da znać ojcu, dokąd panią zabrałam, i sądzę, że pobiegła go poszukać.

Bria westchnęła. Powieki wyraźnie jej ciążyły, a w końcu opadły na oczy. Emma pomyślała, że zasnęła. Po chwili jednak Bria uniosła rękę, powoli, z tak ogromnym wysiłkiem, jakby dźwigała cały świat.

- Znowu wróżki... - Wydała dźwięk, który początkowo był śmiechem, potem jednak zamienił się w kolejny atak dudniącego kaszlu. - Ta nasza Noreen mówi takie dziwne rzeczy...

Emma wstała, poprawiła pościel i wygładziła poduszki. Bardzo chciała odgarnąć z czoła Bria McKenny płomienne włosy, nie miała jednak odwagi, ponieważ coś takiego było dopuszczalne w stosunku do przyjaciółki, a nie obcej osoby.

- To śliczne dziecko z miedzianymi loczkami? Powiedziało mi, że ma na imię Merry.

- To na pewno nie była nasza Merry. - Bria otworzyła ciemne, zamglone oczy i zaraz znowu je zamknęła. - Merry nie mówi - dodała sennie.

Emma obserwowała śpiącą kobietę. Bria McKenna... Emmie podobało się to imię i nazwisko - oba te słowa bardzo miło brzmiały w uszach. Miały w sobie coś radosnego, tak samo jak włosy kobiety.

Bria McKenna. Jej ciemnorude brwi były gęste i zdecydowanie zarysowane, a usta szerokie i może zbyt pełne. Nie była piękną, ale przecież miała zachwycającą twarz. Wszystko zaś dzięki kościom policzkowym, które sprawiały, że trudno było oderwać od niej wzrok, świadczyły o szalonej sile przytłumionej przez cierpienie. Była to twarz wojowniczk.

Palce Emmy aż drżały z chęci wyrzeźbienia tej twarzy. Najpierw zrobi model z gliny, a potem, gdy uchwyci to, co ją fascynuje, odleje tę twarz w najcieńszej warstwie miedzi jak maskę.

Emma pomyślała nagle, że kiedy Bria McKenna się obudzi, będzie potrzebowała czegoś bardziej konkretnego niż herbata. Przydałby się rosół z kury. Emma przypomniała sobie, że poprzedniego dnia na kolację był bulion z bażanta - cała waza.

Może zupa wcale nie musi być z kury? - pomyślała. Może wystarczy, jeśli będzie w ogóle z drobiu? Miała zamiar pociągnąć za sznur dzwonnka, by wezwać kogoś ze służby, potem jednak postanowiła, że sama zejdzie do kuchni i przyniesie, co trzeba.

Hall na dole tonął w półmroku. Oświetlały go jedynie dwa gazowe lichtarze, które znajdowały się po obu stronach wiszącego na tylnej ścianie ogromnego lustra w rzeźbionych złotych ramach. Wiele lat temu, jeszcze w ubiegłym stuleciu, łukowate, podwójne schody dębowe oświetlane były zazwyczaj setkami cieniutkich świec, lecz pewnego wieczoru córka pana domu potknęła się, wpadła między płonące świeczki i stanęła w płomieniach. Modne w owych czasach stalowe obręcze, podtrzymujące krynolinę, uniemożliwiły ojcu ugaszenie ognia, i dziewczyna spłonęła. Nie była pierwszą ani ostatnią osobą, którą uznano za ofiarę ciężającej na Tremayne'ach klątwy. Powiadano, że jej duch wciąż nawiedza hall, lecz Emma nie pamiętała, by ktokolwiek spotkał tę zjawę.

Kiedy dotarła do połowy schodów, zatrzymała się. Tego dnia w domu panowała dziwna atmosfera. „Brzozy” nie tyle sprawiały wrażenie wymarłych, co wyludnionych. Zupełnie jakby wszyscy szaleni, niegodziwi i przekłęci Tremayne'owie, którzy niegdyś żyli tu i tu umarli, nie zostawili ani jednej zbłąkanej duszyczki, by mogła nawiedzać to miejsce.

Emma potrząsnęła głową. Doszła do wniosku, że rozmyśla o dziwnych rzeczach. Wszystko dlatego, że jest burzliwa noc, służba znajduje się w suterrenach, a matka i siostra po zażyciu laudanum pogrążyły się w niespokojnym śnie.

Skórzane pantofle Emmy poruszały się cicho po wyfroterowanych dębowych stopniach. Cienie wiły się wzdłuż klatki schodowej. Błyskawica przecięła niebo i rozpadła się na miliony iskierek odbijających się w okrągłych szybkach półkolistego okienka, znajdującego się nad drzwiami wejściowymi.

Emma ponownie zatrzymała się, zacisnęła palce na poręczy i czekała. Ledwo zdążyła wciągnąć powietrze w płuca, kiedy ciszę nocy rozdarł trzask pioruna, który potem niemal bez końca przetaczał się, przetaczał i przetaczał.

W końcu zdała sobie sprawę, że to, co słyszy, to już nie

odgłos grzmotu. Ktoś uderzał mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa o grube hebanowe drzwi. Zeszła o stopień niżej.

Drzwi otworzyły się i głośno stuknęły o marmurowe ściany. To trzaśnięcie przez chwilę objęło się pod kopulastym sklepieniem i było donośniejsze niż uderzenie pioruna. Do hallu wpadł poryw wiatru. Gazowe płomyki lichtarzyków zachybotwały i przygasły. Wcześniej jednak Emma zdążyła zauważyć w lustrze odbicie mężczyzny.

Czarna, rozpięta kurtka, kapelusz z podgiętym rondem i włosy przybyłego ociekały wodą. Za jego plecami, w blasku wiszącego na werandzie lampionu, widać było przypominające srebrne noże strugi deszczu.

Musiał zauważyć w lustrze odbicie jej białej bluzki, ponieważ skierował wzrok w tę stronę i spojrzał jej w oczy.

Patrzyli na siebie, otoczeni marmurem, srebrzystym szkłem i odbijającymi się w nim gazowymi płomykami.

Przyszedł, pomyślała.

Przyszedł. Po nią. Pragnie jej i dlatego przyszedł. Dzięki niemu otwierają się przed nią ogromne możliwości.

Przyszedł, by wyrwać ją z tego świata, w którym tkwiły jej korzenie, i tym razem Emma postanowiła pozwolić, by to się stało.

Kiedy zrobił krok w jej stronę, jęknęła. W tym jednym dźwięku zawarty był strach, zdziwienie i oczekiwanie.

- Przyszedłem po moją żonę - powiedział.

XIV

Emma Tremayne jechała pomalowaną na czarno bryczką, której siedzenia obite były bordową skórą. Dziewczyna miała na sobie strój odpowiedni na przedpołudniową wizytę. Była to francuska suknia spacerowa, uszyta z morowej tafty w kolorze skrzydeł gołębia, ozdobiona pod szyją ogromną ilością belgijskiej koronki, a w talii przepasana szeroką, białą satynową wstążką. Emma zadbała również o odpowiednie dodatki: rękawiczki z sarniej skóry, wykonaną z tafty i koronki parasolkę oraz słomkowy kapelusz z satynowymi różami i pękiem strusich piór.

Miała jednak wrażenie, że bardzo rzuca się w oczy i że znajduje się w nieodpowiednim do stroju miejscu.

Nie bywała zbyt często na tym końcu Thames Street. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tędy przejeżdżała, a tym bardziej nigdy nie zatrzymywała się na zniszczonej promenadzie, wśród parujących kupek końskich odchodów i pochylonych latarni.

O tej porze dnia nie było tu wielu ludzi, ponieważ w okolicy mieszkali przede wszystkim robotnicy. Może dlatego obaj znajdujący się w polu widzenia mężczyźni - siedzący na werandzie rybak, naprawiający sieć na homary, oraz gałganiarz pchający na wózku swój pochodzący ze śmietnika dobytek - zamarli w bezruchu i gapili się na nią. Doskonale było ją widać, ponieważ wcześniej złożyła dach bryczki. Na siedzeniu obok niej leżał wyłożony perkalem koszyk wypełniony kanapkami z ozorkami, a także delikatnymi filedami z wołowiny i amerykańskiego zółwia wodnego. Znajdował się w nim również pasztet z gęsich wątróbek i indyk nadziewany truflami. Na tylne siedzenie wrzuciła ogromne walizy i przewiązane wstążkami pudła pełne ubrań, których nigdy nie nosiła. Natomiast obok jej stóp wciśnięty był kufer wyładowany lalkami i innymi zabawkami, które udało jej się znaleźć na strychach „Brzóz”, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek się nimi bawiła.

W rezultacie bryczka była tak wypchana, że Emma musiała wstać, by dojechać dom, który miała zamiar odwiedzić. Była to maleńka, sklecona z desek chatka, ustawiona na wysokich palach, stojąca na skraju szarej kamienistej plaży. Emma wysiadła z bryczki i ruszyła w stronę domku drogą, która w rzeczywistości była zwyczajną ścieżką wydeptaną wśród rogoży i astrów. Z każdym krokiem Emmę opuszczała odwaga. Nigdy wcześniej nie robiła niczego takiego, nigdy sama nie szukała towarzystwa. Zazwyczaj to inni zabiegali o jej względy.

Frontowe drzwi otworzyły się i na werandzie pojawiła się Bria McKenna, wycierając ręce w fartuszek. Przesunęła wzrok z Emmy na ulicę, gdzie stała wyładowana po brzegi bryczka, w której widać było piknikowy koszyk, kufer i przewiązane wstążeczkami pudełka. W jej oczach błysnęła złość.

W tym momencie Emma zrozumiała swój błąd.

- Dzień dobry! - zawołała, sapiąc, jakby połknęła za dużo powietrza. - Właśnie... - Machnęła ręką, pokazując wyladowany powóz. - Właśnie wybieram się do Świętego Michała, by podrzucić dary. Przejeżdżając, pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak się pani czuje.

Na twarzy Brii pojawił się rumieniec. Kiwnęła sztywno głową i odsunęła się na bok, by wpuścić Emmę przez zbite z dębowych desek drzwi.

- W takim razie proszę do środka, panno Tremayne. Właśnie miałam zamiar nastawić wodę na herbatę.

Emma uniosła spódnicę i ruszyła schodami w górę, chociaż nogi tak bardzo się jej trzęsły, że o mało się nie potknęła. W kuchni unosiły się wspaniałe zapachy świeżo upieczonego chleba i jaskrów ustawionych na środku stołu w puszcze po pomidorach. Na wyblakłej tapecie w rajskie ptaki widać było zacieki, ale widniejące na niej pomarańczowe i niebieskie kwiaty sprawiały, że całe pomieszczenie wyglądało wesoło. Podłoga, pokryta popękany, swego czasu brązowym linoleum, na skutek szorowania zrobiła się niemal biała. W jednym rogu leżał na niej kolorowy, zrobiony na szydełku dywanik.

Emma stanęła na środku, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

- To szczęście, że zastała mnie pani w domu - powiedziała Bria, stawiając na piecu pocięty miedziany czajnik. -

Obecnie bowiem zajmuję się, teoretycznie przynajmniej, plebanią mojego brata, który jest proboszczem w parafii Najświętszej Marii Panny. Nie bardzo wiem, dlaczego zatrudnił mnie w charakterze gospodyni, ponieważ właściwie nie pozwala mi nic robić. Więcej czasu spędzam we własnej kuchni niż na plebanii.

Odwróciła się od pieca, a na jej ustach pojawił się promienny uśmiech.

- Może zechciałaby pani usiąść... Och, a kysz, ty stary, leniwy kocurze! - Machnęła ręką, wysuwając jedno z krzeseł, którego wyplatane siedzenie zajmowało olbrzymie, kudłate, brązowe stworzenie. - Wynoś się na dwór, Gorgeous.

Spróbuj złapać sobie jakąś mysz, bo do tego zostałeś stworzony.

Kot z parsknięciem zeskoczył z krzesła, a następnie powoli, godnie wyszedł przez otwarte drzwi.

Emma przez chwilę przyglądała się zwierzęciu. Miało wyle-

niałe futerko, obgryzione uszy i złamany w trzech miejscach ogon, który wyginał się jak korkociąg.

- Gorgeous*?

Bria roześmiała się, zaskakując Emmę, ponieważ ten śmiech był lekki i niezwykle radosny, w ogóle nie pasujący do niezwykle poważnych oczu.

- To Shay nadał mu takie imię ze względu na jego wyjątkową szpetotę. Ja nazwałabym go raczej Brilliant . ponieważ z tego, co widzę, nie ma nawet na tyle rozsądku, by się podrapać, gdy go coś swędzi.

Bria ponownie się roześmiała, po czym odwróciła się, by zdjąć z pieca czajnik, a w jej krokach była jakaś lekkość. Tego dnia nie kaszlała, a na jej policzkach lśniły ciemnoróżowe rumieńce w kolorze kwitnących późnym latem róż. Emma usiadła na wygrzany przez Gorgeousa krzesło. Uznała, że to, co robi, jest dość dziwne, lecz raczej przyjemne. Zupełnie jakby była sąsiad... nie, przyjaciółką, która od czasu do czasu wpada rano, by wypić filiżankę herbaty i odrobinę poplotkować. Pomijając niezręczną początkowo sytuację, Bria McKenna sprawiała wrażenie, jakby przy niespodziewanym gościu czuła się całkiem swobodnie. Emma żałowała, że sama nie potrafi zachowywać się w taki sposób, lecz język przywarł jej do podniebienia, a ukryte w rękawiczkach z sarniej skóry dłonie zrobiły się gorące i wilgotne.

Podczas przygotowywania herbaty Bria zamilkła. Emma usiłowała nie zwracać uwagi na to, że wzorek na zwyczajnych, przeznaczonych do codziennego użytku filiżankach wcale nie pasuje do spodeczków, że łyżeczki wykonane zostały z cyny, natomiast rolę słodzika będzie pełnić melasa, a nie cukier.

Bria naląła herbatę, postawiła na stole talerzyk z kromkami ciemnego chleba i gliniany garnek z oleomargaryną, po czym usiadła po drugiej stronie. W tym momencie Emma doszła do wniosku, że koniecznie powinna coś powiedzieć. Usiłując cokolwiek z siebie wydusić, niemal się zakrztusiła.

- Na niebie nie widać dzisiaj ani chmurki - stwierdziła. -A słońce grzeje. Może w końcu naprawdę zacznie się wiosna.

***Gorgeous (ang.) - wspaniały, cudowny (przyp. tłum.). Brilliant (ang.) - błyskotliwy (przyp. tłum.).**

- Wydaje mi się, że już się zaczęła - powiedziała Bria. Wyciągnęła szyję, by wyrzec przez otwarte drzwi, jakby koniecznie należało zobaczyć słońce świecące na błękitnym niebie. - Na pewno jest dzisiaj zupełnie inaczej niż w ostatnią niedzielę, kiedy zrobiłam z siebie idiotkę i zemdlałam przed drogerią Pardona Hardy'ego. Emma rozłożyła na kolanach cienką, bawełnianą, niebieską serwetkę w kratkę i wypła łyk herbaty. Rozłamała kromkę chleba na cztery kawałki, ale go nie zjadła. Kiedy przyłapała się na tym, że śledzi wzór na rozłożonej na stole brązowej ceracie, zmusiła się, by przestać, po czym wzięła głęboki wdech.

- Dokładnie przed sześciu laty - powiedziała - była potworna burza. Mój brat, Willie, wypłynął jachtem na zatokę i nigdy nie wrócił.

Słyszając, że Bria głośno wciąga powietrze w płuca, przycisnęła palce do ust, jakby próbowała powstrzymać krzyk. Powiedziane przed chwilą słowa właściwie wyrwały się jej z ust - wystrzeliły jak korek od szampana. Doszła do wniosku, że od lat musiały tkwić w jej gardle, fermentować i czekać na okazję, by wybuchnąć.

Nigdy o tym nie rozmawiały - ani między sobą, ani nawet z własnymi, wypełnionymi żalem sercami... Śmierć Williego. Taki wstyd dla rodziny, taki skandal. Zbyt niemąła sprawa, by poruszać ją przy herbacie.

Ale bardzo chciała o tym mówić - musiała to zrobić, by nie zwariować. ***Był to akt szaleństwa i rozpacz.***

Emma czuła, że Bria się poruszyła, rozległo się tępe stuknięcie glinianych naczyń, a potem palce obu kobiet splotły się na lśniącej brązowej ceracie.

- Och, panno Tremayne. Tak mi przykro.

- Czasami zdarzają się takie wypadki - powiedziała Emma, odwracając głowę w stronę kuchni z wyblakłą tapetą i popękany linoleum. - Gdzieś na dnie serca zostawiają ból, przynajmniej tak mi się wydaje. Ból, którego nic nie jest w stanie złagodzić. Potem, ilekroć człowiekowi przytrafi się coś złego, nawet jeśli są to rzeczy, które sprawiają tylko odrobinę bólu, zawsze ten stary ból odzywa się na nowo.

Emma doszła do wniosku, że być może to wszystko brzmi

niezbyt rozsądnie, mimo to wcale nie miała zamiaru przestać mówić.

- Przez bardzo długi czas po tym... po tym, co się stało, myślałam: „Skoro nie ma go z nami, dlaczego ja mam żyć, dlaczego mam istnieć? Dlaczego cokolwiek ma istnieć?”

Póki mówiła, nie była w stanie spojrzeć na Brię, obecnie jednak to zrobiła. W oczach Brieri widać było cierpienie, a Emmie zrobiło się wstyd.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Nie powinnam pani o tym mówić.

- Dlaczego? Dlatego, że sama umieram?

- O nie, nie... Chodzi mi tylko o to, że o takich sprawach w ogóle się nie mówi. To nie przystoi. Przynajmniej w moim świecie.

- Prawdę mówiąc, na Thames Street jest tak samo. Wymieniły blade uśmiechy, ponieważ to, o czym mówiły, było zbyt bolesne. Uśmiech wyrażał całkowite zrozumienie. *Wiem.*

- Śmierć... - Bria wymówiła to słowo spokojnie i zwyczajnie, a Emma doszła do wniosku, że jej rozmówczyni najwyraźniej zdążyła się z nim zżyć. - Jest to podróż, którą, gdy nadejdzie czas, każdy musi odbyć w samotności, trudno się zatem dziwić, że tak bardzo się jej boimy. Może dlatego, że przez całe życie robimy wszystko, by uciec przed samotnością. Chociaż to dziwne, że tak to odczuwamy, ponieważ tak naprawdę od urodzenia jesteśmy sami.

- Myślę, że nie było na świecie człowieka bardziej samotnego niż Willie tego dnia, kiedy wypłynął w morze podczas sztormu.

Bria ciężko oddychała, a każdy jej oddech przypominał głębokie westchnienie.

- Moim zdaniem o wiele trudniej jest tym, którzy zostają. Zostają, by w samotności zmagać się z dalszym życiem, lecz już bez tego kogoś, kogo kochali bardziej niż innych ludzi.

Po raz pierwszy od przekroczenia progu tego domku, od chwili, kiedy znalazła się w kuchni z kwiecistą tapetą i poczuła zapach pieczonego chleba oraz jaskrów, Emma pomyślała o nim - o mężu Brieri McKenny.

Tamtej nocy, tamtej nocy, tamtej nocy... Czekaając na niego na schodach, myślała, że przyszedł, by ofiarować jej życie pełne

przygód i niebezpieczeństw. Okazało się jednak, że poniosła ją zbyt bujna wyobraźnia.

Tamtej nocy bez słowa minął ją i ruszył schodami w górę, a ona została w cichym hallu. Zatrzymały się również jej myśli, ponieważ on przyszedł po... przyszedł po...

Czekała w bezruchu. Kiedy w końcu wychylił się z ciemności spowijającej wyższe kondygnacje domu, Emma drgnęła, jakby miała zamiar uciec. Ale było już za późno, i równie dobrze mogłoby jej tam nie być, ponieważ on w ogóle jej nie dostrzegł. Jego pełne miłości i cierpienia oczy przykute były do kobiety, którą niósł na rękach.

Kiedy znalazł się u podstawy schodów, zatrzymał się i spojrzał w górę. Bria poruszyła się, a on jeszcze mocniej przytulił ją do siebie, chociaż się nie obudziła. Jego oczy błysnęły w stronę Emmy, jakby były okruchami gwiazdy, która spadła z nieba i rozbiła się na drobne kawałki.

- To moja żona - powiedział. - Zabieram ją do domu.

Tamtej nocy, tamtej nocy... Czowała się jak skończona idiotka. Chociaż nie mogła mieć do niego pretensji, sama była sobie winna. W końcu nawet nie próbowała się dowiedzieć, jak on ma na imię, nie starała się również poznać jego życia, dlatego też nie wiedziała, że jest człowiekiem żonatym. Traktował ją zupełnie inaczej niż znani jej dotychczas ludzie. Śmiał się razem z nią, a czasami był wobec niej szorstki i arogancki. Traktował ją po prostu jak człowieka, a nie kruchą figurynkę, którą należy trzymać z dala od prawdziwego życia, ukrytą bezpiecznie pod kloszem.

Zaintrygował ją, a więc uznała, że ona również go interesuje.

Poza tym chciała, by pozostał człowiekiem obcym, gdyż tak czuła się bezpieczniej.

Tymczasem być może on w ogóle o niej nie myślał w czasie, który upływał między spotkaniami. Próbował jedynie dostarczyć jej rozrywki, zupełnie jakby starał się zabawić małe dziecko, i może trochę ją oczarować, żeby móc wykorzystać jej przystań do przemytu broni, nie narażając się na aresztowanie za wkroczenie na prywatny teren. A tamta wyprawa na łąkę była jedynie kaprysem; sam to powiedział. Okazją, by, pokazując lisią rodzinę, nauczyć rozumu rozpieszczoną, bogatą panienkę.

Była dla niego dzieckiem czy też rozpuszczoną, bogatą pa-

nienką. Tak ją traktował i tak o niej myślał, jeśli w ogóle to robił. Tymczasem ona chciała od niego... Właściwie nie potrafiła sformułować tego w myślach, a tym bardziej ubrać w słowa, tak by pragnienie owo nabrało realnych kształtów. Natomiast całkiem realne było to, co tamtej nocy zauważyła w jego twarzy, kiedy mijał ją na schodach, niosąc na rękach Brię McKennę.

Widziała mężczyznę, który spoglądał na swą ukochaną, z każdym oddechem tracącą życie żonę.

Emma stała na podwórku wśród rogoży i astrów, a Gorgeous krążył wokół jej nóg.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziała do Brii McKenny. Lecz kiedy wyciągnęła rękę, Bria jej nie ujęła.

- A jeśli chodzi o te rzeczy w pani powozie... - powiedziała. - Wiem, że przeznaczone były dla nas. Chciała pani dać je nam jak jałmużnę.

Ręka Emmy opadła, a na jej szyi pojawiły się czerwone plamy.

- Nie miałam zamiaru pani urazić, naprawdę. Jedyne przyszło mi na myśl... - Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. - Podejrzewam, że w ogóle nie myślałam.

Kiedy Bria uważnie przyglądała się jej twarzy, Emma miała ochotę uciec wzrokiem, lecz nie zrobiła tego.

- Doceniam pani dobroć i rozumiem, że to właśnie dlatego chciała pani ofiarować nam te rzeczy - powiedziała Bria.

- Nie musi mi pani niczego wyjaśniać. - Emma machnęła ręką i jeszcze bardziej się zarumieniła.

- Chodzi o mojego Shaya. Byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby doszedł do wniosku, że w niego nie wierzę i sędzę, że nie jest w stanie zarobić na utrzymanie moje i dziewczynek.

- Oczywiście. Rozumiem to.

- Nie chcę jednak, by uznała pani, że kieruję się głupią dumą. Shay naprawdę zapewnia nam wszystko. Problem polega jedynie na tym, że pieniądze i Shay nie zawsze chodzą w parze. Och, ilekroć pojawi się jakaś gotówka, mój mąż bardzo dba o mnie i dziewczęta, ale też zawsze znaczną jej część po prostu rozdaje. Na kościół i na różne cele dobroczynne - dla sierot, wdów i niemal każdego, kto jest w większej potrzebie niż my. Oczywiście, łoży również na sprawę. Jest typowym Irland-

czykiem, dlatego byłby nieszczęśliwy, gdyby nie mógł w taki czy inny sposób wspierać rebelii. - Przerwała, by nabrać powietrza w płuca. - Nie chcę, żeby źle pani myślała o moim Shayu.

Podczas wymawiania tego imienia na ustach Brii pojawił się tkliwy uśmiech, a twarz rozjaśniła się, jakby w oczach Brii nagle zapalono tysiąc świec. Proszę, ona go kocha, nawet bardzo, pomyślała Emma z rozpaczą, chociaż właściwie nie wiedziała, dlaczego to ją tak bardzo zdziwiło. Czyżby sądziła dotąd, że kobieta pracująca w fabryce włókienniczej i mieszkająca w zbitej z desek chacie nie wie, co to miłość?

Dom stał przy Thames Street od strony wody. Za nim rozciągała się plaża, która w południowym słońcu połyskiwała srebrzyście jak cynowy talerz. Emma patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, a potem przeniosła wzrok na twarz Brii.

- Proszę pani... Czy bardzo nadużyję pani uprzejmości, jeśli znowu panią odwiedzę?

Zauważyła, że na twarzy Irlandki pojawiło się zaskoczenie i odrobina nieufności.

- Zawsze będzie pani tu mile widziana - powiedziała po chwili, chociaż nie wyraziła na głos tego, co naprawdę pomyślała: ***Tylko po co miałyby pani to robić?***

- W takim razie wpadnę - oznajmiła Emma, po czym uśmiechnęła się bez zastanowienia i wcale się tego nie wstydziła. - Będzie mi bardzo przyjemnie.

I rzeczywiście to zrobiła. Nawet nie zaczekała do następnego tygodnia, tak jak wymagały dobre obyczaje, lecz pojawiła się następnego dnia.

Tym razem Bria klęczała obok frontowych schodów i grzebała w ziemi łopatką. Wrywała rogozę i astry, by zasadzić fiołki.

Kiedy Emma podeszła bliżej, Bria odchyliła do tyłu głowę i przymrużyła oczy przed słońcem.

- Teraz przynajmniej mam czas, by to zrobić - powiedziała, jakby w ogóle nie była zdziwiona faktem, że panna Emma Tremayne składa jej następną wizytę, na dodatek w tak krótkim czasie po pierwszej. Można było wręcz odnieść wrażenie, że ucieszyła się na widok gościa. - To dzięki temu, że nie pracuję już w fabryce, a mój brat ma dziwne wyobrażenie o tym, jak powinno wyglądać prowadzenie przeze mnie jego gospodarstwa.

Ogranicza się więc do głaskania mnie po głowie i powtarzania, że powinnam odpoczywać z wyciągniętymi nogami. Tego ranka Emma miała na sobie suknię z różowej tafty i koronki, mimo to bez zastanowienia uklękła na ziemi obok Brii.

- Co mogę zrobić? - zapytała.

Bria wskazała palcem na sporą kępkę ptasiego ziela. W jej ciemnych oczach czaiło się rozbawienie.

- Może pani chwycić ten kawał badyła i mocno go pociągnąć. Trzeba wyrwać go z korzeniami.

Emma spojrzała nieufnie na chwast, jakby bała się, że ją ugryzie.

- Dobrze - powiedziała. - Zrobię to.

Lecz nim się do tego zabrała, zdjęła rękawiczki i zanurzyła dłonie w świeżo rozkopanym kwietniku. Nie przypuszczała, że ciepło i wilgoć ziemi mogą być tak przyjemne.

Uczucie podniecenia towarzyszyło jej jeszcze po południu, kiedy wygrzebywała ziemię spod paznokci. Robiła to w swej łazience, której ściany wyłożone zostały malowanymi kafelkami, a armaturę wykonano z najwyższej próby srebra. Przyszło jej wówczas na myśl, że czuje się tak, jakby wkładając ręce w wilgotną, ciepłą ziemię, popełniła szaleństwo.

Kiedy opuściła łazienkę i udała się do sypialni, ze zdziwieniem zauważyła stojącą przed lakierowanym parawanem matkę. Emma była zaskoczona i nieco przestraszona, jakby przyłapana na jakiejś niegodziwości.

- Gdzie byłaś? - zapytała matka z wyraźnym południowym akcentem. Za niecałą godzinę wybierały się na podwieczorek do pani Hamilton, lecz Bethel już była gotowa do wyjścia. Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę z wzorzystej satyny ozdobionej tysiącami błyszczących koralików.

Emma usiadła przed toaletką na wykładanym pluszem taborecie. Czerwony jedwabny, przypominający kimono szlafrok, który miała na sobie, nieco się rozchylił, lecz szybko się nim opatulila. Miała wrażenie, że jest całkiem naga.

Bethel podeszła bliżej, szeleszcząc sztywną satyną, i stanęła z tyłu. Przez chwilę Emma próbowała wytrzymać odbijające się

w lustrze spojrzenie matki, potem jednak uciekła wzrokiem w bok.

- Może byłabyś tak uprzejma i odpowiedziała na moje pytanie - ponagliła ją Bethel.

Emma sięgnęła po szczotkę ze srebrnym trzonkiem, ale czując, że drży jej ręka, opuściła ją na kolano. Spojrzała na leżący na komodzie płócienny bieżnik haftowany w maleńkie pierwioski.

- Byłam z wizytą u swojej nowej przyjaciółki... pani McKenny. Wcale nie była zdziwiona, że matka sapnęła na dźwięk tego

tak bardzo irlandzkiego nazwiska. Irlandczycy uważani byli za niższą formę życia. Nieprawdopodobnych pijaków i leniwych nicponiów. Zatrudniało się ich do szorowania podłóg i sprzątania stajni. Nie składało się im wizyt ani nie nazywało ich przyjaciółmi.

- To kobieta, którą tu przywiozłam, gdy zemdląła podczas procesji w święto Matki Boskiej - szybko wyjaśniła Emma, wykorzystując milczenie matki spowodowane zaskoczeniem. - Na pewno mama pamięta, zdarzyło się to zeszłej niedzieli, kiedy mama tak fatalnie się czuła, a wuja Stantona nigdzie nie można było znaleźć. Carrews musiał mamie coś na ten temat wspomnieć. - Carrews był kamerdynerem i donosił mamie o wszystkim, nawet jeśli czasami udawała, że go nie słucha.

Bethel machnęła dłonią w białej rękawiczce, jakby próbowała odsunąć od siebie te wyjaśnienia.

- Próbujesz mi wmówić, że odwiedziłaś tę... tę...

- Co w tym dziwnego! - powiedziała Emma, energicznie wypuszczając powietrze z płuc. Czystym już palcem wodziła po ozdobnym „E”, wygrawerowanym na srebrnym trzonku szczotki. - Kiedy dzień po dniu widuje się tych samych ludzi, można się zanudzić na śmierć. Miło dla odmiany od czasu do czasu spędzić czas z kimś, kto nie należy do naszego towarzystwa.

Miała wrażenie, że coś gniecie ją w żołądku, zupełnie jakby nagle nabawiła się choroby morskiej. Wiedziała, że jeśli matka zabroni jej składania dalszych wizyt u Brii McKenny, zbuntuje się i tym razem nie posłucha.

- Pani McKenna i ja ucięłyśmy sobie przy herbacie dość miłą pogawędkę. Opowiadała mi o pogodzie w Irlandii.

Bardzo

155

często padają tam deszcze. - Wzięła do ręki szczotkę i przeciągnęła nią po włosach. - Należałoby więc sądzić, że jest tam raczej ponuro, ale okazuje się, że to nieprawda.

Matka przeszła od parawanu do marmurowego kominka, kopiąc spódnicę czubkami satynowych pantofli.

- Czasami masz tak dziwne poglądy, jakbyś była jakimś od-mieńcem. W takich chwilach trudno mi uwierzyć, że jesteś moim dzieckiem. Jakaś kobieta mdleje na ulicy, a ty zatrzymujesz się, by jej pomóc - to po pierwsze, chociaż, no cóż... Mimo to... Ale zupełnie inną sprawą jest zawieranie z tą kobietą bliższej znajomości. Co trzecią niedzielę w ramach działalności charytatywnej rozwozisz biednym, kolorowym mieszkańcom Goree koszyki z żywnością, a jednak tym ludziom nie przyjdzie nawet na myśl, żeby cię zaprosić do domu. Tego się po prostu nie robi.

- Dlaczego?

Bethel odwróciła się, a na jej twarzy widać było udrękę.

- Tego się nie robi - powiedziała w końcu - ponieważ ludzie wywodzący się z niższych warstw nauczyli się utrzymywać pełen pokory dystans wobec osób należących do Śmietanki Towarzyskiej, i tak powinno być.

- Może tego nie robią, ponieważ uważają, że jesteśmy grupą nudnych snobów, i mają rację. Ale pani McKenna była tak miła, że dwukrotnie zaprosiła mnie do siebie, a ja przyjąłem jej zaproszenie. Jest to godna szacunku zameźna niewiasta...

- Godna szacunku! To Irlandka.

Emma odłożyła szczotkę i otworzyła pudełko ze spinkami do włosów. Zebrała włosy i zaczęła układać je w kok.

Nagle ogarnęło ją jakieś drżenie wewnętrzne, widziała, że górna część kimona dygocze.

- Zapytam Geoffreya, co o tym sądzi - powiedziała, odwołując się do odkrytej niedawno przewagi, jaką dawał jej narzeczony wraz z szansą, że jedyna nadzieja rodziny Tremayne'ów wkrótce się spełni. - Wygląda na to, że już tylko on aprobeuje moje postępowanie.

Chociaż Geoffrey wcale by tego nie zaaprobował. Czasami Emma miała wrażenie, że bardzo słabo go zna, tego jednak była całkowicie pewna. Geoffrey był żarliwym zwolennikiem teorii, że każdy ma swoje miejsce na ziemi, a wszystko poustawiane

jest w odpowiednim porządku. Nie lubił, jeśli ktoś ten porządek kwestionował lub zakłócał.

Zdobyła się na odwagę i zerknęła na odbicie matki w lustrze. Bethel wplotła palce w swój naszyjnik i intensywnie wpatrywała się w różę na dywanie. W końcu odezwała się, ale brzmiało to tak, jakby mówiła do siebie:

- Szepty... znów zaczną się szepty, jak wówczas na balu. A co będzie, jeśli wszyscy się dowiedzą? Nie mogą się dowiedzieć!

- O czym mama mówi? Czego nie mogą się dowiedzieć?

Emma nigdy nie widziała matki w takim stanie, tak zdekoncentrowanej i wylęknionej. Ale przecież matka ostatnio zaczęła zażywać nie tylko laudanum, lecz również stosowany przez Maddie wódzian chloralu. Utrzymawała, że dzięki temu ma mniejszy apetyt.

- Mamo! Czy... czy dobrze się mama czuje? Bethel drgnęła i odwróciła się.

- To nic takiego - powiedziała, machając drżącą ręką. - Nic takiego.

Emma poczuła się zaniepokojona. Nie była pewna, w jakim stopniu udało jej się zastraszyć matkę, a na razie nie była w stanie tego sprawdzić, ponieważ matka nie miała zamiaru nic więcej mówić.

Bethel wyprostowała się i energicznie podeszła do córki.

- Na litość boską, pozwól, że ja to zrobię - powiedziała, wyjmując z rąk Emmy spinkę z kości słoniowej. - Co ty wyprawiasz? Nie wiesz, jakie to szczęście mieć tak długie i gęste włosy, podczas gdy reszta z nas musi ratować się podkładkami, przyprawianymi warkoczami i pasmami włosów.

Tak mocno wetknęła spinkę we włosy Emmy, że ukuła ją w głowę.

- Biedny pan Alcott, najwyraźniej świata za tobą nie widzi, ale trudno oczekiwać, że bez końca będzie ci pozwalał na spełnianie ekscentrycznych zachcianek. To samo dotyczy całego towarzystwa. Słowo daję, Emmo, zawsze musiałam prowadzić istną walkę o to, by cię zmusić do odpowiedniego postępowania. Sama na przykład wypływasz na wielogodzinne rejsy żaglówką. To nieważne, że mieszkasz w Bristolu i należysz do Tremay-ne'ów. Jest to postępowanie niewłaściwe dla dwudziestodwule-

niej dziewczyny. A to, co wyprawiasz w starej oranżerii... Nie nazwę tego sztuką, ponieważ to nie ma z nią niczego wspólnego. To hańba. A ostatnio przeszłaś już samą siebie. Zaprzyjaźniłaś się z tą Irlandką. Chyba powodował tobą... całkowity brak godności.

- Kierowałam się życzliwością - sprostowała Emma, czując ukłucie wstydu, bo życzliwość można było przypisać jedynie Brii McKennie. - Pani McKenna od niedawna mieszka w Bristolu, nie ma tu wielu przyjaciół. Co więcej, nie bardzo może wychodzić, ponieważ jest w błogosławionym stanie.

- Ta kobieta jest tak pospolita jak glina. - Matka opuściła ręce na ramiona Emmy, ścisnęła je mocno i odwróciła córkę na taborecie. - Dlaczego mi to robisz? To z powodu tego, co przydarzyło się tamtej nocy, prawda? Tak samo jak twój ojciec, próbujesz wymierzyć mi karę.

Słowa matki tak bardzo zdumiały Emmę, że przez dobrą chwilę nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa.

- Nie próbuję mamy karać - powiedziała w końcu łamiącym się głosem. Może jednak naprawdę chciała, by matka poniosła karę, i ona sama również? - Mówiła mama... mówiła mama, że już nigdy nie będziemy na ten temat rozmawiać.

Matka wbiła palce w ramiona Emmy, a potem ją odepchnęła. W końcu przycisnęła dłoń do czoła.

- Nie mam pojęcia, jak zdołam przeżyć te miesiące, które dzielą mnie od chwili, kiedy w końcu zostaniesz mężatką i będziesz już całkiem bezpieczna.

- Gdybym naprawdę chciała być dla mamy utrapieniem, zostałabym jedną z tych „nowych kobiet”, o których piszą w gazetach i czasopiśmie. Zaczęłabym palić papierosy i jeździć na rowerze. Albo zorganizowałabym w Bristolu dziewczęcy zespół baseballowy; tym sposobem wszystkie mogłybyśmy nosić sportowe spodenki. Jak mama myśli, czy monsieur Worth zgodziłby się zaprojektować dla mnie taki strój?

Bethel zadrżała i spojrzała na córkę. Widząc łagodną, lecz żółtą jak stary wosk twarz matki, Emma zaczęła gorzko żałować, że mówiąc te słowa, sprawiła jej ból, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru. Mama zawsze tak bardzo bała się skandalu jak inni ludzie ospy.

Opuściła wzrok na zaciśnięte na udach palce.

- Ja tylko żartowałam, mamo.

- Kiedy jesteś w takim nastroju, Emmo, twoje żarty wcale nie są zabawne. - Matka odwróciła się na pięcie i sztywno ruszyła w stronę drzwi. - Spróbuj pospieszyć się nieco z ubieraniem. Jeśli tego nie zrobisz, spóźnimy się niewybaczalnie.

Emma obserwowała, jak matka zamyka za sobą drzwi. W duszy dziewczyny ścierały się sprzeczne uczucia: poczucie winy, obawa i dzikie podekscytowanie. Być może wcale nie była „nową kobietą”, niemniej czuła się jak nowa Emma.

W tym momencie usłyszała szum i stukanie wózka inwalidzkiego Maddie. Obejrzała się i zauważyła siostrę przeciskającą się przez drzwi ich wspólnego saloniku.

Pokojówka pchająca wózek ustawiła go na pluszowym dywanie tuż obok ogromnego łóża z baldachimem. Maddie skinieniem głowy i cichym „dziękuję” odesłała dziewczynę, a potem uniosła wzrok, udając, że bacznie przygląda się siostrze.

- Jesteś osobą pełną przeciwieństw, Emmo Tremayne. Widywałam, jak na twoich policzkach pojawiały się rumieńce, kiedy ktoś, kogo znasz od dwudziestu lat, zdawkowo życzył ci miłego poranka. Z drugiej jednak strony, nie mrugnawszy nawet okiem, zdołałaś stawić czoło naszej budzącej grozę matce.

- To tylko dlatego, że miałam sparaliżowane ze strachu powieki i nie byłam w stanie mrugnąć - odrzekła Emma. Uśmiechnęły się do siebie, chociaż wargi Emmy wyraźnie drżały.

Przez chwilę zastanawiała się, ile z rozmowy z matką usłyszała Maddie i czy zrozumiała, co matka miała na myśli, mówiąc o próbie wymierzenia jej kary. Siostry nigdy nie rozmawiały o Williem ani o tym, co wydarzyło się owej nocy, kiedy utonął. Maddie w ogóle o nim nie mówiła, ponieważ to właśnie brat był odpowiedzialny za wypadek, w wyniku którego na całe życie została przykuta do wózka inwalidzkiego. Emma przypuszczała, że chociaż brat nie żyje, siostra nadal mu nie wybaczyła.

Maddie wychyliła się, by dotknąć białej koronki i krepowego żabotu, zdobiącego liliową muslinową suknię wizytową, która leżała na łóżku wraz ze świeżym kompletem jedwabnej bielizny obszytej koronką.

- Wychodzisz gdzieś z mamą?

- Na podwieczorek do pani Hamilton.

Emma wstała, podeszła bliżej i usiadła na łóżku, zwrócona

twarzą do wózka siostry. Wzięła do ręki przezrystą fioletową pończochę i pochyliła się, by wciągnąć ją na nogę.

- Bardzo nie chce mi się tam iść. Ta kobieta zawsze podaje nieświeże, pieczone poprzedniego dnia ciasta, chociaż jest tak bogata, że mogłaby kupić kilkanaście piekarni wraz z tym, co się w nich znajduje. Z góry wiadomo, że będzie nas zabawiać, grając to samo co zwykle preludium Chopina, wykonując je na fortepianie, który nie był strojony od czterdziestu lat. Spotkamy tam tych samych ludzi, których widziałyśmy wczoraj i przedwczoraj, i... - Emma zrolowała górną część pończochy na różowej jedwabnej podwiązce. - Szybko by ci się to znudziło, Maddie. Ponieważ po tym stwierdzeniu zapadło milczenie, Emma uniosła głowę. Chociaż Maddie zaraz się odwróciła, Emmie wydawało się, że dostrzegła w jej oczach łzy.

- Nie, wcale nie - powiedziała siostra cicho.

Emma opuściła wzrok na własne kolana. Zrobiła zakładkę na swoim kimonie, a potem ją wygładziła.

- Może masz rację. - Cicho westchnęła. - Wygląda na to, że to tylko ja jestem taka głupia. A od czasu, gdy zaręczyłam się z Geoffreyem, znacznie mi trudniej to znieść. Dokądkolwiek idę, mam wrażenie, że ludzie oglądają mnie jak motyla na szpilce. Wszyscy na mnie patrzą, a sama wiesz, jak serdecznie tego nienawidzę.

- Patrzą, ponieważ jesteś piękna, Emmo, a odkąd ty i Geoffrey ogłosiliście światu zaręczyny, stałaś się jeszcze piękniejsza. Czasami na twój widok zapiera człowiekowi dech w piersiach, zwłaszcza jeśli widzi się ciebie w pewnych pozach...

- Nie pozuję - zaprotestowała Emma, a na jej policzkach pojawiły się ogniste rumieńce.

- Być może robisz to nieświadomie. Ale czasami twoje ręce i nogi potrafią ułożyć się w tak wdzięczny sposób, że trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego. Na twojej twarzy zawsze maluje się tyle uczuć - człowiek czuje się tak, jakby obserwował różę, która w jednej chwili z pączka przemienia się we wspaniały kwiat. - Na ustach Maddie pojawił się szelmowski uśmiech. - Po tym, co właśnie powiedziałam, najprawdopodobniej pójdziesz do pani Hamilton i przez całe popołudnie będziesz się u niej zachowywać najnormalniej pod słońcem.

Emma nie była w stanie powstrzymać śmiechu, chociaż na jej twarzy wciąż płonął rumieniec wstydu.

- Chyba raczej zrobię coś zuchwałego - zapowiedziała. -Może poproszę panią Hamilton, żeby do czerstwej bułeczki podała mi świeżą śmietankę?

Roześmiały się obie, ale Maddie zaraz zamilkła. Uniosła głowę i uważnie przyjrzała się Emmie.

- Zmieniasz się, Em. Może dlatego, że jesteś tak bardzo zakochana.

Emma była kompletnie zaskoczona myślą, że Geoffrey mógł wpłynąć na nią w taki sposób. Czyżby rzeczywiście jej uczucia do niego były tak mocne, że zdołały ją zmienić?

- Chciałabym wiedzieć, jak naprawdę wygląda miłość - powiedziała. - Są chwile, kiedy mam lekkie serce, bez powodu zaczynam się śmiać i mam ochotę kręcić się w kółko, aż do zawrotów głowy, chociaż i bez tego nieźle mi się w niej kręci. Istnieją jednak również momenty, kiedy odczuwam w klatce piersiowej taki ból, że zaczynam opłakiwać coś, czego nawet nie potrafię nazwać, i pragnę rzeczy, które wydają się tak szalone i nieprawdopodobne... Wychyliła się do przodu i chwyciła dłonie Maddie, które leżały zaciśnięte na narzuconym na jej kolana pledzie.

- Och, Maddie, czy sądzisz, że to właśnie jest fnięć? Maddie odwróciła wzrok od Emmy. Spojrzała na splecione palce swoje i siostry, i ukryła własne myśli.

- Tak - powiedziała. - Myślę, że tak.

Emma postąpiła tak, jakby pragnęła na stałe wywalczyć sobie do tego prawo, w związku z czym następnego dnia złożyła kolejną - trzecią już - wizytę w domku przy Thames Street. Tym razem jednak Brii nie było w domu.

Z przyzwyczajenia Emma otworzyła czarną torebkę i wyjęła z niej tłoczoną wizytówkę z połączonym brzegiem. Dopiero rozejrzawszy się wokół siebie, by znaleźć miejsce, gdzie mogłaby ją położyć, zaczęła się śmiać z samej siebie. Zamierzała postąpić tak, jakby na frontowej werandzie domu Brii McKenny leżała srebrna taca, na której można by zostawić świadczący o dobrych intencjach bilecik.

Mimo to następnego popołudnia znów tam wstąpiła. Zrobiła to, wracając do domu po kilkugodzinnym odczycie, na który wybrała się z Geoffreyem do siedziby Towarzystwa Przyjaciół Indonezji. Nie zdawała sobie sprawy, że to wolna sobota, dzień, kiedy pracę w fabryce kończy się znacznie wcześniej. Domyśliła się tego dopiero wtedy, gdy na jej pukanie drzwi otworzyła mała dziewczynka z promienną, uśmiechniętą twarzą otoczoną rudymi loczkami.

- Witaj, Merry - powiedziała Emma. - Jak widzisz, znowu się spotykamy.

Uśmiech dziewczynki stał się jeszcze radośniej szy, a na jej policzkach pojawiły się dwa okrągłe dołeczki wielkości jednocentówki. Zawzięcie coś nuciła i skakała na jednej nodze, obracając się w kółko.

Przestraszona tą dziwną błazenadą, Emma zajrzała przez drzwi, szukając Brii, lecz w tym czasie podeszła nieco starsza dziewczynka. Miała chude, niezgrabne kończyny, które sprawiały wrażenie, jakby składały się jedynie z łokci i kolan, a jej brązowe włosy tak ciasno zaplecione zostały w warkoczyki, że sterczały po obu stronach twarzy jak uchwyty dzbanka.

- Po co pani tu ciągle przychodzi? - zapytała.

- Noreen! - W drzwiach pojawiła się Bria, a jej dłonie ciężko opadły na ramiona córki. - Wstydź się, dziewczyno! Pokaż pannie Tremayne, że wiesz, jak należy się zachowywać!

Dziewczynka sztywno dygnęła. Potem jednak uniosła swą szpiczastą brodę i spojrzała ponuro na Emmę, jakby rzucała jej wyzwanie - spróbuj znaleźć we mnie coś, co zdołasz polubić. Emma natychmiast obdarzyła ją miłością.

- Jak się masz, Noreen - powiedziała, uśmiechając się promiennie do dziewczynki.

Dziewczynka odwróciła się do matki, a Emma zauważyła w jej oczach błysk powstrzymywanych łez złości.

- Merry zapowiadała, że anioł dziś nas odwiedzi - dodała Noreen.

Bria wsunęła luźne kosmyki w warkocze córki. Obie dziewczynki były brudne i oblepione włóknami bawełny.

- Naprawdę? - zapytała. - Pewnie wróżki jej to powiedziały. Merry nuciła głośno i tak mocno potrząsała główką, że podskakiwały jej loczki.

Noreen w skupieniu przyglądała się twarzy siostry i słuchała. Ponownie odwróciła się do matki i wzruszyła ramionami.

- Po prostu wiedziała.

Bria zauważyła spojrzenie Emmy i również wzruszyła ramionami.

- One myślą, że pani jest aniołem.

- Och, tylko nie to! - zaprotestowała Emma, rumieniąc się.

- Sądzę, że to i tak lepsze, niż gdyby miały wziąć panią za diabła - powiedziała Bria, a w jej oczach widać było, że żartuje.

Emma mimo woli uśmiechnęła się.

Bria odpowiedziała również uśmiechem, a potem szturchnęła Noreen.

- Dziewczęta, idźcie się umyć. - Ujęła Emmę za rękę i wciągnęła ją do kuchni. - Przygotowuję na kolację *colcannon*. To dobra irlandzka potrawa, jeśli w ogóle coś takiego istnieje, ale jest to ulubione danie Shaya. Przygotowuje się je z gniecionych ziemniaków i kapusty smażonej na maśle z dodatkiem mleka oraz odrobiną gałki muszkatołowej. Może zjadłaby pani odrobinę z nami?

Emma nagle nie była w stanie odetchnąć ani powstrzymać gwałtownego bicia serca. Wolna sobota oznaczała nie tylko krótszą zmianę w przędzalni, fabryce butów i na polach cebulowych, lecz był to również czas, kiedy rodziny zbierały się, by wspólnie zjeść popołudniowy posiłek, a zatem...

- Dziękuję - powiedziała. - Wierzę, że to wspaniałe danie, ale naprawdę nie mogę zostać. Jestem pewna, że wkrótce wróci do domu pan... pan McKenna, a ja...

Wcale nie chciała stanąć twarzą w twarz z mężem Brii, chociaż ostatnio przestała o nim myśleć. Uznała, że nie wolno jej zadurzyć się w tym człowieku, ponieważ wkrótce wychodzi za mąż. Kocha Geoffreya, tak przynajmniej mówią ludzie, którzy widzą to uczucie na jej twarzy.

Natomiast jeśli chodzi o tego Irlandczyka... No cóż, właściwie można uznać, że to, co do niego czuła, było swego rodzaju zainteresowaniem. Nadal bardzo się wstydziła, ilekroć przypominała sobie myśli, które zrodziły się w jej głowie pamiętnej nocy.

Była jednak pewna, że nie poszłaby za nim podczas tej burzy,

gdyby naprawdę przyszedł po nią. W rzeczywistości bowiem nie była tak odważna jak w wyobraźni.

- Och, Shay wróci dopiero po zachodzie słońca, ponieważ właśnie jest okres wędrówek okoni - powiedziała Bria. Puściła rękę Emmy, by zamieszać w garnku stojącym na piecu. - Mój mąż pożyczył pieniądze od pana Delaneya, właściciela „Wroniego Gniazda”, i kupił za nie łódź rybacką. Co prawda, wcale nie cieszy go, że jest coś winien karczmarzowi, ale bardzo zależało mu, by uciec z pól cebulowych. Niestety, każdy jan-keski bank udzielenie pożyczki jakiemuś Irlandczykowi uważa po prostu za wyrzucanie pieniędzy w błoto...

Bria upuściła chochlę do garnka, rozpryskując sos, a jej dłonie pofrunęły do płonących policzków.

- **Dhia**, co ja powiedziałam? - Odwróciła się na pięcie i z przerażeniem spojrzała na Emmę. - Och, panno Tremayne. Proszę mi tylko nie mówić, że ten bankier jest jakimś pani wujem albo kimś takim.

Emma przygryzła dolną wargę, by ukryć uśmiech.

- Prawdę mówiąc, to mój kuzyn. W pierwszej linii. Obawiam się, że rzeczywiście bardzo niechętnie rozstaje się z pieniędzmi. Pewnego razu mój ojciec zarzucił mu, że siedzi na nich jak kura na jajach i czeka, kiedy się z nich coś wylęgnie.

Bria wybuchnęła śmiechem.

- Och, mimo to miała pani prawo dojść do wniosku, że powinnam się nauczyć trzymać język za zębami.

Wyprostowany palec skierowała w stronę córek, które wciąż stały we frontowych drzwiach ze wzrokiem wlepionym w gościa.

- Czy nie powiedziałam wam, dziewczynki, że macie coś zrobić?

Merry podbiegła do Emmy i wyciągnęła rączki, nucąc słodką, błagalnie brzmiącą melodię.

Emma spojrzała na Noreen, która najwyraźniej pełniła funkcję tłumacza, wyjaśniającego dziwny sposób porozumiewania się siostry. Na twarzy podenerwowanej Noreen widać było nieufność. Dłonie zacisnęła w pięści, zupełnie jakby lada chwila miała zamiar stoczyć walkę. Pokonanie jej nie przyszłoby łatwo, pomyślała Emma, i jeszcze bardziej ją za to pokochała.

Tymczasem nucenie Merry po krótkim crescendo zamieniło się w krzyk.

- Nory - powiedziała Bria. - Miej litość nad naszymi uszami i powiedz nam, czego chce twoja siostra.

Noreen z wyzwaniem w oczach spojrzała na Emmę, szybko odpowiadając matce.

- Ona chce, żeby ta pani umyła jej ręce.

- Ja? - Emma obejrzała się za siebie, jakby w kuchni nagle pojawił się ktoś jeszcze.

Merry nuciła, przytakując, kręcąc się i podskakując na jednej nodze.

Jak się okazało, w domku nie było łazienki, ustępu ani wodociągu. Była jedynie umywalka z zasłonkami z wzorzystego kre-toniku, wyszczerbioną emaliowaną miską i dzbankiem.

Kiedy Bria napełniła miskę, Emma ujęła maleńkie rączki dziewczynki i zanurzyła je w wodzie. Namydliła własne dłonie i delikatnie potarła maleńkie rączki. Merry nuciła łagodną kołysankę i drżała z radosnego podniecenia.

Woda była zimna, a szorstkie od pumeksu i ługu mydło szczypało wydelikaconą skórę Emmy. Ręcznik, który wręczyła jej Bria, był sztywny od suszenia przy piecu i pachniał pyłem węglowym. Mimo to Emma bez reszty poddała się uczuciu zaskoczenia, że tak prosta czynność jak mycie rączek dziecka może wypełnić serce szczęściem.

XV

Ilekczo Emma znajdowała się w domku na Thames Street, nie mogła nadziwić się samej sobie. Kiedy stamtąd wychodziła i wracała do innego świata - świata, w którym żyła Śmietanka Towarzyska - ogarniał ją dziwny niepokój. Nikłe przekonanie, że przez jakiś czas była kimś zupełnie innym.

Następnym razem przyniosła dziewczynkom niewielkie prezenty: cukierki cytrynowe i wstążeczki do włosów. Brii ofiarowała pudełeczko wykończonych szydełkową koronką chusteczek do nosa i litografię Curriera i Ivesa. Obrazek przedstawiał leżącą między falistymi zielonymi wzgórzami wioskę z krytymi strzechą chatami. Nosił tytuł „W starym kraju”. Na widok ryciny na twarzy Brii pojawiła się ogromna radość, a Emma poczuła się tak, jakby ofiarowała przyjaciółce cały świat.

Przyjaciółce. Emma nie wiedziała, kiedy zawiązała się ta przyjaźń. Być może istniała od zawsze i potrzeba było jedynie odwagi, by odkryć się nawzajem.

W tym tygodniu Emma pojawiała się u Brii każdego dnia, wciskając odwiedziny u McKennów między wydawane przez Śmietankę Towarzystwą podwieczorki, przyjęcia pod gołym niebem oraz popołudnie, podczas którego panie Tremayne przyjmowały gości u siebie w domu. Najczęściej udawała się na Thames Street jawnie, kiedy indziej jednak pojawiała się tu w czasie, gdy matka sądziła, że Emma pływa żaglówką lub rzeźbi w starej oranżerii.

W niedzielę znowu siedziała przy stole w kuchni wyklejonej kwiecistą tapetą i wyłożonej wyszorowanym do białości linoleum. Obserwowała, jak Bria wyczesuje zmoczone naftą włosy Merry, pragnąc pozbyć się z nich wszy. W całym pomieszczeniu unosił się zapach pary i mydła, ponieważ Bria postawiła na piecu miedziany gar, w którym gotowała się pościel.

- Przynoszą je z fabryki - wyjaśniła, wykrzywiając z obrzydzenia usta i nos. - Nie pomaga częste i dokładne mycie głowy. - Machnęła grzebieniem w stronę Emmy. - Wy, Amerykanie, zawsze chwalicie się, że wasz kraj to kraina mlekiem i miodem płynąca. Moim zdaniem należałoby raczej uznać, że jest to kraina wszy i rogoży.

Emma opuściła wzrok na widoczny na brązowej ceracie wzorek, żeby Bria nie dostrzegła uśmiechu na jej ustach.

- Czy w Irlandii nie ma wszy?

- Wszy, w Irlandii? A skądże!

Merry zanuciła długą, monotonną melodyjkę, która pod koniec wzniosła się jak pytanie, ale nie było w pobliżu Noreen, więc nie wiedziały, o co małej chodzi.

Wcześniej Bria wyznała, że Merry nie powiedziała ani słowa od niemal trzech lat. Przestała mówić po „pewnych kłopotach”, które zdarzyły się jeszcze w Irlandii. Mimo to Emma miała absolutną pewność, że owego pamiętnego dnia pod drogerią Padrona Hardy'ego dziecko porozumiewało się z nią za pomocą słów. Zatrzymała to jednak dla siebie. Przypuszczała, że dziewczynka pewne rzeczy pragnie zachować w tajemnicy nawet przed tymi, których kocha.

W czasie, kiedy Meny nuciła, Emma pochyliła się, by po-

prawić kwiaty ustawione na środku stołu w puszcze po pomidorach. Tym razem były to białe stokrotki i dzikie irysy.

- Wydaje mi się, że Merry próbuje zapytać panią o coś, co dotyczy Irlandii. Jak dawno wyjechaliście stamtąd?
Bria poklepała się po brzuchu.

- Bardzo dawno, i z pewnością na zawsze zapamiętam ten dzień, kiedy po raz pierwszy moja noga stanęła na amerykańskiej ziemi, ponieważ to maleństwo pojawi się w dziewięć miesięcy po tym wydarzeniu - powiedziała.

Lecz uśmiech, który zaczął pojawiać się na jej ustach, zamarł, a jej twarz spoważniała. Oczy zasnuł cień.

Kiedy zamilkła, Emma doszła do wniosku, że niemal widzi wspomnienia przemykające przez głowę przyjaciółki i osadzające się gdzieś na dnie jej serca.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak wyglądało tam wasze życie? - zapytała. - Nie będzie to dla pani bolesne?

Bria wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała zrzucić z nich ciężar smutku.

- **A mhuire.** Mogłabym zagadać panią na śmierć, opowiadając historie ze starego kraju - powiedziała z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Widzi pani, moje pojawienie się na tym świecie wcale nie zostało uznane przez rodzinę za błogosławieństwo, ponieważ trzy tygodnie wcześniej zmarł mój ojciec. Było nas zatem tylko troje: matka, brat i ja. Pracowaliśmy dla dziedzica Varneya. Wykonywaliśmy dla niego każdą pracę na roli, jaką nam przydzielił, lecz najczęściej było to rozbijanie łopatą grud ziemi na zagonie z ziemniakami.

Przestała wyczesywać włosy córki i rozejrzała się dookoła, a na jej ustach pojawił się drwiący uśmiech.

- W porównaniu z naszą **shibeen**, och, ten domek wygląda jak pałac. Były to po prostu cztery kamienne ściany i słomiana strzecha z wyciętą dziurą, pełniącą funkcję komina. Nie mieliśmy żadnych okien, w związku z czym wewnątrz zawsze panował mrok. Przez jakiś czas chowaliśmy świnie, która mieszkała razem z nami.

Emma powstrzymała śmiech, zatykając ręką usta.

- Nie wierzę!

- Ale tak było naprawdę, na dodatek jadła lepiej niż my.

Mama mawiała, że świnia warta jest więcej niż Donagh i ja, ponieważ ją można przynajmniej zarznąć i mieć z niej bekon.

Emma roześmiała się i tym razem Bria przyłączyła się do niej. Merry również, a jej nucenie nasiliło się i przypominało okrzyki szczęścia. Śmiały się wszystkie trzy, a ich radosne głosy wypełniały kuchnię.

Bria przestała się śmiać, wydając lekkie westchnienie, a Emma doszła do wniosku, że jej przyjaciółkę ogarnęły miłsze wspomnienia. Bria uniosła wzrok na ofiarowaną przez Emmę litografię, która wisiała na honorowym miejscu nad naczynkiem ze święconą wodą.

- Czy tam, skąd pani pochodzi - zapytała Emma - naprawdę jest tak jak na tej rycinie?

- Z pewnością jest tak samo zielono, ale to dziksza okolica. Nasza wioska, lub jak my to mówimy *clachan*, nazywa się Gortadoo, co po irlandzku oznacza „czarne pola”. Znajduje się na samym krańcu hrabstwa Kerry, tam gdzie ziemia styka się z morzem. Rybołówstwo nie przynosi takich zysków, jakich można by się spodziewać, mimo to ten, kto ma łódź i sieci, nie przymiera głodem. Ziemia jest nędzna, kamienista i nasiąknięta deszczem. Nadaje się jedynie do uprawiania niewielkiej ilości ziemniaków. Ale, och, jest tam mnóstwo zieleni! Wszystkie odcienie, od najjaśniejszego po bardzo ciemny. Tęcza zieleni...

Bria nagle wyprostowała plecy, jakby obudziła się z głębokiego snu.

- Jeśli słucha się tego mojego opisu, można się dziwić, dlaczego tak bardzo rozpaczam, że stamtąd wyjechałam.

- Dlaczego więc to wszystko pani opuściła?

Dopiero po chwili Emma zdała sobie sprawę, że po jej pytaniu zapadło milczenie. Merry zamarła w bezruchu między kolanami matki, nie zważając na ociekające naftą włosy, a twarz Brii pobladła i pokryła się potem.

W końcu z piersi Irlandki wyrwał się ostry kaszel. Wyjęła chusteczkę i splunęła w nią, a potem znów zakaszłała i ukryła twarz w kawałku materiału. Emmie przyszło na myśl, że być może za chusteczką ukryte zostały również łzy. Odwróciła głowę.

- Proszę mi wybaczyć. Nie miałam zamiaru wtykać nosa w pani sprawy.

Bria wsunęła chusteczkę do rękawa bluzki w kolorze amerykańskiego orzecha oleistego.

- O jakim wtykaniu nosa pani mówi? Boże, zmiłuj się nad nami! - powiedziała w nagłym wybuchu, który bardzo przypominał śmiech. - Nie ma większych gawędziarzy niż my, Irlandczycy, a kłopoty to temat najbliższy naszym sercom.

Emma spojrzała na Brię i obie uśmiechnęły się do siebie. Po chwili uśmiechy stały się bardziej promienne, w końcu pojawiło się w nich coś więcej. Pojawiło się zrozumienie, które Emma poczuła i była tego tak pewna, jakby obie sięgnęły przez stół i uściśniły sobie ręce.

- Boże, zmiłuj się nad nami - powtórzyła Bria po długim i pełnym czułości milczeniu. - Muszę umyć temu dziecku głowę.

Wstała i trzymając Merry za ramiona, poprowadziła ją w stronę umywalki.

- Czy mogłaby pani zamieszać pościel?

Po chwili mocno zaskoczona Emma zdała sobie sprawę, że Bria mówi do niej. Nawet nie próbowała powstrzymać uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy, kiedy podniosła się zza stołu i podeszła do pieca. Jeśli Bria prosi ją o pomoc przy domowych zajęciach, widocznie naprawdę uważa ją za przyjaciółkę.

Kiedy zdjęła z parującego miedzianego kotła przykrywkę, poczuła trwogę, ponieważ nigdy wcześniej nie robiła niczego podobnego. Wzięła do ręki drewnianą kijankę i zaczęła mieszać w garze lub przynajmniej usiłowała to robić. Była zaskoczona, że to tak trudne zadanie. Nasiąknięte wodą poszwy były bardzo ciężkie i poruszenie ich stanowiło nie lada sztukę.

Mrużąc oczy, by uchronić je przed oparami ługu, uniosła wzrok, spojrzała w okno i... zobaczyła wchodzącego na podwórko Shaya McKennę. Ścisłej rzecz biorąc, wbiegającego. Nie miał na sobie koszuli i nawet z miejsca, gdzie znajdowała się Emma, widać było, że jego naga skóra lśni od potu. Był opalony i miał wspaniale rozwinięte mięśnie. Emma oderwała od niego wzrok, a ręce trzymające kijankę na chwilę zamarły w bezruchu. Poczuła się tak dziwnie, jakby nagle jej skóra skurczyła się i stała się za ciasna. Doszła do wniosku, że powodem jest wspomnienie tamtej nocy, ukrywanej

na dnie serca tajemnicy i głupich fantazji. To właśnie przez nie wstydziła się nawet przed sobą.

Poczuła, że Bria podeszła, stanęła tuż za nią i również wyjrzała przez okno.

- Biegał - powiedziała.

Przez chwilę stał z rękami na biodrach, obserwując drogę i starając się odzyskać dech, nagle jednak odwrócił się i spojrzał w stronę domu.

Emma odskoczyła do tyłu, by jej nie zauważył, ukryła się za cienkimi zasłonkami w żółtą kratkę i zarumieniła się.

- Dokąd biegał?

- W kółko. Czyż to nie typowo męskie postępowanie? Bria podeszła do okna i musnęła szybę palcem, jakby głaskała męża, a Emma dostrzegła na twarzy przyjaciółki ogromną zmianę. Widać było na niej miłość, tak gorącą jak pustynne słońce.

Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek patrzyła tak na Geoffreya. Wątpiła w to, ponieważ już wiedziała, że nigdy w życiu jej serce nie zazna tak głębokiego uczucia, jakie żywi Bria.

- Nazywa to treningiem - wyjaśniła Irlandka. - Pracuje nad kondycją, która będzie mu potrzebna podczas pokazu walki pięściarskiej. Stoczy ją tutaj, w Bristolu, podczas uroczystości z okazji Czwartego Lipca.

- Dlaczego to robi?! - krzyknęła Emma, przerażona. Wiedziała, że jest to barbarzyński, dziki i bezprawny sport, uznawany jedynie przez prostactwo.

- Oczywiście, dla pieniędzy. Tak przynajmniej mówi. - Bria zdjęła palce z szyby. Zacisnęła dłoń w pięść, a potem opuściła ją. - Seamus zawsze toczy jakąś walkę. Czasami dochodzę do wniosku, że mężczyźni walczą po prostu dlatego, że uwielbiają to robić.

Wróciła do umywalki, przy której wciąż stała w bezruchu Merry, a z jej włosów kapła woda. Bria owinęła ręcznik wokół główki córki i zaczęła wycierać włosy.

Emma nie zdołała oprzeć się pokusie ponownego spojrzenia w okno, na stojącego na podwórku mężczyznę. Obecnie miał na sobie błękitną bawełnianą, cienką od częstego prania koszulę. Już zdążył ją przepocić - przywarła do jego pleców i ramion. Emma doszła do wniosku, że mąż Brii rzeczywiście ma ciało

człowieka lubiącego walkę - mocne, zahartowane i pokryte bliznami.

- Walka za pieniądze - powiedziała na głos. - Kto by pomyślał...

- Swego czasu, jeszcze w Irlandii, mój Shay był mistrzem w walce na gołe pięści - pochwaliła się Bria.

Podeszła do bujanego fotela i usiadła na nim, pragnąc przytrzymać Merry między rozstawionymi kolanami i rozczesać jej wilgotne, splątane loki. Ale dziecko wywinęło się jej z rąk i wybiegło, głośno trzaskając drzwiami.

Bria przez chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi, a Emmie przyszło na myśl, że jej przyjaciółka widzi przez nie znajdującego się na zewnątrz mężczyznę.

- Pewnego ranka, podczas końskiego targu przy drodze do Shannon, Shay dla kawału wyszedł na ring, by stoczyć walkę z facetem, którego zapowiadano na afiszach jako mistrza Dublina. Już drugim ciosem rozłożył przeciwnika na łopatki, i w chwilę później zapłacono mu całkiem niezłe pieniądze, by zajął miejsce dotychczasowego mistrza i walczył z pozostałymi przeciwnikami.

Wzrok Brii padł na grzebień, który wciąż trzymała w ręce, ściskając go tak mocno, że jego zęby wbijały się w skórę.

- Zapłacono mu za to, by w każde letnie niedzielne popołudnie wystawiał swe biedne ciało na ciosy. - Z

westchnieniem wsunęła grzebyk do ogromnej kieszeni fartucha i z trudem wstała. - Ale w końcu, jak mawiał sam Shay, mistrz to jedynie biedny *slieveen*, który bez względu na wszystko musi wytrwać do końca.

Bria wróciła do okna. Spojrzała na męża, a jej wzrok dotknął go z taką samą miłością, z jaką przed chwilą dotknęła palcami szyby.

- Walczył w Irlandii podczas targów i wyścigów konnych aż do pewnego smutnego dnia, kiedy zabił człowieka.

Emma powstrzymała okrzyk. Jej oczy szukały na podwórku Shaya McKenny. Już go tam jednak nie było.

- Widzi pani, ten człowiek bez przerwy się podnosił - ciągnęła Bria beznamiętnym głosem, jakby czytała zamieszczoną w gazecie relację. - Ilekroć Shay go powalił, tamten człowiek wstawał. Shay więc znowu musiał uderzać. Były to mocne ciosy,

po których przeciwnik padał, ale po chwili znów się podnosił. Tak wstawał i wstawał bez końca, aż w końcu Shay uderzył go o ten jeden raz za dużo. Mężczyzna już nie wstał. Shay nie miał zamiaru go zabić, ale cóż... Ten biedny głupiec padł martwy.

Spojrzała na Emmę, a w jej oczach widać było ogromny ból.

- Czy nie odkryła pani jeszcze, panno Tremayne, że wszyscy mamy jasne i ciemne strony? W głębi serca pragniemy postępować dobrze, ale jesteśmy w stanie wyrządzać krzywdę. To samo dotyczy dokonywanych przez nas wyborów, i dlatego właśnie jesteśmy tacy, a nie inni...

Ostatnie słowo zamarło na ustach Brii, kiedy z jej piersi wyrwał się kaszel, potem następny, następny i jeszcze jeden. Emma objęła przyjaciółkę i podtrzymała jej drżące ciało.

Kiedy w końcu kaszel ustał, Emma odsunęła wilgotne włosy z czoła Brii i przytuliła ją do siebie.

Najpierw ktoś uchylił drzwi, a potem powoli je otworzył.

Na progu stanął Shay McKenna. Na jednej ręce niósł Merry, która nogami obejmowała go w pasie. Drugą ręką trzymał dłoń Noreen, spoglądającej na niego tak, jakby właśnie przed chwilą zawiesił na niebie księżyc i gwiazdy. Merry nuciła radosną melodyjkę. Pociągnęła ojca za ucho i odwróciła jego głowę, by móc złożyć na jego policzku głośnego całusa.

- Spójrz, kogo znalazłam na naszym podwórku, mamusiu! - wykrzyknęła Noreen, a w jej ciemnych oczach lśniła radość. - Podobno jest tak głodny, że zjadłby całego niedźwiedzia, z zębami, pazurami i futrem!

Bria wsunęła zakrwawioną chusteczkę do kieszeni fartucha, wcześniej jednak zauważył plamy jej mąż. Jego twarz pociemniała, rysy stwardniały, a w oczach pojawił się cień. Bria odwróciła głowę, jakby nie mogła znieść tego spojrzenia.

Emma, obserwując ich oboje, zastanawiała się, jak oni mogą to wszystko znieść.

- Och, litości! - jęknęła Bria, starając się wetknąć zwisający luźno kosmyk włosów w gruby węzeł na karku. - Przyłapałście mnie na tym, że na piecu gotuje się pranie, a nie woda na herbatę!

- Nie przejmuj się - powiedział Shay McKenna z mocnym irlandzkim akcentem.

Wszedł do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Postawił Merry na podłodze i pchnął obie dziewczynki w stronę umywalki.

- Wymyjcie się i usiądźcie, a ja sprawdzę, czy uda mi się nastawić czajnik bez poparzenia sobie wszystkich dziesięciu palców.

Obie dziewczynki zachichotały, a on uśmiechnął się do nich. Potem spojrzął na żonę i również obdarzył ją uśmiechem, a Emma zauważyła, że w jego oczach płonie miłość i czułość. Zastanawiała się, czy Geoffrey kiedykolwiek spojrzął na nią w taki właśnie sposób. Przyszło jej na myśl, że oddałaby wszystkie skarby świata, byle tylko jakiś mężczyzna patrzył tak na nią.

Idąc w stronę pieca, Shay przeszedł tuż obok.

- Dzień dobry, panno Tremayne - powiedział.

Zdała sobie sprawę, że do tej pory w ogóle na nią nie spojrzął i że nie patrzy nadal.

- Dzień dobry, panie McKenna - powiedziała tonem, jakiego użyłaby w salonie, chociaż poczuła się bardzo dziwnie, wymawiając jego nazwisko.

Był tylko prostym człowiekiem; teraz już to wiedziała. Imigrantem, rybakim mającym żonę, dwójkę dzieci i trzecie w drodze. Wiedziała, kim on jest, dlatego nie mogła zrozumieć, czemu serce wali w piersiach jak szalone, zupełnie jakby pojawił się mężczyzna z jej dzikich fantazji.

- Naprawdę... naprawdę muszę już iść - powiedziała. Bria ujęła ją za ręce i pociągnęła w stronę stołu.

- Nie, wcale nie. Zje pani z nami podwieczorek. Z nami wszystkimi.

Przez kilka następnych dni Emma często wspominała to popołudnie. Grając z Geoffreyem w tenisa na korcie przy rezydencji na Hope Street i czekając z panną Liluth na pociąg do Providence. W czasie samotnie jedzonej w „Brzozach” kolacji, podczas której słychać było jedynie stukanie srebra o porcelanę... Myśli Emmy wracały do tej godziny, którą spędziła, jedząc podwieczorek z rodziną McKennów. Z całą rodziną McKennów.

Usiadła z Brią i dziewczętami przy stole, obserwując, jak Shay stawia na piecu czajnik. Kiedy przyniósł bochenek ciem-

nego chleba, zatrzymał się, by pogłaskać Merry po nagietkowych włosach. Gdy rozstawiał filiżanki i spodeczki, przerwał tę czynność, by ścisnąć ramię żony, pochylić się i szepnąć jej na ucho coś, co sprawiło, że się uśmiechnęła. Pokpiwał z Noreen, mówiąc, że puściła krew z nosa jakiemuś chłopcu o imieniu Rory, i dla żartu szczypnął dziewczynkę w nos, a potem oboje się śmiali. Emma nie знаła dotąd żadnego mężczyzny, nie znała nikogo, kto śmiałyby się, żartował i dotykał tak jak Shay McKenna.

Zastanawiała się, czy Geoffrey kiedykolwiek będzie zachowywać się w taki sposób wobec niej i dzieci, choć doskonale wiedziała, że to wykluczone. Okazywanie uczuć przed całym światem było niestosowne. Nawet serce nie powinno znać ukrywanych na jego dnie uczuć i nadziei. Niedozwolonych pragnień.

Emma próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuła na włosach dotyk ręki własnego ojca. Kiedy zamknęła oczy, widziała jedynie wysokiego mężczyznę w eleganckim czarnym surducie i cylindrze. Zawsze odnosiła wrażenie, że oczy ojca wpatrują się w jakiś odległy punkt, którego nikt inny nie jest w stanie zobaczyć. Z wyjątkiem... z wyjątkiem tego jednego cudownego lata, kiedy uczył ją żeglować. Tylko wówczas sprawiał wrażenie człowieka, który znalazł się w swoim żywiole, a ona była razem z nim. Spędzili we dwójkę wiele wspaniałych dni, kiedy liczyło się tylko błękitne niebo i maleńki jacht, który ojciec zbudował specjalnie dla niej. Mknęli z wiatrem w zawody i oboje byli niezmiernie szczęśliwi. Tyle mogła sobie przypomnieć.

No i to, że ojciec nigdy nie wysyłał jej do pracy w fabryce.

Spojrzała na Shaya McKennę, na jego zniszczoną, pokrytą bliznami twarz i na zaskakująco żywe oczy. Wciąż wyglądał jak bandyta z jej dzikich wyobrażeń. Teraz jednak już rozumiała, że w rzeczywistości tak naprawdę ten człowiek jest kimś zupełnie innym.

Jest mężczyzną, który musi patrzeć, jak jego żona z każdym oddechem traci życie, a córeczki harują w przędzalni, mimo to wszystko, co może, oddaje ludziom, którzy jego zdaniem są w jeszcze gorszym położeniu. Jest rebeliantem, walczącym o kraj będący jedynie kawałkiem czarnej, kamienistej, bagiennej ziemi z krytymi strzechą lepiankami, kraj, którego najprawdopo-

dobniej nigdy już nie zobaczy. Obdarzonym gwałtownym usposobieniem mężczyzną, który niegdyś zabił gołymi rękami, tymi samymi rękami, które obecnie tak czule dotykają włosów córki.

Takiego człowieka dostrzegła w nim, patrząc na niego oczami Brii i słuchając jej opowieści.

Szalałam za nim, tymczasem on nigdy nie wystawiał nosa z książek. Kochały się w nim wszystkie dziewczęta.

W taki właśnie sposób zarabiał na nasze utrzymanie w Irlandii, dysponując wykonaną z wikliny i skóry łodzią oraz sieciami.

Shay nie jest szczęśliwy, jeśli serce nie stoi mu w gardle i jeśli nie ma na końcu języka jakichś szalonych słów.

Ma pięści wielkie jak talerze, nigdy jednak nie podniósł ich w złości na mnie ani dziewczęta. Nawet wówczas, kiedy był po kieliszku.

Noga psa beznadziejnie uwięzła między kamieniami i dziedzic Varney miał zamiar po prostu go zastrzelić, lecz wówczas odezwał się mój Shay. W chwilę później mieliśmy trzynogiego ogara, który zajmował najlepsze miejsce przy naszym ogniu.

Był w stanie wybaczyć Bogu śmierć ojca, ale nie matki. Czasami obawiam się, że w chwili, kiedy pochował ją w tej czarnej dziurze, wraz z nią pogrzebał również wiarę.

Prosty człowiek.

Ale nie dla Brii.

Pomimo ostatnich dni i godzin spędzonych na rozmowach i zwierzeniach Emma nadal tego nie rozumiała. Nie pojmowała, jak to się dzieje, że dla Brii miłość do tego człowieka, pragnienie, by z nim być, stanowi istotę całego życia, jest czymś zasadniczym, niezbędnym i nieśmiertelnym. Shay McKenna był całym jej światem. Kiedy o nim mówiła, jej twarz rozkwitała jak kwiat.

Emma zaczęła się zastanawiać, jak wygląda jej własna twarz, kiedy mówi o Geoffreyu. Potem jednak przyszło jej na myśl, że nigdy w tym domu nie wspomina o narzeczonym. Ani razu nie rozmawiała z Brią o człowieku, za którego ma wyjść za mąż, o czekającym ich wspólnym życiu ani o marzeniach. Próbowwała dojść, dlaczego tak się stało.

Do stojącej na stole filiżanki ktoś nalał herbaty, a unosząca się nad nią ciepka para owiała twarz Emmy. Zatopiona we własnych myślach, uniosła wzrok i spojrzała na Shaya McKen-

nę. Przez czas potrzebny na jeden oddech gospodarz domu uśmiechał się do niej.

- Dzień... dziękuję - powiedziała. - Mam na myśli herbatę - dodała, po czym zarumieniła się.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność - odparł. - Mam na myśli herbatę.

Odwróciła od niego wzrok i spojrzała na niebieską, rozłożoną na kolanach serwetkę w drobną kratkę. Jego uśmiech zaniepokoił ją. Nie wiedziała, co oznacza, nie rozumiała również własnej reakcji, ponieważ uspokoiła się, lecz zarazem przestraszyła.

Shay usiadł przy stole, na którym postawił prosty posiłek, składający się z ciemnego chleba, kawałka sera i *chourice* - pikantnej kielbasy, sprzedawanej przez *bravas* w mrocznych sklepikach, w których zawsze unosił się zapach oliwy. W kuchni na chwilę zapadła cisza, a potem rozległo się radosne nucenie Merry. Przypominało pobrzękiwanie srebrnych dzwoneczków.

Noreen zakryła dłonią usta, powstrzymując chichot.

- Ona mówi, że tata boksuje się z cieniami.

Ojciec przechylił się przez stół i zamierzył na Merry, lecz jego palce potarły jej noski tak delikatnie jak muśnięcie ustami. Dziewczynka poruszyła się na krześle i zanuciła wesoło.

- To jest walka z cieniem, Nory - powiedział.

- A kto jest lepszym pięściarzem, panie McKenna, pan czy cień? - zapytała Emma.

Zauważyła, że na ułamek sekundy zamarł w bezruchu, jakby na równi z nią zaskoczony, że w ogóle się odezwała.

Potem ponownie rozparł się w krześle i wsunął kciuk do kieszeni sztruksowych bryczesów. Jeszcze zanim otworzył usta, wiedziała, że tym razem jego słowa wypowiedziane zostaną z wyraźnym irlandzkim akcentem.

- Pyta pani, panno Tremayne, kto jest lepszym pięściarzem? To chyba oczywiste, że ja, i czuję się śmiertelnie urażony, że bierze pani pod uwagę inną możliwość. Z pewnością, gdybym nie spuścił własnemu cieniowi tęgiego lania, nic nie zdołałoby go zmusić, by chyłkiem prześlizgnął się przede mną przez drzwi.

- Hmm... - pociągnęła nosem Bria. - Naprawdę nie jestem w stanie pojąć, w jaki sposób udało ci się sprawić, że w ogóle

zmieścił się w drzwiach. Mam na myśli twoją, stanowiącą istny cud świata, ogromną głowę, Shayu McKenno. Shay chwycił się za serce, jakby został śmiertelnie ugodzony, a jego żona i córki wybuchnęły śmiechem. Nawet Emma musiała się uśmiechnąć. Na szczęście zdołała już odzyskać dech po szoku spowodowanym własną odwagą. Jej pytanie należało do „uszczypliwych uwag”, które przychodziły jej na myśl, ilekroć znajdowała się w towarzystwie, lecz niezmiernie rzadko zdobywała się na odwagę, by powiedzieć je na głos.

Z drugiej jednak strony sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy w kuchni Brii Emma po raz ostatni odczuwała onieśmienie. Obecnie uważała to pomieszczenie za miejsce swojskie i bezpieczne. Tak samo jak rosnącą w pobliżu domu brzezinę, szklane ściany starej oranżerii i wody zatoki.

Emma rozejrzała się po kuchni z wyblakłą tapetą i zniszczonym linoleum, ozdobionej charakterystycznymi dla Brii dodatkami: pełną polnych kwiatów puszką po pomidorach, zrobionym za pomocą szydełka dywanikiem, fotelem bujanym i znajdującym się obok drzwi naczynkiem ze święconą wodą. Ku własnemu zaskoczeniu zdała sobie sprawę, że czuje się tu szczęśliwa. Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Nie. Proszę tego nie robić, panno Tremayne.

Uwaga Shaya McKenny wypowiedziana ostrym, zachrypniętym głosem zaskoczyła ją. Odwróciła głowę w stronę pana domu i natknęła się wzrokiem na jego oczy, w których płonęła złość.

- O co chodzi? - zapytała. - Czego mam nie robić?

- Rozglądać się po kuchni mojej Brii z drwiącym uśmiechem. Jest pani rozpuszczoną, znudzoną panienką, która uważa zabawę w prostaczkę za miły sposób spędzenia popołudnia. To pozwala pani na okazywanie wyższości, ponieważ uważa się pani za piękną, ale...

- Shay!

Krzyk Brii przebił się przez te słowa i uciał je, mimo to oczy Shaya nadal twardo wpatrywały się w Emmę.

Myli się pan, chciała mu powiedzieć, ale słowa uwięzły jej gdzieś w gardle, bo choć obecnie nie była to prawda, to przecież na początku rzeczywiście tak traktowała swoje wizyty, przynajmniej w głębi duszy. A on patrzył tak, jakby o tym wiedział.

- Och, Shay! - krzyknęła znów Bria, a tym razem jego imię wyrwało się z jej ust wraz z atakiem kaszlu. - Jak możesz mówić takie rzeczy pannie Tremayne, która jest gościem w naszym domu?!

- Tak, w naszym domu. - Położył dłonie na stole, jakby chciał wstać, lecz nadal siedział i nie odrywał wzroku od twarzy Emmy. - Rzeczywiście, możesz to tak określić, ponieważ płacimy czynsz. Lecz równie dobrze można by uznać, że panna Tremayne jest gościem pana Geoffreya Alcotta, gdyż zgodnie z prawem to on jest właścicielem tego domu. A ponieważ wkrótce ta pani zostanie żoną pana Alcotta, to właściwie my jesteśmy jej gośćmi, prawda? Emma nie wiedziała, że Geoffrey jest właścicielem tego domu, chociaż doszła do wniosku, że powinna się tego domyślić. Do Zakładów Włókienniczych Alcotta najprawdopodobniej należało niemal wszystko, co znajdowało się wokół fabryki. Na tej zasadzie Tremayne'owie byli właścicielami większości domów i bloków mieszkalnych w Goree.

- A ty - powiedziała Bria do męża głosem, który z powodu kaszlu i złości brzmiał znacznie ostrzej niż zwykle - zachowujesz się tak, jakby panna Tremayne była osobą nie zasługującą na nasz szacunek tylko dlatego, że jest tym, kim jest. Boże, zmiłuj się nad nami, nie jesteśmy już w Irlandii!

- Bogacze są tacy sami na całym świecie, prawda, panno Tremayne? Tylko tutaj, w Ameryce, wymyśliliście nowy sposób wykorzystywania ludzi, którzy od was zależą: uzależniacie wysokość czynszu od liczby dzieci, które wykonują dla was niewolniczą pracę w fabryce. Im więcej dzieci, tym mniejszy czynsz. Czyż nie tak, panno Tremayne?

Potrząsnęła głową i skierowała wzrok w inną stronę. O tym również nie wiedziała.

- To okrutna praktyka, prawda, panno Tremayne? Zmuszać mężczyznę, by wybierał między wysłaniem córek do przędzalni a obserwowaniem, jak głodują.

Wpatrywał się w nią z ogromnym natężeniem, próbując ją ocenić. Ilekroć znajdowała się w jego towarzystwie, czuła się podobnie - jakby testował ją, kierując się zasadami obowiązującymi w świecie, którego w ogóle nie znała.

Bria przycisnęła wyblakłą chusteczkę do ust, tłumiąc kolejny

atak kaszlu. Chwyciła męża za rękę i wpiła się palcami w jego odsłoniętą dzięki podwinięciu rękawów skórę.

- Czy masz zamiar uczyć nasze córki manier godnych domokrażcy, Seamusie McKenno, osobiście dając im zły przykład? Niezależnie od tego, kto jest właścicielem tego domu, panna Tremayne jest gościem przy naszym stole. Musisz teraz grzecznie ją przeprosić.

Minęła długa, niespokojna chwila, nim w końcu powiedział:

- Jeśli prawda jest w stanie panią obrazić, panno Tremayne, to pokornie proszę o wybaczenie.

Emma uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Panie McKenna, ma pan rzadką umiejętność obrażania za pomocą przeprosin.

Zauważyła, że jego oczy odrobineczkę się zwężyły, a na ustach pojawiło się coś, co można było uznać za uśmiech.

Wydawało jej się, że gospodarz ma zamiar powiedzieć coś więcej, kiedy włączyła się Merry, nucąc jakąś piskliwą i pełną podniecenia melodyjkę.

Noreen uważnie obserwowała ojca, ściągając brwi w strapieniu. Teraz jednak skierowała uwagę na siostrę, a jej usta wykrzywiły się w grymasie, który mógł być zarówno uśmiechem, jak i płaczem.

- Merry mówi, że nie ma sensu robić zamieszania. - Wskazując na Emmę, Noreen mocno się zarumieniła. - Pewnego dnia ona kupi nam wszystkim nowy dom. Merry mówi, że panna Tremayne ma mnóstwo pieniędzy. - Wzrok Noreen przesunął się z Emmy na ojca, a następnie z powrotem na Emmę. W oczach dziewczynki pojawiła się nieufność. - A tak naprawdę to ile ma pani pieniędzy?

Emma była kompletnie zaskoczona. W gronie ludzi, wśród których się obracała, nikt nie śmiał zadawać tego typu pytań. Ale obie dziewczynki, pan McKenna, a nawet Bria spoglądali na nią tak, jakby oczekiwali odpowiedzi.

Uniosła głowę. Sądzą, że jest dumna - no cóż, w takim razie zachowa się dumnie.

- Niewątpliwie fortuna Tremayne'ów po śmierci ojca przypadnie mnie i Maddie. W przeważającej części pieniądze te zostały ulokowane w wysoko oprocentowanych i przynoszących dywidendę papierach wartościowych, ale nie mam najmniejszego

pojęcia, ile to wszystko jest warte. Mam też własny fundusz powierniczy, który przypadnie mi w udziale po wyjściu za mąż lub gdy skończę dwadzieścia pięć lat. Ale wynosi on zaledwie milion.

- Matko Przenajświętsza! - krzyknął Shay McKenna, wywracając oczami, by okazać swe zdumienie. - Ta kobieta mówi „zaledwie milion”. - Machnął ręką, pokazując kuchnię. - Ile kwiatów może być na naszych ścianach?

Powiedziałaby pani, że „zaledwie tysiąc”? - Podniósł małą błękitną solniczkę, która zawsze stała na środku stołu, tuż obok puszek z polnymi kwiatami. - Ile jest tu ziarenek soli - „zaledwie sto tysięcy”? Tymczasem nasza droga panna Tremayne ma coś, co nazywa funduszem powierniczym. Wynosi on „zaledwie milion dolarów”; ona mówi o tym, jakby to była błahostka.

- Och, Shay... - powiedziała Bria z długim westchnieniem. Emma starannie złożyła serwetkę, po czym umieściła ją obok

filiżanki i spodeczka.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała najłagodniejszym głosem, na jaki było ją stać. - Obawiam się, że muszę już iść. Z wdziękiem wstała, a jej ruchowi towarzyszył delikatny szelest atłasowych halek. Jeśli ten człowiek ma zamiar oskarżać ją o to, że przychodzi tu, by okazać wyższość, w takim razie nie sprawi mu zawodu.

- Dziękuję za gościnność. - Skinęła głową w jego stronę. -Do widzenia, panie McKenna. Żegnajcie, Noreen i Merry...

-Na widok rozpaczy widocznej w ciemnych oczach Brii zawahała się. - Do widzenia pani - powiedziała nieco łamiącym się głosem.

Wyszła za drzwi i pokonała schody, a potem ruszyła Thames Street do miejsca, gdzie w pobliżu promenady zostawiła swój powozik. Właśnie odplątywała lejce z żelaznego pierścienia, kiedy usłyszała, że gdzieś za jej plecami trzasnęły drzwi.

- Panno Tremayne, chciałbym zamienić z panią kilka słów. Powoli odwróciła się. Szedł w jej stronę wydeptaną ścieżką,

przy której rosły niebieskie i żółte fiołki sadzone przez nią i przez Brię.

Podszedł. Stał tak blisko, że widziała, jak kropla potu zbiera się poniżej jego ucha i spływa po pulsującej żyły na szyi. Wy-

trącił ją z równowagi, wpatrując się w nią z ogromnym napięciem.

Miała tak zaciśnięte gardło, że z trudem dobyła głosu.

- Czy postanowił pan jeszcze trochę na mnie nakrzyczeć, panie McKenna? A może dlatego, że jestem rozpieszczona, zabroni mi pan przekraczania progu pańskiego domu?

Potrząsnął głową.

- Nie, nie zrobię tego. Chciałbym jedynie panią prosić... -Przez ułamek sekundy dostrzegła w jego oczach ogromną prośbę, zupełnie jakby nagle pękła jakaś krucha skorupka i obnażyła fragment jego duszy. - Proszę ich nie krzywdzić - powiedział.

Z trudem wypuściła z płuc powietrze.

- Nigdy bym tego nie zrobiła!

Przyjrzał się jej bacznie, jakby szukał w jej twarzy potwierdzenia prawdziwości tych słów. Po chwili jego oczy znów stały się surowe i twarde, a usta bezlitosne.

- Pan chyba nie rozumie - stwierdziła. - Bria jest moją przyjaciółką.

- Pani przyjaciółką? A co się stanie, gdy pozostali pani przyjaciele dowiedzą się, że bywa pani w naszym domu?

Kiedy ktoś poinformuje o tym mężczyznę, którego pierścionek nosi pani i z którym ma pani dzielić życie?

Gwarantuję, że im się to wcale nie spodoba i na pewno nie będą zadowoleni. Nie zdoła mi pani wmówić, że nie będzie to miało dla pani żadnego znaczenia.

- Nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia - oznajmiła, chociaż zdawała sobie sprawę, że wygłasza kłamstwo. Nie chciała, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale nigdy dotąd życie nie zmusiło jej do stawienia czoła opinii towarzystwa. Przypuszczała, że może to być bardzo nie mile.

- Z takim samym skutkiem mogłaby pani wyciągnąć rybę z zatoki i zachęcać ją do życia na łodzi - powiedział, a jego słowa były echem jej nie chcianych myśli. - To tak samo jak próba budowy mostu łączącego nasze dwa światy.

- Ja tylko... - Urwała, nie mogąc ciągnąć dalej. Wcale nie miała zamiaru budować żadnych mostów. Pragnęła jedynie być przyjaciółką Brii McKenny.

Wziął głębszy wdech, a potem powoli wypuścił powietrze

z płuc. Wydawało jej się, że zarys jego ust odrobinę złagodniał, chociaż oczy nadal pozostały twarde.

- Do tej pory pani życie toczyło się bez żadnych przeszkód, panno Tremayne. Nigdy nie musiała pani obawiać się przyszłości i zastanawiać się, jak to wszystko się zakończy ani jaką będzie pani musiała zapłacić za to cenę.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale miała na to zbyt sztywne wargi.

- Przesadza pan. To może rzeczywiście jest dość niezwykle, ale trudno traktować jako występki przeciw Bogu lub ludziom fakt, że jankeskę błękitnej krwi i irlandzką imigrantkę łączy jakaś przyjaźń.

- Och, a więc już spuszcza pan ton i zaczynamy mówić o „jakiejś przyjaźni”, prawda? - Pochylił się w jej stronę, a jego głos stał się ostrzejszy. - Moja Bria nie ofiarowuje serca łatwo, na dodatek jest ono bardzo kruche. Tymczasem wy... **Dhia**, ludzie pani pokroju łamią serca z taką samą łatwością, jak łamie się chleb.

Emma była zaskoczona, że jego słowa tak bardzo ją zraniły. Czuła ucisk w gardle i cisnące się do oczu gorące łzy. Niewiele brakowało, a rozplakałaby się w jego obecności, doszła jednak do wniosku, że nie zdołałaby tego znieść.

- Naprawdę aż tak bardzo pan mną gardzi? Roześmiał się niemiło.

- Teraz przynajmniej zachowuje się pani jak typowa przedstawicielka Śmietanki Towarzystkowej. Wszyscy zawsze rozglądacie się wokół siebie, pragnąc sprawdzić, jak oceniają was inni. Niemal klękam przed panią, błagając, by oszczędziła pani mojej żonie bólu, który wiem, że jej pani sprawi, tymczasem panią interesuje jedynie to, że najprawdopodobniej nie darzę pani wielką estymą, chociaż w pani przekonaniu powinienem.

Napięła mięśnie twarzy, by powstrzymać łzy. Uniosła głowę, odwróciła się od niego i wsiadła do powozu z całą godnością, jaką zdołała wykrzesać, pamiętając o dobrych manierach od dwustu lat kultywowanych przez Śmietankę Towarzystkową.

Kiedy już odjeżdżała, do jej uszu dobiegł jego niespokojny głos:

- Wcale panią nie gardzę.

Rzeczywiście, nie gardził nią.

Obserwował, jak odjeżdża drogą, a koła powozu stukają na ubitej ziemi. Twarz Emmy ocieniało szerokie rondo słomkowego kapelusza, a zdobiący jej szyję koronkowy żabot fruwał w podmuchach wiatru wiejącego od zatoki. Wyglądała na wyniosłą, nieprzystępną, przyzwyczajoną do luksusu osobę, i tak właśnie o niej pomyślał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w dniu polowania na lisa. Później uznał ją za odważne dziecko rozpaczliwie spragnione przygód. Niewinną dziewczynę, miotającą się między bolesną nieśmiałością a dziką odwagą.

Nie gardził nią. Boże, zmiłuj się nad nami, gdyby nie była tym, kim jest, być może w końcu zdołałby ją nawet polubić. Mimo wszystko naprawdę coś do niej czuł, chociaż za nic w świecie nie był w stanie zrozumieć, co to jest. Był nieco zdziwiony, gdy nagle przyszło mu na myśl słowo podziw.

Może właśnie dlatego... No cóż, właściwie wcale jej nie szukał. Spędzał kilka chwil w jej towarzystwie, ilekroć nadarzyła się ku temu okazja, choć obecnie wołałby, żeby to wszystko się nie zdarzyło. Bo chociaż rozum mówił mu, że Emma wcale nie przyszła do Brii ze względu na niego, to serce podszeptywało, że stało się to za jego przyczyną. Wolał, by nigdy nie pojawiła się w jego życiu ani też w życiu członków jego rodziny.

A mimo to, mimo to... było w niej coś, co sprawiało, że miał ochotę lepiej ją poznać. Dlatego właśnie był na tyle głupi, że zaczął ją oskarżać, nie zdając sobie sprawy, że zagładanie w głąb ludzkich serc odbywa się takim kosztem. Obserwował jej odjazd, aż na ulicę wjechał wóz z piwem

i konny ambulans. Oba pojazdy przesłoniły Emmę, tak że widać było jedynie podskakujące białe pióra strusie na jej kapeluszu. Nawet gdy całkiem zniknęła już z pola widzenia, jej obraz wciąż stał mu przed oczami jak plama słoneczna. A w powietrzu nadal unosił się delikatny aromat używanej przez nią wody toaletowej o zapachu bzu.

Ruszył w stronę domu, wszedł stromymi schodami na werandę i otworzył drzwi. Jego żona stała przy piecu z kawałkiem rozbitej filiżanki w ręce. Drugą dłonią przyciskała do ust zakrwawioną chusteczkę do nosa, starając się zdusić wilgotny, rozrywający klatkę piersiową kaszel, który ją zabijał.

Spojrzał na nią, na jej pochyloną głowę oraz wątłe, przy-

garbione plecy i poczuł, że ten obraz po raz tysięczny łamie mu serce.

- Briu... - powiedział.

Jeszcze raz chrapliwie zakaszłała. Spojrzała na potłuczone naczynie, a potem wrzuciła je do śmieci i odwróciła się. Wyciągnęła rękę, lecz nie do męża.

- Nory, chodź tutaj - poprosiła.

Dziewczęta nadal siedziały przy stole, ciche, przestraszone i najwyraźniej zaskoczone napięciem, jakie zapanowało w domu. Noreen zbladła, po czym poderwała się na równe nogi i podeszła do matki.

- Słucham - powiedziała.

Bria wcisnęła jej w dłoń kilka jednocentówek.

- Weź Merry, skoczcie do Padrona Hardy'ego i kupcie sobie trochę cukierków miętowych.

Noreen rzuciła przerażone spojrzenie na ojca, ale nie odezwała się ani słowem. Podeszła do stołu i wzięła Merry za rękę. Shay zaczekał, aż zamkną się za nimi drzwi.

- Czyżbyś miała zamiar dać mi burę? - zapytał, próbując zdobyć się na uśmiech, ale mu się to nie udało.

Patrzyła na niego przez całą wieczność, a potem wszystko wskazywało na to, że się załamała, całkiem się załamała; objęła rękami wzniesienie brzucha, jakby chciała otulić siebie i dziecko.

- Ona już nigdy tutaj nie przyjdzie - powiedziała, a jej ramiona drżały tak mocno, jakby znowu kaszłała, po chwili jednak Shay zdał sobie sprawę, że Bria płacze.

- Och, Briu, kochanie... - Podeszedł i objął ją. Próbowwała się do niego przytulić, starała się ukryć twarz na jego piersi, ale na przeszkodzie stanęło dziecko.

- Nigdy nie miałam takiej przyjaciółki - usłyszał jej słowa dochodzące przez płacz. - Nie rozumiesz... To coś niezwykle rzadkiego, taka życzliwość...

Zrozumiał, a wówczas poczuł ból, jakby próbował przełknąć ostrze tkwiące w gardle. Pragnął wierzyć, że Bria potrzebuje, i zawsze będzie potrzebować, tylko jego. Kiedyś, być może, rzeczywiście tak było. Ale takie pragnienie trzeba zaspokajać stale, tymczasem gdzieś w najciemniejszym zakamarku serca Shay zdawał sobie sprawę, że mu się to nie udało. Chociaż bardzo kochał Brię, widocznie było to za mało.

Potarł dłonią po jej schyłym karku i przez chwilę go masował. Nie było tu już żadnego ciała, jedynie łatwo wyczuwalne drobne kości. Nie mógł tego znieść. Boże, Boże, ona umiera. Traci ją, traci, właściwie już utracił.

- Emma Tremayne nie jest tchórzem - powiedział, nie zważając na boleśnie zaciśnięte gardło. - Jeśli tylko będzie chciała, wróci. A wówczas będziesz miała pewność, że jest twoją prawdziwą przyjaciółką.

Odchyliła się i spojrzała na niego. Na jej policzkach widniały chorobliwe rumieńce, a oczy były czarnymi sadzawkami pełnymi bólu z powodu poniesionej straty... Traci ją, traci ją.

- Sądysz, że nic dobrego z tego nie wyniknie, prawda?

Odgarnął rude kosmyki z jej wilgotnej twarzy. Miała najpiękniejsze włosy ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek znał. Irlandzkie włosy - płomienne, kapryśne i czerwone jak słońce wschodzące nad słomianymi dachami Gortadoo.

Pochylił głowę i dotykając wargami tych włosów, powiedział:

- Rzeczywiście. Ale to może dlatego, że moim zdaniem cuda są tylko dziełem Boga. Tymczasem ty, kochanie, uważasz, że to my je tworzymy.

XVI

Pod koniec maja nastał dzień, kiedy niebo było cudownie błękitne, a rosnąca na bagnach gęsta trawa przykuwała wzrok zielenią. Wówczas to Emma Tremayne znowu zjawiała się w domku na Thames Street.

Nie wiedziała, czy popycha ją do tego duma, czy też może raczej całkowity brak godności nie pozwala jej trzymać się z dala od tego miejsca. Wróciła, ponieważ wydawało jej się, że nie ma innej możliwości, a może właśnie - w tym konkretnym przypadku - decyzja należała do niej.

Bardzo interesowało ją ostatnio wszystko, co wiązało się z dokonywaniem wyboru. Była ciekawa, w jaki sposób ludzie kierują swoim życiem, jakie podejmują decyzje i dlaczego. Wiedziała, że istnieją rzeczy, których nie powinno się robić, a mimo to wcale się z nich nie rezygnuje. Pojęła, że ludzkie serce nikogo nie słucha; kieruje się własnym głosem.

Pewnego wieczoru na spotkaniu towarzyskim u Pattersonów zapytała Geoffreya:

- Dlaczego do pracy w fabryce przyjmujesz małe dzieci? Sprawiał wrażenie zaskoczonego faktem, że Emma podejmuje

niemiłe tematy przy szampanie i brandy, tak przynajmniej przypuszczała, mimo to udzielił jej odpowiedzi.

- Ponieważ ich małe paluszki znacznie łatwiej wychwytyją splątane nici. Pewnego razu przez całą dzienną zmianę stałem przy prąśnicy. To wcale nie jest takie łatwe zajęcie, jak można by przypuszczać.

Nie wiedziała, że Geoffrey robi coś takiego, że choćby tylko na jeden dzień przejmuje obowiązki któregoś ze swoich najzwyczajniejszych pracowników. Doszła do wniosku, iż najprawdopodobniej narzeczony robi to, ponieważ dba o zatrudnianych przez siebie ludzi. Ta myśl jednak nie powstrzymała jej przed zadaniem następnego pytania.

- Mimo to nie czujesz się zobowiązany, by płacić dzieciom tak, jak płacisz dorosłym, czyż nie tak, Geoffrey?

Uśmiechnął się do niej krzywo, a wówczas Emma przypomniała sobie, że zawsze lubiła jego uśmiech, lub przynajmniej tak jej się wydawało.

- Należy brać jeszcze pod uwagę takie elementy, jak: zyski, straty i pewne ograniczenia, najdroższa Emmo. W końcu muszę zarobić na życie. Nasze życie.

- Oni również. A...

- Emmo. - Głos matki przeciął długość salonu. - Pani Patterson chciałaby wiedzieć, czy ty i pan Alcott macie zamiar spędzić miesiąc miodowy w Wiedniu, czy w Paryżu.

Nieco później, po powrocie do „Brzóz”, matka powiedziała:

- Stawiasz zbyt śmiało pytania, Emmo. Ile razy muszę ci przypominać, że lepiej w ogóle się nie odezwać niż powiedzieć jedno nieodpowiednie słowo?

Zmartwione spojrzenie matki uświadomiło Emmie, że żyje w świecie, który zniechęca do zadawania pytań i dokonywania wszelkich wyborów.

Następnego popołudnia, podczas gry w wista, panna Carter powiedziała:

- Przez dłuższy czas pani Oliver nie będzie pojawiać się w towarzystwie.

- Dlaczego? - zapytała Emma, zapomniawszy, że nie powinna zadawać śmiałych pytań. Pani Oliver jednak niedawno została mężatką, a od jakiegoś czasu Emma była zainteresowana świeżo upieczonymi mężatkami.

- Ponieważ będzie niedysponowana - wyjaśniła panna Carter.

- Przez siedem miesięcy - dodała panna Liluth i cichutko się roześmiała.

- Liluth! - sapnęła jej siostra. - Wstydziałabyś się.

- Emmo - wtrąciła się matka. - Czyżbyś zapomniała, że atutem są kiery?

Kiedy gra dobiegła końca, Emma powiedziała matce, że idzie popływać żaglówką po zatoce, w rzeczywistości jednak wybrała się do domku na Thames Street.

Bria, pragnąc wykorzystać majowe słońce, zostawiła otwarte drzwi. Emma zastała ją siedzącą w fotelu bujanym i cerującą jedną z ogromnych skarpetek męża. Podczas pracy ręce Brii opierały się na okrągłym, sterczącym brzuchu. Emmie przyszło na myśl, że Bria McKenna chodzi wszędzie, chociaż może wcale nie są to najelegantsze miejsca, nie kryjąc się z ciążą. Noszone pod sercem dziecko traktuje nie jak coś, czego należy się wstydzić, lecz jak powód do dumy.

Kiedy cień Emmy przysłonił wpadające do wnętrza światło, Bria uniosła głowę. Właśnie zaczynała się uśmiechać, lecz w tym momencie jej usta rozchyliły się nieco szerzej i wyrwał się z nich cichy pisk. Spojrzała na swój brzuch. Emma, nawet stojąc w drzwiach, widziała niezwykle energiczne ruchy dziecka.

- Och! Jest bardzo silny, myślę, że lada dzień pojawi się na świecie - powiedziała Bria, a jej słowa przerywane były krótkimi sapnięciami. - Ten maluch to wykapany ojciec. Ma tyle energii, że jestem pewna, iż właśnie okłada mnie swoimi maleńkimi piąstkami.

Emma podeszła do Brii i uklękła u jej stóp. Wyciągnęła dłoń, po czym zatrzymała ją nieśmiało nad poruszającym się brzuchem.

- Mogę? - zapytała.

Śmiejąc się i posapując, Bria ujęła rękę Emmy i położyła ją na brzuchu, w którym pulsowało życie.

- Ojej! - krzyknęła Emma. - Ten smyk jest bardzo mocny.

- Tak, to będzie silny, dzielny irlandzki chłopiec.

Nagle krtań Brii ścisnął płacz. Zaczęła tak szlochać, że Emma z trudem wychwytywała jej pojedyncze słowa. Zrozumiała jedynie, że zielone jak koniczyna oczy tego silnego, dzielnego irlandzkiego chłopca nigdy nie zobaczą skąpanych w deszczach zielonych wzgórz Irlandii.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi - powiedziała Bria, kiedy pokonała wreszcie szloch i wytarła twarz rękawem bluzki. - Kiedy się czegoś boję, staję się płaczliwa.

- Proszę się nie bać - powiedziała Emma. - Dziecko na pewno będzie zdrowe.

Nie dodała: *pani również*, ponieważ byłoby to zbyt oczywiste kłamstwo. Może zresztą wcześniejsze stwierdzenie także było kłamstwem. Nie wiedziała, czy nie narodzone dziecko może zarazić się chorobą matki.

Swego czasu Emma zastanawiała się, czy i jej grozi zarażenie, gdy przychodzi do tego domu. Były chwile, kiedy się tego obawiała, mimo to nie pozwoliła, by lęk trzymał ją z dala. ObeGnie w ogóle już o tym nie myślała, dlatego też pochyliła się nad Brią i objęła ją w pasie, a Bria oparła brodę na jej głowie. Mimo że w tej pozycji wcale nie było im najwygodniej, bliskość dodawała obu nieco otuchy.

- Dlaczego opuściliście Irlandię, skoro tak bardzo ją kochacie? - zapytała i poczuła, że Bria sztywnieje w jej objęciach.

Emma przysiadła na piętach i spojrzała w górę. Wpadające przez otwarte drzwi światło słoneczne sprawiało, że włosy Brii przypominały płomienie.

- Przepraszam - powiedziała. - Już raz zadałam pani to pytanie. Wcale nie miałam zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Bardzo jednak chciała to zrobić. Pragnęła poznać świat, który istniał w tej kuchni, w tej zbudowanej z desek, stojącej na palach chacie. Marzyła, by otworzyć świat Brii jak skorupkę orzecha i móc go skosztować.

Bria wyjęła ze skarpetki drewniany grzybek i długo pocierała nim o dłoń.

- Irlandzkie dziewczęta nie są takie nowoczesne jak tutejsze, nie wychodzą za mąż, za kogo im się podoba. W Irlandii mamy swatki, lecz z pewnością żadna z nich nigdy nie chciałaby szu-

kać dla mnie chłopca, ponieważ nie miałam posagu ani nadziei, że moja rodzina zdoła go zgromadzić.

Bria niespokojnie wciągnęła powietrze w płuca; myślami powróciła do przeszłości.

- Tymczasem, widzi pani, zachciało mi się Shaya McKenny. Szalałam za nim. Postanowiłam go zdobyć w taki sposób, w jaki od początku świata robią to zakochane dziewczęta. Miał zamiar zostać księdzem, lecz w wieku szesnastu lat był już człowiekiem żonatym, spodziewaliśmy się dziecka. Dysponował jedynie zrobioną ze skóry łódką i kilkoma sieciami, które pozwalały mu zarobić na życie.

Ksiądz, pomyślała Emma. Ten człowiek, ten człowiek... ten człowiek o mały włos zostałby księdzem. Rozbawiona tą myślą, z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Potem jednak coś złapało ją za serce, coś, co bolało, a równocześnie wywoływało dziwnie ciepłe uczucia.

- Pragnął zostać księdzem - ciągnęła Bria. - A ja ukradłam go Bogu, a to z pewnością śmiertelny grzech. Choć może nie aż tak straszny jak to, że uniemożliwiłam Shayowi zostanie tym, kim mógłby być.

- Briu... - Emma wyciągnęła rękę, by dotknąć dłoni przyjaciółki, na moment zawahała się, a potem to zrobiła. Bria wypuściła drewniany grzybek, ich palce splotły się. - Nie znam pana McKenny dobrze - powiedziała Emma - ale nawet ślepiec by bez trudu zauważył, że twój mąż bardzo cię kocha.

Oczy Brii wypełniły się łzami, a jej drżące usta ułożyły się w zboląły uśmiech.

- Zawsze miał wspaniałe marzenia, nawet będąc jeszcze chłopcem. Tymczasem moje pragnienia były malutkie i całkiem zwyczajne: chciałam mieć mężczyznę, którego mogłabym nazywać mężem, zdrowo rosnące dzieci, a do tego może jeszcze dom i kilka zagonów ziemniaków. Ilekroć zaczynały się kłopoty, nie miałam ochoty z nimi walczyć. Wolałam poczekać, aż przeminą.

Rozumiejąc to, Emma ścisnęła jej rękę. Bria przez chwilę milczała, a potem przełknęła ślinę, jakby w gardle ugrzązł jej kamyk.

- Powiem pani, co się stało - stwierdziła. - Za chwileczkę.

- Wcale nie musisz tego robić, Briu.

- Muszę, proszę mi wierzyć, że muszę. Tak samo jak pani o swoim bólu, ja również od bardzo dawna pragnę komuś to opowiedzieć.

Z twarzy Brii promieniowała jakaś nieprawdopodobna siła.

- Już wcześniej wspomniałam pani, jak zmarła matka Sha-ya i że tego dnia, kiedy ją pogrzebał, przestał wierzyć. Nie mówiłam jednak, że kiedy stracił wiarę, jej miejsce zajęła nienawiść...

Został fenianem". Przyłączył się również do Land Leaguers, grupy rebeliantów, którzy nękali i terroryzowali ziemian oraz ich rządców, czasami nawet, jeśli nadarzała się okazja, zabijali ich.

Czekał osiem lat, by pomścić śmierć matki i dostać w swoje ręce odpowiedzialnego za to rządcę. Przynajmniej wydaje mi się, że to właśnie Shay zamordował go z zimną krwią. Nigdy mi się do tego nie przyznał, i jest to jedyna rzecz, o którą go nie pytam. Ale sędzia pokoju miał nakaz, który mówił, że zrobił to Shay.

Bria tak mocno ścisnęła rękę Emmy, że gniotła jej palce, lecz Emma nawet nie pisnęła. Walące w piersi serce utrudniało jej oddychanie.

Kiedy w wiosce zjawił się sędzia pokoju, Shaya nie było, wypłynął łódką w morze. Sir Michael Barnes przyjechał do Gortadoo na swym gniadym koniu, mając na sobie czerwony surdut łowczego, jakby przerwał na chwilę niezmiernie ważne zajęcie, by urządzić obławę na jakiegoś irlandzkiego kryminalistę. Towarzyszył mu cały oddział ubranej w zielone mundury Irlandzkiej Policji Królewskiej.

Ktoś wcześniej zdołał ostrzec Brię, której udało jej się ukryć dziewczęta. Schowała je w chlewie wśród śmierdzących koryt. Zmusiła je, by przysięgły, że nie wyjdą ani się nie odezwą, niezależnie od tego, co będzie się działo.

- Sędzia pokoju powiedział, że Shay ma się oddać w jego ręce, i by upewnić się, że ta wiadomość rzeczywiście dotrze tam, gdzie należy, sir Barnes... sir Barnes zgwałcił mnie. Przerzucił mnie przez kamienny murek i wziął mnie jak pies, na

***Fenian - członek tajnej ligi walczącej o wyzwolenie Irlandii (przyp. tłum.).**

dworze, żeby mogli to zobaczyć wszyscy sąsiedzi... i moje córeczki. Miał w ten sposób pewność, że Shay się dowie.

- Dobry Boże, nie! - szepnęła Emma.

- Tyle że Shay wcale nie musiał się dowiadywać - ciągnęła Bria, po której policzkach płynęły ogromne, ciche łzy. - Wrócił do domu na tyle wcześnie, że sam to zobaczył. Próbował gołymi dłońmi zabić tego człowieka... zabić sędziego pokoju, i pewnie by to zrobił, gdyby nie policjanci, którzy odciągnęli go siłą. Mieli zamiar zabrać Shaya do Kilmainham Jail na proces, potem jednak postanowili powiesić go na miejscu, w Gortadoo, za próbę zamordowania para, jak powiedzieli. W promieniu trzydziestu pięciu kilometrów znajdowało się tylko jedno drzewo. Cis.

- Och, Briu...

Emma poczuła na policzkach łzy. Uklękła i objęła Brię, drugą ręką ściskając jej dłoń. Nie puści Brii; już nigdy jej nie puści.

- Zmusili mnie, żebym na to patrzyła - opowiadała Bria. - Dziewczynki również.

Emma jęknęła i objęła ją jeszcze mocniej.

- Shay bardzo długo umierał na sznurze. Kiedy mój brat, Donagh, odciął pętlę, twarz mojego męża była czarna, a na jego szyi widniała krwawa pręga. Wciąż jednak tliło się w nim życie, chociaż wówczas o tym nie wiedziałam.

Emma próbowała powstrzymać łkanie, przyciskając usta do ramienia Brii, lecz wcale jej się to nie udało, i nie było to ważne. Przez chwilę płakały razem, potem szloch powoli ucichł.

- Nie wiem, jak to wszystko zniosłaś - powiedziała Emma w niczym nie zmaconej ciszy kuchni.

Bria wzruszyła ramionami i wytarła policzki brzegiem wolnej dłoni. Palcami drugiej ręki wciąż kurczowo trzymała się Emmy. Oddychała z ogromnym trudem, dysząc.

- Zniosłam to tak, jak mogłam. Wyprawiłam stypę, a potem go pogrzebałam. I dopiero kiedy Shay był na statku płynącym do Ameryki, brat powiedział mi, że zamiast męża złożyłam do ziemi trumnę wypełnioną kamieniami. Zdaniem Donagha obaj obawiali się, że nie będę przekonująco smutna, jeśli poznam prawdę. - Z piersi Brii wyrwał się niespokojny śmiech. - Cierpiałam przez trzy dni, myśląc, że on nie żyje, i wypłakałam

tyle łez, że można by zatopić nimi cały świat, dlatego z pewnością żadnemu z nich nigdy tego nie wybaczę.

Po tych słowach Bria spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Kiedy myślałam, że on nie żyje... Och, panno Tremayne, kiedy myślałam, że on nie żyje, kiedy złożyłam go w grobie... Nie przypuszczałam, że serce i dusza tak mogą boleć. A teraz ja mu to robię. Wkrótce to on mnie pochowa. Emma została z Brią do chwili, aż za otwartymi drzwiami pojawiły się długie lawendowe cienie, a dziewczynki wróciły z fabryki. Wówczas wybrały się wszystkie na skraj miasta, by nazbierać malin rosnących dziko wzdłuż Tanyard Road.

Słońce zaczęło tonąć w zatoce, zamieniając jej wody w płynne złoto. Wiatr unosił nad nią światło jak najdelikatniejsze piórka. Bria podśpiewywała półgłosem, od czasu do czasu zatrzymując się, by wziąć do ust malinę.

Gdyby dziewczęta jak kosy śpiewały... Iluż by chłopców w krzakach się chowało...

Urwała piosenkę i rozejrzała się dookoła.

- Nie wie pani, gdzie podziały się dziewczynki?

Emma nie odpowiedziała, zajęta obserwacją twarzy Brie. Wpatrywała się w jej wysokie kości policzkowe, wyraziste brwi i dumnie uniesioną brodę. Wielokrotnie szkicowała tę twarz. Bardzo chciała, marzyła, by wymodelować ją w glinie, lecz bała się to robić, gdyż miała wrażenie, że w chwili, kiedy uda się ją wyrzeźbić, straci Brię.

- Czy jesteśmy przyjaciółkami, Briu? - zapytała, kiedy obie ukłękły na poboczu tonącej w tumanach kurzu drogi, wśród trawy i badyli, z koszykami na kolanach, wciąż czując w ustach smak malin.

Bria odwróciła się twarzą do niej. Emma zauważyła, że usta przyjaciółki są czerwone od soku.

- Jeśli po tym wszystkim, co zaszło między nami, nie jesteśmy przyjaciółkami, to w takim razie jak by nas pani nazwała?

- Chciałabym - powiedziała Emma - wymyślić na to inne określenie. - Spojrzała w stronę drogi, która prowadziła przez las do promu, gdzie, jak wiedziała z własnego doświadczenia, na terenach zalewanych przez przyływy bekasy szukają poży-

wienia i czasem zdarza się, że giną. - Wielu ludzi nazywam przyjaciółmi, wiem jednak, że wcale nimi nie są. Zaczynam podejrzewać, że w moim życiu nic nie jest prawdziwe.

- Na pewno prawdziwa jest ta ładna sukienka, którą ma pani na sobie. Prawdą jest również to, że niemało kosztowała, czemu zresztą wcale nie powinnam się dziwić.

Westchnienie Emmy bliskie było śmiechu.

- Czy to znaczy, że głupio się zachowuję?

- Tak. I trochę za bardzo się pani pyszni.

- No widzisz, dlatego właśnie jesteś mi tak bardzo potrzebna. Żeby nauczyć mnie skromności i mądrości.

Uśmiechnęły się do siebie. Bria zerwała z krzaka malinę i włożyła ją między wargi Emmy. Emma otworzyła usta i wessała ciepły, słodki owoc, który rozpułynał się na języku.

- Jestem twoją przyjaciółką, Emmo - powiedziała Bria, po raz pierwszy, mimo tylu spędzonych wspólnie godzin, używając jej imienia. Na policzkach Irlandki pojawiły się rumieńce, dodając jej uroku. Jej uśmiech był szczery. - Serdecznie cię pokochałam.

Emma zdawała sobie sprawę, że na jej twarzy widać wszystkie ogarniające ją uczucia.

- Zawsze myślałam, że gdy znajdę przyjaciółkę, prawdziwą przyjaciółkę, odkryję drugą połowę samej siebie. Ale myliłam się. Prawdziwa przyjaciółka nie jest drugą połową. Jesteś mną samą, całą moją duszą. Moim lustrzanym odbiciem.

Emma uniosła rękę, otworzyła dłoń, a Bria zrobiła to samo. Dotknęły się czubkami palców, tak jak dotyka się odbicia w szklanej powierzchni. Po chwili obie zamrugały powiekami i odwróciły wzrok, jakby nagle zostały oślepione przez lustrzane odbicie.

Równocześnie zauważyły biegnące w ich stronę dziewczynki. Merry nuciła tak gwałtownie, że wyraźnie było ją słychać, chociaż znajdowała się jeszcze dość daleko. Nucenie było tak głośne jak furkot skrzydeł kolibra. Wreszcie rozległ się krzyk Noreen:

- Tata się bije!

Za ich plecami stuknęły wahadłowe drzwi „Wroniego Gniazda”. W saloonie było jak w grocie, mroczno i wilgotno, a powietrze przesiąknięte było drożdżowym zapachem piwa i wonią

whisky. Nad głowami ludzi unosiła się chmura tytoniowego dymu, który sprawił, że Emmę zaczęły piec oczy. Nigdy wcześniej nie była w lokalu, w którym sprzedawano „diabelski napój”. Kilka lat temu dziewczęta z rodzin należących do Śmietanki Towarzyskiej przyłączyły się do Kobiecego Towarzystwa Antyalkoholowego. W deszczu i błocie klęczały przed „Wronim Gniazdem”, modląc się na głos, by Bóg oświecił pijaków. Rozdawały również białe wstążeczki, które miały świadczyć o podjęciu zobowiązania, że nie będzie się piło drinków zaprawianych wysokoprocentowym alkoholem. Oczywiście, Emma nie mogła wziąć w tym udziału. Mama była przeciwniczką publicznych wystąpień, nawet w dobrej sprawie.

Emma nie była pewna, czego obecnie się spodziewa, lecz to, co zobaczyła, zawiodło ją swą zwyczajnością. Deska rozłożona na kilku beczkach stanowiła prymitywny bar, a na podłodze leżały mokre, brudne trociny. Na środku baru ustawiony był ogromny kocioł, w którym gotowała się zupa rybna. W całym saloonie nie było krzeseł ani stolików, jedynie skrzynki, taborety i kilka chybotliwych ław, wspierających się o szorstkie ściany, wykonane z sękatych desek. Wszystko wyglądało tak, jakby za ludzkiej pamięci nikt nigdy tu nie sprzątał.

Przy barze stało kilku mężczyzn, popijając z maleńkich naczynek i puszek po pomidorach. Na ścianie wisiała karteczka oferująca za trzy centy „tyle piwa, ile zdołasz wypić bez brania oddechu”.

Emma przeczytała ten tekst dwukrotnie, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi. Dopóki nie zobaczyła. Pod jedną z beczek leżał mężczyzna, który trzymał w ustach gumowy wężyk biegnący od kurka. Klatka piersiowa tego człowieka falowała, a przełyk zaciekle pracował. Nad nim stał ubrany w skórzany fartuch właściciel lokalu. Rękę trzymał na kurku beczki, bez wątpienia gotów zakręcić go, gdy tylko klient zaczerpnie tchu.

Bria nie zwracała uwagi na bar ani na to, co oferował. Skierowała się na zaplecze. Zza wykonanej ze szklanych paciorków zasłony wiszącej w drzwiach dobiegały krzyki i gwizdy oraz dźwięki, które przywodziły na myśl odgłos tasaka rąbiącego mięso.

Drogę zablokował im długonogi, szeroki w ramionach mężczyzna w sutannie i koloratce. Nie trzeba było mówić Emmie,

kto to jest. Wysokie kości policzkowe, które dodawały uroku twarzy Brii, sprawiały, że jej brat był niezmiernie przystojnym mężczyzną.

Jego zaokrąglone ze zdumienia oczy przesunęły się z siostry na Emmę.

- Briu, wielkie nieba, co...

- ...ty tu robisz, ojciec O'Reilly? - dokończyła Bria. Rozjuszonym spojrzeniem zmierzyła go od stóp do głów. -

Wszyscy święci! Właściwie, dlaczego wcale mnie to nie dziwi? Tylko nie próbuj mi wmówić, że przyszedłeś do „Wroniego Gniazda”, by za pomocą błogosławieństwa zamienić *poitin* w święconą wodę.

- Och, Briu. - Odsunął loki, które przywarły jej do policzka. - To tylko lekki sparing. Worek z piaskiem jest dobry, ale nie oddaje ciosów. Ten chłopak musi nabrać trochę wprawy.

Odepchnęła jego rękę.

- Ten chłopak powinien dostać tęgiego kuksańca w ucho, ty również. - Przepisnęła się obok brata, kierując się w stronę koralikowej zasłony. - Zejdź mi z drogi, Donagh, jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre.

Na zapleczu dwie lampy rzucały upiorne, migotliwe światło, przebijające się przez błękitną mgiełkę tytoniowego dymu. Zbici w tłum prymitywni, hałaśliwi mężczyźni oraz kobiety cisnęli się i rozpychali łokciami, by dostać się w pobliże sznura, który wyznaczał ring. W środku biło się dwóch mężczyzn: Shay McKenna i człowiek o pokrytych gruzełkami uszach oraz krzaczastych ciemnych brwiach.

Obaj byli rozebrani do pasa, a ich ciała nosiły ślady toczonej właśnie walki. Klatki piersiowe i ramiona pokryte były czerwonymi plamami zostawionymi przez ciosy gołych pięści. Z rozcięcia pod okiem Shaya sączyła się krew. Nos jego przeciwnika był opuchnięty i fioletowy jak przejrzała śliwka.

Emma zatkała ręką usta, by powstrzymać okrzyk. Bria bez słowa patrzyła na męża, a na jej twarzy, jak zwykle, widać było miłość do niego. Jej oczy jednak zasnuł cień przerażających wspomnień. Emma nieco wcześniej tego dnia zrozumiała, że za miłość płaci się nieraz bardzo wysoką cenę.

Shay musiał wyczuć wzrok żony, ponieważ zerknął w jej stronę. Na ułamek sekundy opuścił gardę i mężczyzna o krzaczastych brwiach zadał mu straszliwy cios w szczękę. Głowa

Shaya z głośnym trzaskiem odskoczyła do tyłu, Shay zatoczył się, a następnie opadł na kolano. Emma krzyknęła i wyrwała się do przodu, jakby mogła mu pomóc, lecz Bria powstrzymała ją, chwytając za ramię. Emma czuła drżenie swej przyjaciółki. Przypomniała sobie pobrzmiwający w głosie Bria i wyraźnie widoczny na jej twarzy ból, kiedy opowiadała o tym, jak w każdą letnią niedzielę obserwowała Shaya zbierającego ciosy innych mężczyzn. Przyszło jej na myśl, że miłość do niektórych mężczyzn może być niezwykle trudna.

Między stojącymi na ringu przeciwnikami pojawił jakiś człowiek, który najprawdopodobniej pełnił funkcję sędziego. Potrząsnął krowim dzwonkiem. Mężczyzna o krzaczastych brwiach cofnął się w róg ringu i przysiadł na beczce. Shay jeszcze przez chwilę klęczał na jednym kolanie, opierając ramię na udzie. Jego pierś niespokojnie zafalowała, kiedy potrząsnął głową i z trudem próbował złapać powietrze. Potem podniósł się i ruszył do swojego rogu.

Pojawił się tam również brat Bria, by wręczyć szwagrowi mokry ręcznik. Zaczął masować potężne mięśnie barkowe Shaya, szepcząc mu do ucha słowa zachęty. Nozdrza Shaya rozszerzały się, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytm oddechu. Jego skóra pokryta była potem i krwią. Błyszczącymi oczami spojrzał na drugą stronę ringu, na swego przeciwnika.

Wydawało się, że nie minęła nawet minuta, kiedy sędzia wyszedł na środek i ponownie zadzwonił, wskazując widoczną na środku ringu linię narysowaną kredą.

Przez chwilę było na tyle cicho, że słyszało się skrzywienie męskich butów na posmarowanej kalafonią podłodze, kiedy bokserzy zbliżyli się do siebie, a potem zaczęli walkę, wymieniając szybkie ciosy w żebra i żołądek. Po chwili wybuchła wielka wrzawa, kiedy Shay wymierzył cios w usta swego przeciwnika, który w efekcie wyładował na sznurze.

Szybko odbił się, stanął na nogi, potrząsnął głową i splunął krwią, a z jego rozciętych warg wyrwało się warknięcie. Rzucił się na Shaya, machając rękami jak cepami. Lecz Shay uchylił się i uskoczył, bez trudu unikając szalonych ciosów.

Ponownie wymierzył cios w usta. Kiedy trysnęła krew, tłum zaczął krzyżeć. Mięśnie ramion i pleców męża Bria napięły

się, tworząc wyraźnie widoczne wypukłości, gdy wymierzał całą serię ciosów prosto w brzuch przeciwnika. Następny mocny i celny cios, tym razem w ucho, i mężczyzna zachwiał się, ugięły się pod nim kolana i opuścił gardę. Pięści Shaya uderzały jak młot kowala kującego żelazną sztabę. Walił, tłukł, grzmocił, mięśnie napinały się, z piersi dobywały chrząknięcia, a szeroko otwarte usta dyszały.

Przeciwnik nagle zaczął zachowywać się tak, jakby cała siła wyciekła z niego. Najpierw osunął się na kolana, a potem wywrócił oczami, upadł na podłogę i leżał jak pogrążony we śnie, nawet chrapał. Shay McKenna stanął nad człowiekiem, którego stłukł na kwaśne jabłko, i po krótkiej chwili uspokoił się.

Podniósł głowę, odrzucił z oczu włosy i otarł pot. Wzrokiem odnalazł Brię i przesłał jej zuchwały uśmiech, a jego twarz złagodniała. Kiedy patrzył na żonę, jego oczy jakby lśniły wewnętrznym ogniem, w którym widniało pragnienie, oddanie i miłość.

Emma stała bez ruchu, czekając, aż Shay ją zauważy, spojrzy na nią, lecz gdy już to zrobił, na jego twarzy nie było widać niczego, absolutnie niczego. To jednak nie miało znaczenia, nie miało żadnego znaczenia, ponieważ...

Kocham go.

W jednej chwili cały ten świat ożywiony i gwałtowny, pełen krzyków, wrzasków, zapachu potu i krwi nagle ucichł, stał się niemal bezdźwięczny.

Emma stała, przyciskając mocno plecy do szorstkiej sosnowej ściany na zapleczu „Wroniego Gniazda”, i nie mogła oderwać oczu od Shaya. Bria z płaczem całowała jego zakrwawione, potłuczone, opuchnięte ręce. Ojciec O'Reilly wycierał ręcznikiem jego włosy. Oko, pod którym znajdowało się rozcięcie, powoli zaczynało nikać pod opuchlizną. Na nosie widać było fioletowego siniaka.

Mężczyzna w skórzanym fartuchu wdrapał się na jedną z beczek i oznajmił, że drinki stawia Seamus McKenna, irlandzki mistrz w walce na gołe pięści. Zebrani powoli opuszczali zaplecze, ale Emma nie była w stanie oderwać się od ściany.

Czuła, że jej nogi i ręce są ciężkie i słabe, a gardło obolałe, jakby krzyczała.

Położyła dłonie płasko na ścianie, jakby zamierzała się od niej odepchnąć, odepchnąć od własnego ciała. Bardzo chciała stąd uciec, uciec od siebie i od myśli, która ją dręczyła.

Kocham go.

Zerknęła przez kołyszącą się, wykonaną z koralików zasłonę w głąb sali barowej. Jakiś mężczyzna grał na dudach. Inny tańczył gigę z kuflem piwa na głowie.

W końcu wykonała krok do przodu, potem następny i poczuła ogromną ulgę, że jest w stanie to zrobić.

Rozsunęła zasłonę, grzechocząc koralikami, po czym znalazła się w zatłoczonym barze. Ktoś wbił jej łokieć w brzuch, ktoś inny nadepnął na nogę podkutym butem. Przeżuty tytoń ledwo minął jej policzek, splunięty na podłogę. Emma była poirytowana faktem, że tak trudno dostać się tam, gdzie chce się znaleźć. Lecz kiedy już dotarła do celu - do wahadłowych, zbitych z listewek drzwi, które wychodziły na Thames Street - zatrzymała się.

Nie miała zamiaru oglądać się za siebie, by go zobaczyć. Szukała Brii, ale Bria była z nim, co oczywiście łatwo dało się przewidzieć.

Shay siedział na taborecie na środku baru, a ojciec O'Reilly przycupnął na odwróconej beczce naprzeciw niego i śmiejąc się, boksował powietrze, odtwarzając przebieg walki. Merry usiadła okrakiem na kolanie ojca, a Noreen oparła się o niego. Shay objął ją prawym ramieniem. Natomiast Bria...

Briu, Briu, najmocniej cię przepraszam. Nie wiedziałam, że to się stanie, nie przypuszczałam, że nastąpi coś takiego. Ale pokonam to, nie martw się. Za minutkę na pewno uda mi się to pokonać.

Bria stała za mężem, wsunawszy palce w jego włosy, a on opierał się o nią plecami i pocierał głową o wypukłość jej brzucha.

Emma odwróciła wzrok od tej pary i spojrzała na niebo zasnuwane o zmierzchu ciemnymi chmurami. Była zdumiona, odkrywając, że czas się zatrzymał i że nie nastąpił koniec świata.

Myślała, że wystarczy, jeśli po prostu znajdzie się za tymi

drzwiami. Ale porzucenie „Wroniego Gniazda”, porzucenie miasta, porzucenie tego świata nie gwarantowało uwolnienia się od miłości.

Kocham go.

XVII

W swoich snach Maddie Tremayne zawsze biegła.

W jej snach niezmiennie było lato. Plaża, biały piasek i spienione fale. A ona biegła, biegła prosto przed siebie, wyciągając nogi i napełniając płuca powietrzem. Biegła, biegła i biegła -wiatr igrał w jej włosach, kolana podskakiwały, piasek przeciskał się między palcami, a fale uderzały o pięty. Biegła, aż zaczynało jej się wydawać, że w ogóle nie dotyka stopami plaży, lecz unosi się nad nią.

Ale niezależnie od tego, jak długi i słodki był to sen, wcześniej czy później dobiegał końca. A kiedy się budziła, niezależnie od pory roku, zawsze była zima.

Wypadek zdarzył się zimą. W poprzedzającą go noc szalała burza, która zostawiła na brzozech miliony sopli lodu, tak że ilekroć dmuchnął wiatr, gałęzie stukały o siebie jak paciorki. Nawet port zamarzył.

Willie zaproponował Maddie, że zabierze ją na sanki.

Obie siostry zawsze w jakiś sposób rywalizowały o jego uwagę. O względy uwielbianego i uwielbiającego je brata, obdarzonego śmiejącymi się niebieskimi oczami i kpiarskim sposobem bycia. Tego zimowego ranka chciał dokuczyć Emmie, z którą posprzeczał się przy szachach, powiedział więc do Maddie:

- Chodź, siostrzyczko. Zabierz sanki, a ja zepchnę cię ze wzgórza.

Maddie miała wrażenie, że Willie ofiarował jej cały świat.

Dzwoneczki zawieszane przy końskiej uprzęży radośnie dźwięczały, a sanie szurały i piszczwały na śniegu, kiedy jechali na Fort Hill. Swego czasu Lafayette w tym właśnie miejscu pokonał brytyjskich żołnierzy. Obecnie bristolskie dzieci zjeżdżały na sankach po gładkich, stromych zboczach, szybko jak wiatr pędząc na woskowanych, jesionowych płozach, a za nimi powiewały pompony zrobionych na drutach czapeczek.

Tego dnia śnieg leżący na wzgórzu był wyjątkowo śliski, gdyż pokrywała go cienka warstwa lodu, przysypana gdzieniegdzie nawianymi przez wiatr zaspami. W zagłębieniach kładły się fioletowe i błękitne cienie. Białe zimowe słońce połyskiwało na ubranych w białe szaty dębach i głazach leżących po obu stronach toru saneczkowego. Maddie spojrzała z góry na długi, stromy zjazd i zadrżała ze strachu. Willie uważa, że złożył jej wspianą propozycję, ale ona nie miała już ochoty z niej skorzystać. Nie wiedziała jednak, jak to powiedzieć. Słowa nigdy nie przychodziły jej łatwo, zwłaszcza w rozmowach z bratem.

Kiedy siadała na saneczkach, czuła, że uginają się pod nią kolana. Jej palce wsunięte głęboko w grube, wełniane rękawiczki sprawiały wrażenie zmarzniętych i sztywnych. Nagle dmuchnął wiatr. Kryształki lodu zawirowały w powietrzu, migocąc i rozpryskując się na wszystkie strony.

Wyciągnęła szyję, by spojrzeć na brata. Para pochodząca z oddechu tworzyła wokół twarzy Williego małe obłoczki, a jego wzrok skierowany był w jakieś odległe miejsce, którego poza nim nikt nie był w stanie dojrzeć. Willie robił to bardzo często -niezależnie od tego, gdzie się znajdował, potrafił uciec tam, gdzie nikt nie mógł go znaleźć.

Była zmuszona dwukrotnie powtórzyć jego imię, właściwie krzyknąć je, nim w końcu zamrugał powiekami i spojrzał na nią.

- O co chodzi? - zapytał zniecierpliwiony. Szczękające zęby i posiniałe z zimna wargi sprawiły, że z trudem wydusiła z siebie:

- Nie... nie chcę tego ro...bić. Śnieg jest z...zbyt ubity i oblodzony.

- Och, nie bądź tchórzem - powiedział, wykrzywiając usta. W tym momencie był trochę niemiły, ale czasami mu się to zdarzało. Pochylił się i chwycił poręcze. - Daj spokój, dobrze cię pchnę, a wówczas sama się przekonasz, na co naprawdę cię stać.

- Niiieee! - załkała, ale on już pchnął sanki. Jesionowe płozy popędziły po oblodzonym śniegu. Maddie krzyczała, po omacku szukając sznurka, za pomocą którego mogłaby kierować sankami, ale go nie wymacała. Wiatr sypał jej w oczy kłującymi lodowymi igiełkami. Saneczki kołysały się na koleinach i muldach, w końcu skrzyły w bok. Wychyliła się,

by złapać drążek sterowniczy, ale rękawiczki zsunęły się ze śliskiego drewna.

Kiedy spojrzała w górę, zauważyła jakby fruujące w jej stronę drzewa i kamienie otoczone wirującą bielą. Nie zobaczyła jednak głazu, w który uderzyła. W jednej chwili frunęła nad ziemią, a zaraz potem uderzyła o coś twardego. Sanki wystrzeliły w górę, wyrzucając ją w powietrze.

Wywinęła kilka koziółków i wylądowała plecami na kamieniach. Potem leżała, patrząc w błękitne niebo, na którym połyskiwały lodowe kryształki, i nie czuła niczego. Wiejący wiatr podzwaniał soplami zwisającymi z drzew.

Widziała, że jeden z nich złamał się i upadł na śnieg jak zamarznęte łyzy. Potem drzewa zasnęła gęsta mgła snu.

Dlatego w snach zawsze biegła.

Najpierw zobaczyła długi, prosty i smukły cień, przesuający się po lśniącym parkiecie.

Znajdowała się w bibliotece. Wraz z wózkiem inwalidzkim wcisnęła się w ogromne owalne okno wykuszowe, które wychodziło na ogród. W ciepłe wczesnoletnie wieczory, takie jak ten, była sobie w stanie wyobrazić, że jest tam, na zewnątrz, na miękkich trawnikach, i jak sarna biegnie między greckimi rzeźbami oraz kamiennymi wazonami, w których rosły pelargonie.

Ciężkie, wykonane z drewna orzechowego drzwi biblioteki cicho stuknęły, a potem pojawił się on - wysoki, szczupły, elegancki w czarnym, zapinanym na cztery guziki fraku z jedwabnymi klapami. Światło padające z wiszących na ścianach kinkietów z żółtymi jedwabnymi abażurami złociło jego włosy i rzucało przed nim długi cień. Maddie skuliła się w wózku, mając nadzieję, że zdoła ukryć się między półkami na książki i aksamitnymi zasłonami w kolorze wina, dzięki czemu on jej nie zauważy. Gdyby tylko, gdyby tylko, gdyby tylko mogła biegać...

On jednak miał dobry wzrok. Jego wodnistoszare oczy były w stanie wszystko wypatrzeć.

- Dlaczego się tu ukrywasz? - zapytał.

Podszedł, poruszając się z charakterystyczną dla siebie gracją. Był w domu, z pewnymi przerwami, od ostatniego polowania sezonu, mimo to w „Brzozach” zjawił się po raz pierwszy.

Pragnęła, żeby przyszedł, a jednocześnie wcale tego nie chciała. A teraz był. Czekala, aż powie coś o jej wózku inwalidzkim, kalectwie i zrujnowanym życiu, on jednak milczał.

Ostatni raz widziała go podczas przyjęcia ogrodowego w rezydencji na Hope Street. Miała wówczas zaledwie dwanaście lat i jeszcze mogła biegać. Była córką Bethel Tremayne, dlatego bez trudu potrafiła rozpoznać „kompromitującą scenę”, jeśli tylko ją zobaczyła. Stu Alcott był nietrzeźwy. Wypił brandy oraz kilka koktajli z szampanem i zaczął pływać po trawniku rzeźbą wykonaną z lodu - tak się składało, że tego lata była to mająca kształt łabędzia łódź. Pokonał nią trawnik, a potem zwodował i ją, i siebie do fontanny.

Jego ojciec i brat nie odezwali się ani słowem, właściwie zachowali się tak, jakby w ogóle nie dostrzegali fatalnego zachowania, ponieważ publiczne pogwałcenie etykiety najlepiej było zignorować, tak samo zresztą jak wszelkie inne niemiłe rzeczy. Na pretensje przyjdzie czas później, kiedy rodzina znajdzie się we własnym kręgu.

Stu stał na środku fontanny, a woda wsiąkała w poły jego surduta i eleganckie spodnie w kratkę. Miał mokre włosy i bardzo bladą twarz. Dziwne spojrzenie jego oczu skupiło się na Maddie.

- Maddie - powiedział, a w jego głosie słychać było prawdziwą rozpacz. - Jesteś na mnie zła, prawda, Maddie?

- Oczywiście, że jestem na ciebie zła, Stu - krzyknęła, nie rozumiejąc, dlaczego w ogóle pyta ją o to. Dlaczego zachowuje się tak, jakby zależało mu na jej dezaprobacie. - Jesteś wstrętny, źle wychowany i nienawidzę cię.

Czuła palące łyzy wstydu i rozczarowania. Wstydziła się za niego, wstydziła się jego zachowania, a równocześnie była rozczarowana samą sobą. Gdzieś w głębi duszy już wówczas rozumiała, że dziewczyna, którą Stu pewnego dnia pokocha, w tej chwili weszłaby do fontanny, by się do niego przyłączyć, tymczasem Maddie Tremayne nigdy taka nie będzie.

Następnego dnia, wbrew woli Stu, ojciec odesłał go do szpitala psychiatrycznego w Wharton, gdzie zamknięto go prawie na rok. A kiedy stamtąd wyszedł, nie wrócił już do domu.

Tamtego pamiętnego lata był dziewiętnastolatkiem. Wówczas uważała go za mężczyznę, obecnie jednak zdawała sobie sprawę,

że pod wieloma względami był wtedy jeszcze chłopcem. Krzykliwym chłopcem, tak bardzo pragnącym, by ktoś w ogóle go zauważył, że próbował zwrócić na siebie uwagę dwunastoletniego dziecka.

Przyjrzała mu się uważnie. Był wyższy, niż pamiętała, miał szerszą klatkę piersiową i mocniejsze ramiona, lecz z jego wąskiej twarzy zniknęła życzliwość i uśmiech. Pozostała jedynie dzikość.

Maddie zdała sobie sprawę, że nie tylko ona przygląda się Stu, on odplaca się jej tym samym. Opuściła wzrok na kolana, na których jej splecione ręce zacisnęły się w pięści. Wiedziała, że Stu widzi ją całą, a zatem dostrzega również kalekie nogi i wózek inwalidzki, nie powiedział jednak na ten temat ani słowa.

Kiedy w końcu zdobyła się na odwagę i znów na niego spojrzała, nie zauważyła w jego oczach ani cienia współczucia, a tylko zrozumienie i czułość, której z całych sił starał się nie ujawnić.

- No cóż, jeśli ja to robię - powiedziała - to ty również. Na jego twarzy pojawił się olśniewający uśmiech.

- Naprawdę?

Uniósł poły surduta i usiadł na znajdującej się w oknie wykuszowym ławeczce. Odchylił się do tyłu, oparł ramię o parapet i skrzyżował nogi.

- Oświeć mnie, drogie dziecko. Powiedz, co właściwie robimy? I, proszę, wmów mi, że przy okazji świetnie się bawimy.

- Ukrywamy się.

Udał, że jest rozczarowany.

- Och, o to ci chodzi... Prawdę mówiąc, wygląda na to, że popełniłem niewybaczalny błąd, nie tylko przybywając z ogromnym spóźnieniem, to jeszcze bez perłowszarych rękawiczek, niezbędnych podczas tego typu uroczystości.

Uniósł dłoń, by pokazać, że rzeczywiście nie ma rękawiczek. Przypuszczała jednak, że wcale ich nie zapomniał, raczej celowo zostawił je w domu, po to tylko, by zachować się na przekór ogólnie przyjętemu obyczajom.

- Geoffrey tak krzywo na mnie popatrzył - wyjaśnił Stu - że nie tylko istniało poważne zagrożenie dla jego wspaniałych rysów twarzy, lecz również uraziło to moją wrażliwość. Dlatego

też... - Ponownie się uśmiechnął, a w tym uśmiechu widać było całą chłopięcą niegodziwość - ...jestem tutaj.

- Jesteś tutaj - zawtórowała, starając się, by jej słowa zabrzmiały pogodnie i wesoło, równocześnie próbując się uśmiechnąć i w rezultacie bez wątpienia wywierając na nim wrażenie żalostnej idiotki. A więc w końcu wrócił i znów są wszyscy razem. Wszyscy, lecz to ona zmieniała się najbardziej. A Willie po prostu zniknął.

Jeśli chodzi o Stu i Geoffreya, nigdy nie byli ze sobą w dobrych stosunkach, a zatem teraz istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że coś się między nimi zmieni, ponieważ obaj byli już mężczyznami, a ojciec wszystkie pieniądze zostawił Geof-freyowi.

Z tego, co słyszała, Stu nie mieszkał w rezydencji na Hope Street, lecz wynajmował pokój w hotelu „Belweder”. Maddie z trudem przypominała sobie to miejsce. Kojarzyło jej się z wykruszonymi ceglanyimi stopniami i pomalowanymi na zielono, łuszczącymi się, wypaczonymi drzwiami, zza których dobiegał zapach zwietrzałego piwa. Ale być może pamięć płata jej figle. Maddie przecież w ogóle nie opuszcza domu. Początkowo jej na to po prostu nie pozwalano. Zakazu nie odwołano do dziś, ale teraz wcale już nie chciała wychodzić.

- No cóż - powiedział. - Twoja ciekawość została zaspokojona. Teraz kolej na mnie.

Poruszyła się niespokojnie w wózku, zupełnie jakby Stu potrząsnął nią, by ją obudzić. Jej myśli bujały gdzieś w przestworzach. Ostatnio wydawało jej się, że dzieje się to coraz częściej. Czasami biała mgiełka snów zasnuwała spojrzenie Maddie, nawet kiedy dziewczyna nie spała.

Wiedziała, że patrzy teraz na Stu zaokrąglonymi oczami i mruga jak sowa złapana w snop światła.

- Dlaczego przyczaiłaś się w bibliotece? - powtórzył. Zaciśnęła palce na brzegu pledu, który okrywał jej kolana.

- Mama mówi, że wózek inwalidzki niepotrzebnie zwraca uwagę na moje kalectwo i przynosi wstyd rodzinie. - Podniosła rękę z kolan, potem bezradnie ją opuściła. - Goście czują się nieswojo... ponieważ zmuszeni są do uczestniczenia w naszym nieszczęściu. Tak czy inaczej, to po prostu nie przystoi.

Stu napiął wszystkie mięśnie i zamarł w bezruchu. Maddie

zdała sobie sprawę, że popełniła nietakt towarzyski, wspominając o kalectwie.

- Nie przystoi? - zapytał, a w jego głosie wyraźnie słychać było napięcie. Gors koszuli frakowej cicho zaszeleścił, kiedy Stu pochylał się, by przyjrzeć się Maddie. Uniósł jasną brew. -Nie miałem żadnego problemu z uzyskaniem zaproszenia. Skoro jest tak, jak mówisz, to jeszcze dzisiejszego wieczoru powinienem sprawdzić, kiedy ci ludzie naprawdę zaczynają czuć się nieswojo; prawdę mówiąc, w tej chwili uważam to wręcz za swój święty obowiązek. Sądzę więc, że spiję się do nieprzytomności, rzucę się do wazy z ponczem i nasikam na fortepian.

- A potem?

- O co ci chodzi?

- Co zrobisz, gdy wprawisz gości w zakłopotanie i zepsujesz mamie przyjęcie? Czy znowu wyjedziesz?

- Wyniosę się stąd, gdy tylko uda mi się wyciągnąć z mojego sknerowanego brata więcej pieniędzy. - Machnął ręką jak ptak skrzydłem. - Ucieknę daleko, daleko stąd.

Kątem oka Maddie dostrzegła za oknem ruch. Emma i Geoffrey spacerowali pod rękę po wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce. Padające przez drzwi salonu światło załało ich złocistym blaskiem. Stożące wokół nich treliAZE z chińską wistarią sprawiały wrażenie altanki ślubnej.

W czasie, kiedy Maddie ich obserwowała, Geoffrey zdjął rękę Emmy ze swego ramienia i odwrócił dziewczynę tak, że stanęli twarzą w twarz. Geoffrey trzymał jej dłoń, oboje patrzyli na siebie. Chociaż Maddie widziała jedynie biały owal twarzy siostry, była pewna, że widać na niej uwielbienie. Poza tym, jak zwykle, Emma była oszalamiająco piękna.

Maddie poczuła piekącą zazdrość, która zżerała ją jak kwas. Chciała, tak bardzo chciała... Chciała mieć twarz Emmy i jej nogi. Och, przede wszystkim jej nogi, bo to właśnie one pozwalały jej w letni wieczór spacerować z mężczyzną po ogrodzie, tańczyć z nim na balu zaręczynowym, a w dniu ślubu przejść przez główną nawę, by spotkać się z nim przy ołtarzu. Maddie pragnęła życia, które już wkrótce stanie się udziałem Emmy: rezydencji przy Hope Street, uwielbiającego, bogatego męża oraz przepelnionego podziwem towarzystwa ścielącego się do jej stóp.

Nieważne, że Maddie kochała siostrę, chociaż naprawdę tak było. Miłość nie potrafiła przeszkodzić pałacej zazdrości. Maddie pragnęła wszystkiego, co miała Emma, a czego ona sama nie mogła mieć.

Młodszy z braci Alcottów odwrócił głowę, by przyjrzeć się Emmie i bratu. Maddie zastanawiała się, co odczuwa Stu, widząc tych dwoje razem, błogo nieświadomych, jak idealne jest ich życie. Czy jest zazdrosny, a może zrezygnowany lub zadowolony?

Stu oderwał wzrok od czarującej pary i odwrócił się z powrotem do Maddie. Przestraszyła się, że uda mu się wyczytać z jej twarzy rozgoryczenie i ból.

- Wyglądają, jakby zostali dla siebie stworzeni, prawda? - powiedziała odrobinę za głośno, a jej słowa rozległy się echem w wyłożonym boazerią pokoju.

Zrobił okrągłe oczy, udając zdziwienie.

- Ach, tylko czy to prawda?

- Wygląda na to, że się kochają.

- Geoffrey ją kocha, przynajmniej tak mówi, i tym razem mu wierzę. - Uśmiechnął się do niej, a oczy Maddie zasnuły się łzami. - Prawdę mówiąc, jego miłość jest w stanie doprowadzić człowieka do szału, zarówno w dosłownym, jak i przenośnym znaczeniu tego słowa.

Przez chwilę milczał, a potem leciutko wzruszył ramionami.

- Pozostaje pytanie, czy ona również namiętnie go kocha. Jeśli mężczyzna nie zdoła rozbudzić namiętności w kochanej przez siebie kobiecie, oboje skazani są na przegraną.

Ale nigdy nie będą tak przegrani, pomyślała Maddie, jak właścicielka kalekiego, bezużytecznego ciała, które nie jest w stanie w ukochanym człowieku rozbudzić niczego poza współczuciem. Lub, jeśli kiedykolwiek coś się dla niego znaczyło, odrobiną żalu.

W oczach Maddie zebrało się więcej łez. Odwróciła twarz i spojrzała na czubki wystających spod pledu kapci.

Poczuła, że biała mgiełka ponownie zaczyna zasnuwać jej umysł, i tym razem była z tego zadowolona.

W chwilę później ocknęła się, ponieważ Stu wychylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Przysunął się tak blisko, że ich twarze niemal się dotykały.

- Czyżbyś coś paliła? - zapytał.

- O czym ty mówisz?

- Przez chwilę twoje oczy przypominały dwie czarne dziury, zupełnie jakby coś je wchłonęło. Poza tym, chociaż przez cały czas przytakiwałaś, ani na chwilę nie przestawałaś dryfować myślami gdzieś w przestworzach.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że włosami musnął jej policzek. Pociągnął nosem.

- Na Boga, to wodzian chloralu. Podejrzewam, że ten kono-wał, wuj Stanton, raczy cię nim jak cukierkami.

Próbowała się odsunąć, ale ograniczało ją oparcie wózka.

- Używam tego lekarstwa ze względu na ból nóg - powiedziała łamiącym się głosem. - W twoich ustach zabrzmiało to tak, jakby... Przecież to nie grzech.

Potrząsnął głową.

- Maddie, dziecinko, wiem wszystko o wodzianie chloralu. Dawali mi go, gdy byłem w domu wariatów. - Odrobine się odsunął, lecz nadal przewiercał ją na wylot badawczym spojrzeniem. - Działa w taki sposób, że kiedy opuściłem Wharton, musiałem przejść w świat wspanialszych i słodszych snów. Być może następnym razem, kiedy przyjdę cię odwiedzić, przyniosę ze sobą moją fajeczkę i razem będziemy mogli odpłynąć na białej chmurce radości.

Nie wiedziała, o czym mówi Stu, zdawała sobie jednak sprawę, że chodzi o coś niegodziwego. Spojrzała na niego, bojąc się go, a równocześnie kochając. A potem przez ułamek sekundy zauważyła szparę w cieniach zasnuwających jego jasnoszare, pozbawione wyrazu oczu i zajrzała w głąb duszy Stuarta Alcot-ta. Poczula, że serce jej pęka na widok istniejącego tam bólu i poczucia klęski.

To samo widziała w oczach Williego, zanim popełnił samobójstwo, zanim doprowadziła go do tego, że postanowił się zabić. Nigdy bowiem nie byli w stanie rozmawiać o tym, co wydarzyło się tamtego okropnego zimowego dnia. Chociaż unikali tego tematu, Willie musiał zajrzeć w jej serce i dostrzec niemiłą prawdę: że Maddie nigdy nie zdoła wybaczyć mu tego, co jej zrobił.

Willie odszedł, przepadł na zawsze, ale Stu był tak blisko, że mogła go dotknąć, dlatego zrobiła to. Położyła dłoń na jego

udzie. Przez materia! eleganckich spodni poczuła jędrne, ciepłe męskie ciało.

- Dlaczego taki jesteś? Co się stało, Stu? - spytała, niezbyt pewna, co właściwie ma na myśli. Czy w rzeczywistości pytanie nie dotyczy również tego, co przydarzyło się jej samej, co stało się im wszystkim?

Położył dłoń na jej ręce i lekko ją uściskał. Maddie czuła drżenie swej dłoni i nie mogła pozbyć się wrażenia, że w tej chwili jej ręka jest zupełnie oddzielną częścią ciała, kierującą się własną wolą.

- Tak samo jak ty, Maddie, upadłem. Upadłem i bardzo, bardzo się potłukłem.

- Ale... - Poczowała, że do oczu napłynęły jej łzy. Potoczyły się po policzkach jak ciepłe krople letniego deszczu. - Ale przecież możesz spróbować się podnieść.

Wstał i zaczął ją obchodzić. Nagle zatrzymał się obok wózka. Jego dłoń zawisała na moment nad głową Maddie, jakby miał zamiar pogłaskać ją po włosach, potem jednak opuścił rękę i delikatnie, bardzo delikatnie dotknął czubkami palców policzka dziewczyny.

- Niektórzy z nas nigdy nie zdołają się podnieść - powiedział tak cicho, że ledwo go słyszała. - Tak samo jak niektórzy nigdy już nie będą chodzić.

Wydawana tego wieczoru w „Brzozach” kolacja miała bardzo oficjalny charakter.

Na stole ustawiono poncz oraz cukierki w srebrnych koszyczkach, porozmieszczanych między gregoriańskimi kandelabrami. Ozdobę stanowiły róże i włoski złotowłos. Największą sensację wzbudziły srebrne róże od Tiffany'ego. Menu wypisane zostało na kartach o pozłacanych brzegach. Wszystkie delikatesy - ostrygi, kuropatwy, homary, smażone kurczęta w sosie kaparowym i dwunastojajeczne suflety - przepijano szampanem i winem rozlanym do butelek jeszcze przed rewolucją francuską.

Uroczystość odbywała się przy stole należącym niegdyś do jednego z angielskich królów z dynastii Tudorów, w pomieszczeniu, którego wybite jedwabiem ściany i żłobione kolumny udekorowane zostały złotymi liśćmi. Z sufitu zwisał masyw-

ny, odlany z brązu żyrandol przystrojony girlandami jak weselny tort.

Sala ta miała jedną cechę szczególną, którą goście ignorowali ze względu na dobre maniery i szacunek dla gospodyni. Nad czarnym, wykonanym z drewna orzechowego gzymsem wisiał ogromny obraz olejny, przedstawiający należącą do rodziny rezydencję na Kubie - to tam właśnie mieszkał obecnie William Tremayne wraz ze swoją kochanką. Przynajmniej w przerwach między szalonymi przyjęciami, które wydawał na jachcie.

Obraz ten mógłby zostać zastąpiony jakimś aktem, a Geoffrey Alcott i tak by tego nie zauważył. Jego oczy ani na moment nie odrywały się od kobiety, która miała zostać jego żoną. Emma nigdy nie wydawała mu się piękniejsza ani promienniejsza niż tego wieczoru. Geoffrey odczuwał dumę, że kobieta, której bez przerwy szukają wzrokiem wszyscy obecni na sali mężczyźni, należy właśnie do niego.

Tego wieczoru wyglądała szczególnie ponętnie. Miała na sobie jasnozieloną, uszytą z rozszywanego koronkami jedwabiu suknię, która odsłaniała jej ramiona oraz szyję... i być może nieco zbyt wiele piersi. Gdy zostanie już mężem Emmy, na pewno na to nie pozwoli. Inne siedzące przy stole kobiety miały na sobie ogromną ilość biżuterii, ale Emma włożyła jedynie otrzymany od niego pierścionek zaręczynowy. Połyskiwał na jej palcu jak okruch gwiazdy.

Kiedy uniosła do ust kieliszek z winem, Geoffrey bacznie ją obserwował. Widział, jak odchyła do tyłu głowę, odsłaniając nieprawdopodobnie długą białą szyję, a okrągłe, odsłonięte wzniesienia piersi unoszą się w chwili przełykania trunku.

Pragnął jej. Boże, jak jej pragnął! Tak rozpaczliwie, że czasami, kiedy był z nią sam na sam, całkiem się zapominał. Obawiał się, że spłoszy ją pocałunkiem, ale właśnie tego należało się spodziewać. Mężczyzna powinien zdawać sobie sprawę, że pragnienia i namiętności jego żony nigdy nie będą tak silne jak jego.

Ponownie zerknął na Emmę i tym razem ich spojrzenia spotkały się nad stołem. Geoffrey poczuł, że uśmiech zamiera mu na ustach. Tego wieczoru jej oczy sprawiały wrażenie jeszcze bardziej zmiennych niż zwykle i przypominały ciemną, niespokojną wodę morską.

Ilekcroć była właśnie taka, bardzo się martwił, ponieważ nie wiedział wówczas, o czym Emma myśli. Nie był w stanie przewidzieć, co za chwilę zrobi lub powie, dlatego czuł się tak, jakby byli dwoma źle zestrojonymi instrumentami, jakby on miał na myśli czern, podczas gdy jej chodziło o biel, on słyszał „tak”, kiedy ona mówiła „nie”.

Bardzo ją kochał; pragnął dać jej szczęście. Lecz ostatnio... ostatnio dość często nawiedzały go okropne myśli - wydawało mu się, że ciągle ją zawodzi.

Emma obserwowała, jak jej narzeczony je bulion z białego talerza z sewrskiej porcelany. Obserwowała, jak jego wargi rozchylają się i zaokrągłają, tak samo jak wówczas, kiedy ją całuje.

Wcześniej, kiedy wyszli na spacer do ogrodu, Geoffrey ją pocałował. Kiedy objął ją w pasie, przycisnął mocno do siebie i przywarł ustami do jej warg, miała ogromną ochotę przestać oddychać i poddać się. Rozpaczliwie chciała wierzyć, że ma wszystko, czego pragnie, i że jej wymarzoną mężczyzną jest właśnie Geoffrey. Wierzyć, że Geoffrey może być... kimś innym. Shayem. I Brią.

Nigdy nie dopuszczała do tego, by w jej myślach Shay i Bria występowali oddzielnie, ponieważ już wcześniej w swoim sercu przydzieliła im osobne miejsca. A to sprawiało, że była załamana i nieszczęśliwa, pełna pragnień, a równocześnie straszliwego, naprawdę straszliwego poczucia winy.

Kocham go.

Nie będę go kochać.

Nie mogła sobie pozwolić na tę nieodpowiednią, nie mającą żadnej szansy miłość. Nie mogła zdradzić najważniejszej na świecie osoby. Będzie musiała trzymać się od niego z daleka, a wówczas nikt nigdy się o tym nie dowie. To będzie sekret, który musi utrzymać, jeszcze jedna z tych rzeczy, o których nie wolno mówić ani myśleć. Ani czuć.

Niemal tydzień minął od czasu, kiedy po raz ostatni była w domku na Thames Street. Nigdy więcej tam nie pójdzie. Początkowo Bria będzie nad tym bolała, lecz koniec końców powinna dojść do wniosku, że Emmie Tremayne znudziła się zabawa w prostaczkę.

Bo jakże mogłaby iść do Brii i powiedzieć: ***Nie mogę już dłużej przebywać blisko ciebie, najdroższa i jedyna przyjaciółko,***

205

ponieważ tam, gdzie jesteś' ty, jest i Shay, a ja się w nim zakochałam. Kocham twojego męża.

Spojrzała na Geoffreya Alcotta. Swego narzeczonego. Tak samo jak zazwyczaj, również i tego wieczoru był nienagannie ubrany. Jego czarny frak jakimś cudem wyglądał na skromny, a jednocześnie kosztowny. Starannie dobrane, wykonane z czarnych pereł guziki kamizelki, spinki do rękawów i szpilka do krawatu były eleganckie, ale nie rzucające się w oczy. Emma słyszała, jak kilka minut temu matka mówiła do wuja Stanton, że Geoffrey jest tak solidny jak wzniesione z cegły ściany jego fabryk.

Emma doszła do wniosku, że nie ma prawa obwiniać Geoffreya o to, że jest właśnie takim człowiekiem, jakim powinien być.

Sięgając po wino, zauważyła, że matka marszczy brwi, odstawiła więc kieliszek. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania wolno było wypić dwa łyki do każdego dania, nie więcej, a wszystko wskazywało na to, że dzisiejszego wieczoru mama dokładnie liczy.

Bethel obwiesiła się taką ilością diamentów, że połyskiwała jak Mleczna Droga. Miała diamentowe pierścionki, diamentowe bransoletki, wysadzaną diamentami broszkę i diamentowy diadem. Najjaśniej jednak lśnił składający się z dwunastu rzędów diamentów naszyjnik, opadający kaskadą na jej piersi. Być może, pomyślała Emma z odrobiną znużenia i smutku, mama miała nadzieję, że ten blask zamaskuje dziury pozostawione w ich rodzinie przez tych, którzy uciekli. Albo zostali zmuszeni do trzymania się z daleka.

Mama zawsze potrafiła wywiązywać się ze swoich obowiązków, niezależnie od kosztów i tego, komu w ten sposób wyrządzała krzywdę. Emma usłyszała, jak babka Geoffreya szepnęła do pani Longworth, że poczucie obowiązku konserwuje Bethel Tremayne jak sól makrelę i że być może dzięki temu zdoła ona przeżyć ich wszystkich.

Emma zdawała sobie sprawę, że jej obowiązkiem jest wyjść dobrze za mąż, poślubić człowieka bogatego i być taką żoną, jaką solidny dżentelmen w rodzaju Geoffreya Alcotta z dumą będzie mógł prowadzić pod ramię. Wieść u jego boku takie życie, jakie zostało jej przeznaczone.

Do jej uszu dobiegły słowa Geoffreya. Swym spokojnym, łagodnym głosem informował siedzącego obok mężczyznę, że nadchodzące lato ma zamiar spędzić w Maine, budując odlewnię. Czy wspominał jej o tym? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Podczas minionej wiosny przekonała się, że ona i Geoffrey mogą spędzić wiele godzin w tym samym pomieszczeniu, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Oczywiście, będąc w towarzystwie, nikt nie rozmawia z mężem czy narzeczonym. Tak samo jak nie należy śmiać się z własnych niewinnych żartów, ziewać w kościele lub przyglądać się ludziom obcym - to po prostu nie przystoi.

Już wkrótce zamieszka w tym samym domu co Geoffrey. Razem będą chodzić na odczyty i spotkania towarzyskie, a co niedzielę wezmą udział w mszy, nigdy jednak nie zdobędą się na rozmowę o tym, co naprawdę się liczy. Emma będzie go bacznie obserwować, by zorientować się, co postanowił, ponieważ to właśnie od podjętych przez niego decyzji będzie zależało całe jej życie. Zgodnie z oczekiwaniami Geoffreya będzie musiała okazywać zadowolenie z wszystkich jego posunięć, a dzięki temu nie przestanie otrzymywać od niego sukni pochodzących od Wortha i biżuterii od Fabergego.

Jej rozwijające się według określonych reguł życie będzie przypominało kolorową, kręcącą się w kółko karuzelę, z której nie sposób się wyrwać ani pójść gdzie indziej. Nikt nie oczekuje, że ona i Geoffrey zapalają do siebie namiętą miłością. Namiętą miłość jest czymś niestosownym.

XVIII

Buty Brii trzeszczały na pełnym kamieni piasku, kiedy niespokojnie chodziła po plaży. Była cudowna majowa noc. Wiał ciepły i łagodny wiatr, nie na tyle jednak głośny, by zagłuszyć jej ciężki oddech.

Spacerowała tak już od godziny, krążąc tam i z powrotem, wydeptując własną ścieżkę. Od czasu do czasu zatrzymywała się i patrzyła na znajdujący się po przeciwnej stronie portu Poppasquash Point. Dzisiejszego wieczoru srebrny dom tonął w blasku lamp.

Trudno było wprost uwierzyć, że w tym blasku jest Emma, która z diamentami we włosach tańczy w złoconej sali balowej. Na pewno nie była to ta sama Emma, którą znała Bria, nie ta Emma, która razem z nią gotowała pościel i zbierała maliny. Która mówiła o zwierciadlanym odbiciu i podczas płaczu trzymała ją za rękę.

Nie widziała Emmy od tygodnia i chwilami rozmyślała, co się stało. No ale w końcu Emma ma swoje życie, prawdziwe życie, jak Bria zwykła to określać. Życie pełne obowiązków i spotkań towarzyskich. Tańców w złoconych salach balowych, z diamentami we włosach.

Tylko... tylko Bria tak bardzo chciała, żeby teraz, właśnie w tej chwili Emma była z nią. By trzymała ją za rękę, jeśli ogarnie ją chęć do płaczu.

Nagle ciało Brii przeniknął ból, który objął cały brzuch. Przerwała chodzenie i zaczęła płytko oddychać.

Dziecko urodzi się jeszcze tej nocy.

Dziecko. Co za dziwna sprawa, pomyślała Bria, że w ostatecznym rachunku zawsze jest tak samo - owocem zarówno miłości, namiętności, jak i gwałtu oraz prostytucji jest rosnące w brzuchu kobiety dziecko.

Kiedy sędzia pokoju przerzucił ją przez kamienny murek i wziął jak pies, wybrała się z pielgrzymką do świętego miejsca w Slea Head. Tam wypła wodę ze świętej studni i modliła się, błagając Boga o krwawienie. Przywiązała swój różaniec do magicznego krzewu ciemnego i trzykrotnie obeszła krzyż z twarzą zwróconą na wschód, błagając Boga o krwawienie. Robiła to przez trzy dni, a ostatniego dnia zaczęła krwawić, dzięki temu wiedziała, że podczas gwałtu nie zaszła w ciążę. Tym razem jej się udało.

Teraz, w trzy lata później, modliła się o coś innego. Modliła się, by Bóg obdarzył jej dziecko czarnymi włosami i zielonymi oczami ojca... który być może wcale nie jest jego ojcem.

Jego ojciec - a raczej mężczyzna, który może być ojcem - miał jasne włosy i szare oczy. Tylko tyle pamiętała, nie potrafiła przypomnieć sobie jego twarzy. Ilekroć próbowała to robić, przed oczami stawała jej uśmiechnięta, pomalowana na białą twarz kłowna. Twarz kłowna z wodewilowego kalendarza, który wisiał na drzwiach Castle Garden.

Castle Garden - miejsce, przez które musieli przejść wszyscy imigranci pragnący dostać się do Nowego Jorku, do Ameryki. To miejsce było niesamowitą mieszaniną zapachów. W powietrzu unosiła się woń mocno zaprawianej czosnkiem kiełbasy, która wystawała z siatki jakiejś starszej kobiety. Młoda matka przystawiająca niemowlę do piersi pachniała mlekiem. Czuć było również szkraba, który zabrudził majtki.

Zewsząd dobiegały dźwięki. Dzwonki, gwizdki i trąbki. Krzyki złości, strachu i radości, słowa we wszystkich możliwych językach. Odbijały się echem od sufitu ogromnego, okrągłego, zbudowanego z piaskowca budynku. Roilo się tam od mężczyzn w niebieskich ubraniach, popychających i ustawiających imigrantów w kolejkach. Było mnóstwo kolejek i pytań. Skąd pani jest? Dokąd pani jedzie? Czy ma pani tu rodzinę? Czy czeka na panią praca?

Bria cieszyła się, że na wszystkie pytania może udzielić twierdzących odpowiedzi. W Ameryce przebywali jej mąż i brat. W Bristolu na Rhode Island czekał na nią dom. Mąż od dwóch lat pracował na polach cebulowych, a miesiąc temu wysłał jej amerykańskie pieniądze. Zapłaciła nimi za bilet dla siebie oraz obu dziewczynek i takim oto sposobem znalazła się w Ameryce.

Mogąc odpowiedzieć potakująco na wszystkie pytania, Bria czuła się pewnie, dopóki nie stanęła w kolejce, w której czekało się na badanie lekarskie.

Lekarze opukiwali przybyłym klatki piersiowe i osłuchiwali płuca, używając w tym celu maleńkiego instrumenciku, składającego się z metalowej trąbki i gumowych rurek. Kobietom kazali odwijać szale i rozpinąć sukienki. Niektóre z nich były onieśmiałe, inne bardzo się wstydziły, ale musiały wykonać polecenie.

Kolejka ciągnęła się w nieskończoność. Ludzie stali i stali, co jakiś czas przesuwając się do przodu o kilkadziesiąt centymetrów. Noreen trzymała Brię za rękę, ściskając ją tak mocno, że aż bolało. Meny zaciskała piąstkę na spódnicy matki. Bez ustanku nuciła jakąś piskliwą melodię, mogącą świadczyć o tym, że dziewczynka się martwi. Kiedy w końcu dotarły na przód kolejki, zobaczyły lepiej, co tam się dzieje. Lekarze badali rodzinę, która podobno przypląnęła z Rosji. Kobiety owinięte były w obszyte frędzlami sza-

le, a na głowach pozawiazywały chustki. Mężczyźni mieli na sobie ozdobione warkoczami kamizelki z ogromnymi guzikami w kształcie oliwek. Na plecach jednej z Rosjanek ktoś napisał kredą literę „E”. Wszystko wskazywało na to, że cała uwaga lekarzy skupia się na tej właśnie kobiecie.

Nagle Rosjanka głośno załkała, a potem zaczęła szlochać, załamując ręce i rozdzierając ubranie. Wzdłuż kolejki przebiegły pełne przerażenia wielojęzyczne szepty.

Została odrzucona... Jest niewidoma... Nie chcą jej tutaj...

Strach ścisnął żołądek Brii tak bardzo, że o mało nie zwymiotowała. Za chwilę osłuchają jej klatkę piersiową i usłyszą, co dzieje się w płucach, a wówczas ją odrzucą, nie będą jej tu chcieli. Wyrwą jej dzieci z rąk, a ją samą odeślą statkiem z powrotem do Irlandii. Już na zawsze zostanie oddzielona od Shaya, będzie musiała umrzeć w samotności.

Kiedy przyszła kolej na nią, kręciło się jej w głowie i niemal oślepla ze strachu. Jeden z lekarzy zbadał jej oczy, sprawdzając, czy nie ma jakiejś choroby. W tym celu odwrócił jej powieki - był to bardzo bolesny zabieg. Bria czekała, kiedy usłyszy: ***Odrzucona, odrzucona, odrzucona...*** Wówczas lekarz wziął do ręki instrument do osłuchiwania klatki piersiowej.

- Proszę się porozpinać. Bluzkę, bieliznę i gorset, jeśli ma pani coś takiego - powiedział najzimniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała. Innych kobiet nie proszono o rozchylanie bielizny, Bria więc doszła do wniosku, że podejrzewają ją o siejącą spustoszenie chorobę. Tak samo jak podejrzewali tę starą Rosjankę, że jest niewidoma. Drżącymi rękami Bria rozpięła haftki i rozwiązała tasiemki, lecz lekarz nie przyłożył do jej piersi swego instrumentu, natomiast położył na niej rękę. Potarł kostkami palców wzniesienia piersi, obrysowując ich kształt. Bria uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i zorientowała się, o co mu chodzi, zanim jeszcze się odezwał.

- Czy to, co mówią o was, irlandzkich dziewczętach, jest prawdą? - zapytał. Urządzenie do osłuchiwania klatki piersiowej zwisało mu z drugiej ręki, a małeńka trąbka kołysała się jak wahadło, w prawo i w lewo, w prawo i w lewo. - Czy rzeczywiście masz w sobie taki ogień jak na głowie?

Bria usłyszała własny, z trudem przeciskający się przez gardło

oddech. A potem z jej piersi wyrwał się głośny, męczący kaszel, który zabrzmiał okropnie nawet w jej własnych uszach.

Metalowa trąbka ponownie zakołysała się w prawo i w lewo.

- Jesteś chora na suchoty? - Powiedział to jak pytanie, lecz w rzeczywistości jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie. Bria rozpięła następny guzik bluzki. Odwróciła się i wsunęła pierś w dłoń lekarza, lecz poczuwszy twardniejącą pod jego palcami brodawkę, zadrżała i gwałtownie się cofnęła.

Westchnął i opuścił rękę.

- Suchoty to choroba zakaźna - powiedział. - Mam obowiązek zgłaszać do Ministerstwa Zdrowia wszystkie tego typu przypadki. Wcale nie jest wykluczone, że zostaniesz deportowana.

- A jeśli... - Jej głos brzmiał szorstko, ale uniosła jego dłoń i z powrotem położyła ją na własnej piersi. - A jeśli pan tego nie zgłosi?

- Chodź ze mną - polecił. Tylko tyle, nic więcej. Ale w końcu wcale nie potrzebował mówić nic więcej.

- Moje córeczki - zdołała szepnąć, tak przytłoczona wstydem i strachem, że z trudem oddychała.

Lekarz odwrócił się do kobiety, która stała za biurkiem i notowała wszystko w ogromnym, oprawionym w czarną skórę rejestrze. Bria wbiła wzrok w podłogę, dlatego widziała jedynie czarne buty i obrębek granatowej spódnicy tej osoby.

- Panno Spencer - powiedział lekarz. - Muszę dokładniej zbadać tę kobietę. Proszę dać jej irlandzkim córeczkom miętowe cukierki i dopilnować, by się stąd nie oddaliły.

Bria poszła z nim do małego, odosobnionego pokoju, w którym stało mnóstwo biurek i drewnianych skrzyń.

Odwróciła się twarzą do otwartych drzwi, rozpaczliwie pragnąc przez nie wybiec. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić.

Spojrzała w stronę kolejki, w której sprawdzano, czy imigranci nie mają wszy. Jakiejś kobiecie przed chwilą obcięto włosy tuż przy samej skórze. Stała zawstydzona, drżąc od stóp do głów, z zaciśniętymi mocno oczami, a w chwili kiedy Bria patrzyła, jakiś mężczyzna podniósł wiadro z rozpuszczoną w wodzie siarką i wylał ten roztwór na głowę kobiety.

Czyjaś ręka dotknęła szyi Bria.

- Mam nadzieję, że zarazi się pan ode mnie - powiedziała. - Mam nadzieję, że pan od tego zgnije.

Roześmiał się.

- Dziewczyno, jedyną rzeczą, którą mogę chwycić podczas pieprzenia się z tobą, jest syfilis. - Znów się roześmiał i z cichym trzaskiem zamknął znajdujące się za nim drzwi. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą widać było ogoloną głowę imigrantki, pojawiła się uśmiechnięta, pomalowana na biało twarz kłowna na wodewilowym kalendarzu.

Kiedy Bria stamtąd wyszła, wiedziała, że nigdy nie powie

o tym, co się wydarzyło, nie przyzna się, co pozwoliła sobie zrobić. Ani Shayowi, który już i tak ugiął się pod ciężarem wstydu z powodu tego, co musiała przez niego przejść. Ani Bogu, którego przykazanie właśnie złamała. Jeśli bowiem kobieta oddaje się mężczyźnie nie będącemu jej mężem, nie jest ważne, czy robi to w zamian za pieniądze, czy dokumenty imigracyjne - w oczach Matki Kościoła jest to taki sam grzech. Bria McKenna postąpiła jak prostytutka.

Mocno ściskając w ręce dokument, przeszła wraz z dziewczynkami przez ogromne, ozdobione kolumnami wejście do Castle Garden i znalazła się na ulicy pełnej ludzi, popychanych przez nich wózków ręcznych i wozów. Nie miała pojęcia, w jaki sposób w tym tłumie zdołała znaleźć Shaya. Nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że wszystko na nic - niepotrzebnie popełniła grzech i naraziła się na wstyd. Tym razem kara boska będzie natychmiastowa i okrutna - Bria już na zawsze pozostanie z dala od męża, ponieważ nie zdoła znaleźć go w tej Ameryce, za wstęp do której musiała zapłacić tak wysoką cenę.

Obracała się wokół własnej osi, aż zakręciło jej się w głowie

I bliska była krzyku. Co chwilę wydawało jej się, że ktoś woła jej imię, lecz za każdym razem, kiedy spoglądała w stronę głosu, widziała jedynie twarze obcych ludzi. W końcu dostrzegła Do-nagha, ponieważ jego czarna sutanna rzucała się w oczy na tle kolorowego tłumu. A po chwili pojawił się również Shay. Znalazła się w jego ramionach. Usłyszała, że powtarza jej imię, tylko imię, lecz zabrzmiało to bardzo dziwnie. Szubieniczny sznur odebrał mu piękny głos.

Mocno ją pocałował, a ona przez jedną okropną chwilę miała wrażenie, że zwymiotuje, lecz potem rozpaczliwie przywarła do niego. Przytulała się do męża przez całą pierwszą po tak długiej

rozłące noc, zupełnie jakby nigdy już nie miała zamiaru go puścić.

Brutalne, szorstkie ręce lekarza jedynie brały, a czułe dłonie Shaya nastawione były na dawanie. Efekt jednak był taki sam -obaj mężczyźni zostawili w niej swoje nasienie.

Takim oto sposobem pierwszego dnia pobytu w Ameryce zaszła w ciążę.

Owocem będzie dziecko, które już wkrótce urodzi się tu, w Ameryce.

Bria wzięła głęboki wdech, ponieważ jej plecy i brzuch ścisnął nowy ból. Skurcze nie były jeszcze regularne ani zbyt mocne. Wyglądało na to, że syn wcale nie spieszy się z przyjściem na świat.

Ból był jednak tak dokuczliwy, że Bria przestała chodzić i oparła się o filar pomostu. Zamknęła oczy i rozmasowała plecy.

Kiedy uniosła powieki, zobaczyła przed sobą bladą twarz męża.

- Shay - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. - Zaczyna się poród.

- Widzę. - Uśmiechnął się, chociaż na jego twarzy widać było niepokój. - Jak sądzisz, kiedy ono się urodzi?

- Och... Zostało jeszcze kilka godzin.

Objął ją delikatnie i zaczął prowadzić w stronę domu.

- Może to i prawda, ale będę spokojniejszy, jeśli zdołam bezpiecznie doprowadzić cię do domu i położyć do łóżka.

Chociaż to dziecko rybaka, uważam, że urodzenie go na plaży byłoby chyba przesadą, nie sądzisz?

Dziecko rybaka.

- Shay. - Chwyciła go mocno za ramię i obróciła twarzą do siebie. - Obiecuj mi, że będziesz kochał to dziecko, niezależnie od tego, co się zdarzy.

- Briu... - Imię żony wyrwało mu się z piersi jak szloch. Ujął jej twarz w swe olbrzymie dłonie, a potem słodko i czule musnął wargami usta Bria.

Przytuliła się do niego i ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi. Oddychała tuż przy ciepłej skórze Shaya, czując sól i tak charakterystyczny dla niego męski zapach.

- Przyrzeknij - powiedziała.

Podniósł ręce do góry, wplótł palce we włosy Brii i odchylił do tyłu jej głowę, by mogła zobaczyć w jego oczach obietnicę.

- Będę kochał to dziecko. Już je kocham.

- Czy zrobisz dla mnie coś jeszcze?

Pochylił się, oparł czoło o jej głowę i potarli się nosami.

- Jesteś wspaniała. Najpierw przez dłuższy czas gromadzisz życzenia, a potem wyrzucasz je z siebie jedno za drugim, wykorzystując to, że w tej chwili zrobiłbym dla ciebie wszystko. Chciałbym, żeby wyrosły mi anielskie skrzydła, a wówczas pofrunąłbym do nieba, by przynieść ci księżyc.

- Wyglądałbyś nieco dziwnie z anielskimi skrzydłami, Sea-musie McKenno, masz w sobie zbyt dużo z diabła. A poza tym co ja bym poczęła z księżycem?

Roześmiał się i pocałował ją w usta.

- Kocham cię, żono.

Ruszył z nią w stronę domu. Szli powoli, ramię w ramię, ponieważ Bria była ociężała i niezdarna, a mokry po przypiływie, pełen kamieni piasek rozsuwał się pod ich stopami. Poczula, że zbliża się kolejny ból. Narastał gwałtownie w głębi ciała.

- W takim razie jedź po pannę Tremayne - powiedziała. -Przywieź ją, żeby była przy porodzie.

Mocniej objął ją w talii i, ku jej zaskoczeniu, ból minął.

- Czy ona nie jest na to zbyt wielką damą? - zapytał. - Po co ci ona?

Nie, mimo wszystko ból się zbliżał i Bria czuła, że będzie gorszy niż poprzedni.

- Jest moją najlepszą przyjaciółką. Dlatego właśnie tej nocy powinna tu być. Siedzieć u mego boku.

- Jest tak dobrą przyjaciółką, że nazywasz ją „panną Tremayne”...

Ból był mocny jak uderzenie huraganu. Chciała, żeby Emma trzymała ją za rękę, by pomogła jej opanować łzy.

- Przyrowadź ją do mnie, Shay. Proszę... Jest mi bardzo potrzebna.

Emma Tremayne wyszła z jadalni, czując, że się dusi. Zupełnie jakby spędziła cały wieczór zamknięta w bieliźniarce,

przyciśnięta pachnącą zwietrzałymi perfumami i kulkami kamforowymi stertą jedwabiu, atlasu i tafty. Mężczyźni zostali na cygaro i kieliszek brandy, natomiast panie przeszły do salonu, by kontynuować konwersację. Emma doszła do wniosku, że nie zdoła tego znieść. Goście spodziewali się, że gdy mężczyźni przyłączą się do pań, Emma zagra na fortepianie i zaśpiewa z Geoffreyem duet miłosny, chociaż nigdy nie wykazywała szczególnych zdolności do śpiewu i gry. Jeśli istotnie do tego dojdzie, wszyscy będą na nią patrzeć. Sama myśl o tym wydawała się jej nie do zniesienia. Emma zatrzymała się nagle na środku salonu, nie będąc w stanie wykonać następnego kroku ani zaczerpnąć powietrza. Tak mocno chwyciła w palce swą zieloną szyfonową suknię, że aż zadrżała, a jej dłonie ścisnęły się.

- Emmo? Co się dzieje?

Pojawiła się przed nią twarz matki. Emma zamknęła oczy i przytknęła wierzch dłoni do policzka.

- Słabo mi - powiedziała, starając się, by jej głos drżał i brzmiał bardzo niepewnie. Dobry ton wymagał, by kobiety od czasu do czasu mdlały - miało to świadczyć o ich delikatności i zachęcać mężczyzn do wykazywania się opiekuńczością. Mama zawsze mdlała. - Chyba... chyba powinnam się na chwilę położyć.

- No cóż, dobrze, skoro musisz. Nie możemy dopuścić do tego, żebyś urządziła tu jakąś scenę - rzekła Bethel. Sprawiała wrażenie rozdrażnionej, mimo to Emma z ogromną ulgą stwierdziła, że matka jej wierzy. - W takim razie przepraszę wszystkich w twoim imieniu.

- Dziękuję mamie - powiedziała Emma, starając się, by jej słowa przypominały raczej westchnienie. Odwróciła się i, chociaż miała ogromną ochotę wybiec, wolnym krokiem przeszła przez przesłonięte aksamitną kotarą drzwi.

Znajdowała się w połowie dębowych schodów, kiedy ktoś zaczął stukać do drzwi. Odwróciła się i omal nie upadła. Mocno chwyciła się poręczy. Nie miała żadnych powodów, by myśleć, że to on, niemniej wiedziała, że tak jest, była tego pewna.

Zeszła schodami powoli, ponieważ miała wrażenie, że jej nogi są sztywne jak stara skóra. Czuła niespokojne bicie włas-

nego serca. Długo wpatrywała się w ogromne hebanowe, kasetonowe drzwi, a kiedy w końcu je otworzyła, stanęła twarzą w twarz z Shayem McKenną.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem szepnął zdartym głosem:

- Moja żona...

Te słowa zabrzmiały jak echo tamtej nocy, dlatego Emma zdumiała się, gdy za jego plecami ujrzała usiane gwiazdami niebo.

- Bria zaczęła rodzić i prosi, żeby pani przyszła. Ogarnięta emocją Emma nie była w stanie wykonać ruchu ani się odezwać. Bria rodzi. Prosi, żeby Emma przyszła. Chce mieć ją przy sobie. Emma natychmiast zapomniała, że kierując się honorem, postanowiła trzymać się z daleka. Jeśli Bria prosi o przyjście, to pójdzie. Dzisiejszej nocy niczego jej nie odmówi.

Usłyszała dobiegające z salonu głosy. Zrobiła krok w stronę Shaya i zamknęła za sobą drzwi. Balsamiczne morskie powietrze musnęło jej gołą skórę. Słyszała, jak woda zatoki szmerze na nabrzeżnych głazach. Shay z trudem oddychał; był spocony.

- O Boże, czy to już...? Biegł pan całą drogę?

- Jasne. Chociaż właściwie sam nie wiem, o czym myślałem i po co zdzierałem sobie buty, skoro mogłem dotrzeć tutaj własnym, zaprzęgniętym w czwórkę gniadych koni powozem z połączonym herbem na drzwiach. - Zerwał z głowy kapelusz i przeczesał włosy palcami. - Najgorsze bóle właśnie się zaczęły, a Bria nie lubi zwlekać przy takich okazjach. A zatem idzie pani czy nie?

- Czy nie powinniśmy... Jest tu mój wuj. To lekarz i... Chwycił ją za rękę tuż nad obszywanym perełkami brzegiem rękawiczki, jakby chciał ją powstrzymać przed spoglądaniem do wnętrza domu, chociaż nawet się nie poruszyła. Jego dłoń pokryta była zgrubieniami.

- Nie, nie chcemy żadnego lekarza - oświadczył. - Bria śmiertelnie się ich boi, a ja nie chcę, żeby jeszcze bardziej się denerwowała. Czy pani myśli, że w innym wypadku zjawiłbym się tutaj? Gdyby nie chodziło mi tylko o to, żeby była szczęśliwa? - Puścił rękę Emmy i cofnął się o krok. - Ale jeśli nie ma pani zamiaru zawracać sobie głowy i nie wybiera się do niej, proszę powiedzieć, a ja po prostu zniknę.

- Czy spodziewa się pan, że będę biegła bez mała pięć kilometrów? Może lepiej będzie, jeśli weźmiemy mój powóz? Co prawda nie ma na nim herbu, lecz będzie pan musiał się z tym pogodzić.

Wydawało jej się, że on się uśmiechnął.

- Ach, *Dhia*, ależ z pani dziwna osoba. Kiedy pomyślę... -Przerwał i potrząsnął głową. - Wcale tu nie przybiegłem. Pożyczyłem od Paddy'ego O'Donahue'a wóz do rozwożenia mleka. Czeka za bramą pałacu, panno Tremayne - powiedział, wyciągając rękę.

Wsunęła palce w jego dłoń i razem ruszyli schodami w dół. Nie przypuszczała, że trzymanie się za rękę może być czymś aż tak intymnym. Że jest w stanie spowodować szybsze bicie serca, drżenie i brak tchu.

Kiedy zeszli ze schodów, spytał:

- Czy mimo wszystko jest pani w stanie przebiec kawałek drogi?

Nadal trzymając się za rękę, ruszyli pędem po wysypanym muszelkami podjeździe, minęli ozdobioną zawijasami żelazną bramę, aż w końcu znaleźli się w miejscu, gdzie rzeczywiście czekał wóz mleczarski.

Unosił się w nim zapach skwaśniałego mleka. Kiedy podskakiwał na wyboistej drodze, puste butelki podzwaniały w metalowych skrzynkach. Shay powoził nieostrożnie.

W panującej wewnątrz ciemności Emma wdychała zapach ukochanego mężczyzny, chociaż robiła wszystko, by się o niego nie otrzeć ani go nie dotknąć. Wydawało jej się, że Shay musi słyszeć, jak głośno bije jej serce, lecz miała nadzieję, że resztę zdołała ukryć. Życie uczyniło z niej mistrzynią w ukrywaniu własnych uczuć.

Kiedy, jadąc zbyt szybko, skręcili w Hope Street, wóz przechylił się. Emma chwyciła się mocniej siedzenia, a szyfonowa spódnica sukni wieczorowej zaszeleściła jak sucha trawa na wietrze. Zastanawiała się, jaki ubiór powinna mieć na sobie, towarzysząc rodzącej kobiecie.

Zaszeleściła spódnicą, starając się ją wygładzić. Potem objęła się mocno ramionami i przycisnęła łokcie do ciała, ponieważ nagle poczuła chłód.

Shay odwrócił się, by na nią spojrzeć, a jego twarz w świetle mijanej właśnie latarni sprawiała wrażenie niemal białej.

- Niczego nie będzie pani musiała robić. Mamy zamówioną akuszerkę.

Emma nabrała powietrza w płuca, przełknęła ślinę i skinęła głową.

Wóz zakołysał się, butelki na mleko zagrzechotały, a mąż Brii powiedział:

- Przez dwa tygodnie odwiedzała ją pani niemal codziennie, pojawiając się regularnie jak kukółka z zegara, a potem pani zniknęła. Czy sądzi pani, że Bria tego nie zauważyła?

Emma nerwowo przełknęła ślinę i wzięła głęboki wdech.

- Byłam zajęta.

- Naprawdę? Bria też miała mnóstwo roboty. Umierała. Emma poczuła, że do oczu napływają jej gorące, słone łzy.

Kiedy podjechali pod dom na Thames Street i Shay zatrzymał

się pod pochyloną latarnią uliczną, ujął Emmę pod brodę i odwrócił jej twarz w stronę światła sączonego się z rozbitej lampy. Czowała płynące po policzkach łzy; nie była w stanie ich powstrzymać.

Nic nie powiedział, jedynie patrzył na nią, a potem puścił ją i wyskoczył z wozu. Przytrzymał ją za łokieć, pomagając wysiąść, po czym ruszył ścieżką, nie czekając na nią ani nie sprawdzając, czy idzie za nim.

Na frontowej werandzie siedziała Noreen. Miała przygarbione plecy, rękami obejmowała nogi. Na widok ojca poderwała się i wbiegła do domu.

Emma została na zewnątrz, wśród fiołków, które sadiła razem z Brią. Czowała się bezradna jak dziecko.

Kiedy usłyszała dochodzące zza wozu mleczarza głośnie nucenie, odwróciła się. Spomiędzy ogromnych tylnych kół wyszła Meny. Stała w kręgu rzucanego przez uliczną lampę światła i patrzyła na Emmę dużymi, poważnymi oczami.

- Jest pani potrzebna mamie - powiedziała i dopiero po chwili Emma zorientowała się, że dziewczynka posłużyła się słowami.

Uniosła szyfonową spódnicę swej wieczorowej sukni i uklękła, opierając się na piętach, żeby jej oczy znalazły się na poziomie oczu dziecka. Miała wrażenie, że język odmawia jej posłuszeństwa. Ostatnią godzinę spędziła na prowadzeniu nie

mających końca zdawkowych rozmów. Teraz zaś, kiedy było to niezmiernie ważne, nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów. Przez całe życie miała poważne kłopoty ze słowami: znajdowała je i gubiła, gromadziła i trwonila.

- Właśnie dlatego tu jestem - rzekła w końcu. - Chociaż nie bardzo się orientuję, w czym mogłabym się przydać. To, co wiem na temat porodu, można by włożyć do napastrka, a i tak zostanie w nim jeszcze dość miejsca na palec.

Merry roześmiała się radośnie. Podbiegła do Emmy i złapała ją za rękę.

- Teraz powinniśmy wejść do domu, ponieważ dziecko już zaczęło się rodzić. Noreen mówi, że przyniosą je wróżki, ale to tylko głupie gadanie. Ono wyjdzie z brzucha mamy, a wydostanie się między jej nogami.

Pociągnęła Emmę za rękę, pomagając jej wstać, a potem objęła obydwoma rączkami dłonie Emmy i zakołysała nimi. Miała spocone, lepkie paluszki, które należało umyć.

To mogę zrobić. Mogę umyć Merry rączki. Na tę myśl Emmę ogarnęło ciepłe, trudne do opisania uczucie - nigdy wcześniej go nie zaznała. Miała świadomość, że jest potrzebna i że właśnie tu jest jej miejsce.

Merry przestała kołysać rękami i spojrzała na nią.

- Nie może nas pani tak zostawiać.

Emma nie wiedziała, że płacze, dopóki nie poczuła na rzęsach łez.

- Nie, już nigdy tego... nie zrobię.

Merry puściła jej rękę i pobiegła ścieżką. Wskoczyła na werandę jak królik - obydwoma nóżkami - a potem obejrzała się na Emmę i zaczekała na nią.

- Merry? - powiedziała Emma łamiącym się głosem. - Ty potrafisz mówić.

Dziecko zakołysało się i przestąpiło z nogi na nogę. Zanuciło długą, monotonną melodyjkę, która mogła znaczyć niemal wszystko, a potem zniknęło w głębi domu.

W kuchni było jasno, ponieważ płonęły wszystkie lampy naftowe. Nikogo jednak tu nie było. Emma skierowała się do sypialni. Towarzyszyło jej doskonale znane przez całe życie uczucie onieśmienia, skrepowania i niepewności.

Bria leżała na białym żelaznym łóżku. Pod prześcieradłem

miała uniesione do góry, podgięte i rozstawione szeroko kolana. Wyciągniętymi za głowę rękami trzymała się poręczy, a jej ciało wygięte było w łuk. Przepecona, cienka bawełniana koszula nocna przywierała do wymizerowanego ciała. Bria oddychała z ogromnym trudem, szeroko otwierając usta i głośno wciągając powietrze, aż świszczą jej w piersi.

Shay stał przy umywalce. Już wcześniej zdjął płaszcz i podwinął rękawy koszuli, a obecnie szorował ręce w nakrapia-nej niebieskiej, emaliowanej miednicy. Kiedy Emma stanęła w drzwiach, odwrócił się i spojrzał na nią. Przy jego mocno zaciśniętych ustach pojawiła się biała linia, a wzdłuż biegnącej przez cały policzek blizny widać było poruszające się mięśnie.

- Akuszerka nie przyjdzie - oznajmił.

- Nie chce zarazić się chorobą mamy - wyjaśniła Noreen. - Teraz nikt już nie przychodzi do mamy, bo wszyscy się boją, że mogą się zarazić. - Stała obok drzwi, plecami opierając się o ścianę. Wyglądała jak żołnierz na warcie. Tuż obok niej tkwiła oniemiała Merry.

Słyszac ich głosy, Bria odwróciła głowę. Można było odnieść wrażenie, że jej twarz to tylko blada, cienka skóra, obciążająca kości.

- Emmo, *mo bhanacharaid...* - Chrapliwie wciągnęła w płuca odrobinę powietrza. - Tak bardzo bałam się... że nie przyjdiesz.

- Jak mogłabym nie przyjść? Za nic w świecie nie dopuściłabym do tego, żeby to najważniejsze i najwspanialsze wydarzenie sezonu obeszło się beze mnie. - Z zaciśniętej krtani Emmy wydostał się ni to śmiech, ni to szloch. Miłość do tej kobiety, do przyjaciółki, sprawiała jednocześnie ból i radość.

Obok łóżka stało jedno z kuchennych krzesel. Emma podeszła i usiadła, szeleszcząc szyfonem.

- Muszę przyznać, pani McKenno - powiedziała, przesadzając charakterystyczny dla Śmietanki Towarzyskiej salonowy sposób wysławiania się - że wybrała sobie pani ładną noc, na niebie nie ma ani jednej chmurki. Z południowego zachodu wieje jednak wiatr, który rano może przynieść zmianę pogody.

Wargi Brii rozchyliły się w uśmiechu, lecz w chwilę później jej ciałem zawładnął gwałtowny skurcz. Z otwartych ust wyrwał się okrzyk. Tym razem ból wydawał się trwać w nieskończoność,

a kiedy wreszcie minął, Bria była wyczerpana i roztrzęsiona. Na jej niebieskawych wargach, w miejscach gdzie je zagryzła, widać było białe ślady, lecz jej ciemne, spoglądające na Emmę oczy pełne były ognia.

- Czy mogłabyś... potrzymać mnie za rękę? - zapytała.

Emma zdjęła rękawiczkę i upuściła ją na podłogę. Ujęła leżącą bezwładnie na prześcieradle dłoń Bria. Nigdy nie dotykała niczego tak zimnego. Miała wrażenie, że życie, ulatując z ciała przyjaciółki, skupiło się w tych niezwykle oczach.

- Ta...tańczyłaś - powiedziała Bria. Emma uśmiechnęła się.

- Ale było to smutne i głupie. Skrzypek zapomniał smyczka i musiał szarpać struny nosem, wiolonczela nie włączała się na czas, a ja bez przerwy deptałam biednemu panu Alcottowi po palcach.

Bria roześmiała się, potem jednak zaczął się następny skurcz, a ona zagubiła się w długim, przejmującym bólu.

Kiedy przeszedł, powiedziała, ciężko sapiąc:

- Podejrzewam... że od czasu do czasu... będę cię mocno ścisnąć.

Emma drugą ręką odgarnęła wilgotne włosy z czoła Bria.

- Nie przejmuj się. W końcu po to są przyjaciółki... by służyć pomocną dłonią, kiedy jest ona potrzebna.

Po drugiej stronie łóżka pojawił się Shay. Trzymał w rękach miskę wody i jakieś płótno. Emma nagle zadrżała ze strachu, ponieważ dopiero teraz w pełni zrozumiała znaczenie słów: **Akuszerka nie przyjdzie.**

- Mam w tym pewną wprawę - powiedział Shay, jakby czytał w jej myślach. - Merry urodziła się tak szybko, że nie było czasu, by złapać oddech, a tym bardziej wezwać jakąkolwiek pomoc.

Pochylił się i po irlandzku powiedział coś do żony. Chociaż miał szorstki i chrapliwy głos, Emma wiedziała, że jego słowa były czułe, ponieważ, jak zawsze, miłość małżonków zdawała się wypełniać pokój.

Ze zdumiewającą jak na te ogromne ręce delikatnością zdjął prześcieradło okrywające rozpostarte uda żony. Nocna koszula Bria zwinęła się wokół pasa, a po nogach strumykami spływał

pot. Rozdęty brzuch przez chwilę drżał i podskakiwał, a potem nagle ścisnął się jak gigantyczna pięść. Kiedy Shay przemywał zagłębienie między nogami żony, Emma rozejrzała się po sypialni, zauważając jej ubóstwo, lecz i schludność. Nie było tu wiele mebli: jedynie łóżko, wiszący na ścianie krucyfiks, umywalka i maleńka komódka z poodpryskiwanym lakierem. Pod pocztówką przedstawiającą Matkę Boską znajdowało się coś, co wyglądało jak ołtarzyk.

Emma nagle zdała sobie sprawę, że Shay musiał odesłać dziewczęta do kuchni. Zaczęła się zastanawiać, czy to oznacza, że niezależnie od tego, co ma się zdarzyć, nastąpi już wkrótce.

Niezależnie od tego, co ma się zdarzyć... Przeraziła ją własna ignorancja. Była w stanie wyrecytować wszystkie zasady, którymi należy się kierować, wydając uroczystą kolację dla trzydziestu czterech osób, lecz siedmioletnie dziecko wiedziało znacznie więcej niż ona na temat porodu.

Ale to, co miało się zdarzyć, wcale nie nadeszło szybko.

Bria trzymała kurczowo rękę Emmy, gniotąc jej palce, w miarę jak bolesne skurcze wciąż na nowo chwytaly ją i puszczały, chwytaly i puszczały. Mijały godziny. Prześcieradła i gazety, które zostały wsunięte pod biodra Bria, przemokły, zalane rozwodnioną krwią, która wypełniła pokój zapachem zepsutych owoców, a dziecka wciąż nie było. W myślach Emmy przedłużające się oczekiwanie przeradzało się w krzyk strachu, że to wszystko źle się skończy.

W końcu, w końcu usłyszała, że Shay mówi:

- Spróbuj jeszcze odrobinę mocniej przeć, kochanie. Widać już główkę.

Sapiąc i dysząc, Bria próbowała podciągnąć się na łokciach, jakby chciała zajrzeć między swoje nogi i zobaczyć, co się tam dzieje.

- Emmo, powiedz mi... jakie on ma włoski?

Emma zajrzała między uda Bria. Rzeczywiście, pojawiła się główka. Prawdziwa, żywa, wilgotna od śluzu i krwi główka dziecka, pokryta skórą i włoskami. Emma nigdy nie widziała niczego tak cudownego, niczego, co tak bardzo wzbudzałoby respekt i przerażenie.

- Wydaje mi się, że są rude. Rude, kręcone i bardzo gęste... Och, Briu, on będzie miał twoje włosy!

Bria ze śmiechem opadła na poduszki, z trudem łapiąc powietrze.

- Och, biedny chłopczyna... Przyszedł na świat z taką przypadłością.

Emma z zachwytem patrzyła, jak dziecko wydostaje się z ciała matki - najpierw główka, następnie ramię i rączka, a potem już całe. Kiedy noworodek znalazł się w czekających na niego rękach ojca, Emma zaczęła śmiać się i płakać, przyglądając się dziecku z bólem serca i radością. Po chwili synek Brii krzyknął, biorąc swój pierwszy oddech.

Bria ułożyła się w białym żelaznym łóżku, tak bardzo wyczerpana, że wyglądała, jakby się skurczyła. Mokra włosy przylgnęły do głowy. Wymizerowana twarz była nieprawdopodobnie blada. Kiedy jednak Bria spojrzała na męża i urodzone przed chwilą dziecko, w jej ciemnych oczach zalśnił ten sam pełen życia ogień.

- Czy ma wszystko, co trzeba, Shayu? - zapytała, a w jej głosie zabrzmiało to, co było widać w oczach.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech gorący jak promień słońca. I chociaż wcale nie był on przeznaczony dla Emmy, wdarł się w głąb jej duszy i dotarł do samego serca.

- Jest istnym ideałem, kochanie. Obdarzyłaś mnie wspaniałym synem.

- Pozwól mi go zobaczyć, pozwól... Nie, zaczekaj. Najpierw daj go Emmie.

- O nie, chyba nie powinnam... Mogłabym go upuścić - powiedziała Emma, ale Shay już włożył dziecko w jej ramiona. Noworodek był mokry od krwi, miał pomarszczoną fioletową skórę i małą twarzyczkę ściśniętą jak pięść. - Ojej - szepnęła i uśmiechnęła się przez łzy.

Drżącymi rękami ostrożnie położyła dziecko na piersi przyjaciółki. Usta Brii same złożyły się do uśmiechu, który obejmował męża, Emmę i cały świat.

- Jest piękny - orzekła.

Shay McKenna osunął się na kolana tuż obok łóżka. Zgiął plecy, pochylił głowę i wcisnął twarz między piersi żony, tuż obok popiskującego synka.

- Och, kochanie, kochanie...

Emma powoli podniosła się z krzesła i zostawiła ich samych, z ich synem i miłością.

Obie dziewczynki siedziały na frontowej werandzie. Merry zasnęła z główką na kolanach siostry i nie obudziła się nawet wówczas, kiedy Emma otworzyła drzwi. Noreen uniosła głowę, a w jej oczach widać było strach i nadzieję.

- Macie braciszka, a mama czuje się dobrze - powiedziała Emma. Te słowa nawet w jej własnych uszach brzmiały dziwnie - zbyt sztywno i oficjalnie. Próbowwała zmusić się do uśmiechu. - Powinnyście jednak poczekać kilka minut, zanim wejdziecie, by ich zobaczyć. Na razie wasz ojciec chciałby przez chwilę nacieszyć się jego towarzystwem.

Zostawiła je i ruszyła ścieżką w stronę ulicy. Zobaczywszy wóz mleczarza, zdała sobie sprawę, że nie ma jak wrócić do „Brzóz”, obeszła więc dom dookoła i wyszła na kamienistą plażę.

Światło unoszącego się nad zatoką księżycy powoli słabło. Pływy na chwilę zapadły w drzemkę, uwięzione między dobiegającą końca nocą a zaczynającym się dniem. Emma stała samotnie tuż nad wodą. Było tak spokojnie, że jedynie w głębi serca słyszała szum fal oceanu.

Brzask zaczynał właśnie wypłukiwać z nieba ciemność, kiedy usłyszała za plecami chrupnięcie buta na piasku.

Odwróciła głowę i obserwowała zbliżającego się mężczyznę.

Zatrzymał się przed nią i bacznie przyjrzał się jej twarzy, a ona patrzyła na niego.

- Śpi - powiedział w końcu. - Oboje śpią, Bria i dziecko. Tak dużo chciałaby mu powiedzieć... Tyle słów cisnęło się na usta, tymczasem tak niewiele mogła ujawnić. A jeszcze mniej spotkałoby się z miłym przyjęciem.

- Później - ciągnął - kiedy się obudzi, na pewno będzie chciała pani podziękować.

- Ależ ja nic nie zrobiłam...

Chwycił ją za nadgarstek i uniół jej dłoń. Nawet w słabym świetle widać było pozostawione na skórze siniaki i ślady po paznokciach Brii.

- Przyszła pani - powiedział.

Puścił jej dłoń, która bezwładnie opadła; Emma miała wrażenie, że dłoń nagle stała się oddzielną częścią jej ciała. Shay odwrócił się od niej i spojrzał na zatokę. Wschodzące słońce malowało na niebie czerwone i żółte plamy.

- Są takie chwile, kiedy z ogromną radością wita się początek nowego dnia - rzekł. Spojrzał jej w oczy, a na jego twarzy pojawił się uśmiech jaśniejszy niż wschód słońca. - Prawda, panno Tremayne?

Wiedziała, że ten uśmiech jest darem, odpowiedziała więc tym samym.

- Ma pan rację, panie McKenna. Nowy dzień może być czymś najwspanialszym na świecie.

Kiedy Emma pokonywała schody prowadzące na werandę i wchodziła przez hebanowe, kasetonowe drzwi, złociste słońce rzucało blask na ozdobione szczytami dachy „Brzóz”. Dom zamarł we wczesnoporannej ciszy, a marmurowy, szaro-złoty hall wyglądał jak mauzoleum.

Ostrożnie zamknęła za sobą ciężkie drzwi i po cichu ruszyła w stronę dębowych schodów. Kiedy mijała ogromne lustro, zauważyła w nim blade widmo, sunące wzdłuż białawej nefrytowej poręczy schodów, w miejscu gdzie wiele lat temu spłonęła córka pana domu.

- Co mama tu robi? - zapytała, a strach sprawił, że jej głos zabrzmiał nieco chrapliwie. Wolałaby stawić czoło dziesięciu duchom niż zostać przyłapana przez matkę na czymś niestosownym.

- Jak mogłaś, Emmo?! Jak mogłaś mi to zrobić?

Na widok matki Emma zamarła w bezruchu, teraz jednak zmusiła się, by dotrzeć do podstawy schodów. Nie jestem już dzieckiem, pomyślała. Matka nie może mnie zbić ani zamknąć w piwnicy, tym bardziej że nie zrobiłam niczego złego.

- Czy nie mówiłam ci, żebyś zaciskała kolana i nie pozwalała rozpiąć sobie majtek, dopóki nie będziesz miała na palcu obrączki? - spytała matka z tak wyraźnym południowym akcentem, że Emma z trudem zrozumiała jej słowa.

- O czym mama mówi?

- Jesteś skończona, zhańbiona. Przyniosłaś wstyd całej ro-

dzinie. Dałaś mu to, czego chciał, prawda? Teraz już się z tobą nie ożeni. Ty... - Nagle twarz Bethel zrobiła się jeszcze bledsza i mizerna. - Wielkie nieba, czy on cię zgwałcił?!

W ślad za przerażonym wzrokiem matki Emma spojrzała na siebie. Na zielonej jedwabnej, szyfonowej sukni wieczorowej widać było rdzawe plamy zaschniętej krwi. Przez chwilę nie była w stanie zrozumieć, w jaki sposób na kreacji znalazła się krew Brii, potem jednak przypomniała sobie, że przez chwilę trzymała noworodka.

- Och! - krzyknęła, mocno się rumieniając, kiedy w końcu dotarło do niej znaczenie słów matki. - To nie to, o czym mama myśli. Dzisiejszej nocy pani McKenna urodziła dziecko. Byłam z nią, nie z Geoffreyem.

Matka zrobiła niepewny krok do przodu i zachwiała się, po czym opadła na szeroki stopień okazałych schodów. Objęła rękami kolana i zakolysała się. Kiedy uniosła głowę, na jej twarzy połyskiwały srebrzyste łzy. Emma zauważyła, że błękit oczu matki niemal całkowicie przesłonięty został przez czarne źrenice.

- To nie to, o czym myślę, nie to, o czym myślę... Cóż innego mogłam pomyśleć? - spytała Bethel drżącym głosem.

-W środku nocy zauważyłam, że twoje łóżko jest puste, i nigdzie nie mogłam cię znaleźć. Powiedziałaś, że źle się czujesz i opuściłaś gości, a potem pan Alcott nagle dowiedział się, że ma jakąś ważną sprawę do załatwienia, i również wyszedł. Chyba nie ma się co dziwić, że pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, było... No cóż, nim nastanie popołudnie, całe towarzystwo będzie mówić o twoim „dziwnym zasłabnięciu”. Nie obejdzie się bez szeptów i domniemań, które będą się powtarzać przez kilka najbliższych tygodni. Znajdziemy się pod stałą obserwacją; o tak, wszystkie trzy będziemy bacznie obserwowane. I to nieustannie, nawet wówczas, kiedy stanie się jasne, że najgorsze podejrzenia naszych znajomych wcale się nie sprawdzą. Ponieważ one się n i e sprawdzą, prawda, Emmo?

- Prawda, mamó - powiedziała Emma, rumieniając się, gdyż z pewnością była to jedna z tych spraw, o których nie powinny rozmawiać.

Ale też nigdy nie widziała matki w takim stanie. Gdyby nie biały pikowany szlafrok i papiloty we włosach, można by wziąć ją za obudzone z koszmarne snu dziecko, które objąłwszy

rękami kolana, kołysze się. Jej ogromne oczy sprawiały wrażenie pustych.

Emma usiadła na schodach obok matki. Miała ochotę objąć ją ramieniem, ale tego nie zrobiła. Za bardzo się obawiała, że zostanie odepchnięta. Mimo to siedziała na tyle blisko, by wyczuć, że matka drży.

- Czy mama brała lekarstwo Maddie?

Bethel jeszcze silniej zadrżała i mocniej objęła rękami kolana.

- Mam zupełnie zszargane nerwy. Nie zdajesz sobie sprawy, jak to jest, kiedy nieustannie musi się zachowywać czujność... Wiesz, że zawsze miałam kiepskie zdrowie, ale ty potrafisz być dla mnie tak okrutna i robisz wszystko, by napędzić mi strachu. Wszystkie moje dzieci zawsze były dla mnie okrutne.

- Najmocniej mamę przepraszam. Powiedziałabym mamie, dokąd się wybieram, ale... - ***Próbowałaby mnie mama zatrzymać, a ja musiałabym się przeciwstawić, i wtedy nastąpiłaby jedna z tych scen, których mama tak bardzo się boi.*** - Ale nie było czasu.

Matka uniosła głowę i wyprostowała plecy, na chwilę stając się codzienną Bethel Tremayne.

- Ta kobieta ma na ciebie zły wpływ, Emmo. Wiem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- To wszystko moja wina, powinnam mamie powiedzieć... Może odprowadzę mamę do sypialni? - zapytała Emma. Zawahała się, nim objęła matkę w pasie i niemal siłą podniosła ją na nogi. Powoli zaczęły wchodzić do góry. Na pierwszych dwóch stopniach matka wsparła się na niej, potem jednak odsunęła się.

- Czy przysłać mamie Jewell ze śniadaniem? - zapytała Emma. - Powinna mama coś zjeść. Wczoraj na kolację były takie wspaniałe potrawy, a mama zjadła zaledwie po kęsie każdej.

Lecz Bethel tak mocno potrząsnęła głową, że aż zadrżała.

- Nie, nie mogę jeść. Jestem za gruba, a przecież wiesz, że twój ojciec nie znosi otyłych kobiet. Nim przyjedzie do domu na twój ślub, muszę odzyskać smukłą figurę. Wówczas zauważy, że się zmieniłam, i zostanie. Zobaczysz, że tak będzie.

- Na pewno - powiedziała Emma, z trudem opanowując nagłą ochotę, by się rozplakać. Znowu łzy. Miała wrażenie, że

ostatnio dużo ich wyplakała, zarówno ze szczęścia, jak i ze smutku, mimo to najwyraźniej wcale się nie wyczerpały. Na twarzy matki widać było szaloną nadzieję, która jaśniała jak blask świateł.

- On mnie kocha, Emmo - powiedziała. - Tylko o tym zapomniał. Lecz kiedy mnie zobaczy, na pewno sobie przypomni. Wówczas będzie tak jak tego pierwszego wieczoru w Sparcie, podczas balu; znowu mnie pokocha. Tym razem już na zawsze. Sama się przekonasz, że już zawsze będzie mnie kochał.

XIX

Słońce świeciło wysoko na niebie, a od sterburty wiał rześki wiatr. Był to idealny dzień na żaglowanie, tak przynajmniej powiedziała Emma.

To Bria podsunęła pomysł, by zjeść posiłek na świeżym powietrzu. Miała to być jej pierwsza wyprawa po urodzeniu Jacka. Emma zaproponowała, żeby razem popłynęły żaglówką na plażę miejską, która znajdowała się w pobliżu promu, na zachodnim brzegu Mount Hope Bay.

- Ojciec O'Reilly może zabrać dziecko oraz dziewczynki i spotkać się z nami na miejscu - powiedziała. - Pomyśl tylko, jak wspaniale będziemy się bawić. Możemy udawać, że jesteśmy żeglującymi po wzburzonym morzu piratami w spódnicach.

- Wszyscy święci - westchnęła Bria. - Masz dziwne pojęcie o tym, co jest zabawne, Emmo Tremayne. Emma roześmiała się.

- Proszę, zgódź się, Briu. To będzie krótki rejs, przy tym wietrze potrwa najwyżej pół godziny. Poza tym ani na chwilę nie stracimy z oczu linii brzegowej.

- Naprawdę? - zapytała Bria, powstrzymując śmiech. - Świadomość, że topiąc się, będę miała przed oczami malowniczy widok, przynosi mi ogromną ulgę.

Jakkolwiek Bria urodziła się i wychowała w miejscu, gdzie docierały morskie przypływy, nigdy w życiu nie była na łodzi, bo nie można nazwać łodzią ogromnego statku parowego, który przywiózł ją do Ameryki. Rybołówstwo było zajęciem dla męż-

czynn, a poza tym w Gortadoo z pewnością nikt nie pływał tak wspaniałą żaglówką dla czystej przyjemności. Łódź Emmy nosiła imię „Ikar” - ku czci jakiegoś głupiego Greka, który na wykonanych z wosku skrzydłach wzbił się zbyt blisko słońca, tak przynajmniej powiedziała Emma. Wchodząc na pokład, Bria pomyślała, że ta historia wcale nie zwiększa zaufania do łodzi, zwłaszcza u szczura lądowego takiego jak ona. Ledwie zdążyła wyrazić zgodę, już odbijały od brzegu. Wiatr wyduł żagle, a łódź tak bardzo się pochyliła, że poręcz niemal przecięła fale. Czując, że serce podskoczyło jej w piersi jak złapana w sieć ryba, Bria zaczęła odmawiać zdrowaśki. Dopiero po dotarciu do dwudziestej zdołała uwierzyć wypowiedzianym przez Emmę ze śmiechem zapewnieniom, że jacht nie przewróci się i że żadna z nich nie będzie musiała pić morskiej wody. Bria doszła do wniosku, że podobają jej się dźwięki związane z żeglowaniem: podmuch wiatru dmącego w żagle, szmer i plusk wody pod dziobem. Odchyliła głowę, a wówczas słońce zalało jej twarz. Oblizwała wargi, z przyjemnością czując na nich smak soli. Uśmiechnęła się, słuchając wyjaśnień Emmy, w jaki sposób żagle łapią wiatr, by łódź mogła szybko pokonywać fale. Chociaż nie wszystko rozumiała, czuła, że jest niezmiernie szczęśliwa i że dzień byłby naprawdę idealny, gdyby mógł być z nimi również Shay. Wyglądało jednak na to, że ostatnio postanowił wyłowić z morza wszystkie ryby, by spłacić dług zaciągnięty na łódź. Kiedy wykonały zwrot i zaczęły płynąć w kierunku brzegu oraz plaży miejskiej, Bria obserwowała, jak płaski, biały skrawek piasku powiększa się i połyskuje w słońcu. Gdy jacht dobijał do obrośniętego pąklami pomostu, żagle oklapły i zaczęły łopotać. Emma chwyciła linę cumowniczą i uniosła spódnicę, lecz zamiast wyskoczyć na pomost zamarła w bezruchu, jakby zabrakło jej tchu.

- Co się stało? - zapytała Bria, czując, że uginają się pod nią nogi, ponieważ łódka ani przez moment nie stanowiła dla niej pewnego podłoża. Nie rozumiała, jakim cudem Emma potrafi w spódnicy wspinać się tu i tam, by poprawić którąś z lin, które uparcie nazywała szotami.

- Nic takiego - powiedziała Emma. - Tylko... tylko mimo wszystko pojawił się pan McKenna.

- Shay?

Na widok wozu, który właśnie skręcał w prowadzącą na plażę drogę, na twarzy Brii pojawił się promienny uśmiech. Tak energicznie zaczęła wymachiwać rękami, że łódź zakołysała się i Bria musiała chwycić się bomu, by nie wpaść do wody.

- Matko Przenajświętsza, niewiele brakowało, a zażyłabym kąpieli! - krzyknęła, śmiejąc się z samej siebie.

Kiedy jednak spojrzała na Emmę, zauważyła, że przyjaciółka wciąż stoi z liną cumowniczą w rękach, a na jej bladej twarzy wyraźnie widać napięcie. Bria wiedziała, że to wszystko przez Shaya. Emma nigdy nie czuła się swobodnie w jego towarzystwie i robiła wszystko, co mogła, by go unikać, chociaż nigdy nie posunęła się do nieuprzejmości. Bria wcale nie miała do niej o to pretensji, zwłaszcza po złośliwych uwagach, które Shay wygłosił wobec Emmy pamiętnego popołudnia.

Za nic w świecie nie chcąc zranić Emmy, nie przyznała się, jak bardzo jest szczęśliwa, że w końcu może postawić stopę na stałym lądzie. Jeszcze przez chwilę czuła się niepewne, jakby nadal miała pod nogami kołyszący się pokład. Tymczasem dziewczęta biegły już po białym piasku. Meny nuciła tak żywo, że drżała. Bria rozejrzała się ze śmiechem. To było wspaniałe miejsce na posiłek na świeżym powietrzu. Niewielka nadmorska łąka, która wdarła się w piaszczystą plażę, pełna była polnych kwiatów, a wokół niej rosły czarnozielone jodły, majestatyczne klony i wiązy.

- Gdzie jest ten łobuz, mój brat? - zapytała, stając na palcach, by pocałować Shaya w usta. Jej mąż trzymał w rękach słomiany koszyk z owiniętym jak kokon małym Jackiem.

Odsunęła róg koca i zobaczyła, że niemowlę śpi. Shay uniósł dłoń, by pomachać ku Emmie, ona jednak nadal była na jachcie i zwijała żagle, pewnie więc go nie widziała.

- Poczciwy ojczulek dziś rano został wezwany do biskupa - wyjaśnił Shay. - Wygląda na to, że tym razem nie mógł powiedzieć: „Przyjdę później”.

- Och, biedny chłopak! Jestem pewna, że znowu ma jakieś kłopoty.

Jej brat należał do ludzi, którzy nie przestrzegają wszystkich

reguł, i nawet kapłaństwo nie zdołało zmienić jego nieokiełznanej natury.

Shay parsknął śmiechem i wręczył jej dziecko.

- No cóż, Donagh ujął to w taki sposób: „Najprawdopodobniej nie zaprosił mnie po to, by zawiesić nad moją głową aureolę”.

W czasie kiedy Shay wraz z dziewczynkami zbierał wyrzucone przez morze drewno na ognisko, by móc przygotować na nim posiłek, a mały Jacko spał w koszyku, Bria pomogła Emmie rozłożyć koc i rozpakować koszyk z zabranym przez nią jedzeniem.

- Wzięłam jedynie coś na przekąskę - wyjaśniła Emma. - Żebyśmy mieli co robić, czekając, aż małże będą gotowe. Za „coś na przekąskę” Emma uznała przysmażane jajka, kanapki z homarem, szampana, brzoskwinie i bezy kokosowe. Kiedy Bria sięgnęła w głąb koszyka, zauważyła, że Emma przywiozła również talerze i srebrne sztucce. Talerze z tak cienkiej porcelany, że można było przez nie zobaczyć własną dłoń. Do tego cztery rodzaje widelców. Wyjęła jeden z nich, by mu się lepiej przyjrzeć - był to maleńki, smukły, mający dwa zęby przedmiot, które sprawiał wrażenie tak samo bezużytecznego jak trzynogi muł.

- Do czego to jest? - zapytała. Emma uśmiechnęła się nieśmiało.

- To widelec do ostryg. Wzięłam na wszelki wypadek.

- Na jaki wypadek? Emma wzruszyła ramionami.

- Na wypadek, gdybyśmy znaleźli ostrygi i chcieli je zjeść. W tym właśnie momencie jakaś mewa upuściła ostrygę na

pobliskie skały. Muszelka rozbiła się, a wówczas ptak zanurkował i wyskubał z niej soczysty kąsek.

- O rany - powiedziała Bria. - Może powinnyśmy dać tej mewie jeden z naszych widelców?

Emma przez chwilę próbowała powstrzymać śmiech, przysłaniając dłonią usta, potem jednak roześmiała się na głos tak serdecznie, że po chwili przyłączyła się do niej Bria, chociaż wciąż jeszcze była trochę obolała po porodzie.

Uznała za bardzo zabawne, że ludzie ze Śmietanki Towarzystwej potrzebują do jedzenia ostryg specjalnego widelca, podczas gdy mewy potrafią

obejść się bez niego. Mimo to wspaniale było dowiedzieć się, że w tym dziwnym świecie istnieje coś takiego jak widelec do ostryg.

- A cóż to się dzieje, że obie pokładacie się ze śmiechu? -zapytał Shay, kiedy pojawił się wraz z dziewczynkami, by rzucić na piasek naręczne drewna. Lecz gdy Bria próbowała wyjaśnić, o co chodzi, Shay patrzył na nią, jakby zbyt długo przebywała na słońcu. Noreen i Merry wymieniły porozumiewawcze uśmiechy.

Emma wyciągnęła do Bria rękę, w której trzymała brzoskwinie.

- Proszę - powiedziała, a jej cała twarz promieniała śmiechem. - Tylko kto wie, czy nie będziesz musiała rzucić jej na te głazy, żeby się otworzyła... ponieważ zapomniałam nożyków do owoców. - Po tych słowach znów obie zaczęły się śmiać.

Kiedy w końcu Bria przestała trzymać się za obolały brzuch i wycierać płynące po policzkach łzy, spojrzała na Shaya i wówczas gdzieś na dnie jego oczu zauważyła, że on się śmieje.

Bria roześmiała się więc jeszcze raz i ugryzła brzoskwinie. Sok, który spłynął jej po wargach i brodzie, był tak wspaniały, że aż zaniemówiła ze zdziwienia.

Odwróciła się, by powiedzieć to Emmie, i zamarła, kompletnie zaskoczona zapierającą dech w piersiach urodą swej przyjaciółki. Choć znały się od dawna, Bria nadal często zdarzały się takie chwile. Emma wyglądała, jakby pozowała do portretu. Miała na sobie białą sukienkę z delikatnego jak jedwab materiału w subtelny, składający się z gałązek i kwiatów róż wzorek oraz jasny, słomkowy kapelusz, którego rondo ugięło się pod ciężarem stokrotek. Całe światło wydawało się skupiać wokół niej jak gęsta śmietana.

Ponieważ mały Jacko zaczął marudzić, Bria wyjęła go z koszyka, by go nakarmić. W tym czasie Shay, przygotowując ognisko, układając kamienie i kładąc na nie drewno na rozpałkę, zaczął opowiadać dziewczynkom pewną historię.

- Swego czasu żyli dwaj książęta, jeden z nich był Irlandczykiem, a drugi Szkotem. Obaj chcieli władać tą samą wielką wyspą, która była jednym z cudów świata...

Merry zaczęła kręcić się wokół własnej osi, a jej rude loczki fruwały wokół główki.

- Ona chce wiedzieć - wyjaśniła Noreen - jak miał na imię irlandzki książę i czy był przystojny.
- Zwano go Iworem Odważnym i uchodził za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek urodziła kobieta, ponieważ nie tylko był Irlandczykiem, lecz również ze strony matki pochodził z rodu McKennów.

Bria prychnęła.

- Najprawdopodobniej był również wielkim kłamcą, zarówno jako Irlandczyk, jak i McKenna.

- Szczęśliwym zbiegiem okoliczności - ciągnął Shay - mężczyzna ten nie miał żony, która bez przerwy wytykałaby mu błędy... Jak mówiłem, obaj książęta postanowili wziąć udział w wyścigach żeglarskich, ponieważ umówili się, że ten z nich, który pierwszy dotknie wyspy, w przyszłości będzie nosił jej koronę. Irlandzki książę, kiedy zauważył, że przegrywa wyścig, wyjął miecz, odciął sobie dłoń i rzucił ją na brzeg wyspy...

Merry zaczęła coś nucić, co chwilę podskakując do góry.

- Ona chce wiedzieć - powiedziała Noreen - dlaczego odciął sobie całą dłoń. Dlaczego nie uciął tylko jednego palca?

- No cóż... - Shay wciągnął policzki. Przeczesał palcami włosy. - Ponieważ... ponieważ palca nie zdołałby rzucić tak daleko. Potrzebował czegoś cięższego, dlatego konieczna była cała dłoń.

- Bzdury - znów wtrąciła się Bria. - Po co słuchacie mężczyzny zawsze mającego na końcu języka mnóstwo słów, które nawet nieźle brzmią, lecz tylko dopóty, dopóki człowiek nie zda sobie sprawy, że nie ma w nich ani odrobiny sensu?

- Jeśli pozwolicie mi dotrzeć do końca tej opowieści, przekonacie się, że ma ona sens... Spiesząc się do tego, by objąć w posiadanie wyspę, irlandzki książę zapomniał, że do jej ochrony będzie potrzebował dwóch silnych dłoni. Całkiem nieźle dawał sobie radę jedną ręką przy budowie domu i obsadzeniu należących do niego zagonów ziemniaków, potem jednak pojawili się ci złodzieje, Anglicy, i książę był zmuszony patrzeć na to, jak wszystko stopniowo przechodziło w ich zachłanne ręce - dom, zagony i cała wyspa.

Merry zanuciła smutną melodyjkę.

- Ona chce wiedzieć - powiedziała Noreen - czy panna

Emma może odkupić tę wyspę od tych złodziei, Anglików, i oddać ją księciu, żeby mógł żyć na niej długo i szczęśliwie. Shay westchnął i potrząsnął głową.

- Wyspę taką jak ta może zdobyć jedynie odważny wojownik, który przeleje za nią krew, albo człowiek obdarzony dobrym i uczciwym sercem. Tymczasem należy się zastanowić, czy w piersi jankesa z Nowej Anglii w ogóle udałoby się znaleźć serce. Czy raczej byłby to kawałek czarnego kamienia.

- Wstydz się, Seamusie McKenno!

Bria spojrzała na Emmę, obawiając się, że przyjaciółka i tym razem poczuje się urażona, mimo że teraz Shay jedynie się z nią drażnił. Lecz Emma patrzyła mu prosto w oczy, a na jej twarzy widać było szelmowski uśmieszek.

Wyciągnęła do niego rękę, a zdołając jej rękaw koronka odchyliła się, ukazując błądy nadgarstek poprzecinany błękitnymi żyłkami. W dłoni trzymała wspaniałą, okrągłą, różową brzoskwinię. Podając ją Shayowi, powiedziała wyniosłym tonem, używanym przez Śmietankę Towarzyską:

- Może zechciałby pan ugryźć kawałek mojej brzoskwini, panie McKenna? Tylko proszę uważać na pestkę. To skamieniałe serce owocu. Można połamać sobie na nim zęby... prawda?

Shay uśmiechnął się. Spojrzał w miejsce, gdzie jacht kołysał się na wodzie, a potem na Emmę.

- Masz ostry język, dziecino.

- I na pewno o wiele szybszy niż ty - powiedziała Bria. - Wyprzedza cię o milę angielską.

Mały Jacko skończył ssać pierś i leżał w zagłębieniu ramienia matki, z piąstkami zaciśniętymi obok pucołowatych policzków, a jego otwarte usteczka łapały powietrze.

- Weź swego synka i zaczekaj, aż mu się odbije, a jeśli masz zamiar opowiadać jeszcze jakieś historie, wybierz takie bez krwi i polityki.

Shay wziął od niej dziecko i oparł je o swe potężne ramię. Dużą dłonią przytrzymał małą pupkę Jacka, a drugą ręką delikatnie poklepywał go po plecach. Pod wpływem miłości do tego maleństwa wyraz twarzy Shaya złagodniał, a oczy pociemniały.

Bria bez żadnego konkretnego powodu odwróciła się i spojrzała na Emmę, lecz kiedy już to zrobiła, zamarła w bezruchu

i nie mogła złapać tchu. Poczula się tak, jakby ktoś nagle uderzył ja mocno w klatkę piersiową.

Emma bowiem patrzyła na Shaya, a na jej twarzy widać było ogromną tęsknotę.

Bria nie była w stanie powstrzymać się od obserwowania ich.

Siedziała na boku, trzymając na rękach śpiącego Jacka, i patrzyła, jak Shay i Emma wygrzebują z piasku małże i wrzucają je do wiaderk.

Widziała, że Emma z całych sił stara się nie patrzeć na jej męża, lecz gdy Shay zaczynał się śmiać, mówił coś głupiego lub drażnił się z którąś z dziewcząt, zerknęła na niego. Było to zaledwie krótkie spojrzenie, ale Bria dostrzegła na twarzy przyjaciółki tę samą tęsknotę.

Obserwowała ich, pragnąc zobaczyć, czy Shay również spogląda na Emmę.

Kiedy Emma usiadła na głazie, by zdjąć buty i pończochy, powiedział do niej:

- Ma pani jankeskie stopy. Długie i chude.

- Za to pańskie są typowo irlandzkie - odparła bez zastanowienia. - Duże i zawsze pali się pod nimi grunt.

Nawet Bria musiała się uśmiechnąć, mimo że przyszło jej na myśl, iż głos Emmy brzmi inaczej, kiedy zwraca się do Shaya, zupełnie jakby brakowało jej tchu.

W pewnym momencie wiatr uderzył w rondo słomkowego kapelusza Emmy i przekrzywił go. To, co zrobiła, było całkiem zwyczajne i bardzo kobiece - uniosła ręce, zdjęła kapelusz, po czym założyła go prawidłowo. Zdobiąca rękaw szeroka koronka odchyliła się i ukazała nagie, białe ramiona, a piersi Emmy uniosły się przy akompaniamencie szeleszczącego jedwabiu. Przypinając kapelusz szpilkami, odchyliła do tyłu głowę. To wszystko było zupełnie zwykłe, ale twarz patrzącego na nią Shaya zmieniła się. Tylko odrobinę, ździebełko, lecz jednak się zmieniła.

Bria poczuła, że w jej sercu otwiera się rana.

Wciąż siedziała nieruchoma jak głaz, nie będąc w stanie myśleć ani oddychać. Wiatr igrający w jej włosach poruszał też gałęziami sosen i liśćmi klonów. Błękit nieba i wody przyciągał wzrok, a wiosenne słońce połyskiwało na białym piasku. Lecz Bria niczego nie widziała i niczego nie czuła.

Kiedy na jej kolanach wylądowało coś ciężkiego, drgnęła. Uniosła głowę i zobaczyła Noreen. Widząc poruszające się usta córki, nie przestawała mieć wrażenia, że cały świat pozbawiony został życia.

Potem wraz z nawałą innych dźwięków dotarły do niej słowa Noreen, jakby zostały przyniesione przez wiatr.

- Zobacz, mamusiu, co znalazłam w piasku. Bria podniosła leżący na jej kolanach przedmiot.

- No proszę, to wygląda jak fujarka.

- To indiańska piszczałka steatytowa - wyjaśniła Emma, jej najlepsza przyjaciółka, kobieta patrząca na Shaya McKennę z ogromną tęsknotą w oczach.

Bria wiedziała, jak to jest, gdy w głębi duszy nosi się tak ogromną miłość do niego. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo na jego widok potrafi topnieć serce.

- Ta piszczałka mogła niegdyś należeć do samego króla Filipa - dodała Emma. - Filip był wielkim wodzem indiańskiego plemienia Wampanoag, do którego należał cały ten teren, zanim pojawili się osadnicy i zawłaszczyli tę ziemię.

- Zawsze jest tak samo, prawda? - spytał Shay.

Tym razem Emma spojrzała na niego odważnie i uśmiechnęła się.

- Tak się składa, że król Filip został wciągnięty w zasadzkę i zamordowany przez członków własnego plemienia. To opowieść, która na pewno się panu spodoba, panie McKenna, ponieważ jest w niej zarówno krew, jak i polityka.

Emma opowiedziała całą historię. Jak się okazało, król Filip został zamordowany przez Indianina, który był bratem zabitego wcześniej przez króla wojownika. Królobójca obnosił się potem z ręką Filipa zanurzoną w wiadrze z rumem. Noreen, która uwielbiała makabryczne historie, mimo że okropnie się wszystkiego bała, słuchała tej opowieści z drzeniem ciała i zaokrąglonymi oczami. Tymczasem Merry rzucała pytania szybciej, niż jej siostra była w stanie tłumaczyć.

Patrząc na córeczki, Bria zdała sobie sprawę, że są małe i niewiele wiedzą. Na myśl o tym, jak bardzo będą samotne, kiedy wkrótce zostaną sierotami, z trudem powstrzymała łzy.

Oparła twarz na główce niemowlęcia i poczuła na policzku jego mięciutkie włoski. Ponieważ bardzo niedawno przyszło na świat, Bria wciąż pamiętała ból związany z porodem - cenę, którą kobieta płaci za danie życia, a także ten wspaniały moment, kiedy wydostał się z jej ciała i przestał należeć już tylko do niej.

I to maleństwo będzie bardzo samotne, pozbawione matczynej miłości. W ciężkich chwilach nie zdoła nawet czerpać otuchy ze wspomnień o kobiecie, która dała mu życie.

Spojrzała na Shaya z ogromną miłością, a wówczas ból ścisnął jej gardło i żołądek. Z pewnością to, co widziała w jego oczach, było normalnym męskim podziwem, niczym więcej. Uroda Emmy przerasta najśmielsze męskie marzenia, a w końcu Shay jest w każdym calu mężczyzną. Ale jeśli... co jeśli...?

Nie: „co, jeśli jest to coś więcej?”

Lecz: „co, jeśli to przerodzi się w coś więcej?”

Bria odczekała, aż zebrano małże, rozpalono ogień, a kiedy powstał żar, jodłową gałęzią odgarnięto na bok kamienie, ustawiono na nich wiaderko z małżami i przykryto je warstwą morskich wodorostów, by utrzymać wszystko w parze.

Odczekała, aż to wszystko zostało zrobione, a potem powiedziała:

- Ze względu na dość silny wiatr dzisiejszy dzień doskonale nadaje się do żeglowania. Może, nim małże ugotują się na parze, zabrałabyś, Emmo, Shaya w krótki rejs? Bo chociaż pływał różnymi łódkami, wątpię, czy kiedykolwiek miał okazję znajdować się na pokładzie tak wspaniałego jachtu jak twój „Ikar”.

Po tych słowach na chwilę zapadła kompletna cisza. Na policzkach Emmy pojawiły się rumieńce, tak ciemne jak płatki róży, a Bria zauważyła, że jej przyjaciółka z trudem przełyka ślinę. Lecz, oczywiście, Emma Tremayne była zbyt dobrze wychowana, by odmówić tak sformułowanej prośbie.

Wzrok Bria przesunął się na Shaya. Na jego twarzy pojawiła się tęsknota i pożądanie, ale patrzył na jacht.

Bria obserwowała, jak razem idą przez plażę do niewielkiego, zniszczonego pomostu, przy którym przycumowana była żaglów-

ka. Szli tak blisko siebie, że kiedy wiatr porwał spódnicę Emmy, zarzucił ją na nogi Shaya. Mimo to oboje patrzyli prosto przed siebie, jakby odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania wypisano na tej wyraźnej białej linii horyzontu, w miejscu, gdzie błękitna słona woda stykała się z jeszcze intensywniejszym błękitem nieba.

- Bria nie potrafiła powiedzieć, czy w ogóle ze sobą rozmawiali podczas wciągania żagli i odwiązywania łodzi.

Ukryła twarz w utrzymanym na rękach zawiniątku z dzieckiem, wsłuchiwała się w jego oddech i potarła nosem o krągły policzek.

Kiedy ponownie uniosła głowę, białe żagle jachtu jak skrzydła motyla przemykały po błękitnych wodach zatoki.

Kiedy żaglówka pruć fale, Shay pociągnął mocno szot kliwra, po czym sprawnie zawiązał linę. Wiał mocny, równomierny wiatr, wypełniając dobrze ustawione żagle i popychając jacht do przodu.

„Ikar” wydawał wspaniałe dźwięki, jak dobrze nastrojony instrument. Shayowi podobało się trzeszczenie kadłuba, uderzenia żagli o maszt i stukanie krawędzi bocznej grotżagla, kiedy łódź wykonywała zwrot, by złapać lepszy wiatr.

Kiedy odchylił głowę i zamknął oczy, poczuł na powiekach palące słońce, którego promienie przenikały całe jego ciało. Czuł przechył i kołysanie się pokładu pod stopami, słyszał szmer i pluskanie wody omywającej dziób.

Wiedział, że jest to chwila czystego, nie skażonego niczym szczęścia.

Otworzył oczy, odwrócił głowę i zauważył, że Emma ucieka wzrokiem, jakby nie chciała zostać przyłapana na tym, że patrzy na niego. Siedziała w kokpicie i trzymała rękę na rumplu. Ściągną jej nadgarstka napinały się pod skórą.

Wiedział, że utrzymanie steru przy takim wietrze wymaga znacznej siły.

- To ładna łódka, panno Tremayne - powiedział. Naprawdę tak było. Na mosiężnych elementach nigdy nie pojawią się ślady po soli, na wykonanym z teku lśniącym pokładzie nie będzie widać żadnych plam. Ten jacht z pewnością kosztował znacznie więcej, niż Shay mógłby sobie wyobrazić.

- A pani dobrze sobie z nią radzi.

Na twarzy Emmy pojawił się uśmiech, chociaż robiła wszyst-

ko, by patrzeć w inną stronę. Ze względu na wiatr musiała zdjąć kapelusz i jej włosy powiewały teraz swobodnie wokół głowy.

- Tremayne'owie utrzymują, że w ich żyłach płynie morska woda - powiedziała. - To ojciec nauczył mnie żeglarstwa. Zabrał mnie na wodę, gdy tylko opanowałam trudną sztukę chodzenia, a mając sześć lat, wywróciłam dnem do góry moją pierwszą żaglówkę - była to mała, trzymetrowa łódź mieczowa. Mam zaszczyt być najmłodszym członkiem rodu Tremayne'ów, który spowodował katastrofę morską, a na dodatek zdołał ją przeżyć.

Nie był w stanie opanować śmiechu. Czasami jej słowa kompletnie go zaskakiwały.

- Jeśli o to chodzi, jestem od pani lepszy, panno Tremayne. Tak się składa, że pewnego dnia moja matka wypłynęła w morze na połów sardynek, a wróciła ze mną.

Doszedł do wniosku, że Emma ma coś w sobie. Kiedy zamierzała powiedzieć albo zrobić coś, co uważała za dość zuchwale, w kąciku jej ust pojawiał się dołeczek.

- Czyżby próbował mi pan wmówić, że wróżki ofiarowały pana pańskim rodzicom w uplecionej z trzciny łodzi, jak irlandzkiego Mojżesza?

- Obeszło się bez cudów - powiedział, potrząsając głową i uśmiechając się. - Tego dnia matka wzięła łódkę i wypłynęła sama w morze, ponieważ poprzedniej nocy ojciec spał się do nieprzytomności i spadł pod stół.

Przyszedłem na świat nieco wcześniej, niż należało, i to bardzo szybko, tak przynajmniej matka mi powiedziała.

Była za daleko, by zawrócić, więc musiała poradzić sobie sama, a potem zająć się mną.

Po tych słowach Emma spojrzała w jego stronę. Nie mógł się zdecydować, jaki kolor mają jej oczy, czy są szare, niebieskie czy też zielone. Zmieniały się tak samo jak morze w niespokojny dzień.

- Musiała być bardzo odważną kobietą.

- Z tego, co pamiętam, nie była wcale odważna, raczej... - Wzruszył ramionami. - Raczej zdesperowana - dokończył, a potem zaczął się zastanawiać, skąd wzięło mu się to wyznanie. Rzadko przyznawał się do takich myśli, nawet przed samym sobą.

Z trudem oderwał wzrok od oczu Emmy, odczuwając niemal

fizyczny ból, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Bacznie przyjrzał się zagłom, mając nadzieję, że trzeba je ustawić, ale nie było to konieczne. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, co zrobić z rękami.

- Sądzę, że małże już się ugotowały - usłyszał jej słowa. - Zechciałby pan przejąć ster, panie McKenna, i dopłynąć do brzegu?

Żartobliwie zasalutował.

- Tak jest, kapitanie.

Sięgnął po rumpel w chwili, kiedy dmuchnął mocniejszy wiatr, a łódź natychmiast się obróciła. Emma, ustępując akurat miejsca Shayowi, złapała rumpel, by zachować równowagę i nie przewrócić się. Niechcący dotknęła ręki Shaya.

Przez krótką chwilę czuł jej dotyk. Potem cofnął dłoń, i było już po wszystkim.

Próbował sobie wmówić, że nie jest to pożądanie. Nie wyobrażał bowiem sobie, że leży z Emmą w łóżku i bierze ją, jak robi to mężczyzna z kochaną kobietą - szybko, szorstko i z zapalem. Miał również pewność, że to nie miłość, ponieważ miłością darzył Brię. Uważał, że miłość to śmiech i taniec, praca, zmartwienia, kłótnie i zgoda, a także płodzenie dzieci. Tymczasem do Emmy czuł coś innego... ale nie wiedział, co.

XX

- Zostało nam już bardzo mało czasu do parady - powiedziała Bria. - Może wstąpiłybyśmy na salę gimnastyczną, żeby zobaczyć, czy Shay pójdzie z nami?

Starła się udawać, że nie dostrzega niepokoju, który na moment pojawił się na twarzy Emmy. Pochyliła się więc nad wó-zeczkiem, w którym leżał mały Jacko, i zaczęła poprawiać koce. Powleczone szelakiem wiklinowy wózek obity był błękitnym jedwabnym pluszem i wyłożony trzciniową plecionką. Poruszał się na niklowanych sprężynach i stalowych kółkach. Główkę dziecka osłaniał obszyty jedwabnymi frędzlami satynowy parasol. Wózek był prezentem od Emmy, ofiarowanym chłopcu z okazji chrzcin, i z pewnością żadne niemowlę z Gortadoo nie paradowało po świecie w takim stylu.

- Dama - powiedziała Emma po chwili milczenia - nie powinna pojawiać się w takim miejscu.

Bria uśmiechnęła się do niej łobuzersko.

- Moim zdaniem wszyscy po prostu obawiają się, że na widok kilku spoconych, zdyszanych mężczyzn o sflaczałych brzuchach zmienimy się w rozpasane, niezdolne do zapanowania nad sobą nierządnicę o przekrwionych oczach.

- Och, Briu. - Na ustach Emmy wykwitł niezbyt pewny śmiech. - Chodzi o to...

Chodzi o to, *mo bhanacharaid*, pomyślała Bria, że jest ci coraz trudniej być blisko niego, widzieć go i mieć w zasięgu ręki. Znajdować się w pobliżu Shaya i nie móc go kochać.

Wyprostowała się i położyła dłoń na ramieniu Emmy. Zrobiła wszystko, by jej oczy nie zdradziły bólu, który chwycił ją za gardło. To, co robiła, wymagało niezwyklej przebiegłości i było bardzo trudne. Chwilami wręcz za trudne.

Na całe szczęście w tym momencie odezwała się Noreen:

- Proszę, panno Emmo, wejdźmy po tatę.

A Merry zanuciła jakąś przypominającą miauczenie melodyjkę.

Emma zagryzła wargę i spojrzała na swe zaciśnięte ręce.

- No cóż...

Bria wypuściła powietrze z płuc i wzięła Emmę pod ramię.

- W takim razie wszystko załatwione. Noreen, kochanie, czy możesz zająć się wózkiem? A ty, Merry, daj mi rękę.

Wszystkie razem ruszyły wysadzaną fiołkami ścieżką, a potem skręciły w stronę eleganckiej części miasta.

Minał już tydzień od owego pamiętnego posiłku na plaży, kiedy to Bria czekała na powrót Shaya i Emmy. Czekala, mocno wciskając stopy w piasek, by nie przewrócił jej jakiś silniejszy podmuch wiatru.

Gdy wiatr się nasilił, bardzo się przestraszyła. Widziała jacht, ponieważ przez cały czas bacznie go obserwowała. W pewnym momencie tak bardzo się przechylił, że żagle niemal dotknęły białych spienionych grzbietów fal.

Bria tak mocno ścisnęła małego Jacka w ramionach, że zaczął płakać, a stojąca obok niej Merry nuciła jak szalona.

Znajdująca się na pomoście Noreen podskakiwała i machała rękami, kiedy łódź opuszczała żagle i dryfowała w stronę brzegu.

- Tatusiu! - zawołała piskliwie, próbując przekrzyczeć wiatr. - Widziałyśmy, jak żeglowałeś. Kiedy dmuchnął mocniejszy wiatr, płynąłeś bardzo szybko! Mama powiedziała, że nie ma lepszego żeglarza niż ty.

- Bo to prawda - Bria usłyszała jego słowa. - Może z wyjątkiem panny Tremayne, ponieważ w jej żyłach płynie morska

- woda, a wiatr jest jej kochankiem.

Bria obserwowała, jak Shay wyskakuje z łodzi i wiąże linę, słyszała popiskiwanie i skrzyp bomu oraz uderzenie szotu o żagle. Tymczasem Emma stała na pokładzie, trzymając się want. Miała zaróżowione policzki, ale powodem ich mógł być wiatr.

Po zejściu z pomostu Shay podszedł do Brii i pocałował ją w usta. Był to mocny i namiętny pocałunek.

- Po co to? - powiedział, ocierając kciukami jej policzki, jakby chciał zabrać na przechowanie wszystkie wylane przez nią łzy.

- Zerwał się tak silny wiatr, że się przestraszyłam. Bałam się, że stracę was oboje.

Wydawało jej się, że po tych słowach w jego oczach pojawił się jakiś błysk, ale nastąpiło to tak szybko, że nie miała pewności.

- Ale nie straciłaś - powiedział. - Naprawdę.

- Naprawdę?

Znała go tak dobrze, znała ich oboje. Wysyłając ich razem, wiedziała, że nic się nie zdarzy.

Zdawała sobie jednak sprawę, że pewnego dnia wszystko stanie się możliwe.

Dawno, dawno temu obecna sala gimnastyczna była domem spotkań kwaków, lecz w to niedzielne popołudnie, zamiast modlitw wznoszonych do Boga, pod masywny drewniany sufit płynęły dźwięki towarzyszące waleniu pięściami w worek treningowy, uderzeniu skakanki o starą, ułożoną z klepek podłogę oraz stukot i szcęk opuszczanych sztang. W przypominającym pieczarę starym, będącym niegdyś miejscem spotkań hallu unosił się dym z cygar i ostra woń potu.

Shay zmagał się z workiem treningowym. Przebierał nogami, wymachiwał rękami i napinał mięśnie. Jego pięści pracowały jak tłoki i poruszały się tak szybko, że nie nadszedł za nimi wzrok, a uderzając w worek, wydawały dźwięki, które przypominały bicie serca.

- On wcale nie ma obwisłego brzucha - stwierdziła Bria.

- Rzeczywiście - powiedziała Emma, choć wcale na niego nie patrzyła.

Shay skończył boksowanie, po czym skórzanymi rękawicami złapał worek, by go zatrzymać. Bria zauważyła, że jej mąż ciężko dyszy. Tak samo było nieraz w czasie kochania się z nią. Lśniący na skórze Shaya pot skleił rosnące na jego klatce piersiowej ciemne włosy, układając je w widoczne wokół brodawek wiry, a następnie spływał cieniutkimi strużkami po brzuchu i znikał w mokrej plamie widocznej przy pasku bryczesów.

- Briu, kochanie! - zawołał. Ćwicząc, z taką wściekłością patrzył na worek treningowy, jakby to był wróg, którego koniecznie trzeba pobić do nieprzytomności, teraz jednak jego twarz rozjaśniła się. - Co wy tu robicie?

W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego, chociaż, ku swemu zaskoczeniu, poczuła, że ma oczy pełne łez. To wszystko dlatego, że tak bardzo, bardzo go kocha.

- Jeśli o mnie chodzi, właśnie zmieniałam się w rozpasaną nierządnicę, która ma zamiar cię uwieść. Potem chciałybyśmy zabrać cię na paradę minstreli.

- Powiadasz, że masz zamiar mnie uwieść? - Wykrzywił twarz w lubieżnym uśmiechu. - Może na razie pocałuj mnie. Bria zasłoniła twarz rękami, udając, że z przerażenia zatacza się do tyłu.

- O rany, jak tak dalej pójdzie, wszyscy zaczną myśleć, że naprawdę jestem zakochana w tym człowieku.

Shay odwrócił się do dziewczynek i przycisnął je do siebie spoconymi ramionami. Noreen i Merry zaczęły piszczeć i śmiać się. Wtedy właśnie Emma w końcu na niego spojrzała.

Patrzyła zaledwie przez krótką chwilę.

Jednak ten jeden moment wystarczył, by w jej oczach odbiła się miłość. A wówczas Bria odwróciła wzrok.

Dhia, ten ból przypominał wkładanie rąk do ognia i wymagał szalonej odwagi do sprawdzenia, czy się to poczuje i czy zdoła się to znieść. Potem jednak przyszło jej na myśl, że Emmie również musi być bardzo ciężko. Biedne serce Emmy wpadło w pułapkę nie chcianej miłości.

Jeśli chodzi o Shaya, Bria doszła do wniosku, że i tak nigdy nie będzie pewna, co on czuje do Emmy. Najgłębsze uczucia

ukrywał bowiem pod warstwą szorstkości, która istniała gdzieś na dnie jego serca, w miejscu, do którego Bria nie była w stanie dotrzeć. Czasami bardzo starał się nie patrzeć na Emmę, tak samo jak ona na niego, i trzymał sztywno głowę, jakby dzień wcześniej wypił zbyt dużo *poitin*. Kiedy indziej jednak był przyjacielski, żartobliwy i traktował ją tak, jakby była jedną z jego córek lub ulubioną siostrą.

Lecz nigdy jej nie dotykał, nawet w najbardziej niewinny sposób.

Bria doszła do wniosku, że za jej życia Shay nie pozwoli sobie na żadne uczucie do Emmy. Kiedy jednak zostanie sam... Och, to właśnie myśl o tym, co może się zdarzyć po jej śmierci, była źródłem największych nadziei, a jednocześnie sprawiała dotkliwy ból.

- Pospiesz się, tatusiu - ponagliła Noreen. - Spóźnimy się na paradę.

Shay położył dłoń na głowie córki, a Bria zauważyła jego paskudnie opuchnięte palce.

- Może wyjdziecie stąd i zaczekacie, a ja dołączę do was, jak tylko się umyję.

Zabrał ręcznik z drewnianego składanego krzesła i zarzucił go na nagie ramiona.

- Dzień dobry, panno Tremayne - powiedział z uśmiechem, po czym wyszedł w charakterystyczny dla siebie, spokojny sposób, a one wszystkie patrzyły w ślad za nim. Nawet Emma go obserwowała, nieruchoma jak piękna marmurowa rzeźba.

Wyszły z powrotem na Thames Street, ponieważ w drodze z dworca kolejowego minstrele mieli przechodzić właśnie tędy. Już słyhać było skrzypce, dudy i szybkie, rytmiczne stukanie obcasów, tak charakterystyczne dla kroków irlandzkiego tańca.

Słońce prażyło niemiłosiernie, zamieniając wodę zatoki w parę, a ziemia falami wydzielala żar. Jakiś mężczyzna przepychał się wśród tłumu z wózkiem, z którego sprzedawał hiszpańskie solone orzeszki i prażoną kukurydzę, rozsiewające wspaniałe zapachy.

Minstrele właśnie pojawili się w polu widzenia, kiedy nadszedł Shay. Był w samej koszuli. Przerzucił surdut przez ramię, lecz, by uczcić niedzielę, założył kołnierzyk i krawat. Miał wilgotne końce włosów i zaróżowione policzki - najwidoczniej

musiał się przed chwilą ogolić. Kiedy podszedł i objął Brię w pasie, wyglądał tak wspaniale, że miała ochotę przestać oddychać, by w ten sposób zatrzymać chwilę.

Parada właściwie była tylko zwykłym pochodem minstreli -którzy następnego dnia mieli występować na błoniach, by uczcić Czwarty Lipca - umożliwiała im jednak zaprezentowanie umiejętności tanecznych i popisanie się przed tłumem. Wędrowali ulicą z lśnącymi, wysmarowanymi palonym korkiem, czarnymi twarzami, a metalowe blaszki na ich butach wybijały rytm, który pobudzał krew w żyłach każdego Irlandczyka.

Nie trzeba było zatem długo czekać, by znajdujący się w tłumie Irlandczycy jeden po drugim zaczęli przyłączać się do tego typowo irlandzkiego pokazu, tańcząc przy zawodzących dźwiękach dud i rzepoleniu skrzypiec. Również Shay rzucił Brii swój surdut i ruszył w tany.

Wyprostował plecy, przycisnął ręce do boków i starał się w ogóle nie poruszać tułowiem, w szybkim tempie unosząc wysoko stopy, tupiąc nimi, stukając obcasami i czubkami butów, odtwarzając rytm tak stary jak sama Irlandia. Na widok tańczącego ojca oczy Noreen błysnęły z zadowolenia, Merry nuciła coś, również próbując przytupywać, a mały Jacko pokrzykiwał i wywijał nóżkami w powietrzu.

Parada minstreli zbyt szybko poszła dalej. Shay zakończył swój taniec, z trudem łapiąc powietrze i śmiejąc się.

Wszyscy się śmiali, nawet Emma.

Tłum zaczął wylewać się na środek ulicy i wędrować w ślad za minstrelami. Całe miasto powoli nabierało świątecznej atmosfery. Można było odnieść wrażenie, że bristolczycy zaczęli obchodzić Święto Niepodległości, zanim jeszcze w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku udało się ją odzyskać, a już z całą pewnością szczylicili się tym, że ich obchody Czwartego Lipca są najwspanialsze w całym kraju. Bria słyszała, jak wielu ludzi mówiło, że jutrzejsza parada będzie najbardziej widowiskowym pokazem w historii obchodów święta.

Ruszyli Ferry Road i wyszli za miasto. Shay pchał przed sobą wózek, a Bria obejmowała go ręką w pasie, czując ruch jego bioder. Podobał jej się kultywowany w Nowej Anglii zwyczaj długich, popołudniowych spacerów niedzielnych. W Irlandii

mąż i żona szli ze sobą tylko raz - do kościoła, w dniu kiedy brali ślub.

Mimo zamglonego nieba mocne słońce paliło w głowy. Powietrze było gęste i nieruchome, a na wodach zatoki kilka żaglówek podskakiwało w górę i w dół jak korki od sieci.

Emma wędrowała przed małżonkami, z dziewczętami po obu stronach. Wyglądała jak wykonana z waty cukrowej. Miała na sobie białą sukienkę z ogromnymi, bufiastymi rękawami i kwadratowym kołnierzem z delikatnej koronki. Biały słomkowy kapelusz ozdobiony był czerwonymi, białymi i niebieskimi piórami oraz długimi, ciągnącymi się z tyłu niebieskimi wstążkami. Biały koronkowy parasol sprawiał, że na jej plecach i ramionach widać było plamki światła i cienia.

Bria właśnie miała zamiar zwrócić uwagę Shaya, jak uderzająco piękny obrazek stanowi jej przyjaciółka, kiedy położył dłoń na jej karku i, poruszając delikatnie kciukiem, zaczął pieścić jej ucho.

- Czy mówiłem ci - powiedział - że pięknie dziś wyglądasz, Briu McKenno? Jak kwitnący wrzos.

Bria zastanawiała się, czy ten człowiek w jakiś dziwny sposób wyczuł, że boli ją serce, czy też naprawdę świata poza nią nie widzi. W swej liliowej muslinowej sukience rzeczywiście czuła, że jest piękna. Jej brat, Donagh, zwykł mawiać, że Shay ma dziwny dar przy pochlebiania się i że byłby w stanie negocjować z samym Panem Bogiem, wiedząc, że dostanie to, co najlepsze.

Bria, słysząc paplanie Noreen i radosne nucenie Merry, uśmiechnęła się na myśl, że dziewczęta swobodnie czują się przy Emmie. Emma też miała jakiś specjalny dar - sposób słuchania, który sprawiał, że dzieci czuły się jak ktoś nadzwyczajny i wyjątkowy.

W tym właśnie momencie Noreen chwyciła Emmę za rękę i wskazała na gąszcz rosnących przy drodze wiązów oraz brzoź.

- Niech pani spojrzy, panno Emmo, tam są muchomory. Zobaczmy, może uda nam się złapać krasnoludka.

- Jeśli go już złapiecie - zawołała Bria - nie puszczajcie go, dopóki nie pokaże wam swoich skarbów!

Emma ruszyła między drzewa w ślad za Noreen, wcześniej jednak obejrzała się, jedną ręką unosząc spódnicę, a drugą od-

chylając do tyłu koronkowy parasol i ukazując roześmianą twarz.

- Obawiam się, że szybciej znajdę jakiś wspaniały okaz sumaka jadowitego - powiedziała z tak dźwięcznym śmiechem, że Bria poczuła, iż coś chwyta ją za serce.

Emma weszła za dziewczynkami w głąb lasu, pochylając się i obserwując, jak Noreen zagląda pod każdego muchomora. No-reen utrzymywała, że zna obyczaje krasnoludków. Merry, jak zwykle, nie odzywała się, ale na jej twarzy widać było, że jest niezmiernie szczęśliwa.

Jeśli złapiecie jakiegoś krasnoludka... Lecz Emma Tremayne zdołała zgromadzić już tyle skarbów, po co jej następne? Bria przypomniała sobie o pieniądzach Emmy i jej wysokiej pozycji towarzyskiej. Zrozumiała, jak szalone są jej myśli. Jak głupie marzenia kryją się na dnie jej serca.

Że Emma wyjdzie za mąż za Shaya i uszczęśliwi go, tak jak może zrobić to jedynie kobieta rozpaczliwie i gorąco kochająca mężczyznę, pragnąca za wszelką cenę dać mu szczęście. Że Emma zastąpi jej córkom matkę, zabierze je z fabryki i pośle do szkoły, będzie ubierać w koronki i jedwabie, a potem wśród dobrze sytuowanych młodych mężczyzn poszuka im mężów. Że wychowa małego Jacka na dżentelmena o nienagannych manierach i ogromnych możliwościach.

Emma przecież mogłaby wyjść za mąż za Shaya i zostać matką jej córek oraz syna... Ale gdyby Emma Tremayne poślubiła irlandzkiego rybaka, postąpiłaby równie niewłaściwie jak Bria O'Reilly, wychodząc za mąż za syna druciarza. Dla Emmy oznaczałoby to utratę jej obecnego świata. Jedynie ogromna miłość byłaby w stanie wytłumaczyć taki ogrom wyrzeczeń. Bria była jednak pewna, że w sercu Emmy płonie taka właśnie miłość. Widać to było w jej oczach.

Emma naprawdę więc mogłaby wyjść za mąż za Shaya... Zastanawianie się nad taką ewentualnością sprawiało ogromny ból - czyż mogło być inaczej? Mimo to wystarczało, by Bria pomyślała o mężu i o dzieciach, a jej serce ogarniała nieprawdopodobna miłość. Miłość tak mocna i tak stara jak matka ziemia, miłość, której nie pokona nawet śmierć. Czasami trudno, bardzo trudno było myśleć o tym, że już wkrótce opuści najbliższych.

Jednak świadomość, wręcz pewność, że wszyscy oni znajdują szczęście, pozwalała jej znieść myśli o śmierci.

Przeszli już spory kawałek drogi, a Bria z coraz większym trudem ukrywała, że zaczyna brakować jej sił i że nie może oddychać.

Połyskująca między drzewami lobelia szkarłatna sprawiła, że Brii zakręciło się w głowie. Shay pokazał drzemiącego na kamieniu i zażywającego kąpieli słonecznej czarnego jeżozwierza z białymi końcami kolców. Widząc to, Bria uśmiechnęła się i zacisnęła mocno zęby, by nie zacząć nimi szczekać. Widziała oślepiająco białe promienie słońca, kładące się na wodzie, i zdawała sobie sprawę, że jest gorąco, mimo to było jej zimno, bardzo zimno.

Nagle z jej piersi wyrwał się kaszel. Przygarbiła się i chusteczką do nosa usiłowała powstrzymać atak. Kiedy jej się to udało, uniosła głowę i zobaczyła tych, których kochała. Przyglądali się jej uważnie, a na ich twarzach wyryty był strach i ból.

Shay i Emma stali obok siebie, lecz nie na tyle blisko, by móc się dotknąć. Bria wiedziała, że dopóki żyje, będą trzymali się z dala od siebie, ale ona umiera, już wkrótce umrze, a wówczas ci dwoje zaczną potrzebować się nawzajem, by móc się wspierać.

W Irlandii istnieje wierzenie, że umierający bard może przekazać swój talent muzyczny. Ale tylko najlepszemu przyjacielowi.

Grupka obdartych, rozbrykanych chłopców biegała po spalonej przez słońce trawie rosnącej na bristolskich błoniach, dmąc w rogi i gwizdki. Jeden z nich wrzucił pod estradę zapaloną petardę. Wypadła z hukiem, zostawiając za sobą smugę dymu, a przy okazji rozrywając czerwone, białe i niebieskie chorągiewki.

Na odgłos wybuchu Emma drgnęła, a potem zaczęła się śmiać z samej siebie.

- Moje biedactwo - powiedział Geoffrey, z niepokojem poklepując ją po ręce, którą wsparła na jego ramieniu. -
Bardzo się przestraszyłaś?

Spojrzała na zniszczoną estradę. Wszystko wskazywało na

to, że ta petarda wcale nie była pierwszym tego dnia zamachem na bristolską muszlę koncertową.

- To ci przekłęci robotnicy fabryczni! Oto co wynika z dawania im dnia wolnego od pracy. Prawo powinno bezwzględnie zakazywać odpalania sztucznych ogni w miejscach, gdzie wybuchy mogą zagrażać własności publicznej i przstraszyć damy.

- Och, Geoffreju, zepsułbyś całą zabawę!

Emma znów się roześmiała, unosząc głowę, by przyjrzeć się czerwonemu balonowi, który wznosząc się w niebo, zaplątał się w gałęzie ogromnego, rozłożystego wiązu.

- Czy mógłbyś kupić mi jedną z największych petard? Chętnie odpaliłabym ją podczas przemówienia burmistrza. Kiedy jak co roku zaczniesz mówić, że odgłosy niosących wolność dział rozchodzą się echem poprzez wieki, to byłby idealny moment, nie sądzisz?

- Znowu stroisz sobie ze mnie żarty - powiedział Geoffrey po chwili milczenia.

- Tak, Geoffreju.

Wychyliła się w jego stronę, by poprawić niebieski krawat w białe kropki. Chętnie pocałowałaby Geoffreya w policzek, ale narzeczony zawsze z ogromną dezaprobatą patrzył na publiczne okazywanie uczuć.

- Geoffreju, czy podoba ci się to święto? - zapytała. - Czy ten dzień naprawdę sprawia ci przyjemność?

- Oczywiście. W końcu to bristolski Czwarty Lipca!

- No tak, każdy bristolczyk ma obowiązek być dumny z tych uroczystości, a ty, najdroższy, nigdy nie uchylasz się od obowiązków - powiedziała, uśmiechając się do niego, by wiedział, że to tylko żart.

W końcu nie należało zapominać, że zostawił nową odlewnię w Maine i pokonał spory kawał drogi po to tylko, by spędzić ten dzień z Emmą. Zastanawiała się, czy radość z jego towarzystwa wynika jedynie z faktu, że tak długo go nie widziała. Nie była to wcale uspokajająca myśl. Mimo to chwilami usiłowała sobie wmówić, że ona i Geoffrey będą szczęśliwi jako mąż i żona. Wiedziała już, czego się po nim spodziewać; na pewno nie będzie od niego oczekiwać, by był kimś, kim wcale nie jest.

W jej świecie nie istniał mężczyzna, jakiego by chciała, mężczyzna, którego byłaby w stanie pokochać całym sercem.

Kochała Seamusa McKennę, człowieka, który nigdy nie będzie mógł zostać jej mężem.

Tak oto wyglądała rzeczywistość, chociaż było to coś absolutnie niewłaściwego. Kochała go, chociaż wcale tego nie chciała i bardzo starała się pokonać tę miłość. Jednak szczerą chęć i usilne próby na nic się nie zdały. Czasami obawiała się, że jej sekretne, głęboko ukrywane uczucie pewnego dnia wyrządzi ogromną krzywdę nie tylko Geoffreyowi, lecz również ich małżeństwu.

Geoffrey z powrotem położył dłoń Emmy na swoim ramieniu i kontynuował przechadzkę, od czasu do czasu zatrzymując się, by pozdrowić ludzi, których widzieli zaledwie kilka minut temu, podczas parady.

Jak daleko mieszkańcy Bristolu sięgali pamięcią, rokrocznie Czwartego Lipca Alcottowie na czas parady udostępniali swój dom, chociaż nikt spoza Śmietanki Towarzyskiej nie odważył się przekroczyć jego progu bez zaproszenia. Wszyscy wychodzili na ulicę z filiżankami ponczu i ciastem pomarańczowym w ręce, by obserwować paradujące orkiestry dęte, weteranów wojny oraz wozy strażackie. Po paradzie goście wracali do środka, by omówić to, co widzieli, a także porozmawiać o towarzyszącej wydarzeniu pogodzie.

Tak samo jak ostatnie polowanie sezonu, organizowane na Hope Farm, do tradycji kultywowanych przez Śmietankę Towarzyską należało obserwowanie czwartolipcowej parady z wykładanej marmurem werandy należącej do Alcottów rezydencji na Hope Street.

Ogromne zainteresowanie wzbudzała w tym roku pogoda, ponieważ było okropnie gorąco. Przez cały ranek słońce zalewało błonia, a obecnie żółty pył unosił się i opadał na stoły uginające się pod fasolką w sosie pomidorowym, zupą z małży, plackami z dorsza, ciastem kukurydzianym i szarlotką.

Idąc pod ramię z Geoffreyem, Emma nabrała przekonania, że kiedy kocha się mężczyznę, widzi się go wszędzie. W szerokich barkach idącego przodem człowieka. W czarnych długich włosach wystających spod irlandzkiej tweedowej czapki. W błysku białych zębów odsłoniętych w zuchwałym uśmiechu.

Tego dnia Emmie wydawało się, że widzi Shaya, jak z lodami w ręce wychodzi z namiotu w żółto-białe paski. Potem

miała wrażenie, że dostrzegła go w tłumie kibicującym chłopcom poganiającym świnię. Nie była również pewna, czy w którymś momencie nie niósł koszyka z ostrygami na konkurs ich otwierania.

Za każdym razem przez zapierający dech w piersiach moment, nim zdała sobie sprawę, że to nie on, na jej twarzy pojawiały się rumieńce, a serce zalewała fala radości.

Potem naprawdę go zobaczyła.

Sadzał Merry na grzbiet karuzelowego smoka z zielonymi łuskami i pomarańczowym ogniem wydobywającym się z rozpalonych do czerwoności nozdrzy. Noreen siedziała na wielbłądzie z czerwonym fezem na głowie.

Emma widziała, jak Shay chwycił drążek i ze śmiechem puścił w ruch platformę. Z organów parowych popłynęła muzyka, a karuzela zaczęła się obracać. Emma poczuła, że kręci się jej w głowie, a przed oczami wiruje słoneczny pył.

Rozejrzała się za Brią. Stała nieopodal, trzymając na rękach małego Jacka i machając dłonią w stronę wirującej menażerii. Musiała wyczuć obecność Emmy, ponieważ odwróciła się. Wzrok kobiet spotkał się, a Emma obdarowana została płynącym prosto z serca uśmiechem radości.

Z wielu powodów Emma nigdy nie podeszłaby do samego Shaya, kiedy jednak zobaczyła Brię, bez najmniejszego wahania ruszyła w jej stronę. Nigdy nie zrobiłaby przyjaciółce takiego afrontu - ani przy Geoffreyu, ani przy nikim innym - by minąć ją bez słowa.

Przesunęła dłoń po ramieniu Geoffreyu, ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą.

- Geoffreyu, chciałabym przedstawić ci kogoś, o kim ostatnio sporo opowiadałam, panią McKennę, moją nową przyjaciółkę, która niedawno urodziła dziecko. Chyba już najwyższy czas, żebyście się poznali, nie sądzisz?

Geoffrey przez chwilę rozglądał się dookoła z wyraźną konsternacją, nim zauważył uśmiechającą się i machającą do Emmy kobietę z dzieckiem na ręku. A także bardzo wysokiego, mającego na sobie samą koszulę i zniszczone sztruksowe bryczesy mężczyznę, który właśnie podszedł i objął żonę.

- Ona jest twoją przyjaciółką? - zapytał. - Przypuszczałem, że... - Nie dokończył, ale Emma doskonale wiedziała, że w jego

przekonaniu pani McKenna, o której słyszał, była damą, a nie Irlandką ze slumsów.

- Moją najlepszą, najwspanialszą na świecie przyjaciółką - powiedziała Emma, ujmując dłoń Brii i splatając palce z jej palcami. Następnie przycisnęła policzek do twarzy przyjaciółki i pocałowała czołko niemowlęcia. Z ciemnych oczu Brii promieniowała radość. Na jej policzkach czerwieniły się rumieńce, Emma wiedziała jednak, że to oznaka choroby. Nie dalej jak wczoraj spacer skończył się tym, że Shay musiał zanieść żonę na rękach do domu. Nigdy wcześniej nie widzieli, by podczas ataku kaszlu pojawiło się tyle krwi.

- Briu - powiedziała Emma, ściskając jej dłoń. - Chciałabym przedstawić ci mojego narzeczonego, Geoffreya Alcotta. Geoffreju, to państwo McKennowie, Bria i jej mąż, Seamus. A to... - powiedziała, odsuwając kocyk z twarzy malca, żeby lepiej było go widać - ...mały Jacko. Ma ponad miesiąc i, jak widzisz, jest wspaniały.

- Niezmiernie miło mi panią poznać, madam - powiedział Geoffrey, kłaniając się Brii. Nawet jeśli rozpoznał w niej kobietę, która na ostatnie polowanie sezonu przyniosła martwe dziecko, nie dał tego po sobie poznać. - Sir... - przywitał się z Shayem. - Witaj, szkrabie - mruknął, uśmiechając się do małego Jacka.

- Witam pana, panie Alcott - powiedziała Bria, przyglądając mu się z wyraźnym zaciekawieniem, a Emma nagle poczuła, że wstydzi się za swego przyszłego męża, chociaż za nic w świecie nie byłaby w stanie powiedzieć, dlaczego. W białym lnianym garniturze i słomkowym kapeluszu Geoffrey, jak zwykle, prezentował się bardzo dobrze, a jego zachowanie było wzorem dobrych manier.

- Jest dzisiaj dość ciepło, nieprawdaż? - rzekł Geoffrey, by przerwać milczenie, które zapadło po prezentacji.

- Okrrroponie gorąco - powiedział Shay z manifestacyjnie podkreślonym irlandzkim akcentem. - Ale właściwie nie może być inaczej, zważywszy na bezchmurne niebo i absolutny brak choćby najłżejszego podmuchu wiatru. - Miał poważną twarz, ale przez ułamek sekundy Emma widziała jego oczy, dzięki czemu zdołała dostrzec czający się w nich śmiech.

- McKenna... McKenna... - powtarzał Geoffrey. - Ach, tak!

To pan jest tym Irlandczykiem, który wieczorem ma walczyć z Jamesem Parkerem, naszym harwardzkim mistrzem.
- Tak, to ja. - Shay zahaczył kciuk o kieszeń i przyjął waleczną pozę. - Mam nadzieję, że będę dla niego godnym przeciwnikiem.

Geoffrey uśmiechnął się, odsłaniając zęby.

- Z tego, co wiem, swego czasu, kiedy był pan w szczytowej formie, udało się panu wygrać kilka walk bokserskich.
- Zmierzył Shaya wzrokiem od stóp do głów, zupełnie jakby Irlandczyk od dawna był zniedołężniałym starcem. - Ale będzie pan miał pełne ręce roboty, by dotrzymać pola naszemu mistrzowi. Jest kapitanem drużyny futbolowej. Widzi pan, moim zdaniem to sprawa rasy i wychowania, a co za tym idzie, bystrzejszego oka i spokojniejszej ręki w jeździe konnej, strzelaniu, boksowaniu i wszystkim innym. Po prostu czystej krwi jankes jest lepszym zwierzęciem.

- Och, mówi pan, że ten jankes jest lepszym zwierzęciem? - Bria podparła bok ręką, na której nie trzymała dziecka, i patrzyła na Geoffreya zaokrąglonymi ze zdumienia oczami. - A ja, głupia, dotychczas uważałam, że wszyscy mamy dusze, dzięki którym, niezależnie od rasy i wychowania, jesteśmy lepsi od zwierząt. Teraz pan mi mówi, że ten wspaniały dar przypadł w udziale tylko nam, Irlandczykom.

Organy karuzeli zamilkły, a panującą ciszę przerywały jedynie głośnie wybuchy petard. Obok nich przeszedł jakiś mężczyzna niosący ogromne wiadro z czerpakiem i kilkoma niewielkimi kubkami. Śpiewał:

Zimna lemoniada w cieniu przyrządzana, przez złą, starą pannę patykiem mieszana.

- Pani McKenna - wyjaśnił Shay - słynie z ciętego języka.

- Rzeczywiście - przyznał Geoffrey, zmuszając się do uśmiechu. Pochylił głowę i dotknął palcami kapelusza, kłaniając się Brii. - Z ogromnym żalem wyznaję, że niezwłocznie musimy udać się do namiotu burmistrza, w związku z tym już życzymy państwu miłego dnia i wszystkiego najlepszego, z okazji Czwartego Lipca.

Nieco później Emma zastanawiała się, dlaczego nic nie zrobiła, nic nie powiedziała, zachowała się tak, jakby w ogóle jej

tam nie było. Pozwoliła, by Geoffrey po prostu ją zabrał. Czowała się tak pusta jak wypełniony ogromną ilością powietrza balon. Jakby sama była powietrzem.

Słońce chowało się już za brzoza rosnącymi na Poppasauah Point, kiedy sędzia na środku ringu narysował kredą linię i wezwał pięściarzy, by stanęli do pokazowej walki, mającej uświetnić bristolskie obchody Czwartego Lipca. Chmura dymu wydzielanego przez płonące, nasączone olejem pochodnie już zaczynała zagęszczać powietrze nad prowizorycznym ringiem, utworzonym na środku błoni. Ogrodzenie stanowiły słupki wyciosane z sosny, która do niedawna rosła w Tanyard Wood. Połączono je sznurami pochodzącymi z olinowania statku. Rozciągnięte na trawie płótno zeszyte zostało ze starych żagli.

Przeciwnicy już wcześniej rzucili na ring swoje kapelusze, a do kątów po monecie. Obecnie Shay stał w swoim rogu, potrząsając rękami i nogami, by rozluźnić mięśnie, i wykonując głębokie wdechy, by zmusić płuca do wysiłku.

Wzrokiem lustrował kłębiący się tłum w poszukiwaniu żony, ale wcale nie był pewien, czy ją znajdzie.

Chociaż nie rozmawiali dużo na ten temat, zdawał sobie sprawę, że w głębi duszy Bria wcale nie przestała być zła o to, co miał zamiar zrobić. O to, że łamał obietnicę, którą niegdyś jej złożył, i że nie wytrwał w postanowieniu, którego każdy mężczyzna powinien się twardo trzymać: że zawsze, w każdej sytuacji będzie strzegł własnego honoru.

Jest! Jednak przyszła. Stała obok ozdobionej postrzepionymi chorągiewkami estrady. Była sama.

Już wcześniej zapowiedziała mu, że ma zamiar poprosić sąsiadkę, panią Hale, zakichaną jankeskę, lecz niezwykle życzliwą kobietę, żeby pomogła dziewczynkom zająć się dzieckiem. Bria była zdecydowana zostawić córki w domu przy Thames Street, nie chcąc pozwolić, by obserwowały walkę.

- Ani one, ani ty nie musielibyście się wstydzic - powiedziała - gdybyś przegrał w uczciwej walkę. Nie zgodzę się jednak, by obserwowały, jak ich ojciec sprzedaje honor za pieniądze.

- Robię to dla nich - odparł.

Przez chwilę myślał, że Bria go uderzy, tak bardzo była zła.

- Nie okłamuj mnie, Seamusie McKenno - rzekła, a jej słowa były tym bardziej bolesne, że wypowiedziane cicho i łagodnie. - Robisz to dla Irlandii. Czymże jednak jest Irlandia dla twojego syna, który nawet się w niej nie urodził, albo dla twoich córek, które ledwo ją pamiętają? Dla nich Irlandia to tylko miejsce na mapie. Kiedy masz zamiar uznać, że dzieci są dla ciebie ważniejsze niż Irlandia, Shay? Kiedy ja będę od niej ważniejsza? Czy dopiero po śmierci?

Objął Brię, próbując przytulić ją do siebie.

- Briu, słodki Jezu! Nie mów tak. Wiesz, że kocham cię bardziej niż wszystko.

Przez chwilę stała sztywno, dopiero moment później objęła go i oparła głowę na jego piersi, własnym ciałem dodając mu otuchy.

- Nigdy nie mówiłam, że mnie nie kochasz.

Po tych słowach ogarnął go ogromny wstyd, właściwie wciąż go odczuwał. Wstyd i smutek, wynikający ze świadomości, że tak bardzo musi ją zawieść. Honor był dla Brii wszystkim. Może ważniejsza niż honor była jedynie jej miłość do niego i dzieci.

W tej jednak chwili wcale nie spoglądała na niego oczami zakochanej kobiety. Shay był człowiekiem, który swą rosnącą postacią wzbudza nawet w mężczyznach strach, ale jego żona nigdy się go nie ulękła, zawsze potrafiła stawić mu czoło i znaleźć odpowiedź na każde jego słowo. Bria O'Reilly McKenna bała się Boga, ale Shay szczerze wątpił, czy jeszcze coś było w stanie wzbudzić w niej lęk.

Dlatego, kiedy uchwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się. Tak właśnie uśmiechał się, gdy naszła go chęć na igraszki w łóżku, a Brii zostało jeszcze sporo do roboty lub nie była w odpowiednim nastroju... W takich sytuacjach jego zniewalający uśmiech potrafił zdziałać cuda.

Lecz tym razem nic z tego nie będzie. Jednak obserwując Brię, zauważył, że jej rysy złagodniały. I chociaż nie widział jej dobrze, ponieważ dzieliło ich sporo ludzi, wydawało mu się, że w jej oczach pojawiło się ciepło, wspaniałe ciepło dobrze podsyconego ognia w chłodną noc. Że w kącikach jej ust pojawił się wyraz, który każdego mężczyznę zachęca do całowania. Że Bria wygląda jak kobieta, która kocha męża i wybacz mu wszystko, chociaż wie, że nie powinna.

Nagle zdał sobie sprawę, że ma zaciśnięte i obolałe gardło. Znał to uczucie z czasów, kiedy był jeszcze chłopcem i miał ochotę płakać, lecz był już na to za duży.

Od dłuższego czasu nie wracał myślami do dawnych dni na plażach Gortadoo. Obecnie jednak ogarnęły go wspomnienia z tamtego okresu. Podziwiał wówczas siłę woli, którą odkrył u Brii, nim jeszcze zdążył przekonać się o jej głębi. Podobał mu się sposób, w jaki poruszały się mięśnie jej pleców, kiedy rozkładała na kamieniach jego sieci; sposób, w jaki rozstawiała bose stopy, dla pewności zagłębiając je w piasek. Zawsze pewnie stąpała po ziemi, podczas gdy on chodził z głową w obłokach.

Nie zapomniał, co czuł i jak bardzo jej pragnął, kiedy stał za nią, opierając klatkę piersiową o jej plecy i zaplatając ręce pod jej piersiami, kiedy razem obserwowali, jak słońce powoli zanurza się w purpurowym morzu. Wiatr zarzucał mu na twarz jej włosy, a on wdychał ich zapach, czując, że z wrażenia serce zamiera mu w piersi.

Pamiętał, jak wyglądała jej twarz, kiedy unosiła się nad nim w ciemnej, pełnej tajemnic jaskini pożądania, kiedy udami obejmowała jego biodra, przyciskała do niego piersi, a po jej policzkach płynęły słone, ciepłe łzy. Powiedział wówczas: „Mam zamiar zostać księdzem”. Ale było to kłamstwo.

Poczuł uderzenie na ramieniu. Oderwał wzrok i myśli od żony. Popatrzył na zmarszczone czoło szwagra.

- Nie wiem - powiedział Donagh - jakimi drogami wędrują twoje myśli, chłopcze. Ale lepiej będzie, jeśli się z nimi pożegnasz, bo inaczej po dziesięciu sekundach wylądujesz na ziemi.

- Rób to, co do ciebie należy - odparł Shay. - A ja zrobię swoje.

Donagh wysunął brodę do przodu.

- Zmoczyłem wszystkie gąbki w wiadrze i mam pod ręką gotowe ręczniki, skoro o tym mowa. Tymczasem wygląda na to, że jestem sekundantem człowieka, który zapomniał, w jaki sposób zostaje się mistrzem.

Na twarzy Shaya pojawiły się rumieńce.

- O, **Dhia**, Donagh. Już dawno temu powinienem ci powiedzieć, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego można postawić w rogu ringu. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

Donagh westchnął, wzruszył ramionami i odrobinę się zarumienił.

- Tak, no cóż... Na całe szczęście nasz biskup jest bardzo mądrym człowiekiem i właściwie to jemu powinniśmy dziękować.

Biskup będący zwierzchnikiem ojca O'Reilly'ego wcale nie był zadowolony, gdy dowiedział się, że jeden z jego księży ma zamiar pełnić funkcję sekundanta podczas walki bokserskiej. Zmienił zdanie, kiedy usłyszał, że pewna część nagrody pieniężnej trafi do ubożuchnej skarbonki parafii Najświętszej Marii Panny.

Sędzia wywołał zawodników na środek ringu, by podali sobie ręce. Obaj mieli walczyć rozebrani do pasa, przyodziani jedynie w sięgające kostek spodnie i skórzane buty. Mimo to harwardzki mistrz wybiegł w zielononiebieskim szlafroku z tureckiego jedwabiu, co zmusiło ojca O'Reilly'ego do wygłoszenia uwagi niegodnej kapłana.

Shay po raz pierwszy spojrzął przeciwnikowi w twarz. James Parker był dobrze zbudowanym młodym mężczyzną z dużymi, szeroko rozstawionymi oczami i typowym dla jankesów długim, wąskim nosem. Arystokratyczny nos był według Shaya zbyt prosty, w związku z tym od razu sobie przyrzekł, że dla dobra chłopca złamie mu go. Zanim w czwartej rundzie, tym razem dla dobra Irlandii, sam padnie na deski.

Kiedy podawali sobie ręce, Shay zajrzał przeciwnikowi głęboko w oczy i dostrzegł w nich strach.

Na ringu nie mogło się obejść bez strachu. Na własnym języku czuło się jego gorzki, ostry smak, a w pocie jego zapach. Tajemnica zwycięstwa polegała na zagłuszeniu wszelkich obaw. Czającego się na dnio serca lęku należało nienawidzić jeszcze bardziej niż mężczyzny, który stał w przeciwnym rogu.

Kiedy sędzia rozdzielił ich dłonie, udali się do przeciwnych kątów. Shay wyciągnął ręce do Donagha, by kapłan mógł zawiązać mu cienkie, skórzane rękawice treningowe.

Rękawice były ukłonem w stronę prawa, które wymagało tego typu zabezpieczenia nawet w czasie walk pokazowych i dostępnych dla publiczności spotkań sparingowych. W Irlandii Shay walczył gołymi pięściami, które wcześniej moczył w soku orzecha włoskiego. W tamtych czasach jego ręce były tak twarde

i mocne jak sęki. Obecnie sporo im do tego brakowało, dlatego też wiedział, że mimo rękawic, nim wieczór dobiegnie końca, będzie miał poobijane i opuchnięte dłonie.

Donagh zawiązał ostatnie tasiemki i spojrzał na Shaya.

- Pamiętasz, jaki jest plan? - zapytał cicho.

- Tak.

Uzgodnili, że przez trzy rundy Shay będzie ostro boksował, by widzowie mieli na co popatrzeć. Podczas walki miały obowiązywać zasady markiza Queensberry'ego, w związku z czym dyskwalifikacji podlegał zawodnik, którego upadek nie był wynikiem otrzymanego ciosu, nawet jeśli bokser tylko się poślizgnął. W czwartej rundzie płótno zastępujące deski będzie tak śliskie od krwi i potu, że Shay na pewno zdoła przekonująco się „poślizgnąć”.

- Postaram się, żeby to naprawdę wyglądało... - **przekonująco**, chciał powiedzieć. Jednak nie dokończył zdania, ponieważ w otaczającym ring krzykliwym tłumie ludzi uczestniczących w obchodach Czwartego Lipca zauważył nagle Emmę.

Stała, wspierając dłoń na ramieniu swego przyszłego męża, przystojnego i bogatego Geoffreya Alcotta, ale nawet z tej odległości Shay widział, że jej wzrok przykuty jest do ringu. Zaczął się zastanawiać, co ona widzi. Czy w jej oczach Shay McKenna jest irlandzkim awanturnikiem, który pokonuje mężczyzn za pomocą pięści, czy też błędnym rycerzem, za jakiego sam się uważał. Co powiedziałyby, gdyby dowiedziała się, że nie jest to ciężka, uczciwa walka i że zrezygnował z własnego honoru, by dostać pieniądze, za które można będzie zaopatrzyć irlandzkich wojowników w strzelby i wesprzeć rebelię.

Boże w niebiesiech... Wystarczająco przykra i trudna do zniesienia była świadomość, że żona wcale nie pochwała tego, co postanowił zrobić. Po co zastanawiać się, co o tym sądzi ktoś taki jak panna Emma Tremayne! Raptem, ku własnemu zaskoczeniu, nagle zdał sobie sprawę, że bardzo go to obchodzi. Nie mógł dopuścić do siebie myśli, że w jej oczach okryje się wstydem i splami swój honor.

Donagh zaskoczył go, wsuwając mu kawałek skóry między zęby.

- Byłoby całkiem nieźle, chłopcze, gdybyś w końcu zaczął myśleć o tym, co cię za chwilę czeka - powiedział i mocno

klepnął go po ramieniu, po czym pchnął na środek ringu, gdzie czekał już chłopiec z Harvardu.

Tłum zamilkł i wstrzymał oddech, a potem rozległy się głośnie, przypominające wybuch petardy wiwaty, kiedy Shay szybkim prawym sierpowym uderzył Parkera w szyję tuż za uchem. Jan-keski bokser tak mocno zatoczył się, że konopny sznur zdarł mu z pleców kawałek skóry.

Potem przez siedem minut toczyła się brutalna walka, podczas której obaj przeciwnicy dzielnie dotrzymywali sobie kroku, aż w końcu Shay prawym prostym trafił Parkera prosto w środek twarzy. Mężczyzna opadł na jedno kolano. W tym samym momencie rozległ się dzwonek kończący pierwszą rundę.

Shay uśmiechnął się, ponieważ udało mu się złamać idealnie prosty nos mistrza Harvardu.

Ale i on oberwał. Miał pękniętą wargę, a jego klatka piersiowa pokryta była siniakami i czerwonymi pręgami.

Donagh przemył gąbką rozciętą wargę swego szwagra i krzywo spojrzał w róg jego przeciwnika. Sekundant Parkera wysysał krew ze złamanego nosa zawodnika i wypluwał ją.

- Święci pańscy - powiedział Donagh, potrząsając głową. -Wiesz, że bardzo cię kocham, chłopcze. Nie sądzę jednak, by udało mi się zrobić coś podobnego. Tymczasem ty bez trudu trafiłeś w tak wspaniały cel, który wręcz prosił się o cios.

Śmiech Shaya przerwany został przez dzwonek.

- Pilnuj gardy i trzymaj łokcie przy żebrach! - krzyknął Donagh, kiedy Shay opuszczał swój róg. Parker również szybko się pojawił, lecz w ciągu pierwszej minuty Shay zauważył, że ciosom jego przeciwnika brakuje prędkości i wyczucia czasu. Zaczął otrząsać się nawet po ciosach, które nie dotarły do celu.

Człowiek walczy nie tylko rękami, lecz również głową. Chociaż strach jest nieodłącznym towarzyszem boksera, nie wolno mu ulec. Nie można obawiać się bólu spowodowanego przez cios przeciwnika, ponieważ oznacza to poddanie się lękowi. A to z kolei oznacza przegraną.

James Parker wyraźnie czuł własną porażkę, ponieważ zaczął pocić się ze strachu i oszukiwać. Biegał po ringu i młócił rękami, przez cały czas starając się podstawić Shayowi nogę. Zadał również dwa ciosy poniżej pasa, co spotkało się z dezaprobatą widzów.

Shay doszedł do wniosku, że musi pohamować nieco ciosy, inaczej walka zakończy się przed czwartą rundą. Nagle Parker zrobił zwód i wymierzył cios, przed którym Shay bez trudu się uchylił. Przy okazji jednak poślizgnął się na odrobinie krwi i chociaż nie upadł, na chwilę opuścił gardę. W tym momencie dostał mocny cios w szyję. Poczul, że nogi uginają się pod nim jak włoski makaron, mimo to zdołał się wyprostować. Potem jednak był w stanie jedynie podskakiwać, machać rękami i robić uniki; na szczęście zdołał dotrwać do dzwonka.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział Donagh, puszczając wodę z syfonu między zmaltretowane wargi Shaya - wcale nie lubię tego faceta. Myślę, że należałoby dać mu nauczkę.

Shay uśmiechnął się, potem jednak, poczuwszy ból w rozciętej wardze, wykrzywił usta.

- A co ze skarbonką Najświętszej Marii Panny? Donagh odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech.

- Bóg daje człowiekowi to, na co sobie zasłuży, więc na pewno zrozumie.

- A co ze strzelbami dla klanu?

- Klan składa się z dumnych i walecznych Irlandczyków, oni również to rozumieją.

Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, Shay poderwał się na równe nogi, lecz jeszcze przez chwilę został w swoim rogu.

Spojrzał na żonę i przyszło mu na myśl, że być może w głębi duszy przez cały czas miał zamiar tak właśnie postąpić.

Ze względu na nią... Dzięki Brii zawsze był lepszym człowiekiem niż w rzeczywistości.

Bokser walczy nie tylko rękami i głową, lecz również sercem. Walczy z nienawiścią i ogniem, który nosi w głębi serca. By gołymi pięściami rozłożyć człowieka na deski, trzeba dać z siebie wszystko i walczyć bez żalu, bez litości.

W tym zaś celu niezbędna jest nienawiść.

Shay wymierzył prawą ręką wspaniały cios, który zmiażdżył to, co zostało z nosa Parkera, lecz wcale nie widział twarzy człowieka, którego uderzył. Przed oczami miał leżące na kamienistej plaży zmaltretowane przez morskie fale ciało matki. Widział też drobne, białe ciało żony, przyciśnięte przez drania,

który miał na sobie surdut tak czerwony jak krew spływająca między jej udami.

Okładał twarz tego człowieka krótkimi, ostrymi ciosami, walił go po klatce piersiowej i brzuchu, zmuszając do cofania się przez całą długość ringu, aż na sznury. Parker trzymał przed sobą ręce, bezskutecznie próbując osłaniać się. Sam już nawet nie próbował zadawać ciosów, z wyjątkiem jednego słabego, wymierzonego niepewną lewą ręką uderzenia w twarz przeciwnika.

Shay kilkakrotnie lewą ręką zdzielił go w twarz, potem za-markował, że prawą ręką wymierza cios w szczękę. Parker otrząsnął się, uniósł ręce wyżej, a Shay przerzucił cały ciężar ciała na wysuniętą do przodu lewą stopę i prawą pięścią uderzył mistrza Harvardu w serce, lewą zaś w żołądek.

W tym momencie usłyszał i poczuł, że kciuk wyskoczył mu ze stawu, a równocześnie dostrzegł, że z oczu Parkera znika blask. Nieprzytomny mistrz Harvardu padł na ring.

Jego sekundant wyjął z wiaderka gąbkę i rzucił ją na środek ringu, tymczasem tłum krzyczał: „Nokaut! Nokaut!” i wdzierał się przez sznury.

Shay rozejrzał się, szukając wzrokiem żony. Uśmiechniętą, przepychała się przez tłum ludzi, dążąc w jego stronę. Doszedł do wniosku, że Bria wygląda niezwykle młodo i ładnie, a uroku dodają jej zaróżowione policzki i odbijające się w jej wspaniałych włosach światło pochodni.

Nagle jednak ciężko zakaszłała i przyłożyła zaciśniętą dłoń do klatki piersiowej. Miał wrażenie, że widzi, jak jej serce kołacze się między żebrami niczym dzikie zwierzątko.

Rozchyliła wargi, a Shayowi wydawało się, że wymówiła jego imię, lecz z jej ust chlusnęła jasnoczerwona krew. Było jej tak dużo, tak bardzo dużo, że zalała cały przód sukni, co wyglądało, jakby ktoś podciął Brii gardło.

- Briu! - zawołał i ruszył do przodu. Rozepchnął ludzi, przeszedł między sznurami i podszedł do żony. W tym momencie odpalono sztuczne ognie i na niebie pojawił się deszcz gwiazd.

XXI

Bria odwróciła głowę i przyjrzała się własnym włosom na poduszce. Były zmatowiałe i pozbawione koloru, rdzawe jak zaschnięta krew. Natomiast zwinięta obok policzka dłoń bielała przypominając wysuszoną kość.

Wokół nadgarstka marszczyła się najpiękniejsza koronka, jaką była w stanie sobie wyobrazić. Czuła, jak gładki jedwab nocnej koszuli pieści jej wychudzone ciało. To Emma, pomyślała, droga Emma musiała ubrać mnie w jedną ze swoich koszul.

Bria bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda w tym stroju, szybko jednak przestała żałować, że jest to niemożliwe.

Wiedziała, że obecnie jej ciało jest jedynie kupką kości.

Tym razem była sama. Wcześniej, ilekroć się budziła, zawsze w pokoju ktoś siedział. W ciągu dnia zazwyczaj była to Emma, a w nocy Shay. Czasami oboje. Od czasu do czasu pojawiały się również dziewczęta. Ich przestraszone spojrzenia świadczyły o tym, że doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje, a Bria, widząc to, miała wrażenie, że pęka jej serce. Odwiedzał ją także Donagh z przerzuconą przez szyję zieloną stułą. Chciał udzielić jej ostatniego namaszczenia, które wkrótce rzeczywiście będzie potrzebne.

Raz pani Hale przyniosła nawet małego Jacka, żeby matka mogła go zobaczyć, chociaż nie miała już siły, by karmić go piersią lub choćby tylko wziąć na ręce.

Nawet oddychanie wymagało więcej wysiłku niż zwykle. Miała wrażenie, że po każdym wypuszczeniu powietrza z płuc ktoś dokłada na jej klatkę piersiową ciężki kamień. Już wkrótce okaże się, że jest o jeden kamień za dużo, a wówczas będzie to jej ostatni oddech.

Biedny Shay i Emma starają się uśmiechać, głaskać ją i dodawać otuchy. Udają, że nie widzą rosnącego na piersi chorej stosu kamieni. Lecz czasami... och, czasami budziła się, nim zdolali się zorientować. W takich chwilach przyłapywała ich na gorącym uczynku, kiedy na ich twarzach wyraźnie było widać, jak bardzo są przygnębieni.

Teraz docierały do niej z kuchni odgłosy kroków, gwizdanie czajnika i stłumione słowa. To Shay rozmawiał z Emmą. Bria

pomyślała, że chociaż jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy, już wspierają się nawzajem i dodają sobie otuchy. Bria McKenna przymknęła ociężałe powieki i biorąc następny wdech, zaczęła planować, w jaki sposób pożegna się z nimi wszystkimi.

Zacząła od brata.

Za każdym razem, kiedy przychodził, pytał, czy Bria odczuwa żal za popełnione grzechy, a ona odpowiadała piskliwym, dziwnym nawet dla własnych uszu głosem:

- Żałuję wszystkich, z wyjątkiem jednego, którego nigdy nie wyznam żadnemu człowiekowi, nawet księdzu, Donagh. Dlatego też nawet mnie o to nie pytaj.

W końcu jednak nie mogła znieść myśli, że po jej śmierci brat mógłby cierpieć, niepokojąc się o stan jej nieśmiertelnej duszy i czując się tak, jakby zawiódł i ją, i Boga.

Kiedy więc przyszedł następnym razem, opowiedziała mu, co wydarzyło się owego dnia w Castle Garden. Udała, że wyznaje ten grzech z prawdziwym wstydem, chociaż w jej sercu wcale nie było skruchy.

Mimo to, zobaczywszy, jak wąska dłoń brata kreśli nad jej głową znak krzyża, i usłyszawszy słowa: *Ego te absoho...* w głębi duszy poczuła, że jej grzech został odpuszczony.

Kładąc hostię na języku Bria i przywracając jej duszy stan łaski, Donagh płakał, lecz tuż przed wyjściem pochylił się i szepnął siostrze do ucha:

- Czyż nie mówiłem ci, że Bóg łatwiej odpuszcza grzechy popełnione z miłości?

Bardzo trudno było pożegnać się z córeczkami.

Gdyby Bria była bardziej podobna do Shaya - który czytał mnóstwo książek i zastanawiał się nad wszystkim - być może zyskałaby wiedzę, którą mogłaby przekazać dziewczynkom i dzięki której łatwiej by im było przebrnąć sieroce lata. Bria doszła jednak do wniosku, że w ostatecznym rozrachunku jej ignorancja i tak nie będzie miała żadnego znaczenia. Córki będą musiały czerpać wiedzę z życia lub nigdy jej nie posiadą.

Chciała powiedzieć im coś, dzięki czemu nigdy jej nie zapomną. Obawiała się jednak, że jeśli zbyt długo i intensywnie

będzie się nad tym zastanawiać, zapamiętając przede wszystkim jej umieranie, a tego nie mogłaby znieść. Należało brać również pod uwagę małego Jacka, który w ogóle nie będzie pamiętał matki.

Dlatego też za każdym razem, kiedy widziała dziewczynki, po prostu prosiła, żeby położyły się obok niej, a wówczas brała je w objęcia i powtarzała im, że je kocha.

Chciała, by w głębi ich serc utkwiała świadomość, że były kochane.

Emmie, kochanej przyjaciółce, zwierciadlanemu odbiciu, powiedziała:

- Kiedy nic nie widziałam, ofiarowałam ci jedną ze swych pięknych koszul nocnych.

Zauważyła, że Emma z trudem przełknęła ślinę, a na jej ustach zamarł uśmiech.

- Zawsze dużo chciałam ci dać - wyznała Emma - lecz ty nigdy mi na to nie pozwoliłaś.

- Ofiarowałam ci więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Teraz również możesz coś dla mnie zrobić. Obiecuj, że kiedy umrę, będziesz odwiedzać dziewczęta i Shaya.

Oczy Emmy zrobiły się okrągłe - z zaskoczenia lub lęku. Bria nie była pewna, na ile każde z tych dwojga zdołało przyznać się przed samym sobą do budzącej się miłości. Wiedziała jednak, że z całą pewnością nie zdradzili sobie nawzajem swych uczuć. Oboje bardzo ją kochali i za nic w świecie nie chcieliby wyrzucić jej krzywdy.

Kiedy umrze, nic nie zdoła jej zranić. Nigdy zresztą nie zszargaliby swej miłości do niej, ulegając uczuciu, jakie żywili do siebie nawzajem.

Nie mogła mówić o tym otwarcie, zwłaszcza z Emmą, łatwiejsze było to w przypadku Shaya. Słowa przerażały Emmę. Dziewczyna mieszkająca w srebrnym domu i tańcząca w złoconych salach balowych, z diamentami we włosach, była bardzo zaniepokojona, jeśli zagładało się w głąb jej serca.

Dlatego też Bria powiedziała:

- Obiecuj mi, że będziesz tu przychodzić ze względu na dziewczynki. Pokochały cię. Jeśli stracą również ciebie, nie zdołają tego znieść.

Emma, pokonując łyzy, odrzekła:

- Będę tu przychodzić. Będę przychodzić dopóty, dopóki one będą mnie potrzebowały.

Wyciągnawszy od Emmy tę obietnicę, Bria, kiedy tylko nie spała i miała choć trochę siły, poświęcała czas na snucie opowieści o swoim mężu. O żadnym z irlandzkich dzielnych rycerzy nigdy nie śpiewano tak wspaniałych pieśni jak te, w których Bria wysławiała Shaya McKennę.

Pewnego razu powiedziała:

- Moim zdaniem Shay uwielbia mówić o tym, co właśnie czuje. Lecz może mężczyznom w ogóle łatwiej żyć chwilą obecną. My, kobiety... mamy skłonności do zastanawiania się nad dniami, które minęły, i nad tymi, które dopiero nadejdą.

Emma zapytała:

- Briu, kiedy wracasz myślami do minionych dni, czy zastanawiasz się czasami, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś następnego dnia po tańcach na rozstaju dróg nie wyszła na plażę, by poczekać na Shaya? Czy kiedykolwiek doszłaś do wniosku, że mogłabyś dokonać innego wyboru?

A ona odparła:

- Tak, i być może rzeczywiście zdecydowałabym się na coś innego. Może postanowiłabym w ogóle go nie kochać lub zajrzałam w głąb własnego serca, a wówczas udałoby mi się znaleźć tę pełną odwagi miłość, która pozwoliłaby mu odejść. Z drugiej jednak strony, kiedy zastanawiam się nad dniami, które potem nastąpiły, wiem, że warto było go kochać, niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy.

Pod koniec tego dnia Bria dostała tak silnego ataku kaszlu, że wszystko wokół splamione było krwią - ściana i podłoga, nawet pocztówka z Najświętszą Marią Panną. Emma, nie zważając na elegancką suknię, posprzątała to wszystko swymi wypielegnowanymi rękami.

Kiedy atak minął, zmęczona Bria ułożyła się na poduszkach i z trudem łapiąc powietrze, powiedziała Emmie to, co czuła w głębi serca.

- Czy kiedykolwiek mówiłam ci, że *mo bhanacharaid...* -sapnęła, a powietrze zaświstało jej w piersiach - ...to po irlandzku „moja najlepsza przyjaciółka”? Jesteś moją najlepszą, prawdziwą przyjaciółką...

Emma, która właśnie pochylała się nad łóżkiem, wsuwając czyste prześcieradło, chwyciła rękę Bria w obie dłonie i uniosła ją do policzka.

- O Boże, o mój Boże. Nie wiem, co ja bez ciebie, pocznę. Bria czuła, że jest coraz słabsza, a kamienie coraz bardziej ciążyą jej na piersi. Zdołała jednak się uśmiechnąć.

- Pamiętasz...? Wystarczy, że spojrzysz w lustro.

- Nie, nie. - Emma potrząsnęła głową tak mocno, że płynące z jej oczu łzy prysnęły prosto na złączone dłonie. - Myliłam się, bardzo się myliłam. Wcale nie jesteś moim zwierciadlanym odbiciem, jesteś moją lepszą częścią. Nauczyłaś mnie, jaka powinnam być. Pokazałaś mi, jak należy postępować, a teraz zostawiasz mnie, żebym samotnie borykała się z życiem.

Nie, pomyślała Bria, zostawiam cię, żebyś borykała się z nim u boku mojego Shaya.

Shay...

Wciąż, tak samo jak zawsze, była w nim zakochana.

Ilekoć budziła się w nocy i widziała go siedzącego na krześle obok łóżka, czuwającego przy niej, pragnęła, by w jego pamięci utkwiał na zawsze całkiem inny obraz. Chwile, kiedy Bria była młoda, ładna i pełna życia.

Pewnej nocy poprosiła go, żeby położył się obok. Kiedy leżał zwrócony twarzą do niej, a jego ramię opierało się na jej talii, przypomniała sobie chwile spędzone w grocie, kiedy oboje byli bardzo młodzi i właśnie tak leżeli, mocno przytuleni do siebie.

Położyła dłonie na jego piersi i poczuła napięte mięśnie; zdała sobie sprawę, że Shay bliski jest załamania.

Przypomniała sobie, jak niegdyś w Irlandii przez trzy dni była przekonana, że on nie żyje, doskonale pamiętała związany z tym ból, który przekraczał wszystko, co przeżyła do tej chwili. Zastanawiała się, jak on to wytrzyma, jakim cudem udaje mu się od wielu miesięcy żyć ze świadomością jej powolnego umierania. A może w głębi serca już dawno przygotował się na tę śmierć?

Serce Shaya bardzo często było dla niej tajemnicą. Przyszło jej jednak na myśl, że nawet jeśli poprosi go tej nocy o chwilę prawdy, próbując dowiedzieć się, czego Shay rzeczywiście pragnie, on i tak odpowie: „Żebyś żyła”.

Tymczasem była to jedyne życzenie, którego nie mogła spełnić. Podsunęła mu zatem inne marzenie, nawet jeśli jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Położyła dłonie na klatce piersiowej Shaya i poczuła bicie jego serca.

- Spełnisz moją małą prośbę, kochanie? - zapytała. - Zależy mi na tym, żebyś przez jakiś czas po mojej śmierci opłakiwał mnie, wylewał łzy i bardzo za mną tęsknił. Chcę jednak, żebyś potem poprosił Emmę o rękę.

Wpadające przez okno błękitne światło księżyca ukazało widoczny na jego twarzy ból i poczucie winy. Bria dostrzegła również coś, czego wolałaby nie zobaczyć - upór.

- To nie jest „mała prośba”, Briu - odparł.

- W takim razie ogromna. - Uniosła rękę, chwyciła go za szyję i przysunęła się bliżej.

- Jest to głupia i niemożliwa do spełnienia prośba - powiedział, a jego głos stał się szorstki od bólu. - Nie jesteś w stanie zmusić jej, by zajęła twoje miejsce. Ani w moim sercu, ani w sercach naszych dzieci. Nie możesz po prostu nakazać mi, abym ją pokochał; nie myśl również, że po twojej śmierci mam zamiar się ożenić.

- Emma kocha nasze dziewczęta, a one odwzajemniają to uczucie. Pamiętaj, że w ich wieku trudno obejść się bez matki. Pomyśl również o naszym biednym, małym Jacku - będzie potrzebował matki bardziej niż cokolwiek na świecie. Wiem, że Emma będzie dla ciebie bardzo dobrą żoną. Poszłaby za tobą na koniec świata.

Roześmiał się nerwowo.

- Kochanie, Emma ma tyle pieniędzy, że może kupić sobie cały świat. Czegoż mogłaby chcieć ode mnie...?

- Miłości. Shay, ona cię kocha. Widzę to na jej twarzy, a znam ją tak dobrze jak samą siebie, ponieważ w głębi duszy jesteśmy takie same. Kocha cię, bo jesteś odważnym, wspaniałym mężczyzną.

Poczuła, że jego pierś unosi się i opada w rytm niespokojnego oddechu.

- *A mhuire*, Briu. Ty jesteś moją żoną. Jedyłą żoną, jakiej pragnę.

Położyła głowę na jego piersi i umieściła policzek w zagłębieniu tuż powyżej serca, by słyszeć jego bicie.

- Wsłuchaj się w głos własnego serca - odpowiedziała. Upłynęło wiele godzin, a może zaledwie kilka minut, kiedy znów się odezwała.

- Źle postąpiłam, Shay... tamtej nocy na plaży w Gortadoo, odbierając cię Bogu.

Musnął ustami jej policzek, nos i wargi.

- ***Mo chridh, mo chridh...*** Już wówczas chciałem, żebyś została moją żoną, i nadal tego pragnę. Nie wiem, jak zdołałam przeżyć twoją śmierć.

Ilekcroć Bria miała trochę siły, prosiła wieczorami, żeby wynieść ją na dwór, ponieważ chciała obserwować dobiegający końca dzień. Owijali ją wówczas w kołdrę i sadzali na fotelu bujanym, dzięki czemu widziała, jak słońce powoli kryje się za Poppasquash Point.

Tego wieczoru chylące się ku zachodowi słońce zostawiało na niebie złociste wstążki. Powietrze było łagodne i spokojne.

W takie wieczory snuła wspomnienia...

Przypomniała sobie popołudnie w wolną sobotę, kiedy wybrali się na plażę miejską na piknik. Siedziała, opierając się plecami o sękaty pień wiązu. Shay położył głowę na jej kolanach, a ona bawiła się jego włosami. Były ciepłe od słońca i przesypywały się między palcami. Dziewczęta oglądały pozostawioną przez przypyływ kałużę. Przykucnęły na piasku, rozstawiając kolana, i pochyliły razem główki - rudą i brązową. Kochane dziewczynki... Kiedy Bria oderwała wzrok od córeczek i spojrzała na twarz męża, zobaczyła, że zasnął.

To był całkiem zwyczajny dzień i całkiem zwyczajna chwila, mimo to Bria nagle zdała sobie sprawę, że jest szczęśliwa. Niezmiernie szczęśliwa. Była tak pełna szczęścia, że lada chwila mogła wybuchnąć czystą, szaloną radością, mogła nawet zacząć krzyczeć.

Szczęście, które wówczas odczuwała, we wspomnieniach zamieniło się w czułość.

Otworzyła oczy i ujrzała, że jest sama. Nie, nie sama... Emma i Shay widocznie myśleli, że zasnęła, stanęli więc nad brzegiem wody i cicho rozmawiali. Bria usłyszała, że Shay się roześmiał.

Potem być może zapadła w sen, bo gdy otworzyła oczy, na horyzoncie widać było maleńkie pomarańczowe słońce. Shay i Emma nadal stali tam, gdzie poprzednio. Wyglądali tak, jakby złociste światło obrysowywało ich kontury, lecz coś takiego dzieje się tylko wówczas, kiedy słońce wyłoni się po burzy.

Najdziwniejsze było to, że Bria słyszała głos Shaya, nie tak zdarty jak obecnie, lecz piękny jak w przeszłości. Słyszała ten głos, który krążył w jej żyłach.

Słyszała go tak dobrze, jakby Shay stał tuż obok, choć była pewna, że jego słowa skierowane są do Emmy i że to właśnie z Emmą rozmawia. Mówił:

- W wieczory takie jak ten człowiek ma wrażenie, że słońce kurczowo trzyma się krańców świata i że dzień może trwać w nieskończoność. Jednak w chwilę później słońce rozluźnia swój chwyt i dzień gaśnie. Mimo to jakimś cudem gdzieś na dnie serca pozostaje nadzieja. Nadzieja i wspomnienie.

Tak, pomyślała Bria, wspomnienie nie umiera. Otworzyła usta, by zawołać męża, lecz poczuła, że nie może złapać tchu.

Przez chwilę miała wrażenie, że zapadła noc. Potem jednak zauważyła, że się myli, ponieważ słońce świeciło jaśniej niż dotąd, oświetlając idącego w jej stronę Shaya, który nie miał cienia; był młody, radosny i promieniował energią. Zapytał:

- Czy zatańczysz ze mną, *mo chridh*?

Ukryła się w jego ramionach, a potem w blasku tego czarującego, słonecznego dnia tańczyli, śmiali się i kochali.

XXII

Pomalowana na czarno trumna Briei McKenny stała na dwóch taboretach pośrodku kuchni, której ściany wyklejone były wyblakłą tapetą w rajskie ptaki, a podłogę pokrywało popękane linoleum.

Głowę Briei zdobiły ułożone półkolistnie sztuczne kwiaty, a przy jej stopach płonęła święta lampka i wysokie świece. Ich płomienie migotały, ponieważ co chwilę poruszał je podmuch wiatru wpadającego przez otwarte drzwi, za którymi rozpościerała się letnia nocna mgła.

Wiszący niegdyś na ścianie sypialni obrazek z Matką Boską leżał teraz na piersi Brii. Dłonie jej opleciono brązowym drewnianym różańcem, co wyglądało tak, jakby się na nim modliła. Wszyscy mówili, że zmarła wygląda pięknie. Obok trumny stał mąż Brii. Miał na sobie czarny garnitur. Podawał rękę mężczyznom i pozwalał kobietom całować się w policzek. Żałobnicy składali mu kondolencje i wręczali kartki świadczące o tym, że zamówili mszę za spokój duszy Brii. Usta Shaya cicho wypowiadały podziękowania, lecz w jego oczach widniała pustka.

Tuż obok niego siedziały córeczki, których złożone rączki leżały wśród fałdów fioletowych żałobnych sukienek. Noreen odpowiadała wszystkim, którzy się do niej odzywali, uprzejmym, przytłumionym głosem, natomiast Merry milczała. Nawet nie próbowała nucić, jedynie od czasu do czasu zaczerpywała tak gwałtownie tchu, że podskakiwał wiszący na jej szyi medalik.

W kołysce obok pieca spał synek Brii, dziecko, które nie pozna własnej matki.

Wcześniej - jeszcze zanim pojawili się sąsiedzi Brii i jej koleżanki z fabryki, by po raz ostatni złożyć jej uszanowanie - w kuchni było tak cicho, że Emma słyszała, jak do wiaderka kapią krople z topniejącego lodu. Pomogła dziewczętom rozwiesić nad drzwiami czarną marszczoną bibułę. Słyszała wówczas pokrzykiwanie portowych mew i pojękiwanie boi na spowitej mgłą zatoce.

Porozkładała po całej kuchni wazony z polnymi kwiatami, przygotowała kawę i herbatę, nałożyła na talerze ser, peklowaną wołowinę i chleb, przez cały czas nasłuchując, czy na werandzie nie słychać kroków Shaya. Lecz on przez cały czas był na plaży, w miejscu gdzie zmarła Bria.

Myśleli, że śpi. Stali razem, obserwując zachód słońca i rozmawiając. Nie mówili o niczym ważnym, wymieniali po prostu uwagi w ten pozbawiony skrępowania sposób, jaki wypracowali podczas ostatnich kilku tygodni choroby Brii.

Rozmawiali, dopóki słońce nie rozpląnęło się w miedzianych wodach zatoki, a potem odwrócili się, by wnieść Brię do domu. Wówczas okazało się, że zmarła. Emma pamiętała, że Shay powiedział: „Briu, kochanie. Odeszłaś”.

Kłęknał obok bujanego fotela i pocałował zimne wargi żony, a potem dźwignął ją i wniósł do domu. Emma została na plaży do czasu, kiedy fabryczny gwizdek oznajmił koniec zmiany. Wówczas weszła do domu, by pomóc Shayowi powiadomić dziewczynki o śmierci matki. Przytuliła do siebie Noreen i płakała razem z nią. Merry nie uroniła ani jednej łzy. Usiadła na kolanach ojca, przytuliła się do niego i nuciła najśłodsza, najsmutniejszą melodię, jaką Emma kiedykolwiek słyszała. Jeszcze chwilę została z dziewczynkami, a potem, kiedy pani Hale przyniosła Jacka, Emma nakarmiła go papką. Ale to Shay umył, a potem ubrał ciało zmarłej. Pod przewodnictwem brata Brii wszyscy odmawiali różaniec. Młody kapłan melodyjnym głosem, powoli i spokojnie, recytował modlitwy, sprawiając, że brzmiały one jak pieśń nadziei i wiary. Jego twarz była jednak szara jak popiół w wygasłym ognisku. Emma klęczała wraz z innymi i, zamknawszy oczy, słuchała stukania paciorków, na których odliczano „zdrowaśki” i „ojczenasze”. Wiedziała, że Brii przypadłaby do gustu piękna muzyka odmawianego różańca. Spodobałoby jej się również i to, co nastąpiło potem. Golibroda Colin nabrał do skórzanego worka powietrza, wziął do ust piszczałki i wypełnił noc wspaniałym, przejmującym i smutnym łkaniem, które chwytало za serce. A potem pojawiły się skrzypce i akordeon. Muzyka stała się głośna i radosna; nie trzeba było długo czekać, by buty same zaczęły przytupywać, a wisząca pod sufitem lampa naftowa zachwiała się, jakby maleńka chatka tańczyła na palach. Ktoś powiedział coś wesołego, ktoś inny roześmiał się, a potem rozmowa stała się tak samo żywa jak muzyka. Ojciec O'Reilly rozdawał wszystkim gliniane fajki i nosił miseczkę z tytoniem. Mężczyźni zanurzali kubki w stojącym w zlewie wiadrze z piwem i zaczęli przekazywać sobie z rąk do rąk dzbanek z *poitin*. Wkrótce w kuchni zrobiło się gorąco od natłoku ciał i płonących świec, a w powietrzu unosiły się obłoki tytoniowego dymu i słodowy zapach piwa. Kobiety zebrały się wokół stołu, bez końca popijając herbatę. Emma trzymała się na uboczu i słuchała ich rozmów, lecz nie

należała do tego świata. Wiedziała, że ci ludzie wcale nie są niegrzeczni. Nie mają po prostu pojęcia, jak się w stosunku do niej zachować.

- Dzięki Bogu, że zaczął jeść z butelki - mówiła pani Hale. Jako opiekunka małego Jacka, była ośrodkiem zainteresowania kobiet zebranych na stypie. - Biedaczka nie mogła go już dłużej karmić piersią. I nawet gdyby przyszło wam żyć sto lat, nie zobaczyłybyście słodszy dziecka. Nigdy się nie awanturuje. Potrafi leżeć godzinami w kołysce, wypuszczając z buzi ba-nieczki i ćwicząc uśmiechy.

- Ma uśmiech ojca - orzekła któraś z kobiet.

- A włosy matki, Boże miej go w swojej pieczy. Wszystkie spojrzały na leżącą w trumnie Brię, podziwiając jej rozłożone na kształt czerwonego wachlarza włosy, odbijające się od białej aksamitnej poduszki.

Wszystkie, oprócz Emmy, która wyszła przez otwarte drzwi i stanęła na frontowej werandzie, lecz noc nie była w stanie dodać jej otuchy. Cały świat rozplątał się w gęstej, białej, słonej mgle, która jedne odgłosy tłumiała, a inne wyolbrzymiała. Emma słyszała cichy syk przyływu, zalewającego znajdującą się za jej plecami plażę.

Plażę, na której zmarła Bria.

Odrzuciła do tyłu głowę i spojrzała w górę, w białą nieskończoność. Myślała, że już dawno wyczerpała zapas łez, ale ponownie napłynęły jej do oczu, a potem potoczyły się po policzkach i zamoczyły włosy.

Dłużej tego nie zniosę, pomyślała. Bóg musi natychmiast z tym skończyć, ponieważ nie zniosę tego ani chwili dłużej.

Następnego dnia miała się odbyć msza żałobna, po której Bria zostanie pochowana na cmentarzu przy kościele Najświętszej Marii Panny, między pochylonymi, starymi pomnikami, porośniętymi mchem. Grób jeszcze przez jakiś czas będzie przypominał świeżą bliznę, lecz za parę tygodni zacznie zarastać go trawa, a gdy nadejdzie zima, pod wpływem śniegu i deszczu poszarzeje nowy kamień. Na wiosnę Emma zasadzi fiołki.

W końcu łzy przestaną napływać jej do oczu, i to, co obecnie wydaje się nie do zniesienia, okaże się łatwiejsze. Na dnie serca jednak już na zawsze pozostanie smutek, który będzie jej towa-

rzyszył stale. Serce Emmy wiedziało już, że istnieją straty, z którymi człowiek nigdy nie zdoła się pogodzić. Nim stypa dobiegła końca, mgła zrobiła się gęsta jak maślanka. Goście zaczęli się rozchodzić w niewielkich grupach, razem z resztą rodziny lub osobno. Przed zniknięciem w spowitej w biel nocy każdy z nich zanurzał palce w święconej wodzie i otrzymywał od ojca O'Reilly'ego błogosławieństwo *Dia is Maire Dhuit*.

Potem dom spowiła cisza.

Emma pomogła dziewczętom rozebrać się i ułożyła je na resztę nocy w białym żelaznym łóżku. Nachyliła się nad nimi, odgarnęła rude loczki z czoła Merry i pocałowała delikatną, różową skórę.

Merry zanuciła.

- Ona mówi, że mama nie chce nas zostawić - wyjaśniła Noreen.

Emma ujęła w dłonie twarzyczkę Merry. Policzki dziewczynki były wilgotne od łez.

- Oczywiście, że nie chce, kochanie, ponieważ bardzo, bardzo was kocha. Ale teraz znajduje się już w niebie i odpoczywa w spokoju.

Merry zanuciła melodię, w której słyhać było protest, przez cały czas energicznie potrząsała główką, lecz tym razem Noreen tylko wzruszyła ramionami.

Emma poprawiła poduszkę pod okrągłym, ozdobionym dołeczkiem policzkiem Merry.

- Dobranoc, dziewczęta - powiedziała, chociaż te słowa z trudem przecisnęły się przez bolące gardło. Miała wrażenie, że cała jest obolała. Kiedy odwróciła się, by wyjść, Noreen spytała cichutko:

- Panno Emmo, poleży pani z nami chwileczkę?

Przykręciła zatem lampkę i ulokowała się obok nich na kołdrze, pomagając w ten sposób córeczkom Brii przetrwać drugą noc bez matki. Przez otwarte drzwi sypialni słyhać było, że Shay rozmawia z bratem Brii. Ścisłej rzecz biorąc, to ksiądz mówił; ze strony męża Brii nie padło ani jedno słowo. Kiedy dziewczęta w końcu zasnęły i Emma weszła do kuchni, Shay był sam. Stał na środku pokrytej zniszczonym linoleum podłogi, jakby nie bardzo wiedział, skąd się tu wziął.

Emma podeszła do niego, szeleszcząc czarną spódnicą z tafty. Położyła dłoń na jego plecach. Odwrócił się powoli, a jej ręka jeszcze przez chwilę dotykała jego czarnej marynarki.

Stojąc przed nim, czuła przenikliwy ból. Shay sprawiał wrażenie człowieka, któremu wyrwano serce z piersi.

Pragnęła go pocieszyć, chciała również, żeby i on dodał jej otuchy, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

- Jeśli jest jeszcze coś, co mogłabym dla pana zrobić... Widziała, że Shay próbuje się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

- Nie, dziękuję. Już i tak zrobiła pani bardzo dużo. - Jego wzrok powędrował w stronę trumny, jakby coś go do niej ciągnęło. Patrzył na nią, jakby czekał, że leżąca w niej kobieta wstanie i podejdzie do niego. - Chciałbym zostać sam - dodał.

Powiedział to bardzo łagodnie.

Odwróciła się i zostawiła go. Będąc już w drzwiach, obejrzała się za siebie, chociaż potem bardzo tego żałowała.

Shay podszedł do trumny i stanął ze wzrokiem utkwionym w twarzy zmarłej żony. Po chwili w pograżonej w ciszy kuchni rozległy się pełne rozpacz słowa:

- Jak mam żyć bez ciebie, Briu, kochanie? Czy możesz mi to powiedzieć, *mo bhean?*

Po śmierci żony Shay McKenna całe dni spędzał na łodzi rybackiej. O świcie wypływał na zatokę, a do domu wracał dopiero wówczas, gdy było już ciemno.

Łatwiej było wypełnić długie sierpniowe dni, wyciągając sieci, wybierając z nich ryby i zakładając przynętę. W wietrzne dni Shay płynął pod wiatr i wystawiał twarz oraz całe ciało na mocne, gwałtowne podmuchy, przypominające uderzenia pięści. Kiedy żagli nie wypełniała nawet najłżejsza bryza, wiosłował bez końca. Były to najlepsze dni, ponieważ wracał tak zmęczony, że nie był w stanie nawet myśleć, czuł jedynie ból nadwreżonych mięśni, stawów i kości.

Lecz czasami... Czasami zachodzące słońce nadawało niebu kolor jej włosów, a woda przelewająca się przez dziób wydawała dźwięk przypominający jej śmiech. Albo wieczorna bryza wydawała takie samo ciche westchnienie jak Bria, kiedy się w nią wsuwał. W takich chwilach Shay odczuwał rozdzierający

duszę ból, wynikający ze straty i świadomości, że to wszystko już nigdy się nie powtórzy.

Czasami czuł się tak, jakby wypalił do siebie ze strzelby i zrobił sobie dziurę w sercu.

Dwa tygodnie minęły od śmierci Brii, kiedy pewnego dnia wrócił z morza nieco wcześniej niż zwykle. Słońce już zaszło, a po szarym jak popiół niebie gdzieniegdzie sunęły obłoczki w kolorze węgla drzewnego. Bez pośpiechu przymocował łódkę, świadomie opóźniając chwilę, kiedy będzie musiał wejść do domu, w którym nie ma Brii.

Kiedy szedł schodami do góry i otwierał drzwi, na ulicy zapalono lampy, by rozproszyć ciemność. W kuchni rozchodziły się miłe zapachy gotującej się na piecu kolacji. Ruszył w stronę sypialni, lecz w progu zamarł.

Emma Tremayne pochylała się nad jego łóżkiem i zmieniała niemowlęciu pieluszkę. Nagle przytuliła twarz do brzuszka Jacka i delikatnie połaskotała go nosem, a malec zaczął machać zaciśniętymi w piąstki rączkami i wybuchnął charakterystycznym dla maleńkich dzieci śmiechem.

W oczach Shaya McKenny pojawiły się łzy.

Emma musiała wyczuć jego obecność, ponieważ wyprostowała się i odwróciła. Zaskoczona, cicho krzyknęła, a potem się zarumieniła.

- Pan McKenna! Myślałam, że jest pan... Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu. Trzeba było go przewinąć.

Przytaknął i machnął ręką, jakby zezwalał na zajęcie się synem. Nie był jednak w stanie wydusić z siebie ani słowa, w związku z czym cofnął się. Miał wrażenie, że jest za duży i niezdarny.

Usiadł przy kuchennym stole, a po chwili na jego kolana wskoczył Gorgeous. Shay skubał wystrzępione uszy kota, który w zamian ogromnymi łapami miesił uda swego pana. W domu panowała niczym nie zmacona, sympatyczna cisza. Słyszał bulgot gotujących się na piecu ziemniaków, a z sypialni dochodził szelest jedwabiu i cichy odgłos skórzanych pantofelków.

Właśnie zaczął się zastanawiać, gdzie są córki, kiedy dobiegł do niego głos Emmy.

- Posłałam dziewczęta do pani Hale z resztą makowca, który jadłyśmy na podwieczorek... Pani Hale jest taka miła.

Wiedział, że w ciągu dni, które upłynęły od śmierci Brii, Emma Tremayne była w jego domu bardzo częstym gościem. Dziewczeta mówiły, że popołudniami przychodzi po nie pod bramę fabryki z koszykiem pełnym jedzenia. Razem odbierały małego Jacka od pani Hale, a potem Emma przygotowywała podwieczorek. Był to posiłek, na który pozwalali sobie jedynie ludzie należący do Śmietanki Towarzyskiej. Shay doszedł do wniosku, że wprowadzenie przez Emmę tego obyczaju wywołałby uśmiech na twarzy Brii.

Rozejrzał się wokół siebie. Znajdujące się na stole kwiaty na pewno nie zostały postawione tam przez niego. Po zjedzeniu śniadania włożył do zlewu brudne naczynia, ktoś jednak je umył i ustawił na półce. Ale nawet bez tego wiedział, kiedy Emma była w jego domku, ponieważ za każdym razem wyczuwał jej zapach. Była to delikatna woń bzu, która przywodziła na myśl ciepłe wiosenne popołudnia, kiedy cały świat pełen jest oczekiwania.

Zauważył na stole jakąś książkę. Wziął ją do ręki. Był to oprawny w aksamit wolumen z kartkami o złoconych brzegach. Nosił tytuł: „Życie prezydentów”. Shay otworzył go na pierwszej stronie i przeczytał dedykację: ***Dla Emmaline Tremayne za bezbłędną pisownię.***

Za bezbłędną pisownię... Uśmiechnął się. Próbował wyobrazić sobie Emmę jako dziecko. Prawdopodobnie nosiła tak wykrochmalone białe bezrękawniki, że każdemu jej krokowi towarzyszyło skrzypienie. Z pewnością nigdy nie chodziła w dziurawych pończochach ani z obtartymi kolanami czy słomą we włosach.

Wyszła z sypialni z małym Jackiem na rękach. Co prawda jej suknia nie skrzypiała, lecz przecież szeleściła. Ten delikatny dźwięk słychać było nawet wówczas, kiedy stała w bezruchu. Obserwował, jak wkłada jego synka do kołyski i palcem przygląda delikatne włoski malca. Shay przypomniał sobie, że Bria zawsze robiła tak samo, a uświadamiając sobie, że już nigdy tego nie zobaczy, poczuł ucisk w gardle.

Oderwał wzrok od Emmy i wyjrzał przez okno. Przez chwilę obserwował ciemnoniebieskie niebo, na którym na dobre zagościł już letni zmierzch. Kiedy się odwrócił, zauważył, że Emma stoi przy stole, z ręką na oparciu krzesła, i patrzy na trzymaną

przez niego książkę. Zmartwiona, zmarszczyła czoło, a między jej ciemnymi brwiami pojawiła się delikatna kreseczka.

- Noreen wspomniała, że uczy ją pan czytać - powiedziała. - Przyszło mi więc na myśl... No cóż, ponieważ interesuje ją historia Ameryki, a tutaj jest kilka dość krwawych opowieści, które mogą przyprawić ją o dreszcze, doszłam do wniosku, że to powinno jej się spodobać... - Zaciśnęła dłoń na oparciu krzesła. - Kazałam jej zapytać pana, czy może sobie zatrzymać tę książkę. Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Chciał jej opowiedzieć, jak bardzo zależy mu na tym, żeby jego córki umiały czytać, żeby były wykształcone. Tak rozpaczliwie pragnął zabrać je z fabryki, że oddałby za to wszystko, łącznie z własną duszą. Miał jednak wrażenie, że nic nie jest w stanie przecisnąć się przez jego gardło - ani powietrze, ani słowa.

Ostrożnie położył książkę na stole. Wyprostował rękę na ceracie, rozstawiwszy szeroko palce.

Kiedy uniósł głowę, zauważył, że Emma również patrzy na jego dłoń. Jego ogromną, pokrytą bliznami i zrogowaceniami dłoń.

Oderwała wzrok od ręki, popatrzyła mu w oczy, a potem odwróciła się.

Skóra na jej czole była niemal półprzezroczysta, dzięki czemu widać było błękitne żyłki i uderzenia pulsu. Shay zaczął się zastanawiać, dlaczego Emma jest dzisiaj taka onieśmielona. Nigdy nie był w stanie przewidzieć, jaka będzie w danej chwili. Czy zachowa się jak odważne, zbuntowane dziecko o bezczelnych i kapryśnych ustach, czy jak nieśmiała panienka, która sprawia wrażenie, że nie potrafi przegonić myszy.

Czasami bywała również młodą kobietą, którą poznał i polubił podczas ostatnich tygodni życia żony. Taka Emma była wielkoduszną, życzliwą i lojalną przyjaciółką.

Wyraźnie spłoszona, wycofała się w stronę pieca. Wzięła do ręki włochaty ręczniczek w czerwone paski, by unieść pokrywkę czarnego garnka, a kiedy to zrobiła, w powietrzu rozszedł się zapach gotujących się ziemniaków. Shay doszedł do wniosku, że Emma dziwnie wygląda, kręcąc się po jego kuchni w sukni, która uszyta została z kremowej jak śmietana koronki i ozdobiona aksamitnymi kokardkami.

- Dzisiaj wstąpił ojciec O'Reilly i zjadł z nami podwieczo-

rek - powiedziała. - Opowiadał historie z czasów, kiedy Bria była dziewczyną i mieszkała w Gortadoo. Przy okazji serdecznie nas rozbawił. To było wspaniałe, ponieważ dostarczył dziewczynkom wspomnień o matce, dał im coś, co będą mogły ukryć w głębi serca. - Spojrzała na niego przez ramię i zawiązała na ręczniczku węzeł. - Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

- Niech pani przestanie tak mówić.

Jego słowa zabrzmiały ostro. Wziął głęboki wdech i chrząknął.

- Proszę przestać powtarzać te głupie słowa, ponieważ nie mam nic przeciwko temu, co pani robi.

Odwróciła się do niego plecami, starannie złożyła ręczniczek, po czym położyła go na zlewie.

- Obiecałam Brii, że...

Wstał, zrzucając Gorgeousa na podłogę. Kot miauknął urażony, machnął ogonem, po czym wymknął się do sypialni.

Emma gwałtownie się odwróciła i spojrzała na Shaya zaokrąglonymi, błyszczącymi oczami.

- Na litość boską, panno Tremayne - powiedział. - Dlaczego nie miałaby pani przychodzić tak często, jak pani chce?

Cofnęła się, jakby się spodziewała, że skoczy ku niej, chociaż nie ruszył się ani o krok.

- Dziękuję - powiedziała. - Muszę... muszę już iść. - Wyrzła przez okno. - Robi się ciemno.

Po przyjściu kapelusz i rękawiczki zostawiła na maleńkim stoliku obok naczynka ze święconą wodą. Shay obserwował, jak Emma wszystko to zabiera. Biały słomkowy kapelusz z szeroką żółtą wstążką do zawiązania pod brodą. I rękawiczki z tak delikatnej koronki, że prześwitywała przez nie jasna skóra.

Położyła dłoń w koronkowej rękawiczce na zasuwie i otworzyła drzwi, ale nim wyszła, odwróciła się i obdarzyła go słodkim, choć niepewnym uśmiechem.

- Dobranoc, panie McKenna.

- Dobranoc, panno Tremayne - powiedział, ale jej już nie było.

Usiadł. Wziął do ręki książkę, którą Emma ofiarowała Noreen, a potem ją odłożył. Przyszło mu na myśl, że powinien wstać i zdjąć ziemniaki z ognia, nim się rozgotują. Mógłby również podejść do kredensu i wyjąć butelkę z *poitin*.

Czuł, że zaschło mu w ustach.

- *Dhia*. Ależ z ciebie kłamca, Seamusie McKenno. Jak możesz wmawiać i jej, i sobie, że nie masz nic przeciwko tym wizytom?

Emmie było teraz znacznie trudniej wracać do domku na Thames Street, ponieważ wiedziała, że może zastać w nim Shaya. Nie mogła już zagłuszyć tego, co do niego czuła, tymczasem zdawała sobie sprawę, że on zawsze będzie należał do Brii.

Niewiele brakowało, by już tam nie poszła, i chętnie postąpiłaby w taki właśnie sposób, gdyby nie obietnica złożona przyjaciółce.

Mimo to trochę czasu minęło, nim znów tam się udała, a nawet wówczas wybrała dzień, kiedy wiał słaby wiatr, ponieważ wiedziała, że Shay będzie musiał poświęcić sporo czasu na dopłynięcie do domu. Panował upał, na niebie świeciło mosiężno-zółte słońce, a przymglone powietrze przesycone było wilgocią. W takie dni Emma miała wrażenie, że sam żar poci się i dyszy.

Tego wieczoru w domku było bardzo gorąco. Przypomniawszy sobie, że Bria zawsze tak bardzo spragniona była światła, Emma zostawiła otwarte drzwi.

Zdjęła kapelusz i rękawiczki, odłożyła je na bok, a kiedy uniosła głowę, zamarła. Zobaczyła stojącą przy piecu Brię. Stała tam, trzymając rękę na czajniku. Jej dłoń owinięta była w kosmaty ręczniczek, jakby Bria obawiała się, że uchwyt będzie gorący, ponieważ z dziobka unosiła się para.

Miała na sobie jedwabną koszulę nocną, którą ofiarowała jej Emma - tę z ogromną ilością koronki przy nadgarstkach. Poskręcane włosy, jak zwykle, związała na plecach kawałkiem sznurka, a luźne kosmyki przylepiły się do wilgotnych policzków. Wpadające przez otwarte drzwi smugi słonecznego światła oświetlały jej białe stopy. Nocna koszula była odrobinę za krótka, dzięki czemu Emma widziała białe kostki przyjaciółki.

- Briu - szepnęła z bólem.

Stojąca przy piecu Bria odwróciła się i uśmiechnęła, a jej ciemne oczy rozjaśniły się na widok Emmy. A potem Bria zniknęła.

- To była mama!

Emma odwróciła się tak szybko, że musiała się chwycić krzes-

ła, by nie upaść. Słyszała szalone bicie własnego serca. Przypominało huk morskich fal podczas huraganu. W drzwiach stała Merry. W każdym calu wyglądała na najpodlej opłacaną pracownicę fabryki. Na ubraniu i we włosach miała ogromną ilość kłaczek bawełny oraz nitki, a całości dopełniały nieprawdopodobnie brudne bosa stopy.

- Widziałas ją - powiedziała Emma, a przynajmniej wydawało jej się, że to mówi. Z trudem zmusiła płuca do pracy. Merry zanuciła potakująco.

Emma ponownie odwróciła się do pieca. Zrobiła krok w jego stronę, ale czuła, że drżą jej nogi. Nikogo tam jednak nie było. Na płycie stał czajnik, ale ogień był wygaszony.

Stojąca przed chwilą przy piecu Bria przez mgnienie oka wyglądała jak żywa: kobieta w za krótkiej koszuli nocnej, trzymająca parujący czajnik w owiniętej rącznikiem dłoni. Wcale nie przypominała złudnej, mglistej, unoszącej się w powietrzu zjawy. Pociła się.

Emma przełknęła ślinę i głęboko wciągnęła powietrze. Zamknęła oczy, a potem je otworzyła. Przy piecu nie było nikogo. Merry podeszła do Emmy i wzięła ją za rękę.

Dłoń Emmy drżała. Próbowwała nad tym zapanować, ale jej się nie udało. Nie zdołała również pokonać drżenia głosu.

- Czy widywałas ją... czy widywałas mamę już wcześniej?

- Kilka razy - powiedziała Merry, tym razem używając słów. - Zazwyczaj pojawia się, kiedy tata późnym wieczorem siada przy stole i przemawia do niej. Powtarza: „Briu, kochanie, czemu ode mnie odeszłaś?”, a potem płacze. Wtedy mama przychodzi, staje za nim i głaszcze go po włosach.

- Czy... czy twój ojciec ją widzi?

Merry zanuciła „nie”. Potem westchnęła i znów zanuciła, tym razem długo i głośno. Kiedy otworzyła usta, Emma myślała, że coś jeszcze powie, ale w tym momencie do kuchni wpadła No-reen. Trzymała na rękach małego Jacka i paplała jak sroka.

- Pani Hale powiedziała, że był dzisiaj słodki jak cukierek, a potem dodała: „Czy on kiedykolwiek jest inny?” To tak jak z nadzorcą. Był dzisiaj potwornie złośliwy, a czy on kiedykolwiek jest inny? Nate O'Hara upuścił szpulę, a wtedy nadzorca smagnął go sznurem po nogach. Merry rzuciła na niego przekleństwo - to znaczy na nadzorcę - dzięki temu już wkrótce od-

padnie mu kutas. Tylko on jeszcze o tym nie wie. Czy chce pani, panno Emmo, żebym zapaliła w piecu i nastawiła czajnik?

- Co takiego? O nie, dzisiaj jest na to za gorąco - powiedziała Emma drżącym głosem. - Może lepiej będzie, jeśli zrobię trochę lemoniady.

Wzięła niemowlę z rąk Noreen. Przytuliła je mocno do piersi, wdychając zapach talku i mleka. Potarła policzkiem o rude włoski, które Jacko odziedziczył po matce.

Nagle deska na werandzie skrzypnęła pod czyjąś stopą, a na skapaną w słońcu podłogę padł cień. Emma uniosła głowę w chwili, kiedy w drzwiach stanął Shay McKenna. Ich oczy spotkały się na krótki, pełen napięcia moment, potem Shay cofnął się i uciekł wzrokiem.

- Mam jeszcze coś do zrobienia przy łódce - powiedział. - Chciałem, żeby pani... żeby dziewczęta wiedziały, gdzie jestem.

Emma oparła policzek na główce dziecka i słuchała oddalających się kroków jego ojca. Czuła pod ręką, jak wraz z oddechem plecki niemowlęcia unoszą się i opadają. Oparty o jej ramię Jacko cichutko sapał.

Musnęła wargami jego włoski, składając na nich delikatny pocałunek, a potem oddała dziecko Noreen i poszła w ślad za jego ojcem.

Wcale nie pracował przy łódce. Siedział na szarej, kamienistej plaży wśród skał i kępek wodorostów, w miejscu gdzie zmarła Bria. Emma uniosła spódnice białej muślinowej sukni letniej i usiadła obok.

Był odwrócony w inną stronę, obserwując ludzi, którzy na głębokiej wodzie poszukiwali małży. W palcach jednej ręki trzymał butelkę *poitin*, wyglądało jednak na to, że wcale nie pije.

Pachniał morzem i letnim wiatrem, a Emma miała ogromną ochotę go dotknąć. Po prostu dotknąć.

- Merry czasami ze mną rozmawia.

- Merry od trzech lat nie powiedziała ani słowa.

- Owszem, powiedziała, do mnie.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Zobaczyła w jego oczach ból i ogromne poczucie winy, nic jednak nie wskazywało na to, że jej nie wierzy.

- Dlaczego? Dlaczego właśnie do pani? - Kąciki jego ust opadły. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, ale...

- Chodzi panu o to, dlaczego rozmawia ze mną, a z Brią nie? - Emma potrząsnęła głową i lekko wzruszyła ramionami. - Nie potrafię tego powiedzieć. Ilekroć to się dzieje, odnoszę dziwne wrażenie. Zupełnie jakby Merry nagle znajdowała słowa, a zaraz potem je gubiła.

Odwrócił głowę. Spojrzał w dół, między rozstawione szeroko kolana, a potem kopnął butem kępkę obrastających kamień roślinek.

- Czy Bria mówiła pani, jak to się stało? Jak doszło do tego, że moja córeczka przestała mówić?

Chciała powiedzieć, że właśnie dzięki temu się w nim zakochała. Dzięki temu, że Bria jej to opowiedziała.

- Tak - wyznała.

Uniósł butelkę, jakby miał zamiar się napić, ale nie zrobił tego.

- Czasami mówi się, że Bóg dał Irlandczykom alkohol, nie chcąc dopuścić do tego, by zaczęli rządzić całym światem.

Zerwał się wiatr, ozdabiając port milionem połyskujących jak diamenty kropel i unosząc zbyt długie, opadające na kark włosy Shaya. Miała ochotę wplątać palce w tę czuprynę i przyciągnąć jego głowę do swojej piersi.

- Niegdyś uważałem się za człowieka, który byłby w stanie rządzić całym światem. Wydawało mi się, że jestem odważnym i silnym facetem, żyjącym dla Irlandii i walczącym za nią. Marzyłem o wspaniałym, pełnym chwały dniu, kiedy wybuchnie powstanie. Tymczasem moja Bria powtarzała, że za mało czasu poświęcam na zastanowienie się, co będzie potem. Co ja i Irlandia zrobimy z naszą wolnością, kiedy już zdołamy ją odzyskać.

Linia jego ust stała się twarda. Emma pragnęła przycisnąć wargi do tych ust, aż pocałunki zaczną sprawiać jej ból.

- Zabiłem rządcę, przez którego moja matka utopiła się w morzu, i jak głupiec nie zastanowiłem się, co będzie potem.

Dhia, zachowywałem się, jakbym brał udział w farsie, w której zmarły bohater pod konie sztuki wstaje i sam schodzi ze sceny. Za mój czyn żona i córeczki musiały zapłacić bardzo wysoką cenę.

Widziała, że Shay drży; chciała wziąć go w objęcia i tulić do siebie, aż się uspokoi.

- Zdaję sobie sprawę, co pan o mnie myśli - powiedziała. -

Że jestem młoda, rozpieszczona i nie mam pojęcia, jak naprawdę wygląda świat. Być może ma pan rację. Wiem jednak, jak zmarła Bria, w jakimś stopniu wiem również, jak żyła. Zawsze postępowała tak, jakby wierzyła, że honor kształtuje nasze dusze. Nie byłby pan tym, kim pan jest, panie McKenna, gdyby nie walczył pan za Irlandię i za siebie. Nie byłby pan człowiekiem, którego kochała Bria.

Nie odezwał się ani na nią nie spojrzął, ale Emma wcale o to nie dbała. Słuchała pluskania wody o słupy, na których opierał się pomost, i dobiegającego z oddali odgłosu wywołanego przez wirujące fabryczne wrzeciona.

Obserwowała mewę, która wydziobywała resztki czyjejś kanapki z peklowaną wołowiną.

Chciała wyznać, że ona również go kocha. Pragnęła powiedzieć, że myśli o nim tuż po przebudzeniu i przed zaśnięciem. Że przez niego, a nieco wcześniej przez Brię całe jej życie uległo odmianie.

- Matko Przenajświętsza!

Te słowa wyrwały się z jego ust w rozdzierającym jęku, zupełnie jakby coś w nim pękło. Pochylił głowę, butelka wypadła mu z ręki, a jego plecy zaczęły dygotać na skutek gwałtownego, bezgłośnego szlochu.

Chciała...

Jej dłoń na chwilę zawisła nad jego włosami, potem go dotknęła. Wówczas odwrócił się do niej, a ona otoczyła go ramionami i tuliła, tuliła mocno, gdy płakał.

XXIII

- Hej! Rusz się!

Ojciec Donagh O'Reilly zerwał kapelusz z głowy i uderzył nim o udo.

- Tak często jego tłusty tyłek przykleja się do bazy, że sam święty Patryk z pewnością miałby ochotę popędzić mu kota. Mówię pani, panno Tremayne, że ten facet nie zdołałby wyrwać się nawet z własnych mokrych portek.

Z powrotem wcisnął kapelusz na głowę i wrócił na swoje miejsce w najniższym rzędzie prowizorycznych trybun, a w tym czasie zawodnik obiegał boisko, które wyrysowano na ciemno-

brązowej trawie bristolskich błoni. Philadelphia Athletics grali z New York Mutuals, prezentując profesjonalny baseball. Jakimś cudem tłum uznał Mutuals za własną drużynę, tymczasem przegrywali oni osiem do dwóch. Zawodnik Athletics wcale nie spieszył się do bazy, a przez cały czas towarzyszyło mu wycie kibiców i popiskiwanie myśliwskich wabików. Merry podskoczyła i, nucąc jakąś żywą melodię, zaczęła tańczyć i przestępować z nogi na nogę.

- Rzuca na niego klątwę - wyjaśniła Noreen. - Dzięki temu...

- Do rana wypadną mu zęby i włosy - szybko dokończyła Emma. Bardzo starała się nie patrzeć na ojca O'Reilly'ego, ale słysząc jego chichot, doszła do wniosku, że kapłan doskonale wie, jakie przekleństwa rzuca Merry McKenna. Emma tak mocno poruszała palmowym wachlarzem, że podmuch powietrza unosił rondo jej białego słomkowego kapelusza. Panował upał, chociaż niebo zasnuwane było chmurami tak szarymi jak ołów. Nad błoniami wisiał obłok dymu przesyconego zapachem wysuszonej przez słońce trawy i palonej gumy z pobliskiej fabryki. Wysokie wiązki wyraźnie oklapły w zanieczyszczonym powietrzu.

Jakiś *brava* przeszedł wzdłuż trybun, sprzedając prosto ze sznurka *chourice*. Ojciec O'Reilly wstał i poszedł za nim, zabierając ze sobą dziewczynki. Już wcześniej zdążył uraczyć wszystkie trzy damy, którym towarzyszył, kawałkami melona, prażonymi orzeszkami, kukurydzą z masłem i piklami na patyku. Trzeba będzie mu przypomnieć, że kiedy układali plan na wolną sobotę, pragnąc umilić dziewczynkom ten dzień, nie było mowy o obżarstwie ani ewentualnym bólu brzucha.

Zawodnik Mutuals wyrzucił piłkę na aut, a tłum zgotował mu szyderczą owację. Emma zauważyła Judith Patterson i Grace Attwater. Spacerowały ramię w ramię wzdłuż boiska. Emma pomachała im dłonią, wyglądało jednak na to, że jej nie widzą. Oczekała chwilę i ponownie pokiwała ręką. Tym razem była pewna, że ją zauważyły, ale powoli odwróciły się do niej plecami i ruszyły w przeciwną stronę.

Emma zagryzła wargi i spojrzała na pustą estradę, mrugając powiekami, by wstrzymać łzy. Powinna przewidzieć, że ta chwila kiedyś nastąpi. Przywykła do tego, że ludzie należący do Śmietanki Towarzyskiej traktują jej przyjaźń z rodziną irlandz-

kich imigrantów jako osobliwą formę „dzikości Tremayne'ów", podobnie zresztą jak jej rzeźbiarstwo. Teraz jednak widocznie przekroczyła jakąś niewidzialną barierę i wkroczyła do królestwa złych manier.

Wmawiała sobie, że nic ją to nie obchodzi, naprawdę jednak bardzo ją to zabolęło. Chociaż serdecznie nienawidziła imprez towarzyskich, była tam mile widziana i akceptowana. Kierowane na nią spojrzenia były swego czasu pełne podziwu, a nie potępienia i obrzydzenia. Obecnie jedynie jej budzące respekt nazwisko i widoczny na palcu pierścionek Geoffreya Alcolta zapobiegały ostracyzmowi.

Ostatnio wyczerpała się również tolerancja jej matki. Tego ranka, kiedy Emma wspomniała, że zabiera dzieci McKennów na mecz baseballowy, Bethel obdarzyła ją pełnym udręki spojrzeniem, a jej ręka zatrzęsała się tak bardzo, że kawa przysnęła na kawałek tostu stanowiący całe jej śniadanie.

- Nic nie poradzę na to, że bardzo się martwię - powiedziała Bethel. - Nie wiem, jak ludzie zareagują na twoją działalność charytatywną wobec tych irlandzkich sierot, Emmo. Tak osobiste zaangażowanie trudno doprawdy uznać za stosowne.

Emma podsunęła matce tacę z tostami, mając nadzieję, że uda jej się doprowadzić do zmiany tematu.

- Czy zauważyła mama, że kawa wylała się na talerz? Może weźmie mama następny...

Bethel odepchnęła tacę.

- Wiesz, że nie mogę, bo każdy zjedzony przeze mnie kęs natychmiast widać na mojej figurze. Nie doceniasz, Emmo, wyrzeczeń, jakie dla ciebie ponoszę... - Matka zaczęła wyliczać owe wyrzeczenia i mecz baseballowy poszedł w zapomnienie.

Całe szczęście, pomyślała Emma, że nie wyszło na jaw, iż imprezie tej będzie przewodniczył irlandzki ksiądz katolicki. Mimo to drżała ze strachu. Nie zdołała stale żyć w dwóch światach. Pewnego dnia ktoś - mama, Geoffrey lub osoba w rodzaju Judith Patterson czy Grace Attwater - zmusi ją do dokonania wyboru. Wyboru między Emmą, która mieszka w luksusie „Brzóz" i uchodzi za „jedyną nadzieję rodziny", a Emmą będącą *banacharaid* Brii McKenny. Wiązy ciężko westchnęły i pod wpływem gorącego, wilgotnego powietrza opuściły głowy. Emmie przyszło na myśl, że

w ten pochmurny letni dzień estrada wygląda dość ponuro. W tym momencie zobaczyła Shaya McKenne przecinającego wypaloną przez słońce trawę.

Był ubrany, jakby wyszedł właśnie z łodzi rybackiej. Nie miał kołnierzyka, a rękawy koszuli podwinął aż do łokci. Emma obserwowała, jak zbliża się do niej swobodnym, świadczącym o pewności siebie krokiem. Patrzyła na Shaya i czuła, że w oczekiwaniu na niego serce wyrywa się jej z piersi.

Kiedy podszedł, dotknął palcami daszku czapki.

- Dzień dobry, panno Tremayne - powiedział, zajmując miejsce, które przed chwilą opuścił ojciec O'Reilly. Shay pomachał ręką, witając się z córkami, które jednak bardziej zwracały uwagę na chłopców sprzedających karty baseballowe.

Czasami Emma miała wrażenie, że gdyby Shay spróbował jej dotknąć, jej skóra stanęłaby w płomieniach, lecz on, oczywiście, nigdy tego nie zrobił. Nawet nie widziała go od tamtego wieczoru na plaży, kiedy w jej ramionach oplakiwał stratę żony.

Przechwycił spojrzenie ojca O'Reilly'ego i oczami wskazał namiot w czerwono-białe paski, gdzie sprzedawano piwo, po czym powiedział do Emmy:

- Mam nadzieję, że nasz dobry ojciec nie próbował pani nawracać.

Uśmiechnęła się nieśmiało i potrząsnęła głową.

- To bardzo małomówny człowiek, po warunkiem, że nie krzyczy na zawodników.

Shay spojrzał na nią zaskoczony. Jego oczy miały intensywnie zielony kolor wody na bagnach, w której odbijało się słońce.

- Małomówny? On małomówny? Zdarzało mi się widywać, jak przez Donagha kobiece języki zawiązywały się na supełki, ale nigdy na odwrót. Z drugiej jednak strony rzadko się zdarza, by ten facet miał do czynienia z kimś ładniejszym od siebie.

Nie był to może zbyt wyszukany komplement, mimo to poczuła, że się rumieni, zupełnie jakby powiedział jej, że jest najpiękniejszą istotą w całym wszechświecie.

Zapadło milczenie. Na boisku Mutuals zdobyli dwa punkty, na co tłum zareagował wiwatami, lecz Emma wcale na to nie patrzyła. Niebo pociemniało, a w oddali rozległ się grzmot. Przyszło jej na myśl, że być może Shay słyszy bicie jej serca.

- Czy rzeczywiście miał pan zamiar zostać księdzem?

- Bria powiedziała pani również o tym?

Siedział, oparłszy łokcie na udach, a jego dłonie luźno zwisały między kolanami. Pochylił się, zerwał źdźbło trawy, a potem kręcił je palcami.

- Kiedy byłem chłopcem, uwielbiałem mszę wraz z całą jej tajemniczością i ceremoniałem. Wówczas dostrzegałem w tym sens życia. Lecz potem... - Wzruszył ramionami. - Nieco inaczej zacząłem patrzeć na świat.

Potem sens życia dostrzegł pan w Brii, pomyślała. A teraz stracił pan również i ją. Tamtego dnia na plaży, kiedy pozwolił trzymać się w objęciach, gorzko płacząc, Emma nie wiedziała, co powiedzieć, w związku z czym nie odezwała się ani słowem, jedynie tuliła go do siebie. Obecnie jednak...

- Panie McKenna...

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć, lecz na jego twarzy nie było widać, o czym myśli. Miała nadzieję, że jej twarz jest równie nieprzenikniona jak jego.

- Jest coś, co od pewnego czasu pragnę panu powiedzieć, a nie wiem, czy będę miała jeszcze ku temu sposobność... Chciałabym wyznać, że niezależnie od tego, jak będzie wyglądała reszta mojego życia, wiem, że dzięki znajomości z pańską żoną będę kimś innym, lepszym. Bria nauczyła mnie, jak być przyjaciółką i jak przyjmować przyjaźń. Jak żyć i kochać.

Nie patrzył na nią, ale zauważyła, że z trudem przełknął ślinę. Obserwował brata Brii wychodzącego z namiotu z dwoma kuflami piwa w jednej ręce i sznurkiem *chourice* w drugiej. Ksiądz jednak zatrzymał się, by porozmawiać z mężczyzną w wymiętym lnianym garniturze i słomkowym kapeluszu.

Nie miała zamiaru mówić nic więcej, lecz słowa same wyrwały jej się z ust, nim zdołała się powstrzymać.

- Czasami... czasami wydaje mi się, że nie powinnam brać ślubu z panem Alcottem, bo wątpię, byśmy kiedykolwiek stanowili takie małżeństwo jak pan i Bria.

Przez chwilę myślała, że Shay nic nie powie.

- O małżeństwie nie decydują oświadczyzny - rzekł w końcu. - Łącząca ludzi więź powstaje dzięki wspólnemu życiu. Dzięki wspaniałym dniom, takim jak ten, kiedy widzi się, jak żona przystawia pierwsze dziecko do piersi. Dzięki smutnym dniom, kiedy chciałoby się temu głupiemu, upartemu facetowi,

za którego wyszło się za męża, dać kuksańca w ucho. - Nagle uśmiechnął się do niej. - I dzięki zwyczajnym dniom, takim jak dzisiejszy, kiedy wspólnie ogląda się mecz baseballowy, przez cały czas rozmyślając, czy zdąży się przemoknąć do suchej nitki, zanim głupi i powolny jak żółw szwagier wróci z piwem.

Uśmiechnęła się, lecz chciała powiedzieć, że takie dni nigdy jej się nie przydarzą, jeśli spędzi życie z Geoffreyem. Być może jednak Shay odczytał jej myśli, ponieważ rzekł:

- Pani życie, panno Tremayne, będzie takie, jak je sobie pani sama ułoży... I wierzę, że będzie wspaniałe.

To były bardzo życzliwe słowa, ale ona wcale nie chciała jego życzliwości. Przyszło jej na myśl, chociaż nie powiedziała tego na głos, że niezależnie od tego, jak ogromną miłością darzył Brię i jak bardzo ona go kochała, mimo wszystko życie Brie było takie, jak on je ułożył.

Usłyszała uderzenie piłki o kij, a potem zdała sobie sprawę, że ludzie wokół niej krzyczą i wymachują rękami. Rozejrzała się dookoła, potem spojrzała w górę... i zobaczyła piłkę nadlatującą w jej stronę długim, wysokim łukiem. Nie miała czasu się uchylić. Wyrzuciła do góry ręce, a piłka z ogromnym impetem wpadła w jej dłoń. Emma prawie nie poczuła uderzenia, tak bardzo była zaskoczona i zadowolona z siebie.

- Złapałam ją! - zawołała i ze śmiechem odwróciła się do Shay a. - Czy pan widział, panie McKenna, zła...

Patrzył na nią, wpatrywał się z napięciem, a wówczas dostrzegła w jego oczach jakiś błysk - coś w rodzaju pełnego desperacji pożądanego. Ogarnęła ją niewysłowiona radość, wynikająca z nagłego zatonięcia, całkowitego, cudownego zatonięcia w jego spojrzeniu.

Nagle zaczął padać deszcz, ogromne krople zadudniły po trybunach jak rozsypana fasolka i to, co Emma widziała - niezależnie od tego, co to było - zniknęło.

- Merry! - krzyknął nagle, patrząc przez ramię Emmy. - Do jasnej cholery! Co ona robi?

Emma obejrzała się. Noreen i ojciec O'Reilly pędzili w ich stronę, a Noreen trzymała ręce nad głową, próbując uchronić się przed deszczem. Natomiast Merry uciekała. Właśnie okrążyła estradę, kierując się w stronę State Street i portu.

Zacząła się ulewa jak przy oberwaniu chmury, na ziemię popłynęły strugi deszczu, a mała dziewczynka zniknęła z pola widzenia.

- Merry! - krzyknął Shay po raz drugi i ruszył pędem w ślad za córeczką.

Emma zebrała spódnicę i pobiegła za nimi, ślizgając się na mokrej trawie. Kiedy biegli, ich twarze smagał zacinający od strony zatoki deszcz. Wiatr wydawał dźwięki przypominające łopotanie żagli.

Nim zdążyli dogonić Merry, dziewczynka dotarła do nabrzeża przy Thames Street. Wdrapała się na pomost i przez moment Emma straszliwie się bała, że Merry rzuci się do wody. Smagana przez wiatr zatoka pokryła się wysokimi falami, które wypluwały pianę na zniszczone deski pomostu.

Merry dobiegła na jego skraj, zatrzymała się i odwróciła. Wyglądało na to, że czeka na pogoń. Nuciała coś z tak ogromnym ożywieniem, że jej drobne ciało aż drżało.

Shay dotarł do niej pierwszy i chwycił ją w ramiona. Zacząła się więc i wykręcać, a jej nucenie przypominało dźwięk wydawany przez skrzydła kolibra.

Po chwili nadbiegła Noreen, a tuż za nią ojciec O'Reilly, wciąż trzymający w rękach piwo i kiełbaski. Merry tak dziko walczyła w ramionach ojca, że o mały włos byłby ją upuścił. Jej nucenie zmieniło się w pisk.

- Nory... - powiedział Shay, ciężko dysząc. Spływająca z czapki woda zalewała mu oczy. Był upiornie blady. - Boże, zmiłuj się nad nami! Nory, co ona mówi?

Oczy Noreen coraz bardziej się powiększały, aż zamieniły się w dwie czarne studnie. Drżała tak bardzo, że zaczęły jej dzwonić zęby.

- Ona... ona mówi, że w fabryce jest pożar i że panna Emma musi po nas przyjść, by nas stamtąd zabrać.

Z miejsca, w którym się znajdowali, wyraźnie widać było fabrykę. Dzięki granitowym ścianom, szaremu, krytemu łupkiem dachowi i wysokiemu, ceglanemu kominowi wyglądała jak ogromne więzienie zalewane strugami deszczu, ale nigdzie nie było widać dymu ani ognia.

- Nic się nie pali - powiedział Shay. Próbował odwrócić rozhisteryzowaną Merry, żeby sama mogła się przekonać, ale

ona kopała, wymachiwała rękami i ani na moment nie przestawała nucić. - Spójrz, kochanie, widać, że nic się nie pali.

- Ona mówi, że panna Emma musi po nas przyjść - powtórzyła Noreen, a jej głos załamał się ze strachu, do którego zawsze była skora.

Emma wyciągnęła ręce, a Merry wskoczyła w jej ramiona, objęła ją nogami w pasie i mocno się przytuliła. Po dłuższej chwili szalone nucenie ustało. Emma ugięła się lekko pod ciężarem dziecka, mimo to mocno je trzymała.

- Przyjdę - powiedziała, dotykając wargami mokrej szyi dziewczynki. - Obiecuję, że przyjdę.

Słyszał, jak w sypialni Emma powtarza jego córeczce łagodne słowa pocieszenia. Merry nie chciała obecności ojca, a Noreen poszła do pani Hale odebrać dziecko i została tam. Najwyraźniej ona również go nie potrzebuje. Trudno nawet winić córki. Ostatnio zbyt mało przebywał w domu, by móc je pocieszyć. Matko Boska, przecież nie jest w stanie ukoić własnego smutku.

Emma stanęła w drzwiach i oparła rękę na framudze.

- Śpi - powiedziała. - Wsunęłam jej w nogi butelkę z ciepłą wodą, żeby się nie zaziębiła.

Próbował się do niej uśmiechnąć, ale mu się nie udało.

- Wspaniale sobie pani z nią radzi. Jest pani bardzo dobra dla obu dziewcząt, dla niemowlęcia również. Wiem, że nie podziękowałam pani jak należy. Na Boga, w ogóle pani nie podziękowałam.

Nigdy nie znał nikogo, kto tak bardzo jak ona cieszyłby się z każdego, nawet najbliższego komplementu. Dostrzegł ogromne zadowolenie, które przemknęło po jej twarzy i odbiło się w oczach.

Zdał sobie sprawę, że Emma tylko na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie osoby wyniosłej i nieprzystępnej.

Wiedział już, że to jej sposób obrony, ponieważ w rzeczywistości jest bardzo wrażliwa i subtelna. I za każdym razem, kiedy dostrzegał tę subtelność, ogarniało go uczucie, że dokonał jakiegoś odkrycia. Zupełnie jakby był pierwszym mężczyzną, który to w niej zauważył.

W tej chwili o jej subtelności świadczyło to, że rozglądała się po kuchni, nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Widzę, że zrobił pan kawę - powiedziała. - Ale jej pan nie nalał.

Usiadł przy stole i patrzył, jak Emma podchodzi do pieca. Obserwował, jak zdejmuje z ognia niebieski emaliowany dzbanek z kawą, widział mięśnie napinające się na jej jasnym, smukłym ramieniu. Jej włosy zdążyły już wyschnąć, lecz na szyi widać było luźne kosmyki. Piegi deszczu widoczne na okiennej szybie rzucały na twarz Emmy cętkowany cień.

Postawiła dzbanek na stole, a Shay obserwował, jak podczas nalewania kawy do maleńkich kubków jedwab sukni obciska jej piersi. Pochyliła głowę, odsłaniając kark. Chciał dotknąć jej skóry w tym miejscu. Poczuć pod palcami delikatną skórę.

Jego leżąca na ceracie dłoń zacisnęła się w pięść. Zdjął ją ze stołu i opuścił na kolana. Czuł mocne, powolne bicie własnego serca.

Nigdy dotąd nie znał tego rodzaju pożądania. Nieprawda -znał je, ale to było tak dawno temu, że zdążył już o nim zapomnieć. Nie przypuszczał, że tęsknota i pragnienie mogą tkwić na dnie duszy i ujawnić się, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. Kiedy wcale tego nie chce.

Postawiła dzbanek z kawą i podniosła zostawioną przez niego na stole książkę. Książkę, którą czytał przez długie godziny minionej nocy. Ostatnio bardzo mało sypiał. Przez tyle lat miał w łóżku Brię, że teraz nie potrafił bez niej zasnąć.

W ciągu kilku ostatnich tygodni był więc stałym klientem Roger's Free Library.

Obróciła książkę w rękach i na głos przeczytała tytuł na grzbiecie:

- „Anna Karenina”... Ta książka wycisnie z pańskich oczu łzy - powiedziała, a Shay zauważył, że jej policzki zabarwił wywołany przez wspomnienia rumieniec. Dostrzegł bijący na jej szyi puls, kiedy zaskoczona nabrała powietrza w płuca. Uśmiechnął się.

- Tacy duzi chłopcy jak ja raczej nie płaczą. Choć może rzeczywiście moje oczy odrobinę zwilgotnieją. Jeszcze bardziej się zarumieniła, a potem cichutko się roześmiała.

Usiadła na krześle naprzeciwko niego. Podniosła filiżankę

z kawą, lecz po chwili odstawiła ją, a Shay zauważył w jej oczach zapowiedź kpiny.

- Czy zauważył pan - spytała - że w Roger's Free Library książki pisarzy i pisarek trzymane są na oddzielnych półkach?

Widoczny w kącie jej ust dołeczek pogłębił się, a Shay czekał na dalsze słowa, wiedząc, że go zaskoczą.

- Bez przerwy zastanawiam się - ciągnęła - co te książki wyprawiają, kiedy zgasną światła i zamkną się drzwi, a w całej bibliotece nie ma ani jednej przyzwoitki.

Shay był serdecznie zaskoczony i roześmiał się, a od dawna myślał, że już nie jest zdolny do śmiechu.

Emma z uśmiechem przysunęła do siebie filiżankę i zaczęła wodzić palcem po jej brzegu. Przez moment patrzyła na Shaya, potem jednak oderwała od niego wzrok i zajęła się obserwowaniem własnego, zataczającego kręgi palca.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałabym z panem porozmawiać, panie McKenna.

Niech pani tego nie robi, pomyślał. Niech pani nie dzieli się ze mną przemyśleniami, ponieważ bardzo się tego boję. One stawiają mnie w pozycji, w której wcale nie chcę się znajdować.

- Zastanawiałam się - powiedziała - w jaki sposób można by zapewnić wykształcenie dzieciom pracującym w bristolskich fabrykach. Oczywiście, nie mogłyby chodzić do szkoły po skończeniu zmiany, ponieważ po całodniowej harówce zasypiałyby w ławkach. Przyszło mi jednak na myśl, że być może udałoby się nam założyć szkołę opartą na systemie stypendialnym, gdzie płaciłoby się dzieciom za to, że chodzą do szkoły. Tym sposobem rodziny nie traciłyby dochodów, a dzieci mogłyby zdobyć podstawy wykształcenia, które na pewno im się przyda, gdy będą chciały osiągnąć coś w życiu.

Spojrzała na niego, a on, widząc, jak bardzo pragnie sprawić mu przyjemność, poczuł ból.

Bardzo się też przestraszył. Matko Przenajświętsza, jak się przestraszył! Dlatego nie zdołał zapanować nad słowami, które same wyrwały mu się z ust.

- Udałoby się nam założyć... A kogóż ma pani na myśli, panno Tremayne, używając liczby mnogiej? Czy mówi pani o sobie? O sobie i milionie dolarów wypalających dziurę w pani

kieszzeni? Może wydaje się pani, że znalazła pani sposób, by wkraść się w nasze życie?

- Opowiada pan bzdury! - zawołała łamiącym się głosem. Zamrugła powiekami, a on zdał sobie sprawę, że Emma usiłuje opanować łyzy.

- Tak - powiedział. Poczuł, że jego twarz tężeje, i bardzo chciał to powstrzymać, ale mu się nie udało. - Przyznaję się do winy.

Wstała i odwróciła się od niego. Wiedział, że zaraz wyjdzie. Zranił ją i wcale mu się nie spodobało, że w ogóle było to możliwe. Nie podobało mu się, że może ją zranić, a w dodatku tak łatwo.

Mimo to nie miał zamiaru jej zatrzymywać.

Wolałby, żeby Bria nigdy nie podsuwała mu myśli, że panna Emma Tremayne, osoba należąca do potężnej i wszechmocnej bristolskiej Śmietanki Towarzyskiej, może kochać kogoś takiego jak on.

Ponieważ świadomość, iż jest się kochanym, sprawia, że trudno patrzeć na kochającą osobę tak samo jak dawniej.

Nie sposób oprzeć się rozważaniom, jak by to było, gdyby...

Może mężczyzna nie jest w stanie przestać pożądać? Może nie potrafi przestać liczyć na zaspokojenie własnych pragnień, ale, do jasnej cholery, to wcale nie oznacza, że powinien kierować się tymi pragnieniami. Jeśli zatem nie wolno mu na nią patrzeć, jeśli powinien trzymać się od niej z daleka, zrobi to. Nawet jeśli powinien przestać o niej myśleć, w porządku, zdobędzie się również i na to.

Ale za nic w świecie nie dopuści, by doszło do... niezależnie od tego, co to jest.

Letnia burza, która przeszkodziła pierwszej prezentacji baseballu w Bristolu, w ciągu nocy oddaliła się. Niebo było teraz błękitne i żeglowały po nim białe chmurki, a leciutka bryza przesuwiała je delikatnie jak puch. Z drugiej jednak strony pogoda nigdy by przecież nie odważyła się zepsuć uroczystości u Alcottów.

Dwa razy w roku Alcottowie organizowali przyjęcie w ogrodach otaczających rezydencję na Hope Street - pierwszego czerwca i ostatniego sierpnia. Tradycja sięgała roku tysiąc siedemset

dziewięćdziesiątego drugiego i kontynuowali ją wszyscy kolejni Alcottowie, każdy w stylu okazalszym niż poprzednik.

Była to jedna z tych nielicznych kultywowanych przez Śmietankę Towarzyską tradycji, które sprawiały Emmie ogromną przyjemność. Ogrody Alcottów były w tym roku wspanialsze niż kiedykolwiek, zmieniając się jak w kalejdoskopie, ponieważ kołyszące się w podmuchach wiatru różnokolorowe kwiaty co chwilę tworzyły nowy wzór. Emma wędrowała ścieżką, która biegła wokół marmurowej fontanny z baraszkującymi amorkami. Dziewczyna wciągała głęboko w płuca przesycone wonią kwiatów powietrze, któremu uroku dodawał dobiegający tu zapach morza. Opuściła parasolkę i odchyliła do tyłu głowę, całą sobą wchłaniając blask słońca.

Nagle ktoś szarpnął jej rękę, tak by parasolka znalazła się nad głową i chroniła ją przed zgubnym wpływem promieni, mogących przybrązować skórę.

- Wielkie nieba, dziecko! - zawołała Bethel. - Co ty wyprawiasz? Słowo daję, chyba w tym roku masz zamiar całkiem zniszczyć sobie cerę. Uważam, że nie ma żadnej potrzeby, by do dotychczasowych przewinień dodawać kolejne. Zwłaszcza tutaj.

Emma oparła parasolkę na okrytym jasnofioletowym tiulem i koronką ramieniu.

- Najmocniej mamę przepraszam. Powinnam zachować większą ostrożność.

Bethel spojrzała na nią podejrzliwie i westchnęła.

- Jesteś dla mnie prawdziwym utrapieniem, Emmo. Wszystkie moje dzieci zawsze były dla mnie utrapieniem.

Fontanna brzęczała jak srebrne dzwonki, doskonale współbrzmiać z dźwiękami „Clair de Lune”, wykonywanego przez ulokowany na balkonie kwartet smyczkowy. Potem odbędą się zawody łucznicze i rozgrywki tenisa, lecz na razie goście z przyjemnością spacerowali po ogrodzie i raczyli się delikatesami porozkładanymi na okrytych adamaszkowymi obrusami stołach, stojących w namiocie w niebieskie paski.

Kiedy Emma i jej matka znalazły się w pobliżu namiotu i poczuły dobiegające stamtąd zapachy, Bethel spojrzała w tę stronę z mieszaniną tęsknoty i niechęci na twarzy. Jakby pasztet z gęsich wątróbek, schłodzone ostrzygi w skorupkach oraz bezy z tru-

skawkami i bitą śmietaną były okrutnymi kochankami, za którymi tęskniła, a zarazem panicznie się ich bała. Emma doszła do wniosku, że w ten słoneczny dzień matka wygląda wyjątkowo młodo i ładnie w jasnobezowej jedwabnej sukni letniej ozdobionej ogromną ilością koronki. Ale otaczała ją jakaś dziwna, niespokojna aura, zupełnie jakby lada chwila miała zemdleć.

- Mamo - powiedziała. - Może mogłabym przynieść mamie odrobinę czegoś dobrego? Na przykład sałatki z homara? Matka zadrżała i zdecydowanie odrzuciła ofertę.

- Słowo daję, Emmo, czasami wydaje mi się, że przyjemność sprawia ci dręczenie mnie. Wiesz, że jeśli znajdę się bliżej niż na trzy metry od tego okropnego namiotu, jutro nie zdołam wcisnąć się w swoje desusy, a Jewell będzie musiała skorzystać z korby, by naciągnąć tasiemki gorsetu. A skoro mamy już pewność, że twój ojciec przyjedzie na ślub, za nic w świecie nie chciałbym go zawieść. Powinien być dumny, mogąc pokazać się ze mną u boku.

Emma wzięła matkę pod ramię i pochyliła się nieco w jej stronę. Miała ochotę objąć ją, ale zabrakło jej odwagi.

- Będzie dumny, mamo, jestem pewna. - Mówiąc to, w głębi duszy czuła napięcie. Wierzyła, że ojciec przyjedzie, lecz była święcie przekonana, że nie zostanie na dłużej. Zaczęła się zastanawiać, jak to jest, kiedy żyje się jedynie myślą o chwili, która dopiero ma nadejść, i co się dzieje, jeśli potem okazuje się, że nic się nie zmieniło.

Ścisnęła ramię matki.

- Do ślubu zostało jeszcze tak dużo czasu, że nim nadejdzie, nic z mamy nie zostanie.

- Nonsens! Jak zwykle melodramatyzujesz. Spójrz, pan Alcott idzie po ciebie. Niewątpliwie chodzi o to, żebyś złożyła uszanowanie jego babce - co za makabryczne, stare próchno! Oczywiście, mam na myśli panią Alcott, a nie twego czarującego narzeczonego. Wiem, kochanie, że czasami ciężko jest wypełniać obowiązki - powiedziała Bethel, mając zamiar oddalić się i zostawić córkę pod opieką narzeczonego. - Należy jednak robić to z wdziękiem i radosnym uśmiechem na twarzy.

Emma wcale nie musiała udawać radości na widok Geoffreya. Zbliżał się do niej ścieżką obstawioną terakotowymi doniczkami,

w których rosły czerwone gardenie. W prążkowanej garniturze i czerwonej muszce sprawiał wrażenie człowieka eleganckiego i pełnego fantazji.

- Witaj, Emmo - rzekł, ujmując jej dłoń i unosząc ją do ust. W jego oczach widać było szczęście. Chociaż niemal przez całe lato przebywał w Maine, każdego ranka przysyłał jej do „Brzóz” śnieżnobiałą różę, zawsze opatrzoną bilecikami z napisanymi pięknym pismem słowami: „Jestem zrozpaczony, że nie mogę być przy tobie”.

- Jeśli przyszedłeś, by zmusić mnie do gry w tenisa, muszę cię uprzedzić, Geoffreyu, że za nic w świecie tego nie zrobię, bo stale mam wrażenie, że rakiety, które mi pożyczyłeś, są dziurawe.

Roześmiał się i przytrzymał jej dłoń.

- Musisz iść ze mną i przyznać się babci, że jesteś do niczego na korcie, ponieważ ona uważa cię za chodzący ideał. Emma zdawała sobie sprawę, że Eunice Alcott na pewno nigdy nie powiedziała niczego takiego, mimo to uśmiechem zareagowała na miły komplement.

Geoffrey poprowadził ją na tylną werandę, gdzie babka usadowiła się wśród doniczek z paprociami i palmami w osłoniętym daszkiem wiklinowym krześle.

Chociaż dzień był ciepły, poowijała się kaszmirowymi szalami. Jej ręce nieco drżały, kiedy unosiła do oczu lorgnon. Przyjrzała się Emmie, po czym oznajmiła:

- Czytając dzisiejszą gazetę, dowiedziałam się, że Prudence Dupres nie żyje. Biedactwo, miała zaledwie osiemdziesiąt siedem lat. Zmarła tak młodo.

Emma i Geoffrey wymienili uśmiechy, a potem usiedli na krzesłach po obu stronach starszej pani. Tego lata umierało mnóstwo osób ze Śmietanki Towarzyskiej.

- Babcia - uprzedził Geoffrey nieco wcześniej - robi z nudów dziwne rzeczy. Wczoraj zadzwoniła do wydawcy „Phoenixa”, by poskarżyć się, że w jego gazecie jest za mało nekrologów.

- Napisali, że zmarła, ponieważ miała wodę w mózgu - ciągnęła Eunice Alcott. - Też coś! Najpierw przez wiele dni odmawiają podania szczegółów śmierci, a kiedy coś już napiszą, kłamią jak najęci. Woda w mózgu! Skąd by się tam wzięła? -pytam cię. Nie wmówicie mi, że Prue nabawiła się tego, stojąc

na głowie, bo i tak nie uwierzę. Za nic w świecie, ponieważ z trudem trzymała się na nogach i bez przerwy się przewracała, chociaż przyczyną była raczej sherry, którą pijała ukradkiem o każdej porze dnia i nocy... Ale to i tak nie ma żadnego znaczenia, ponieważ prawdziwym powodem jej śmierci było złamane serce.

- Nie słyszałam, by pani Dupres przeżyła ostatnio jakąś tragedię - powiedziała Emma.

Starsza pani pochyliła się, by szepnąć coś Emmie na ucho, lecz ponieważ była głucha jak pień, mówiła tak głośno, że usłyszeli ją wszyscy goście znajdujący się na terenie rezydencji na Hope Street.

- Na miesiąc przed ślubem pan Dupres miał romans z występującą w wodewilu panią lekkich obyczajów.

- Babciu... - westchnął Geoffrey. - Ten skandal zdarzył się ponad sześćdziesiąt lat temu. A pan Dupres zdążył się zrehabilitować, dorabiając się szóstki dzieci i dwudziestu siedmiorga wnucząt.

Pani Alcott uderzyła w ramię Emmy wachlarzem z kości słoniowej.

- Oto do czego dochodzi, gdy poślubia się kogoś z niższych sfer... Efektem jest złamane serce i przedwczesna śmierć.

- Nie wiedziałam, że pan Dupres...

- Był Francuzem, moja droga. To chyba wszystko wyjaśnia, prawda? Ostrzegaliśmy Prudence, że pewnego dnia gorzko pożałuje swej decyzji, i teraz sama zobacz, czy nie mieliśmy racji. W gazecie napisali, że nie żyje; zmarła z powodu złamanego serca. - Westchnęła i przymrużyła oczy, by przyjrzeć się szepczącym na wietrze lipom. - Czyż nie mówiłam ci, Geof-freyu, że dzisiaj będzie słońce?

- Mówiła babcia, że będzie deszcz.

Pani Alcott ponownie poklepała Emmę wachlarzem i pochyliła się, by głośno szepnąć:

- On zawsze przewiduje deszcz, nawet wówczas, kiedy na niebie nie ma ani jednej chmurki. Co za godna ubolewania skłonność do pesymizmu! Nie jestem w stanie zrozumieć, skąd mu się to... - Urwała i przymrużyła oczy, spoglądając na wyłożoną marmurem dróżkę, po czym wysunęła brodę do przodu. -

Jak on śmiał! Jak on śmiał wykorzystać to biedne dziecko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę!

Emma i Geoffrey odwrócili się, by sprawdzić, o co chodzi. Po chwili zaskoczony Geoffrey wciągnął powietrze w płuca.

- Maddie! - zawołała Emma. Poderwała się z krzesła i pędem ruszyła ocienioną przez lipy ścieżką. Biegła tak szybko, że musiała podnieść spódnicę znacznie powyżej kostek, nie dbała jednak o to, że członkowie Śmietanki Towarzystwej zauważą jej nieodpowiednie zachowanie. Biegła w stronę siostry siedzącej na wózku inwalidzkim, popychanym przez Stu Alcotta.

Maddie miała na sobie białą nansukową sukienkę w błękitne niezapominajki. Dzięki promiennym oczom, zarumienionym policzkom i uśmiechniętym ustom sprawiała wrażenie ślicznej i niezmiernie szczęśliwej.

- Jestem, Emmo - powiedziała głosem tak delikatnym jak płatki róży.

Emma stanęła przed nią jak wryta, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

- Widzę. Och, Maddie, widzę.

Stu zatrzymał się, nie puszczać z rąk uchwytów wózka. Był zarumieniony i spocony. Miał przekrzywiony krawat, a gors jego koszuli wcale nie był tak sztywny jak powinien. Wokół młodszego z braci Alcottów unosiły się gęste jak chmura opary brandy.

- No cóż, Maddie, dziecinko - powiedział z wyraźnym południowym akcentem. - Jesteśmy na miejscu. Pozwolisz zatem, że cię opuszczę? Wydaje mi się, że słyszę, jak szampan mnie wzywa.

Maddie obserwowała, jak Stu odchodzi, a w jej oczach pojawił się smutek. Tak mocno zacisnęła leżące na kolanach dłonie, że jej kostki nabrały koloru starego wosku.

Emma ujęła jej dłoń.

- Maddie...

- Jak sądzisz, czy mama będzie bardzo zła? - zapytała Maddie nieśmiało.

- Na pewno nie okaże tego w towarzystwie, a potem pomogę ci przetrwać nawałnicę.

Emma puściła rękę siostry, po czym zaczęła pchać wózek w stronę namiotu z napojami i przekąskami, gdzie zebrała się większość uczestników przyjęcia. Rozglądała się za matką, ale

jej nie zobaczyła. Pamiętała, że nieco wcześniej widziała, jak Bethel w towarzystwie wuja Stanton i pani Norton spaceruje wokół południowego skrzydła domu, w miejscu gdzie znajdowała się duma Alcottów - kwietniki z trzydziestoma siedmioma gatunkami róż. Emma przypuszczała, że matka nadal tam jest, właściwie wręcz na to liczyła, ponieważ nagły skok na głębokie wody Śmietanki Towarzystwej będzie dla Maddie bardzo trudny, lepiej zatem, by nie wykonywała go, widząc zmarszczone czoło matki.

- Och! - zawołała Maddie cicho, kiedy kółka wózka zastukały na pęknięciach marmurowych płyt. - Zaczynam rozumieć, dlaczego tak bardzo wszystkiego się boisz. Czuję się tak, jakby wiatr rozwiał wszystkie moje myśli jak nasionka dmuchawca, i jestem niemal pewna, że lada chwila powiem lub zrobię coś niestosownego.

- Zostaw to mnie - powiedziała Emma z nieco sztucznym ożywieniem. - Ostatnio stałam się ekspertem w mówieniu i czynieniu niestosownych rzeczy.

Kiedy zbliżyły się do namiotu, odgłosy rozmów i śmiechów przycichły.

- Wszyscy na nas patrzą, Emmo - powiedziała Maddie. Jej głos był piskliwy i pełen napięcia jak dzwonienie zbyt mocno nakręconego zegara.

- Wcale nie.

- Jest jeszcze gorzej. Patrzą, a potem odwracają wzrok i udają, że niczego nie dostrzegli.

- To tylko dlatego, że od dawna nie widzieli cię poza obrębem „Brzóz” - powiedziała Emma. - Początkowo mogą czuć się trochę niezręcznie, ale następnym razem będzie im już łatwiej.

- Jeśli mama w ogóle pozwoli na następny raz.

Emma zatrzymała wózek i pochyliła się nad siostrą, by dodać jej odwagi uściśnięciem dłoni.

- Maddie, tak się cieszę, że przyszłaś. Jestem dumna, że się zjawiałaś.

Maddie odwróciła głowę, by na nią spojrzeć, a w jej oczach lśniły z trudem powstrzymywane łzy.

- Naprawdę, Emmo?

- Naprawdę.

Maddie uwolniła rękę i mocno zacisnęła ją na poręczy wózka.

Emma widziała na szyi siostry mocne uderzenia pulsu oraz linie wokół ust świadczące o napięciu.

- W takim razie czy mogłabyś podwieźć mnie pod tę wierzbę i poprosić Stu, żeby przyniósł mi szklaneczkę ponczu? Proszę - dodała, widząc wahanie Emmy. - Nic mi się nie stanie, jeśli przez kilka minut pobędę sama, widzę zresztą podążającego w naszą stronę Geoffreya, więc może nie zostanę całkiem pozbawiona towarzystwa.

Emma zaczęła, aż przyłączył się do nich Geoffrey, i dopiero wtedy się oddaliła. Wiedziała, że może powierzyć Geoffreycowi opiekę nad siostrą. Oprócz nienaganych manier cechowała go lojalność i doskonale wycucie, jak należy się zachować w danej sytuacji.

Doszła jednak do wniosku, że trudno powiedzieć to samo o bracie Geoffreya. Znalazła go stojącego obok fontanny. Ponuro spoglądał na rozchlapujące wodę amorki, zupełnie jakby czuł się przez nie znieważony. Słyszając kroki, odwrócił się ku Emmie

i lekko się zachwiał. W ręce trzymał pusty kieliszek po szampanie.

- Ach, Emmo. Po mnie przyszłaś, prawda? Czyżby Maddie czuła się opuszczona? A może obserwowana?

Krytykowana? Napiętnowana? Słowo daję, że ją ostrzegłem. Próbowałem jej przypomnieć, że my, członkowie Śmietanki Towarzyskiej, posiadliśmy wspaniałą sztukę ignorowania wszystkiego, co niemiłe.

Emma przyjrzała się jego twarzy. Wciąż był przystojny pomimo obrzęków wokół nabiegłych krwią oczu.

- Stu, jeśli masz zamiar zachowywać się w taki sposób, to dlaczego...?

- Dlaczego co? Dlaczego ją tu przywiozłem? Ponieważ mnie o to błagała, a ja mam słabość do ludzi przegranych, bo sam jestem jednym z nich. - Wzruszył ramionami i zatoczył się. Niewiele brakowało, a wylądowałby w fontannie. - Z drugiej jednak strony, jeśli próbujesz ustalić, czy mam w stosunku do twej siostry poważne i honorowe zamiary, odpowiem ci wprost: nie mam w stosunku do niej żadnych zamiarów. Jestem hazardzistą, pijakiem i kobieciarzem. Przyznaję się zresztą do tego nawet w mieszanym towarzystwie. Mój brak poważnych zamiarów wynika z niemożności związania się z kobietą na dłu-

żej niż jedną noc. Ponieważ nasza Maddie jest dziewczyną, a poza tym starą przyjaciółką, uważam, że należałoby jej tego oszczędzić.

Miał zamiar oddalić się, lecz chwyciła go za ramię. Uwolnił się, mimo to zdążyła się przekonać, że Stu drży.

- Przyjeżdżasz do domu na lato, wywracasz do góry nogami całe jej życie, a potem spokojnie mówisz, że nie chcesz mieć z nią do czynienia?! Nie możesz tak postąpić!

- Naprawdę? - Rozbił kieliszek o fontannę. Właściwie rzucił go tylko, lecz tak czy inaczej szkło w zderzeniu z głową amorka rozprysło się na drobne kawałeczki, połyskujące w słońcu jak krople rosy. - Uważam, że unikanie panny Madeleine Tremayne jest aktem największej życzliwości, jaką mogę jej okazać.

- Stu, proszę - powiedziała Emma. - Proszę, nie wyrządzaj jej krzywdy.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem pogłaskał ją po policzku.

- Nic na to nie poradzę, dziecino. To życie nas krzywdzi. Uniósł wzrok i wpatrzył się w coś, co znajdowało się za jej plecami, i chociaż Emma się nie odwróciła, wiedziała, że Stu spogląda na jej siostrę. I że widok Maddie - siedzącej w wózku inwalidzkim w cieniu lip - sprawia mu wielki ból.

Obszedł ją bez słowa, i tym razem Emma nawet nie próbowała go zatrzymać.

Co się dzieje, jeśli żyje się jedynie myślą o chwili, która dopiero ma nadejść, a potem, kiedy już minie, wychodzi na jaw, że nic się nie zmieniło?

Gorące i parne lato zmieniło się we wrzesień. Emma nadal dotrzymywała danej Brii obietnicy. Za każdym razem, kiedy otwierała drzwi domku na Thames Street, serce zamierało jej na chwilę w oczekiwaniu, że ponownie zobaczy stojącą przy piecu Brię. Jednak taka sytuacja już się nie powtórzyła.

Emma znów zaczęła rzeźbić i czerpała z tego radość. Nieobca jej też była udręka, którą nieco mniej odczuwała w ostatnich dniach życia Brii. Wiele godzin spędzała w starej oranżerii, szukając arterii łączącej serce z dłońmi, lecz czuła się tak, jakby używała w tym celu tępego noża. Mogła się nim ciąć i ciąć,

ale i tak nie zaczęłyby krwawić, dlatego też wyrzucała niemal wszystko, co stworzyła z zimnej, wilgotnej gliny. Pewnego dnia wraz z nadchodzącą każdego ranka różą Geoffrey przysłał list. Niezwykle drobiazgowo opisał postępy prac przy budowie odlewni w Maine. Na zakończenie dodał:

Zazwyczaj w chwilach takich jak ta - kiedy siedzę w obskurnym, pozbawionym życia salonie (którego właściwie chyba nawet nie powinienem nazywać salonem) i piszę do Ciebie - najwyraźniej odczuwam ból w ramieniu. Dzieje się tak dlatego, że pragnę Cię przytulić, i coraz bardziej tęsknię za chwilą, kiedy w końcu z najwyższą dumą będę mógł nazwać Cię moją Żoną.

Były to słowa bardzo bliskie wyznania miłości, a nigdy dotychczas nie zdobył się na nic podobnego. Zdawała sobie sprawę, że list powinien sprawić jej przyjemność, ale nagle zaczęło jej ciążyć poczucie winy. Przynęcała wyjść za niego, dopuściła do tego, by się w niej zakochał, podczas gdy sama kocha kogoś innego. Kogoś, kto nie może zostać jej mężem.

W głębi serca - gdzie ukrywa się największe sekrety, gdzie bez trudu rozróżnia się to, co właściwe, od tego, co niestosowne, dobro od zła, honor od hańby - doskonale wiedziała, że musi z tym skończyć. Tak czy inaczej musi skończyć.

Potem jednak, w pewne wtorkowe popołudnie, kiedy skręciła w ścieżkę prowadzącą do domku przy Thames Street, zauważyła, że fiołki, które zasadziła z Brią, zwiędły.

Uklękała i zaczęła je zrywać, jakby chciała zrobić z nich bukiet, chociaż do niczego się już nie nadawały. Wiedziała o tym, mimo to nie przestawała ich zbierać, gorączkowo wrywając je z korzeniami, układając na kolanach i brudząc sobie suknię.

W pewnym momencie jej ręce zamarły w bezruchu. Zamknęła oczy. Najpierw na suche, wyblakłe płatki stoczyła się pojedyncza łza, a potem popłynęły następne, w końcu Emma musiała przycisnąć ręce do twarzy, by stłumić łkanie.

Kiedy płacz minął, odrzuciła do tyłu głowę i załzawionymi oczyma spojrzała w niebo pokryte chmurami. Przez chwilę czuła się tak, jakby oderwała się od ziemi i unosiła w przestworzach samotna, smutna i przestraszona.

Potem zdała sobie sprawę, że zrobiła z siebie niezłe widowisko - każdy człowiek przechodzący Thames Street mógł zobaczyć ją klęczącą u stóp schodów, obsypaną ziemią i zwięd-

łymi kwiatkami. Wstała więc i weszła do domu, ale nikogo w nim nie było, a do chwili, kiedy fabryczny gwizdek oznajmia koniec zmiany, zostało jeszcze trochę czasu.

Przygotowała dzbanek lemoniady, by podać ją do bułeczek, które przyniosła dla dziewcząt. Podeszła do pustej kołyski małego Jacka, który obecnie był u pani Hale. Uniosła kocyk i potarła nim o policzek, wdychając dziecięcy zapach. Zaraz jednak z powrotem położyła go w kołysce, ponieważ wywoływał bolesną, głuchą tęsknotę za czymś, czego nie rozumiała.

Obeszła cały dom. Zatrzymała się obok umywalki, z której Shay korzystał tego ranka, i pomyślała: „Tutaj stał kilka godzin temu”, po czym dotknęła jego brzytwy i ręcznika. Wróciła głucha tęsknota. Emma postanowiła wyjść.

Wówczas zobaczyła Brię.

Jak wtedy, stała przy piecu, w nocnej koszuli Emmy. Lecz, zamiast sięgać po czajnik, tym razem wyglądała przez okno, wpatrywała się w nie okrągłymi, ciemnymi i pełnymi bezgranicznego przerażenia oczami.

- Briu! - zawołała, lecz zjawa zniknęła.

A zostawiony rankiem w piecu węgiel buchnął płomieniem.

W szczelinie wokół drzwiczek Emma widziała połyskujące czerwono płomienie, czuła ich zapach. *Ależ to niemożliwe*, pomyślała, i w tym momencie ogień zgasł.

Na drżących nogach podeszła do pieca. Dotknęła blachy -była zimna. Otworzyła drzwiczki i zobaczyła szary, wystygły popiół.

Wyjrzała przez okno. Zauważyła, że zaczął wiać wiatr, to wszystko. Dmuchał mocno, tak mocno jak tego dnia, kiedy Merry...

Fabryka... O Boże, fabryka!

XXIV

Emma biegła tak szybko, że obcas jej buta utknął w szczelinie ostatniego stopnia, w rezultacie czego upadła, mocno się uderzając, rozrywając spódnicę i zdzierając skórę z rąk i kolan. Poderwała się jednak na równe nogi, zebrała spódnicę i uniosła ją wysoko, odsłaniając łydki, po czym obiegła dom i znalazła

się na portowej plaży. Wiatr smagał wody zatoki. Jachty i łodzie rybackie podskakiwały i kołysały na falach. Emma wbiegła na pomost i chociaż dwukrotnie potknęła się na wypaczonych deskach, szybko dotarła do końca drewnianej platformy. Chciała spojrzeć za zakole portu, w stronę tej części miasta, gdzie znajdowała się przedzalnia. Wiatr dmuchał w twarz i łopotał spódnicą, wzniesając szum, który huczał jej w uszach. Uniosła rękę do oczu, by osłonić je przed blaskiem słońca odbijającego się od powierzchni wody. Zobaczyła fabrykę: granitowe ściany i szary, łupkowy dach. Z wysokiego komina, jak zwykle, wydostawał się biały obłok pary. W wąskich, brudnych oknach nie było widać ani śladu dymu czy ognia. W porządku - powiedziała sobie. - Wszystko jest w porządku. Ale w głębi duszy czuła, że to nieprawda. Idąc z domu do fabryki, trzeba było minąć cztery przecznice, a Emma całą tę drogę pokonała biegiem. Mijany przez nią mężczyzna, wracający po pracy na polach cebulowych, zawołał: - Hej, paniusiu, gdzie się pali? Śmiertelnie przerażona, chciała odpowiedzieć, ale zabrakło jej tchu. Przebiegła przez ogromną, łukowatą, wzniesioną z cegły bramę i wpadła na pusty dziedziniec. Nadal nigdzie nie widziała dymu ani ognia. Ruszyła w stronę żelaznych schodów prowadzących do wyłożonych cienką blachą i okutych sztabami drzwi, za którymi znajdowała się hala fabryczna. Wbiegła po schodach tak szybko, że z rozpędu uderzyła otwartymi dłońmi o drzwi. Chwyciła zasuwę i szarpnęła ją do góry... lecz rygiel ani drgnął. Szarpnęła w dół... z takim samym skutkiem. Drzwi były zamknięte. Czuła pod stopami, jak żelazne schody trzęsą się i dygoczą na skutek wibracji wytwarzanej przez maszyny. Mimo wiatru słychać było hałas, szczykanie i grzechot, przypominające pomruk tysiąca wściekłych pszczół. Wiatr uspokoił się na chwilę, a wówczas Emma odniosła wrażenie, że czuje woń palonej tkaniny, jakby ktoś zostawił żelazko na wykrochmalonej bawelnie. Spojrzała w górę, ale widziała

jedynie szary pochyły dach. Potem jednak zauważyła kłębiący się pod gzymsem... Czarny dym. Shay, wracając z codziennego połowu w zatoce, przepływał obok nabrzeża należącego do przędzalni na Thames Street, w której pracowały jego córki. Dzień po dniu spoglądał na szare kamienne ściany oraz dymiący komin i składał sobie przysięgę: „Zabiorę was stamtąd, kochane dziewczynki. Już wkrótce was stamtąd zabiorę, obiecuję”. Jeśli człowiek urodzi się jako katolik i Irlandczyk, a w dodatku pochodzi z *clachan* w rodzaju Gortadoo, przywyka do tego, że jest biedny, przyzwyczajają się również do grzebania jak kurczak w kawałku ziemi, która nigdy nie będzie należała do niego. Oswaja się z życiem w kamiennej chacie i spaniem na stercie słomy, służącej mu za łóżko. Jeśli do tego wszystkiego człowiek ten ma odrobinę irlandzkiego szczęścia, staje się właścicielem jednego czy dwóch taboretów, na których może usiąść. Żywno się również z myślą - Boże, zmiłuj się nad nami! - że gdy tylko jego dzieci nauczą się chodzić, pošle je na pola ziemniaczane z motykami w małych rączkach. Shay przywykł do tego wszystkiego w Gortadoo, tutaj jednak nie mógł znieść takiego życia. Po dwunastogodzinnej zmianie Bria kładła się na brzuchu, żeby mógł rozmasować jej bolące, skręcane skurczem łydki, i opowiadała...

- *Merry podczas pracy przy prząśnicy musi stać na pudle, ponieważ jest zbyt mała, by bez tego zająć się szpulami.*
- *Po podłodze między naszymi nogami biegają karaluchy... Chłopcy roznoszący szpule oblewają je olejem do smarowania maszyn i podpalają.*
- *Na gwizdek spacerującego po pomoście nadzorcy wszystkie pociągamy za dźwignie prząśnic i zaczynamy pracę. Potem ten człowiek zamyka nas aż do końca zmiany.*
- *Najlepiej z pracą radzą sobie drobne dziecięce paluszki. Muszą być bardzo szybkie i zwinne, by złapać nitkę, kiedy się zaplącze lub zerwie.*
- *Kłaczki bawełny wpychają się nam do oczu, nosa i gardła. Powietrze w hali jest wilgotne, pełne kurzu i bawełnianego pyłu.*

- Uszy bolą od hałasu, a oczy pieką od ciągłego wpatrywania się w nici, które nawijają się na szpule, nawijają i nawijają... Boże, bądź litościw, nawet w snach widzę te nawijające się na szpule nici.

Dhia, jak bardzo bolało go serce, gdy córeczki zwlekały się z łóżka bladym świtem i wędrowały do fabryki, słysząc przeraźliwy, dzwoniący w uszach gwizdek. Na cały dzień zamykane są z dala od słońca, w zapyłonym pomieszczeniu pełnym maszyn i nici nawijających się na szpule, które potem prześladują nawet w śnie.

Nagle rozległ się pisk fabrycznego gwizdka. Shay przestraszył się, na chwilę wypuścił rumpel z rąk, i łódź natychmiast obróciła się pod wiatr, żagle oklapły, a kadłub zatrzęszczał. Lęk Shaya wynikał z faktu, że nie był to ostry, krótki gwizd, który ogłaszał koniec dziennej zmiany i początek nocnej, lecz długie ostrzegawcze łkanie, zwiastujące nieszczęście.

Stanął w kokpicie, przymrużył oczy pod wiatr... i zobaczył oleisty czarny dym sączący się w niebo z fabryki, w której pracowały jego córeczki. W której było całe jego życie.

Emma dotarła do połowy schodów, kiedy fabryczny gwizdek wydał długi, piskliwy dźwięk.

O Boże, wielki Boże... W tym momencie poślizgnęła się na metalowych stopniach i o mały włos byłaby się stoczyła głową w dół. **Fabryka stoi w ogniu, a one są tam uwięzione jak w pułapce. Córeczki Brie są w środku, a ja obiecałam, że po nie przyjdę! Nie zdołam, nie zdołam ich stamtąd zabrać, ponieważ drzwi są zamknięte, zamknięte, zamknięte... Pali się, a dziewczynki są zamknięte.**

Wraz z kłębamii czarnego gryzącego dymu na dziedzińcu pojawili się robotnicy z innych działów fabryki. Emma zbiegła po schodach, ponieważ dostrzegła pana Stipple'a, który wyszedł chwiejnym krokiem, z chusteczką przy twarzy.

Rzuciła się na niego i złapała go za klapy surduta.

- Panie Stipple, dzięki Bogu, dzięki Bogu... Musi pan otworzyć halę...

Próbował się jej wyrwać, potrząsając głową. W jego małych, przypominających dwa guziczki oczkach widać było panikę.

Potrząsnęła nim, mocniej zacisnąwszy palce na szorstkiej wełnie surduta.

- Proszę mi go dać. Proszę dać mi klucz! Odsunął się od niej.

- Nie mogę. Nie mogę...

- Klucz! - krzyknęła, rzucając mu to słowo prosto w twarz, aż zatoczył się do tyłu.

- W... moim biurze. - Potrząsnął głową, a jego oczy zrobiły się zupełnie oszalałe. - Nie wrócę tam. Ogień jest w hali fabrycznej, a to za blisko, za blisko...

Zostawiła go i skoczyła w przypominające pieczarę wejście. W tym momencie rozległ się sygnał straży pożarnej. Ponieważ płacząca się między nogami spódnica stanowiła poważną przeszkodę w poruszaniu się, Emma oderwała ją jednym ruchem. Po chwili znalazła się w hallu, na którego ścianach znajdowały się równiutkie rządki żółtych kart. Wciąż nie widziała płomieni, ale przez hall płynęły chmury dymu, przedostające się tu z tyłu fabryki. Nie wolno jej było zgubić drogi do biura pana Stipple'a, dlatego szła wzdłuż wykładanej drewnianą boazerią ściany. Dziękowała Bogu, że to niedaleko, ponieważ oczy zachodziły jej łzami, a dym palił w piersiach. Drzwi były zamknięte i Emma przestraszyła się, że również one nie dadzą się otworzyć.

Lecz gałka ustąpiła i dopiero otwierając drzwi, Emma pomyślała, że za nimi może być ściana ognia. Na szczęście nie było tak.

Zamknęła drzwi za sobą i weszła w głąb pokoju, który po panującym na zewnątrz tumulcie wydawał się dziwnie ciemny i cichy. Było tu znacznie mniej dymu. Zakaszła, po czym wciągnęła głęboko w płuca czyste powietrze.

Musi się pospieszyć, koniecznie musi się pospieszyć...

Ruszyła w stronę biurka, myśląc, że właśnie na nim znajdzie klucz. Potknęła się na podwiniętym brzegu dywanu, uderzyła o ogromny, żelazny sejf i zraniła się w biodro. Nawet tego nie poczuła, ponieważ w tym właśnie momencie na ścianie wyłożonej złuszczającą się, noszącą ślady zacieków tapetą zauważyła dwa haki. Na jednym z nich wisiał zniszczony czarny melonik, a na drugim metalowe kółko z wielkim pękiem kluczy.

Jednym skokiem pokonała przestrzeń dzielącą biurko od ściany i porwała klucze.

Żelazne kółko było bardzo gorące, sparzyło ją w rękę. Zaskoczona, krzyknęła i wypuściła je z rąk, po chwili jednak oderwała kawałek halki i przez skrawek materiału ponownie chwyciła klucze. Czuła, że w pokoju robi się coraz goręcej, zupełnie jakby stała przed otwartymi drzwiczkami pieca węglowego. Właśnie prostowała plecy, kiedy stara tapeta stanęła w ogniu i w mgnieniu oka zamieniła się w popiół.

Dziewczyna odwróciła się i pędem ruszyła w stronę drzwi, po drodze znów uderzając się o biurko i potykając na zagiętym dywanie. Wpadła na metalową szafkę na akta. Włosy zaplątały się w mosiężne uchwyty i przez dłuższą chwilę nie mogła się uwolnić, nie mogła...

Kiedy w końcu zdołała się oswobodzić, przebiegła przez pokój i dotarła do drzwi.

W tym momencie ktoś je otworzył z impetem. Kłębiący się dym przypominał chmurę gęstej morskiej mgły. Zza czarnej zasłony dymnej wysunęła się ręka w żółtym płaszczu gumowym i grubej, skórzanej rękawicy. Emma chwyciła ją.

Zaskoczona twarz w czarnym hełmie wyglądała jak oderwana od reszty ciała, tonącego w dymie.

- Do diabła, co pani tu...?! - Przesunął rękami w górę i w dół po jej ramionach, jakby chciał sprawdzić, czy jest istotą z krwi i kości. - Jezu, powinienem panią stąd zabrać, tylko najpierw muszę...

- Klucz - wykrztusiła, dławiąc się i wyciągając w jego stronę trzymany w ręku pęk metalu. - Mam go.

Pochylił się i wziął ją na rękę, jakby była dzieckiem. Wyniósł ją za drzwi i ruszył przez hall tak gęsto zasnuty dymem, że przechodziło się przez niego jak przez wełniany koc. Emma przycisnęła twarz do klatki piersiowej strażaka i starała się nie oddychać.

Stawiał duże kroki, właściwie biegł, nie zważając na to, że znajdująca się tuż obok boazeria zajęła się ogniem i z wszystkich stron otacza ich gorące powietrze. Chwilę później wydostali się na zewnątrz i znaleźli w strugach wody płynącej z węży gaśniczych.

- Noreen! Merry!

Shay przeciskał się przez tłum ludzi zgromadzonych na fabrycznym dziedzińcu. W pewnym momencie potknął się o płataninę węży gaśniczych, a wówczas zatrzymał się na chwilę i zachwiał, tak jakby krzyki, ryki i wrzaski, które docierały do jego uszu, były fizycznymi ciosami.

Odrzucił głowę i spojrział na unoszący się w górze ciemny obłok. Na pomarańczowe i żółte światełka, tańczące w szybach wysokich, wąskich okien hali fabrycznej. Na ciąg żelaznych schodów i dwóch ubranych w żółte płaszcze mężczyzn, którzy wymachiwali toporkami, waląc nimi w wyłożone blachą drzwi. Toporki głośno dźwięczały, ilekroć ich ostrza uderzały w blachę, ale zostawiały jedynie półksiężycowate wgniecenia, nic więcej. ***A potem nas zamyka aż do końca zmiany.*** Shay skoczył w stronę schodów, krzycząc i przeklinając. Kątem oka dostrzegł strażaka, który, potykając się, wyszedł z szerokiego wejścia. Człowiek ten niósł na rękach jakąś kobietę, ale w chwili, gdy tylko wydostał się z dymu, postawił ją na nogi, a potem z krzykiem ruszył przed siebie, machając wysoko nad głową czarnym pękiem kluczy.

Shay pobiegł w ślad za nim, a ich buty stukały głośno na żelaznych schodach. Mogło się wydawać, że minęła wieczność, nim człowiek ten dobrał klucze, obrócił potężne koło i podniósł zasuwę, jednak w końcu, w końcu drzwi się otworzyły. Zaczął przez nie wypływać oleisty czarny dym i tłum składający się z kobiet i dzieci. Wszystkie dusiły się i z trudem chwytaly powietrze, miały zalane łzami twarze i wymachiwały rękami, by wymacać przed sobą drogę. Zdesperowany, przerażony tłum przepychał się przez drzwi, pragnąc się wydostać... Dzieci, tak dużo dzieci.

Lecz córek Shaya nie było wśród nich. Przecisnął się przez tłum, wbiegł na pomost i gorączkowo zaczął przeszukiwać wnętrze, ale dym był tak gęsty, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Żelazna krata trzęsła się pod nogami Shaya. Nagle wyciągnęły się do niego maleńkie rączki, chwyciły go mocno, a on skierował dziecko w stronę otwartych drzwi, rozglądając się za swoimi dziewczynkami i nawołując je.

Zajrzał do znajdującego się poniżej pomieszczenia. Prząśnice nadal pracowały, brzęcząc i szczękając, ale nikt już się nimi nie

zajmował. Przeciwległa ściana stała w ogniu. Stare drewno skrzypiało, skwierczało i syczało, a wydzielające ogromne kłęby dymu płomienie, które rozprzestrzeniały się szybko wzdłuż leżących na podłodze nasączonych smarem desek, unosiły się w górę, pękały i bulgotały jak gotująca się zupa. Znowu jakaś rączka złapała Shaya za nogawkę.

- Tatusiu!

Shay obrócił się wokół własnej osi i jednym ruchem porwał Noreen na ręce. Kiedy dostrzegł Merry, podniósł również ją. Wybiegł przez drzwi, trzymając obie na rękach. W tym momencie jedna ze znajdujących się w dole maszyn stanęła w ogniu i po chwili eksplodowała jak czerwone ognie sztuczne, rozsypując wokół deszcz niebieskich iskier.

Zszedł po schodach z dziewczynkami na rękach. Były już bezpieczne.

Zaniósł je w najdalszy kąt dziedzińca, gdzie nie było dymu ani unoszącego się w powietrzu popiołu. Posadził je i zaczął oglądać, pragnąc sprawdzić każdy centymetr ich ciała. Z tego, co widział, były przestraszone i nawdychały się sporo dymu, nie odniosły jednak ran. Mimo to nie mógł przestać ich dotykać. Musiał to robić, musiał czuć ciepło ich ciała. Jego córeczki -niewiele brakowało, a straciłby obie. Gdyby je stracił...

Z tłumu gapiów i robotników wybiegła jakaś kobieta. Ruszyła w stronę Shaya, wołając dziewczynki po imieniu. Ociekała wodą, a zamiast spódnicy miała na sobie jedynie podartą halkę; na jej zabrudzonej sadzą twarzy widać było ślady łez.

Była to kobieta wyniesiona przez strażaka z płonącej fabryki.

Emma.

- Przyszła po nas, tatusiu, tak jak mówiła Merry.

- Wiem, kochanie.

Shay usiadł na brzegu łóżka i odgarnął wilgotne włosy z czoła Noreen. Pochylił się i pocałował zarumienioną od gorąca skórę. Na szczęście jednak nie była poparzona. Dzięki Bogu, dzięki Bogu.

- Powinnyście się teraz trochę przespać - powiedział, kiedy znów mógł dobrać głosu. - Wasza mama zawsze mówiła, że nie ma lepszego lekarstwa niż sen. Pewnie to pamiętacie.

Noreen uśmiechnęła się niepewnie, natomiast Merry patrzyła

na ojca rozszerzonymi, udręczonymi oczami. Nie nuciła od momentu, kiedy wyniósł ją z płonącej fabryki. Z ogromnym trudem udało mu się zabrać ją z ramion Emmy.

- Przyszła po nas tatusiu - powtórzyła Noreen. - Tak jak obiecała.

- Wiem.

Otwierał szeroko oczy, by powstrzymać łzy. Pochyliwszy się, objął obie córeczki i mocno je do siebie przycisnął. Pomimo długiej i gruntownej kąpieli wciąż pachniały dymem. Na wspomnienie pożaru Shay zaczął się trząść. Nie był w stanie tego opanować.

- Kocham was, dziewczynki - szepnął, gdy już spały, bo były to słowa, które przychodzą zazwyczaj mężczyźnie z trudem, nawet jeśli skierowane są do córek.

Nie chcąc obudzić dzieci, ostrożnie wstał z łóżka i podszedł do synka, który spał w kołysce zrobionej ze skrzynek od kawy. Musnął wargami okrągłutkie policzki i ciemiączko niemowlęcia. Potem wyszedł z sypialni, cichutko stąpając w skarpetkach. Obejrzał się w drzwiach na syna, jego prowizoryczną kołyskę oraz śpiące w białym żelaznym łóżku dziewczęta. Przez długą, zawieszoną w próżni chwilę obserwował je, nie mogąc opanować wewnętrznego drżenia, wywołanego przez wspomnienie pożaru.

Kiedy w końcu wszedł do kuchni, był zaskoczony, widząc, że pomieszczenie tonie w błękitnych cieniach nadchodzącej nocy.

Emma siedziała w stojącym pod oknem bujanym fotelu.

Pomimo strasznego zamieszania, panującego na fabrycznym dziedzińcu, na przekór temu, że wyglądała jak jedna z uratowanych z pożaru robotnic, została rozpoznana. Zidentyfikowano ją nie tylko jako pannę Tremayne, lecz również jako kobietę, która wbiegła do płonącej fabryki, by znaleźć klucze, które umożliwiły otwarcie drzwi hali fabrycznej i ocalenie uwięzionych kobiet i dzieci. Emma sprawiała wrażenie przerażonej faktem, że znalazła się w centrum uwagi, dlatego upierała się, że nic nie zrobiła i że tuż za nią po klucze przyszedł strażak, a ona jedynie sprawiła kłopot i trzeba było ją ratować.

Nikt jeszcze nie zadał jej pytania, skąd się tam wzięła. Kiedy uklękła na wybrukowanym ceglami dziedzińcu i przycisnęła dziewczęta do piersi, Shay słyszał szeptań przez nią ze szło-

chem słowa. Wyglądało na to, że przybiegła do fabryki i próbowała otworzyć drzwi, jeszcze nim rozległ się alarm. Zastanawiający był również fakt, że Merry przewidziała pożar i udział Emmy w akcji ratowniczej.

Nie miał jednak zamiaru zastanawiać się nad dziwnością sytuacji. Irlandzkie przysłowie mówi, że jeśli na pytanie nie ma odpowiedzi, najlepiej uznać, iż ma się do czynienia z cudem albo przynajmniej tajemniczym zjawiskiem, a i jedno, i drugie można tylko przyjąć na wiarę.

Kiedy już dziewczęta znalazły się poza halą fabryczną, Shay myślał jedynie o tym, by zabrać je do domu. Emma poszła z nimi, jakby należała do rodziny. Inna rzecz, że Merry za nic w świecie nie chciała puścić jej ręki.

Panna Tremayne pomogła mu uspokoić przestraszone dziewczęta i położyć je do łóżka. Zagrzała wodę na kąpiel i wlała dzieciom do ust po porcji ciepłego żywokostu. Ubrała je we flanelowe koszule nocne i włożyła do łóżka butelkę z gorącą wodą.

Teraz siedziała w fotelu bujanym przy kuchennym piecu. Zupełnie jakby znajdowała się u siebie w domu.

Na batystowej białej bluzce wyraźnie widać było ślady sadzy i popiołu. Znacznie gorzej prezentowała się miejscami podarta i zniszczona przez wodę halka. Emma nadal okryta była od szyi po kostki, mimo to Shay szczerze wątpił, czy jakkolwiek mężczyzna widział kiedykolwiek pannę Emmę Tremayne w halce.

Obie dłonie trzymała na kolanach, jedną przykrywszy drugą.

Podszedł do niej, uniósł jej rękę i odwrócił ją. Przez całą dłoń biegła czerwona pręga, ale nie było na niej pęcherzy.

Obserwując błękitne żyłki na nadgarstku dziewczyny, Shay widział, jak pulsuje jej krew. ,

Spojrzał na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że zwykle „dziękuję” to za mało, nie potrafił jednak znaleźć innych słów.

- Sparzyła sobie pani rękę - rzekł w końcu.

- Tylko trochę. Nie miałam rękawiczek. - W jej słowach można było dopatrzeć się dziwnej mieszaniny dumy i przekory. Żar opalił jej brwi i rosnące nad czołem włosy, nadając rysom Emmy wyraz zaskoczenia. - Oto do czego dochodzi, gdy opuszcza się dom bez rękawiczek.

Próbował się uśmiechnąć, lecz przychodziło mu to z trudem. Czuł pod palcami każdą najdrobniejszą nawet kostkę jej dłoni.

- Panno Tremayne...

- Muszę prosić pana, by zwracał się pan do mnie po imieniu. - Jej dłoń drżała. - Nie mogę nadal być „panną Tremayne”, skoro siedzę w pańskiej kuchni przyodziana tylko w halkę, a na dodatek nie mam brwi. To nie przystoi. Nie wiedział, kiedy puścił jej dłoń, i nie miał również pojęcia, kiedy oparła się o niego ani kiedy jej dotknął. Nagle jego ręce znalazły się w jej włosach, a ona zsunęła się z fotela i opadła przed nim na kolana. Zaczął całować jej włosy, a potem twarz i zagłębienie szyi.

Zaraz jednak chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie. Uniosła głowę, a jej oczy wyglądały jak dwie okrągłe ciemnozielone sadzawki. Nie widział w nich nic oprócz własnego odbicia.

Jakimś cudem udało mu się wstać, chociaż nie czuł nóg. Odsunął się od niej, najpierw o krok, potem o drugi, i jeszcze jeden, aż w końcu poczuł za plecami ścianę.

Emma klęczała na podłodze, tam gdzie ją zostawił, a jej ogromne oczy pochłaniały go, pochłaniały cały świat.

- Siedząc tutaj - powiedziała w końcu - przypomniałam sobie ten dzień, kiedy odwiedziliśmy owdowiałą lisicę i jej młode. Przyszło mi na myśl... - Urwała i z trudem przełknęła ślinę, jakby bolało ją gardło. Widział na jej szyi puls. - Przyszło mi na myśl, że chętnie wróciłabym na tę polankę, by zobaczyć, jak im się wiedzie. Myślę, że wybiorę się tam w najbliższą niedzielę po kościele. Ponieważ nie dysponuję złożonymi z kawałków strzelbami, z których mogłabym zastrzelić biedne bekasy, podejrzewam, że będę musiała zabrać z „Brzóz” koszyk z jedzeniem dla lisiąt. Wyobraził sobie Emmę przychodzącą na polankę z wiklinowym koszykiem, w którym znajduje się pieczony kurczak i bażant. Miał chęć uśmiechnąć się, lecz w jego ściśniętej piersi serce biło tak szybko, że nie był w stanie złapać tchu.

- Zastanawiałam się również, czy... - Potarła szyję tuż nad wysokim koronkowym kołnierzykiem zniszczonej bluzki.

- Czy spotka się pan tam ze mną?

- Nie - powiedział lub przynajmniej wydawało mu się, że

to zrobił. Nie przypuszczał, że tak bardzo może jej pragnąć. Było to przemożne uczucie, któremu trudno się opierać.

- Shay - powiedziała załamującym się głosem. - Wiesz, o co...

- Tak, wiem. Wiem.

- Chciałabym, żebyś... - Dotychczas trzymała ręce na udach, lecz teraz uniosła je i wyciągnęła w geście prośby. - Popatrz, jak ograniczone i puste jest moje życie: nawet nie znam odpowiednich słów, którymi mogłabym określić to, czego pragnę. Przeczytałam wszystkie te napisane przez mężczyzn i kobiety książki, które tak skrupulatnie pooddzielano od siebie na półkach Roger's Free Library, lecz w żadnej z nich nie ma słów, które umożliwiłyby powiedzenie, czego od ciebie chcę.

- Nie rób tego - poprosił. - Nic nie mów.

Pochyliła głowę. Przez chwilę pozostała w takiej pozycji, z pochylonymi plecami. Shay zacisnął pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

Po chwili Emma wstała i spojrzała na niego. Jej oczy były łagodne, szare i chłodne jak niebo o świcie.

- W niedzielę będę na ciebie czekać na lisiej polance -oznajmiła.

- Nie przyjdę - odparł, zastanawiając się, skąd znajdzie siłę na dostosowanie się do tych słów.

XXV

Biegł szybko, aż zaczęło go kłuć w piersi. Biegł z całych sił, a jego stopy wzbijały nad Ferry Road obłok kurzu. Przez cały czas słyszał swój ciężki oddech.

Biegł i biegł, a ból dotrzymywał mu towarzystwa, krok po kroku, oddech po oddechu. Silny, przenikliwy ból.

Odrzucił do tyłu głowę i zawołał w stronę niebieskiego bezlitosnego nieba:

- Briu!

Droga zmieniła kierunek. Teraz biegł pod wiatr, czując na twarzy jego ciepły i suchy powiew. W tych okolicach w każde letnie popołudnie zrywała się południowo-zachodnia bryza, przy-

nosząca zapach morza. Starzy jankesi utrzymywali, że podsycza namiętności i budzi pożądanie.

Pożądanie. A cóż to za dziwna rzecz - pożądanie? Człowiek może wybrać, co bierze i co daje, co chce zatrzymać dla siebie, a co ofiarować.

Lecz nie może wybrać tego, czego pragnie.

Shay znajdował się już w głębi lasu. Trzy miesiące temu klony, brzozy i wiązy zieleniały w późnowiosennych promieniach słońca. Teraz ich liście oklapły pod wpływem letniego upału. Za miesiąc staną się karmazynowe i złociste, lecz nic nie przywróci życia jego żonie. Niczego nie zmieni również fakt, że jego serce ściska trudny do zniesienia smutek.

Zdawał już sobie sprawę, że nie zdoła utrzymać się z dala od polanki. Biegł tą drogą od dłuższego czasu, wmawiając sobie, że ucieka. Teraz nie miał już wyboru, nie mógł zrobić nic.

Jedynie biec na spotkanie z Emmą.

Dzięki lśniący żółty kwiatom nawłoci polanka wyglądała jak misa napełniona promieniami słonecznymi. Na jej środku siedziała dziewczyna w białej plisowanej sukience batystowej i w żółtym słomkowym kapeluszu, przewiązanym błękitną, fruującą na wietrze wstążką.

Można było odnieść wrażenie, że światło dobywa się z jej ciała, zupełnie jakby słońce znajdowało się w niej, a nie na niebie. Na jej widok Shay zaczął się zastanawiać, jak mógł dotąd wierzyć, że pomimo żywionych do niej uczuć zdoła zachowywać się tak, jakby go nic nie obchodziła.

Zatrzymał się w cieniu drzew i przez chwilę ją obserwował. Potem wyszedł na zalaną słońcem polanę, by spotkać się z Emmą.

Kiedy go usłyszała, odwróciła głowę, a na jej twarzy pojawiła się radość życia i oczekiwanie.

- Przyszedłeś... - powiedziała, a brzmiące w jej głosie szczęście zabarwione było lękiem. Jeszcze nie wiedziała, jak bardzo Shay jej pragnie.

Pragnął jej zaś tak rozpaczliwie, że aż kręciło mu się w głowie.

Usiadł obok niej i oparł nadgarstek na zgiętym kolanie. Gorący, suchy wiatr unosił ciemne kosmyki włosów opadających

na jej czoło i szyję. Shay pragnął zdjąć jej z głowy ten maleńki kapelusik z szeroką błękitną wstążką i rozpuścić włosy. Chciał wziąć je w dłonie, ukryć w nich twarz i wdychać ich woń, aż płuca wypełnią się tym zapachem. Oderwał od niej wzrok i rozejrzał się po polance. Spojrzał na ciemne zimozielone, pierzaste konary świerku kanadyjskiego. Na żółte plamy nawłoci. Na wiszące na gałązkach fioletowe jagody czarnego bzu.

Na lisią norę, przed którą leżał ptak - ogromny, nagi, różowy ptak.

- Czy może mi pani powiedzieć - zapytał - co to, do diabła, jest?

- Kapłon.

- Matko Boska! Po takim daniu nic nie będzie w stanie zmusić tych lisiąt, by zapolowały na chude kurczaki farmera. Roześmiała się jak niegrzeczne dziecko. Pragnął całować jej otwarte, roześmiane usta i połknąć ten dźwięk.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani rozejrzała, siadając w tym właśnie miejscu - powiedział, mając zamiar trochę się z nią podroczyć i być może znowu wywołać na jej twarzy uśmiech. -Na pewno pani wie, że w takie gorące dni łatwo natknąć się wśród nawłoci na węże.

Na ustach Emmy pojawił się uśmiech, który Shay tak bardzo chciał zobaczyć. Jej wargi przypominały delikatne płatki róż, odcinające się na tle bladej twarzy. Pragnął całować te usta.

- Może przyszłam tu, bo chciałam, żeby coś mnie ugryzło. Roześmiał się z jej odwagi.

- Shay...

Uwielbiał, gdy wymawiała jego imię. Jego brzmienie przypominało zapach płonącego drewna.

- Emmo - powiedział, pragnąc odwdzińczyć jej się tym samym, i zauważył, że sprawił jej ogromną przyjemność, ponieważ w głębi jej oczu coś zaśniło.

Opuściła głowę i spojrzała na kolana, na których trzymała zaciśnięte dłonie.

- Co teraz zrobimy? - zapytała cicho.

- Będziemy się kochać, Emmo. Jeśli nadal tego pragniesz.

- Tak, pragnę - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. -Ale co... Jak zaczniemy?

- Powoli - odparł i uśmiechnął się, dochodząc do wniosku, że wobec burzy szalejącej w jego sercu trudno będzie się nie spieszyć. - Tak, zrobimy to powoli i spokojnie. Niespiesznie się porozbieramy, a potem będę cię pieścił wszędzie tam, gdzie zapagniesz.

Wydała jakiś nieokreślony dźwięk, ni to śmiech, ni to westchnienie, nie patrząc na Shaya. Rozluźniła zaciśnięte dłonie i próbowała rozpiąć maleńkie perłowe guziczki przy rękawiczce, lecz drżała i z trudem chwyciła powietrze. Ujął jej dłoń.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Odwróciła rękę i położyła ją na jego kolanie. Rozpiął pierwszy z perłowych guziczków, po czym uniósł dłoń Emmy do ust i pocałował maleńki kawałek niezwykle białej, widocznej w tym miejscu skóry. Potem rozpiął następny guziczek i znów całował, i znowu, i znowu, aż pokonał sześć guziczków, i przepadł z kretesem.

Emma spojrzała na niego, a na jej twarzy malowała się gorąca miłość.

- Podotykaj mnie jeszcze - poprosiła. - Dotknij wargami moich ust.

Zwyczajnie, jakby robił to codziennie przez całe życie, pocałował ją w usta. Był to długi, początkowo spokojny i delikatny pocałunek, który stał się gwałtowny i namiętny. Shay szukał wszystkiego, czego pragnął, i znalazł to. Rozebrał ją, jak obiecał, powoli, a potem pieścił. Ustami, rękami, językiem. Pieścił jej piersi. Pieścił szyję, brzuch i zagłębienie między nogami. Nie był już w stanie wydusić z siebie ani słowa. Mógł jedynie ją pieścić.

Kiedy zdjął ubranie, wcale nie był zdziwiony, że Emma tak chętnie go dotyka, ponieważ od dawna wiedział, że potrafi być zarówno nieśmiała, jak i odważna. Pieściła jego ciało, jakby kształtowała je własnymi rękami.

Uniósł się nad nią, by widzieć jej twarz. Dostrzegł dzikie, ciemne, mające kolor torfowego dymu oczy. Pragnął jej tak bardzo, tak bardzo, że teraz nie był już w stanie się powstrzymać.

Kiedy się w nią wślizgnął, wydała cichy okrzyk. Wsunął się

głęboko, a kiedy nadeszła pora, wycofał się, pragnąc sprawić jej przyjemność, nie płodząc dziecka. Położył się obok niej, nadal trzymając ją w ramionach i tuląc do siebie. Na twarzach obydwójga leżały pasma włosów Emmy. Czuł na skórze jej nagie piersi i ciepły, wilgotny brzuch. Pragnął jej znów, lecz równie ogromną przyjemność sprawiało mu to, że Emma go obejmuje. Po prostu obejmuje. Leżała na plecach, całkiem naga. Wiatr dotykał miejsc, o których istnieniu nie wiedziała, dopóki nie odkrył ich Shay. Czuła się dojrzała i pełna miłości. Otworzyła oczy i spojrzała w błękit nieba. Wydawało jej się, że na chwilę cały świat oniemiał z wrażenia. Potem zaczął śpiewać leśny drozd, a obok policzka Shaya zabrzęczała pszczoła. Usłyszała nierówny oddech mężczyzny. Odwróciła głowę i całe jej pole widzenia przesłoniło jego ramię. Początkowo reagowała na ciało Shaya z pewnym strachem, jakby obawiała się jego ciężaru i siły. Ale to nie był wcale koniec, to był początek. Ponieważ robił takie rzeczy... Wypełnił jej usta językiem. Jak niemowlę ssał jej piersi. Jego palce i usta pieściły ją między nogami, wsunął nawet w nią język. W końcu sam się w nią wślizgnął. Trochę bolało, ale wcale się tym nie przejęła. Doszła do wniosku, że została stworzona dla tej chwili, kiedy mogła wpuścić go w siebie, czując jego pożądanie. A kiedy wszystko się skończyło, kiedy się od siebie odsunęli, coś nadal pozostało między nimi, na zawsze już zostanie. W jednym momencie byli dwójką ludzi, a teraz stali się jednością. Nigdy nie będę kochać nikogo oprócz niego, pomyślała. Przynajmniej nie w taki sposób. Nigdy. Uniosła się na łokciu i przyjrzała się jego twarzy. Miał zamknięte oczy i ponuro wykrzywione usta. Zastanawiała się, czy Shay właśnie myśli o Brii. Nie miała nic przeciwko temu. Bria była zwierciadlanym odbiciem i jej, i Shaya. Położyła dłoń na jego klatce piersiowej i poczuła, że nabrał powietrza w płuca. Potem otworzył oczy. - Emmo - powiedział, a to, co usłyszała w jego głosie, sprawiło, że poczuła niemiły ucisk w sercu.

Położyła palec na jego ustach.

- Nie - zaprotestowała. - Nie mów, że nie powinniśmy tego robić.

Zostawił palec Emmy na swoich ustach. Podniósł rękę i przeczesał palcami jej włosy. Była rozczochrana.

- Mężczyzna - powiedział, a ona poczuła, że jego wargi, mimo szorstkich słów, są bardzo delikatne - może doprowadzić dziewczę do zguby, uwodząc ją, lecz jeśli ona sama przychodzi do niego z własnej i nieprzymuszonej woli, ofiarowuje mu w darze swą niewinność. Nie powiem, że nie powinniśmy tego robić. Nigdy bym ci tego nie powiedział.

- Nie chcę, żeby to się skończyło - stwierdziła. - Jeszcze nie teraz.

Pochylił się nad nią. Włosy Shaya musnęły jej policzek, a jego oddech sparzył skórę na szyi.

- Boże, zmiłuj się nad nami! Ja również tego nie chcę. Pocałował ją w usta, a potem odchylił się i przesunął po niej wzrokiem. Czowała się tak, jakby dotykał jej oczami. Miała wrażenie, że w środku topnieje. Zupełnie jakby zrobiona została z wosku, a jego oczy były płomieniem.

- Nie patrz na mnie - powiedziała, dziwnie zawstydzona. Uśmiechnął się łobuzersko.

Przesunął palcem po wypukłości jej brzucha, a potem wzdłuż linii włosów i ciemnego zakamarka.

- *Ah mhuire...* To niemożliwe.

„Brzozy” tonęły w ciemnofioletowym zmierzchu, kiedy Emma wjechała swym pomalowanym na czarno powozikiem na długi, wysypany muszelkami podjazd.

Oddała powóz stajennemu, a sama stanęła na podjeździe i obejrzała się za siebie. Spojrzała na ogromną, ozdobioną zawijasami bramę. Kute żelazne pręty rzuciły na trawnik granatowe i fioletowe cienie. Tego lata przy bramie od strony zatoki pojawiły się krzaki dzikich róż. Obecnie ciepły wieczorny wiatr bezszelestnie zrzucił na trawę ich białe płatki jak perłowe kropelki.

Pomyślała: *Byłam z kochankiem*, a potem uśmiechnęła się na wspomnienie tych chwil. Kiedy jednak zwróciła się twarzą

w stronę zatoki, a wiatr musnął jej skórę jak palce Shaya, zorientowała się, że jej policzki są wilgotne od łez. Odwróciła się i ostrożnie, jakby stąpała po lodzie, pokonała schody, minęła szeroką werandę i weszła przez kasetonowe hebanowe drzwi.

Właśnie miała zamiar ruszyć schodami na piętro, kiedy, jak zwykle cicho i dyskretnie, stanął przed nią Carrews, kamerdyner.

- Jest pani oczekiwana w salonie, panno Emmo - oznajmił.

Spojrzała na niego zdziwiona. Czowała się oszołomiona i zdezorientowana, jakby nagle znalazła się w miejscu, w którym nigdy wcześniej nie była.

- Ale przecież na dzisiejszej kolacji nie spodziewamy się żadnych gości - powiedziała w końcu.

Carrews cofnął brodę i zmarszczył brwi. Zawsze przybierał taką minę, ilekroć nie był zadowolony z przebiegu rozmowy.

- Wydaje mi się, że jest tylko pan Alcott, i wcale nie ma na sobie stroju wizytowego.

Rzeczywiście, zbliżając się do adamaszkowych zasłon, za którymi znajdował się salon, usłyszała spokojny męski głos Geoffreya. Drzwi były uchylone. Zatrzymała się na chwilę, ukryta za ciężkimi zielonymi portierami, przyglądając się matce i mężczyźnie, któremu obiecała rękę.

Siedzieli na krzesłach chippendale z wysokimi, plecionymi oparciami. Na starym, wykonanym z chińskiego palisandru stoliku stał wyszukany, pochodzący z czasów Jerzego II dzbanek. Widocznie była w nim świeżo zaparzona kawa, ponieważ nad dziobkiem unosiła się para. Sądząc po sewrskiej porcelanie, mama uznała tę okazję za bardzo ważną, ponieważ kazała podać to, co najlepsze, mimo że tym razem Geoffrey nie był stosownie ubrany. Prawdę mówiąc, chociaż wydawało się to niewiarygodne, jego biały lniany garnitur pobrudzony był sadzą. Geoffrey trzymał na kolanie słomkowy kapelusz, którego rondo z jednej strony było nieco pogięte.

Kiedy w fabryce wybuchł pożar, Geoffrey przebywał w Maine, i widocznie dopiero teraz zdołał tu dotrzeć.

Najprawdopodobniej przyjechał do „Brzóz” prosto ze zniszczonej przez płomień i dym fabryki. Emma wiedziała jednak od matki, że cała nieruchomość i maszyny były ubezpieczone. Bethel - w obawie

przed kłopotliwą sytuacją towarzyską, jaka mogłaby się zdarzyć, gdyby nagle okazało się, że narzeczony córki został bankrutem - zleciła kuzynowi, bankierowi, przeprowadzenie małego dochodzenia.

Emma nie mogła się nadziwić, że widzi swego przyszłego męża, Geoffreya Alcotta, właśnie tutaj, w salonie. Trudno było jej uwierzyć, że życie nadal posuwa się do przodu, chociaż ona sama tak bardzo się zmieniła. Chociaż pod białym batysem i koronką sukienki, pod gorsetem i francuską koszulą z haftowanymi zakładkami, pod wszystkimi tymi warstwami, które jako panna Tremayne musiała mieć na sobie, na jej prawej piersi znajdował się czerwony znak, zostawiony przez Shaya McKenne.

Jak życie może toczyć się po staremu, skoro ona wciąż jeszcze czuje wilgoć między nogami, w miejscu, gdzie on był? Skoro czuje jego zapach na swoim ciele?

W tym momencie musiała wydać jakiś dźwięk, ponieważ Geoffrey uniósł głowę i dostrzegł ją. Nie poderwał się na równe nogi i nie popędził jej na spotkanie, ponieważ byłoby to niestosowne, nawet w wypadku mężczyzny, który od dwóch tygodni nie widział narzeczonej. Natomiast, jak na dżentelmena przystało, wstał, podszedł, ujął jej rękę i wprowadził ją do pokoju.

- Witaj, Emmo, kochanie - powiedział. - Przybyłem natychmiast, gdy się o wszystkim dowiedziałem. Nic ci się nie stało, prawda? Powiedz, że nic ci nie jest.

Potknęła się, a on przytrzymał ją za łokieć. Uniosła wzrok. Była oszołomiona i kręciło jej się w głowie, dlatego dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Geoffrey mówi o pożarze.

- Nic... Tylko lekko poparzyłam rękę. Zaraz za mną wbiegł do środka strażak i wyniósł mnie. Wszystkim udało się wyjść.

Podprowadził ją do obitej brokatem sofy, po czym usiadł, przez cały czas trzymając Emmę za rękę. Opuściła wzrok i zauważyła, że przy rękawiczce brakuje perłowego guziczka. Czowała mocny i szybki puls w nadgarstku, w miejscu, które Shay McKenna całował i całował bez końca.

Nagle uświadomiła sobie, że matka marszczy brwi i z napięciem wpatruje się w nią niebieskimi oczami. Sporo mówiło się o pożarze. Wykazany przez Emmę „akt odwagi” opisany został w „Bristol Phoenix”, co było wielce niestosowne. Gazety

powinny wymieniać nazwisko kobiety tylko dwa razy w życiu: przy okazji jej ślubu oraz śmierci.

- Najwyraźniej chłopcy roznoszący szpule oblewali olejem robaki i podpalali je, stąd powstał ogień - wyjaśnił Geoffrey. - Nie rozumiem natomiast, skąd ty się tam wzięłaś.

Ręka Emmy zadrżała. Próbowwała ją uwolnić, ale Geoffrey wzmocnił uchwyt.

- Przechodziłam obok i zobaczyłam dym. Przypomniałam sobie nagle o kluczach, które kiedyś widziałam w biurze pana Stipple'a - powiedziała. To samo powtarzała wszystkim. Była wściekła, wiedząc, co mówią na jej temat. To nie był żaden „akt odwagi”. Myślała jedynie o tym, by wydostać córeczki Brii.

- Dobrze, że nic się nie stało - stwierdził Geoffrey.

- Rzeczywiście, nic się nie stało. - Emma czuła coraz mocniejsze wewnętrzne drżenie. Nawet głos jej się trząsł. - Czy możesz mi coś wyjaśnić, Geoffreyu? Te drzwi to jedyne wyjście z hali. Dlaczego były zamknięte?!

Zacisnął wargi, a mięsień pod jego prawym okiem drgnął.

- Prząśniczki, zwłaszcza małe dziewczynki, czasami wykorzystywały te drzwi, by wymknąć się przed końcem zmiany.

Emma roześmiała się. Śmiała się, ponieważ gdyby tego nie zrobiła, musiałyby zacząć krzyczeć. Ale nawet ona słyszała w tym śmiechu histerię.

Matka energicznie odstawiła filiżankę z kawą. Towarzyszące temu ostre stuknięcie zakłóciło panującą w salonie dystygowaną atmosferę znacznie bardziej niż śmiech Emmy.

- Słowo daję, ta dziewczyna mimo tak okropnej pogody bez przerwy gdzieś wychodzi! Nie pamiętam, by kiedykolwiek pod koniec września było tak gorąco. Obawiam się, panie Alcott, że nasza najdroższa Emma padła ofiarą udaru słonecznego. - Z niepewnym uśmiechem na ustach Bethel odwróciła się w stronę córki. Cienie widoczne w jej oczach przez całe lato znów się pojawiły. - Może powinnaś iść do swojego pokoju i położyć się na chwilę, by odpocząć przed kolacją?

Emma pochyliła głowę, by ukryć wyraz swych oczu.

- Tak, mamo - powiedziała. Podniosła się z kanapy i zebrała spódnice.

- Emmo, zaczekaj... - Geoffrey sięgnął po jej rękę i wstał wraz z nią. - Obawiam się, że uważasz mnie za człowieka

bezdusznego. Tymczasem ja naprawdę dbam o te kobiety i dzieci, i drętwieję na myśl o tym, co mogło się zdarzyć. Obiecuję ci, że przeprowadzę zmiany. Prawdę mówiąc, już zwolniłem kierownika, którego nie było na miejscu podczas wypadku.

Zwrócona w jej stronę twarz Geoffreya była zatroskana, ale jego szare oczy przypominały nieruchome sadzawki, w których Emma widziała jedynie odbicie nieba i własnej twarzy. Przestała już wierzyć, że kiedykolwiek zdoła go naprawdę poznać i zrozumieć. Próbowwała sobie nawet wmówić, że należąca do Śmietanki Towarzystwiej żona wcale nie musi rozumieć ani kochać męża; to uchodziło za niestosowne.

Właściwie wcale nie była na niego zła, raczej czuła się zawiedziona. Zdała sobie sprawę, że od dnia polowania na lisa, od chwili, kiedy Geoffrey poprosił ją o rękę, bez przerwy czuje się nim rozczarowana. Przyszło jej raptem do głowy, że prawdopodobnie nie tylko ona jest winna temu, iż nie układa się między nimi.

- Nie czuję się dobrze, Geoffreju - powiedziała.

- Tak, to rozumiałe. - Poklepał ją po dłoni. - Napięcie, lęk... Masz odważne i dobre serce, moja droga... Na dodatek ten upał...

Odprowadził ją do drzwi salonu i, zanim pozwolił jej odejść, pocałował ją w policzek. Emma poszła do swojego pokoju i położyła się na łóżku, jakby naprawdę cierpiała na udar słoneczny.

Uniosła kolana i objęła rękami nogi, zwiijając się w kłębek. Zamknęła oczy i mocno wtuliła twarz w kolana. Pełne strachu serce biło dziko. Czuła się tak, jakby żeglowała jachtem po szerokich przestrzeniach oceanu, nie widząc linii brzegowej ani żadnych oznak zapowiadających, że wkrótce pojawi się ona na horyzoncie.

Jakby żeglowała w świat kryjący nieskończone możliwości.

XXVI

Gwiazdy najpierw zbladły, a potem znikły, i chociaż do wschodu słońca zostało jeszcze trochę czasu, zaczynał się nowy dzień.

Tego ranka Shay McKenna nie spieszył się z przygotowaniem

łodzi do wypłynięcia na zatokę. Napełnił jednak wiadra przynętą, a dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą zaniósł do kambuza pod pokładem.

Właśnie przywiązał szot do kliwra i pochylił się, by odwiązać linę cumowniczą, kiedy usłyszał odgłos kroków i poczuł kołysanie pomostu. Po chwili na szarych, zniszczonych deskach pojawiła się para eleganckich, wysoko zapinanych, jasnobrązowych bucików z koziej skóry.

- Witam, panno Tremayne - powiedział i westchnął. - Czy dużo kłopotu sprawi pani wyjaśnienie, co, do jasnej cholery, pani tu robi?

Zrobiła krok do przodu i spojrzała na niego spod ronda rozkosznego, maleńkiego, słomkowego kapelusika. Tym razem był ciemnoniebieski, a zdobiło go sterczące w niebo czaple pióro.

- Postanowiłam spędzić z tobą ten dzień.

- **Dhia.** Postanowiłaś spędzić ze mną dzień, powiadasz. - Zlustrował wzrokiem plażę, lecz na razie mogły ich zobaczyć jedynie mewy i rybołowy. - Co ty sobie, dziecko, wyobrażasz?

Uniosła wyżej głowę i przymrużyła oczy.

- Nie nazywaj mnie dzieckiem.

Spojrzał na nią tak, jak patrzył na Noreen, gdy bywała krnąbrna.

- Pewnie w dodatku, mimo tak wczesnej pory, zatrzymałaś swój mały czarny powóz przed moim domem, by cały świat go zobaczył i dowiedział się, że panna Emma Tremayne przyjeżdża do irlandzkiego kochanka.

Zadarła głowę.

- Wcale nie. Przyszłam na piechotę.

- Chwała Bogu. Przypuszczam, że szłaś samym środkiem Hope Street.

Wyciągnął jednak rękę, żeby Emma mogła wejść na pokład, nim ktoś zobaczy ją stojącą na pomoście, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Shay miał spory kuter, dostosowany do ciągnięcia sieci, wyposażony w dwie kadzie, sieci na homary, kilka lin oraz przynętę na dorsze i łupacze. Pod koniec dnia zawsze starannie szorował łódź, mimo to przesycona była wonią ryb i trudno było ją porównywać z eleganckim jachtem Emmy.

Kuter kołysał się na falach, lecz Emma stała na pokładzie w postawie godnej wilka morskiego. Shay położył rękę na jej

karku. Musnął wargami skórę w pobliżu ucha, żeby nacieszyć się zapachem jej włosów.

- Myślę, że powinnaś zostać pod pokładem, dopóki nie wypłyniemy z portu - powiedział.

Odwróciła głowę, pragnąc poczuć jego wargi na policzku. Potem uśmiechnęła się i zniknęła w zejściówce. Doszedł do wniosku, że powinna być z siebie zadowolona, ponieważ, do jasnej cholery, postawiła na swoim.

Czasami we wrześniowe poranki port bristolski bywał spokojny jak sadzawka. Shay postawił żagle, mimo to jeszcze przez chwilę dryfowali, póki płótno nie złapało wiatru.

Słońce wychyliło się zza horyzontu, malując ognistoczerwone plamy na niklowym morzu. Shay zajmował się właśnie kliwrem, który źle ustawił się na wietrze, kiedy Emma wyszła spod pokładu. Miała na sobie jego kurtkę i kapelusz - przypuszczał, że tak wyglądać ma kamuflaż w wykonaniu panny Tremayne. A niech to! Być może na jakiejś innej planecie znalazłaby się para oczu, która wzięłaby ją za bristolskiego rybaka. Ale tylko tam, ponieważ było jasne, że w męskim stroju paraduje po pokładzie dama.

Rozejrzała się dookoła, biorąc namiary i sprawdzając, jakim halsem płyną, a potem odwróciła się do Shaya z rozpaczą na twarzy.

- Nie odwoż mnie do domu - poprosiła.

Zmarszczył brwi, ponieważ to właśnie miał zamiar zrobić - chciał dopłynąć do Poppasquash Point i wysadzić ją na brzeg, gdzie było jej miejsce.

Ale przecież przez cały czas odczuwał ogromną, ściskającą w gardle radość, że Emma jest przy nim.

Bez słowa poluznił szot grotżagla i ustawił łódź na kursie prowadzącym na środek Narragansett Bay.

Usiadła w kokpicie, by mu nie przeszkadzać, i odwróciła się twarzą pod wiatr. Nie przywykł do towarzystwa na kutrze, ale Emma najwyraźniej nie miała nic przeciwko jego milczeniu i zносиła je ze stoickim spokojem. Nagle zerwał się poranny wiatr, który wypełnił żagle i wesoło uderzył falami o dziób.

Słońce w całej swej okazałości wędrowało po niebie, kiedy Emma wreszcie wymówiła imię Shaya. Sposób, w jaki to zrobiła, sprawił, że Shay obejrzał się na nią. Siedziała jak dziecko na

jednej nodze i rękami obejmowała kolano. Miała zarumienione policzki, a na jej ustach błąkał się dziwny uśmiech.

- Shay...? Kiedy znowu będziemy się kochać? Z jego ust wyrwał się gorzki śmiech.

- Emmo, kochanie, trzeba przyznać, że bardzo śmiało dobierasz słowa.

Na jej twarzy odbiło się szczęście, a Shay wiedział, że powodem tej radości stały się słowa „Emmo, kochanie”. Nie miał zamiaru tak mówić, ale wcale tego nie żałował.

Wcisnął kolano między szprychy koła sterowego, pragnąc je przytrzymać, wsunął kciuki do kieszeni i przybrał dumną pozę.

- Pewien irlandzki bohater o imieniu Cu Chulainn poniósł okropną porażkę w walce z plemieniem wojowniczych kobiet, które do bitwy ruszały nago. Jednym spojrzeniem obrzucił nagie piersi swych przeciwniczek, po czym odwrócił się na pięcie i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Na ustach Emmy pojawił się uśmiech.

- Czyżby próbował mi pan powiedzieć, panie McKenna, że chce pan uciec?

Co on właściwie chciał...?

Kiedy po raz pierwszy kochał się z Brią, zaczęli rozmawiać o przyszłości - nie o jutrze czy najbliższym tygodniu, lecz o całym życiu. Przysięgli sobie nawzajem, że spędzą życie jako mąż i żona, zanim zrobili to w kościele, w obliczu Boga.

Lecz z Emmą mógł liczyć jedynie na chwilę obecną. Chwilę, która nie ma przeszłości, a zatem trudno wiązać z nią nadzieje. Ważny był tylko ten moment - wspaniały, szalony, lecz przelotny.

Co on właściwie chciał...?

Myślał o niej. Przypominał sobie chwile, kiedy czuł w dłoniach jej piersi, kiedy jej brzuch ocierał się o jego skórę, kiedy miękkie i krągłe uda obejmowały jego twarz. Nie mógł zapomnieć smaku i zapachu jej ciała, marzył o tym, by ponownie ją mieć.

- Próbowałem ci jedynie powiedzieć - wyjaśnił - co powinienem zrobić. Ale to wcale nie znaczy, że tak właśnie postąpię, ponieważ zdążyłem się już wybrać do drogerii Pardona Hardy'ego i kupić kilka „francuskich listów”.

Między jej brwiami pojawiła się maleńka kreszczka, która

zawsze świadczyła o tym, że Emma jest zmartwiona lub zakłopotana.

- Czasami cię nie rozumiem. Co Francja ma z tym wspólnego?

Roześmiał się.

- „Francuskie listy”, dziewczyno, to coś takiego, dzięki czemu kobieta nie powinna zajść w ciążę. Chociaż to nie zawsze działa. To, co robimy, Emmo Tremayne, jest bardzo niebezpieczne.

Ponownie uniosła głowę; zawsze dobrze jej to wychodziło.

- Nie boję się - oznajmiła, mimo że sama słyszała drzenie swojego głosu. Już wkrótce zapewne sporo się dowie na temat konsekwencji pochopnych czynów.

- Ale ja się boję - wyznał. - Nawet bardzo.

Przyjrzała mu się uważnie, próbując sprawdzić, czy nie kpi. Kiedy zrozumiała, że mówił poważnie, odwróciła wzrok, a wówczas Shay zauważył, że z trudem przełknęła ślinę.

Pochylił się i z wiadra stojącego u jego stóp wyjął dużą, tłustą sardynkę.

- Weź to i załóż na haczyk jako przynętę - polecił. Rzucił śliską rybę Emmie na kolana i uśmiechnął się, widząc, że podskoczyła z cichym piskiem. - Jeśli masz zamiar spędzić ze mną cały dzień, panno Tremayne, spędzisz go na łowieniu ryb.

Musiał przyznać, że bardzo się starała, mimo to sprawiała mnóstwo kłopotu, ponieważ bez przerwy musiał jej mówić, co powinna zrobić, a potem pokazywać, w jaki sposób to wykonać, gdy tak naprawdę marzył jedynie o tym, by wziąć ją w ramiona.

Szklista, spokojna powierzchnia niebieskiej zatoki była niemal pusta, jedynie gdzieś tam w oddali pojedyncze żagle. Łowili dorsze wśród maleńkich wysepek porzrzucanych między Poppasquash Point i znacznie od nich większą Prudence Island. Kiedy mijali miejsce, w którym były wyższe fale, a prąd niebezpiecznie wirował wokół skupiska wykruszonych skał, Emma powiedziała, że to tu właśnie sześć lat temu utonął jej brat podczas sztormu.

- Wciąż jeszcze wiał szalony wiatr, kiedy ojciec wypłynął swoim jachtem na poszukiwanie Williego. Bardzo długo nie wracał, więc zaczęłam myśleć... - Zadrżała, jakby tamto długie oczekiwanie wciąż w niej było. - Kiedy w końcu przyplynał,

332

przywiózł jedynie klubową czapkę brata. W jakiś czas później pokazał mi, gdzie ją znalazł. Pływała między tymi skałami, wraz ze szczątkami łodzi Williogo.

- Czy po tym wypadku nie zaczęłaś bać się żeglowania?

- Zaczęłam się bać - przyznała. - Ale czegoś zupełnie innego. Kiedy złociste słońce świeciło wysoko na niebie, a woda lśniła

jak wypolerowana stal, Shay ustawił łódkę pod wiatr, po czym wyjął obiad w postaci kanapek z peklowaną wołowiną i podzielił się z Emmą.

- Narragansett jest przeważnie bardzo spokojną zatoczką - powiedział. - W niczym nie przypomina dzikich wód wokół Gortadoo.

Siedziała tuż obok, w zasięgu ręki, ale się nie dotykali. Nadal miała na głowie kapelusz, który samowolnie sobie pożyczyła, a jego rondo osłaniało twarz. Jakimś cudem jej szyja wyglądała na nieprawdopodobnie długą, Shay bez przerwy pragnął dotknąć wargami tego białego łuku, całować go od mostka aż po zagłębienie tuż za uchem.

- Opowiedz mi coś o swojej Irlandii. Otworzył usta, lecz nagle głos mu się załamał.

- O mojej Irlandii? Czyżby było ich więcej?

- Bria opowiedziała mi o swojej. Teraz chciałabym poznać twoją.

Przez chwilę milczał.

- Moja Irlandia... No cóż, to bajeczny ciernisty krzew rosnący samotnie na nagim wzgórzu pokrytym czarnymi kamieniami. To zjawą wędrująca przez bagniste pola i spoglądająca w górę w poszukiwaniu obłoku dymu unoszącego się z żółtej strzechy mojej *shibeen*. To żywopłoty z fuksji płaczące krwawymi łzami w okresie największego głodu i stosi schnącego w słońcu torfu.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Był zdziwiony, widząc wzbierające w jej oczach łzy.

- Irlandia z twojej opowieści jest niezwykle piękna.

- Czyż nie to samo opowiadała ci Bria?

- Nie. Pomimo wyraźnej miłości do Irlandii we wspomnieniach Bria było więcej bólu.

- To oczywiste - przyznał, potwierdzając prawdziwość słów Emmy i godząc się na ból, które mu sprawiały.

Nieco otuchy dodawał mu fakt, że tak swobodnie mogą roz-

mawiać o Brii. Z drugiej jednak strony ich miłość do Brii była jedynym elementem, który naprawdę ich łączył poza pożądaniem. Shay doszedł do wniosku, że w ostatnich tygodniach życia jego żony on, Emma i Bria tworzyli swego rodzaju trójkąt. Bria była jego podstawą, i to ona trzymała ich razem. Teraz odeszła i zostawiła ich wspartych o siebie nawzajem. Przynajmniej na razie.

- Kiedy byłem chłopcem w Gortadoo - wrócił do wspomnień, przerywając milczenie, które na chwilę zapadło - nurkowaliśmy w falach rozbijających się na piaszczystej plaży, a potem wspinaliśmy się na głazy i obserwowaliśmy zachód słońca. Widzisz, istnieje legenda, że daleko na zachodzie leży kraina zwana Tir na nóg. Jest to miejsce wiecznej młodości. Ale żaden Irlandczyk tam nie dotarł i nie widział go. My, Irlandczycy, uwielbiamy marzyć o opuszczeniu Irlandii, w rzeczywistości jednak wcale nie lubimy tego robić. A kiedy naprawdę musimy z niej wyjechać, jesteśmy straceni.

Emma odwróciła się i palcami dotknęła jego twarzy. Przesunęła wzdłuż nosa, kości policzkowych i brwi, a potem musnęła widoczną na policzku bliznę, która powstała, kiedy podczas szkwału wenta opadła z masztu i zraniła Shayowi twarz.

A potem dotknęła jego ust.

- Jeśli będę musiała cię opuścić - powiedziała drżącymi wargami - będę stracona.

Pragnął całować jej usta i już nigdy się od nich nie odrywać.

- Pewnego dnia staniesz przed taką koniecznością, Emmo. Wiesz o tym?

Przytaknęła, a jej oczy zrobiły się duże i wilgotne, potwierdzając prawdę jego słów i godząc się na ból, który sprawiały.

Znaleźli się tak blisko siebie, że ich usta niemal się zetknęły, a wówczas Shay ją pocałował.

Całowali się owiewani przez słony wiatr, zalewani promieniami stojącego wysoko na niebie słońca i otoczeni ciemnoniebieską wodą. Shay słyszał gwałtowne bicie swego serca; zachowywało się tak, jakby wpadło w amok, osiadło na mieliźnie i przepadło.

Oderwał się od Emmy.

- Chodźmy pod pokład - powiedział.

Ujął jej dłoń i poprowadził ją na dół. Tym razem ich miłość

graniczyła z desperacją. Nagie ciała wydawały ciche dźwięki, którym akompaniowało skrzypienie bomu i pojękiwanie kadłuba. Poruszali się w rytmie fal, na których łódź unosiła się i opadała.

Moje serce jest stracone, pomyślał. Jestem zgubiony. A potem, jak wszystkie inne chwile, ta również dobiegła końca. Wysadził ją na brzeg po drugiej stronie Poppasquash Point. Emma przez chwilę obserwowała, jak Shay odpływa, a potem rozejrzała się wokół siebie, jakby w ogóle nie знаła tego miejsca, jakby nigdy wcześniej nie widziała białych brzoź połyskujących srebrzyście w promieniach słońca ani zatoki, która wyrzucała na kamienistą plażę pianę morską i wodorosty. Jakby nigdy nie czuła bryzy tak delikatnej i spokojnej jak ta i nie słyszała drozda śpiewającego słodką piosenkę. Przyszło jej na myśl, że już nic w jej świecie nie będzie takie samo.

Weszła do domu, dotarła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Po kolei zdejmowała części garderoby, aż została naga, tak samo jak naga była przy nim, a wówczas pomyślała: on dotyka mnie tutaj, i tutaj, i tutaj. Dotyka wszystkich moich sekretnych miejsc. On mnie dotyka.

- Za każdym razem... - powiedziała. - Za każdym razem spotyka mnie to samo.

Shay leżał na plecach, zarzuciwszy ręce nad głowę, a jego pierś niespokojnie falowała. Oboje byli nadzy i tonęli w zarastającej polance nawłoci. Kwiaty drżały, jakby było im zimno na wietrze, a słońce przybrało mosiężny jesienny kolor.

Powoli odwrócił głowę, by spojrzeć na Emmę. Miał wrażenie, że jego ciało jest ciężkie jak ołów i tak obolałe, jakby obito go drakiem.

- Co cię spotyka? - zapytał.

- Ty.

Położył się na boku, a Emma odwróciła się w jego stronę. Dotknął dłonią jej piersi i potarł kciukiem brodawkę.

Obserwował, jak żar wywołany przez jego rękę i rumieniec przesuwa się w górę po jej obojczyku i dociera do szyi.

Wydawało mu

się, że niemal widzi, jak z jej ust wypływają słowa i unoszą się szybko niczym stado mew, które odfruva od brzegu.

- Kocham cię, Shayu.

Zauważył, że Emma z zapartym tchem czeka, aż on odwzajemni wyznanie.

Pocałował ją w usta, chcąc wyznać: ***Bycie z tobą wcale nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażałem. Nie mogę być z tobą, nie pragnąc cię, a kiedy już cię mam, pragnę cię jeszcze bardziej.*** Całując jej szyję, chciał powiedzieć: ***Nie zamierzałem cię pokochać, mimo to darzę cię prawdziwą miłością.*** Zdobył się wszakże tylko na jedno słowo:

- Emmo...

Odsunęła się od niego i usiadła jak dziecko, po indiańsku krzyżując nogi. W tej pozycji sprawiała wrażenie drobnej i bardzo kruchej. Miała skórę złocistą od słońca. Z jej włosów sterczały gałązki, liście i płatki nawłoci.

- Kiedy pan Alcott wróci do domu, muszę mu powiedzieć, że nie mogę wyjść za niego - oznajmiła.

- O ***Dhia***, nie. Nie rób tego.

Potrząsnęła głową. Mówiła, jakby bolało ją gardło, a w jej oczach widać było to, co działo się w sercu.

- Pokazałeś mi cud. Teraz nie możesz liczyć na to, że zgodzę się żyć bez niego.

Ujął jej dłoń i położył ją między swoimi nogami.

- To jest wszystko, co ci pokazałem, i nie ma w tym żadnego cudu.

Jej palce zaplotły się tam, gdzie je położył, odrobinę ścisnęły, i Shay musiał zamknąć oczy, by pokonać drzenie ciała.

- Mylisz się - powiedziała. - To jest prawdziwy cud. Usiadł i ich kolana znalazły się obok siebie. Ujął jej twarz w dłoń. Miała wilgotne usta, a jej otwarte szeroko oczy przypominały smagane wiatrem niebo. W jaki sposób znalazł się w tym miejscu? Skąd ona się tu wzięła?

- Emmo, kochanie... Łączy nas jedynie namiętność. To nie może trwać długo, zwłaszcza że w tym celu jedno z nas musiałoby zrezygnować ze wszystkiego. Nie rób czegoś, czego później będziesz gorzko żałować.

Chwyliła go palcami za nadgarstek. Przytrzymała jego dłoń i musnęła wargami palce.

- Kiedyś powiedziałaś, że moje życie będzie takie, jak je sobie ułożę.

- A co z obietnicą daną panu Alcottowi? Co z twoimi obowiązkami wobec...

Potrząsnęła głową, muskając ustami jego dłoń.

- Wiem, co to obowiązki. Całe moje życie polegało na wypełnianiu jakichś obowiązków. - Ujęła jego dłoń i zaczęła przesuwać ją wzdłuż swego ciała, najpierw po szyi, potem piersiach, a w końcu po wypukłości brzucha. - Obowiązek to wykonywanie w nieskończoność tych samych rzeczy, nawet jeśli wcale nie ma się na nie ochoty. Nawet jeśli nie jest się już w stanie ich znieść.

Położyła jego dłoń w ciepłym zagłębieniu między swoimi udami.

- Uwolnij mnie od tego, Shay. Proszę, uwolnij mnie. Pragnął powiedzieć: ***Kiedy to się zaczynało, nie Uczyłem na nic, a teraz zaczynam mieć nadzieję na wszystko.***

- Nie mogę tego zrobić, Emmo Tremayne - powiedział jednak. - Zawsze będę tylko biednym facetem z Gortadoo.

Poza tym nigdy nie przestanę kochać Brii.

Pochyliła się w jego stronę i musnęła wargami jego policzek w pocałunku tak delikatnym jak opadający na trawę płatek róży.

- Wiem o tym. Zawsze jednak będę cię kochać.

Kochała go.

Kochała go, składając wizytę siostrze Carter, pijąc herbatę i rozmawiając o pogodzie. Kochała go, grając w szachy z Maddie i oglądając z matką najmodniejszą porcelanę. Kiedy wybrała się na niedzielną mszę do Świętego Michała i usiadła w czerwonej ławce, mając na sobie beżową suknię, również go kochała. Nabierając powietrza w płuca, czuła, że go kocha.

Skąpiana w promieniach słońca jodła przypominała Emmie jego oczy. Zgrzyt piły ciągniętej po drewnie kojarzył się jej z jego głosem. Głęboki, donośny bulgot wody morskiej, przelewającej się przez dziób łodzi, brzmiał jak śmiech Shaya.

Zastanawiała się, czy to, co czuje do niego, jest swego rodzaju szaleństwem. Szaleństwem miłości. Postanawiała, że przez chwilę nie będzie o nim myśleć, że przez jakiś czas nie będzie go wspominać.

Było to jednak niemożliwe.

Tak czy inaczej nie miała zamiaru pozwolić mu odejść choćby do końca świata, a potem z sercem w gardle czekała, aż to naprawdę się stanie. Aż nastąpi koniec świata.

Każdego dnia budziła się i widziała leżącą na toalecie białą różę. Muszę mu powiedzieć, myślała. Gdy tylko wróci do domu, muszę mu powiedzieć. Układała w myślach słowa. ***Geoffreyu, jesteś wspaniałym przyjacielem, doszłam jednak do wniosku, że możemy być jedynie przyjaciółmi, niczym więcej. Nie mogę być taką żoną, na jaką zasługujesz, dlatego też zwracam ci wolność. Geoffreyu, kocham innego.***

Mam kochanka. Och, nawiasem mówiąc, jest to biedny facet z Gortadoo.

Istnieje dużo słów, które mogłaby wybrać i powiedzieć je Geoffreyowi, zawsze jednak dobór słów stanowił słabą stronę Emmy. W dodatku, ilekroć wyobrażała sobie, że właśnie je mówi, stawała jej przed oczami pełna bólu twarz narzeczonego.

Snęła się po „Brzozach”, wędrując z pokoju do pokoju, obserwując własne odbicie w porozwieszanych wszędzie mniejszych i większych lustrach, dotykając palcami krzeseł chippendale i wykańczanych pozłacanym brązem biurka. Trzymając w ręce srebrny widelec i opierając policzek na jedwabnej poszewce, myślała: ***Jestem w stanie obejść się bez tego.***

Potem jednak jej wzrok padał na matkę, siedzącą przy stole i pijącą na śniadanie czarną kawę, nic więcej. Bethel stawała się coraz szczuplejsza, a jej serce z coraz większym niepokojem oczekiwało powrotu męża, który jednak nie przyjedzie, jeśli nie będzie ślubu.

Pewnego dnia Emma znalazła w bibliotece Maddie pogrążoną w sennych marzeniach, które ostatnio coraz częściej ją nawiedzały. W dzień po przyjęciu w ogrodzie Stuart Alcott znów wyjechał z Bristolu i od tego czasu Maddie już nie ośmieliła się opuścić „Brzóz”. Oto do czego dochodzi, jeśli kocha się nieodpowiedniego człowieka, pomyślała Emma. Wszyscy mówią, że tak to się zwykle kończy. Lecz co zrobić, jeśli wciąż się go pragnie?

Emma nie kochała się z Shayem od tamtego dnia na lisiej polanie. Wmawiała sobie, że on musi łowić ryby, poza tym wiedziała, że wymykanie się, by spędzić z nim dzień na łodzi,

było wielce ryzykownym posunięciem, na które nie może sobie pozwolić. Spoczywało też na niej mnóstwo obowiązków - musiała uczestniczyć w meczach tenisa, partiach wista i sprzedaży placków na cele dobroczynne. Tylko raz, kiedy odwiedziła domek na Thames Street, by zobaczyć dziewczęta i małego Jacka, zastała również Shaya.

Tego wieczoru stanowili rodzinę. Wszyscy razem zasiedli przy stole przykrytym brązową, dobrze wyszorowaną ceratą i na kolację jedli *colcannon* oraz ciemny chleb. Emma czuła się tak, jakby wchodząc do kuchni wyklejonej wyblakłą tapetą w rajskie ptaki i stając przy piecu z czajnikiem w ręce, zajęła miejsce Brii.

Tego wieczoru wstąpił ojciec O'Reilly, a potem w piątkę wybrali się na spacer Ferry Road. Noreen pchała wózek z małym Jackiem. Emma i Shay wędrowali obok siebie, lecz niezbyt blisko, tak że jej spódnica jedynie muskała jego nogi.

Stojące w płomieniach klony wyraźnie odcinały się na tle nieba. Paprocie zdążyły już nabrać intensywnie brązowej barwy, a trzcina i turzyca pożółkły. Emma zaprezentowała jankeski obyczaj chowania do kieszeni pierwszego znalezionej jesienią kasztana, który miał za zadanie chronić przed reumatyzmem. Zaproponowała dziewczętom, by zachowały swoje kasztany i gdy nadejdzie zima, wsadziły je w kulki śniegowe.

Kiedy ojciec O'Reilly i dziewczynki wysunęli się nieco do przodu, Shay powiedział szeptem:

- Pragnę cię.

Kiedy dostrzegła w jego zielonych oczach pożądanie, przestraszyła się. Pod warstwami ubrania poczuła ból i napięcie w piersiach. Jej okryte jedwabnymi pończochami i długimi reformami nogi drżały, jakby była naga.

- Ja pragnę cię jeszcze bardziej.

Oderwał od niej wzrok, a wówczas usłyszała, że wziął głęboki, niespokojny oddech.

- To wszystko jest jak Puca - rzekł. Uśmiechnęła się łagodnie, a jej serce zabiło mocniej.

- Co to takiego?

- Puca to czarodziejska biała klacz z rogami. Spotkać ją można tylko na nie uczęszczanych drogach, choć właściwie to ona sama znajduje wybrane przez siebie osoby. Jeśli to będziesz

ty, zatrzyma się i zapyta, czy chcesz się na niej przejechać. A kiedy weźmie cię na swój grzbiet, popędzi z tobą i skoczy z urwiska prosto w morze.

- Chcę skoczyć z klifu razem z tobą, Shayu McKenno. Myślę, że to przypominałoby fruwanie.

Wracając, obserwowali wschodzący nad zatoką księżyc. Tej nocy Emma wyjrzała z okna sypialni i zobaczyła na niebie srebrny krążek, jakby księżyc podążył za nią do domu.

Czekała na niego przed ozdobioną zawijaszami, kutą żelazną bramą.

Nadszedł od tyłu, od strony brzoźowego lasu. Wyraźnie się spieszył, dlatego poły jego kurtki łopotały na wietrze.

Kapelusz z podwiniętym rondem ocieniał mu twarz. Trochę bała się, że Shay będzie zły o to, co zrobiła.

- Przyszedłem prosto z łodzi - powiedział, kiedy się zbliżył. - Gdy tylko Noreen przekazała mi twój list. O co chodzi? Co się stało?

Zacisnęła ręce za plecami, starając się stać prosto.

- Nic się nie stało. Chcę ci tylko coś pokazać.

- Pokazać... - Odskoczył od niej i zacisnął palce na prętach bramy, opierając się o nie. Zamknął oczy. - Boże, zmiłuj się nad nami! Myślałem, że ktoś nas nakrył.

- Czy to byłoby takie okropne?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Zauważyła, że kiedy był zły, jego oczy stawały się twarde jak okruchy granitowych głazów leżących na plażach w pobliżu portu.

- Wiesz, że tak - powiedział. - Nie udawaj dziecka, Emmo. Zupełnie jak dziecko nagle poczuła, że chce jej się płakać.

- Przepraszam. Ja tylko... Nie udało mi się wymyślić lepszego sposobu, żeby cię tu ściągnąć. Nie przyszedłbyś, gdybym cię o to poprosiła, nawet gdybym wysłała ci zaproszenie wydrukowane na tłoczonym papierze.

- Oczywiście, że bym nie przyszedł. Jedno z nas musi zachować choć odrobinę rozsądku. - Zaczął odsuwać się od bramy, Emma jednak położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie odchodź, proszę. Mam coś... Byłabym niezmiernie zadowolona, gdybyś pozwolił sobie to ofiarować. Nie będzie żadnego skandalu, bo nikt nas nie przyłapie. Mama wyjechała dzisiaj

do Providence na spotkanie Klubu Damskiego, a Maddie popołudniami zawsze ucina sobie drzemkę.

Rozejrzał się wokół siebie, marszcząc brwi w pełnym ironii zdumieniu.

- Czy w tak okazałym domu nie ma służby? Same wszystko robicie? Szorujecie marmurowe podłogi i polerujecie srebrne dzbanki do herbaty?

- Mamy w „Brzozach” piętnastu służących - powiedziała i zarumieniła się, słysząc własne słowa. - Chcę zabrać cię do starej oranżerii, nie do salonu lub, Boże broń, do mojego łóżka z baldachimem. Nawet jeśli ktoś zobaczy cię ze mną w oranżerii, pomyśli, że jesteś kamieniarzem, który dostarcza mi towar. A teraz koniec z usprawiedliwieniami, przeprosinami i wyjaśnieniami, Shayu McKenno. Masz do wyboru: albo ze mną idziesz, albo nie.

Przeszła przez bramę, nie oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy Shay idzie za nią. Początkowo nie słyszała jego kroków na wysypanym muszelkami podjeździe, potem jednak do jej uszu dotarł szmer.

Blask odbitych od powierzchni morza promieni sączył się przez szklaną ścianę oranżerii, migając na wykładanej czarnymi i białymi kafelkami posadzce. Wiedziała, że będzie niezmiernie szczęśliwa, jeśli uda jej się ściągnąć Shaya w miejsce, które należało tylko do niej.

Pozwoliła mu się przez chwilę rozglądać, a w tym czasie z jednego z kątów wysunęła postument, na którym pod kawałkiem materiału znajdowało się dzieło jej rąk.

Zdenerwowana i podekscytowana stanęła przez Shayem. Do tej pory ofiarowała mu jedynie swoje ciało, natomiast obecny prezent wykonany został z krwi utoczonej prosto z serca.

- Zrobiłam to dla ciebie - powiedziała. - Nie, właściwie wykonałam to dla siebie, ale z myślą o tym, by ci to ofiarować. Oczywiście, jeśli zechcesz. Nie musisz przyjmować z czystej uprzejmości.

- Wspaniale - powiedział, drocząc się z nią. Patrzył na poplamiony gliną i farbami kawałek szmaty jak na arcydzieło. Emma chwyciła brzegi materiału i powoli je uniosła. Miała wrażenie, że w całym pomieszczeniu słychać bicie jej serca.

Uniósł ręce do góry, jakby chciał dotknąć rzeźby, lecz nie zrobił tego.

- **Mo bhean** - szepnął, a jego schrypnięty głos nagle się załamał. - Briu, dziewczyno...

To była Bria. Twarz Brii, jaką Emma niegdyś chciała wyrzeźbić.

Chociaż całość była trzykrotnie większa od oryginału i ustawiona została na najmniejszym piedestale, jaki udało się Emmie zdobyć, pozostawała w zgodzie z wszelkimi prawami fizyki, a zarazem wyglądała tak, jakby unosiła się w powietrzu.

Kiedy Shay poczuł, że trzęsie mu się ręka, opuścił ją. Emma odwróciła wzrok, gdyż obserwowanie w tym momencie jego twarzy sprawiało jej ból. W jego wilgotnych oczach i ściągniętych wargach widniała miłość i rozpacz.

Zostawiła go na dłuższą chwilę sam na sam z twarzą Brii, by w milczeniu mógł obcować z duchem zmarłej żony. W tym czasie wyglądała przez pokryte warstewką soli szybki. Obserwowała, jak przyływ powoli pochłania kamienistą plażę, widziała, jak wiatr porusza żółtymi liśćmi brzoź. Doszła do wniosku, że mocniejszy poryw wiatru od morza ogołoci niebawem drzewa.

Zostawiła Shaya samego z Brią do chwili, kiedy trudno było już znieść ciszę panującą w rozległym, przeszklonym pomieszczeniu.

- Ten brąz wykonany został w ten sposób, że najpierw musiałam zrobić model z gliny, dzięki któremu mogę zrobić następne odlewy. Mogę ofiarować popiersie każdej z dziewcząt, małemu Jackowi i ojcu O'Reilly'emu, jeśli tylko zechcą.

Teraz musiała już na niego popatrzeć. Odwróciła się i zauważyła, że wpatruje się w nią. Po raz ostatni jego twarz miała taki wyraz tej nocy, kiedy urodził mu się syn.

Podszedł do niej, ale dotknął jej jedynie oczami. Oczami błyszczącymi z bólu i pełnymi życia.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Emmo Tremayne. Bez przerwy ofiarowujesz mi rzeczy, na które nie ma ceny.

Widząc w jego oczach burzę uczuć, pochyliła głowę.

- Ja również ją kochałam, Shayu - powiedziała.

Wziął ją w objęcia. Położyła dłonie na jego piersi i poczuła jego oddech oraz mocne bicie serca.

- Wiem o tym - odparł. - Wiem.

Została w mocnych ramionach jeszcze przez chwilę.

Kiedy odsunęli się od siebie, poczuła się lżejsza, zupełnie jakby fruwała pod szklanym sufitem. Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę następnej okrytej materiałem rzeźby.

Uniosła tkaninę i bez słowa obserwowała uważnie jego twarz. Była to wyciosana w granicie para zaciśniętych męskich rąk. Ta rzeźba wykonana została w naturalnej wielkości.

- Nie musisz się obawiać, że kiedykolwiek to wystawię - powiedziała. - Ani mama, ani pan Alcott nie dopuszczą do zorganizowania wystawy moich prac. To byłoby niestosowne. Ludzie należący do Śmietanki Towarzyskiej nie szczycą się swymi talentami, lecz dobytkiem.

Shay obchodził rzeźbę, patrząc na nią zdumionymi oczami.

- Ten facet ma większą tężyznę niż mógg - orzekł w końcu. Emma powściągnęła uśmiech.

- To twoje ręce, Shayu McKenno.

- Zdołałem się tego domyślić, Boże, bądź litościw.

- To tylko ręce, Boże, bądź litościw. Pewnego dnia może wyrzeźbię również inne części twojego ciała.

Wychylił się zza rzeźby przedstawiającej grube, żylaste dłonie.

- Jakie części?

- Wszystkie rozkoszne fragmenty twojego ciała. Ćwiczę od dnia, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, to znaczy od polowania na lisy. - Prawdę mówiąc, dotychczas ośmieliła się jedynie robić jego ręce, nawet w glinie, ale droczenie się z nim sprawiało jej ogromną przyjemność. Zauważyła, że poczerwieniały mu uszy.

- Czy masz zamiar wmówić mi, że w myślach rozbierałaś mnie do naga, nawet mnie nie znając?

- Czy nie robiłaś tego samego ze mną, oczywiście w myślach?

- Naprrrrawdę nie - powiedział, przesadnie podkreślając swój irlandzki akcent. - No cóż, może w myślach uniosłem nieco twoją spódnicę, by zobaczyć kostki.

Ze śmiechem cofała się, aż wpadła na platformę obrotową, na której zazwyczaj modelowała glinę. Usiadła na niej, obróciła platformę i uniosła spódnicę, szeroko rozstawiając nogi, tak jak robią to dziewczęta występujące w wodewilu.

- A co teraz widzisz, oczywiście w myślach?

- Pozbawioną wstydu, zuchwałą dziewczynę. Przystopował obracającą się platformę i ogromnymi rękami objął Emmę w pasie. Jeszcze bardziej rozchyliła kolana, a Shay stanął między nimi. Podwinął do pasa spódnicę oraz halki i przesunął ręką wzdłuż uda, aż dotarł do rozcięcia w reformach. Pochylił głowę i delikatnie schwycił zębami jej wargę.

- Ty też masz kilka rozkosznych części.

- One są twoje. Wszystkie.

Ujął głowę Emmy, by namiętnie ją pocałować. Wsunął język między jej wargi i wypełnił nim usta. Otarł się o nią biodrami. Był podniecony.

Odrzuciła głowę i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w szybki, które zdawały się wirować w górze, powodując załamanie światła i tworząc kalejdoskop błękitnych skrawków nieba oraz żółtych słońc. Przycisnęła wargi do pulsującego zagłębienia w jej szyi, a ona usłyszała, jak jego głos dźwięczy w jej krwi.

- Emmo, Emmo, Emmo...

Czasami, kiedy sny dobiegały końca i Maddie Tremayne budziła się w środku zimy, którą było jej życie, czuła, że ogarnia ją nie dający się znieść niepokój.

Zadręczała się, odrzucając pościel i unosząc nocną koszulę, by zobaczyć spustoszenie, jakiemu uległo jej ciało, i rozkoszować się nienawiścią. Nienawiścią do życia i Boga. Nienawiścią do samej siebie.

Ale nawet nienawiść i rozczulanie się nad sobą po jakimś czasie stawały się uciążliwe. Wówczas, jeśli pogoda była ładna, a mamy nie było w domu i nie miał jej kto zbesztać za wywoływanie zamieszania, Maddie dzwoniła po lokaja, by zniósł ją wraz z wózkiem na dół, i po pokojówkę Tildy, by obwiozła ją po ogrodzie.

Tego dnia miała zamiar pojechać na maleńki cypelek wrzynający się w zatokę. Nagle jednak dostrzegła cień poruszający się za szklaną ścianą starej oranżerii.

- To Emma - powiedziała, oglądając się przez ramię na Tildy. - Pewnie rzeźbi.

- Podjedziemy, panienko, by sprawdzić, czy nie ma ochoty na towarzystwo?

- Och, sama nie wiem.

Maddie nie chciała przeszkadzać pochłoniętej pracą siostrze. Nie chodziło o to, że Emma mogłaby być niegrzeczna; pewnie jednak byłyby roztargniona, a to sprawiłoby Maddie przykrość.

Mimo to, mimo to... Kiedy Maddie obudziła się tego popołudnia, czuła się okropnie samotna. Nie, gorzej niż samotna -miała wrażenie, że jest kompletnie pusta. Zupełnie jakby podczas snu ostry wiatr przewiał na wskroś jej ciało i wydmuchał z niej duszę.

Zresztą to i tak nie miało znaczenia, ponieważ Tildy pchała ją właśnie ogrodową ścieżką biegnącą wśród doniczek, w których rosły pelargonie, i prowadzącą na taras ciągnący się wzdłuż południowej ściany oranżerii.

Pierwsza zobaczyła ich Tildy. Z trudem złapała powietrze i tak gwałtownie zatrzymała wózek, że Maddie poleciała do przodu. Musiała chwycić się oparcia, by nie wypaść. Z pewnością krzyknęłaby, lecz zabrakło jej tchu w piersiach. Emma była z kimś, kogo Maddie nigdy dotąd nie widziała. Człowiek ten sprawiał wrażenie prostego robotnika. Miał potargane włosy, koszulę, a jego zniszczone sztruksowe bryczesy... zsunięte były na uda. Błada na tle ciemnej skóry tego mężczyzny ręka Emmy konwulsyjnie ścisnęła jego mocne ciało.

Emma odchyliła się do tyłu na czymś, co przypominało stół, a człowiek ten stał między jej nogami. Rozpięta bluzka i stanik odsłaniały piersi Emmy, a mężczyzna ssął jej brodawkę i pociągał ją zębami. A potem jego biodra zaczęły się poruszać mocno, tak mocno, że aż stół odsunął się do tyłu.

Emma odrzuciła głowę i otworzyła szeroko usta, a Maddie miała wrażenie, że słyszy sapanie siostry, potem jednak zdała sobie sprawę, że to wiatr wiejący wśród brzoź. Wiatr i jej własny, nierówny oddech.

Tildy próbowała zawrócić wózek, ale jedno z kółek ugrzęzło w wykruszonej zaprawie murarskiej, którą połączone były ceglane płytki.

- Nie - powiedziała Maddie ostro. - Zostaw! Tildy jęknęła.

- Ależ, panienko, nie powinnyśmy na to patrzeć. To nieprzyzwoite.

- Bądź cicho i rób, co mówię.

340

Obserwowała, obserwowała ich do końca. A kiedy było już po wszystkim, serce Maddie Tremayne waliło, jakby biegła, a pod jej piersiami zebrał się pot, który strumyczkiem spływał pod gorsetem.

Kiedy jednak się odezwała, jej głos był spokojny i stanowczy.

- Teraz chcę wrócić do domu.

Jęknąwszy, Tildy szarpnęła wózek i w końcu zdołała go uwolnić. Nagle wydawało się, że wiatr zamarł i Maddie słyszała jedynie stukanie kółek.

Moje kółka, pomyślała. Stukanie moich kółek to jedyny dźwięk świadczący o tym, że jeszcze żyję. Nawet moje serce nie wydaje żadnego odgłosu, ponieważ nie ma nikogo, kto usłyszałby jego bicie.

XXVII

W pochmurne popołudnie, niezapalając w sypialni lampki, Emma Tremayne i jej irlandzki kochanek leżeli w białym żelaznym łóżku.

Na zewnątrz wiał porywisty, sztormowy wiatr.

- Mam zamiar opuścić Bristol - oświadczył Shay. Poczula, że brakuje jej tchu, była w stanie jedynie leżeć, leżeć i myśleć: za chwilę znowu będę oddychać, za chwilę dalej będę żyć. Potrzebna mi jedynie chwilka, maleńka chwilka...

- Donagh mówi, że ma w Nowym Jorku kuzyna. Ten facet może załatwić mi pracę w dokach. Dostawałbym znacznie więcej pieniędzy, niż zarabiam tutaj, łowiąc ryby w łódce, która nawet do mnie nie należy.

Leżała obok niego, w jego łóżku, a on mówił, że ją opuszcza. Wzięła oddech, potem następny. Uczyla się, dorastała. Dlatego też oznajmiła:

- Jadę z tobą.

- Emmo...

Przesunął palcami po jej włosach, również tam, gdzie owinęły się wokół piersi i bioder. Już wiedziała, dlaczego tego popołudnia pozwolił jej tu przyjść, wykorzystując fakt, że ojciec O'Reilly zabrał dziewczynki na zorganizowane przez kościół przyjęcie

i opieki wymagał jedynie leżący w kołysce mały Jacko. Emma zdała sobie nagle sprawę, że wszystko się skończyło.
- Emmo... To, co nas łączy, jest cudowne, a ponieważ jest cudowne, nie potrafimy z tego zrezygnować; pewnego dnia jednak zostaniemy przyłapani. Takiej sytuacji nie da się ciągnąć w nieskończoność bez poniesienia konsekwencji.

Wstała i podeszła do wychodzącego na plażę okna. Właśnie zaczynał padać deszcz, a fale niespokojnie uderzały o głązy i pomosty. Położyła dłoń na szybie, jakby w ten sposób mogła wyczuć tętno oceanu i bicie własnego serca. Swego umierającego serca.

- Jeśli pojedę z tobą, to, co nas łączy, może trwać. Może trwać w nieskończoność.

- Nie pozwolę ci jechać.

Objęła się ramionami, starając się nie rozpaść na kawałki. Czuła, że w piersi, gardle i mózgu rodzi się paniczny strach.

- Chodzi o moje jankeskie pieniądze, prawda? - zapytała. - Jesteś zarozumiałym irlandzkim snobem!

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Shay usiadł, włożył bryczesy i zapiał je.

- W pewnym sensie. Prawdę mówiąc, trudno zapomnieć o twoich pieniądzach.

Jego zielone oczy stwardniały i zapłonęły blaskiem.

Chciała wyciągnąć rękę, dotknąć złamanego nosa Shaya, pocałować go. Uderzyć tak mocno, by jeszcze raz go złamać. Nie była w stanie patrzeć dłużej na ukochanego mężczyznę. Nie mogła się pogodzić z myślą, że jest właśnie taki, a ona tak bardzo go kocha.

- Czy żeby być z tobą, muszę zrezygnować z tych pieniędzy? Czy stawiasz taki warunek? Czy sądzisz, że nie mogłabym tego zrobić, że tego nie zrobię? Tylko nie próbuj mi wmawiać, że za mało cię kocham.

- Ach, *mhuire*. - Wstał z łóżka, rozprostowując długie, mocne nogi. - Wciąż jeszcze nie masz pojęcia, co znaczy „naprawdę kochać”. Miłość to coś więcej niż pieprzenie się. To nie wystarczy w małżeństwie. Bycie mężem i żoną to dzielenie się. Marzeniami, dniem codziennym, wspomnieniami, uroczystościami, przekonaniem i wiarą. Takimi drobiazgami jak upodobanie do peklowanej wołowiny i kapusty oraz wielkimi sprawami,

dotyczącymi dzieci, którym wspólnie daje się życie i razem się je wychowuje.

- Ależ ja chcę mieć z tobą dzieci! Pragnę również być matką tych, które już masz.

Obydwoma rękami odgarnął włosy z twarzy.

- Popatrz tylko. Nie widzisz, co się dzieje? Ja mówię jedno, a ty słyszysz coś innego. Mogę ci powiedzieć, że należę do ludzi, których trudno zrozumieć, dlatego nigdy nie będziesz miała pojęcia, o czym mówię. Tak samo jak ja nigdy nie będę miał pojęcia, jak człowiek się czuje, jeśli ma milion dolarów na czymś, co nazywa się funduszem powierniczym, i potrafi w odniesieniu do tej sumy użyć słówka *zaledwie*, jakby pieniądze te nie miały znaczenia.

- Podniósł ze zniszczonej komody czarny aksamitny kapelusz Emmy i wyciągnął w jej stronę. Potem rzucił go na łóżko i wziął należące do niej kremowe rękawiczki. - Tak samo jak para rękawiczek - dodał.

Wyrwała mu rękawiczki i rzuciła je w kąt.

- Mylisz się! Zawsze się myliłeś, oceniając mnie tak. Twoim zdaniem jestem rozpieszczoną, próżną egoistką. Być może to prawda, ale przecież mogę się zmienić. Już się zmieniłam.

- Czy uważasz, że zmieniłaś się na tyle, by zamieszkać z nami w bloku w Hell's Kitchen, zacząć pracować w fabryce i poznać, jak uciążliwa jest praca przy prądnicy przez dwanaście godzin dziennie i sześć dni w tygodniu?

- Dlaczego niby miałabym to robić? Czyżbyś zapomniał, że jestem bogata?

- Na pewno nie. Więc może ja i moje dzieci zdołamy przyłączyć się do twojego funduszu powierniczego, i wspólnie zamieszkamy w tym wspaniałym, srebrnym domu, w którym piętnastu służących będzie robić nam afront, gdy tylko wejdziemy tylnymi drzwiami, udając, że pomyliliśmy je z frontowym wejściem i...

Wypuścił powietrze z płuc w ciężkim westchnieniu.

- To niemożliwe, Emmo. Istnieją rzeczy, których nie możemy mieć, niezależnie od tego, jak bardzo ich pragniemy.

Gwałtowny deszcz zaczął nagle uderzać w szybkim rytmie o cienki dach domku. Oboje wyjrzeni przez okno, nie widzieli jednak nic oprócz spływającej po szybach wody.

- Jesteś tchórzem, Shayu McKenno - powiedziała, a szum deszczu zagłuszał jej słowa. - Boisz się spróbować.
- Tak, masz rację. Boję się, że wyrządę ci krzywdę i że sam zostanę zraniony. Obawiam się, że będę musiał obserwować, jak moje córki i maleńki synek najpierw pokochają cię jak matkę, a potem będą opłakiwać stratę, kiedy nas zostawisz, by wrócić do swojego świata.

- Możemy we dwoje stworzyć własny świat, Shayu, nasze miejsce na ziemi.

- Och, kochanie... - Potrząsnął głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech, który łamał jej serce. - Jakież to będzie miejsce? Znajdujesz się za wysoko, bym mógł po ciebie sięgnąć, a jeśli nawet by mi się to udało, to mogę jedynie ściągnąć cię w dół.

Sztorm wypełnił pokój dziwną żółtą poświatą. To nikłe światło ukazało błysk łez w jego oczach i gwałtowne zaciśnięcie szczęki.

W tym momencie Emma zrozumiała, że tak, jak zazwyczaj postępują mężczyźni, Shay postanowił sam zdecydować o wszystkim.

Zrozumiała, ale wcale nie miała zamiaru się na to zgodzić. Jeśli Shay wyjedzie do Nowego Jorku, podąży za nim. Jeśli będzie to konieczne, doczołga się do niego na czworakach i zmusi, by pozwolił jej zostać.

- Po... - Głos mu się załamał, musiał więc zacząć od nowa. - Powinnaś to wiedzieć, Emmo... Nigdy w moim życiu nie będzie nikogo innego. Kocham cię całym sercem i zawsze będę cię kochał, »10 *chridh*.

Ubrała się w milczeniu. Potem podeszła do drzwi i dopiero wówczas spojrzała na Shaya. Stał na środku kuchni w samych bryczesach, z wciąż rozpiętym ostatnim guzikiem. Był rozczochrany i zarumieniony, a na jego szyi widniał ślad po mocnym pocałunku. Wyglądał jak mężczyzna, który właśnie wyszedł z łóżka kochanki.

- Oboje bardzo się kochamy - powiedziała. - Więc może zdołasz wytłumaczyć własnemu sercu, dlaczego wychodzę. Zawołał ją, ale ona wyszła już za drzwi.

Popołudnie zmieniło się w szary zmierzch, po niebie hasał silny wiatr. Nad zatoką unosiły się bryzgi piany. Deszcz zaczął, zalewając świat białymi strugami wody i wydając odgłosy, które

przypominały łopotanie rozwieszonych na sznurze mokrych prześcieradeł.

Idąc plażą, Emma nagle usłyszała jego krzyk i odgłos biegnących stóp. Właściwie nie miała zamiaru się oglądać, w końcu jednak to zrobiła.

Podbiegł do niej. Była zdumiona, widząc, że jest kompletnie przemoczony, lecz potem zdała sobie sprawę, że ona musi wyglądać tak samo.

Jego słowa dotarły do niej przez głośnie zawrozczenie wiatru.

- Emmo, mam nadzieję, że nie przyplęnęłaś tu żaglówką, prawda?

- Nie - skłamała, niezbyt pewna, dlaczego to robi. Może po prostu jak najszybciej chciała uciec od niego? -

Przyjechałam powozem, zostawiłam go przed biblioteką.

Niemal przez wieczność stali w strugach deszczu i patrzyli na siebie.

- W takim razie do widzenia, i uważaj na siebie - powiedział. Odszedł.

Wrócił do pustego domu, pustej sypialni i pustego łóżka. Położył się na boku i patrzył w ścianę. Za oknem lał deszcz i zawodził wiatr.

Shay położył dłoń w miejscu, gdzie leżała Emma. Niestety, było już zimne.

- Kochanie - powiedział.

Nie wiedział jednak, stratę której kobiety oplakuje.

Wspinając się na grzbiety fal i opadając, „Ikar” jęczał jak w agonii. Wiatr szarpał żagle. Zasnute chmurami niebo co chwilę przecinały błyskawice, zalewając każdy zakątek świata niebieskawym światłem.

Emma usiłowała obydwoma rękami utrzymać rumpel, nie zważając na to, że deszcz smaga ją po twarzy i zalewa oczy. Poręcz po zawietrznej znajdowała się sześćdziesiąt centymetrów pod spienioną wodą; wiatr wył i zawodził w olinowaniu. Sztorm był straszny i piękny zarazem, tak straszny i piękny, że w porównaniu z nim wszystko inne wydawało się nieważne i byle jakie. Wszystko, oprócz miłości, pomyślała Emma. Miłość w niczym nie ustępowała burzy.

Odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła:

- Robię to z własnej i nieprzymuszonej woli! To jest mój wybór, Shayu McKenno! Wybieram właśnie to! Niebo eksplodowało gęstą pajęczyną błyskawicy. W nagłym świetle, nim świat ponownie został pochłonięty przez zacinający deszcz i wiatr, Emma zobaczyła coś, co zatrzymało bicie jej serca.

Falę. Falę, która powinna wędrować po oceanie, a nie po maleńkiej zatoce przy Rhode Island. Pomimo huku fal i zawrota głowy, szumu deszczu Emma usłyszała zachrypnięty szept, jaki zazwyczaj wydaje morze, przygotowując się do dzieła zniszczenia.

- O Boże, błagam, nie...

Lecz „Ikar” już uniósł dziób, który wskazywał teraz oszalałe niebo, jakby miał zamiar rzucić się w skłębioną ciemność... Przez jedną trwającą w nieskończoność chwilę mała, jęcząca i drżąca żaglówka wraz z przerażoną Emmą wisiała... wisiała na skraju przepaści.

A potem dała nura w rów tak głęboki i czarny jak piekło. Zanurkowała z taką siłą, że kadłub zagrział, jakby uderzył o dno, a grotmaszt wygiął się w łuk.

Nad nim przewaliła się ściana wody, bijąc, tłukąc... A potem nagle nawałnica ucichła.

Wichura skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. Deszcz nadal padał i niebo wciąż było ciemne, ale wraz z wiatrem oddaliło się niebezpieczeństwo.

Emma usiadła, drżąc i z trudem łapiąc powietrze. Była bardziej przerażona niż w najgorszym momencie burzy. Jednocześnie jednak święciła tryumf. Doszła do wniosku, że nie tylko zwyciężyła, lecz zrobiła coś znacznie więcej. Przetrwała.

Jedynie nikły płomyk lampki gazowej połyskiwał na najwyższym piętrze pogrążonego w ciemności domu.

Wchodząc po schodach, Emma czuła, że nogi drżą jej z wyczerpania. Była przemoczona i zmarznięta do szpiku kości, trzęsła się z zimna.

Gdyby chociaż przez chwilę się zastanowiła, na pewno zdziwiłaby się, że dom jest tak ciemny i cichy, że tchnie przytłaczającą pustką. Ale była w stanie myśleć tylko o tym, że jest zmęczona, straszliwie zmęczona.

Otworzyła drzwi do swojej sypialni, zamknęła je za sobą i oparła się o nie, nie mogąc opanować drżenia ciała. Nagle poczuła nieodpartą ochotę do śmiechu. Pragnęła unieść spódnicę i kręcić się, kręcić, aż do zawrotów głowy. Śmiać się, aż upadnie na podłogę, tak jak to robiła, będąc dzieckiem, ilekroć za karę została wygnana do swojego pokoju. Nagle coś poruszyło się w różowym, obitym jedwabiem fotelu stojącym przed kominkiem.

- Mama...? - zapytała Emma.

Matka wstała, a równocześnie z drugiego fotela ciężko podniósł się jakiś mężczyzna. Był to wuj Stanton, lekarz. Stał u boku matki. W pokoju panowała taka cisza, że Emma słyszała kapiące z jej spódnicy krople deszczu i morskiej wody.

Na wymizerowanej twarzy wuja widać było troskę, a Emma poczuła ostry, kwaśny zapach wodzianu chloralu.

- Co się dzieje? - zapytała. - Czy coś stało się z Maddie? W wychudzonej twarzy matki widać było jedynie znekane i rozszerzone oczy uparcie wpatrujące się w córkę. Emma zrobiła krok w jej stronę.

- Czy mama jest chora? - spytała.

- Nie pozwolę, by to się stało - powiedziała matka. - Nie zrobisz mi tego!

XXVIII

Shay McKenna stał przed ciężką, kutą bramą żelazną i patrzył przez ozdobne pręty na okazałe „Brzozy”, nad którymi rozpościerało się październikowe niebo. Na ogromny, rozległy dom, ozdobiony szczytami, z oknami wykuszowymi i werandami. Na pokrywające dach zniszczone gonty, przypominające łuski węża.

Na jednym z giętych prętów bramy pająk utkał sieć. Cienkie niteczki na razie zdołały złapać jedynie krople rosy, lśniące w słońcu jak diamenciki. Shay uniósł rękę, pragnąc usunąć pajęczynę i przywrócić eleganckiej, symetrycznej bramie idealny wygląd, zrezygnował jednak z tego pomysłu.

Zacisnąwszy palce na prętach, pchnął bramę i ruszył długim, wysypanym białymi muszelkami podjazdem.

Uważał się za bardzo odważnego człowieka. Był odważny,

lecz serce dziko waliło mu w piersiach, jakby miało zamiar złamać kilka żeber.

Chociaż wcale się nie spodziewał, że zdoła zobaczyć Emmę, wciąż przeszukiwał wzrokiem ogród pełen wazonów, nimf i marmurowych fontann, z utęsknieniem wypatrując dziewczyny w białym batyście i słomkowym kapeluszu z szeroką niebieską wstążką powiewającą na wietrze. Gdy zastukał w ogromne, kasetonowe hebanowe drzwi, wcale nie musiał zbytnio się wysilać, by przywołać z pamięci zapach Emmy i uczucie, jakie wywoływały jej włosy, kiedy przesypywały się między jego palcami... Kiedy drzwi się otworzyły, pomyślał: za chwilę ją zobaczę, a ona uśmiechnie się i powie...

- O co chodzi, sir? - zapytał mężczyzna o kwaśnej minie i wyniosłym czole.

Shay przedstawił sprawę i - po wczorajszej wizycie - wcale nie był zdziwiony, gdy poprowadzono go po biało-czarnej marmurowej posadzce w głąb domu.

Kiedy był tu wcześniej, myśli miał zajęte czymś zupełnie innym, dlatego nie przyjrzał się wspaniałości tego wnętrza. Dzisiaj jednak zauważył kasetonowe, kopulaste sklepienie, ozdobione złotymi liśćmi żłobione kolumny, okazałe, podwójne dębowe schody i masywne, oprawione w złote ramy lustro nad dużym białym, marmurowym kominkiem. W jednym rogu stała wypolerowana do połysku zbroja. Kiedy jeszcze jako chłopiec mieszkał w Gortadoo i wraz z Donaghem bawił się w „rycerzy i zamki”, nigdy nawet nie wyobrażał sobie miejsca takiego jak to.

Mężczyzna z kwaśną miną wprowadził go do pokoju, którego ściany wyłożone były żółtym jedwabnym adamaszkiem i białą, pozłacaną boazerią. Znajdująca się w nim kobieta o jasnych włosach miała na sobie pasującą do tego okazałego wnętrza żółtą suknię, uszytą z tak sztywnego materiału, że chociaż w ogóle się nie poruszała, do uszu Shaya dobiegł cichy szelest.

Była to matka Emmy. Siedziała przy rzeźbionym sekretarzyku i piórem z kości słoniowej pisała coś na kartce papieru o złoconych brzegach. Dopiero kiedy stojący na kominku wykonany z brązu zegar tyknął dziesięć razy, uniosła głowę i spojrzała na Shaya. Miała najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Oczekiwałam pana, sir - powiedziała łagodnie, z lekkim

akcentem południowym. Jej głos skojarzył się Shayowi z gorącymi nocami i dusznym powietrzem. - Niestety, przyszedł pan w chwili, kiedy zabrałam się do układania dzisiejszego menu. Gdyby był pan tak miły i chwilę zaczekał...

Odwróciła się do niego plecami i wzięła do ręki pióro z kości słoniowej. Jej dłoń była niezwykle biała i miała grację jak skrzydło gołębia. W oparciu krzesła, na którym siedziała pani Tremayne, wmontowany był grawerowany maleńki srebrny zegarek. Shay nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Cóż przyjdzie jednak człowiekowi z tak pięknego zegarka, skoro zawsze ma go za plecami? To takie typowe dla świata, w którym żyje Emma, pomyślał. Piękne, olśniewające nawet, lecz przecież bezużyteczne.

Kiedy matka Emmy skończyła układanie jadłospisu, skierowała swe błękitne oczy na Shaya.

- No więc? Najwyraźniej naszą pierwszą ofertę uznał pan za zbyt niską - powiedziała. - Doszedł pan do wniosku, że dotarcie do źródła może być najlepszym sposobem, by wyciągnąć więcej?

Shay patrzył na nią w milczeniu. Nie wynikało to wcale z faktu, że nie rozumiał pytania, właściwie wręcz się go spodziewał. Lecz kiedy je usłyszał, ogarnęła go tak straszliwa złość, że na chwilę zaniemówił.

- Jak wyjaśnił panu mój prawnik - ciągnęła matka Emmy - jestem skłonna dać panu pewną sumę, by osiedlił się pan gdzie indziej i na zawsze zniknął z naszego życia. Jednak ostrzegam, sir, że nie dopuścimy do tego, by zdarł pan z nas skórę.

- Nie do wiarrry. Nie dopuścicie? - spytał, przesadnie podkreślając irlandzki akcent i rozglądając się po pokoju, jakby próbował ocenić jego wartość. Miał okrągłe ze zdumienia oczy, jak przystało na przesiąkniętego zapachem bagna chłopca z Gor-tadoo.

- Przyszedł do mnie wczoraj jakiś facet, którego nazwisko poprzedzało słówko „wielmożny”, i zaproponował mi tysiąc dolarów. W zamian miałbym się stąd wynieść i nigdy nikomu nie wspominać, że miałem coś wspólnego z panną Emmą Tremayne. Doszedłem więc do wniosku, że ktoś nas nakrył, bez przerwy zresztą jej powtarzałem, że w końcu do tego dojdzie. Uznałem jednak, że nie dam w twarz „wielmożnemu”, jeśli tylko zabierze swoje pieniądze i wyniesie się z mojego domu.

Podszedł tak blisko do pani Tremayne, by móc przestraszyć ją swą potężną posturą.

- Potem jednak ów „wielmożny” oświadczył, że Emma została wysłana z wizytą do kuzynek mieszkających we wspaniałym domu w Georgii. Przypuszczam zatem, że jest w ciąży, a jeśli tak, to biorę ją i dziecko, i niech was wszystkich diabli!

Zrobił następny krok, a Bethel skurczyła się w krześle.

- Czy dlatego właśnie wysłana została na jakąś plantację? Ani słowem nie wspominała o żadnych kuzynkach...

Na różanych ustach kobiety pojawił się niepewny uśmiech.

- Czy próbuje mi pan powiedzieć, że kiedykolwiek rozmawialiście ze sobą? Wydawało mi się... - Jej biała, krucha dłoń zatrzepotała w powietrzu. - No cóż, to nieważne. Nie ma żadnego dziecka i oboje powinniście być za to wdzięczni bóstwu, które opiekuje się głupcami. Poza tym Emma wcale nie została wysłana, jak pan to określił. Wyjechała z własnej i nieprzymuszonej woli.

Bethel z wdziękiem podniosła się, szeleszcząc złotym jedwabiem, i obeszła Shaya, zwiększając dzielącą ich odległość.

- Może uznała, że wyjazd na jakiś czas z Bristolu jest jedynym możliwym sposobem skończenia tego, co zaczęła uważać za niewybaczalny błąd? - zasugerowała.

- Trudno to wykluczyć, lecz bardziej prawdopodobne, że siedząc na okrytej jedwabiem dupie, kłamię pani, klepiąc językiem za złotymi zębami, co ślina przyniesie.

Była twardsza, niż przypuszczał. Stała przed nim prosta jak maszt, z twarzą tak spokojną, że sprawiała wrażenie pustej. Po chwili jednak dostrzegł w jej oczach strach i cień, który przebiegł jak sztormowe chmury pędzone przez wiatr.

Niby dlaczego nie miałyby się bać, pomyślał, skoro z jej punktu widzenia niewiele brakowało, by córka zrujnowała sobie życie.

- Nie wykluczam, że pan się o nią troszczy - powiedziała matka Emmy. - Może nawet wmówił pan sobie, że ją pan kocha. Jeśli tak, to powinien pan coś dla niej zrobić. Pozwolić jej odejść, panie McKenna. Dla jej własnego dobra pozwolij jej odejść. Czy może jej pan ofiarować coś oprócz nieszczęścia?

Shay ponownie przyjrzał się jedwabnym, złotym ścianom po-

koju oraz krzesłu z ładnym, aczkolwiek bezużytecznym zegarkiem.

- Myślę, że to wszystko brzmiało szczerzej - powiedział - gdy ja jej to mówiłem.

Zacisnął dłonie i czując niemiły ucisk w żołądku, opuścił pozłacaną kobietę, pozłacany pokój i pozłacany dom. Przez chwilę jednak pozostał na terenie należącym do „Brzóz”.

Ruszył ścieżką, która prowadziła wśród drzew i wychodziła na plażę w miejscu, gdzie Emma trzymała swój jacht.

„Ikar” stał z opuszczonymi, lecz nie zwiniętymi żaglami, na pokładzie leżały splątane szoty, a w kokpicie stały kałuże słonej wody... Shay poważnie się zaniepokoił.

Emma, którą znał, była zbyt dobrym żeglarzem, by w poszukiwaniu rozrywki wybrać się na jakąś plantację bawełny, zostawiając na zimę łódź w tak godnym pożałowania stanie.

Czy można jednak powiedzieć to samo o pannie Emmie Tremayne, mieszkającej w pozłacanym domu, będącej córką zimnej, pozłacanej kobiety? Ta Emma bez wątpienia mogła kupić sobie tuzin jachtów i nawet nie odczuć, że wydała pieniądze.

Właśnie miał zamiar zawrócić, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś przedmiot leżący na szarych deskach pomostu. Była to jedna z rękawiczek Emmy. Podniósł ją, a potem potarł delikatną skórka o usta, wdychając jej woń.

Miał zamiar zabrać ją ze sobą, lecz zmienił zdanie i zostawił ją tam, gdzie Emma ją porzuciła. Chociaż mijały dni i tygodnie, czuł jej zapach.

Stale podawano jej wodzian chloralu, zmuszając ją w ten sposób, by dużo spała.

Były wieczory, kiedy Emma odmawiała przyjęcia leku, a wówczas przywiązywano ją do krzesła i szarpiąc za włosy, odchyłano do tyłu głowę. Jeden z pomocników opierał się o nią, przyciskał kolano do jej brzucha i wpychał kawałek drewna między zęby, by zmusić ją do otwarcia ust. W tym czasie zarządzająca na siłę wciskała jej do gardła gumową rurkę, a potem wlewała lek rozpuszczony w ciepłej, stęchłej wodzie.

Emma nie była w stanie szybko przełykać, zaczynała się dławić, krtusić i rozpaczliwie łapać powietrze. Kiedy płyn dostawał się do płuc, czuła palenie w piersi i zaczynała płakać. Obie-

cywała sobie, że niezależnie od tego, jak silny będzie ból, nie uroni ani jednej łzy, mimo to zawsze płakała. Kiedy już zmuszono ją do zażycia wodzianu chloralu, wsadzano ją w „uprząż”. Była to para zapinanych na sprzączki skórzanych rękawic, które przywiązywano do skórzanego pasa zaciskanego wokół talii Emmy. Potem kładziono ją do czegoś, co nazywano „żłóbkiem”. Była to kwadratowa, drewniana skrzynia, przypominająca trumnę.

- To powinno cię nauczyć - mawiała zarządzająca, przytykając usta do twarzy Emmy i opryskując ją śliną - jak należy się zachowywać. - Potem zamykała wieko, a Emma leżała, nie będąc w stanie wydobyć krzyku z obolałej krtani, aż powoli ogarniał ją sen wywołany przez lekarstwo.

Zarządzająca miała ciężkie powieki, przez co jej oczy przypominały oczy żaby; z uszu i nozdrzy sterczały jej siwe włoski. Emma nienawidziła jej i panicznie się bała.

Ale jeszcze bardziej obawiała się potwornych rzeczy, których jeszcze jej nie zrobiono. Bardzo często, zwłaszcza nocą, słyszała straszliwe, oszalałe wrzaski, które brzmiały, jakby wydawali je potępieńcy.

Po tygodniu pobytu w szpitalu psychiatrycznym zabrano Emmę z tej części ogromnego, wzniesionego z szarego kamienia budynku. Zaprowadzono ją do wyłożonego drewnianą boazerią, zastawionego książkami pomieszczenia, które przypominało bibliotekę w rezydencji na Hope Street. Czekał tam wuj Stanton i jakiś mężczyzna, który, jak sam powiedział, był lekarzem specjalizującym się w chorobach umysłowych. Wytłumaczyli Emmie, że przywieziono ją do Wharton dla jej własnego dobra, by wyleczyć ją z nadpobudliwości.

Wuj wciąż nosił na policzku ślady pozostawione przez jej paznokcie, kiedy owej sztormowej nocy wbił jej w ramię strzykawkę. Owej nocy, po której Emma obudziła się w szpitalu.

Mocno ściskając kolana, przysiadła teraz na rękach, żeby ci dwaj nie mogli zobaczyć, jak bardzo trzęsą się jej dłonie.

- Przyprawdźcie do mnie mamę - powiedziała do wuja i nim odwrócił od niej wzrok, zauważyła, że w jego oczach pojawiło się coś dziwnego. Mama nie wie, jak tu naprawdę jest, pomyślała. Gdyby wiedziała, z pewnością nie zrobiłaby mi tego.

- Moim zdaniem przez jakiś czas nie powinna pani widywać

matki - orzekł specjalista od chorób umysłowych. - Łatwiej przeprowadzić leczenie, jeśli pacjent nie widuje nikogo z rodziny, jeśli jest oderwany od środowiska, które doprowadziło do jego nadpobudliwości.

- To jest szpital dla obłąkanych - powiedziała Emma, bardzo starając się, by jej głos brzmiał spokojnie... i rozsądnie.

- A ja nie jestem obłąkana.

Obaj lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a wówczas w Emmie coś pękło. Poderwała się z krzesła, krzycząc:

- Nie jestem obłąkana! Wcale nie jestem obłąkana!

W tym momencie do pokoju wpadła zarządzająca i jej dwaj pomocnicy. Założyli Emmie kaftan bezpieczeństwa i wyciągnęli z pokoju, nie zważając na jej krzyki.

- Czeka na ciebie, moja panno, pokój numer dwanaście -oznajmiła zarządzająca.

Wrzucono ją do celi, która rozmiarami przypominała praso-walnię w „Brzozach”. Przez sprzączki kaftana bezpieczeństwa przeciągnięto łańcuchy, które przypięto do metalowej obręczy wystającej z kamiennej podłogi, tak że Emma nie mogła ani się położyć, ani wstać.

Z hukiem zamknięto żelazne drzwi i przekreślono klucz w zamku. Zanim zapadła ciemność i Emma poczuła otaczający ją chłód, zdążyła zobaczyć oczy zarządzającej, obserwującej ją przez okratowany wziernik. Potem i on został zamknięty.

Krzyczała, krzyczała i szarpała łańcuchy. Próbowwała uwolnić się z kaftana, z całych sił napinając mięśnie i nie czując bólu. Krzyczała, krzyczała i krzyczała... aż w końcu ktoś z hukiem otworzył żelazne drzwi i wylał jej na głowę wiadro zimnej wody.

Mokra i roztrzęsiona siedziała w ciemności, ani na moment nie przestając szeptać: „Nie jestem obłąkana, nie jestem obłąkana”, potem jednak pomyślała: W ten sposób sama doprowadzę się do szaleństwa. A wówczas przestała nawet szeptać.

Nadal jednak narastał w niej krzyk i przerażenie. Wydawało jej się, że gdyby pozwoliła sobie na ten krzyk, gdyby tylko otworzyła usta, nigdy już nie byłaby w stanie przestać. Krzyczałaby i krzyczała, dopóki nie straciłaby rozumu.

Minęła cała wieczność, zanim dręczycielka w końcu wróciła. Oświadczyła:

- Teraz będziesz się już dobrze zachowywać.

Emma była tak załamana, że spuściła oczy na podłogę i cichym, drżącym głosem potwierdziła:

- Tak, proszę pani. - Nigdy nie przypuszczała, że jej głos może brzmieć tak ulegle.

- Będiesz jeść i pić to, co dostaniesz, nie wywołując zamieszania, i zaczniesz postępować tak, jak ci się każe.

- Tak, proszę pani.

- W takim razie damy cię do sali numer pięć. Zostaniesz tam dopóty, dopóki będziesz się odpowiednio zachowywać.

A jeśli nie, wrócisz do ciemnicy.

- Będę się odpowiednio zachowywać.

Sala numer pięć znajdowała się za solidnymi, masywnymi drzwiami ze sprężynowym zamkiem, który zarządzająca otworzyła, a następnie zaraz zamknęła. Skorzystała w tym celu z kompletu kluczy, które zwisały na grubym, plecionym sznurku, przewiązanym wokół jej talii.

Sala numer pięć była obszernym pomieszczeniem, w którym wydzielono sześć maleńkich sypialni, a w każdej z nich znajdowało się sześć żelaznych łóżek. Wzdłuż ścian biegły drewniane ławki, a wysoko nad nimi znajdowały się maleńkie okratowane okienka.

Było tu mnóstwo kobiet. Niektóre z nich siedziały cicho na ławkach. Inne chodziły niespokojnie tam i z powrotem, wymachując rękami, szarpiąc się za włosy, jęcząc i krzycząc. Jedne krzyczały w głos, inne ciszej; były również takie, które plotły bzdury i paskudnie przeklinały. Jedna z kobiet przywiązana była do wózka inwalidzkiego. Patrzyła na Emmę błędnym wzrokiem, a z jej otwartych ust płynęła ślina.

Zarządzająca pchnęła Emmę w kierunku pustego miejsca na jednej z ławek, obok brudnej, rozczochranej kobiety siedzącej w kałuży moczu.

- Usiądź i zachowuj się odpowiednio.

Wykonując polecenie, Emma czuła, że uginają się pod nią nogi. W sali unosił się odór zgniłych owoców.

Po przeciwnej stronie widać było kobietę, która miała na sobie kaftan bezpieczeństwa i łańcuchami przykuta była do ławki. Bez przerwy walała głową w ścianę. Jej twarz pokrywały fioletowe siniaki; Emma zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, skoro chora wali w ścianę tyłem głowy.

Nagle podeszła zarządzająca, która uderzyła chorą w usta pękiem kluczy. Ze zmasakrowanych warg trysnęła krew. Uderzona nie wydała żadnego dźwięku, natomiast Emma jęknęła. Widząc to wszystko, usiadła, bojąc się poruszyć. Po dłuższej chwili, kiedy nabrała pewności, że nikt jej nie obserwuje, stanęła na ławce i wyjrzała przez okno. Szyba osadzona została w żelaznych ramach, a po jej drugiej stronie znajdowała się krata, coś jednak było widać. Zielony trawnik opadał do brzozowego gaju, który przypominał brzezinę znajdującą się w pobliżu domu. Żółte liście i białe pnie lśniły srebrzyście na tle czystego błękitnego nieba.

Mijały godziny... Emma przestała je liczyć, ponieważ zdażyła się już nauczyć, że czas nie ma tutaj żadnego znaczenia. Rozległ się dźwięk dzwonka, wzywającego kobiety do mniejszej sali, gdzie usiadły na drewnianych ławkach przy drewnianych stołach ustawionych na kozłach i dostały zimną peklowaną wołowinę oraz zimne ziemniaki. Kiedy siedząca obok kobieta zaczęła roz-smarowywać ziemniaki po twarzy i włosach, Emmie zrobiło się niedobrze i nie była w stanie nic zjeść. Po powrocie na stojącą pod oknem ławkę poczuła bolesne skurcze żołądka.

- Jest pani wariatką czy upartą jankeską?

Emma przestraszyła się, chociaż głos był miły i swiergotliwy jak piosenka sikorki. Jego właścicielka miała smutną, piękną twarz o jasnofioletkowych oczach.

Emma przypomniawszy sobie pokój wykończony drewnianą boazerią i wuja wymieniającego porozumiewawcze spojrzenia z drugim lekarzem, kiedy zaczęła protestować przeciwko uznaniu jej za obłąkaną. Dlatego też nie zaufała tej kobiecie.

Dumnie uniosła głowę, choć przyszło jej to z niejakim trudem.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi.

- Jest pani normalna czy obłąkana? - Kobieta przysunęła twarz blisko Emmy, by spojrzeć jej w oczy. - Wygląda pani na normalną. Chociaż czasami trudno powiedzieć. Z drugiej jednak strony to, co nam tutaj robią, byłoby w stanie zmusić do krzyku, ślinienia się i plecenia bzdur samego Jezusa Chrystusa.

Emma miała ochotę uśmiechnąć się, lecz przypomniawszy sobie, jak sama krzyczała i szarpała łańcuchy w zamkniętej celi, wzruszyła więc tylko ramionami.

- No więc co sprawiło, że się pani tu znalazła?

- Słucham? - zapytała Emma przestraszona.

- Na jaką przypadłość, ich zdaniem, pani cierpi: melancholię, demencję, histerię czy załamanie nerwowe?

- Jestem nadpobudliwa.

Kobieta zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, a w jej oczach widać było skrywany śmiech.

- Tak, teraz to widzę. A do czego doprowadziła pani nadpobudliwość?

- Miałam kochanka - oznajmiła Emma, zaskakując samą siebie, ponieważ na przekór temu wszystkiemu, co się wydarzyło, nadal w jej słowach słychać było dumę i zadowolenie. - Problem polegał na tym... że był to nieodpowiedni człowiek: miałam wyjść za mąż za kogoś innego.

- W takim razie jest pani po prostu zbyt namiętna, a ta przypadłość uchodzi u kobiet raczej za rzecz dość osobliwą. Częściej spotyka się ją u mężczyzn. Pani kłopoty wynikają zatem po prostu z faktu, że jest pani kobietą. Prawdę mówiąc, kobiecość często przysparza nam mnóstwa cierpień.

To niewiarygodne, ale Emma złapała się na tym, że chce jej się śmiać. Rozmówczyni miała miły uśmiech i wrażenia tego nie zmieniały nawet jej popsute zęby.

- Ja zostałam tu uwięziona, ponieważ znalazłam się w odwrotnej sytuacji - wyznała kobieta. - To mój mąż miał kochankę. Chciał z nią zamieszkać, a ja odmówiłam zgody na rozwód. W tamtych czasach uważałam rozwód za największą hańbę; nie pozwalałam nawet w mojej obecności wymawiać tego słowa.

Na chwilę zagubiła się we własnych myślach, potem wzruszyła ramionami.

- To był błąd, ale w końcu każdy może się pomylić, zwłaszcza gdy jest młody... Mąż umieścił mnie tutaj. Nawet nie wiem, czy nadal jest z tą kobietą. Mogła przecież umrzeć, oboje mogli umrzeć, i ilekroć zdarzają mi się przejściowe okresy szaleństwa, modłę się, żeby tak było. Mówię o przejściowych okresach szaleństwa, ponieważ skoro umieścił mnie tu mąż, tylko on może mnie stąd zabrać. A gdyby nie żył, nie mógłby tego zrobić, prawda?

Westchnęła i dodała rzeczowo:

- Zostałam tu uwięziona ponad trzydzieści pięć lat temu.

Trzydzieści pięć lat. Boże, wielki Boże... Emma znów usiadła na rękach, żeby nikt nie mógł zobaczyć, jak bardzo się trzęsą.

Nowo poznana kobieta nazywała się Annabel Kane. Podczas następnych dni często siadywała z Emmą na ławce, a czasami, kiedy nie widziała tego zarządzająca, obie wyglądały przez okno. Emma przekonała się, że po drugiej stronie brzozy lasek otoczony jest płotem z zamykaną bramą.

Wypełniały godziny rozmową. Chociaż przeważnie to Emma mówiła, opowiadając najczęściej o dzieciństwie w „Brzozach”, o żeglowaniu oraz konnej jeździe, i - co dziwne - o Geoffreyu, który obecnie stale gościł w jej myślach, chociaż nie bardzo wiedziała, dlaczego.

- Obawiam się, że pobyt w Wharton trochę mnie ogłupił - stwierdziła Annabel. - Każdy dzień jest tu taki sam jak poprzedni.

Pewnego dnia, wyraźnie podniecona i ożywiona, przyłączyła się do Emmy na ławce.

- Jutro jadę do domu! - zawołała. Emma uściśnęła jej rękę.

- To cudownie - powiedziała, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Czy to pani mąż, czy to on poprosił, żeby panią wypuszczono? A może lekarze doszli do wniosku, że jest już pani zdrowa?

Annabel była tak podniecona, że nie udzieliła odpowiedzi na pytanie. Przez całe popołudnie rozmawiały tylko o tym, co Annabel robi, kiedy w końcu znajdzie się na wolności.

- Pójdę na długi spacer - oznajmiła. - Długi, bardzo długi spacer, by móc patrzeć na otwarte, bezkresne niebo i wdychać świeże powietrze.

Kiedy opuszczała Emmę, pochyliła się i starła płynącą po policzku dziewczyny łzę.

- Proszę dbać o swą nadpobudliwą naturę, panno Tremayne. Proszę ją zachować w dobrym stanie.

Jeszcze tego samego dnia w drodze do jadalni, mijając wszystkie sypialnie, Emma zobaczyła leżącą w łóżku nagą Annabel Kane. Miała nogi przywiązane do żelaznych prętów, na rękach rękawice, a jej klatkę piersiową ścisnął szeroki skórzany pas. Najwyraźniej była pod wpływem leków, ponieważ głośno chrapała.

- Annabel! - zawołała Emma, próbując do niej podejść, lecz w tym momencie za jej plecami pojawiła się zarządzająca. Chwyliła ją za ramię i szarpnęła tak mocno, że o mało nie wyrwała jej ręki ze stawu.

- O Boże... Proszę, błagam. Czy nie można jej przynajmniej przykryć?

- Ostatniej nocy podarła prześcieradła - wyjaśniła zarządzająca. - Teraz ponosi za to karę. Ciebie spotka to samo, jeśli się nie zamkniesz.

W dwa dni później Annabel czekała na Emmę na ławce. Stała i wyglądała przez okno.

- Czasami nie czuję się najlepiej - przyznała. - Jestem tu od dawna, Emmo, od tak dawna. Właściwie spędziłam tu całe życie. Znalazłam się tu, mając zaledwie dwadzieścia lat. Dwadzieścia! Obecnie mam pięćdziesiąt pięć lat i jestem starą kobietą. Umrę tutaj. - Czubkami palców dotknęła okratowanej szyby. - Czasami boję się, że tu umrę.

Tej nocy Annabel Kane podarła prześcieradło na pasy i splotła z nich mocny sznur. Potem przywiązała go do miedzianego elementu lampy i powiesiła się.

Od tego czasu Emma stawała na ławce sama.

Zamykała uszy na krzyki i jęki obłąkanych kobiet. Zatykała nos, by nie czuć wstrętnych zapachów potu i moczu.

Przyciskała twarz do chłodnej, okratowanej szyby i obserwowała, jak brzozy za oknem tracą liście. Pewnego dnia wyjrzała i zobaczyła, że na trawniku leży cienka warstwa śniegu.

Nie myślała o Shayu, ponieważ nie byłaby w stanie tego znieść.

Wyobrażała sobie, że spaceruje z Brią po kamienistej plaży i oddycha powietrzem tak srebrzystym jak wody zatoki.

XXIX

Był zimny, dżdżysty, smutny dzień.

Maddie wraz z wózkiem ulokowała się na tarasie, z którego roztaczał się widok na zatokę, poważnie obawiając się, że za chwilę zmoknie. Tak jednak wiele czasu upłynęło od ostatniego

pogodnego dnia - od dawna niemal bez przerwy padał deszcz, nie wspominając już o pierwszym śniegu - a ona bardzo chciała wyjść z domu.

Kiedy usłyszała odgłos kroków na płytach chodnika, odwróciła się, przypuszczając, że zobaczy Tildy lub któregoś z lokajów. Na widok stawiającego długie kroki Stuarta Alcotta poczuła przyspieszone, nierówne bicie serca, spowodowane zarówno lękiem, jak i poczuciem ulgi. Stu miał na sobie strój do jazdy konnej - skórzane bryczesy, wysokie do kolan buty i sportową marynarkę z paskiem.

- Tak szybko pan wrócił, panie Alcott? - zapytała, kiedy do niej podszedł. W ciągu minionych dwóch miesięcy wysłała do niego mnóstwo listów, błagając, by przyjechał, lecz na żaden nie otrzymała odpowiedzi. - Powinnam czuć się zaszczycona, chyba że znów zabrakło panu pieniędzy.

Pochylił się, by pocałować powietrze w pobliżu jej policzka.

- Dzień dobry, Maddie. Prawdę mówiąc, ostatnio kompletnie brakowało mi szczęścia na torach wyścigowych. Ale tym razem przyjechałem, pragnąc wywęszyć skandal.

- Skandal? - Próbowała powiedzieć to lekko, lecz zawiódł ją głos. A zatem Stu wie. Być może nie wszystko, niemniej coś wie.

- Od czasu do czasu bawią mnie skandale - wyznał. - Kiedy zaczyna mi się przykrzyć hulanka, picie i gra.

Spojrzał na zatokę. Włożył rękę do kieszeni marynarki, oparłszy nogę o jeden z ozdobnych, żelaznych wazonów porozstawianych co kilka metrów wzdłuż tarasu.

- Czy wiesz, Maddie, że w naszym małym bristolskim świątku wcale nie trzeba się zbytnio wysilać, by posłużyć się kłamstwem, i najczęściej to się udaje? Ani pieniądze, ani demonstrowane przez Śmietankę Towarzyską zarozumiałstwo nie jest w stanie zmienić faktu, że jesteśmy bardzo prowincjonalni. Wśród niegodziwych i krwiożerczych jak rekiny ludzi, między którymi czasami obracam się w Nowym Jorku, nie brakuje zaś i takich, których jedynym celem życia jest demaskowanie kłamstwa, a potem wyszydzenie go.

Opuścił nogę i odwrócił się twarzą do Maddie. Przez chwilę bacznie jej się przyglądał, tak że w końcu musiała umknąć wzrokiem. Błagała go, żeby przyjechał, bo chciała powiedzieć mu

prawdę, a przynajmniej jej część, i prosić, by naprawił popełniony przez nią straszliwy błąd. Teraz jednak, gdy spełnił jej prośbę, zaczęła się bać. Kiedy Stu dowie się, jaką Maddie odegrała rolę w owym skandalu, zorientuje się, z kim ma do czynienia, i zacznie nią pogardzać.

- Czasami - ciągnął - moim przyjaciółom ogromną przyjemność sprawia ćwiczenie swoich ludożerczych talentów na nieznanymi wodach, a wówczas próbują odkryć drobne, paskudne sekrety ukrywane głęboko przez mieszkańców Nowej Anglii należących do wyższych sfer. Zwłaszcza że mamy skłonność do zadzierania nosa. A jeśli już uda im się odkryć nasze ponure tajemnice... - Rozłożył ręce. - No cóż, trudno wprost uwierzyć, jak bardzo lubią o tym rozmawiać.

Serce Maddie zadudniło w piersiach jak szalone. On wie, on wie... Co on wie?

- Stu, czyżbyś próbował mnie zdenerwować, by potem przekazać mi jakąś szczególnie soczystą plotkę?

- W pewnym sensie tak... Widzisz, w swej świętej naiwności wspominałem pewnego dnia komuś, że piękna narzeczona mojego brata wyjechała dwa miesiące temu, by złożyć wizytę kuzynkom matki w ich ślicznym, eleganckim domu na plantacji w Georgii. I masz ci los! Nagle dowiaduję się, że w Georgii nie ma żadnych kuzynek. Czy też - co jeszcze bardziej zainteresowało moich żądnych krwi przyjaciół - nie ma kuzynek, które mieszkałyby w eleganckim domu na plantacji.

Podszedł niebezpiecznie blisko i dotknął udami kolan Maddie.

- A skoro w Georgii nie ma żadnych kuzynek - powiedział - to gdzie jest nasza droga Emma?

- Nie wiem, o czym mówisz. Z pewnością istnieje dom na plantacji. Mama często wspominała o kuzynkach z High Grove. - Maddie jednak bała się, straszliwie się bała, że Emma wcale nie wyjechała do kuzynek.

Stu pochylił się, opierając ręce na poręczach wózka i przybliżając się tak bardzo, że widziała, jak przy każdym oddechu drżą jego nozdrza, dostrzegła również zmarszczki w kącikach jego ust. A w oczach czarne plamki, przypominające wirujący pył. Dobiegł ją jego oddech. Można w nim było wyczuć nieświeżego szampana i jakiś słodkawy, mdły zapach, przywodzący na myśl prażone orzeszki.

- Przyznaj się, Maddie. Co takiego przeszkrobała Emma? Jaką karę wymyśliłyście z matką?

Wraz ze słowami z jej ust wyrwał się szloch.

- Musiałam powiedzieć! Musiałam to zrobić dla jej własnego dobra. - Ale to było kłamstwo. Wcale nie miała zamiaru o niczym mówić, przynajmniej do czasu, kiedy zobaczyła Emmę biegnącą od bramy, przy której pożegnała się z kochankiem. Uniosła spódnicę tak wysoko, że odsłaniała kolana, i biegła ze śmiechem... Wyglądała na niestychanie szczęśliwą.

Stu bacznie przyglądał się Maddie. Nie była w stanie znieść jego wzroku. Odwróciła twarz i przycisnęła ją do trzciniowego oparcia wózka.

- Gdzie ona jest, Maddie?

Maddie przycisnęła dłoń do ust, by zdusić krzyk. Zgarbiła się w wózku, jakby próbowała przecisnąć się przez plecione z trzciny siedzenie, a potem przez chłodną ziemię i wydostać się na drugą stronę kuli ziemskiej, byle znaleźć się poza zasięgiem wzroku Stu i nie musieć się przed nim bronić.

- Mama... powiedziała, że Emma stawia rodzinę w trudnej sytuacji i powinna na trochę zniknąć... wyjechać... na plantację. - Ale nie ma żadnej plantacji. Mama kłamała, była w tym zresztą zawsze bardzo dobra. - O... o Boże, co ona zrobiła?!

Wbrew własnym chęciom Maddie zerknęła na Stu, ale on spoglądał na zatokę. Szare deszczowe chmury sunęły nisko nad ziemią, ocierając się niemal o wodę.

- Pisałam do ciebie - powiedziała. - Bez przerwy pisałam, błagając, żebyś przyjechał, ale nie raczyłeś tego zrobić. Skrzywił usta.

- Twoje listy były trochę niejasne, nie wiedziałem, o co ci chodzi. Ale masz rację, powinienem był przyjechać. - Spojrzał na nią. Nigdy dotąd nie widziała, by jego twarz wyglądała tak upiornie - była całkiem pozbawiona koloru i wyrazu. - Ta kre-tyńska odesłała twoją siostrę do szpitala psychiatrycznego w Wharton, prawda?

- Och, Stu... Tak się bałam... - Zakrztusiła się własnymi słowami, strachem, poczuciem winy i przerażeniem. - Używała tej groźby w stosunku do mnie, odkąd zaczęłam stawiać rodzinę w trudnej sytuacji z powodu wózka inwalidzkiego. Powiedziała, że wysłała Emmę do Georgii, myślałam jednak, myślałam...

Wymamrotał jakieś sprośne słowo, a Maddie drgnęła.

- Czy Geoffrey wie? - spytał.

Potrząsnęła głową i zacisnęła wargi. Czuła, że zaraz się udusi.

- On myśli, że Emma jest w Georgii. Mama powiedziała mu, że jego narzeczona ma słabe nerwy i bywa ostatnio bardzo niespokojna, a zimy spędzane w Nowej Anglii pogarszają ten stan. - Zacisnęła dłonie na pledzie i zaczęła wykręcać palce, obawiając się następstw wyjawienia tego sekretu. Jaką karę matka wymierzy jej? - Co... co masz zamiar powiedzieć Geoffreyowi? Nie mów mu, dlaczego...

Odwrócił się, jakby nie mógł dłużej znieść jej widoku, a w jego głosie słychać było złość.

- Mam nie mówić, dlaczego do tego doszło? W końcu mogę się domyślać pewnych rzeczy... A jedno z nas już i tak powiedziało za dużo.

- Czym ty się przejmujesz?! - krzyknęła, zawstydzona, przestraszona, wręcz przerażona, że go traci. Traci, chociaż nigdy go nie miała. - Nie przybyłeś ze względu na mnie, chociaż cię o to błagałam. Bardzo szybko natomiast przyjechałeś ze względu na nią. Sądzę, że się w niejkochasz, tak samo jak wszyscy mężczyźni na całym świecie! Przez chwilę milczał, a potem ją zaskoczył, gdy podszedł bliżej i wyjaśnił:

- Przejmuję się, ponieważ Emma jest moją przyjaciółką. Nigdy się w niej nie kochałem, lecz zawsze bardzo ją lubiłem.

Wykonał jakiś gest i Maddie myślała, że jej dotknie, po chwili jednak opuścił rękę. Zrozumiała, że Stu nigdy tego nie zrobi, a przynajmniej nie w taki sposób, jakby chciała - nigdy nie będzie jej dotykał tak, jak ten obcesowy mężczyzna dotykał Emmy.

- Co stało się z twoim sercem, Maddie? Czy zostało złamane razem z kręgosłupem?

- Oczywiście! - Odrzuciła do tyłu głowę, a z jej oczu popłynęły łzy, docierając do kąsików ust. - Co ty możesz wiedzieć o moim życiu? Nie musisz żyć tak jak ja... Ona również.

- To nie przez Emmę zostałam przykuta do wózka.

- Ale przez Williego! - krzyknęła na Stu, na samą siebie

i na nieżyjącego brata. - To jego wina i dlatego właśnie popełnił samobójstwo. Ja też chcę umrzeć! - Ukryła twarz w dłoniach,

mocno przyciskając palce do ust i starając się stłumić szloch. - Idź stąd!

- Maddie...

- Proszę, idź stąd.

Przez długą chwilę milczał, więc otworzyła usta, by ponownie go poprosić. Chciała, żeby sobie poszedł, poszedł, poszedł... Zawsze przecież odchodził i zostawiał ją. Nagle usłyszała, że obcasy jego butów uderzają o kamienne płyty. Znowu odchodził i zostawiał ją...

Uniosła głowę w chwili, kiedy z nieba lunęły potoki lodowatego deszczu. Objęła palcami śliskie drewniane obręcze kół i próbowała je pchnąć, lecz gumowe opony ugrzęzły. Szlochając, pchnęła mocniej i koła zaczęły się obracać, najpierw powoli, potem szybciej... W końcu zbyt szybko toczyły się po pochyłości tarasu, w stronę brzegu wychodzącego na zatokę, gdzie szalała szara woda i szare niebo, wszystko kotłowało się i kłębiło...

Krzyknęła, kiedy wózek uderzył o kuty w żelazie wazon, a potem poślizgnął się, przechylił i wyrzucił ją na nierówne kamienne płyty.

Łkała głośno, a serce jej tak mocno biło ze strachu, bezradności i samotności, że początkowo nawet nie poczuła obejmujących ją silnych ramion. Zauważyła je dopiero, gdy przytulona została do męskiej piersi.

Przytuliła do Stu wilgotną twarz, przycisnęła wargi do jego policzka i znów poczuła słony smak, nie wiedziała jednak, czyje to łzy - jej czy jego.

- Kochanie... - powiedział Stu. - Moje biedne, nieszczęśliwe maleństwo.

Przyjechał po nią o tej porze dnia, kiedy czuje się już zapadającą ciemność, chociaż niebo nadal pełne jest światła.

- Emmo...

Podszedł do stojącej pod oknem ławki, na której siedziała.

- Emmo - powtórzył.

Klęknął obok. Czule uniósł jej leżące na kolanach dłonie.

- Nie wiedziałem o niczym. Przysięgam, kochanie, że nie wiedziałem.

Zaczął rozcierać jej dłonie. Doszła do wniosku, że musiały

mu się wydać zimne. Od tak dawna była przemarznięta, że w ogóle przestała zwracać na chłód uwagę.

- Wierzysz mi? - zapytał. - Powiedz, że wierzysz. Spojrzała na jego uczciwą, pociągłą twarz, którą знаła przez całe życie. Zerknęła w jego pozbawione wyrazu, szare jak woda oczy, w których nigdy nie potrafiła czytać.

- Wierzę ci - powiedziała, chociaż wcale nie była pewna, czy naprawdę tak jest, ale to nie miało przecież znaczenia. Był tu. Miał zamiar ją stąd zabrać.

XXX

Od powrotu poprzedniego wieczoru do „Brzóz” Emma myślała tylko o jednym - by wybrać się na długi, długi spacer, patrzeć na bezkresne, otwarte niebo i wdychać świeże powietrze.

Gdy tego ranka znalazła się za ogromnymi, kasetonowymi, wykonanymi z hebanu drzwiami, uznała to za cud - w końcu mogła wyjść bez zarządzającej i jej pobrzękujących kluczy.

Lecz kiedy ubrana w futro z foki i kapelusz znalazła się na werandzie, z rękami wsuniętymi głęboko w ciepłą mufkę, bała się wykonać pierwszy krok. Miała wrażenie, że cała jej dusza rozpadła się na kawałki, w wyszczerbione kawałki, które nie chciały się z powrotem poukładać, bo w ogóle przestały do siebie pasować.

Przyszło jej na myśl, że może wrócić do domu i poprosić Geoffreya, by z nią wyszedł. Lecz będąc przy nim, miała wrażenie, że narzeczony bacznie się jej przygląda, a wówczas czuła się bardzo nieswojo. Zastanawiała się, czego Geoffry szuka w jej twarzy - śladów namiętności czy oznak nadpobudliwej natury?

Wiedziała, że nie jest obłąkana i że nigdy nie była, ale pobyt w Wharton odebrał jej pewność siebie. Sprawił, że zaczęła się wszystkiego bać.

Chociaż nie było wiatru, wydawało jej się nagle, że słyszy skrzyp starego, wiklinowego fotela bujanego. Kiedy jednak się obejrzała, zauważyła, że fotel stoi nieruchomo. Mimo to ten tak dobrze znany i wzruszający dźwięk dodał jej odwagi. Zeszła po

schodach i ruszyła przez pokryty brudnym śniegiem trawnik. Wokół brzóz zbierała się przypominająca dym mgła. Emma zatrzymała się i spojrzała w niebo, pragnąc nacieszyć oczy błękitem. Zaczęła wdychać świeże powietrze. Kiedy po chwili ruszyła w stronę zimowych brzóz, mieniających się bielą, czernią i szarością, czuła się już znacznie lepiej. Chociaż nadal nie była dawną Emmą, lecz kimś zupełnie innym.

Nad zatoką unosiła się jeszcze gęstsza, perlista i opalizująca mgła. Emma nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończy się woda, a zaczyna niebo. Plaża pokryta była szarymi zaspami piasku i śniegu.

Po raz ostatni Emma była tu tego dnia, kiedy w czasie sztormu przyplłynęła do domu zagłówką. Zostawiła wówczas „Ikara” w okropnym stanie, teraz jednak zauważyła, że ktoś się nim zaopiekował.

- Wyjechałaś, zostawiając łódkę w okropnym stanie, Emmo Tremayne - powiedział zachrypnięty głos, choć myślała, że już nigdy go nie usłyszy.

Wyszczerbione kawałki jej duszy drgnęły, sprawiając ogromny ból.

Trzymając ręce w kieszeniach czarnej kurtki, z twarzą osłoniętą przez rondo kapelusza, Shay wyszedł spomiędzy nagich drzew. Podszedł tak blisko, że mogła go dotknąć, lecz bała się to zrobić.

- A więc wróciłaś - powiedział, a jego oddech zamienił się w maleńkie chmurki, przysłaniające piękną, choć okaleczoną twarz.

- Skąd wróciłam?

- Z domu twoich kuzynek na plantacji w Georgii.

Czuła, że oblewa ją zimny pot, a serce bije szybko i niespokojnie. Shay miał zaskakująco zielone oczy. Nie zniósę tego po raz drugi, pomyślała.

- Tak się złożyło, że Donagh widział cię wczoraj na dworcu kolejowym - wyjaśnił. - Dlatego wiem, że wróciłaś.

- Tak.

Mogli przyjechać bezpośrednio ze szpitala psychiatrycznego w Wharton - w końcu znajdował się on zaledwie kilkanaście kilometrów od Bostonu. Geoffrey powiedział jednak, że muszą wrócić pociągiem, żeby nikt z osób należących do Śmietanki

Towarzyskiej nie domyślił się prawdy. By nie wyszło na jaw, gdzie była.

- Przyszło mi na myśl, że przyjdiesz sprawdzić jacht -ciągnął Shay. - Dlatego właśnie tu jestem. Powiedz mi, jak ci się wiedzie, Emmo.

Poczuła, że jest na niego zła. Zła, ponieważ miał rację, mówiąc o konsekwencjach.

- Mam zamiar wyjść za pana Alcotta - oznajmiła. - Mama nie chce czekać dwóch lat, dlatego ślub odbędzie się w czerwcu. W ogrodzie. Zdaniem mamy Geoffrey jest człowiekiem tak solidnym jak ceglane mury jego fabryk.

Wpatrywał się w nią z nateżeniem, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Odwróciła głowę.

- Czy jesteś w ciąży, Emmo?

Połamane kawałki znowu drgnęły. Miała ochotę wrócić do domu, w ciepłe i bezpieczne miejsce.

Zamrugła powiekami i spojrzała na Shaya.

- Nie wyjechałeś do Nowego Jorku?

- Nie, jeszcze nie. - Teraz w jego zachrypniętym głosie dał się słyszeć smutek i ból. - Chcę się dowiedzieć, co u ciebie, Emmo. Jeśli jesteś w ciąży...

Patrząc na niego, zapomniała, że już nie powinna go kochać. Znalazła odwagę na to, by wyciągnąć rękę, dotknąć twarzy Shaya i przesunąć palcem po cienkiej białej bliźnie przecinającej jego policzek.

- Shay, Shay McKenna - powiedziała, zupełnie jakby próbowała brzmienia jego imienia i nazwiska, właściwie jakby wymawiała je po raz pierwszy. - Czy mnie choć trochę kochałeś?

- Czy cię kochałem? - Odwrócił głowę i musnął wargami jej palce. - Wciąż cię kocham, *mo chridh*. W tysiąc lat po mojej śmierci nadal będę cię kochać, niezależnie od tego, co ze mnie zostanie - dusza czy jedynie garść prochu.

Opuściła rękę.

- Mimo to wychodzę za mąż za Geoffrey a. Tak będzie lepiej. Zobaczyła, że z wysiłkiem przełknął ślinę, dostrzegła unoszącą się pierś, gdy nabierał powietrza w płuca.

- Rzeczywiście, ale tylko pod warunkiem, że będziesz szczęśliwa. Czy będziesz szczęśliwa, Emmo?

- Jest mi zimno... Muszę już iść.

Zostawiła go i weszła między brzozy. Wcale nie musiała oglądać się za siebie, ponieważ wiedziała, że Shay patrzy w ślad za nią, jakby miał widzieć ją po raz ostatni w życiu.

Geoffrey zatrzymał się w cieniu aksamitnej portieri wiszącej w drzwiach i przyglądał się Emmie.

Stała w oknie i patrzyła na brzozy, podejrzewał jednak, że wcale ich nie widzi. Jej wzrok zwrócony był do wewnątrz, w jakieś miejsce w głębi serca. Pod jej oczami kładły się cienie przypominające stare siniaki.

Najwidoczniej musiała być na spacerze, ponieważ miała na sobie częściowo rozpięte futro z foki. Geoffrey widział kawałek koronki i małe perełki zdobiące stójkę przy sukni. Stójkę, która obejmowała nieprawdopodobnie długą i cienką szyję.

Postanowił zachować cierpliwość; w końcu Emma była w domu zaledwie od wczoraj - mimo to czuł się tak, jakby widział ją z ogromnej odległości. Bał się, że gdyby spróbował jej dotknąć, mogłaby zniknąć.

Obawiał się, że stała się obca, może zresztą nigdy jej naprawdę nie znał. Nikt nie powiedział mu, do czego doprowadziła jej „nadpobudliwa natura” ani dlaczego wuj i matka uznali, że dziewczyna powinna odpocząć w szpitalu psychiatrycznym w Wharton i poddać się leczeniu. Próbował o to pytać, ale nie robił tego ze zbytnim przekonaniem, ponieważ w rzeczywistości wcale nie chciał poznać prawdy.

Nie chciał dowiedzieć się o czymś, czego być może nie zdołałby jej wybaczyć.

Podszedł do stojącej przy oknie Emmy i stanął na tyle blisko, by móc jej dotknąć, lecz nie zrobił tego.

Wokół niej unosił się zapach bzu i zimnego futra.

- Byłaś na spacerze - powiedział.

- Tak - odparła. Mówiła cicho, jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu.

- Zmarzłaś. - Strącił kropelki mgły z jej włosów. Chciał ją zapytać, o czym myśli.

Odwrócił się jednak, podniósł nabijany gwoździami skórzany miech i zaczął dmuchać w ogień.

W następnych dniach grudnia spędzał z nią tak dużo czasu, jak tylko mógł, chociaż nigdy nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów, by zadać pytanie, które jego zdaniem powinno paść. Pragnął wierzyć, że Emma go potrzebuje, dlatego był przy niej.

Nie zawsze łatwo było ją znaleźć. Mnóstwo czasu spędzała na spacerach, chociaż zbliżało się Boże Narodzenie, i na świecie panował wilgotny chłód.

Dziś znalazł ją w starej oranżerii. Nigdy wcześniej nie udało mu się odwiedzić miejsca, gdzie Emma rzeźbiła; nigdy nie został tam zaproszony. Nigdy również nie zaproponowała, że pokaże mu swoje prace. Może obawiała się, że uzna je za amatorszczyznę; tak przynajmniej przypuszczał.

Drzwi były lekko uchylone. Na chwilę zatrzymał się w progu i dopiero potem wszedł do środka. Jasnożółte światło słoneczne wlewało się przez szklany dach, malując na wyłożonej kafelkami podłodze wciąż zmieniające się wzory. Emma stała i patrzyła na coś dziwnego, co wykonane zostało z brązu, i chociaż Geoffrey nie widział twarzy swej narzeczonej, zdziwiła go jej nieruchoma sylwetka. Zupełnie jakby Emma zastygła w takiej pozycji przed wiekami. Podeszedł bliżej, stukając laską po kafelkach. Odwróciła się, a on z zaskoczeniem dostrzegł spływające po jej twarzy łzy.

- Emmo, kochanie - powiedział, stając obok. - Co ci jest? Odsunęła się od niego, by ponownie przyrzeć się dziwnej rzeźbie.

- Bałam się tu przyjść, bałam się wspomnień i bólu. Potem jednak doszłam do wniosku, że kiedy mnie nie było, mama mogła rozbić Brię, a wówczas bardziej zaczęła mnie przerażać myśl, co będzie, jeśli tu nie przyjdę. Musiałam sprawdzić i nabrać pewności, że nic jej się nie stało. Spójrz! Czyż nie jest piękna?

Geoffrey, przyglądając się dziwnej rzeźbie, starał się wyglądać na człowieka pełnego zachwyty. Po dłuższej chwili doszedł do wniosku, że jest to maska kobiety, ale... No cóż, po pierwsze, była za duża, by przypominać coś rzeczywistego. A po drugie, miała zbyt ostre i zdecydowane rysy jak na kobietę. Wygląda na to, że biedna Emma naprawdę nie ma za grosz talentu. Nic dziwnego, że nie wykazywała ochoty, by pokazać mu swe dzieła.

Sprawiła jednak wrażenie, jakby wcale nie zależało jej na jego aprobacie. Zamarła znów w bezruchu i mogło się wydawać, iż w ogóle nie oddycha.

- Chyba nie myślisz o ponownym zajęciu się rzeźbieniem, prawda? - Naprawdę miał taką nadzieję; jej nerwy wciąż były zbyt słabe, by wytrzymać taki stres.

Drgnęła i wyjrzała przez mleczne okna w stronę zatoki. Szara i gładka woda spała pod białobłękitnym zimowym niebem.

- Nie - powiedziała. - To wymaga znacznie więcej odwagi, niż obecnie jestem w stanie z siebie wykrzesać.

Na twarzy Emmy pojawił się tak bezbrzeżny smutek, że Geoffrey koniecznie chciał ją pocieszyć. Nawet nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, objął ją ręką w pasie i przyciągnął do siebie. Miał zamiar być ostrożny i dać jej nieco czasu po chorobie, lecz nagle zaczął ją całować, a wówczas było już za późno.

Miała chłodne i delikatne usta, lecz pocałunek skończył się zbyt szybko, by Geoffrey zdążył się zorientować, czy otrzymał odpowiedź. A nie zdobył się na odwagę, by pocałować ją ponownie.

- Może wybralibyśmy się dzisiaj na łyżwy - zaproponował. - Podobno na Collins Pond jest teraz najlepszy lód.

- Bardzo chętnie, Geoffrey u - odparła, lecz na jej twarzy nie było widać żadnych uczuć.

Światło słoneczne tańczyło na subtelnych lodowych kołnierzach, które zdobiły kamienie i drzewa, a dzwonki przy upręży wydzwaniały łagodną melodyjkę. Sanie zostawiały na śniegu wąskie ślady, a słaby pęd powietrza muskał szary futrzany kołnierz Emmy i pieścił jej policzek.

Żałowała, że zgodziła się na tę wyprawę, ponieważ z każdą chwilą ogarniał ją coraz większy strach. Kiedy znajdowała się w domu, w „Brzozach”, w tym spokojnym, dobrze sobie znanym miejscu, czuła, że powoli wraca do siebie i staje się dziewczyną, którą niegdyś była. Momentami miała wrażenie, że spotyka samą siebie po długiej, niebezpiecznej i przerażającej podróży.

Wsunęła rękę pod ramię Geoffreya, oparła się o niego i przytuliła. Odwrócił się do niej i obdarzył ją uśmiechem. W bladym

zimowym świetle jego oczy przybrały kolor starego, wypolerowanego srebra. Pomyślała, że ona i Geoffrey od dawna troszczyli się o siebie nawzajem, tylko nie zawsze to odczuwali, ale teraz to już i tak nie miało znaczenia. Obecnie bowiem Emma bała się bardzo wielu rzeczy; strachem napawała ją również myśl, że miałyby puścić ramię narzeczonego.

Z łyżwami zawieszonymi na szyjach zeszli nad staw. Geoffrey posadził Emmę na kamieniu, żeby zawiązać jej sznurowadła.

Potem jeździli na łyżwach ramię w ramię. Mróz szczypał ją w nos i policzki, a wiejący w twarz wiatr tak bardzo ją ucieszył, że ku własnemu zaskoczeniu roześmiała się. Chociaż śmiech zabrzmiał dość nieśmiało.

Na drugim końcu stawu jakieś irlandzkie dzieci bawiły się, popychając po lodzie kamienny krążek. Krzyczały, wiwatowały i próbowały okładać się nawzajem zagiętymi kijami, walcząc o kamyk. Chociaż po chwili wyszło na jaw, że to tylko chłopcy, przez chwilę Emmie wydawało się, że widzi wśród nich Noreen.

Krzyknęła i ruszyła za nimi, próbując uciec od Geoffreya, lecz on złapał ją za rękę.

- Stop, kochanie - powiedział. - Dokąd się wybierasz? Pozwoliła odprowadzić się na bok. Nie broniła się, gdy jego tak dobrze znane ręce poprowadziły ją z powrotem w stronę kamienia, a potem zdjęły łyżwy. Nie protestowała, gdy pomagał jej wsiąść do sanek i odwoził do domu, gdzie z przyjemnością zauważyła wiszący nad drzwiami wianuszek z ostrokrzewu oraz światło lampy, sączone się przez okna na leżący na parapetach śnieg.

Kiedy przechodzili przez ozdobiony sosnowymi girlandami hall, z salonu dobiegł śmiech i brzękliwa melodia „Jingle Bells”. Poszli za tym dźwiękiem.

Salon jarzył się białym, przypominającym robaczki świętojańskie światłem płonących na choince świeczek, a w powietrzu unosił się zapach piernika i ajerkoniaku. W stojącym obok kominka wózku inwalidzkim siedziała roześmiana Maddie.

Przed nią stał Stuart Alcott, trzymając w ręku pozytywkę z kręcącą się łyżwiarką.

- Stu! - zawołał wyraźnie zaskoczony Geoffrey.

Maddie obejrzała się, a na jej ustach pojawił się tak promienny uśmiech, że przyćmił płonące na choince świece.

- Spójrz, Emmo. Stu wrócił do domu na Boże Narodzenie.
- I przywiózł prezenty - uzupełnił Stuart. Uniósł rękę Maddie i wsunął w nią pozytywkę. Melodia powoli milkła, wyglądało jednak na to, że żadne z nich tego nie zauważyło. Stu patrzył Maddie w oczy i uśmiechał się. A jego uśmiech pokonywał największe przepaście, najgłębsze zatoki i bezkresne przestrzenie. Spojrzenie, którym obdarzyła go Maddie, szło jeszcze dalej. Ona go kocha, pomyślała Emma. Tak jak ja kocham Shaya.

XXXI

W Bristolu okres ten nazywano „początkiem sezonu”. Był to czas, kiedy śnieg z cichymi pacnięciami opadał z drzew, a lód pękał na strumieniach, strzelając głośniejsze niż petardy odpalone z okazji Czwartego Lipca. Młode paprocie i pierwsze kwiaty wysuwały zielone pędy z rozgrzanej ziemi, a liście brzozy i buków nieśmiało wychylały się z pączków.

Emma Tremayne odzyskiwała równowagę w tak samo wolnym tempie, w jakim nadchodziła wiosenna odwilż. W pierwszych tygodniach nowego roku często wracała na Collins Pond -nie po to, by jeździć na łyżwach, lecz by obserwować irlandzkich chłopców bawiących się kamiennym krążkiem. Nigdy więcej nie wydawało jej się, że widzi Noreen, mimo to ciągle tam wracała. Przyciągał ją szalony śmiech chłopców i sposób, w jaki przewracali się na lód, nie zważając na jego cienką warstwę, pęknięcia i ukrywające się pod spodem połamane gałęzie, które mogły ich uwięzić. Emma z bólem serca obserwowała ich wynikającą z głupoty brawurę.

Nigdy jednak nie była w stanie długo się przyglądać; po jakimś czasie podszyta strachem wracała do domu, do dobrze znanego otoczenia. Do łagodnego głosu Geoffreya powtarzającego jej imię i do jego mocnego ramienia, które potrafiło dodać otuchy, kiedy się na nim wspierała. Do widoku czarnych nagich brzozy rysujących się na tle białego zimowego nieba. Do rozchodzącego się w starej oranżerii zapachu wilgotnej gliny, którą Emma przygotowywała każdego ranka, jakby była prawdziwą rzeźbiarką i miała do wykonania konkretną robotę.

Chociaż nie zdobyła się na odwagę, by cokolwiek wymodelować, potrafiła godzinami ugniatać glinę. Przeciskająca się między palcami masa - ciepła i gładka jak żywe ciało - wzbudzała w sercu dojmujący niepokój. Ożywiała zbyt wiele wspomnień, tak samo jak szalona, lekkomyślna swoboda, którą słyhać było w śmiechu łyżwiarzy. W głębi duszy Emma była zawiedziona, że nie potrafi zdobyć się na odrobinę odwagi.

Pewnego marcowego ranka, kiedy z gałęzi brzoź kapał topniejący lód, a blade i dziwnie skurczone słońce świeciło na wyblakłym niebie, Emma obudziła się z postanowieniem, że odwiedzi córeczki Brii. Wmówiła sobie, że chodzi jej tylko o dotrzymanie obietnicy. Ale tego dnia dojechała jedynie do ozdobionej zawijasami bramy, a potem zawróciła i oddała powóz stajennemu.

Po południu znowu spadł śnieg - było to ostatnie tchnienie zimy. Emma stała w oknie sypialni i obserwowała, jak białe płatki zasypują zagajnik. Chciałaby tak jak brzozy przespać kilka minionych miesięcy i obudzić się teraz z wyleczonym sercem i bez żadnych lęków.

Trochę czasu upłynęło, nim ponownie odważyła się wziąć powóz, lecz tego dnia udało jej się wyjechać za bramę, chociaż serce waliło jej w piersiach jak szalone, a dłonie spocły się w miękkich skórzanych rękawiczkach.

Dojechała do rogu Union i Thames Street i zatrzymała się, przyglądając się domkowi z bezpiecznej odległości.

Była wprost zdumiona, gdy zobaczyła maleńką, odrapaną chatę zbitą z desek i stojącą na palach. Nie mogła uwierzyć, że ten maleńki domek zdołał tyle pomieścić... Że zdołał pomieścić całe serce kobiety. Kiedy patrzyła na ten dom, połamane kawałki w jej duszy poruszyły się i wymieszały, powodując taki ból, że z trudem łapała powietrze. Tu jest moje miejsce, pomyślała. Powinna znajdować się w kuchni z wyblakłą tapetą i zniszczonym linoleum, w tej rodzinie, która je kolację przy stole przykrytym brązową ceratą, przy mężczyźnie, który sypia w białym żelaznym łóżku. Powinna być wśród ludzi, których nastrój poprawia się, gdy słyszą gwizdanie czajnika. Niestety, nie wystarczy, że człowiek wie, gdzie jest jego miejsce, musi jeszcze mieć tyle ognia w sercu, by tam dotrzeć

obie te rzeczy oddziela od siebie bezmiar oceanu. A Emma Tremayne straciła odwagę, by postawić żagle. Pewnego dnia, kiedy mgła wisiała nad chłodnymi wodami zatoki, a wiosna wciąż dławiła się w maleńkich czerwonych pączkach na gałęziach brzoź, Emma wybrała się na cmentarz przy kościele Najświętszej Marii Panny i stanęła przy grobie Brii.

Nagrobek był prostym kamieniem, na którym wyryte zostało imię, nazwisko i daty życia Brii. Kiedy Emma była tu po raz ostatni, ziemia nie zdążyła jeszcze zarosnąć trawą, a niedawno wyryte litery stanowiły białe blizny na gładkim, szarym granicie. Obecnie na brzegach grób trochę się już zapadł, a zima naznaczyła granitową płytę drobnymi pęknięciami.

Emma uklękła i dotknęła wyrytych w kamieniu liter.

- Briu - powiedziała, a wymówieniu tego imienia towarzyszył ogromny ból.

Na chwilę zamknęła oczy, a potem spojrzała w bezkresne niebo. Jeśli nawet Bria była tam, Emma nie zdołała jej zobaczyć. Mimo to myślała, że nic nie zostało z Brii poza garstką leżących w grobie kości, była zbyt okropna, by brać ją pod uwagę.

Na odgłos kroków Emma powoli się odwróciła. Zobaczyła zbliżającą się cmentarną ścieżką córeczki Brii.

Noreen trzymała wysoko głowę, a w jej oczach czaiła się nieufność.

- Zawsze po szkole przychodzimy na grób mamy - wyjaśniła. - No, może nie zawsze, lecz bardzo często. Wcale nie przyszliśmy tu ze względu na panią.

Mery energicznie coś zanuciła i potrząsnęła główką. Noreen spojrzała na siostrę i na jej policzkach pojawiły się żywe rumieńce.

- W porządku! No więc Merry powiedziała, że pani dzisiaj tutaj będzie. Uparła się, że musimy przyjść, ponieważ jej zdaniem od dawna pani nas szuka.

Emma otworzyła usta, ale nadmiar uczuć sprawił, że nie była w stanie się odezwać.

Merry przykucnęła na ziemi i wzięła Emmę za rękę. Drugą rączką zaczęła strącać grudki ziemi z grobu matki, przy okazji głaszcząc go jak zwierzątko i cicho nucąc.

Noreen nie ruszyła się z miejsca, a jej ciemne oczy bacznie przyglądały się Emmie.

- Tata powiedział, że na jakiś czas wyjechała pani, by odwiedzić rodzinę. Wyjaśnił, że to właśnie dlatego przestała nas pani odwiedzać.

Emma czuła, że szczypią ją oczy, ale zdołała opanować łzy.

- Już wróciłam - powiedziała i spróbowała się uśmiechnąć. Nie przyszło jej to łatwo, zwłaszcza że przez cały czas czuła drżenie warg, mimo to uśmiech otworzył coś, co znajdowało się w głębi serca. - A więc chodźcie teraz do szkoły, tak?

- Tata nas zmusił, ale Merry wcale nie jest z tego zadowolona; prawie w ogóle już nie nuci.

- Opowiedzcie mi o tym - poprosiła Emma. - Opowiedzcie mi wszystko o szkole i małym Jacku - och, wyobrażam sobie, jak urósł! Czy już raczkuje? Powiedzcie mi... powiedzcie mi również coś o ojcu. Chcę usłyszeć wszystko.

Po dłuższej chwili na twarzy Noreen pojawił się niepewny uśmiech, a kiedy zaczęła mówić, towarzyszyły jej długie i śpiewne melodyjki nucone przez Merry. To wszystko sprawiło, że zimowe miesiące zaczęły powoli topnieć w myśli Emmy.

Wróciła na grób następnego dnia, a dziewczynki już tam na nią czekały. Potem uprzedzała je, kiedy będzie przychodzić, nie chcąc zdawać się na przypadek czy przecucia Merry.

Pewnego dnia w kwietniu, kiedy z zimy zostało już jedynie kilka postrzępionych, ponurych, pędzących wysoko po niebie chmur, Noreen przyniosła sardynki oraz chleb, i urządziły sobie na grobie Brii podwieczorek, chociaż nie miały herbaty. Kiedy indziej, w maju, gdy promienie słońca były tak ciepłe i gładkie jak topione masło, a powietrze niezwykle łagodne, wybrały się na spacer Feny Road i nazbierały dzikich kwiatów, które potem w puszcze po pomidorach ustawiły na grobie. Tego dnia Emmie wydawało się, że na tyłach prostego, drewnianego kościółka dostrzegła ojca O'Reilly'ego. Ruszył w ich stronę, potem jednak zawrócił.

Kiedy indziej, gdy cała ziemia śpiewała pieśń wiośnie, Emma zobaczyła kobietę o płomiennoczerwonych włosach i uśmiechniętych ustach, stojącą w białej koszuli batystowej pod jednym z rosnących na cmentarzu wiązów. Była tak rzeczywista, że Emma uniosła dłoń i otworzyła usta, by krzyknąć, ale w tym momencie kobieta zniknęła.

W końcu nadszedł czerwcowy dzień, kiedy powietrze prze-

sycone było zapachem kwitnących lip. Emma nie zastała na cmentarzu dziewcząt. Ponieważ przyniosła fiołki, postanowiła sama je zasadzić. Ukłękła na zieleniejącej trawie i zaczęła rydłem spulchniać wilgotną ziemię. Tym razem, kiedy usłyszała dochodzące zza pleców kroki, odwróciła się z uśmiechem na ustach.

Był elegancko ubrany. Miał na sobie garnitur, krawat, kołnierzyk i melonik. Szedł samotnie cmentarną ścieżką, zbliżając się wydłużonym, tak charakterystycznym dla siebie krokiem.

Emma powoli wstała, jakby obawiała się, że lada chwila upadnie. Nie wyszła mu na spotkanie, stała i czuła, że ciągnie ją do niego coś, co przypomina siłę grawitacji.

Znalazł się bardzo blisko, stał tuż przed nią.

- Shay - powiedziała, a gdy wymawiała to imię, na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

Uporczywie i z natężeniem wpatrywał się w nią zaskakująco zielonymi oczami. Podeszedł tak blisko, że czuła zapach mydła, którego użył do golenia, widziała również, że jego wciąż zbyt długie i falujące włosy opadają na kołnierzyk.

- Dziewczynki i ojciec O'Reilly powiedzieli mi, że ostatnio często tu przychodzisz - zaczął. - Z pewnością, kochanie, zdawałaś sobie sprawę, że mi powiedzą?

- Tak - przyznała, ale było to kłamstwo. Za bardzo się bała, by dopuszczać do siebie tę myśl.

- I na pewno wiedziałaś, że pewnego dnia przyjdę tu, ponieważ nie zdołam utrzymać się z daleka od ciebie?

- Nie... Tak.

Jak to możliwe, pomyślała, że chociaż upłynęło tyle czasu, nawet kiedy Shay mnie nie dotyka, wciąż mam wrażenie, że to robi?

- No więc...?

Chciała zapytać, czego od niej oczekuje. Bała się zadać to pytanie.

- No więc... nie wiem, o co ci chodzi. - Wzruszyła ramionami.

Cofnął się o krok. Spojrzał na grób żony i zasadzone przez Emmę fiołki. Zdjął kapelusz, a wówczas zauważyła, że trzymające rondo palce są białe.

Chciała powiedzieć: *Chyba powinno się liczyć, że ty, Bria*

i ja odnaleźliśmy się, chociaż wszystko powinno trzymać nas od siebie z daleka, prawda? Odwrócił się twarzą ku niej.

- No więc - uściślił. - Czy nadal zamierzasz w przyszłą niedzielę wyjść za mąż za pana Alcotta?

Miała zamiar mu powiedzieć: ***Nigdy w życiu nie będę nikogo kochać, przynajmniej nie tak, jak kochałam ciebie.***

- Tak - odparła jednak. - Ceremonia odbędzie się w ogrodzie „Brzóz”, oczywiście pod warunkiem, że nie będzie padać deszcz. Jeśli się rozpada, wszystko zostanie odłożone na wieki, ponieważ wówczas mama się zabije.

Roześmiał się, naprawdę. To niesprawiedliwe, że on może się śmiać, podczas gdy ona od dawna, od tak dawna się nie śmiała... Od czasu, kiedy po raz ostatni śmiali się razem.

- Jeśli chodzi o nas - powiedział - tak się składa, że tego samego dnia wyjeżdżamy do Nowego Jorku. Otrzymałem tam pracę kuratora. Będę pomagał osiedlającym się w moim okręgu wyborczym imigrantom przyzwyczajając się do nowego miejsca. Mam zaopatrywać ich w bożonarodzeniowe indyki, wiadra z węglem, beczułki piwa i tego typu rzeczy. To praca ściśle wiążąca się z polityką, dzięki temu dostanę całkiem niezłe pieniądze. Nie będę musiał posyłać dziewcząt do fabryki.

Chciała powiedzieć: ***Czemu mi to mówisz, zupełnie jakbyś nie wiedział, że słuchanie tego wszystkiego sprawia mi ogromny ból?***

- Oczywiście, kiedy imigranci już się zdomowią, zacznę im wyjaśniać, dlaczego powinni głosować na demokratów, i będę zbierał pieniądze dla klanu. „Irlandia wiecznie żywa”. Może mimo wszystko powstanie zdąży wybuchnąć jeszcze za mojego życia.

- A jeśli tak, czy pojedziesz walczyć?

- Nie. Zostanę tutaj.

- W Nowym Jorku?

- Tak, w Nowym Jorku. Najprawdopodobniej.

Chciała powiedzieć: ***Jadę z tobą.*** Wprost trudno uwierzyć, ale miała te słowa na końcu języka, i niewiele brakowało, a byłaby je powiedziała. Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło między chwilą obecną a poprzednim spotkaniem, jakby pobyt w szpitalu jej nie złamał.

- Emmo - zaczął. - Chciałbym...

Przestała oddychać i czekała, czekała w napięciu.

- Chciałbym ci podziękować - rzekł - że oszczędziłaś dziewczynkom trudnego rozstania. Gdybyś po prostu zniknęła z ich życia, bardzo by się dziwiły. - Nagle uśmiechnął się. - Jesteś wspaniałą kobietą, Emmo Tremayne; to również chciałem ci powiedzieć.

Wyciągnął rękę i przez chwilę czuła ciepło jego dłoni. A potem patrzyła, jak Shay się oddala.

- Za każdym razem jest tak samo - powiedziała w pustkę, którą za sobą zostawił. - Za każdym razem od nowa cię spotykam.

Kiedy po południu wróciła do domu, zdjęła gładką czarną spódnicę i bluzkę i włożyła wiosenny kostium z szarzielonego jedwabiu, ozdobiony czarnymi aksamitnymi pętelkami, guzikami i ogromnym krawatem z białego szyfonu.

Krytym powozem udała się wraz z matką do rezydencji na Hope Street, powracając tym sposobem na bezpieczne i dobrze znane wody życia Śmietanki Towarzyskiej. Potem ramię w ramię z Geoffreyem spacerowała wykładaną marmurowymi płytami ścieżką. Kwitnące lipy wypełniały błękitne niebo fruującymi płatkami i słodkim zapachem. W spokojnym powietrzu słychać było dochodzący z kortu tenisowego śmiech i lekki stuk uderzeń piłeczki o raketę. Idziemy razem, Geoffrey i ja, pomyślała. Idziemy ścieżką wykładaną marmurowymi płytami, pod baldachimem kwitnących lip, idziemy razem, ramię przy ramieniu, i wcale się nie dotykamy.

Serce mężczyzny doprawdy potrafi być uparte, pomyślał Sea-mus McKenna. Nie przestaje kochać kobiety, chociaż powinno już dawno temu.

Stał na chodniku na Hope Street, tuż obok żeliwnego słupka do wiązania koni, jakby zatrzymał się przy nim dla złapania tchu. Przez żelazną bramę przyglądał się Śmietance Towarzyskiej, pijącej szampana wśród marmurowych jeleni i nimf, a jego wzrok szukał kobiety o długiej białej szyi, nieśmiałym uśmiechu i przypominających pianę morską oczach pełnych szalonej tęsknoty.

- Swego czasu znałem Seamusa McKennę, który, jak przy-

stało na mistrza, gołymi rękami wyważyłby tę bramę, by zdobyć kobietę, którą kocha.

Shay przymknął oczy, potem otworzył je i odwrócił się do szwagra.

- Czy nie możesz ani na chwilę zostawić mnie w spokoju? A tak swoją drogą, co tu robisz?

- Przechodzę.

- Tak powiadasz? Chyba dlatego, że w tej części miasta aż roi się od katolickich duszyczek.

- A z tego, co widzę, wzdłuż Hope Street pływają całe ławice dorszy.

Shay czuł, że boli go kark, ponieważ dokładał wszelkich starań, by nie odwrócić głowy i nie zerknąć przez bramę w poszukiwaniu Emmy.

- Musiałem ją jeszcze raz zobaczyć - wyjaśnił, i wcale nie był zdziwiony, słysząc westchnienie Donagha.

- Przecież widziałeś ją rankiem. Gdybyś miał choć tyle rozsądku, ile Bóg dał bąblowcowi, bez trudu załatwiłbyś sobie możliwość codziennego oglądania jej do końca życia.

Shay w końcu obejrzał się; nie był w stanie się powstrzymać. Słyszał śmiech i stukanie kieliszków, ale widziana przez niego część ogrodu obecnie była pusta.

- Czasami - powiedział - życie prowadzi człowieka w takie miejsce, gdzie nikt nie może za nim iść. Zdarza się, że ludzie, którzy go kochają, mogą jedynie życzyć mu szczęśliwej drogi.

Dmuchał wiatr, strącając z lipy deszcz płatków. Donagh złapał kilka do ręki, jednak po chwili je wypuścił.

- Oczywiście, postępujesz bardzo mądrze - powiedział - starając się nie kusić jej, by spróbowała spędzić życie u twego boku. Pomyśl, z czego musiałaby zrezygnować - z pustej egzystencji i małżeństwa z człowiekiem, którego z pewnością nigdy nie zdoła pokochać. Nie uda jej się to, ponieważ gdy patrzy na ciebie, w jej oczach widać miłość. Pomyśl również, co stracą twoje córeczki i maleńki synek - skazujesz swoje dzieci na dorastanie bez kochającej je matki.

Znów dmuchał wiatr, a Donagh uniósł z głowy melonik, po czym osadził go nieco mocniej.

- Tak, dokonywane w ich imieniu poświęcenie jest wspania-

łym i honorowym wyjściem, Seamusie McKenno. Nasza Bria byłaby z ciebie dumna.

Shay patrzył w ślad za oddalającymi się szerokimi, okrytymi czarną sutanną plecami księdza, przechodzącego pod obsypanymi liśćmi klonami i wiązami. Potem rozejrzał się wokół siebie, chociaż bolały go oczy, jakby w ciągu kilku ostatnich lat bez przerwy płakał, a w końcu przyjrzał się wspaniałej rezydencji ozdobionej kolumnami i wysokimi oknami.

Donagh się myli. Chociaż Shay rzeczywiście jest mistrzem, nie zdołałby wyważyć bramy gołymi rękami. A gdyby spróbował, tylko by się pokaleczył.

Bethel Tremayne co chwilę kontrolowała swe odbicie w zdobiących piękny pokój lustrach, które rozmieszczone zostały między oknami. Nawet w żółtawej mgiełce gazowego światła widziała, że jej odsłonięte piersi unoszą się i opadają jak skrzydła złapanego w pułapkę ptaka.

Przyjechał.

W dzień poprzedzający ślub Emmy William wrócił do domu. Bethel doskonale wiedziała, że tak będzie.

Tego ranka wpłynął jachtem do bristolskiego portu. Na wieść o tym Bethel natychmiast wysłała do jachtklubu lokaja z perfumowanym liścikiem, w którym zapraszała męża na nieoficjalną kolację we dwoje. Przy okazji dyskretnie przypomniała mu, że w „Brzozach” wciąż czeka na niego sypialnia.

Długo zastanawiała się, gdzie powinna go powitać, aż w końcu usadowiła się w maleńkim, zapewniającym intymny nastrój saloniku tuż obok biblioteki. Wybrała to pomieszczenie przede wszystkim ze względu na dwie lampy, które zdobiły wykonany z sieneńskiego marmuru kominek. Ich łososioworóżowe szklane abażury birmańskie rzuciły na jej jasną cerę twarzowe światło. Liczyła również na dodatkowy efekt, wywołany przez umieszczone między oknami lustro, które będą ukazywać Williamowi jej zwielokrotnioną urodę.

Pięć minut przed wyznaczoną godziną usadowiła się w odpowiedniej pozie na niemal czarnej sofie. Było to bardzo niewygodne siedzenie, Bethel wiedziała jednak, że ciemny materiał podkreśli jej jasną skórę i złociste włosy.

W końcu, w końcu zegar dziadka zaczął wybijać siódmą. To

właśnie na tę godzinę Bethel zaprosiła męża. Nagle poczuła, że robi jej się niedobrze. A co będzie, jeśli... To niemożliwe, wszystko przecież starannie przygotowała. Ozdobiła dom kwiatami, a kucharz przyrządził kolację składającą się z ulubionych potraw Williama. Włożyła najbardziej twarzową sukienkę z jedwabiu w kolorze rozwodnionego olejku różanego.

Poza tym głodziła się, aż w końcu stała się smukła i gibka jak dawniej.

Postanowiła, że kiedy William wejdzie do pokoju, podbiegnie i obejmie go. Może nie będzie to zbyt stosowne zachowanie, a przynajmniej nie powinna tak postępować dama ze Śmietanki Towarzystwa, ale najprawdopodobniej postąpiłaby tak młoda dziewczyna, którą przed laty William spotkał w sali balowej w Sparcie. Dziewczyna, która miała we włosach gardenie.

Zegar wydzwonił godzinę i ponownie zapadł w odmierzaną tykaniem ciszę. Bethel czekała i czekała... Czekala, gdy zegar wybijał ósmą, a potem dziewiątą. Kiedy w końcu otworzyły się drzwi, poderwała się na równe nogi, chociaż były sztywne i zdrętwiałe. Ale na progu stanął jedynie Carrews. Na srebrnej tacy niósł złożoną kartkę papieru. Rozkładając liścik drżącymi rękami, Bethel czuła powolne, bolesne uderzenia serca. Potem jednak łyż tak bardzo przysłoniły jej oczy, że upłynęła dobra chwila, zanim mogła czytać.

William napisał, że podczas pobytu w Bristolu ma zamiar mieszkać na jachcie i stołować się w klubie.

Kiedyś... kiedyś tańczyła z nim pod żyrandolami, które połyskiwały, mieniając się blaskiem tysiąca słońc. Tak dokładnie pamięta tamten wieczór, dlaczego w takim razie nie może sobie przypomnieć chwili, kiedy straciła męża? Słyszac jakiś dźwięk, uniosła głowę. W drzwiach stała jej córka Emma i wpatrywała się w nią. Miała o wiele ładniejszą twarz niż Bethel nawet w swym najlepszym okresie.

Bethel bardzo chciała, żeby Emma weszła do pokoju, usiadła obok, objęła ją i może... może nawet pocieszyła. Nie wiedziała jednak, jak o to poprosić, nie sądziła również, by Emma w ogóle chciała podejść. Na pewno uważa, że matka wyrządziła jej krzywdę, chociaż to wszystko było jedynie dla jej dobra. Poza tym przecież kuracja poskutkowała. Emma odzyskała zdrowy rozsądek i jutro poślubi Geoffreya Alcotta.

- Czy mama dobrze się czuje? - zapytała.

- O tak - odparła, zmuszając się do uśmiechu i robiąc wszystko, by jej głos brzmiał pogodnie. - Siedziałam i rozmyślałam o twoim ślubie. Sprawdzałam wszystkie te nie mające końca listy, które w ciągu kilku ostatnich miesięcy bez przerwy zaprzętały mi głowę.

Emma już się odwracała, by odejść, lecz Bethel powstrzymała ją, wołając tak ostro, że obie się przestraszyły. A potem z jej ust wyrwały się przedziwne, bolesne słowa - wypłynęły z jakiegoś nieznanego miejsca i były wynikiem uczuć, z których istnienia w ogóle nie zdawała sobie sprawy.

- Głupio pokierowałam swoim życiem - powiedziała Bethel Tremayne do córki. - Najpierw nie miałam niczego, potem cały świat leżał u moich stóp, a teraz znowu nic nie mam.

XXXII

W dniu ślubu Emmy Tremayne słońce weszło w czerwonej, złocistej i pomarańczowej chwale.

Emma wstała wraz ze słońcem. Była tak niespokojna, że wyszła z domu i wybrała się na spacer wśród brzoź, a potem nad wodę. Gałęzie drzew pokryte były lśniącym zielonymi i pełnymi obietnicy liśćmi. Dziewczyna zauważyła, że plaża zmieniła się po zimie, ale właściwie zawsze tak było. Sztormy pustoszyły kamienisty piasek. Niektóre drzewa przemarzały i usychały, zniszczeniu ulegały również kamienie rozłupywane przez mróz. Każda wiosna różniła się nieco od poprzedniej.

Kiedy Emma wracała przez trawniki, zatrzymała się, by spojrzeć na dom, połyskujący srebrzyście w promieniach porannego słońca. Na myśl o opuszczeniu tego miejsca ogarnął ją ogromny smutek, zupełnie jakby na zawsze miała porzucić rodzinny dom, chociaż wcale tak nie było.

Wchodząc po prowadzących na werandę schodach, zobaczyła ojca stojącego między palmami i wiklinowymi krzesłami.

Obcego mężczyznę, który jest jej ojcem.

Był wysoki, smukły i wspaniale opalony. Miał na sobie białą czapkę i niebieski marynarski blezer. Stał z rozstawionymi

stopami i założonymi do tyłu rękami, jakby znajdował się na tylnym pokładzie.

Weszła po schodach i zatrzymała się kilka metrów od niego.

- Dzień dobry, ojciec - powiedziała, niezbyt pewna, jak się zachować. Nie wiedziała również, jak on zachowa się w stosunku do niej. - Cieszę się, że ojciec przyjechał.

Kiedy się uśmiechnął, jego białe zęby zaśniły na tle ogorzałej twarzy, a potem przestraszył Emmę, chwytając ją w miążdżący uścisk.

- Za nic w świecie nie przepuściłbym ślubu mojej małej córeczki. - Odsunął ją na odległość ramienia i nie przestając się uśmiechać, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Chociaż wcale nie jesteś już taka mała, prawda?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Kiedy widział ją po raz ostatni, miała szesnaście lat, i od tego czasu nie urosła ani o centymetr. Owszem, wydorosła, ale przecież tego nie mógł zobaczyć.

- Moja mała córeczka... - Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, lecz zrezygnował z tego pomysłu, a Emma zauważyła w jego oczach łzy. - Tęskniłem za tobą, Emmo.

Na to także nie potrafiła nic powiedzieć. Również za nim tęskniła, lecz w końcu to on opuścił rodzinę.

Nie zaprotestował, kiedy zrobiła kilka kroków i odwróciła się, pragnąc zwiększyć dzielącą ich odległość, a wówczas Emma zdała sobie sprawę, że moment bliskości między nią a ojcem - pierwszy, jaki w ogóle się zdarzył - zniknął. Sama pozwoliła mu przeminąć.

Ojciec wystawił twarz na podmuch morskiej bryzy, a jego szarozielone oczy zapatrzyły się w dal. Postarzał się, pomyślała. Miał całkiem siwe włosy, a jego twarz znaczyły głębokie zmarszczki.

- Miałby ojciec ochotę na krótki rejs? - zapytała.

Uniósł głowę, pociągnął nosem, sprawdzając wiatr, tak jak często to robił, kiedy była małą dziewczynką. Widząc to, posmutniała, chociaż na jej ustach pojawił się uśmiech.

- W tym momencie trudno mówić o wietrze - stwierdził. - Chociaż później może nieźle dmuchać.

- Później wychodzę za mąż za Geoffreya Alcotta. Odwrócił się i bacznie przyjrzał jej twarzy.

- Czy w związku z tym odłożysz na bok wszystkie swoje zabawki, Emmo? Zrezygnujesz z wszelkich marzeń i przygód?

Z przerażeniem stwierdziła, że chce jej się płakać; musiała przełknąć ślinę.

- A... a powinnam?

- Cóż, świat, w którym żyjesz, utrzymuje, że tak.

Pragnęła zadać mu wiele pytań, ale dotyczyły tematów, o których w ogóle nie powinno się mówić. Potem jednak zdała sobie sprawę, że w ciągu kilku ostatnich chwil wymieniła z ojcem więcej prawdziwych słów niż przez całe dotychczasowe życie. Kiedy na niego patrzyła, przyszła jej do głowy dziwna myśl - że w głębi serca bardzo się zmienił.

- Ojciec... - powiedziała. - Czemu ojciec ożenił się z mamą? Na jego ustach pojawił się drwiący uśmiech.

- Sam często zadaje sobie to pytanie.

Przez chwilę milczał, jakby zagubił się we własnych myślach czy wspomnieniach. Potem wzruszył ramionami.

- Chciałbym umieć udzielić ci odpowiedzi, Emmo. Chyba najbliższe prawdy będzie stwierdzenie, że kiedy ją spotkałem, sprawiła na mnie wrażenie takiej silnej, odważnej i pewnej s w e g o... A zatem miała wszystkie te cechy, których nie miałem, chociaż pragnąłem je mieć. Znasz motto Tremayne'ów: „Zdobywcą jest ten, kto przetrwa”? Twoja matka umiała lepiej wprowadzić je w życie niż ja. Być może dlatego się z nią ożeniłem, żeby zamiast mnie pełniła w naszym małżeństwie rolę mężczyzny. - Z jego ust wyrwał się cichy, nieco gorzki śmiech.

-Wszyscy musimy przyznać, że doskonale odegrała tę rolę.

- Jeśli... jeśli żywiłeś dla niej tyle podziwu, dlaczego wyjechałeś?

Spodziewała się usłyszeć, że to ze względu na samobójstwo Williego, ze względu na to, że cała rodzina zmusiła go, by w tę sztormową noc postąpił tak, a nie inaczej.

- W pewnym momencie - powiedział - zdałem sobie sprawę, że w ogóle jej nie rozumiem i nie darzę żadnym uczuciem, a co gorsza, wcale nie chcę jej rozumieć ani kochać. Wówczas wyjechałem.

To nie może być takie proste, pomyślała Emma. To nie powinno być takie proste. Biedna mama przez wszystkie te

mie-

383

siące spiskowała, knuła intrygi, głodziła się, pragnąc odzyskać męża, a przecież nieodwołalnie straciła go wiele lat temu.

Na dodatek właściwie nigdy nie zdołała naprawdę podbić jego serca, ponieważ nie była kobietą, którą mógłby kochać. Bethel Lane wcale się nie zmieniła, zmienił się jedynie sposób, w jaki patrzył na nią mąż.

Ojciec spoglądał na wodę, a Emma w głębi duszy wiedziała, co za chwilę usłyszy.

- Popęłniłbym poważny błąd, gdybym o wszystko obwinił twoją matkę. Nie tylko ona zawiniła. Wyjechałem, ponieważ niezależnie od tego, co zrobiła lub czego nie zrobiła, czułem się ogromnie nieszczęśliwy, i w żaden sposób nie można było tego zmienić. Doszedłem do wniosku, że nie mogę przez całe życie być człowiekiem nieszczęśliwym.

Emma zbliżyła się do niego o krok, potem następny. Objęła go i przytuliła twarz do jego cieplej szyi.

- Popływamy później - obiecał. - Niezależnie od tego, czy zostaniesz panią Geoffreyową Alcottową, czy nie.

- Tak, później - powiedziała, odsuwając się.

Nim weszła do domu, zatrzymała się w drzwiach, obejrzała się i spojrzała na niego. Ale to on się odezwał.

- Jesteś szczęśliwa, Emmo? Odparła bez namysłu:

- Oczywiście, ojciec. - Skłamała. - W końcu to dzień mojego ślubu... Chętnie wypiłabym filiżankę kawy. Napijesz się ze mną?

- Już piłem - powiedział, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Uśmiech tak charakterystyczny dla ojca, który wcale nie przestał być obcym człowiekiem. - Dziękuję.

Sama również próbowała się uśmiechnąć, ale jej oczy zasnuły się mgłą i niewiele brakowało, a byłaby się potknęła na progu.

Kiedy weszła do jadalni po kawę, zastała tam matkę. Bethel siedziała przy pokrytym koronkową serwetą stole, otoczona porcelaną i srebrem najwyższej próby. Jak zazwyczaj uczesana była w elegancki kok i miała na sobie zapinaną bluzkę ze stójką.

Była uosobieniem wdzięku i wytworności... lecz do tego obrazu nie pasowała ociekająca śmietaną babeczka, którą Bethel trzymała w ręce, i widoczny na jej ustach dżemem truskawkowy.

- Czy... czy dobrze się mama czuje?

Bethel odłożyła babeczkę i dotknęła palcami wykładanej drogimi kamieniami, przypiętej tuż pod szyją broszki.

- Oczywiście. Przecież to dzień twojego ślubu, najszcześniejsze wydarzenie w życiu dziewczyny.

- Czy będzie to również najszcześniejsze wydarzenie w życiu Geoffreya? - zapytała Emma.

Bethel na chwilę zamarła w bezruchu, a potem stwierdziła:

- Mężczyźni podchodzą do tego trochę inaczej.

Emma miała zamiar powiedzieć matce, że ojciec jest na werandzie, potem jednak spojrzała na babeczkę, na pełen okruchów talerz oraz dżem truskawkowy i zdała sobie sprawę, że matka już o tym wie.

Emma wypłynęła jachtem sama. Przed wyjściem z domu wykradła z bukietu ślubnego jedną z białych róż.

Nad wodą unosiła się delikatna mgiełka, wyglądająca tak, jakby żeglująca dotychczas po niebie chmurka opadła.

Wiał słaby wiatr, który był jednak w stanie wypełnić żagle. Popłynęła w miejsce, gdzie ojciec znalazł rozbitą o skały łódź Williego, gdzie Willie postanowił zrezygnować nie tylko z własnego ślubu, lecz również z wszystkich swych dni.

Przez długą chwilę obserwowała morską pianę, przelewającą się przez głazy, które stały się grobem brata.

Gdybyś tu był, Willie, pomyślała, zapytałabym cię, czy żałujesz tego, co zrobiłeś. Czy w ostatnim momencie, kiedy woda zamykała się nad tobą jak wieko trumny, a płuca pękały z bólu, żałowałeś, że nie obrałeś innej drogi?

Bardzo długo myślała, że to ona, ona i matka były odpowiedzialne za jego wybór i wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy. Obecnie jednak wiedziała, że to nieprawda.

Tamtego wieczoru po raz pierwszy całowała się z chłopcem.

Był to przyjaciel Williego, obaj studiowali na tym samym uniwersytecie. Przyjechał do „Brzóz” na wielkanocny tydzień. Miał na imię Michael i był chłopcem tak przystojnym, że zdaniem Emmy mógłby pozować do obrazu anioła. Miała zaledwie szesnaście lat i podczas tamtej kolacji bacznie go obserwowała. Wpatrywała się w jego pełne wargi, kiedy mówił, pił i jadł, zastanawiając się, co by czuła, gdyby pocałował ją taki chłopiec. Jakikolwiek chłopiec.

Czy odgadł jej pragnienia? Widocznie tak, ponieważ potem nagle znalazła się w ogrodzie, Michael obejmował ją w talii, a jego pełne wargi całowały jej usta.

Właśnie zaczął robić cudowną rzecz - próbował wsunąć język w jej usta - kiedy natknął się na nich Willie.

- Ty kurwo! - krzyknął, ale wcale nie patrzył na siostrę. Jego pełne bólu oczy wpatrywały się w Michaela.

A potem Emma zauważyła stojącą za Williem matkę. Bethel wpatrywała się w całą trójkę, jakby stanowili wystawiony w ogrodzie *tableau vivant*¹.

Emma z płaczem pobiegła do domu, lecz jeszcze tego samego wieczoru smutna i skonsternowana wybrała się do pokoju Williego, by go przeprosić za niewątpliwie kompromitujące zachowanie. Kto wie, może chciała również, by brat wyjaśnił jej, co kryło się za dziwnym wyrazem jego oczu.

Wcześniej jednak do sypialni Williego dotarła matka. Przez uchylone drzwi Emma słyszała pełne złości i obrzydzenia słowa Bethel:

- Jak mogłeś przywieźć go do domu?

Willie w odpowiedzi wymamrotał coś, czego Emma nie zdołała zrozumieć.

- To skłonność, którą nie tylko można, lecz należy przewyciężyć. Możesz zacząć od wypełnienia ciężących na tobie obowiązków dziedzica Tremayne'ów. Nim lato dobiegnie końca, masz znaleźć sobie kobietę, która zostanie twoją żoną i urodzi ci dzieci. Poza tym już nigdy nie zbliżysz się do tego chłopca ani do nikogo o podobnych skłonnościach.

Willie jednak nie wrócił do Yale ani nie spotkał dziewczyny, która jeszcze tego lata miałaby zostać jego żoną.

Natomiast tej samej nocy, nie zważając na sztorm, wypłynął żaglówką i utonął.

Może miał nadzieję, pomyślała Emma, że jeśli uda mu się zniszczyć swoje ciało, nikt nie zauważy, że jego dusza została wolna.

Pewnego razu, kiedy jeszcze jako dzieci bawili się w lesie na Hope Farm, natknęli się na pułapkę, w której tkwił postrzę-

386

¹ Tableau vivant (franc.) - żywy obraz (przyp. tłum.).

piony, zakrwawiony kawałek pokrytej rudym futrem łapy. Lis, pragnąc się uwolnić, własnymi zębami odgryzł sobie łapę.

Willie płakał nad lisem i jego postępkami. Natomiast Emma, patrząc na odgryzioną łapę, uznała, że widzi coś wspaniałego.

- Willie... - powiedziała teraz, spoglądając na pełną wirów głębinę zatoki, w miejscu gdzie spoczywał brat. Nawet jeśli nie w pokoju, pomyślała, to przynajmniej w spokoju.

Wiatr wzmógł się i rozwiął mgielkę. Można było odnieść wrażenie, że słońce sunie po wodzie. Emma miała zamiar rzucić zabraną z bukietu ślubnego różę na skały, ale na widok własnej dłoni zamarła w bezruchu.

Jej ręka nosiła dwa znaki charakterystyczne. Pierścionek z szafirem i diamentami, ofiarowany przez człowieka, który miał zostać jej mężem. I małą bliznę, którą zostawił ukochany mężczyzna.

Doszła do wniosku, że czasami trzeba zapłacić bardzo wysoką cenę za spełnienie marzeń, za zostanie kimś, kim pragnie się być, za zostanie kimś, kim się było...

Ale znacznie gorzej by się stało, gdyby nie zapłaciło się tej ceny.

Na dworcu przy Franklin Street lokomotywa wysyłała w niebo kłęby wilgotnej pary. Odjeżdżający pięć po dziesiątej pociąg do Providence miał połączenie z jadącym o jedenastej czterdzieści siedem pociągiem do Nowego Jorku.

Shay McKenna kuczał na peronie, próbując rozluźnić ręce córki, która uparcie trzymała się latarni. Był zdumiony jej siłą -nie miał pojęcia, jak uda mu się zapakować małą do pociągu, nie łamiąc jej kości.

- Merry, kochanie, jeśli nie puścisz tego słupka - powiedział - dam ci w tyłek.

- O rany! - krzyknął ojciec O'Reilly, spoglądając w niebo. -Ta pogróżka na pewno poskutkuje, zwłaszcza że nigdy w życiu nie podniosłeś na to dziecko ręki.

- Kiedyś trzeba zacząć. - Shay spojrzał groźnie na córkę. Wiedział, że takie spojrzenie działa na mężczyzn na ringu. Tymczasem ona nawet nie mrugnęła okiem.

Nadal kucając, obejrzał się, by zwrócić się do starszej córki, siedzącej na kufrze z małym Jackiem na kolanach.

- Dlaczego ona to robi?

Noreen wzruszyła ramionami. Czując ten ruch, Jacko zaczął się śmiać.

- Nie wiem, tatusiu. Merry przecież nie nuci.

Shay zdjął kapelusz, przeczesał palcami włosy, potem ponownie wcisnął go na głowę. W końcu jutro pociągi również będą kursowały. Tylko, do jasnej cholery, jest ojcem!

Wstał i wskazał palcem na czerwony pompon, który zdobił szkocki beret córki.

- A teraz posłuchaj...

- Emmmmmma - powiedziała Merry.

Przez dwa uderzenia serca Shay spoglądał na nią z góry, a potem doszedł do wniosku, że się przesłyszał.

- Panna Emma - wyjaśnił ojciec O'Reilly - jest w tym momencie w „Brzozach”, drogie dziecko, i właśnie wychodzi za mąż za nieodpowiedniego faceta.

- Donagh... - powiedział Shay.

- A w tym czasie twój ojciec sam składa się na ołtarzu dobrych intencji.

Shay obdarzył kapłana kwaśnym uśmiechem.

- Może byłbyś łaskaw, chłopcze, zdjąć ten krzyż i koloratkę, żebym mógł porozmawiać z tobą za pomocą pięści.

Donagh uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

- Chociaż jesteś mistrzem, chłopcze, zawsze uważałem, że mogę cię pokonać. I wcale nie muszę w tym celu niczego zdejmować.

- Donagh, może zechciałbyś pomyśleć przez jedną cholerną minutę - odrzekł Shay szorstkim, załamującym się głosem. - W krótkim okresie naszej znajomości pracowałem w psiarni, na polach cebulowych i łowiłem ryby, lecz żadne z tych zajęć nie zapewniało mi godziwych zarobków ani odpowiedniej pozycji towarzyskiej.

- No i co z tego? Istnieją mężczyźni, którzy coś tworzą, i tacy, którzy żyją marzeniami. A jeszcze inni siedzą na tłustych tyłkach, czkają, pierdzą i rozmawiają o irlandzkiej polityce. Ale to i tak nie ma żadnego wpływu na upodobania kobiet.

- Ale ona ma coś, co nazywa się funduszem powierniczym. Jest na nim milion dolarów.

- To znaczy, że jesteś szczęściarzem. Zawsze powtarzam, że jeśli mężczyzna ma się zenić, równie dobrze może wziąć ślub z kobietą bogatą.

- Jestem Irlandczykiem.

- Chyba masz mnie za głupca! Irlandczycy, których znam, są ludźmi odważnymi. Och, Matko Przenajświętsza. Już wcześniej rozmawialiśmy na ten temat i jestem tym zmęczony. Mogłeś wyjechać do Nowego Jorku przynajmniej dwa miesiące temu.

- Zaczekaj...

- Zwlekałeś do tej pory, ponieważ miałeś nadzieję, że ona przyjdzie i powie: „Seamusie McKenno, jesteś cudownym, wspaniałym facetem. Pragnę spędzić z tobą całe życie”. Tylko z tego, co pamiętam, ona już to kiedyś zrobiła, a ty zachowałeś się jak najgłupszy bąbłowiec i nie zgodziłeś się.

- To nie...

- Co prawda, nikt mnie nie pyta o radę, ale gdyby tak było, uznałbym, że teraz kolej na ciebie i że to ty powinieneś wystąpić z propozycją. To jest moje ostatnie słowo na ten temat.

- Gdybyś pozwolił mi dokończyć zdanie...

Rozległ się gwizd pociągu. Obaj mężczyźni spojrzeli na ogromną białą tarczę dworcowego zegara.

- Zamiast kończyć zdanie, Seamusie, lepiej zaoszczędziłbyś pary na szybki bieg - powiedział Donagh. - Oczywiście, jeśli masz zamiar zdążyć przed ślubem.

Shay przestąpił z nogi na nogę, jakby jego stopy podjęły decyzję, zanim odważyło się na to serce i rozum.

- Lecz co, jeśli...

- Wówczas po prostu spóźnisz się na pociąg. - Donagh wzruszył ramionami. - Idź już, człowieku. A my w tym czasie zjemy lody u Hardy'ego.

Donagh obserwował biegnącego Shaya. Seamus McKenna pędził, jakby miał zamiar złapać pociąg do nieba. Nie jest wykluczone, że rzeczywiście go złapie, pomyślał Donagh. Może naprawdę go złapie...

Zauważył, że córki Shaya wymieniają między sobą promienne uśmiechy.

Donagh odrzucił głowę do tyłu, spojrział w niebo i zamrugał, pragnąc pozbyć się łez.

- Och, Briu, dziewczyno. Zawsze potrafiłaś znaleźć sposób, by osiągnąć to, czego pragniesz.

Emma przejrzała się w dużym lustrze. Tak jak się spodziewała, zobaczyła w nim pannę Tremayne w sukni ślubnej ozdobionej koronką i drobnymi perełkami. Wokół niej jak dzwon układał się długi, jedwabny tren. Twarz Emmy przysłaniał tiulowy welon przyczepiony do włosów kwiatami pomarańczy.

Gdzieś w okolicach serca zaczynała czuć dziwne, nieśmiałe przebłyski szczęścia. Właściwie wcale nie była pewna, w jaki sposób do tego doszło. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy Bria McKenna zakłóciła ostatnie polowanie sezonu, przynosząc na nie martwe dziecko, a kończyło się teraz, w dniu ślubu. Kończyło się koniecznością dokonania wyboru.

Już go dokonała.

Po prostu w pewnym momencie zgubiła drogę i za długo błądziła. Niewiele brakowało, a byłoby za późno na wszystko.

Kiedy schodziła dębowymi schodami, dom tonął w ciszy. Mama i Maddie ubierały się w swoich pokojach, a ojciec był w bibliotece. W ogrodzie czekała obsypana różami altanka, namiot w żółte pasy i morze szampana, ale pierwsi goście mieli pojawić się dopiero za godzinę. Emma wiedziała, że Geoffrey już tu jest, ponieważ nieco wcześniej widziała jego lando.

Na szczęście dla nich obojga był sam. Stał na cyplu, z którego roztaczał się widok na zatokę.

- Witaj, Geoffreju - powiedziała, zbliżając się do niego. Czowała, że brakuje jej tchu, jak po biegu.

Odwrócił się i przesłał jej uroczy uśmiech. Na ten widok zabołało ją serce, ponieważ zawsze najbardziej lubiła uśmiech Geoffreya.

- Emmo! Co ty tu robisz? Nie powinienem widzieć cię w tej sukni przed ślubem. To przynosi pecha.

- Geoffreju... - zaczęła. - Bardzo trudno mi to powiedzieć. Powinam zrobić to wcześniej, znacznie wcześniej. Jest mi przykro, niezmiernie przykro... ale nie mogę wyjść za ciebie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Po chwili zauważyła, że Geoffrey usiłuje się jednak uśmiechnąć.

- Emmo, to nie pora na żarty.

- Sprawisz, że będę nieszczęśliwa, a ja wcale tego nie chcę. Wiem, że to bardzo egoistyczne, ale mogę się bronić tylko tym, że ja również nie zdołałabym dać ci szczęścia.

Patrzył na nią bez słowa, jakby oszołomił go ból. Emmie przyszło na myśl, że musi powiedzieć coś więcej, że musi wszystko wytłumaczyć.

- To jest twoje życie, Geoffreju... Ja nie chcę tak żyć. Nagle coś się w nim załamało, a w jego oczach pojawiła się bezdenne rozpacz. A także świadomość porażki. Wówczas przyszło jej na myśl, iż w głębi duszy Geoffrey przez cały czas spodziewał się, że tak się stanie.

- Przykro mi - powtórzyła.

- Ależ nie możesz tak po prostu... - Głos mu się załamał. - Co masz zamiar zrobić?

Uśmiechnęła się. Nie zdołała zapanować nad uśmiechem, chociaż chciało jej się również płakać.

- Nie wiem. Może poześlę do Viana do Castelo.

- To przez niego, prawda? - spytał, zaciskając zęby. - Podejrzywałem, że jest ktoś inny, ale dżentelmen zawsze tłumaczy wszystkie wątpliwości na korzyść damy. Teraz już wiem... Odchodzisz do niego.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że Geoffrey wcale nie patrzy na nią, lecz na mężczyznę stojącego za ozdobioną zawijaszami bramą.

Shay McKenna zacisnął palce na żelaznych prętach, a potem otworzył bramę i przeszedł przez nią.

Emma uniosła suknię ślubną i ruszyła w jego stronę ścieżką wykładaną kamiennymi płytami.

- Emmo, nie rób tego! - zawołał Geoffrey.

Kiedy usłyszała, że za nią podąża, ogarnął ją strach, że jakimś cudem zdoła ją powstrzymać, więc uniosła wyżej spódnicę i zaczęła biec.

Zdyszana, roześmiana, przerażona i zakochana... tak bardzo zakochana... zatrzymała się przed Shayem McKenną, swym ukochanym, człowiekiem, do którego wrywało się jej serce i u którego boku chciała spędzić życie.

- Witam cię, Emmo Tremayne - powiedział. - Przyszedłem po ciebie. Idziesz ze mną czy nie?

- Idę - odparła.

Ku jej zaskoczeniu zrobił coś, co zupełnie do niego nie pasowało - jak mały chłopiec wydał okrzyk radości. A potem wziął ją na ręce i ruszył przed siebie.

Spojrzała przez ramię Shaya i zobaczyła Geoffreya. Stał bezradnie na środku wysypanego muszelkami podjazdu.

Odwróciła głowę i pocałowała Shaya w szyję.

- Miałam zamiar pojechać za tobą do Nowego Jorku -oznajmiła.

Roześmiał się.

- Naprawdę? A co teraz?

- Idziemy na jacht - zdecydowała. - Chcę opuścić to miejsce łódką.

Kiedy odpływali, spomiędzy drzew wypadł Geoffrey. Chociaż było już za późno, biegł i wołał ją po imieniu.

Emma zdjęła welon i zsunęła z palca otrzymany od niego pierścionek. Białą jedwabną wstążką przywiązała go do welonu i wszystko razem wrzuciła do wody, wiedząc, że przyływ zanieśie to Geoffroyowi.

Mgła rozproszyła się. Po intensywnie błękitnym niebie sunęły białe puchowe obłoczki.

Emma stała w kokpicie „Ikara”, jedną ręką trzymając się poręczy i całą sobą wchłaniając słońce, wiatr i morze.

Obejrzała się za siebie, spojrzała na Poppasquash Point, na zasłaną kamykami i muszelkami plażę oraz połyskujące jasnozielonymi liśćmi brzozy.

Nagle dostrzegła na brzegu coś białego.

Była to kobieta w batystowej koszuli nocnej, wykończonej koronkami. Stała dumnie, a wiatr rozwiewał jej rude włosy. Po chwili zniknęła, i Emma widziała jedynie kępę brzoź z ich srebrzystymi, połyskującymi w słońcu pniami.

Uniosła rękę i pomachała. Nie żegnała się, ale pozdrawiała przyjaciółkę.

- Czy chwilami nie przychodzi pani na myśl, panno Tremayne, że pewnego dnia będzie pani gorzko żałować własnej głupoty?

Spojrzała mu prosto w oczy. Tak bardzo je uwielbiała. Ta chwila miała w sobie tyle uroku, że jeden oddech był w stanie

wszystko zepsuć. Emma obawiała się, że wówczas jej szczęście nie byłoby pełne.

Z drugiej jednak strony była z ukochanym mężczyzną, a u jego boku zawsze będzie mogła znaleźć jeszcze więcej szczęścia i radości, chociaż ich przyszłość była tak niezgłębiona jak czarne dziury widoczne w nocy między gwiazdami.

- Może będę - powiedziała ze śmiechem. - Ale zanim to nastąpi, czekają mnie wspaniałe chwile, Seamusie McKenno.